ROCZNIK

TOWARZYSTWA HYSTORYCZNO-LITERACKIEGO

W PARYZU

-∞-

ROK 1866

W DRUKARNI BRACI ROUGE FRÈRES, DUNON ET FRESNÉ

PARYŻ, ULICA DU FOUR-SAINT-GERMAIN, 43

ROCZNIK

TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO

W PARYŻU



ROK 1866



PARYZ

KSIĘGARNIA LUXEMBURGSKA

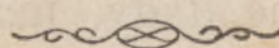
16, ULICA DE TOURNON, 16

1867


BIBLIOTHECA
VNIV.
IAGELL.
CRACOVIENSIS

ZAKŁADY POLSKIE

NA WYCHODZTWIE.



I.

TOWARZYSTWO HISTORYCZNO-LITERACKIE

W PARYŻU.

Dzisiejsze Towarzystwo historyczno-literackie, jak wszystkie zakłady polskie na wychodztwie, rozwijało się powoli; stopniowo przyszło do teraźniejszej organizacji swojej, a nawet i obecne nazwanie nie odrazu przyjęło; przez cały zaś czas istnienia swego, nie było tylko ściśle naukowém stowarzyszeniem, albo zbiorem literatów z powołania, ale jeszcze i przedewszystkiém, gronem ludzi spojonych myślą służenia Polsce, według sił swoich, stosownie do miejsca i potrzeb czasu. Różne w ciągu istnienia swego podejmowało prace, rozmaite przechodziło koleje, rosnąc lub umniejszając się naprzemian, stosownie do tego, jak sprawa krajowa tej albo innej potrzebowała usługi, a rozmaite losy samego wychodztwa, zwiększały lub przerzedzały jego szeregi.

Piérwsze zawiązki Towarzystwa, sięgają początków emigracji 1831 r. Znalazłszy się na ziemi obcej, bardzo prędko postrzegli Polacy, jak ważną dla sprawy było usługą, oznajamianie z nią opinji publicznej za granicą, i powzięli myśl zawiązania się w osobne w tym celu grono. Dnia 29 Kwie-

tnia 1832 roku, trzynastu założycieli : Jenerał Bem, Grzymała Albert, Herbelot, Jelski, Kunatt Stanisław, Morawski Teodor, Plater Hr. Ludwik, Plichta Andrzej, Prószyński, Jenerał Umiński, Walewski Aleksander, Wołowski Franciszek i Wołowski Ludwik, podpisało ustawę, której piérwszy artykuł orzekał, iż celem Towarzystwa będzie : « zbieranie i ogłaszanie materjałów tyczących się dawnej Polski, jej obecnego położenia lub pomyślności przyszłej, a to w widoku zachowywania i ożywiania w opinji narodów, współczucia jakie dla Polski okazywały. » Zgodzono się na ustanowienie Rady, mającej pracami kierować, na zgromadzanie się co tydzień i utrzymywanie osobnej *Księgi pamięci* do zapisywania zdarzeń ważniejszych « a Polskę i jej mieszkańców żywo obchodzących. » Grono to nazwało się *Towarzystwem Literackiem*.

Dzień 3 Maja, przeznaczony został na piérwsze posiedzenie Towarzystwa, które na prezesa swojego wybrało, znajdującego się wtenczas w Anglji księcia Adama Czartoryskiego, a na członka zaprosiło bawiącego tamże Juljana Ursyna Niemcewicza. Wiceprezesem został kasztelan Hr. Ludwik Plater, głównym redaktorem Teodor Morawski, pomocnikami jego : Kalikst Morozewicz i Stanisław Kunatt, sekretarzem Andrzej Plichta.

Przez piérwszych lat dziesięć istnienia, głównym przedmiotem prac Towarzystwa było dostarczanie wiadomości o sprawie polskiej izbom prawodawczym, zgromadzeniom i pismom publicznym. Wypracowywane wspólnie materjały składano obu izbom, opowiadano coraz nowe, na ziemiach naszych dokonywane gwałty, ogłaszano dokumenta, broszury i pisma rozświetlające historję naszą, obecne cierpienia narodu i jego bieżące potrzeby. Czynność Towarzystwa tak była wielką, że w ciągu tych lat dziesięciu dokonano, podano członkom Izb i umieszczono w celniejszych dziennikach lub pismach, około 2,000 memorjałów, artykułów i t. p., nie licząc obszerniejszych dzieł. Było to działanie przeważnie polityczne, w zakresie dla wychodzców dostępnym i najwłaściwszym.

Nie miało Towarzystwo osobnego swojego organu, ale członkowie jego wydawali rozmaite pisma perjodyczne, które do prac Towarzystwa w pewnej mierze policzyć można. Takiemi były : w 1832 roku przez

Plichtę, Kunatta i Bronikowskiego wydawany *Fenix*, poźniej od 1834 do 1840 *Kronika Emigracji polskiej*, T. I-VIII, redagowana naprzód przez Bronikowskiego i Kunatta, następnie przez Sienkiewicza, w końcu przez Karola Hoffmana; w 1835 roku, *Kraj i Emigracja*, Woronicza, a w języku francuzkim, przegląd hr. Władysława Platera, *Le Polonais*, T. I-V; w 1839 r. Bronikowski zaczął wydawać w tymże języku Przegląd słowiański (*la Revue slave*), a w r. 1840 Ludwik Orpiszewski *Trzeci Maj*, hrabia zaś Władysław Plater z Feliksem Wrotnowskim *Dziennik narodowy*. Do najpoważniejszych publikacji tego czasu, należy *Portofolio* (T, I-V), zbiór dokumentów historycznych i dyplomatycznych, staraniem księcia Adama Czartoryskiego, w języku francuzkim ogłoszony. Dzieło to zawierające celniejsze memorjały i depesze ministrów i ambasadorów rossyjskich, wielkiemu księciu Konstantemu podczas jego pobytu w Warszawie komunikowane, stanowi dziś jeszcze najbogatsze źródło do historji dyplomacji moskiewskiej.

Rozszerzając zakres czynności swoich, Towarzystwo zaraz po założeniu wybrało *Korespondentów* mających popierać jego usiłowania w innych krajach, wszędzie gdzie tylko współczucie dla sprawy polskiej krzewić się dawało. W Styczniu 1833 roku powzięło myśl przyznawania tytułu *Członków honorowych* znakomitym za granicą mężom, sprawie polskiej zasłużonym. Takim sposobem w poczet członków Towarzystwa weszli: jenerał Lafayette, lord Dudley Stuart, Beaumont, Bignon, Campbel, Cutlar Fergusson, hrabia Montalembert, Villemain, St. Marc Girardin i inni.

Tąż samą myślą powodowane, Towarzystwo w 1835 roku po śmierci jenerała Lafayette uczciło pamięć tego stałego przyjaciela Polski medalem, który w imieniu Towarzystwa przesłanym został synowi jego, Jerzemu Lafayette, wówczas członkowi Izby Deputowanych (1). W 1836 r. ofiarowało także jednemu z najgorliwszych przyjaciół naszych, Lordowi Dudley Stuart portret jego, umyślnie w tym celu wysztychowany (2).

(2). Medal ten, wykonany przez Czł. Tow. Wład. Oleszczyńskiego, mieści z jednej strony popiersie Lafayetta z napisem: *Libertati non defuit unquam* — z drugiej, postać Polski składającej wieniec na jego grobie i napis: *Paulo S. R. Lafayette Polonia moerens;* na dole rok i dzień śmierci.

(2). Portret ten, sztychowany na stali przez Czł. Tow. Antoniego Oleszczyńskiego, ma napis: *Causas non fata sequor.*

Liczba członków Towarzystwa urosła znacznie, (1) a gdy po kilku latach, ogólny stan Europy na obszerném zrazu polu mniej zaczął przedstawiać zajęcia, dluższy zaś na obcej ziemi pobyt przekonał iż Zachód posiada także mnóstwo materjałów do poznania naszej przeszłości, rzucono się do wyszukiwania i gromadzenia wszelkiego rodzaju zabytków drukowanych i piśmiennych; członkowie Towarzystwa z publicystów stali się archeologami, ale zawsze w tej samej przewodnej myśli pracowania dla Polski. J. U. Niemcewicz podał myśl utworzenia osobnego *Historycznego Wydziału*, którą na posiedzeniu 8 Lutego 1838 roku przyjęto; że zaś przyszłe państwo Polskie miano zawsze na pamięci, ustanowiono zatém obok niego drugi jeszcze *Wydział statystyczny* którego celem było zebranie materjałów tyczących się statystyki Polski oraz krajów w których przebywali wychodzcy. Prezesem tego wydziału był kasztelan hr. Ludwik Plater, zawsze w pracowitych poszukiwaniach niezmordowany, który sam statystykę ks. Poznańskiego napisał, a współtowarzyszy do podejmowania prac tego rodzaju zachęcał. Po upływie lat czterech, nie jedna z nich wygotowaną już była, lecz odjazd hr. Platera z Francji sprowadził wkrótce ich zaniechanie i rozwiązanie się samego Wydziału.

Wydział historyczny tymczasem, rozwijając się dalej, urosł powoli do powagi oddzielnego stowarzyszenia.

Stosownie do ustawy przyjętej 15 Kwietnia 1838 r. miał przedewszystkiem zająć się wyszukiwaniem, wypisywaniem i zbieraniem w jedną całość, cokolwiek biblioteki zagraniczne w księgach lub rękopismach, cokolwiek archiwa publiczne lub prywatne przedstawić mogły jako materjał do naszej historji narodowej. Paryż posiadający większe nad spodziewanie w tym względzie skarby miał mieścić w sobie środkowy tego przedsięwzięcia zawiązek; posiłkowe grona w innych utworzone krajach, miały przesyłać zebrane przez siebie plony do głównego paryzkiego archiwum, które zarówno ze wszystkiemi zbiorami Wydziału uznane zostało za własność narodową. Zobowiązania się były skromne, aby je tém większej liczbie pracowników przystępnemi uczynić; każden

(3) Towarzystwo literackie straciwszy w przeciągu lat dziesięciu dwudziestu czterech członków czyło ich jeszcze dnia 3 Maja 1842 r. stu sześćdziesięciu trzech.

Członek wydziału miał dostarczyć co miesiąc 4 przynajmniej arkusze wypisów historycznych do archiwum, albo 2 franki do kassy. Posiedzenia odbywać się miały dnia 5 każdego miesiąca. Zamierzono składać też bibliotekę. Prezes J. U. Niemcewicz, podskarbi Teodor Morawski, bibliotekarz Nemezy Kożuchowski i sekretarz Karol Sienkiewicz stanowili Radę Wydziału.

Dnia 5 Maja 1838 r. Niemcewicz wzywając rodaków do zamierzonej pracy, odzywał się w następujących wyrazach : « Dotknięci najboleśniejszym ciosem, ujarzmieniem ojczyzny naszej, prześladowani, obdarci, żebrzący chleba u obcych, rozproszeni po całej kuli ziemskiej, jeśli mamy jaką pociechę w utrapieniach, męztwo w nieszczęściu, godność w nędzy, to stąd jedynie, że wzniosła myśl Ojczyzny w całej świętości swojej panuje w sercach, w celach, w nadziejach naszych. Opuściwszy rodzinną ziemię aby na obcej, służyć sprawie narodowej, gdy służyć jej z orężem w ręku nie zawsze podobna, a na drodze politycznej mało kto powołan, służmy jej tém czém zawsze można i należy, czém każdy potrafi i powinien, służmy jej utrzymywaniem, karmieniem i pokrzepianiem naszej istoty narodowej, naszej cnoty polskiej, która dawnej i udzielnej przeszłości jest owocem, a dobrej przyszłości najwierniejszą rękojmią. Godło najznakomitszego historyka naszego : *Antiquam exquirite matrem* godłem jest naszem. Kiedy na ziemi naszej obce rządy gwałtem i podstępem podkopują starożytne podstawy naszego istnienia, kiedy tam religja ojców naszych prześladowana, prawa wywrócone, język tłumiony, kiedy skarby ożywiające tradycje patriotyczne : biblioteki, archiwa, pomniki, stają się pastwą najazdu, naszém jest powołaniem, naszym obowiązkiem, ile tylko można na wygnaniu, wynagradzać te krzywdy i straty, życiem, przykładem, ofiarą, pracą. »

Takim istotnie był program Wydziału. Zaraz po ogłoszeniu odezwy, liczba członków jego zaczęła się pomnażać ; rozesłano szczegółowe informacje o kształcie historycznych wypisów, które wszystkie jednostajnie zrobione dla porządku archiwum mieć chciano, i wzięto się gorliwie do pracy. Wydział wyznaczył z łona swego Delegację dla zrobienia kwerendy w bibliotekach publicznych, w zbiorach rękopismów i w archiwach paryzkich; poszukiwania te zaczęły wzbogacać zbiory Wydzia-

łu ważnemi bardzo materjałami; pojedyńczy korespondenci podobnež kwerendy z przejrzanych przez siebie w rozmaitych miejscach bibliotek, nadsyłali.

Rzucona przez Wydział historyczny myśl zbierania biblioteki, przyjęła się. Wydział statystyczny, Towarzystwo literackie, i istniejące wtenczas w Paryżu Towarzystwo naukowej pomocy, zaczęły gromadzić szczupłe zrazu księgozbiory; ale wkrótce, bo 24 Listopada 1838 roku na posiedzeniu Towarzystwa literackiego, za zgodą wspomnianych czterech stowarzyszeń, zapadła uchwała, tworząca ze wszystkich tych zbiorów jedną *Bibliotekę publiczną polską*. Uznano ją za *własność narodową*, i oddano pod zawiadywanie Rady, złożonej z rocznych delegatów czterech Towarzystw, pod dożywotnią prezydencją ks. Adama Czartoryskiego. D. 24 Marca 1839 roku, w najętym lokalu przy ulicy Duphot N. 10. została otworzoną. Liczyła wtenczas zaledwo 2000 (1) tomów, ale około kolebki nowonarodzonego zakładu, jakby na błogosławieństwo na przyszłość, zebrały się najszanowniejsze postaci. Obok ks. Adama Czartoryskiego i J. U. Niemcewicza, w Radzie bibliotecznej zasiedli: Jenerał Kniaziewicz, Mickiewicz Adam, Sienkiewicz Karol, Barzykowski Stanisław, Teodor Morawski, Andrzej Plichta. Przeznaczeniem jego było rozrość się znakomicie, a po kilkunastu latach skupić nawet w sobie całą niemal czynność Towarzystw które go założyły.

Prace Wydziału szły gorliwie; w 1839 roku, d. 27 Sierpnia utworzyło się jeszcze w Londynie pokrewne mu historyczne grono pod prezydencją b. profesora Lacha Szyrmy, które przyjąwszy ustawę paryzką, w piérwszym zaraz roku 500 arkuszy wypisów z rękopismów muzeum brytańskiego do zbiorów Wydziału przysłało, i później przez lat kilkanaście wzbogacało je ciągle. Od chwili założenia, Niemcewicz był duszą Wydziału; po jego śmierci, w 1841 r. krzesło prezesa zajął Adam Mickiewicz; po jego usunięciu się, w 1844 zgodził się go zastąpić książę Adam Czartoryski. Na czele kwerendy która zwiedzała biblioteki i archiwa był Ludwik Plater, stałym zaś sekretarzem Wydziału zarazem dyrektorem biblioteki, stróżem wszystkich pamiątek i skarbów histo-

(1). Wydział historyczny uposażony zbiorem książek ś. p. hr. Gustawa Małachowskiego, dostarczył bibliotece największy kontyngens, bo 550 tomów, rycin sztuk 41, map 15, atlas 1, i medalów 9.

rycznych, niezmordowany a pełen nauki i obywatelskiego uczucia Karol Sienkiewicz. Rok każdy powiększał zbiory wielką liczbą wypisów i często zupełnie dotąd nieznanych materjałów do historji naszej; w 1846 roku archiwum Wydziału liczyło już ich przeszło jedénaście tysięcy arkuszy. Biblioteka rosła także. Niemcewicz wszystkie swoje rękopisma, a w nich część przez całe życie spisywanych pamiętników, Wydziałowi przekazał. Zmarły w Dreznie 1848 roku Mateusz Wodzyński, senator i wojewoda Królestwa Polskiego testamentem całe muzeum imienia Wodzyńskich, Towarzystwu literackiemu, jako własność narodową zapisał. Składało się ono z 4514 tomów, 10,562 rycin, 42 dzieł numizmatycznych i znacznej ilości medalów i monet rozmaitych; przewiezione w 1850 r. do Paryża i do biblioteki polskiej wcielone (1). W tym roku biblioteka liczyła już około 20,000 tomów. Składano powoli pomnik, który do Zachodu miał przemawiać o dawném życiu Polski, a przeniesiony kiedyś do kraju, miał świadczyć przed nim o wierności wychodźtwa dla tradycji narodowych. Karol Sienkiewicz którego myśl zawsze całą przeszłość i spodziewaną przyszłość narodu obejmowała, przemyśliwał o utworzeniu wielkiego narodowego Towarzystwa historycznego, które, zużyteczniając zdolności mierne, usługując wyższym, będąc hamulcem na zdrożne, wydałoby w końcu prawdziwą literaturę historyczną u nas, będącą, jak się wyrażał w jedném ze sprawozdań Wydziału, najistotniejszym pierwiastkiem narodowości. «Ona to, mówił, podnosi uczucia, oświeca myśl obywatelską, hartuje ogniwa któremi ludzie, rodziny, grody, ziemie, złączyły się i zrosły w jedną ojczyznę, ona sama przez niefortunne lata odziewać umie patriotyzm w tę czarowną zbroję, której kula nie bierze i gwałt nie kruszy.» Gdy garstce znajdującej się na wychodztwie uskutecznić tych myśli nie było podobna, bo do tego współudział całego kraju był potrzebny, Wydział starał się zrobić przynajmniej co było w jego możności; a zgromadziwszy znaczną liczbę materjałów i rękopismów, zaczął myślić o stopniowem ogłaszaniu ich drukiem. Już od 1840-42 r. Karol Sienkiewicz wy-

(1). Pani Wojewodzina Wodzyńska stosownie do woli zmarłego męża, zachowując u siebie na pamiątkę niektóre dzieła i ryciny z tego muzeum, oświadczyła, iż tylko do końca życia mieć je u siebie pragnie, chcąc aby poźniej dostały się Towarzystwu, któremu wola ś. p. Wojewody całe muzeum powierzyła.

dawał swój niezmiernie cenny *Skarbiec historji polskiej.* Piérwszą publikacją samego zaś Towarzystwa była w 1843 roku część pamiętników J. U. Niemcewicza, mająca za przedmiot opis niewoli jego w Petersburgu po powstaniu Kościuszki, ogłoszona p. t. *Notes sur ma captivité á St. Petersbourg dans les années* 1794, 1795 *et* 1796 *par J. U. Niemcewicz.* Za nią nastąpiło, w 1845 i 1846 rozpoczęte wydanie *Korespondencji Piotra des Noyers* sekretarza Królowy Ludwiki Marji, któréj oryginały znajdują się w bibliotece Cesarskiej w Paryżu.

Wydział nie ograniczył się na tych pracach ; uważając siebie przedewszystkiém za grono obywateli polskich, za obowiązek swój uznał wypłacić dług powszechnej wdzięczności i pamięci mężom wielkiej narodowej zasługi, których liczył w swém gronie. Zebrawszy za pomocą składki między rodakami, potrzebną na to summę, ustanowił w kościele parafjalnym w Montmorency, wieczystą mszę żałobną za dusze ś. p. J. U. Niemcewicza i jła Kniaziewicza, z wotywą za wszystkich zmarłych na pielgrzymstwie rodaków, i postanowił aby to nabożeństwo odbywało się co roku dnia 21 Maja, jako w rocznicę śmierci J. U. Niemcewicza (1). Liczniejsze od Wydziału Towarzystwo literackie, którego vice-prezesem od 1842 r. po wyjeździe kasztelana Platera do Księztwa Poznańskiego był Stanisław Barzykowski, podjęło jednocześnie myśl wzniesienia przez publiczną składkę pomnika dla obu tych mężów i takowy u Władysława Oleszczyńskiego zamówiło. Pomnik ten, w r. 1848 w kościele Montmorency postawionym został. Podobnąż myślą uczczenia narodowej zasługi powodowany Wydział, uchwalił d. 5 Czerwca 1847 r. wybicie medalu na cześć nieobecnego wtenczas w Paryżu Księcia Adama Czartoryskiego ; i ten mu dnia 24 Grudnia wręczonym został (2).

(1). Poźniej w tymże samym kościele w Montmorency staraniem krewnych i rodaków ustanowione zostały wieczyste msze żałobne za dusze Adama Mickiewicza i jego żony, (dnia 20 Listopada.) Karola Sienkiewicza. (dnia 7 Lutego) i Jana Kantego Wołowskiego, zgasłego w Narowczacie na wygnaniu, oraz wszystkich zmarłych na Syberji, (dnia 30 Października). Na tablicy marmurowej mieszczącej wszystkie żałobne msze w kościele tym ustanowione za dusze Polaków, znajduje się jeszcze następująca prośba : « Bracia w Chrystusie, módlcie się do Boga, aby zlał miłosierdzie swoje na dusze Polaków zmarłych na ziemi wygnania, i wzmocnił w sercach pokoleń polskich wiarę, nadzieję i miłość, ażeby nigdy, na ziemi nawet, niezwątpiły o wiekuistej sprawiedliwości Bożej » Amen.

(2). Medal ten wykonany przez S. Barre pierwszego z medaljerów francuzkich, przedstawia z jednej strony popiersie księcia Adama Czartoryskiego z napisem *Virtuti incolumi*, pod popiersiem : Societas historica polona in diem XXIV. Decembri M.DCCCXLVII. Parisiis f. c. Na odwrotnej stro-

Taką koleją szły prace Wydziału, gdy wypadki 1846 i 1848 roku, przerzedziły w Paryżu szeregi wychodźtwa i stały się koniecznym powodem zawieszenia prac naukowych. Liczba członków Towarzystwa literackiego i historycznego Wydziału stopniała do szczupłego bardzo grona, nie wielkie zazwyczaj środki zmalały, zebranym materjałom historycznym i książkom zaczęło grozić niebeśpieczeństwo, że nie tylko dla publiczności zamknięte zostaną, ale nawet stosownego nie znajdą pomieszczenia. Pamięć tylko Sienkiewicza i ofiara przez jenerała Zamoyskiego złożona, zachować je i w dawnym stanie utrzymać potrafiły.

Gdy nowa cisza po nowych dla narodu klęskach nastała, część dawnych członków wróciła do prac przerwanych, a Wydział zamieniony w uorganizowane d. 2 Kwietnia 1851 *Towarzystwo historyczne*, chcąc zbiory i bibliotekę zabeśpieczyć na przyszłość od tego, aby z możebném rozsypaniem się emigracji polskiej i one w rozsypkę nie poszły, powziął myśl zapewnienia dla biblioteki polskiej stałego pomieszczenia. Postanowiono nabyć w tym celu dom, którjby stał się powoli skarbnicą narodowych pamiątek. Wyznaczono komissję składkową pod prezydencją członka Rady Towarzystwa, jenerała Zamoyskiego, dla zebrania potrzebnych na to funduszów; i chociaż pieniądze wpływały powoli, bo zaledwo 36000 franków zgromadzić zdołano, gdy jednak nadarzyło się kupno na przystępnych warunkach domu położonego przy Orleańskiém wybrzeżu (*Quai d'Orléans N.* 6)prezes komissji w 1853 r. za zgodą Towarzystwa, nabył go za 90,000 fr. spłacając resztę należności własnemi funduszami i pożyczką z Towarzystwa kredytowego francuzkiego zaciągniętą, a na samymże domu zahipotekowaną. Tym sposobem biblioteka i zbiory będące własnością narodową, znalazły stałe i beśpieczne pomieszczenie w gmachu własnym, jakkolwiek jeszcze bardzo obciążonym.

W 1853 roku oba towarzystwa : literackie i historyczne, pochodzące właściwie z jednego źródła, mające wspólne cele, a zostające pod

nie medalu.: Adamo Principi Czartoryscio militi pio 1792. Musarum polonarum fervido tutori. Jnstauratori Universitatis Vilnensis 1803. Conditori Gymnasii Cremenecensis 1805. Vindici rerum patriarum 1815. Judici impavido 1828. Duci Poloniæ resurgentis 1830, nunc auspici exulantis, civi forti cum adversa fortuna composito, ob fiduciam causæ invicto.

przewodnictwem księcia Adama Czartoryskiego, zlały się w jedno; przyjęły wspólną ustawę i ustanowiły posiedzenia zwyczajne piątego dnia każdego miesiąca, dwa publiczne do roku: dnia 3 Maja i 29 Listopada, prezydenturę dożywotnią i Radę z kilku członków złożoną. Rok 1854 w którym nowa ustawa przyjętą została (6 Lutego), jest właściwie pierwszym rokiem tak połączonego towarzystwa, nazywającego się odtąd: *historyczno-literackiem*. Prezesem pozostał książe Adam Czartoryski, vice prezesem obrany Adam Mickiewicz, dyrektorem biblioteki Feliks Wrotnowski, sekretarzem Andrzej Plichta. Pierwszymi członkami zasłużonymi Towarzystwa byli: Franciszek Wołowski i hr. Ludwik Plater; po ich śmierci, w uznaniu zasług na ich miejsce powołani zostali: Stanisław Barzykowski i jenerał Władysław Zamoyski.

Wypadki zewnętrzne przez kilka lat jeszcze nie sprzyjały cichej naukowej pracy, gorętszemi zabiegami i oczekiwaniami zajmując polskie umysły. Czynność Towarzystwa przez rok 1854 i 1855 zwróciła się głównie ku urządzeniu nowego dla biblioteki lokalu, przeniesieniu doń nagromadzonych zbiorów i uporządkowaniu ich, dla otwarcia jak można najprędzej na użytek publiczny.

Myśl przewodna Towarzystwa zagasnąć nie mogła, żyła ona wśród nielicznych pozostałych w Paryżu członków, a stróż sprawy narodowej za granicą, prawdziwy patriarcha wychodztwa, Ks. Adam Czartoryski w publicznych przemowach w d. 3 Maja i 29 Listopada wypowiadał nadzieje i obawy jakie przez te dwa lata Polaków przejmowały, malował stan kraju i zachodniego świata, wskazywał obowiązki. Z końcem wojny krymskiej i z upadkiem wznieconych przez nią na chwilę nadziei, prace Towarzystwa na nowo się ożywiły. Z publicystów i archeologów, członkowie Towarzystwa stać się mieli bibliotekarzami i wydawcami. Vice-prezes Mickiewicz, umarł był w Konstantynopolu, dnia 26 Listopada 1855 roku. w Czerwcu 1856 r. osierocone po nim krzesło zajął Teodor Morawski, jeden z najczynniejszych jego członków od samego początku. Towarzystwo, posiadając w zbiorach swoich nagromadzone i ciągle dopełniane wypisy z archiwów zagranicznych, mogące służyć jako ważne i często nieznane źródła historji krajowej, wobec budzącego się ruchu naukowego w ziemiach naszych i rozpoczętego druku wielu ma-

terjałów historycznych, we wszystkich prawie częściach kraju, postanowiło utworzyć stałe wydawnictwo, któreby, dopełniając tych usiłowań, to wszystko co w kraju drukowaném być nie może a dla dziejów narodowych jest użyteczném, wydobywało z ukrycia i ogłaszało drukiem. Z kolei, na pewien czasu przeciąg, stało się to zadaniem Towarzystwa. Dnia 4 Listopada 1856 r. ustanowiono Komissję wydawnictwa złożoną pod prezydencją księcia Władysława Czartoryskiego, z Juljana Klaczki, Walerjana Kalinki i Eustachego Januszkiewicza. W przeciągu lat kilku, staraniem Towarzystwa wyszły następujące dzieła:

1) Niemcewicza J. U. *Podróże historyczne po ziemiach polskich, między rokiem* 1811 *a* 1828 *odbyte.*

2) Alberti ducis Prussiae *Libri de arte militari* in folio, z tablicami chromolitograficznemi.

3) Księcia Krzysztofa Radziwiłła H. P. L. *Sprawy wojenne i polityczne* (1621-1659).

4) Inventarium *privilegiorum, litterarum, diplomatum, quæcunque in archivo Regni Poloniae continentur.*

5) Księcia Adama Czartoryskiego. *Żywot J.U. Niemcewicza.*

6) Księdza Lescoeur. *Kościół katolicki w Polsce, pod panowaniem rossyjskiém.* (w języku francuzkim).

7) Przewodnik *naukowy w Paryżu dla młodzieży polskiej.*

8) *Relacje Nuncjuszów apostolskich i innych osób o Polsce,* (1548-1690). 2. tomy 8 majori.

Spółcześnie dokonano jednego, nader ważnego przedsięwzięcia. Około 1841 roku książe Adam Czartoryski uznawszy potrzebę wielkiej karty Polski, któraby wszystkie jej ziemie obejmowała i w razie wojny służyć mogła, zaprosił jenerała Chrzanowskiego, który właśnie z Turcji był powrócił, do objęcia dyrekcji nad tą pracą. Trwała ona nie przerwanie, i w 1852 roku było już gotowych 38 arkuszy in folio, na które wydano 70,000 franków. Wojna krymska tak tę jak wiele innych zawiesiła robót. Rzecz była już prawie na ukończeniu, że jednak brakowało skrajnych arkuszy, karta w handel księgarski nie mogła być oddaną. Chcąc dzieła tego dokonać, wydawnictwo biblioteczne oświad-

czyło się z gotowością wydania dziesięciu brakujących arkuszy, pod warunkiem, że cała karta stanie się własnością biblioteki. Gdy skutkiem tej propozycji, książe Czartoryski, i jenerał Zamoyski którzy funduszów na tę kartę dostarczali i jenerał Chrzanowski który się jej wykonaniem zajmował, zrzekli się swych praw do tej karty na rzecz biblioteki, wydawnictwo zaprosiwszy panów Feliksa Wrotnowskiego i Dufoura do dalszej roboty, w roku 1862 uzupełniło brakujące arkusze. W ten sposób Towarzystwo może się poszczycić, że doprowadziło do końca przedsięwzięcie, którego rozmiary o wiele siły prywatnych za zwyczaj przechodzą.

Wypadki rozwijały się w kraju i rozbudzony duch narodowy zapowiadał nową w nim epokę : podejmowane na coraz szerszą skalę wewnętrzne organiczne prace, pozwalały coraz większych spodziewać się z nich owoców i uwaga członków Towarzystwa jak wszystkich rodaków, zwróciła się głównie w tę stronę. Pod kierunkiem prezesa, księcia Adama Czartoryskiego, redagowane (od 1857 do 1861 roku) przez kilku członków *Wiadomości polskie* stały na straży ducha narodowego, ostrzegały o niebeśpieczeństwach, budziły nadzieje, wskazywały cele, o stanie całego kraju uwiadamiając rodaków. Przedrukowane z nich osobno celniejsze artykuły pod tytułem : *Roczników polskich*, złożyły cztéry tomy.

Nadszedł pamiętny rok 1861; wysokość nastrojenia, do jakiego duch narodowy w stolicy kraju podnieść się potrafił, budziła wyższe, niewypowiedziane nadzieje. W dniu 3 Maja, dostojny mąż przewodniczący pracom Towarzystwa, już prawie u wrót wieczności stojący, z wzrokiem już zamglonym, chciał jeszcze podzielić się z rodakami uczuciem podziwienia, uwielbienia, niewymownej radości jaką był przejęty, i dosyć sił z siebie wydobyć potrafił, aby w tych uroczystych chwilach raz jeszcze przemówić publicznie w słowach prawdziwie natchnionych. Mówiąc o podniesieniu ducha i potędze moralnej, do jakiej naród w dniu jednym się podniósł, rzekł on : « iż takie objawienie się życia polskiego zdawało się cudem! bo żeby cała massa ludu, zgodnie, jak jeden człowiek, opromieniła się naraz siłą i światłem doskonałości moralnej, a co więcej, żeby na tej wysokości

postanowiła wytrwać i utrzymać się, to nie da się inaczej wytłumaczyć, jak tylko przez użyczoną wyższą łaskę Opatrzności, przez jakieś opiekuńcze z nieba natchnienie. Wobec tak zdumiewającej, niespodzianej wielkości, emigracja mówił dalej, widzi jasno swe skromne obowiązki. Być na zewnątrz okiem kraju, jego rzecznikiem przed opinją publiczną i rządami; całém sercem, wszystkiemi siłami popierać, tłumaczyć, ogłaszać godne czci, a przez wielu niepojęte usposobienie wszystkich warstw narodu; oto program dzisiejszych prac naszych. Lecz gdyby który z nas ważył się posyłać jakieś do kraju namowy, w celu skrzywienia jego szczytnych postanowień i sprawę i nadzieję Polski na szwank wystawiał, takiego miałbym za ciężkiego przeciw Ojczyznie winowajcę. Bóg mi dozwolił długiém mém życiem objąć całą, że tak powiem, historję cierpień Polski. Byłem świadkiem błędów, zawodów, boleści, poniżenia, o których wy panowie, wiecie tylko z tradycji. Wśród tych prób i dopuszczeń odradzał się, przetwarzał duch narodowy; za każdym razem jawił się czystszy, pełniejszy, do życia samoistnego bardziej usposobiony. Z każdej sposobności korzystał naród, by poprawić wady wewnętrznego rządu i ulepszyć stan społeczny. Ale wyznaję to z sercem przepełnionem wdzięcznością ku Bogu, nigdy naród nasz w tak wzniosłej, poważnej, jak dziś nie ukazał się postaci; nigdy serca i umysły polskie, do tej jak dziś, nie nastroiły się zgodności, i nigdy też, bez względu na zewnętrzne wpływy lub wypadki, kres naszej niedoli nie zdawał mi się tak widocznym.» Kończył témi słowami, które pozostaną na zawsze świadectwem jego duszy i miłości dla Polski: «Nie schodź, o narodzie mój, z wysokości strefy, na której cię ludy i mocarze muszą szanować. Na niej się stale utrzymując, bespieczniejszy i pewniejszy jesteś widzieć twoją metę i do niej ciągle dążyć i zbliżać się. Wśród krwawych boleści, zdradą i przemocą w rozpacz popychany, odrzucaj pokusy, odpychaj jątrzące draźnienia; nie zstępuj do bitew niższego rzędu, któreby, obecnie, na ciebie i sroższe klęski i gorszy od nich, twój własny upadek ściągnęły.»

Oszczędził Bóg dostojnemu mężowi widoku dzisiejszych cierpień i boleści, w trzy miesiące po wypowiedzeniu tych słów proroczych, dnia 15 Lipca przeniosł się do wieczności. Stanisław Barzykowski miał mowę

na piérwszém po śmierci prezesa posiedzeniu Towarzystwa. Walerjan Kalinka zaproszonym został do napisania historji jego żywota, a syn zmarłego, książe Władysław Czartoryski, obrany prezesem Towarzystwa.

Dalszy bieg wypadków krajowych nie sprzyjał cichej naukowej pracy. Część członków Towarzystwa zajęła się znowu, jak było przed trzydziestu laty tłumaczeniem przed Zachodem praw i żądań budzącej się do życia Polski; artykuły w rozmaitych dziennikach, większej i mniejszej objętości pisma wydawane w tym celu, pochłonęły ich działalność. Wszakże, aby przy tém chwilowém wstrzymaniu prac Towarzystwa, zbiory jego nie ucierpiały, ustanowiono nadzór biblioteczny, złożony z księcia Władysława Czartoryskiego prezesa, Eustachego Januszkiewicza i Walerjana Kalinki, konserwatorów. Zwyczajne posiedzenia Towarzystwa z wybuchem powstania znowu zawieszone zostały.

W pierwszych miesiącach 1864 roku, nowi wychodźcy gromadnie zbierać się zaczęli do Paryża; wielu z nich szukało naukowej pracy, Rada więc biblioteczna dnia 9 Maja, bibliotekę dla publiczności otworzyła, a wkrotce i miesięczne posiedzenia Towarzystwa rozpoczęły się na nowo. Niektórzy z przybyłych świéżo na wychodztwo rodaków, pośpieszyli przyłączyć się do grona członków, pamiętając, że w życiu narodowém pokolenia łączą się z sobą jak ogniwa jednego łańcucha i że nić tradycyjną publicznego życia utrzymać można tylko, prowadząc dalej, z coraz nowémi siłami i duchem, rozpoczęte przez poprzedników prace.

Wkrótce po śmierci księcia Adama Czartoryskiego, podaną była myśl, wzniesienia dla niego pomnika. Wprawdzie, pomnik dla męża, którego życie objęło wiekowe usiłowania dźwigającej się Polski, najwłaściwszym byłby w katedrze na Wawelu, ale Towarzystwo, pomnąc że Książe przepędził z nami ostatnich lat trzydzieści, a przez te lata twórcą był i przywódzcą tylu zacnych prac na wychodztwie, chciało przynajmniej, aby w kościele Montmorency został ślad jego między nami bytności. Wypadki krajowe dopełnić tego zaraz nie pozwoliły, ale gdy jak wspomnieliśmy, z końcem ostatniego powstania, Towarzystwo wróciło do swych zwyczajnych czynności, zamierzony pomnik stał się znowu przedmiotem

zajęcia. Wyznaczona pod prezydencją jenerała Zamoyskiego komisja, wydała odezwę, zapraszając rodaków do składki, nie wyższej nad *złoty jeden*, i mamy nadzieję, że, dzięki takim ofiarom, postawiona w kościele Montmorency pamiątka, świadczyć będzie o naszej dla zmarłego wdzięczności.

Wznawiające się na nowo Towarzystwo, zapragnęło stać się mniej więcej niezawisłém od wypadków politycznych i uzyskawszy stałą opiekę rządu francuzkiego, posiąść te wszystkie korzyści, jakie przed prawem nadaje charakter osoby cywilnej. Pozbawione tego charakteru, nie miało też prawa posiadania, i lubo wszystkie jego zbiory uważane były za własność narodową, prezes Towarzystwa musiał być nominalnym właścicielem, tak biblioteki, jak wszelkiego majątku Towarzystwa. Ponowiono więc, za staraniem Prezesa i członków Rady, (przy czém największe wobec Towarzystwa położył zasługi, jenerał Ludwik Bystrzonowski,) czynione dawniej starania u rządu francuzkiego, o uznanie Towarzystwa za instytucję publicznego użytku. Na piérwsze w tym przedmiocie podanie, poparte zbiorem dzieł i publikacji Towarzystwa, Minister oświecenia odpowiedział rozporządzeniem z dnia 31 Sierpnia 1865 roku, którém ustawę Towarzystwa zatwierdził i przyznał mu prawa stowarzyszenia naukowego. Zażądał zarazem wykazu majątku i zbiorów.

Potrzeba wyjaśnienia stanu majątkowego Towarzystwa przed władzami francuzkiemi, była powodem, iż jenerał Zamoyski, który, będąc już przy kupnie bibliotecznego domu wierzycielem Towarzystwa, później, za jego zgodą, ważne w domu porobił naprawy i przebudowania i znaczną jeszcze na to summę wyłożył, pragnąc zapewnić trwałość zakładowi narodowemu zrzekł się na rzecz Towarzystwa całej należności swojej, 62,000 fr. wynoszącej, i zawarł z niém umowę, na mocy której, biorąc w dzierżawę dom (z wyjątkiem drugiego i trzeciego piętra) na lat ośmnaście, zobowiązał się ponosić wszystkie domu ciężary i z tegoż wypłacać towarzystwu kredytowemu roczną amortyzację. Dzięki temu układowi, na którym tak wiele zyskiwało Towarzystwo, dom biblioteczny oceniony dzisiaj na 200,000 fr. obciążony jest tylko amortyzującym się długiem 70,000 fr. w towarzystwie kredytowém, a biblioteka

ma do swego rozporządzenia zajmowany obszerny lokal i dochód z trzeciego piętra wynajętego za 1,500 fr. rocznie.

Taką umowę przedstawiono rządowi francuzkiemu, a wraz z nią wiadomość o zbiorach Towarzystwa, które obecnie składają się :

1) Z *Biblioteki* liczącej od 32 do 33,000 tomów, których najważniejszą część stanowią dzieła odnoszące się do historji i literatury narodów słowiańskich, a przedewszystkiém polskiej; resztę składają dzieła w rozmaitych językach, do historji, literatury, prawa, historji kościelnej i t.d. Zapisy rodaków, jako to : J. U. Niemcewicza, jenerała Paca, wojewody Wodzyńskiego, pułkownika Szulca, hrabiego Gustawa Małachowskiego i innych, pozwoliły zapełniać luki nieuniknione w księgozbiorze powstającym z darów prywatnych, i dla tego oddział rzeczy polskich zdołał być zaopatrzonym we wszystkie ważniejsze w tym przedmiocie dzieła. Ministerstwa francuzkie spraw wewnętrznych i oświecenia publicznego obdarzają też bibliotekę kosztownemi rządowemi wydaniami, zdobiącemi publiczne biblioteki francuzkie. Na utrwalenie pamiątki znaczniejszych zapisów wojewody Wodzyńskiego i pułkownika Szulca, dwie sale biblioteki polskiej noszą ich imiona.

2) Z *Archiwum* zawierającego przeszło 20,000 arkuszy wypisów zrobionych w archiwach francuzkich, w wydziale rękopismów biblioteki cesarskiej w Paryżu, w *State-paper-office* w Londynie, w bibliotekach w Rzymie, Bruxelli i Hadze. Są to dokumenta, po większej części nieznane, a wyłącznie do historji polskiej się odnoszące.

3) Ze *zbioru rycin* pochodzącego w znacznej części z zapisu wojewody Wodzyńskiego; ten liczy 27,000 rycin i 605 wielkich wydań illustrowanych, jako to : muzeów, galerji i t. p. Rycin polskich Towarzystwo posiada 5,687; portretów 4,460, prócz znajdujących się w dziełach, a takich jest 6,483.

4) Ze *zbioru atlasów i map* wynoszącego 660 sztuk.

5) Ze *zbioru monet*, (38 złotych, 400 srebrnych, 45 miedzianych) i *medali* (12 złotych, 156 srebrnych, 232 brązowych, miedzianych i t. d.) razem 883 sztuki, odnoszące się przedewszystkiem do historji polskiej.

Gdy złożone przez Towarzystwo wyjaśnienia przeszły przez Radę Państwa i jej przychylną uzyskały opinię, Cesarz Napoleon III dekretem

z d. 10 Czerwca 1866 roku uznał Towarzystwo za *Instytucyę publicznego użytku*. Dekret który tutaj ogłaszamy zatwierdził zarazem Statuta Towarzystwa.

« My, Napoleon, z łaski Bożej i woli narodu Cesarz Francuzów, wszem wobec i każdemu z osobna, wiadomo czynimy.

« Wskutek raportu Ministra Sekretarza Stanu w wydziale oświecenia publicznego;

« Zważywszy prośbę zaniesioną przez Towarzystwo historyczno-literackie polskie o uznanie go za instytucję publicznego użytku;

« Zważywszy opinię Prefekta policji i Vice-Rektora Akademji paryzkiej;

« Po wysłuchaniu naszej Rady Stanu, postanowiliśmy i stanowimy co następuje :

Artykuł I. « Towarzystwo historyczno-literackie polskie uznaném zostaje za instytucję publicznego użytku.

Artykuł II. « Statuta Towarzystwa, załączone przy niniejszym dekrecie, zatwierdzają się. Żadna w nich zmiana nie będzie mogła być zaprowadzoną, bez naszego upoważnienia.

Artykuł III. « Polecamy Ministrowi Sekretarzowi Stanu w wydziale oświecenia publicznego wykonanie niniejszego dekretu.

« Dan w pałacu Tuilleries, d. 10 Czerwca 1866 r.

(podpisano) NAPOLEON.

Przez Cesarza

Minister Sekretarz Stanu w wydziale oświecenia publicznego,

(podpisano) V. DURUY.

STATUTA TOWARZYSTWA

HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU.

TYTUŁ I.

CEL TOWARZYSTWA.

Artykuł 1.

Towarzystwo polskie Historyczno-Literackie ma na celu zbieranie i ogłoszanie materjałów odnoszących się do historji Polski.

Artykuł 2.

Gromadzi w kopjach i w porządny zbiór układa materjały historyczne, jakie się odkryć dadzą w zagranicznych archiwach, tudzież w prywatnych i publicznych bibliotekach; posiada bibliotekę i na jej utrzymanie i wzbogacenie poświęca część swoich funduszów.

Artykuł 3.

Zajmuje się ogłaszaniem dzieł historycznych i innych pism, celowi Towarzystwa odpowiadających. Zabrania sobie wszelkiej polemiki politycznej lub religijnej.

TYTUŁ II.

SKŁAD I ORGANIZACJA TOWARZYSTWA.

§. 1. SKŁAD.

Artykuł 4.

Towarzystwo składa się z członków czynnych, oraz z członków dobroczyńców, honorowych i korespondentów.

Artykuł 5.

Ilość członków nie jest ograniczoną. Towarzystwo przybiera nowych przez wybory, bez względu na narodowość; z tém wszakże zastrzeżeniem, że ilość cudzoziemców nie może przechodzić jednej trzeciej, liczby członków Polaków.

Artykuł 6.

Kandydat na członka zwyczajnego powinien być zalecony na piśmie przez dwóch członków. Towarzystwo na posiedzeniu następném, po objawieniu opinji Rady, głosuje nad jego wyborem. Jeśli kandydat otrzyma większość głosów, uznanym jest za członka Towarzystwa. Nowo wybrany członek przyjmuje Statuta podpisując exemplarz ich w osobnej księdze przechowywany.

Artykuł 7.

Członkowie dobroczyńcy, honorowi i korespondenci wybierani są na przedstawienie jednego członka i po zasięgnieniu opinji Rady.

§ 2. ORGANIZACJA TOWARZYSTWA.

Artykuł 8.

Prezes Towarzystwa wybieranym jest przez Radę na lat dziesięć, z prawem powtórnego wyboru. Tylko dzisiejszy prezes Towarzystwa, książe Władysław Czartoryski pozostaje Prezesem dożywotnim, jakim był dotąd.

Prezes przewodniczy Radzie Towarzystwa i jego ogółowi; ma prawo i obowiązek czuwania nad wykonaniem statutów, tudzież nad tém, aby cel Towarzystwa był osiągniony w sposób najskuteczniejszy i najbardziej użyteczny.

Rada Towarzystwa składa się z vice-prezesa, sekretarza i podsekretarza, podskarbiego, dwóch konserwatorów biblioteki, oraz dwóch członków zasłużonych, wybieranych przez Prezesa, na przedstawienie Rady.

Członkowie Rady mianowani są na lat pięć, na przedstawienie Rady; mogą być mianowani powtórnie.

Artykuł 9.

Sekretarz utrzymuje korespondencję Towarzystwa, spisuje protokóły, utrzymuje listę członków Towarzystwa i *Księgę Pamięci*, w której zapisywane będą ważniejsze zdarzenia spółczesne, z historją narodu związek mające. Na dorocznem posiedzeniu publicznem przedstawia raport z różnych czynności Towarzystwa.

Do pomocy jego może być mianowany podsekretarz.

Artykuł. 10.

Podskarbi przyjmuje pieniądze wpływające na rzecz Towarzystwa ze składek, darów, lub innych źródeł. Używa tych funduszów stosownie do budżetu przedstawionego przez Radę, czuwa nad regularnym wpływem składki i na miesięcznych posiedzeniach podaje obraz stanu kassy.

Artykuł 11.

Konserwatorowie biblioteki mają sobie powierzony dozór całości jej, rozporządzają funduszami przeznaczonemi na jej utrzymanie, wskazują prace służbie bibliotecznej, pilnują ścisłego wykonywania przepisów tyczących się tak pożyczania ksiąg, jako też i urządzonej w bibliotece czytelni publicznej. Obowiązkiem ich jest, coroczny zdawać raport o stanie biblioteki.

Artykuł 12.

Biuro wydawnictwa, z trzech najmniej członków złożone, ma dozór nad archiwami Towarzystwa, i kieruje pracami wykonywanemi w myśl art. 3 niniejszych statutów. Żadna praca literacka, jakakolwiek byłaby

jej obszerność, nie może być ogłoszona w imieniu Towarzystwa lub biblioteki, bez udziału biura. W razach spornych, Rada Towarzystwa decyduje ostatecznie.

Artykuł 13.

Na posiedzeniach Towarzystwa i Rady, większość głosów obecnych członków stanowić będzie o prawomocności postanowienia. Przy równości głosów, rozstrzyga prezydujący.

Artykuł 14.

Wnioski mające za przedmiot wprowadzenie jakiej odmiany w niniejszych Statutach, przedstawione być powinny na piśmie do Rady, która, jeśli uzna je za pożyteczne, wniesie na posiedzenie Towarzystwa. Do obrad tego rodzaju potrzebną jest obecność przynajmniej piętnastu członków, i większość dwóch trzecich głosów.

Artykuł 15.

Towarzystwo ma prawo w przypadkach ważnych, po zasięgnieniu opinji Rady lub na jej przedstawienie, wykreślić z listy swej członka, nie czyniącego zadość przez rok cały zobowiązaniom względem Towarzystwa przyjętym, lub przez swoje postępowanie obrażającego zasady moralności.

TYTUŁ III.

OBOWIĄZKI CZŁONKÓW TOWARZYSTWA.

Artykuł 16.

Członkowie Towarzystwa, do osiągnienia jego celów art. 1 wskazanych, przykładać się mogą :

1° wypracowaniem raz do roku w przedmiocie wybranym przez siebie lub przez Towarzystwo wskazanym, artykułu lub obszerniejszego pisma; albo

2° złożeniem co miesiąc czterech arkuszy kopij materjałów historycznych, nie ogłoszonych drukiem i nie znajdujących się w archiwum Towarzystwa; albo

3° ofiarowaniem jako dar, w ciągu roku, dzieł historycznych których Biblioteka Polska nie posiada i których cena wynosić będzie najmniej fr. 30; nareszcie

4° wnoszeniem regularném do kassy Towarzystwa franków dwa co miesiąc.

Artykuł 17.

Członek dobroczyńca płaci rocznie fr. 120. Członkowie honorowi i korespondenci od wszelkich opłat są wolni.

Artykuł 18.

Rada Towarzystwa, przez wzgląd na okoliczności, może umorzyć

ciążącą na członku Towarzystwa zaległość, a nawet zmniejszyć ją albo czasowo uwolnić go od bieżącej opłaty.

Artykuł 19.

Obowiązkiem jest członków będących w Paryżu, regularnie uczęszczać na jego posiedzenia.

Członek opuszczający Paryż, zachowa swe prawa, jeźli czyni zadość jednemu z obowiązków art. 16 objętych. W tym przypadku wskaże członka pośredniczącego między nim a Towarzystwem.

Artykuł 20.

Korespondenci czynią zadość zobowiązaniu przyjętemu, przesyłając do Towarzystwa, raz przynajmniej do roku, owoce swoich poszukiwań lub pracę piśmienną, do historji i literatury polskiej odnoszącą się albo mogącą obchodzić polskich czytelników.

Artykuł 21.

Każdy z członków obowiązuje się należeć do komissij szczególnych, do których go powoła prezydujący i będzie uważał za swoją powinność, przykładać się do pomyślności Towarzystwa i do powiększenia jego zbiorów.

Artykuł 22.

Co rok, w rocznicę śmierci Juljana Ursyna Niemcewicza i Jenerała Kniaziewicza, którzy należeli do piérwszych założycieli Towarzystwa i byli jego dobroczyńcami, to jest dnia 21 maja, członkowie Towarzystwa znajdować się będą w Montmorency, na ustanowionêm na wieczne czasy nabożeństwie żałobnem za dusze Polaków zmarłych na wygnaniu.

Artykuł 23.

Prezes wyznacza jednego z członków do napisania nekrologu członka zmarłego.

Artykuł 24.

Mieszkaniem Towarzystwa jest będący jego własnością, dom Bilioteki Polskiej w Paryżu, *quai d'Orléans* n° 6.

TYTUŁ IV.

POSIEDZENIA TOWARZYSTWA.

Artykuł 25.

Posiedzenia są trojakie : zwyczajne, odbywające się co miesiąc, nadzwyczajne zwoływane przez prezesa kiedy tego uzna potrzebę i posiedzenie doroczne publiczne.

Artykuł 26.

Posiedzenia odbywają się w domu Biblioteki polskiej; przewodniczy im prezes, w jego nieobecności vice-prezes, lub wskazany przezeń je-

den z członków. Prezydujący otwiera i zamyka posiedzenia, zagaja, kieruje i zamyka obrady, daje i odbiera głosy.

Artykuł 27.

Obrady odbywają się w języku polskim i w tymże języku redagowane są protokóły, uchwały i wszelkie postanowienia Towarzystwa. W razie obecności na posiedzeniu cudzoziemców, Towarzystwo będzie mogło naradzać się w języku francuzkim.

Artykuł 28.

Obecność dziesięciu członków i prezesa lub jego zastępcy stanowi komplet.

Wybory nowych członków odbywają się na posiedzeniach zwyczajnych, w obecności przynajmniej dwunastu członków.

Artykuł 29.

W przedmiotach osób dotyczących, Towarzystwo stanowić będzie głosowaniem tajném. Inne rozstrzygane będą przez powstanie, wyjąwszy gdyby dwóch członków obecnych żądało głosowania tajnego.

Artykuł 30.

Na posiedzeniu dorocznėm, Towarzystwo słucha :

1. Zagajenia Prezesa.

2. Zdania sprawy z rocznych prac Towarzystwa, które odczyta Sekretarz. Zdanie to sprawy obejmie raport konserwatorów Biblioteki, przez nich sekretarzowi na dziesięć dni przed posiedzeniem publicznėm złożony. Podobny raport składa Biuro wydawnictwa.

3. Odczytania prac historycznych lub innych w związku z celami Towarzystwa będących.

To tylko będzie mogło być czytaném na tém posiedzeniu co Rada uzna za stosowne. Wypracowania mogą być czytane w języku francuzkim, w razie obecności znakomitych cudzoziemców. Protokół posiedzenia i zdanie sprawy przesłaném będzie, do Ministerstwa Oświecenia.

TYTUŁ V.

ARCHIWA.

Artykuł 31.

Kopje dokumentów i innych materjałów historycznych wynalezionych w bibliotekach i archiwach, będą przepisywane w formie jednostajnej podług wskazanego wzoru i układane w porządku chronologicznym.

Artykuł 32.

Biuro wydawnictwa (art. 12) czuwa nad dokładnością kopij i składa na posiedzeniu publicznėm raport o stanie archiwum i o ogłoszonych drukiem pracach.

Artykuł 33.

Archiwa Towarzystwa otwarte będą dla publiczności pod warunkami wskazanemi przez osobne przepisy.

Artykuł 34.

Lista członków Towarzystwa, przepisy tyczące się Biblioteki, archiwów i czytelni wywieszone będą w sali głównej posiedzień Towarzystwa.

TYTUŁ VI.

PRZYPISY OGÓLNE.

Artykuł 35.

Ustawa wewnętrza, ułożona przez Towarzystwo, i poddana pod zatwierdzenie Ministra Oświecenia określi szczegółowe przepisy mające na celu zapewnienie wykonania Statutów.

Artykuł 36.

Postanowienia tyczące się przyjęcia darów albo zapisów, sprzedaży, nabycia lub zamiany nieruchomości, albo też zaprowadzenia zmian jakich w Statutach podlegają *uprzedniemu upoważnieniu ze strony Rządu*,

Obecne Statuta roztrząsane i przyjęte zostały przez Radę Stanu na posiedzeniu dnia 31 Maja 1866 roku.

Od roku 1832, to jest od założenia Towarzystwa, aż do uznania go w roku 1866 przez Rząd francuzki za instytucję *publicznego użytku*, większy lub mniejszy udział w pracach Towarzystwa, przez czas krótszy lub dłuższy, brali następujący członkowie :

(Litery C. H. oznaczają członka honorowego; a C. K. członka korespondenta.)

Acher, C. K.
Akielewicz Mikołaj.
Aleksandrowicz Władysław.
Bach. C. K.
Barbier. C. K.
Barrot Odilon. C. H.
Bartkowski Jan.
Barzykowski Stanisław.
Beaumont, T. W. C. H.
Bem Józef, jenerał. (1794. † 1851)
Benduski Roman.
Białopiotrowicz Jerzy.
Bielski Paweł. (1799 † 1863)
Bielski Dominik. (1800 † 1856)
Bignon Edward. C. H. (1771 † 1841)
Błociszewski Kazimierz.
Blot Sylwan. C.K. (1800 † 1860)
Błotnicki Hipolit.
Bohdanowicz.
Bońkowski Hieronim Napoleon.
Bowring Jan. C. K.
Breański Feliks, jenerał.
Bronikowski Ksawery. (1797 † 1852)
Budzyński Michał. (1812 † 1860)
Budzyński Wincenty. (1815 † 1866)
Bukaty Antoni.
Burgaud des Marets. (1810 † 1850)
Bystrzonowski Ludwik jenerał.
Campbell Tomasz. C. H. (1777 † 1844)
Chalmers, C.K.

Carnot Hipolit. C. H.
Chłapowski Tadeusz.
Chodźko Leonard.
Chodźko Feliks Napoleon.
Chodźko Aleksander.
Choński Henryk Edward.
Chopin Fryderyk. (1809 † 1849)
Chotomski hr. Dienheim Ferdynand.
Cichowski Adolf. (1796 † 1854)
Cooper Fenimor. C. K. (1789 † 1851)
Cutler Fergusson. C. H. (1790 † 1842)
Czajkowski Michał.
Czartoryski Adam. kżę. (1770 † 1861)
Czartoryski Witold. kżę. (1824 † 1865)
Czartoryski Władysław, kżę.
Czartoryski Adam Konstanty, kżę.
Czartoryski Marcelli, kżę.
Czetwertyński Janusz,kżę. (1795 † 1857)
Daniel de Saint Antoine. († 1860)
Delaroche Horacy.
Dembiński Henryk, jenerał. (1791 † 1864)
Dobrowolski Bol. Kazim. (1790 † 1843)
Dobrowolski Erazm. († 1856)
Domański. (1780 † 1840)
Domejko Jgnacy.
Drewnowski Marcelli. (1800 † 1841)
Dubiecki Tespezjusz.
Duchiński Franciszek Henryk.
Ducpetiaux, C. K.
Dudley-Stuart, lord C. H. (1803 † 1854)
Dworzaczek Ferdynand.
Działyński Jan, hr.
Falkowski Stanisław.
Fontana Juljusz.
Gadon Włodzimierz. (1775 † 1842)
Gajewski Stanisław.
Gałęzowski Seweryn
Garczyński Stefan. (1803 † 1833)
Gaszyński Konstanty. (1800 † 1866)
Gawroński Stanisł. jenł. (1784 † 1860)
Gill Henryk. C. K.
Giller Agaton, C. K.
Girardin, St. Marc. C. H.
Glinojecki Jan.
Gnorowski Stanisław.
Godebski Ksawery.
Gordaszewski Zygmunt. (1810 † 1862)
Gorecki Antoni. (1787 † 1861)
Gronostajski Gerard. (1795 † 1848)
Grotkowski Jan. (1795 † 1840)
Grotkowski Stefan.
Grzymała Albert.
Gutowski Rudolf.
Habich Edward.
Hamilton. C. K.
d'Harcourt Eug. kżę. C. H. (1786 † 1863)
d'Herbelot Alfons. (1808 † 1832)
Hoffman Aleksander.
Hoffman Karol.
Hube Michał. (1765 † 1840)
Hube Józef, ksiądz.
Jański Bohdan (1800 † 1840)
Januszkiewicz Eustachy.
Jarochowski Kazimierz.
Jaślikowski Aleksander. ([1806 † 1860)
Jastrzębski Ludwik. (1810. † 1852)
Jedliński Juliusz.
Jelski Ludwik hr. (1780 † 1843)
Jełowicki Aleksander ksiądz.
Jełowicki Edward. (1790. † 1848)
Jesman Aleksander. (1789 † 1863)
Jesman Antoni.
Jeżdżewski ksiądz.
Jullien Marek Antoni. C. H. (1775 † 1848)
Jundziłł Wiktor hr. C. K. (1792 † 1862)
Jzbicki Norbert.
Kaczanowski Karol ksiądz.
Kaczkowski Zygmunt.
Kajsiewicz Józef Hieronim ksiądz.
Kalinka Walerjan.
Kamieński Mikołaj, pułkownik.
Kamocki Marjan, ksiądz.
Kapliński Leon.
Karczewski Karol,
Kaszyc Józef.
Kazimirski Albert.
Klaczko Juljan.
Kleczkowski hr.
Klimaszewski Hipolit.
Kniaziewicz Karol, jenerał. (1762 † 1842)
Koch Fryderyk, jenerał. (1782 † 1850)
Kolb. C. K.
Kołosowski Franciszek.
Konarski Tomasz jenerał.
Kopczyński Onufry.
Kopczyński Piotr.
Korejwa ksiądz.
Kossiłowski Jldefons.
Kowalski Józef.
Koziełło Jan.
Koźmian Andrzej. (1808 † 1864)
Koźmian Jan ksiądz.
Kożuchowski Nemezy.
Kraszewski Józef Jgnacy. C. H.
Królikowski Karol.
Kruk (Heidenreich) Michał, jenerał.
Kruszyński Józef. C. K. (1792 † 1852)
Krysiński Ildefons.
Kubalski Mikołaj Ambroży.
Kulczycki Adam. C. H.
Kunatt Stanisław. (1800 † 1866)
Kurowski Józef. (1800 † 1844)
Lafayette Jenerał. C. H. (1757 † 1834)
Landsberg Władysław.
Laskowicz Władysław.
Lavalle. C. H.
Leger Ludwik.
Lelewel Joachim. C. H. (1786. † 1861)

Leo Edward.
Levis pułkownik.
Linowski Konstanty, hr. (1808.† 1858)
Loman Jan. (1790. † 1844)
Lubliner Ludwik Ozeasz.
Lutrzykowski Franciszek.
Łopaciński Józef.
Łopaciński Kazimierz.
Łuszczewski Adam. (†)
Macdonald. C.K.
Makowski Aleksander. C. K.
Malinowski Jakób. (1780. † 1850)
Małachowski Gustaw hr. (1797. † 1835)
Małachowski Stanisław hr.
Marcinkowski Karol. (1800. † 1846)
Markiewicz Kazimierz. (1800. † 1845)
Marylski Juljusz.
Merode hr. C. K.
Michałowski Juljusz.
Mickiewicz Adam. (1798. † 1855)
Mikulski Jzydor.
Mirecki Aleksander.
Montalembert Karol hr. C. H.
Morawski Teofil. (1793. † 1854)
Morawski Teodor.
Morozewicz Kalikst.
Mrongowiusz Celestyn. (1760. † 1858)
Mycielski Stanisław.
Nawrocki Marcelli.
Netrebski Jakób.
Niedźwiecki Leonard.
Niemcewicz Juljan Ursyn. (1758. † 1841)
Niemcewicz Karol Ursyn.
Niemojewski Bonawentura. (1787 † 1835)
Niemojewski Franciszek.
Niewęgłowski Grach Henryk.
Niezabytowski Stefan. (1790. † 1853)
Norblin.
Nowakowski Henryk.
Ogiński Wiktor, książe
Oleszczyński Antoni.
Oleszczyński Władysław. (1809. † 1866)
Olizar Narcyz hr. (1788. † 1863)
Olizarowski Tomasz. C. K.
Omieciński Jan.
Orchowski Aloizy. C. K. (1770. † 1835)
Orda Napoleon.
Ordyniec Jan Kazimierz. (1797. † 1863)
Orpiszewski Ludwik.
Osławski Wiktor.
Ostrowski Krystyn, hr.
Ostrowski Stanisław, hr.
Pac Ludwik, jenerał. (1780 † 1835)
Paprocki Kazimierz, (1790 † 1857)
Parczewski Konstanty, (1801 † 1855)
Péret, C. H. (1790 † 1842)
Picard. C. K.
Piliński Adam.
Plater Ludwik, hr. (1773 † 1846)
Plater Stanisław, hr. (1782 † 1851)
Plater Władysław, hr.
Plater Cezary, hr.
Plater Zygmunt, hr.
Plichta Andrzej. (1797 † 1866)
Plichta Jgnacy. (1837 † 1866)
Pociej Teodor, hr. (1802 † 1852)
Podczaszyński Michał, (1798 † 1835)
Poerio Aleksander, C. H. (1795 † 1748)
Pogonowski Piotr.
Potocki Bernard, hr.
Potocki Józef, hr. (1800 † 1863)
Potocki Herman, hr. (1801 † 1866)
Poźniak Napoleon.
Prószyński Prot, (1795 † 1840)
Przeździecki Józef.
Radowicki Włodzimierz.
Radziszewski Stanisław. (1770 † 1844)
Reeve Henryk. C. H.
Reitzenheim Józef.
Rodakowski Henryk.
Ropelewski Stanisław. (1810 † 1865)
Rotteck, C. H. (1790 † 1842)
Rudzki Aleksander. (1800 † 1862)
Ruprecht Karol.
Rykaczewski Erazm.
Rymgajłło Fulgenty.
Rypiński Aleksander.
Salvandy Narcyz, hr. C. H. (1792† 1856)
Sawicki Jan.
Seredyński Jgnacy.
Sienkiewicz Karol. (1793 † 1860)
Silbermann, C. K.
Siwiński Edward.
Skarżyński Wincenty.
Słowacki Juljusz. (1809 † 1849)
Słowaczyński Andrzej.
Słowicki Józef.
Smitkowski Leon.
Sobański Izydor. (1796 † 1847)
Sobolewski Józef, hr. (1800 † 1853)
Sołtan Adam, (1785 † 1863.)
Sorgo, hr. C. H. († 1850)
Sowiński Albert.
Spazier, C. H. (1800 † 1845)
Sperczyński Adam.
Staines, C. K. (1798 † 1840.)
Staniewicz Maciej. (1785 † 1853)
Stański Kajetan.
Straszewicz Józef. (1800 † 1838)
Sumiński Rajmund, (1805 † 1845)
Swirski Józef, (1780 † 1854)
Szczepanowski Jgnacy.
Szemioth Franciszek.
Szerlecki Alfons.
Sznajde Franciszek, jen. (1780 † 1850)
Sznajderski Antoni.
Szulc Michał. (1790 † 1853)
Szulczewski Feliks.

Szymański Antoni.
Szyrma Krystyn-Lach, C. K. (1791 † 1866)
Tański Józef.
Taszycki Józef.
Tuluzan, C. H. (1790 † 1842)
Tymowski Kantorbery. (1790 † 1856)
Trentowski Bronisław. C. K.
Trepka Ignacy.
Umiński Jan-Nep. jener. (1780 † 1852)
Villemain, C H.
Walewski Aleksander, hr.
Welcker, C. H.
Wesołowski Romuald.
Wesołowski Antoni.
Wiedemann, C. K.
Wielogłowski Bolesław.
Williams, C. K. (1790 † 1842)
Winckler Leon.
Witwicki Stefan. 1801 (1790 † 1847)
Wodzynski Maciej. (1782 † 1848)
Wodzyński Karol. (1805 † 1860)
Wodzyński Leon.
Wolski Felicjan.
Wołowski Franciszek. (1787 † 1844)
Wołowski Ludwik.
Wołowski Kazimierz.
Woronicz Janusz.
Wroniecki Antoni, jen. (1785 † 1838)
Wrotnowski Felix.
Wścieklica Felix.
Zabłocki Teodor.
Zaleski Józef-Bohdan.
Zaleski Bronisław.
Zaleski-Falkenhagen Piotr.
Załuski Roman, hr. (1793 † 1865)
Załuski Karol, hr. (1794 † 1845)
Zamoyski Władysław, hr. jenerał.
Zawierski Walerjan (1798 † 1861)
Zbyszewski Władysław.
Zienkowicz Wiktor.
Żarczyński Amancjusz.
Żebrowski Oskar.

W pracach grona londyńskiego, pod prezydencją Krystyna Lacha Szyrmy, brali udział:

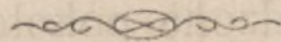
Abłamowicz Dominik.
Bandrowski Albert.
Baranowski Karol.
Bartkowski Jan.
Benjowski Bartłomiej.
Brzeziński Paweł.
Brzeziński Puncjusz, ksiądz.
Chełchowski Juljan.
Detkens Eugenjusz, († 1858)
Dmóchowski Henryk.
Dziewicki Seweryn.
Escobar Don Serapio, C. H.
Falkowski Stanisław.
Fochlender Wilhelm.
Gajewski Stanisław. († 1852)
Giełgud Jan.
Giełgud Adam.
Gleinich Józef.
Głogowski Adolf.
Gnorowski Stanisław. († 1851)
Gomoszyński Józef.
Grabowski Maurycy, hr.
Hankowski Franciszek.
Harnulewicz Tomasz Edward.
Helman Michał. († 1848)
Holtorp Karol.
Horain Michał.
Jabłoński Leon. († 1855)
Jackowski Ignacy.
Jancewicz major.
Janicki Franciszek Ksawery.
Jastrzębski Piotr.
Kasperowicz Onufry.
Kleczyński Saturnin, (1806 † 1864)
Kościakiewicz Antoni.
Kozanecki Ludwik.
Krasiński Henryk, hr.
Krasiński Alojzy.
Krasiński Walerjan, hr. († 1852)
Kuczyński Wincenty Fr. († 1850)
Lemański Ludwik.
Lutomski Wojciech. C. K.
Łaski Aleksander.
Łukomski Makary.
Łyszczyński Adam.
Macdonald Jan Józef, C. H.
Markowski Piotr.
Mercik Ludwik.
Michalski Józef.
Michałowski Józef.
Nowicki Wincenty.
Nowosielski Lucjan.
Olizarowski Tomasz.
Ordon Konstanty.
Paszkowicz Ksawery.
Pasierbski Hipolit.
Płoszczyński Napoleon.
Podolski Emeryk, ksiądz.

Poraziński Juljan.
Prusinowski Teofil.
Przyjemski Juljusz.
Rakowski Seweryn.
Ręczyński Jerzy.
Rypiński Aleksander.
Stecki Adolf.
Stopiński Jan.
Szczepanowski Jgnacy.
Szukszta Felix.
Szulczewski Karol.
Szumlański Stanisław. (1818 † 1866)
Szymkowicz Justyn.
Szyrma Lach Władysław.
Taszycki Józef, C. K.
Terlecki Jan, († 1860)
Toedwen Józef, († 1848)
Toruński Karol.
Trzciński Edward.
Urbanowicz.
Wermiński Wincenty.
Węgierski Karol.
Wielobycki Seweryn, C. K.
Wielobycki Dyonizy.
Wielołęcki, C. K.
Wierciński Bertold.
Wolski Felicjan.
Zaleski Falkenhagen Piotr.
Żaba Napoleon.
Żorawski Szymon.

Towarzystwo historyczno- literackie w chwili uznania go za insytucję publicznego użytku, liczyło członków dobroczyńców 8. zwyczajnych 79, honorowych 2 i 1 korespondenta.

Radę Towarzystwa obecnie składają :

Prezes, Książe Władysław Czartoryski. *Vice-Prezes*, Teodor Morawski. *Członkowie zasłużeni* : Stanisław Barzykowski i Jenerał Władysław hrabia Zamoyski. *Podskarbi*, Jenerał Ludwik Bystrzonowski. *Konserwatorowie Biblioki* : Eustachy Januszkiewicz i Walerjan Kalinka. *Sekretarz*, Bronisław Zaleski.



II.

SZKOŁA POLSKA NA BATIGNOLLES.

Słusznie powiedziano, że wychodztwo polskie z 1831 roku przedstawiało cały organizm narodowy w skróceniu, począwszy od członków Rządu i naczelników wojsk, aż do biednego wyrobnika, aż do prostego żołnierza; od najwyższych genjuszów w poezji i nauce aż do maluczkich w duchu; od książąt, do najskromniejszego pacholęcia gminu. Jako takie, musiało być zajęte i sprawą wychowania, jedną z najważniejszych w każdej społeczności. W pierwszych już latach pielgrzymstwa pilną na to zwracano uwagę, o czém świadczy istniejące do 1844 roku na wychodztwie Towarzystwo naukowej pomocy, ale z latami, mnożyły się te obowiązki; nie dosyć było przyjść z pomocą tym, którzy na obcej ziemi rozpoczęte w kraju pragnęli kończyć nauki, wzrastało nowe, już między obcymi zrodzone pokolenie, łaknące światła, które nie tylko wychować ale jeszcze odległej i już mu nieznanej Ojczyzny wyuczyć trzeba było, aby je dla niej zachować. W tej myśli, dnia 22 Maja 1841 roku zawiązaném zostało w Paryżu *Towarzystwo wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich*. Nadawszy sobie stosowną organizację, otrzymało ono upoważnienie od Ministra Oświecenia do założenia Szkoły polskiej, a ułożywszy program nauk, odezwało się do rodaków o środki do tego niezbędne. Akt założenia Towarzystwa podpisali: Jenerał Józef Dwernicki, poseł Aloizy Biernacki były minister skarbu Królestwa Polskiego, poseł Wincenty Tyszkiewicz, jenerał Franciszek Sznajde, poseł Wincenty Chełmicki, poseł Henryk Nakwa-

ski, marszałek Leon Stempowski, Wincenty Kraiński były wizytator szkół polskich, Antoni Gorecki, Stefan Niezabytowski i Antoni Michalski.

Pierwszym znaczniejszym darem jaki otrzymało Towarzystwo, było 50,000 złotych ofiarowanych przez posła Jana Ledóchowskiego; to postawiło je w możności umieszczenia w 1842 r. naprzód ośmnastu a później dwudziestu siedmiu uczniów w instytucji francuzkiej pana Chapusot, w Chatillon-sous-Bagneux, gdzie stanowili osobny oddział polski, pod bezpośrednim dozorem nauczyciela rodaka, i gdzie prócz wspólnych całemu zakładowi nauk, uczyli się jeszcze języka, historji i jeografji ojczystej. Od 1 Stycznia 1843 r. przeniesieni do Paryża na ulicę Fossés-Saint-Jacques, obok Panteonu, utworzyli już wyłączną *Szkołę Polską* której dyrektorem został Ksawery Bronikowski, były Prezydent miasta Warszawy. Powstała rada szkolna, składali ją : prezes jenerał Dwernicki, vice-prezes Aloizy Biernacki, kassjer Jenerał Sznajde, stali członkowie : Jan Ledóchowski, Franciszek Trzciński, Ludwik Królikowski, Mikołaj Mierzejewski, Edmund Korabiewicz, Cyrylli Grodecki, Roman Wesołowski, Henryk Dmóchowski i sekretarz Jaroszewski. W drugiej połowie szkolnego 1844 r. szkoła przeniesioną została na przedmieście Batignolles, na którém obecnie się znajduje. Piérwszym jej na nowém miejscu dyrektorem, był W. Kraiński, którego wkrótce zastąpił były kapelan wojsk polskich ksiądz Dąbrowski, a poźniej dawny professor gimnazjum wileńskiego, kochany tam przez młodzież Hipolit Klimaszewski.

Istniejąca już szkoła obudziła żywsze dla niej zajęcie ; składki powoli wpływać zaczęły, a za pomocą przyjaciół Polski we Francji, między którymi z wdzięcznością winniśmy zapisać imiona P. P. Vavin, Lasteyrie, Paillet, Duhamel, Gross i de Moyencourt, że przemilczemy tylu innych, i rząd francuzki przyszedł jej ze stałą pomocą, wyznaczając z summ na emigrację przeznaczonych, zrazu 22,500 franków rocznie na utrzymanie 50 uczniów, a poźniej jeszcze drugie tyle, tak, aby szkoła stu uczniów internów za te pieniądze utrzymać mogła. Szkoła w 1846-47 roku liczyła blisko 150 uczniów, z których 120 było internów. Zaprowadzono dla nich mundurzyki polskie, z amarantowym kołnierzem i

konfederatką, a jenerałowie Dwernicki i Sznajde, poseł Ledóchowski i inni członkowie Rady gorliwie krzątali się około potrzeb nowego zakładu; w ciągu lat kilku przyszła szkoła do posiadania własnych ruchomości, ocenionych w Towarzystwie ogniowém na 100,000 franków, pokryła koszta rozszerzenia lokalu i opędziła wszystkie wydatki swoje; otrzymywano zazwyczaj dla niej dodatkową jeszcze pomoc rządową, wynoszącą od 10, 12, do 23,000 franków rocznie, co pozwalało przy oszczędności opędzać główniejsze jej potrzeby.

Ale wypadki 1848 roku rozbudzając na chwilę żywsze nadzieje i gdzie indziej zwracając usiłowania wychodzców, musiały wpłynąć i na położenie Szkoły. Jenerał Dwernicki nagle opuścił Paryż, Sznajde i Ledóchowski wyjechali z Francji, wielu nauczycieli pośpieszyło do Galicji i Księstwa poznańskiego, tak że cały trud przechowania i utrzymania nadal zakładu, spadł na jednego prawie Aloizego Biernackiego, ówczesnego vice-prezesa Rady szkolnej. Zacny mąż z serdecznem uczuciem przyjął to brzemię i wszystkie swe myśli i chwile zakładowi temu poświęcił; ale trudności mnożyły się z dniem każdym. Rząd francuzki dodatkowego wsparcia odmówił, składki krajowe ustały, skromne nawet od niektórych rodziców opłaty coraz bardziej zalegać poczęły, i dochody szkoły ograniczyły się prawie do 45,000 franków stałej rządowej pomocy, kiedy wydatki jej przewyższały 80,000 franków rocznie. Musiano dług zaciągnąć, a ten rosnąc, w krótkim czasie zagroził przyszłości zakładu. Szkoła potrzebowała silnej dłoni któraby ją podźwignąć była w stanie.

Takim nowym opiekunem stał się dla niej, dawny professor uniwersytetu wileńskiego, doktor Seweryn Gałęzowski. Wróciwszy z Meksyku gdzie pierwsze lata wychodztwa spędził i osiadłszy w Paryżu, w zajęciu się Szkołą polską uznał prawdziwą narodową służbę i jej się oddał z całą gorącością ducha. Wszedłszy do Rady szkolnej i zostawszy zrazu jej podskarbim, stał się niezmordowanym Biernackiego pomocnikiem i i prawdziwą duszą zakładu. Zajęcie jego szkołą dzielił poseł Antoni Hłuszniewicz, a w odnowionej Radzie zasiadło kilku ludzi powszechną miłość i uznanie kraju posiadających. Chcąc dzwignąć zakład na nowo, Rada na początku szkolnego roku 1850-51 odezwała się

do patriotyzmu i szczodrobliwości zamożniejszych rodaków w kraju i za granicą; odezwa ta nie została bez skutku, i dzięki ofiarom jakie zaraz do kassy szkolnej wpłynęły, nie tylko roczne pokryto wydatki, ale i część długu spłacono (1). To powodzenie, zrodziło myśl nabycia na własność szkoły, domu, w którym natenczas pomieszczoną była. Myśl ta znalazła uznanie; jeden z obywateli krajowych (którego imię przemilczeć jeszcze musimy), dowiedziawszy się o niej, ofiarował na ten cel w imieniu małoletniego syna swojego, 100,000 franków; zachęcony tym pięknym czynem ojca Polaka, doktor Gałęzowski nie wahał się zaraz przystąpić do kupna domu, a przypuszczając, że nabycie, przebudowanie i rozszerzenie jego, mogło kosztować około 250,000 franków, całą te summę na 25 akcji rozdzielił, część ich z przyjacielem swym posłem Hłuszniewiczem wziął na siebie, a resztę rozebrali rodacy; w Sierpniu 1852 roku dom został kupiony i stosownie do potrzeb szkoły powiększony i przebudowany; wydatek wynosił 264,827 franków.

Zaproszony na urzędowego opiekuna i protektora szkoły książe Napoleon, opieki swej także nie odmówił, a dzięki jej, dawniejsze dodatkowe wsparcie rządu francuzkiego, na nowo szkole przyznaném zostało.

Wobec sprzyjających okoliczności, Rada umyśliła podnieść też i wewnętrzne znaczenie szkoły. Do 1852 roku, kształcąca się w niej młodzież, sposobiła się przedewszystkiém do zawodów przemysłowych, do rzemiosł i handlu. Na posiedzeniu Rady z dnia 27 Grudnia 1852 roku postanowiono rozszerzyć program nauk, i zrównać go z programem rządowych lyceów, tak, aby tym sposobem uczniowie szkoły polskiej, mogli mieć ułatwiony wstęp do wyższych naukowych zakładów francuzkich. Zakład, z drobnej w początkach szkółki, stał się poważną instytucją edukacyjną.

W 1853 roku, umarł ówczesny Prezes Rady, Biernacki; wzywany na jego zastępcę vice-prezes Adam Mickiewicz, ustąpił miejsca doktorowi Gałęzowskiemu, który odtąd przewodniczy Szkole, i któremu ta dzisiej-

(1) Nie mogąc wymieniać wszystkich ofiar, z przyjemnością donosimy tu rodakom, że hr. Ksawery Branicki który od lat kilkunastu stale wśpiera Szkołę Batignolską w 1851-1852 roku przyszedł jej od razu z pomocą 25,000 franków.

szy swój rozwój głównie zawdzięcza. Radę szkolną składali wtenczas, oprócz Adama Mickiewicza : Antoni Hłuszniewicz, Teofil Januszewicz Eustachy Januszkiewicz, Józef i Władysław Ordęgowie, Karol Sienkiewicz, Ludwik Wołowski, Feliks Wrotnowski i Bohdan Zaleski. Dyrektorem już od lat kilku był Stanisław Malinowski.

Szkoła rosła; ilość kandydatów żądających przyjęcia, z każdym rokiem stawała się znaczniejszą; zamiast 150 uczniów jak dawniej, w 1856-57 roku liczyła 210 internów ; większej ich liczby pomieścić już nie mogła. Doktor Gałęzowski ośmielony szczęśliwém powodzeniem piérwszych swych usiłowań, które zakład ocaliły od nieuchronnej prawie ruiny, powziął myśl wtenczas dokupienia niezabudowanego jeszcze gruntu obok szkoły, i zamiar ten w 1858-59 roku doprowadził do skutku, kupując 2,958 metrów gruntu za summę 230,896 fr.. Część potrzebnych na ten cel funduszów potrafił zgromadzić, już to za pomocą składek i ofiar, już przez wypuszczenie pośród zamożniejszych rodaków, nowych akcji 2,000 frankowych, które miały przynieść drugie 250,000 franków gdyby wszystkie rozebrane być mogły. Resztę dopełniło Towarzystwo kredytowe udzielając pożyczki na własności szkoły opartej. Dzięki temu nowemu nabyciu, szkoła w obszernym dziś domu swoim zawiera dwanaście sal przeznaczonych na wykład lekcji, refektarz, infirmerję, ma osobne dla starszych i młodszych uczniów dziedzińce do zabawy, jedném słowem wszystko, co dla tak rozszerzonego zakładu okazało się potrzebném. Siostry miłosierdzia, mieszkające w domu, mają pieczę nad chorémi dziećmi, trudnią się nawet kuchnią i utrzymaniem bielizny. Prócz tego, dzięki staraniom doktora Gałęzowskiego przyszła Szkoła do posiadania dobrze urządzonego laboratorjum chemicznego z gabinetem chemicznym i fizycznym, przyrządów do ćwiczeń gimnastycznych, a z pomocą innych rodaków i do wyłącznej biblioteki.

Pod względem wykładu nauk, stosując się do wymagań rządu francuzkiego, którego opiece byt swój zawdzięczała i do potrzeb dzieci, których wychowanie było jej celem, Szkoła, nie tracąc z oczu głównych dla siebie podstaw edukacji : *Religji katolickiej* i *narodowości polskiej*, przy ostateczném uorganizowaniu się swojém, zastosowała się ściśle do rządowego programatu lyceów. Józef Ordęga i syn jego Władysław,

jako ze szkołami francuzkiemi dokładnie obeznani, najwięcej w dopełnieniu tej ważnej zmiany Radzie szkolnej pomogli. Zaprowadzono trzy naukowe oddziały:

I. *Elementarny*, obejmujący trzy klassy najniższe : IX, VIII i VII. W tych najmniej usposobieni uczą się naprzód czytać po francuzku i po polsku, następnie piérwszych początków gramatyki polskiej i francuzkiej, mają katechizm i historję świętą, robią ćwiczenia praktyczne w obu językach, uczą się pisać i rachować. W klasie VIII zaczyna się nauka języka łacińskiego, w VII odbywa się piérwsza komunja. — II. *Gramatykalny*, złożony z klasy VI, V i IV, w których wykład nauki religji ma do siebie przywiązane wypracowania religijne pismienne. Uczniowie przeszedłszy gramatykę polską, uczą się mówić i pisać poprawnie, czytają i tłumaczą pisarzy polskich, uczą się historji i jeografji historycznej Polski, rysują karty; języki : francuzki, niemiecki, łaciński i grecki, z porównawczą gramatyką , jeografja i historja starożytna, rzymska i grecka, arytmetyka, początki jeometrji, rysunek naśladowczy i topograficzny, stanowią zakres ogólnego nauczania. — III. *Licealny*, dzieli się na dwa poddziały (czyli sekcje) *scientyficzny* i *literacki*, a zawiera klasy : III, II i I; retorykę, logikę i matematykę specjalną. W tym oddziale nauka religji, przy wypracowaniach na piśmie, posuwa i wykończa wykształcenie moralno-religijne młodzieży. Uczniowie oznajamiają się z literaturą i historją narodową, wykładaną w sposób pragmatyczny. Co do innych przedmiotów, w sekcji literackiej, piérwsze stanowisko zajmują przedmioty filologiczne, historja i literatura tak starożytna jak i nowożytna, i w skróconych tylko rozmiarach nauki ścisłe i przyrodzone; w sekcji scientyficznej przeciwnie, nauka tych ostatnich bierze przewagę nad innémi przedmiotami, a podrzędne stanowisko zajmują przedmioty tyczące się wykształcenia literacko-filologicznego. Uczniowie tego oddziału uczęszczają na lekcje do lyceum rządowego (Lycée impérial Bonaparte), a w szkole mają powtarzania i ćwiczenia pod okiem nauczycieli do zakładu przywiązanych. Wszystkie inne oddziały pobierają nauki w szkole. Prócz tych trzech oddziałów odpowiadających francuzkim, szkoła ma jeszcze IVty *technniczny* czyli *przemysłowy*, utworzony głównie dla potrzeby i wygody

uczniów, którzy w starszych nieco latach oddani do szkoły, lub wolą rodziców albo opiekunów przeznaczeni do zawodu przemysłowego, nie mieliby czasu przebiedz całą skalę wychowania klasycznego, i ubiegać się poźniej o stopnie uniwersyteckie. Języki starożytne są wykreślone z programatu tego oddziału; trzyletni kurs obejmuje tylko skrócony wykład matematyki, nauk przyrodzonych, rysunku naśladowczego, rysunku linearnego i rachunkowości. Technicy wespół z uczniami oddziału gramatykalnego słuchają religji, języków : polskiego, francuzkiego i niemieckiego, jeografji i historji polskiej, niemniej jak historji powszechnej. Najczęściej, kończą swój zawód naukowy w szkole batinjolskiej i wchodzą do handlu lub rzemiosł, idą na rysowników do dróg żelaznych, na pomocników do architektów i t. p.; niektórzy przechodzą do wyższej szkoły polskiej Montparnasse, skąd, wzmocnieni w naukach matematycznych i przyrodzonych, dostają się do szkoły centralnej, szkoły min, albo do szkoły dróg i mostów. Uczniowie III oddziału po otrzymaniu stopni uniwersyteckich, mają dla siebie otwarte szersze pole na przyszłość, mogą bowiem wchodzić odrazu do szkół specjalnych rządowych, nie wyjmując szkoły politechnicznej i szkoły normalnej, sposobią się oraz na lekarzy, prawników i t. p.

Tak uorganizowany zakład, dzięki nieustającej gorliwości Rady szkolnej, stałej opiece Rządu francuzkiego i pomocy przybywającej z kraju, utrzymał się przez lat kilka. Ale szkoła zawsze była jeszcze instytucją prywatną, nie mogła korzystać z opieki praw francuzkich, a wszystko co posiadała, musiało być nabywane na imię Prezesa albo członków Rady; byt jej więc nawet był zależny od okoliczności zewnętrznych. Z wybuchem ostatniego powstania i klęskami jakie kraj w skutek niego dotknęły, odbierana stamtąd pomoc ustała, a wzrastająca na nowo liczba wychodźców naszych we Francji, potrzebę szkoły na dłuższe jeszcze przeciągała lata.

W obec tych okoliczności, Rada szkolna ponowiła starania w celu otrzymania od Rządu francuzkiego uznania Szkoły za instytucję publicznego użytku. Zadanie było nie łatwe. Rząd francuzki bardzo oględnie praw obywatelstwa obcym u siebie instytucjom udziela. W przeszłym wieku, zaledwo dwa tego rodzaju zakłady, Kollegjum irlandzkie (da-

wniej zwane Collège des trois nations) i Kollegjum ormiańskie osiągnęły ten przywilej. Rzecz, zanim sankcję cesarską otrzymać mogła, musiała przejść długi szereg formalności, i być szczegółowo rozpoznaną przez władze uniwersyteckie i departamentu Sekwany, przez ministerja spraw wewnętrznych i zewnętrznych, w końcu przez Radę Stanu; potrzebném do tego było i wykazanie funduszów (1). Przychylność Francji dla nas, zaświadczony przez władze uniwersyteckie stan szkoły, wykład w niej nauk odpowiedni urzędowemu programowi lyceów francuzkich, otrzymywane ciągle przez uczniów nagrody na popisach ogólnych Sorbony i przypuszczenie jej kandydatów do wyższych zakładów rządowych, co przekonywało o jej użyteczności, dwadzieścia lat trwania, ilość uczniów jakich już szkoła wydała, wszystko to razem, spowodowało przychylną dla nas opinję wszystkich władz francuzkich, a Cesarz Napoleon opierając się na niej, d. 8 Kwietnia 1865 roku podpisał następujący dekret :

My Napoleon z łaski Bożej i woli narodu, Cesarz Francuzów, wszem w obec i każdemu z osobna wiadomo czynimy :

Stosownie do raportu naszego Ministra Sekretarza Stanu w wydziale oświecenia publicznego :

Zważywszy na prośbę zaniesioną przez Radę administracyjną szkoły polskiej na Batignolles w Paryżu,

Po rozpatrzeniu dokumentów wykazujących skład powyższej Rady, organiczne statuta, oraz stan jej finansowy;

Po wysłuchaniu naszej Rady Stanu, postanowiliśmy i stanowimy co następuje :

Artykuł I. Szkoła polska na Batignolles uznaną zostaje za instytucję publicznego użytku.

(1) Urzędowe, i najniższe ocenienie ruchomego i nieruchomego majątku Szkoły, złożone wtenczas Ministrowi oświecenia i Radzie Stanu dawało następujący wykaz :

5215 metrów kwadratowych gruntu, z których 2224 pod zabudowaniami, szacując metr zabudowany po 300 a niezabudowany do 250 franków. . . . . . . , . . .	fr.	1,910,950
301 łóżek z pościelą i bielizną kompletną.	fr.	30,000
Sprzęty ruchome w klassach, salach naukowych, i t. d.	fr.	20,000
Biblioteka i zbiory do niej należące, gabinety.	fr.	50,000
Razem	fr.	2,010,950

Z powodu podniesionej dziś znacznie wartości gruntu, majątek ten obecnie około trzech miljonów franków wynosi.

Artykuł II. Statuta tejże Szkoły, jakie są załączone przy niniejszym dekrecie, zatwierdzają się. Żadna w nich zmiana nie będzie mogła być zaprowadzoną, bez naszego upoważnienia.

Artykuł III. Nasz Minister Sekretarz Stanu w wydziale oświecenia publicznego zajmie się wykonaniem niniejszego dekretu.

Dan w pałacu Tuilleries, d. 8 Kwietnia 1865 r.

(Podpisano) NAPOLEON.

przez Cesarza :

Minister Sekretarz Stanu w Wydz. Ośw. publ. (pod.) V. DURUY.

STATUTA ORGANICZNE SZKOŁY.

TYTUŁ PIERWSZY.

Artykuł 1.

Szkoła polska założona w Paryżu, przy bulwarze batignolskim N. 56 ma na celu moralne i umysłowe kształcenie dzieci i sierot wychodźców polskich.

Artykuł 2.

Wykład w niej nauk obejmuje dwa głównie przedmioty : 1) Program uniwersytecki obowiązujący wszystkie lycea w Cesarstwie francuzkiem, 2) Naukę języka, historji i literatury polskiej.

TYTUŁ DRUGI.

Artykuł 3.

Szkołą zarządza Rada administracyjna, złożona z dwónastu członków.

Artykuł 4.

Rada wybiera z pomiędzy siebie Prezesa, Vice-Prezesa, Podskarbiego i Sekretarza.

Członkowie Rady pełnią swe obowiązki bezpłatnie.

Artykuł 5.

W razie wakansu, Rada wybiera osobę powołaną do zastąpienia członka zmarłego lub uwolnionego od swych obowiązków.

Artykuł 6.

Radzie przysłuża prawo wybierania Członków honorowych tak między Polakami jako też i między cudzoziemcami których położenie pozwala być użytecznymi Szkole.

Artykuł 7.

Rada przedstawia Szkołę; wszystkie postępowania sądowe jako powód i odwód, mają być czynione w imieniu Prezydującego i w mieszkaniu szkolném.

Artykuł 8.

Radzie powierzony jest kierunek i dozór moralny, umysłowy i materjalny nad Szkołą; naradza się ona i stanowi o wydatkach, i o wszystkiém co się odnosi do istnienia cywilnego szkoły, do jéj rozwoju i pomyślności.

Artykuł 9.

Postanowienia Rady zapadają większością głosów; w razie równego ich podziału, głos Prezesa rozstrzyga.

Artykuł 10.

Posiedzenia Rady odbywają się co miesiąc; Prezes ma prawo wezwać Członków na posiedzenie nadzwyczajne.

TYTUŁ TRZECI.

Artykuł 11.

Zasoby Szkoły składają: 1) Place i zabudowania, zarówno jak nieruchomości i biblioteka dziś przez nią posiadane przy batignolskim bulwarze, pod N. 56, 2) Dochody od kapitałów do niej należących. 3) Opłaty od uczniów. 4) Ofiary i dobroczynne wyprzedaże na korzyść jej dozwolone. 5) Zapisy i legata jakie przyjąć będzie upoważnioną, i subwencje rządowe jakie jej przyznanemi być mogą.

Artykuł 12.

Podskarbi Rady pobiera wszystkie dochody i opłaca wydatki.

Artykuł 13.

Zdaje sprawę ze stanu finansowego Szkoły przy końcu każdego roku.

Artykuł 14.

Rok finansowy Szkoły zaczyna się 1 Października, a kończy się 30 Września.

Artykuł 15.

Summy bieżące złożone być mają aż do ostatecznego ich użycia w kassie jednego z zakładów upoważnionych przez Rząd do przyjmowania depozytów.

TYTUŁ CZWARTY.

Artykuł 16.

Regulamin wewnętrzny i program nauk zgądza się z przepisami uniwersyteckiemi obowiązującemi lycea Cesarstwa francuzkiego; ustanowiony jest prócz tego wydział techniczny, przeznaczony dla dzieci mających się oddać handlowi lub zatrudnieniom przemysłowym.

Artykuł 17.

Rada wybiera Dyrektora, wszystkich professorów, nauczycieli i urzędników Szkoły. Dyrektorowi zlecony jest bezpośredni kierunek nauk i utrzymanie wewnętrznej w Szkole karności.

Artykuł 18.

Szkoła podlega inspekcji Rządu francuzkiego jak wszystkie publiczne naukowe zakłady.

Artykuł 19.

Z końcem roku szkolnego, Rada przedstawia Ministrowi Oświecenia zdanie sprawy z wypadku nauk i z regulaminu wewnętrznego.

TYTUŁ PIĄTY.

Artykuł 20.

W razie rozwiązania się Szkoły, Rada admistracyjna na wniosek swego Prezesa postanowi o dalszém użyciu funduszów i wszelkiej własności majątek Szkoły składającej.

Akt ten odebrany w Szkole w Wielką Sobotę 1865 r. i ogłoszony przy obchodzie Święta Zmartwychwstania Pańskiego licznie zgromadzonym rodakom, był dla szkoły prawdziwą uroczystością, a dla członków Rady i zacnego jej Prezesa nagrodą długich starań, mozołów i poświęcenia. Trwałość Szkoły została tym sposobem zapewnioną; nabywszy prawa obywatelstwa mogła już sama posiadać, a i na dalszą pomoc Rządu francuzkiego z większą rachować pewnością. Pomoc ta istotnie w ostatnich dwóch latach była o tyle większą, że prawie zastąpiła ustałe z kraju ofiary, i pozwoliła utrzymać równą liczbę uczniów. Kilku młodych nauczycieli świeżo z kraju przybyłych wezwano do wykładania przedmiotów ojczystych, młodzież ze swej strony walczyła

z trudnościami i na popisach ogólnych zdobyte dawniej stanowisko utrzymać potrafiła.

Od czasu założenia Szkoły polskiej na Batignolles do ostatniego roku, wyszło z niej uczniów 918 z których blizko połowa uczęszczała do Lyceum Bonaparte, gdzie licząc w to nagrody Sorbony, otrzymali 237 nagród i 816 nominacji; 97 uzyskało wyższe naukowe stopnie (1). Dzisiaj, na rozmaitych szczeblach społecznych i w przeróżnych przedsiębierstwach i zawodach we Francji, spotykają się wychowańcy Szkoły; uczciwą pracą zarabiając na życie, wywdzięczają się szlachetnemu narodowi za gościnność i opiekę, a utrzymują zdobyte przez ojców poszanowanie dla imienia polskiego, kształcąc się zarazem na użytecznych w przyszłości synów ojczyzny, której, że służyć są gotowi, dowiódł nie jeden z nich 1863 roku, śpiesząc do szeregów powstańczych i ranami a nawet śmiercią stwierdzając nierozerwany węzeł między wyrosłém na obcej ziemi pokoleniem a Polską.

Dodać tu jeszcze musimy słów kilka o bibliotece Szkoły batignolskiej bo i jej historja jak historja wszystkich instytucji emigracyjnych, choć w szczupłym zakresie, świadczy o solidarnośei kraju i jego wychodźtwa, i o tém, że na te instytucje, jak skoro z myślą o ojczyźnie powstawały, składali się wszyscy, bez względu na różność politycznych opinji. Przy założeniu swojém, Szkoła posiadała tylko książki potrzebne do wykładu w niej nauk; w 1844 r. przysłane przez Pannę Emilję Szczaniecką, Panią Sewerynę Pruszakową i J. I. Kraszewskiego dzieła, dały początek bibliotece, która dzięki innym ofiarom, w 1847 r. liczyła już 2000 tomów. W czasie kiedy Mikołaj rozwiązując na Litwie ostatnie zakłady naukowe, istniejące przy nich biblioteki i muzea do Petersburga przenieść kazał, kilku wychodźców naszych, jako to : Antoni Ostrowski, poseł Zwierkowski, Ksawery Godebski, Hipolit Klimaszewski i inni, zawiązali *Towarzystwo biblioteki wileńskiej*, mające na celu założenie za granicą księgozbioru polskiego któregoby już wandalizm moskiewski dosięgnąć nie mógł; szczupłe ich środki, znacznego zbioru

(1), Do Szkoły politechnicznej uczęszczało uczniów 6, do Szkoły dróg i mostów 21, centralnej 11 do górniczej 6, prawnej 3, lekarskiej 19, do wyższej szkoły polskiej na Montparnasse 96, do szkół wojskowych 55.

zgromadzić nie pozwoliły, ale, chcąc temu co zebrać potrafili zapewnić trwałość i myśląc że Szkoła zasilana ciągle młodém pokoleniem większe jej przedstawia rękojmie, w 1855 roku, cały swój zbiór bibliotece szkolnej ofiarowali, z zastrzeżeniem, iż po oswobodzeniu kraju, zbiór ten do biblioteki miasta Wilna oddanym będzie. Rozwiązujące się Towarzystwa demokratyczne zbiory swoje przekazywały też Szkole, a Joachim Lelewel umierając, powierzył jej także cały swój księgoźbior, składający się z 3604 tomów i 1969 broszur, zastrzegłszy iż, w niepodległéj Polsce, oddanym będzie uniwersytetowi wileńskiemu. Dr. Antoni Hłuszniewicz zapisał również swój księgoźbiór, prywatne dary powiększać go nie przestały, i takim sposobem biblioteka dorosła poważnych już na Szkołę rozmiarów.

Uporządkowaną na nowo została w tym roku przez dzisiejszego bibliotekarza Karola Ruprechta. Złożyły ją :

1)	Ofiarowany w 1855 r.	Zbiór Towarzystwa Bibliot. wileń.	4000 t. i br.
2)	—	za staraniem Grabowskiego zbiór Towarzystwa demokratyczn. w Dijon.	1200 —
3)	— 1861.	Księgoźbiór Joachima Lelewela.	5573
4)	— 1862.	— Antoniego Hłuszniewicza.	2038
5)	— 1863.	Zbiory rozwiązanego Towarzystwa demokratycznego polskiego w Paryżu.	2587
6)	Dary prywatne od 1844 do 1866	....	5985
		Razem	21,383 tomów.

Prócz tego biblioteka posiada kart jeograficznych 1907, sztychów i litografiji 4,612. Aktów Tow. demokr. polskiego tomów 196, rękopisma i korespondencje Lelewela, papiery po ś. p. Zwierkowskim Walentym, Ostrowskim Antonim, Biernackim Aloizym, Hłuszniewiczu Antonim, Pietkiewiczu, Kozłowskim i innych.

W bieżącym roku, Szkoła liczy 34 nauczycieli; uczniów mieszkających w szkole 265, przychodzących 42; razem 307.

Wydatki jej w ubiegłym roku wynosiły 223,377 franków, długi zaciągnięte w Towarzystwie kredytowém ziemskiém, a oparte na domu

szkolnym, 232,491 franków. Na utrzymanie Szkoły, od czasu jej założenia aż dotąd, wydano : 3,138,000 fr.

Szkoła zostaje zawsze pod wyłączną opieką Księcia Napoleona.

Radę administracyjną Szkoły obecnie składają : *Prezes* Dr. Seweryn Gałęzowski, *Vice-Prezes* Ludwik Wołowski, *Podskarbi* Teofil Januszewicz. *Członkowie* : Hr. Ksawery Branicki, Aleksander Chodźko, Eustachy Januszkiewicz, Juljan Klaczko, Józef Ordęga, Władysław Ordęga, Artur Sienkiewicz, Bohdan Zaleski i Bronisław Zaleski. *Członkowie honorowi* : Hr. August Cieszkowski, Adolf Łączyński, Adam Sienkiewicz i Feliks Wrotnowski. *Dyrektor Szkoły.* Stanisław Malinowski.

Udzielone.

III.

SZKOŁA WYŻSZA POLSKA.

(6 BOULEVART DU MONT-PARNASSE.)

Po wypadkach w 1848 i 1849, wielu młodszych ziomków ustąpić musiało z kraju, lecz przybywszy do Francji, nie mogło korzystać odrazu dla braku znajomości języka, z wykładanych w rozmaitych instytutach nauk specjalnych. Obok tego, wychodzący ze szkoły batinjolskiej, synowie emigrantów, w ogóle niezamożni, znajdowali trudność dalszego wykształcenia. Te względy były powodem Ks. Adamowi Czartoryskiemu do założenia początkowo przy ulicy *Neuve Ste. Geneviève*, SZKOŁY PRZYGOTOWAWCZEJ POLSKIEJ. Na ten cel przeznaczył Książe większą część zapisu wojewody Wodzyńskiego, a resztę potrzebnego funduszu dopełnił, wyjednaném wsparciem u rządu francuzkiego, własną ofiarą i zebraną składką. Zarząd szkoły pod prezydencją Księcia składali : Stanisław Barzykowski, Teodor Morawski, Andrzej Plichta, Adolf Cichowski, pułkownik Paprocki, Hipolit Błotnicki i Stanisław Kunatt; dyrekcja zaś poruczoną była Zawierskiemu i Bukatemu.

W latach poźniejszych staraniem Księcia i jego rodziny, wybudowany został dom przy bulwarze *Mont-Parnasse* i do niego przeniesiono dzisiejszy zakład naukowy.

Pomijamy kilkunasto-letnią jego historję, a przystępujemy do dania niektórych szczegółów mogących bliżej zapoznać czytelnika z obecnym jego stanem.

Szkoła wyższa polska ma głównie i prawie wyłącznie na celu ułatwiać młodzieży polskiej wstęp do szkół specjalnych : architektury, górnictwa, inżynierji cywilnej, wojskowych i t. p,

Kurs w niej jest *dwuletni*.

Uczniowie kończący *kurs niższy*, są dostatecznie usposobieni do szkoły centralnej; klassy przygotowawczej szkoły górniczej w Paryżu; do szkoły górniczej w St-Etienne, oraz do szkół : architektury, handlowej i wojskowej w St-Cyr, jak niemniej do szkół sztuk i rękodzieł w Belgji i t. d.

Uczniowie kończący *kurs wyższy*, są w stanie zdać egzamen do szkoły dróg i mostów; klassy specjalnej szkoły górniczej w Paryżu; szkoły artylerji i inżynierji wojskowej w Metz, oraz do szkół górniczych i dróg i mostów w Belgji.

Nauki wykładane na *kursie niższym* są : 1. arytmetyka zupełna, 2. algebra do dwumianu Newtona włącznie , 3. jeometrja zupełna , 4. trygonometrja, 5. jeometrja analityczna. 6. jeometrja wykreślna do powierzchni skośnych wyłącznie, 7. fizyka, 8. chemja, 9. rysunki, 10. język francuzki, 11 i 12. historja i literatura polska.

Na *kursie wyższym* : 1. algebra, zrównania wyższych stopni, 2. rachunek różniczkowy i całkowy, 3, mechanika racjonalna i część stosowanej, 4. jeometrja wykreślna, od powierzchni skośnych, i zastosowanie jej do perspektywy, teorji cieni, ciosełki i kamieniarki, 5. fizyka, 6. chemja, 7. rysunki, 8. język francuzki, 9 i 10. historja i literatura polska.

Uczniowie szkoły chodzą co niedziela na nauki religijne, wykładane w kościele ś. Genowefy uczniom wyższych szkół francuzkich.

Na ucznia *interna* i *externa* nikt do szkoły polskiej nie może być przyjęty bez zdania poprzedniego egzamenu; *wolni* tylko *słuchacze* są od tej reguły wyjęci, aby w kursach, do których są przypuszczeni znaleźć ułatwienie do wstępnego egzamenu.

Rok szkolny zaczyna się w Październiku, kończy się w Sierpniu.

W roku upłynionym 1865-6 było uczniów internów 60, eksternów i wolnych słuchaczy 50, razem 110.

Z uczniów drugiego kursu zdali egzamen w bieżącym roku :

W szkole *dróg* i *mostów* w Paryżu 8 (na dwanaście miejsc wakujących); z tych dwaj przenieśli się do szkoły wojskowej w Metz i górniczej w Paryżu, zdawszy i tam wymagane egzamena.

W szkole *górniczej* 3; *artylerji* i *inżynierji* w*Metz* 2, (na trzy miejsca wakujące); w szkole *St-Cyr* 4; *architektury* 1; *handlowej* 2; *centralnej* 1 (1).

Obecnie zaś znajduje się uczących się: w szkole dróg i mostów 12, górniczej 5, centralnej 4, architektury 4, handlowej 2, w St-Etienne górniczej 2, w Metz artylerji i inżynierji wojskowej 5, w St-Cyr wojskowej 7, w Gandawie w szkole inżynierji cywilnej 5, w Zürich 1; razem 47.

Ukończyli nauki w bieżącym roku: w szkole górniczej p. Cerner; w szkole dróg i mostów p. Maurycy Machalski. W roku przyszłym z rozmaitych szkół wyżej wspomnianych wyjdzie najmniej 15.

Przychody kassy szkolnej w roku 1865-66 wynosiły . fr. 63,059 c. 01
Wydatki. . . . . » 72,116 c. 40

Przewyżka nad dochód . . . . fr. 9,057 c. 39.

Przychód dzisiaj głównie zawisł od pomocy rządu francuzkiego. Uczniowie płacący za siebie wnieśli zaledwie fr. 9,167 c. 30. Niedobór pokrywany był dawniej w znacznej części ofiarami z kraju, tak np. w r. 1857-8 przyniosły one 16,000 fr.; dzisiaj z tego źródła zaledwo kilkaset franków wpłynęło do kassy.

Opłata roczna (od uczniów płacących) za dziesięć miesięcy szkolnych wynosi fr. 1,000, kiedy w kolegjum ś. Barbary 3,000, a na pensji Marlet i t. p. 2,500 uczniowie płacić są obowiązani. Czy uczący się w szkole polskiej równie dobrze są przygotowywani jak w powyższych pensjach, najlepiej świadczą wypadki tegorocznych egzamenów.

Radę szkolną składają: *Prezydujący* Książe Władysław Czartoryski; *członkowie*: hr. Działyński Jan, Januszkiewicz Eustachy, Niewęgłowski Henryk, Rustejko Józef, Szemioth Franciszek, Zamoyski Władysław jenerał i Habich Edward pełniący razem obowiązki Dyrektora szkoły.

Wszelkiego rodzaju pisma, zgłoszenia się i przesyłki pieniężne mają być adresowane: à *Mr le directeur de l'Ecole supérieure polonaise*, 68, *Boulevart du Mont-Parnasse à Paris.* (*franco*).

(1) Do szkoly centralnej mało bywa kandydatów z powodu wymaganej rocznej opłaty fr. 800 przeszło wynoszącej.

Udzielone.

IV.

INSTYTUT PANIEN POLSKICH

W HOTELU LAMBERT.

Kiedy powstające w Emigracji szkoły polskie zajmować się zaczęły wychowaniem młodzieży męzkiej zrodzonej na obcej ziemi, Księżna Anna z Sapiehów Czartoryska zwróciła uwagę na los w podobnémże położeniu znajdujących się dziewcząt i umyśliła utworzyć zakład naukowy, któryby dla nich był tém, czem Szkoła na Batignolles i założone przez Towarzystwo Naukowej Pomocy szkoły w Orleanie i w Nancy (1) stały się dla męzkiej młodzieży. Ofiarowała na ten cel obszerny lokal u siebie, a dzięki jej staraniom i macierzyńskiej prawdziwie pieczołowitości, jaką piérwsze wychowanice otaczała, powstał w 1844 r. w hotelu Lambert (przy ulicy Saint-Louis en l'ile N° 2) Instytut wychowaniu panien polskich poświęcony, któremu poźniej Rząd francuzki ze szlachetną przybył pomocą, a wyznaczywszy coroczną summę 20,000 fr. trwałość jego zapewnił.

Wszystkie trudy i koszta pierwotnego urządzenia, oraz główny wychowania kierunek wzięła Księżna na siebie, wezwawszy do pomocy światłych ziomków, którzy jako członkowie przybranej Rady podzielali prace szanownej założycielki. W liczbie ich najczynniejszym i całém

(1) Towarzystwo Naukowej Pomocy zawiązane w Paryżu, pod prezydencją Księcia Adama Czartoryskiego, dnia 29 Grudnia 1832 r., uzyskało upoważnienie rządu francuzkiego do założenia szkół dla polskiej młodzieży w Orleanie i w Nancy; w każdej z nich było około trzydziestu uczniów, koszta wynosiły na każdą około 4,000 fr., rocznie, rząd dawał zapomogę. Oprócz tego Tow. Pom. Naukowej dawało wsparcie młodzieży uczącej się w wyższych szkołach paryzkich. Tak Towarzystwo Pomocy Naukowej, jak szkoły przezeń założone trwały do roku 1844. Zajmującą jest wiadomość, że ś. p. Dr. Karol Marcinkowski był jednym z najczynniejszych członków Towarzystwa i stąd wziął myśl założenia Towarzystwa Pomocy Naukowej w Księztwie Poznańskiem, które tak wielkiego nabrało znaczenia i tak błogie wydało owoce. *Przyp. Aut. artykułu.*

sercem zakładowi i młodym uczennicom oddanym był aż do śmierci przezacny Adolf Cichowski.

Instytut stosując się do potrzeb i położenia córek wychodźców, ma przedewszystkiem na celu, rozwijając w nich uczucia polskie, kształcenie panien na uzdatnione nauczycielki. Dla tego więc wykładany jest cały kurs nauk przepisanych we Francji dla osób poświęcających się temu zawodowi, tak, aby uczennice opuszczając Instytut mogły otrzymywać patenta na nauczycielki. Spodziewała się czcigodna założycielka, że tym sposobem nietylko zrodzonym tu dziewczętom ale i krajowi samemu usługę odda, przysposabiając Polki, któreby w rodzinach naszych zastąpić mogły guwernantki z Francji sprowadzane.

Do Instytutu przyjmują się panienki od lat dwunastu do ośmnastu; ubogie i sieroty pobierają w nim wychowanie bezpłatne, majętniejsi rodzice płacą stosownie do możności.

Piérwszą Dyrektorką była pani Szokalska, która zostawiła po sobie najmilsze wspomnienia dobroci i troskliwości u wszystkich uczennic; teraz, po kilku próbach i przemianach, od lat kilkunastu zostaje dyrekcja w ręku Panny Rouquayrol biegłej i doświadczonej we wszystkich gałęziach pedagogicznego zawodu nauczycielki.

Oprócz dyrektorki i ekonomki ma Instytut pięć stałych nauczycielek, mających zarazem dozór nad uczennicami; jedna z nich a często i dwie są sprowadzane z kraju i wykładają panienkom początki języka polskiego, same zaś kształcą się w języku francuzkim i muzyce.

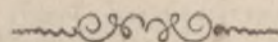
Przedmioty wszystkie wykładają się po francuzku, bo egzamena w Ratuszu paryzkim i w Sorbonie w tym języku zdawać potrzeba; ale osobni nauczyciele uczą języka polskiego, historji i literatury krajowej. Takim przez długie lata nauczycielem był ś. p. Kunatt, b. professor Uniwersytetu warszawskiego. Teraz nauczycielem języka polskiego jest p. L. Winkler a historji i literatury polskiej p. Józef Rustejko. Znany artysta Norblin uczy rysunku; muzyka w Instytucie wysoko jest posunięta, jako talent szczególniej u nas od nauczycielek domowych wymagany.

Instytut liczy zazwyczaj 45 do 50 uczennic. O większej liczbie nie pozwala myśleć szczupłość lokalu i brak funduszów; wydatki roczne przewyższają o 15,000 fr. wsparcie przez Rząd udzielane.

Dotychczas skończyło już w Instytucie wychowanie 230 panien. Około 60 celujących zdolnościami zostało umieszczonych jako guwernantki, po większej części w znacznych domach w Polsce, z obustronnym pod wieloma względami pożytkiem.

Ś. p. Księżna Czartoryska do ostatnich chwil życia zajmowała się zakładem z tą samą troskliwością i uczuciem jakie mu dały początek. Po jej zgonie, córka jej hrabina Izabella Działyńska zastąpiła jej miejsce, poświęcając Instytutowi czas, starania i fundusze. Pod jej prezydencją, Radę Instytutu składają dotychczasowie, po zgonie innych członków: Teodor Morawski, Ludwik Wołowski i Jenerał Bystrzonowski.

H. Błotnicki.



V.

DOM SWIĘTEGO KAZIMIERZA.

Instytut panien w hotelu Lambert nie mógł wystarczyć potrzebie; liczba uczennic musiała w nim być ograniczoną, przyjmowano tam dziewczątka nie młodsze nad lat dwanaście, a przybywało ciągle sierotek polskich, na obcej ziemi zrodzonych, które potrzebowały opieki. Księżna Anna Czartoryska powzięła myśl zaradzenia temu, przez utworzenie osobnego domu sierot, dla takich dziewczątek przeznaczonego, a gdy z kraju przybyły do Paryża Siostry Miłosierdzia, znalazły się tém samém chrześcijańskie a polskie serca i dłonie, którym tę macierzyńską nad dziatwą opiekę powierzyć było można z zupełną ufnością, i zakład dnia 6 Stycznia 1846 r. otwartym został. Szczupły i mały z początku, ale wielki miłosiernem uczuciem, które mu dało życie i wzrost miało zapewnić, przyjął nazwanie domu ś. Kazimierza, i mieścił się zrazu około ogrodu publicznego, (Jardin des Plantes) przy ulicy Ivry. Było w nim z początku Siostr cztéry, a sierot pięć; po kilku miesiącach, liczba tych ostatnich wzrosła do piętnastu. W czerwcu 1846 r. powstał komitet pań polskich i francuzkich, któremu księżna Czartoryska opiekę nad nowym zakładem powierzyła; prezesostwo w nim przyjęła hrabina de la Redorte.

Pomoce dobroczynne zaczęły przybywać, a z niemi i liczba sierot wzrosła; w 1851 r. liczono ich już 40 przy sześciu Siostrach Miłosierdzia, i zakład przeniesionym został do obszerniejszego domu, przy ulicy Gentilly. Tymczasem, po dwudziestu latach pobytu za granicą, zaczęła się mnożyć między wychodźcami liczba starców, prawdziwych weteranów służby narodowej, którzy choć innej zupełnie od dziatwy,

ale nie mniejszej prawie potrzebowali opieki; to dało powód do rozszerzenia zakładu, i wzniesienia obok domu sierot zarazem i domu weteranów. Pan Bóg błogosławił przedsięwzięciu, fundusze stopniowo przybywały, i w 1861 r. dzięki znacznej ofierze księcia Witołda Czartoryskiego, znalazł się zakład w możności kupienia placu przy ulicy Chevaleret 40, zbudowania, urządzenia domu dla Sióstr z ich sierotami i weteranami, i zapewnienia tym sposobem trwałości tej instytucji. Liczba Sióstr Miłosierdzia wzrosła do dziesięciu, a gdy prace około domu gorliwości ich jeszcze zaspokoić nie mogły, zaczęły chorych rodaków w mieście nawiedzać i oddawać im posługi; sierot utrzymywano 57.

Dom ś. Kazimierza wychowuje sieroty polskie na początkowe nauczycielki, bony do dzieci, służące, wyrobnice, jedném słowem sposobi je do pełnienia obowiązków niższych warstw społecznych, ale gruntowne zasady moralne i wdrażana od dzieciństwa pobożność, stanowi podstawę odbieranego tam wychowania; wszystkie zaś sieroty uczą się dobrze po polsku i czują się Polkami. Zdolniejsze dziewczątka, mogące się kształcić na nauczycielki, dorosłszy lat dwunastu, przechodzą do Instytutu panien w hotelu Lambert.

W oddzielném zupełnie skrzydle domu, dwadzieścia pokoików zajmują weterani nasi. Roczne ich utrzymanie tam kosztuje fr. 500, niektórzy sami opłacają tę summę, za innych wnosi ją Towarzystwo podatkowe, albo przyjaciele, są tacy, za których ją rząd francuzki wypłaca.

Dzięki dobroczynnym osobom, których imiona muszą pozostać ukryte, Dom ś. Kazimierza wypłacił już całą za należące do niego nieruchomości snmmę, w ilości 235,000 fr. Stały jego dziś dochód stanowią :

Sprzedaż wyrobów sierot około	fr.	1,300.
Pomoc od ministerstwa Spraw wewnętrznych	fr.	8,000.
— Oświecenia	fr.	1,000.
Pomoc od miasta Paryża	fr.	1,000.
Akcje drogi żelaznej lyońskiej	fr.	1,000.
Wypłaty roczne Tow. podatkowego i innych osób	fr.	4,500.
Razem	fr.	16.800.

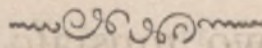
Wydatki domu, liczącego dzisiaj 70 sierot i Sióstr 13, wynoszą około

19,009 franków; to czego w stałych dochodach niedostaje, dopełnia przy staraniu Sióstr i członków opiekuńczego komitetu, żywa, codzienna dobroczynność.

Opieka Boża nad zakładem jest widoczną; w Styczniu 1866 r. przyłączonym do niego został dom drugi położony w Juvisy, o pół godziny drogi koleją żelazną od Paryża; ma duży ogród, z cienistemi drzewami i kaplicą, a Siostry chcące tam urządzić zakład dla chłopczyków, jeszcze zbyt małych, żeby do szkoły batinjolskiej wejść mogli, ufają, że dom ten jak im przybył opatrznie, tak też Opatrznością Bożą rozszerzonym zostanie. Dzisiaj, mieści się już w nim dziesięciu weteranów naszych. Dom nosi nazwanie domu ś. Stanisława, należał zaś piérwej do hr. Montémy.

Komitet opiekuńczy nad domem ś. Kazimierza składają: Prezydentka, Hrabina de la Redorte, Księżna Marja z hr. Grocholskich Czartoryska, Hrabina Izabella z ks. Czartoryskich Działyńska, Hrabina Moszczeńska, i kassjerka, pani Leonowa z Wołowskich Faucher.

Ildefons Kossiłowski.



VI.

INSTYTUCJA CZCI I CHLEBA.

Kiedy Towarzystwo literacko-historyczne pełniło bieżącą służbę policzną albo gromadziło pamiątki przeszłości i materjały do dziejów narodowych, szkoły zaś na wychodztwie zakładane zajęły się młodém, wzrastającém pokoleniem, a dom ś. Kazimierza starcami i weteranami naszymi, ostatnie z kolei, bo najpoźniej powstałe Stowarzyszenie Podatkowe, za zadanie dla siebie obrało, skupienie całej już emigracji w imię obowiązków narodowych, w oddzielną społeczność moralną.

W obec wypadków warszawskich 1861 roku i tej jednomyślności w ofierze jakiej dał przykład dzień 2 Marca, znalazło się na wychodztwie grono, które uczuło obowiązek podobnejże solidarności i dla tej części narodu którą stanowi wychodztwo. Musiała ona objawić się najpiérwej w uznaniu i pełnieniu wspólnych obowiązków narodowych. Przez całe wieki, Polska historyczną missję swoją spełniała przedewszystkiém przez ochotników, których liczby dopełniały ciągle Cześć i Chleb, zgotowane bohatérom i wysłużonym. Każdy dobrowolnie składał Ojczyznie ofiarę, Ojczyzna dzieciom czcią i chlebem zasłużonych płaciła. Poświęcenie płynące z dobrej woli z jednej, poszanowanie dla starszych i zasłużonych z drugiej strony, to były prawdziwe podstawy naszego politycznego bytu, które tak przeszły w życie, że gdy swobodnej Ojczyzny nie stało, wracający wygnańcy lub weterani wojen naszych, w obywatelskiej gotowości rodaków znajdowali wysłużoną pomoc, a w uczuciu ogólném nagrodę, i nie było to wcale dobroczynną ofiarą, jałmużną dla nieszczęśliwych, było to spłacenie narodowego długu, dalszy ciąg tej starożytnej nawet gościnności polskiej, której podstawą było to uczucie, iż się gościli nawzajem solidarni a nieustający rycerze. Pielgrzymstwo musiało rozwijać to dalej, chcąc nić tradycyjną przeszłości przechować.

Po trzydziestu przeszło latach spędzonych na obcej ziemi, potrzeby wielu zasłużonych braci, rycerzy i wodzów 1831 roku wzrastały, żołd przez szlachetną Francję wypłacany zmniejszył się do trzeciej części, życie w ogólności drożało, wzmagały się nieodstępne od lat sędziwych choroby i niemoce, obok tego, po umierających co dzień, przybywały coraz liczniejsze sieroty, a kraj nowych wychodzców dostarczać nieprzestawał. Istniejące grona dobroczynne podołać wszystkiemu nie mogły, emigracja cała, chcąc polską społeczność stanowić, musiała zająć się temi potrzebami, jakby się niemi zajęła Ojczyzna, a z powodu rozproszenia swojego nie mogąc nawet gościnnych stołów dawniejszych wystawić, musiała w obec nieustających ciężarów przyjąć na siebie nieustające też obowiązki.

Z takiego poczucia powstało Stowarzyszenie. Założyciele nie pisali żadnych ustaw, nie określali jak to zazwyczaj bywa, atrybucji rozmai-

tych urzędników; ale tylko, zobowiązawszy się sami do stałego na ten cel podatku, odezwali się do rodaków, wzywając ich do współudziału. Nazwali to Stowarzyszenie *Podatkowém* bo przeznaczeniem jego było spłacać choć w części długi narodowe; celem więc jego były potrzeby ogólne, a miało jednoczyć wychodzców politycznych po świecie rozproszonych, uznających w sobie Polskę i przyznających się, nie tylko z urodzenia, ale i z dobrowolnego powołania, do obowiązków polskich. Podatek ten, według własnego ich wyrażenia, miał być wyraźnym znakiem poddaństwa naszego Najjaśniejszej naszej Pani Polsce, afirmacją bytu wychodztwa za granicą, i ogólnym łącznikiem wszystkich rozproszonych pomiędzy sobą i z krajem.

Ponieważ w społeczności moralnej, jaką przedewszystkiém i jedynie może być emigracja, każden obowiązek musi się pełnić dobrowolnie, bo tylko wtenczas jest aktem moralnym, aktem dobrej woli każdego, Towarzystwo więc nie naznaczyło żadnej normy podatku, a zostawiając to własnemu ocenieniu rodaków, odezwało się do tego, co w najświetniejszych czasach naszej przeszłości narodowej było podstawą jej życia publicznego, do dobrej woli. Każdemu podpisującemu deklarację, Towarzystwo zostawiało prawo zniżenia jej lub podwyższenia następnie, w miarę zmienionej jego możności. Nie posiadając naturalnie ani cienia władzy wykonawczej, nie starało się nawet obwarować się przysięgą, dane słowo uważało za jedyną rękojmię sumiennej i regularnej wypłaty. «Ale jeżeli na zachodzie», mówiło wtenczas rodakom, «ogromne przedsięwzięcia moralne i materjalne dopełniają się przez stowarzyszenia, w moc danego słowa, toż niepodobna, abyśmy w nieustającej żałobie naszej, słowa nasze i podpisy na urągowiska wystawiali, bo sprawiedliwość nasza musi być wyższą nad sprawiedliwość cudzoziemców u których w gościnie jesteśmy, albowiem jeszcze na przyszłość zarabiać potrzebujemy». Zaprowadzony więc dobrowolny podatek miał być takim, jak podatki na potrzeby narodowe opłacane przez Anglików, Francuzów, Włochów, z tą różnicą, że stowarzyszeni sami dla siebie byli władzą prawodawczą i wykonawczą zarazem.

Dnia 2 Marca 1862 roku, w rocznicę pamiętnych chwil warszawskich, zawiązał się z założycieli, a raczej z inicjatorów Towarzystwa

Wydział tymczasowy, mający się zająć zbieraniem deklaracji, utrzymywaniem kassy, i rozdzielaniem złożonego podatku. Nie chcąc nic obalać, a przeciwnie, moralne tylko podstawy społeczności naszej w duszach samych wskrzesić, Wydział postanowił od razu przychodzić w pomoc istniejącym już instytucjom. Ponieważ w pełnieniu obowiązków narodowych, miał w szczupłym zakresie jaki był dla niego dostępnym, zastąpić samą Polskę, musiał więc zająć się potrzebami najbliżej ją obchodzącemi; stąd piérwsze do jego pieczołowitości prawo miał starzec wysłużony, bo mu ojczyzna według obowiązującej nas tradycji winną była *panem bene merentium*, potém dziecię sierota, bo gdyby wcześnie nie weszło do instytucji polskiej, byłoby dla Ojczyzny stracone. Dla tego też, zebrane fundusze miały być rozdzielone pomiędzy dom ś. Kazimierza dla weteranów i sierot, i szkołę batinjolską dla uczącej się młodzieży. Czwartą część tylko Wydział miał składać w jednej z kredytowych instytucji francuzkich, jako fundusz żelazny, na nieprzewidziane narodowe potrzeby.

Uczucie rozbudzone krwią na bruku warszawskim przelaną, sprawiło, iż w kilka miesięcy po piérwszém odezwaniu się Wydziału, Stowarzyszenie liczyło już 473 członków, którzy się podpisali na coroczny podatek, wynoszący 16,420 franków. Przystępowali do niego rodacy najrozmaitszych opinji politycznych, bo myśl Stowarzyszenia uczuciem polskiém nad niemi górując, obejmowała je wszystkie. Umieszczono zaraz dwóch weteranów w domu ś. Kazimierza, tamże cztéry dziewczynki, i sześciu chłopców, sieroty, w szkole batinjolskiej.

Z rozmaitych departamentów Francji nadeszły wiadości o smutném położeniu wielu najbardziej wysłużonych żołnierzy naszych. Wydział tymczasem, oprócz podatków otrzymał kilka tysięcy franków jednorazowych ofiar, przeznaczonych dla starców naszych. Nie chcąc sam być szafarzem tego grosza, a zapowiedziawszy z góry, że nie jest Towarzystwem dobroczynności ani też wzajemnej pomocy, wezwał kilku Członków Stowarzyszenia aby się rozdzieleniem pomiędzy najzasłużeńszych zajęli. Takim sposobem zawiązała się *Komissja weteranów*. Podatkujący wskazywali sami najbardziej wysłużonych, a Komissja w miarę funduszów wybierała emerytów.

Doświadczenie pokazało, iż większa ich część, spędziwszy długie lata na jednèm miejscu, gdy tam pozabierała stosunki zażyłości i przyjaźni, a także nabyła pewnych nawyknień w starości zawsze silniejszych, nie rada była na chleb nawet wysłużony przenosić się na nowe miejsce, do domu Ś. Kazimierza, rządzonego naturalnie ścisłemi przepisami, i przekładała mniejszy ale u siebie zasiłek. Stowarzyszenie, zawiązane przedewszystkiém dla uczczenia starszych braci, nie mogło żądać, aby się oni do wymagań jego stosowali, przeciwnie, uczuło obowiązek zastosować się samo do ich życzeń, i w skutek tego powstały *Eemerytalne zadatki*, które wysłużonym wypłacać zaczęto. Pozwoliło to większą liczbę weteranów wnieść na listę emerytów (1).

Dnia 1 Stycznia 1863 roku, Stowarzyszenie liczyło 625 członków; zadatki emerytalne przyznano: dwóm pułkownikom, dwóm podpułkownikom, dwóm majorom, jednemu kapitanowi, jednemu podoficerowi i jednemu żołnierzowi; siódmy uczeń przyjętym został na koszt Stowarzyszenia do Szkoły Batinolskiej i piąta dziewczynka do domu Ś. Kazimierza.

Rok ostatniego powstania Stowarzyszenie przetrwało. Pomimo wypadków porywających serca i myśli w inną stronę, podatek wpłynął do kassy, przybyło nawet nowych członków 93, z summą zadeklarowaną podatku na 1641 franków; zobowiązania wszystkie zostały dopełnione, weterani nasi emerytury otrzymali. Jednorazowe ofiary wydział obracał na potrzeby bieżące, na pomoce jednorazowe; z podatku przyczynił się do wydatków na ciężko-rannych, świéżo z pola bitwy przywiezionych.

Gdy z upadkiem powstania cięższe niż kiedy klęski zwaliły się na nas, a dobijanie rannych przez Moskali zmusiło do wywożenia ich za granicę, liczba weteranów naszych a z nimi i potrzeby urosły, a czas nawet ich trwania określić się nie dawał. Potrzeby wychodców z 1831 roku mogły trwać jeszcze lat kilka lub kilkanaście, nowi, młodzi weterani, już kilkadziesiąt lat przed sobą liczyć mogli. Władza kierująca ostatniemi usiłowaniami, nie mogąc dłużej opiekować się nimi, poleciła ich obywatelstwu polskiemu w kraju; wobec klęsk trapiących sam kraj, obowiązek

(1) Od założenia swego, aż dotąd, Stowarzyszenie przyznało emeryturę zupełną i jej połowę czterdziestu, a pomoc jednorazową 130 osobom.

ten spadał na wychodztwo. Wobec raz jeszcze odroczonych nadziei, gdy polityką własciwą, czynną, mało osób zajmować się może, tém koniecznej jest jąć się wspólnemi siłami polityki zachowawczej, należącej do wszystkich, i między sobą zasady narodowe przechować. Wydział znowu odezwał się do rodaków. Na ucisk większy, Opatrzność zwykła zsyłać dobrym sprawom wiarę silniejszą; wiara objawia się szczególniej w pracach, których cel sięga po za życie ludzkie. Dowiodło tego kilkunastu stowarzyszonych, zamieniając dotychczasowe roczne zapisy swoje na wieczyste i składając kapitały, mające przynosić stale raz przez nich zadeklarowany podatek. Summy te w piérwszych miesiącach złożyły 35,000 franków, jako zawiązek narodowego emerytalnego kapitału; (1) powoli kapitał ten nowemi zapisami zwiększać się zaczął, dzisiaj wynosi około 80,000 fr. a spodziewać się należy że ciągle zwiększać się będzie. Takim sposobem, z rozbudzonego wypadkami 1861 r. uczucia poczęta, ostatniemi nieszczęściami wypiastowana, powstała *Instytucja Czci i Chleba.* Każdy Polak podatek swój tam składający, wié że nie tylko w miarę możności swej dług ojczysty spłaca i dzieli się z wysłużonymi braćmi, ale że nawet czwarta część każdego ofiarowanego grosza powiększa kapitał narodowy, a tym sposobem wiąże niejako pracę jego z nieskończoną przyszłością Ojczyzny. Kto może, znosi cegły, kogo nie stać na nie, ten ziarnka piasku do przyszłej budowy składa, ale nic tam nie gi-

(1). Piérwszy do tego przykład podał Albin Januszkiewicz z Bordeaux; za nim poszli inni, to wnosząc ratami przeznaczone przez siebie kapitały, to czyniąc w testamentach zapisy na rzecz Towarzystwa, i stając się tym sposobem *wieczystymi* ego członkami. Zapisy takie uczynili : Januszkiewiecz Albin na 300 fr. dochodu, Płaziński Juljan na 100 fr., Sperczyński Adam 30, Dzikowski Piotr 40, Hr. Zamoyski Władysław jenerał 200, synowie jego : Władysław i Witold, każdy po 100, Hr. Plater Władysław 100, Chodźko Leonard 25, Kamieński Mikołaj pułkownik 100, Urbanowski Kazimierz 300, Kasparek 100, Dzieduszycki Michał 100, Zapaśnik Antoni 10, w ogóle na 1,705 franków rocznego procentu. Wnieśli gotówką do kassy Towarzystwa, na wieczystą jego własność, kapitały : Laskowicz Władysław na fr. 100 dochodu, Królikowski Karol na fr. 100, Michałowski Felix na fr. 100, Januszkiewicz Eustachy 100, Bliziński Felix 10, A. W. Korsak 15, Szymkiewicz Michał 50, Witkowski Maxymiljan 30, Bartkowski Jan 50, Kruszewski Ignacy jenerał 15, Żyliński Marcin 24, poseł Żarczyński Amancjusz 400. Różni, na rachunek skapitalizowania 25. W ogóle na 1,019 franków rocznego procentu. Prócz tego ś. p. Brzeziński Leon testamentem zapisał Towarzystwu 10,000 fr. na których oparł jeszcze dożywocie brata swego.

nie a podstawy tej budowy tak szerokie jak święta przeszłość narodu. Liczba członków Stowarzyszenia wynosi 1,181. Z początkiem 1866 roku postanowiono obok dotychczasowych *emerytów* utworzyć jeszce kategorję *Kandydatów do emerytury*, z połową pensji, a to dla otwarcia przystępu większej liczbie osób do zadatku emerytalnego. Do tej kategorji w 1866 r. przyjęto 12 osób. Pomnąc zaś że Polska za srébrne krzyże żołnierskie płaciła pensje, Stowarzyszenie dla emerytów swoich krzyż taki posiadających, podniosło też trochę wypłacaną przez siebie dożywotnią sumkę.

Mając już poruczone sobie kapitały, Wydział, dla większego ich beśpieczeństwa przed krajem i emigracją, wezwał z pomiędzy członków Stowarzyszenia pięć osób najwyżej opodatkowanych, a stale mieszkających w Paryżu, aby się zawiązali w *Radę Nadzorczą Majątku Stowarzyszenia*. Ta stanowi o sposobie zlokowania kapitałów. Za poradą doświadczonych prawników zrobiono akt, zabeśpieczający Instytucji Czci i chleba własność kapitałów, a po dopełnieniu formalności, złożono go w wielkiej instytucji kredytowej francuzkiej (*Crédit foncier de France*), która dnia 3 Lutego 1866 r. pod N. 10,294, otworzyła rachunek (compte courant) już nie na imię jednej jakiej osoby, ale Stowarzyszenia (à l'Association polonaise des Imposés volontaires) d. zaś 7 Lutego udzieliła mu w sposób wyjątkowy pozwolenia na składanie w niej wszelkich papierów publicznych i wartości tak krajowych jak zagranicznych. Wszystkie więc, nie tylko kapitały, ale bieżące nawet podatki Stowarzyszenia, znajdują się obecnie w tej Instytucji kredytowej, a wszelki datek większy może być tam wprost na rachunek Stowarzyszenia odsyłany. Ogłaszane co rok sprawozdania, w których grosz każden obok imienia lub cyfry podatkującego stosownie do jego woli, jest zapisany, uwiadamia rodaków o wzroście funduszów i ich użytku. Nie długie, ale pełne polskiego uczucia odezwy wydziału, których, licząc w to piérwszy akt założenia było już ośm, są łącznikiem między opodatkowanymi.

Wydział tymczasowy składają od początku prawdziwi inicjatorowie Stowarzyszenia : Prezes Bohdan Zaleski, kassjer Władysław Laskowicz, kontroler Józef Dybowski, sekretarz Karol Królikowski, zastępca sekretarza Artur Sienkiewicz.

W Radzie nadzorczej majątku Stowarzyszenia zasiadają : Jenerał Hr. Zamoyski, Członkowie : Dr. Seweryn Gałęzowski, Kazimierz Wołowski, Karol Chobrzyński, sekretarz : Eustachy Januszkiewicz.

W Komissji weteranów ; po śmierci piérwszego jej Prezesa, majora Józefa Zaleskiego, Prezes : Teofil Januszewicz, Członkowie : Seweryn Elżanowski, Sylwester Staniewicz, Bronisław Zaleski i sekretarz Rufin Piotrowski.

Rufin PIOTROWSKI.

VII.

TOWARZYSTWO DOBROCZYNNOSCI

DAM POLSKICH.

Jest to jedna z najdawniejszych instytucji na emigracji. Towarzystwo zaczęło trzydziesty trzeci rok swego istnienia. Najstarszy jego członek, świadek i spółcześnik prac jego przez blisko trzecią część stólecia, chętnie dziś przyjmuję wezwanie skreślenia krótkiej o niém wiadomości.

Towarzystwo Dobroczynności zostało zawiązane dnia 12 Marca 1834 roku, za staraniem i pod prezydencją ś. p. Księżny Anny z Sapiehów Czartoryskiej. Myśl założenia Towarzystwa Dobroczynności powstała z gorącej chęci zapobieżenia cierpieniom i nędzy Polaków na emigracji.

Artykuł piérwszy Ustawy określa w następujący sposób cel Towarzystwa :

1° Nieść chorym pomoc;

2° Opiekować sią wdowami i sierotami ;

3° Zaopatrywać niezbędne potrzeby tych zwłaszcza, którzy od rządu zasiłku niemają;

4° Obmyślać będącym w niedostatku środki zarobku, dawać stosowną zapomogę na rozpoczęcie pewnego sposobu do życia.

Towarzystwo Dobroczynności składa się :

1. Z prezydującej;

2. Z członków, dam polskich, które sobie piękne miano sióstr obrały;

3. Z opiekunek i opiekunów;

4. Z dystrybutorów;

5. Z lekarzy;

6. Z urzędników, jako to : sekretarza, kassjera, i t. d.

Ustawa określa w dwudziestu dwóch artykułach obowiązki osób należących do Towarzystwa.

Dochód Towarzystwa stanowią :

1. Kwesty przez damy do Towarzystwa należące po kościołach w Paryżu robione;

2. Dary dobroczynne przez zamożniejszych ziomków i cudzoziemców życzliwych składane;

3. Bale i koncerta w tym celu dawane;

4. Wenta i loterja raz na rok na korzyść ubogich urządzane w hotelu Lambert.

Około czterystu osób pobiera co rok wsparcie w pieniądzach, odzieży, narzędziach rzemieślniczych, w biletach na chleb i skromne obiady. Sprawozdania drukiem ogłaszane, dają obraz czynności Towarzystwa i wykazują stan jego funduszów. Roczny wydatek Towarzystwa wynosi do 30,000 franków.

Oto w najkrótszych zarysach organizacja i zakres działań Towarzystwa Dobroczynności dam polskich.

Wszelka czynność ludzka chociażby największej doniosłości, daje się opowiedzieć w niewielu słowach. Ale nieskończenie jest trudniej uwydatnić wewnętrzną stronę jakiegokolwiek dzieła. W jaki sposób mógłbym wyświecić zacność myśli przewodniczącej temu dziełu miłości bliźniego? jak dać poznać poświęcenie zacnych Polek niosących

przez lat tyle w ofierze swój czas, trudy i przykrości nieodłączne od zajęć tego rodzaju? Ile to zachodu i starań kosztuje każda kwesta kościelna, że zamilczę z jakim to trudem przychodzi wyrobić w sobie potrzebną do tego śmiałość a zarazem pokorę! Bale dawniej dawane, które niejednemu płochą zabawą wydać się mogły, były zawsze okupione prawdziwie ciężką pracą ze strony tych, co je urządzali. A wenty, owo główne, a czasem jedyne źródło dochodów Towarzystwa? Każda z nich przedstawia owoc całorocznych zabiegów, usiłowań, a nawet ręcznej pracy dam dobroczynnych. Największa część fantów pochodziła zwykle od ś. p. Prezydującej, która przez cały rok nigdy krosien nie opuszczała, byle jak najobficiej zaopatrzyć wentę. Zmarła téż wśród pracy, z której zrobiła zadanie swego życia, w wigilją i prawie przygotowanej przez siebie trzydziestej wenty, przekazując ciężką spuściznę dobroczynności córce swej, która od dwóch lat, wraz z gronem Polek obecnie Towarzystwo składających, z całém poświęceniem prowadzi dalej dzieło swej matki.

Rzucając okiem na długą przeszłość Towarzystwa Dobroczynności, śmiem wyrazić nadzieję, że kiedyś, w czasach odległych od cierpień i namiętności dzisiejszych, przyszli patrioci polscy podziwiając działania emigracji, która potrafiła wznieść tyle szkół, bibliotek, zakładów dobroczynnych i t. p., uczczą także wytrwałą pracę Towarzystwa Dobroczynności dam polskich. Wiąże się z niém niejedno zasłużone względem kraju imię, jak np. Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, najpiérwszej sekretarki Towarzystwa, Adolfa Cichowskiego, Andrzeja Plichty i wielu innych. Złagodziło ono niejedno cierpienie, wspomogło niejedną biédę, ułatwiło niejednemu obranie użytecznego zawodu, było główną podstawą egzystencji pierwotnych szkółek emigracyjnych w Nancy i Orleanie, dało piérwszy zawiązek domowi Sióstr polskich ś. Kazimierza, sprawiło nareszcie wielu umarłym rodakom pogrzeb chrześcijański. Liczba tych wszystkich, którzy od Towarzystwa doznali różnego rodzaju wsparcia rośnie w tysiące; summy pomiędzy nieszczęśliwych rodaków rozdane dochodzą miljona franków, to jest także wymownèm świadectwem tego, co może wytrwała wola ku jednemu skierowana celowi.

Być może, żem przeszedł granice żądanej odemnie wiadomości; świadek i uczęstnik zawiązku, wzrostu i długoletnich działań tej instytucji, pełen różnorodnych z jej życia wspomnień, nie umiałem ich przytłumić w sobie zupełnie, mówiąc o Towarzystwie Dobroczynności, dla którego może to ostatnia służba moja.

Na zakończenie podaję wiadomość o dzisiejszym stanie Towarzystwa Dobroczynności.

Składają je obecnie:

Hrabina Izabella z Czartoryskich Działyńska, prezydująca; Hrabina Władysławowa Zamoyska; Księżna Beauvau; Pani Leonowa Faucher; Pułkownikowa Kamieńska; Panna Bystrzonowska; Pani Delaroche; Pani Helena Kaplińska; Pani Źarczyńska; Przełożona Sióstr polskich ś. Kazimierza Mikułowska.

Dystrybutorowie: Jenerał Bystrzonowski, Franciszek Szemioth, Włodzimierz Radowicki, Juljan Marylski, Nowakowski i kapitan Sawicki sekretarz i jeden z najdawniejszych członków Towarzystwa.

Lekarze: Panowie Raciborski, Korabiewicz, Stański i Ksawery Gałęzowski.

Aptekarze: Panowie Faucher, Laboureur i Mentel.

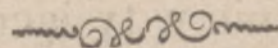
Wydatki Towarzystwa za rok bieżący 1866 wynoszą (z przypuszczalném obliczeniem za Grudzień) około 29,000 franków.

Rozkład ich mniej więcej następny:

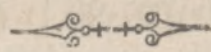
Na chleb około 5,600 fr. — na lekarstwa 6,500 fr. — na bieliznę 1,600 f. — na mieszkania 1,800 fr. — na żywność 2,500 fr. — na kuracją (w pieniądzach) 2,600 fr. — na odzież i obuwie 800 fr. — reszta na podróże konieczne, na opał, pogrzeby i t. d.

Paryż, d. 28 Listopada 1866 r.

HIPPOLIT BŁOTNICKI.



KAROL KNIAZIEWICZ.



1762 — 1842.

Jeżeli według świadectwa znakomitego badacza przeszłości naszej, Szajnochy, nie masz tak smutnej karty w dziejach kraju naszego, któréjby nie oświecał jaki promyk pociechy i podniesienia, to niezawodnie czasy klęsk ostatecznych i zagrobowego już poźniej życia narodu obfitują w te wzniosłe postaci, które razem wzięte, skupiły w sobie wszystko co najświętszego było w jego duchu, podniosły go i uszlachetniły, a pracą swoją, męztwem, najczęściej ofiarą, złożyły jakby nowy kapitał moralny dla przyszłych pokoleń.

Rozpamiętywanie wad naszego społecznego ustroju i dokładne poznanie choroby co nas z bytu politycznego wyzuła, jest dzisiaj obowiązkiem Polaka, ale znowu synowskie dla Ojców uczucie, nakazuje mu oddać cześć ich wzniosłym czynom i poświęceniu; pewno zaś w ciężkiej swej doli dzisiejszej, znajdzie on zawsze otuchę, moc i pokrzepienie, ilekroć z miłością wpatrzy się w te szanowne oblicza, przysłucha się tętnu ich serca, a w twardym ich najczęściej żywocie, poszuka hartu i wzoru dla siebie.

Jedną z takich postaci przedostatnich czasów jest Jenerał Kniaziewicz. Długi żywot jego cały był poświęcony Ojczyźnie, a wplotły się weń koleją wszystkie ciernie, ofiary, nadzieje, cała chwała i cała niedola nasza; walczył za kraj w przedrozbiorowych jeszcze chwilach, znajdował się nieraz u steru poźniejszych usiłowań, na obcej ziemi imię nasze uświetnił, zostawił zaś następcom prócz wzoru rycerskiej odwagi jeszcze przykłady najszlachetniejszych uczuć i tej niezłamanej, nieznużonej niczém wytrwałości, która więcej może nad wszystko służy sprawie, a odznaczających się nią uzacnia; zwłoki jego spoczywają na cmentarzu francuzkim w Montmorency, który już tylu ziomków naszych zaległo. Z uszanowaniem przystępując dzisiaj do tej mogiły, myślimy i cześć należną oddać dostojnemu mężowi i młodemu pokoleniu nie jeden przedmiot do poważnego nastręczyć rozmyślania.

Kniaziewicz nie zostawił wprawdzie pamiętników - naglony jednak

przez przyjaciół, w ostatnich latach życia napisał autobiografję krótką zaiste, bo zaledwo z kilkunastu kart złożoną, ale zawierającą nie jeden rys ciekawy i charakterystyczny. Dziejopis nasz, Teodor Morawski osnuł na niej obszerną i poważną pracę. Przezacny znowu Stefan Witwicki spędzając lato 1834 roku z Jenerałem w Montmorency, spisywał swoje z nim rozmowy, a choć sam powiada, że notując je bez porządku, na prędce, jest jak ów człowiek który poławia perły, wszakże nie w chwili połowu szlifuje je, dobiera i układa w kosztowne sznurki, jednakże przekazał nam tym sposobem nie jeden szczegół malujący człowieka albo czas jego. Wszystko to razem wzięte może pozwoli nam narysować tę postać o tyle dokładnie, abyśmy ją bliżej poznać i prawdziwie się w niej rozmiłować mogli (1).

I.

Szukając kolebki Kniaziewicza, znajdujemy ją w tej dawnej prowincji Rzeczypospolitej, która już wtenczas istotnie najmniej była polską, a wpływom rossyjskim najbardziej podległą — w Kurlandji. Otton Karol Kniaziewicz urodził się dnia 4. Maja 1762 roku w Powiecie Piltyńskim, we wsi Assiten dziedzicznej rodziców, a o pięć mil od Lipawy położonej. Rodzina jego pochodziła z Litwy, ale dziad, który jeszcze majętność w Województwie Mińskiem posiadał, osiadł już był w Kurlandji. Kiedy nasz Karol przychodził na świat, Książęciem tego kraju był jeszcze Królewicz Karol, inwestyturą polską 1759. roku zaszczycony, ale już w rok po urodzeniu dziecięcia, Katarzyna II wprowadzała tam na Księztwo powróconego z Syberji Birona. Przez matkę Konstancję, spokrewniony był Kniaziewicz z rodzinami miejscowemi; pochodziła ona z familji Korfów, służącej wprawdzie przez kilka wieków w wojskach Rzeczypospolitej, ale mającej w języku niemieckim upodobanie a wyznającej protestantyzm. W skutek układów familijnych, wychowany w wyznaniu matki nasz Karol, w mowie niemieckiej pierwsze wyrazy wymawiać zaczął. Ojciec jego Jan Kazimierz, odebrał był także nauki w uniwersytetach niemieckich i należał do najświatlejszych ludzi swojego powiatu, zostawił nawet po sobie Historję Kurlandji w rękopiśmie, który w czasie wojen krajowych zaginął. Znając te wszystkie szczegóły, trudno przewidzieć jakiby kierunek nadali synowi jakkolwiek światli i kochający rodzice, gdyby

(1). Żywot Kniaziewicza napisany przez Teodora Morawskiego, a stanowiący główną i największą część niniejszej pracy, czytanym był na posiedzeniu Towarzystwa historyczno-literackiego dnia 3 Maja 1853 roku. Rękopism ś. p. Stefana Witwickiego, składający się z kilku arkuszy, jest dzisiaj własnością jego przyjaciela, Bohdana Zaleskiego, któremu wdzięczność za udzielenie go składamy, równie jak Leonardowi Chodźce, który ze swych zbiorów uprzejmie korzystać pozwolił.

na miejscu, w dotychczasowych warunkach pozostali, a wątpić można aby ten kierunek wypadł tak dobrze jak poźniej. Nieszczęścia domowe zrządziły inaczej; w piątym roku życia stracił nasz Karol matkę, a ledwo dziewięć lat liczył, kiedy ojciec, przez ufność położoną w jednym kupcu z Lipawy który go do handlowych spekulacji wciągnął, stracił majątek, i dobra swoje oddać musiał na podział dla wierzycieli a sam szukać skromniejszego sposobu do życia. Dziecko zostało u wuja, ale na krótko; po roku sprowadził już je do siebie ojciec, przyjąwszy obowiązek rządcy dóbr naprzód u Krajczego Koronnego Potockiego, a potem u Jenerała Artylerji Brühla (1).

Były to już chwile dla narodu stanowcze—Konfederacja Barska ostatecznie upadła, wszystkie choroby nurtujące naszą społeczność, a którym przez długie czasy zaradzić nie miano mocy a nawet i chęci, przynosiły swoje owoce — iściły się kary półtora wieku przedtém zapowiedziane przez Skargę. Polska przez swawolę panującej klassy pogrążona w ostatecznej niemocy, stawała się łupem podstępnych sąsiadów — dopełnił się pierwszy roźbiór kraju. Wrażenie musiało być ogromne; boleśna a pełna sromu rzeczywistość musiała głęboko szlachetniejsze dusze wstrząsnąć, a otworzyć oczy tych nawet, którzy dotychczas we śnie pogrążeni, przepaści lekkomyślnie widzieć nie chcieli. Sprowadzony do ojca chłopak, musiał słyszeć ciągle narzekania i jęk zranionych serc polskich, i kto wié czy nie w tych chwilach zapadło pierwszy raz głęboko do wrażliwej duszy dziecięcej słowo Ojczyzna, któremu poźniej całe życie miał służyć.

Zaczęto się, krzątać około sprawy publicznej — Ojciec Kniaziewicza spodziewał się że dla starszego syna miejsce w szeregach narodowych znajdzie, myślano bowiem o powiększeniu wojska. Sejm pod przemocą zagraniczną obradujący, (1774 r.) wyrobił u nieprzyjaciół wolność podniesienia go do trzydziestu tysięcy. Ale zło za nadto było wkorzenione, abyśmy się z niego od razu i po takim nawet ciosie otrząsnąć zdołali — zabrakło jeszcze gotowości do ofiary, i sejm następny, nie chcąc uchwalić podatku i skarbu podnieść, dla braku funduszów znowu komput do ośmnastu tysięcy zmniejszył, jak było dawniej. Brat starszy naszego Karola musiał więc szukać pomieszczenia i nauki w służbie obcej, pruskiej; dla niego zaś samego, przetrzymawszy go trzy lata w domu, wyjednał ojciec za pomocą Jenerała Brühla miejsce w Korpusie Kadetów w Warszawie.

Szkoła ta wtenczas już od dziesięciu lat trwała, a gorliwi reformatorowie kraju, łączyli z jej losami nadzieje moralnego i umysłowego

(1) Ojciec Kniaziewicza szanowany w Kurlandji przez sąsiadów swoich którzy często w najważniejszych sprawach do sądu jego się odwoływali, musiał sobie zacnością i względy Brühla zaskarbić, bo ten mu poźniej dał w dożywocie wieś Słupno pod Warszawą, gdzie umarł przed drugim rozbiorem kraju, podczas wojny z Moskwą.

podźwignienia. Znając trudności jakie stawiło im na każdym kroku ówczesne pokolenie, wśród tradycyjnych wad i nałogów wyrosłe, spodziewali się w tej szkole wychować zastęp nowych dla kraju obywateli i nowych obrońców. Dla tego też największą pieczołowitością otoczoną była. Nasz Karol z przyjemnością w poźnych jeszcze latach wspominał czas tam spędzony, a w rozmowach z Witwickim, nieraz z miłością do drobnych nawet zstępował szczegółów. Dla tego też, niektóre z nich i czytelnikom naszym powtórzymy.

Zadaniem szkoły nie była jedynie wojskowość, i owszem, miała ona przedewszystkiém kształcić obywateli; wykładano w niej wszystkie do usług publicznych sposobiące przedmioty; tak zwany *Katechizm kadecki*, którego uczono wszystkich najstaranniej, był wybornym edukacyjnym kodexem, napisanym z dokładną znajomością wad ówczesnych społeczności naszej i kształcącym sumienie narodowe; że jednak w myśli założycieli, zaszczepienie karności i wzbudzenie nawet dawnego rycerskiego ducha było konieczną potrzebą narodu zagrożonego tylu niebeśpieczeństwami i złożonego taką niemocą, szkoła więc utrzymywaną była na stopie instytutu wojskowego; uczniowie nosili mundury, odbywali musztrę, a odgłos bębna zwoływał ich nie tylko na gimnastyczne ćwiczenia, ale i na godziny lekcji (1). Sam Król miał tytuł Kapitana Kadetów i w tym mundurze występował podczas wielkich uroczystości, Jenerał Ziem Podolskich, Książe Adam Kazimierz Czartoryski Porucznika, Referendarz Koronny Moszyński Podporucznika, a Jenerał Radoński stojący na czele zakładu, Chorążego. Uczniowie dzielili się na kadetów i gefrejterów; ci ostatni mieli dozór nad młodszymi i używali rozmaitych szkolnych przywilejów; podczas wielkich uroczystości kadeci odprawiali służbę przy tronie. Przyjęcie do szkoły, i cały w niej pobyt otoczony był mnóstwem uroczystych formuł, które miały na celu w młodych, wrażliwych umysłach budzić szlachetne uczucia i żądzę odznaczenia się kiedyś znakomitemi dla ojczyzny usługami. Uczeń słyszał ciągle, że wychowywany jest kosztem ojczyzny dla jej usług, a wstępując do szkoły, przyjmował uroczyście przed kolegami obowiązek być odważnym, pilnym i cnotliwym. Szkoła mieściła się w Kazimierowskim pałacu; według aktu fundacji miała się składać ze 200 uczniów, że jednak zastrzeżoną była roczna od każdego z nich, po 100 dukatów dopłata, więc liczba ich rzadko 80 przechodziła, wyjąwszy przychodzących,

(1) Mundur *powszedni* kadetów według opowiadań Kniaziewicza składał się : ze spencera ciemno-czerwonego z granatowemi rabatami i takimże kołnierzem z żółtemi guzikami, ze spodni białych stosowanego kapelusza; *paradny* różnił się kolorem spencera, który był granatowy, z kołnierzem rabatami pąsowemi. Raz na rok, to jest na dzień świętego Stanisława, wkładali kadeci spencery białe sukienne, z rabatami i kołnierzem axamitnym granatowym, gęsto wyszywanym złotemi galonami; lederwerki obłożone były także axamitem z galonową po obu stronach obszewką, spodnie białe, a miejsce stosowanego kapelusza zastępował kaszkiet z blachą na przodzie, okryty od środka trzema piórami: białem, niebieskiem i czerwonem.

externów, których bywało do 20. Niewielkiemu gronu nie brakło nawet jak zwykle młodym na wojennym animuszu. Jedną ze scen podobnych, jakkolwiek rzadkich, opowiadał Kniaziewicz. W pierwsych latach istnienia szkoły, któryś sługa Goździkiego Wojewody Podlaskiego ubliżył słowami jednemu z kadetów czy podobno nawet go uderzył; wnet cała szkoła, mszcząc się krzywdy kolegi, postanowiła zbrojną przeciw Wojewodzie wyprawę, i kadeci w szyku bojowym już mieli z dziedzińca Kazimierowskiego pałacu na dom Goździkiego wyruszyć, kiedy nadbiegł Książe Adam Czartoryski, główny opiekun zakładu, i potrafił wstrzymać ten studencki najazd, upewnieniem, że Wojewoda nic o postępku sługi nie wiedział i że ten surowo ukaranym będzie. Narobiło to wtenczas w Warszawie hałasu, bo wszyscy zajmowali się szkołą; w końcu, mówić o niej, troszczyć się o kadetów stało się nawet modą. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem utrzymującym zabawy sceniczne przy znacznej części szkół naszych, miał i Korpus Kadecki w Kazimierowskim pałacu swój teatr na którym uczniowie grywali polskie i francuzkie sztuki, komedje, i tragedje; tam zjeżdzały się damy najwyższego towarzystwa, pomagano młodym artystom, udzielano im rad, odwiedzano próby i same przedstawienia. Szczególnie zajętą tém była siostra Jenerała Ziem Podolskich, Księżna Marszałkowa Lubomirska. Kniaziewicz miał udział w tych przedstawieniach, a młody Juljan Ursyn Niemcewicz, wówczas gefrejter kadetów, występował w nich najczęściej w rolach kobiecych.

Szkoła ta dostarczyła krajowi wielu znakomitych ludzi; Kościuszko był jednym z pierwszych jéj uczniów. Oprócz Niemcewicza, Jakub Jasiński, Kazimierz Sapieha, Rembielińscy, Sokolnicki, Ostrowski i wielu innych, stamtąd wynieśli miłość ojczyzny i żądzę poświęcenia się dla niej.

Pobyt w szkole wywarł też stanowczy wpływ i na Kniaziewicza; wszedłszy do niej z niemiecką całkiem wymową, która śmieszyła młodziutkich kolegów, jak w Montmorency jeszcze wspominał Niemcewicz, wyszedł z niej zupełnym Polakiem; tam przyjął także wyznanie ojca, Rzymsko-Katolickie, a wyniósł z niej jeszcze karność, poczucie obowiązku, i to głęboko wkorzenione, jak sam wyraża się, przekonanie, « że żołnierz « wtenczas tylko ze stanu swojego chlubić się może, gdy się poświęca « obronie Ojczyzny, własnego Króla i prawa. » To go wstrzymało później od szukania służby w ościennych mocarstwach, chociaż krajowa przez długi czas jeszcze żadnych prawie nie przedstawiała widoków, a nie tylko przykład brata ale i wielu rowienników mógł go do szukania takiego zawodu zachęcać. Tam pierwszą przyjaźń z Juljanem Niemcewiczem zawiązał. Nie mógł jednak jak on, skończyć całego kursu nauk, który na siedm lat był rozłożony; fundusz ojca nie pozwolił mu dopłacać wspomnianych wyżej 100 dukatów rocznie, i po

trzech latach z tego powodu musiał Karol Korpus Kadetów opuścić. W młodzieńcu tymczasem rozwinęło się zamiłowanie wojskowego zawodu; i w duszy tej zdrowej, silnej, a do rdzeni polskiej, nie mogło być inaczej — bo jeżeli w dawniejszych czasach, w narodzie stojącym ciągle w obliczu pogaństwa, rycerskość musiała być najbardziej ulubioną chwałą, to w chwilach ostatecznych, kiedy nieprzeliczone klęski zwalić się nań miały, i nowe wielkie czekały go walki, w duszach które po długim letargu dawnego ducha narodowego wskrzesić i wydobyć z siebie miały, musiała taż sama dzielność przodków zajaśnieć. Pomógł mu znowu ówczesny opiekun rodziny, Jenerał Brühl i przyjął go do szkoły artylerji pod jego zwierzchnictwem zostającej. Wkrótce został oberfejerwerkierem, a do tego czasu odnosi się następująca anegdota:

Artylerja wtenczas odbywała rewje w Młocinach, własności Brühla, i dla wprawy miała tam zbudowaną sztuczną forteczkę z drewnianemi działami, której dobywała. Król choć sam nigdy podczas boju w obozie nie był, rewje jednak odwiedzał, zachęcając swą obecnością wojsko. Kniaziewicz, na jednym z takich przeglądów, pod okiem Króla jedno z tych dział drewnianych demontował; Król, pochwaliwszy celność strzału, kazał młodemu podoficerowi wymierzyć do drugiego działa, a gdy mu się równie dobrze powiodło, w nagrodę dał strzelającemu 20 czerwonych złotych. Ubogiemu młodzieńcowi, który dla braku funduszu Korpus Kadetów opuścić musiał, datek pieniężny wydał się ciężką obelgą, która go wtenczas do gorzkiego płaczu przywiodła, a łzy te zaiste były zadatkiem tej wysokiej szlachetności charakteru i bezinteresowności, jaką przez całe życie odznaczał się poźniej wódz legjonów.

Powoli kształcił się jego charakter, ale bogata natura musiała jeszcze nie jedną przejść próbę, aż póki w końcu wola, w walce z życiem, na spiżowy posąg męża, wszystkich tych pierwiastków przetopić nie potrafiła. Wkrótce po przytoczonym tylko co wypadku, nadeszła drobna w istocie katastrofa, która jednak mogła smutnie na dalszy los jego wpłynąć. Po odbytych kursach w szkole artylerji, zdawał Kniaziewicz wraz z innymi kolegami examen na oficera, ale kiedy pomimo pierwszeństwa przyznanego mu przez examinujących, niejaki Magier przez intrygę awans przed nim otrzymał, oburzony niesprawiedliwością młodzieniec zerwał w obec kapitana swoje podoficerskie galonki i rzucił mu je pod nogi. Za taką niekarność wojskową, wzięty w łańcużki, po sześciu dniach więzienia już miał iść pod sąd, gdy stary opiekun raz jeszcze przyszedł z pomocą. Jenerał Brühl wdał się w tę sprawę, a kupiwszy mu oficerstwo w bataljonie tak zwanych fizyljerów, którego jako Jenerał Artylerji był szefem, od wszystkich jej następstw uwolnił.

II.

Z wejściem do fizyljerów zaczyna się nowa epoka życia naszego Karola, epoka burzliwości młodzieńczej i w końcu ostatecznego wewnętrznego wyrobienia, po której dla przygotowanego już zupełnie, miała nastąpić epoka czynu.

O tych latach sam tak się odzywa : « opisując szczerze wypadki życia mojego, przyznać się powinienem, żem był krnąbrny, uparty, porywczy, a łatwość z jaką pojmowałem nauki, napajała mię wielkiem o sobie rozumieniem. Zrazu przeto nie byłem lubiony od współtowarzyszów moich, i co ze wstrętem wyjawić muszę, pojedynkowałem się potrzykroć, zawsze z własnej przyczyny. Dzięki Opatrzności nikt przynajmniej nie przypłacił życiem popędliwości mojéj; nie ściga mię cień niewinnej ofiary. Ale muszę, dla przestrogi młodszych, przykrzejsze jeszcze zrobić wyznanie. Nieszczęśliwa skłonność do kart, nie tylko powiodła mię do utraty w krótkim czasie macierzystego maiątku, lecz co gorsza, do przegrania kilku tysięcy pułkowych pieniędzy! Z rozpaczy i wstydu postanowiłem sobie życie odebrać. Już nabity był pistolet i rozpisałem listy do współtowarzyszów moich, gdy przez osobliwsze szczęście, odegrałem pułkowy pieniądz. Na uwielbienie Opatrzności za ten widoczny dowód opieki poprzysiągłem nigdy więcej nie grać i święcie dochowałem téj przysięgi. Odtąd wziąłem się serdecznie do poprawy, do nauk, do unikania złego społeczeństwa. »

Krótko tak przez zacnego męża skreślone lata młodości pakazują nam tę bogatą a w gruncie szlachetną i silną wolą obdarzoną naturę; to zaś co z rozmów jego zostało, pozwala nam dodać nie jeden jeszcze szczegół, malujący i stan społeczności naszéj, który jakkolwiek smutny, powinien nam być znany, bo tłumaczy niejako wszystkie następne nieszczęścia, niedostateczność oporu wrogom i w końcu nasz upadek

Wspomnieliśmy wyżej, że Brühl kupił dla Kniaziewicza oficerstwo w bataljonie fizyljerów. Mało kto dzisiaj wie o tém że rangi w wojsku polskiem kupowano wtenczas, co zresztą było ogólnym zwyczajem europejskim. Zaprowadził się on u nas za Sasów, razem z wojśkiem autoramentu cudzoziemskiego; a rozpowszechnił najbardziej za Augusta III, kiedy wojska prawie nie było, bo z istniejących na papierze 18 tysięcy, zaledwo trzecia część była istotnie pod bronią, rozrzucona po całym kraju i służyła bardziej do udzielania tytułów szlachcie, niż do obrony a nawet utrzymania porządku. Z każdej kompanji zrobiono dwie, dla powiększenia liczby oficerów mniemanych; w wojsku litewskiem, składającem się w 1776 roku z 3928 żołnierzy, liczono 1272 oficerów, tak że powstało przysłowie : «dwa dragany a cztery kapitany. » Sadzono się

na mundury, wyprawiano uczty, wojsko służyło do parady, do ozdoby różnych ceremonji, a bardzo często do ucisku biedniejszych i słabszych. Gdy jaki oficer wychodził z pułku albo wyższy otrzymywał stopień, przedawał swą rangę dotychczasową temu z młodszych kolegów, który był w stanie za nią zapłacić, a zdarzało się iż następujący z kolei do awansu musiał ustępować miejsca młodszemu, lecz bogatszemu. Gdy się niesprawiedliwości a za niemi nieukontentowania mnożyły, zaprowadzono w niektórych pułkach ogólną kassę, z której potrzebujący płacić za rangę pożyczał, co jakikolwiek porządek w awansach niższych oficerów utrzymywało, ale stopnie wyższe, zwłaszcza szefów i Jenerałów długo jeszcze kupowane były przez pierwszego lepszego, najczęściej zaś dostawały się możnym panom, jako tytuł; tak między innymi Szczęsny Potocki od razu został Jenerałem Artylerji. Za rangę płacono summę wyrównywającą czteroletniemu jej dochodowi, tak że kapitaństwo na przykład kosztowało 18000 złotych. Zwyczaj ten przetrwał aż do 1782 roku, a chociaż wtenczas Stanisław August otrzymał nareszcie od Sejmu jego zniesienie, Kniaziewicz jednak który ulegając ogólnemu prawu, już był tym sposobem nabył podporucznikostwo, w 1784 jeszcze roku zapłacić musiał za stopień porucznika.

Bataljon fizylierów należał da tak zwanego wojska *autoramentu cudzoziemskiego;* komenda w nim była niemiecka, dzielił się na ośm kompanji, z których trzy, zwane sztaboficerskiemi należały co do dochodów swoich do Jenerała, Pułkownika i Majora, którzy dla tego oprócz tytułu rang swoich, nazywali się sztabskapitanami; pozostałe pięć miały swoich kapitanów. Kapitanowie mieli prawo udzielać żołnierzom kilkomiesięcznych urlopów a przez ten czas sami żołd ich pobierali, i to stanowiło tak zwane *urlopowe* dochody, które około 2000 złotych rocznie w kompanji wynosiły. Kapitan za to obowiązany był własnym kosztem werbować ochotników, bo w Rzeczypospolitej innego żołnierza nie było. Dostarczała go wtenczas jeszcze prawie wyłącznie szlachta; ale kiedy w dawniejszych czasach, rycerski naród do zapasów z nieprzyjaciołmi Ojczyzny i Chrześcijaństwa, ochotnie bitnych dostarczał zastępów, teraz już szczupłą garstkę paradujących żołnierzy w niemiecki mundur przybranych, zgromadzić nie było łatwo (1). Kiedy ochotnicy nie dawali się werbować, używano gwałtu, a Kniaziewicz w pierwszych latach oficerskiej swej służby, nieraz do takich porywań był używany. Upolowanego tym sposobem szlachcica pojono przez dni kilka, i odwożono potém w inne strony, robiąc nieraz zamianę z podobnym drugiej kompanji werbownikiem. Stąd rosło znowu mnóstwo awantur, bijatyk, a przy zagnieżdżonem w kraju pieniactwie, procesów i sądów.

(1) Mundur Kniaziewiczowskich fizylierów był granatowy. z kołnierzem i rabatami z aksamitu czarnego, z wypustkami pąsowemi, przy spodniach białych. Oficerowie nosili stosowane kapelusze z białem piórem.

Kupione kapitańswo sprawiało, że kapitan na swoją kompanję patrzył jak na dzierżawę, z której jak największy starał się wyciągnąć dochód, skąd znowu nadużycia wszelkiego rodzaju. Każdy oddział wojska miał sobie wyznaczone ziemie, z których sam pobór dla siebie wybierał. W danym czasie, objeżdżał w tym celu okolicę przeznaczony do tego oficer; nieraz wojskowym poruczano także ściągnięcie zaległych, jakkolwiek szczupłych podatków (*retent*), a w tém jak we wszystkiem przypatrzyć się można i wadliwości administracji naszej, i rozmaitym rysom samej społeczności. Takie wycieczki oficerów zwały się *jeżdżeniem za delatą*. Oficer ze zbrojnym najczęściej pocztem odbywający taką po okolicy wędrówkę, lubo miał sobie przepisaną drogę, i wszędzie pokwitowanie od mieszkańców powinien był otrzymać, że się nadużyć nie dopuścił, bardzo często, byle chciał, stawał się plagą okolicy; zdzierał słabszych i nie mogących się obronić, a możniejszych wymijał, tygodnie całe przesiadywał tam gdzie mu się podobało, nakazując karmić i siebie i ludzi, furaże ogromne i wiktuały dla siebie już samego wybierał, jednem słowem, jak szara gęś gospodarzył; kiedy znowu był znajomy i lubiony w okolicy, podróż ta jego zamieniała się w ciągłą zabawę i wesołość; przyjmowano go jak najlepiej, przetrzymywano przez dni kilka i kilkanaście częstując, bawiąc, spraszając sąsiedztwo, udając nieraz umyślnie że się jeszcze niewielkich pieniędzy zgromadzić nie potrafiło, dlatego tylko żeby miłego gościa a z nim powód do zabawy i uczty dłużej przetrzymać. Nie była to już wtenczas egzekucja, ale przyjacielskie odwiedziny—a na podobnych objazdach zawiązywały się często najprzyjemniejsze znajomości, nieraz kojarzyły się nawet małżeństwa. Kniaziewicz do tych pożądanych gości niezawodnie należał, to też lubił być posyłanym *za delatą* i często mile w starości jeszcze te wycieczki wspominał.

W ciągu tych kilku lat służby, zajmował nasz Karol kwatery w rozmaitych stronach kraju : w Warszawie, Białymstoku, Siedlcach, nawet na Wołyniu i Podolu, i to mu dało sposobność obeznać się z całą ojczyzną, pozabierać wszędzie stosunki, zyskać przyjaciół, a we wszystkich niemal objawach życia mieć udział. Pierwsza wojenna wyprawa jaką odbył, wymierzoną była przeciw niejakiemu P. Karpiowi. Działo się to na Podlasiu w 1782 roku. Przy braku wszelkiej władzy wykonawczej w kraju, a wzrastającej ciągle samowoli pojedyńczych ludzi, do której przykład dawała duma możnych rodzin stawiących się wyżej wszelkiego prawa, zbrojne zajazdy mnożyły się straszliwie. Wspomniany Karp', sam dawniej adwokat, dopuścił się był podobnego czynu; wypędził właściciela z wioski do której rościł prawo, a sam w domu mieszkalnym okopał się do dalszej obrony. Obżałowany udał się o pomoc do władz rządowych, i Kniaziewicz z kilkunastu żołnierzami wysłany był przeciw najezdnikowi. Karp' poddać się nie chciał, a więc formalny szturm do oszańcowanego domu przypuścić trzeba było. Oblężony, z drużyną swo-

ją bronił się, gęsto z okien strzelając, zabił nawet jednego żołnierza,a kilku ranił, kiedy zaś nasz chorąży wpadł nareszcie do domu, znalazł go pustym, bo oblężeni tylnemi drzwiami uszli przez błota, którędy Karp' był sobie zawczasu odwrót przygotował; zostały tylko na stole misy z kulami i prochem. Wyprawiona za nim pogoń wróciła z niczem. Że jednak Kniaziewiczowi dany był rozkaz dostać Karpia żywcem czy trupem, musiał dalej prowadzić kampanję a dowiedziawszy się iż nieprzyjaciel ukrywa się w blizkości, u niejakiego Górskiego, tam się udał; przetrząśnięto dom szlachcica, ale daremnie — zbiega nie znaleziono znowu. Czas był chłodny, jesienny — zziębnięty chorąży prosił aby ogień nałożono w kominie; stróż drwa przyniósł, zapalił i odszedł— był to Karp' ale go nikt nie poznał. Kniaziewicz wrócił z niczem. Historja ta jednak nie skończyła się na tém. We dwa dni poźniej, dowódzca bataljonu, pułkownik Cichowski odebrał list od Karpia który go uwiadamiał, iż sam dobrowolnie przed nim się stawi, byleby mu tylko zapewnił że jego osoba będzie beśpieczną i że mu czas zostawią do wprowadzenia tej sprawy przed sądy. Cichowski odpowiedział, że w żadne kapitulacje, z Karpiem wchodzić nie może, i oddawcę listu pożegnał, kiedy wychodzącego spotkał adjutant pułkownika i poznał w nim samego Karpia. Tu już był schwytany; porządek jednak w kraju był taki, że sprawa ostatecznie źle się dla niego nie skończyła, i cały ten wypadek poźniej wesołym jeszcze opisał wierszem, w którym to szczególniej wyraził, że uniknąwszy sieci, wpadł był w matnię.

Kniaziewicz, tu jeżdżący za delatą, tam ścigający rozzuchwalonego szlachcica, podczas pobytu swojego na Rusi, miał porę przypatrzyć się obejściu tamecznych panów z włościanami; a zostawiło to w szlachetnej jego duszy tak silne wrażenie, że jeszcze w ostatnich latach życia ze zgrozą o tém wspominał. Prowincje te, jeśli wyjmiemy ogromną na Litwie fortunę Radziwiłłów, od dawna największych w Rzeczypospolitej liczyły magnatów; na szerokich i żyżnych przestrzeniach, w walkach ciągłych z pogaństwem, mnożyły się i rozbujały przy wielkich zasobach majątkowych i charaktery, a gdy nie stało ducha który hetmanów rodził, przechowała się duma i samowolność większa niż gdziekolwiek bądź w kraju. Już za Chmielnickiego, kozacy nazywając panów naszych królewiętami, wyrzucali im, że nabroili ciężko; wnukowie tych królewiąt dopełniali miary, a na wzór panów kształcili się pankowie, większa i mniejsza szlachta, i nadużycia przechodziły istotnie wszelką miarę. Odznaczał się przed innymi znany w całym kraju z okrucieństw swoich Potocki starosta Kaniowski, o którym tyle już pisano, pomiędzy mniejszymi znanymi Kniaziewiczowi celował niejaki Dulski; do grzeczności jakie okrutny ten dziwak miał zwyczaj wyświadczać swym gościom należało i to że im sprowadzał najpiękniejsze z wiosek kobiety, dziewczęta i mężatki. W dniach swoich zabaw zgromadzał często znaczną liczbę tych nie-

szczęśliwych istot, i nakazywał im wykonywać sprośne, swego wymysłu tańce. Wola jego, kaprys każden był dla włościan prawem. Raz naprzykład spędziwszy całą ludność jednej ze swych wiosek, kazał wszystkie jej chaty i zabudowania rozebrać i przenieść wieś na nowe miejsce gdzie mu jej widok zdawał się potrzebnym dla ozdobienia pozycji. Te i tym podobne wypadki wstrząsały duszę Kniaziewicza, jednocześnie zaś budziła się żywsza miłość do tego ludu, którego pieśni tęsknej poezji i uczucia pełne, ujmowały go coraz więcej. Śpiewano je i w marszach bataljonu; ludność do kozaczego a więc wojskowego życia wdrożona, dostarczała nawet ochotników, i już między żołnierzami byli Rusini i nie należący do szlachty. Zwolna rosły w duszy naszego Karola uczucia które przeobrażającej się ojczyzny miały być ozdobą i znamieniem.

Wśród ruchawego życia, Kniaziewicz w tych latach zaczepił nieraz i o Białystok, rezydencję naprzód Hetmana W. Koronnego Klemensa Gryfa Branickiego, a po jego śmierci drugiej jego żony, siostry Stanisława Augusta. Hetmana zwano też Kasztelanem czyli *Panem Krakowskim*. Chociaż między ówczesnymi panami odznaczał się rządnością, dwór jego jednak był prawie królewski. Białystok nazywano wtenczas polskim Wersalem; ogromny park mieścił kilkaset danjeli, w pałacu był teatr włoski, a wszystko co kraj miał najznakomitszego, odwiedzało *Panię Krakowską*. Zdarzało się nieraz że i gość zagraniczny zawitał, i z pańską wspaniałością był przyjmowany. Raz ambassadorowi francuzkiemu Segurowi jadącemu w początkach zimy z Warszawy do Petersburga, gdy śnieżne zamiecie utrudniały drogę, Pani Krakowska bawiąca wtenczas przy królu w stolicy, gościnnie cały swój pałac ofiarowała, prosząc żeby w nim był gospodarzem; przez parę więc tygodni bawiąc tam, przyjmował jakby u siebie przejezdnych panów i sąsiednią szlachtę, o czém jeszcze po wielu latach pisząc pamiętniki wspominał. Kniaziewicz razem z innymi oficerami swego bataljonu grywał na teatrze pani Hetmanowej komedje polskie Bohomolca a później Zabłockiego, i bardzo mile czas tam spędzał. Oddawał się wtenczas i rysunkowi, robił szczególniej minjatury, które były chwalone, a to dało powód do pociesznej anegdoty. W czasie pobytu wspomnianego tylko co Segura w Polsce, kiedy odwiedzał salony Pani Krakowskiej, siostra królewska znając talent malarski Kniaziewicza, prosiła go żeby na prędce zrobił ukradkiem jego minjaturę. Stało się zadość jej życzeniu i po kilku dniach, minjatura bardzo podobna i oprawna w tabakierkę leżała przed panią domu na stoliku gry, przy którym siedział i poseł francuzki. Ten, postrzegłszy swój wizerunek i kilka razy nań spójrzawszy: « Pani tabakierka, rzecze, jest zwierciadłem, poznaję w niej najdokładniej moje rysy. » — « Tę miłą pamiątkę, odpowie Pani Krakowska, winna jestem talentowi jednego z młodych oficerów naszych. » i wskazała na Kniaziewicza, który wśród tłumu, bo wieczór był liczny, stał w kącie, oparty o ścianę.

Segur, oświadczywszy swą wdzięczność gospodyni, zbliża się do naszego porucznika z komplementem, lecz ten, chcąc mu szybko odpowiedzieć, z grzecznym ukłonem odbija się od ściany, a w nagłym tym ruchu traci równowagę, upada naprzód, prosto na Francuza i przewraca go z sobą. Nim gościa podniesiono z podłogi, zmięszany i stłuczony malarz, niewprawny do dworskich ukłonów, wyniósł się czém prędzej.

Tak widzieliśmy Kniaziewicza, po wyjściu z korpusu kadetów, wędrującego ze swoim bataljonem po całym prawie kraju; miał porę przypatrzyć się wszystkiemu, poznać całą jego ówczesną niędolę, a mając stosunki w rozmaitych warstwach społecznych, nieraz zapewne od najlepszych jego synów słyszał boleśne użalania się na obecność, był świadkiem narad nad jego podźwignieniem, wyglądał chwili kiedy do jego obrony powołanym będzie. Znaczne przez te lata w naukach wojskowych uczyniwszy postępy, począł je kolegom swoim wykładać; powoli zaczęło ich coraz więcej na ten rodzaj lekcji uczęszczać, w końcu już i wyżsi oficerowie przychodzili słuchać młodego porucznika.

III.

Tymczasem rozwijały się wypadki. Naród przerażony rozbiorem, uznawszy raz niebeśpieczeństwo, poznał, że samo jak mówiono dawniej *æquilibrium* europejskie do jego całości nie wystarcza, coraz jaśniej widział konieczność reform, które Czartoryscy w 1764 i 1766 starali się przeprowadzić. Rossja wszelkie tego rodzaju próby, za pomocą niepoprawionych wichrzycieli i zbrodniarzy niweczyła, a zagwarantowawszy raz narzuconą gwałtem w 1768 r. narodowi ustawę, którą oparła na *kardynalnych prawach* tak zwanej *szlacheckiej wolności*, za pomocą rozłożonego u nas wojska swojego, całości jej strzegła. Ale obce jarzmo coraz się nieznośniejszem stawało. Duch rozbudzony rosł, komissja edukacyjna szczepiła nowe idee w młodzieży; pisma jak : Konarskiego, O skutecznym rad sposobie; Wybickiego, Listy patriotyczne; Staszica, Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego, a także ogłoszone z polecenia królewskiego żywoty znakomitych Polaków, i mnóstwo innych, budziły nowe myśli, odkrywały nowe horyzonta; wewnętrzne przeobrażenie dojrzewało — czekano tylko sposobnej chwili aby jarzmo zrzucić. Wypowiedziana przez Moskwę wojna Turcji a poźniej Szwecji nadarzyła tę pożądaną zręczność. Sejm 1788 r. pod laską Stanisława Małachowskiego, w chwili zapału uchwalił sto tysięcy wojska, a dla zasilenia skarbu wieczystą z majątków obywatelskich ofiarę; wojska rossyjskie nawet i południowe prowincje nasze opuścić musiały. Sejm ogłoszony za *konstytucyjny*, zajął się naprawą Rzeczypospolitej. Nastały prawdziwie wielkie chwile — wielu ludzi którzy dotąd za granicą szukali pomieszcze-

nia i nauki, rzucało obce chorągwie, śpiesząc do narodowych szeregów, między nimi : synowiec królewski Książe Józef Poniatowski i Wielhorski wracali ze służby austryjackiej, Mokronoski i Michał Zabiełło z francuzkiej, Henryk Dąbrowski z saskiej. Zapał i uniesienie było powszechne. Jakim ogniem gorzeć wtenczas musiała młodzieńcza dusza Kniaziewicza, łatwo wyobrazimy sobie, pamiętając że między posłami wielkiego sejmu miał kolegów i osobistych przyjaciół, że oddychał jednemi uczuciami ze wszystkiem co było najszlachetniejszego w narodzie.

Prędko wprawdzie złowieszcze wiadomości nadbiegły z Rusi. Moskwa tam od dawna korzystając z nadużyć naszych panów propagandę swoją rozszerzała, sypiąc pełnemi garściami pieniądze, a teraz duchowieństwo wschodniego obrządku do swoich celów starała się nakłonić. Postrzegano groźne symptomata, a wyrźnięcie w 1789, rodziny Wyleżyńskich na Wołyniu, i spisek w Kuryłówce wsi pani Pruszyńskiéj pod Ozohowcami, spowodowały rząd do rozpoczęcia śledztwa. Uwięziono kilkuset włościan i znaczną liczbę duchownych, między nimi greckiego Biskupa w Łucku, Sadkowskiego. Sąd ziemski w Krzemieńcu, pod prezydencją Benzyma, a komissja wojskowa w Warszawie pod przewodnictwem Hetmana Ludwika Tyszkiewicza, roztrząsały tę sprawę, która zajmowała ale zarazem i trwożyła wielu. Kniaziewicz był używany do przywiezienia z Rusi do Warszawy i odwiezienia nazad niejakiego Kuryły. Trudno było dociec wątku, bo Moskwa działała bardzo ostróżnie, ale nikt wtenczas nie wątpił, że to było jej sprawą. Więzień naszego Karola przyznawał mu się w drodze, że chodził po wsiach rozdając ludowi pieniądze i nakazując mu gotowość do powstania przeciw szlachcie. Na pytania skąd były te pieniądze, odpowiadał, że dawały je wielkie pany, mówiąc iż to wyjdzie na dobro dla ojczyzny. Utrzymywano wtenczas głośno, że całej tej sprawie nie był obcy Ksawery Branicki, jako narzędzie Potemkina.

Groźna ta chmura minęła jeszcze, sejm pracował, a skutkiem jego obrad, stanęła w końcu wiekopomna Ustawa 3 Maja. Radość ogólna przejęła naród. Był jéj uczęstnikiem nasz Karol, dzielił uniesienie powszechne, a gdy przy obchodzie pierwszej rocznicy zakładano kościoł Opatrzności, i Króla idącego kłaść jego kamień węgielny, wśród tłumu narodu, nagle gwałtowna zaskoczyła burza, i wszystkich złowieszcze przejęło uczucie, on głęboko do duszy przyjął te słowa królewskie nazajutrz do zgromadzonych posłów wyrzeczone : « Powiedzcie obywatelom, że wśród narodowego obchodu spotkała nas burza okropna, myśmy ją wytrwałością zwyciężyli. Jeśli tak będzie istotnie i przyjdą burze — miną — a my będziemy szczęśliwi. » — Tylko że w duszy Kniaziewicza miały one głębsze, poważniejsze znaczenie; w niezawodność szczęścia może już mąż szlachetny nie wierzył, wytrwałość i wierność ojczyźnie poślubił, i tę dochował do końca.

Burza w istocie już się zbierała. Zaledwo dzieło wielkiego Sejmu dokonaném zostało, Rossja która już pierwej pokój ze Szwecją była zawarła, w Styczniu 1792 roku podpisywała traktat z Turcją, a *Brutusy Polskie* (tak niecni zdrajcy sami siebie nazywali) płacząc nad grobem wolności narodowej, jakoby zabitej przez nową Ustawę, prosili ją o pomoc. Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski znajdowali się w Jassach zajętych wtenczas przez Moskwę, kiedy Kniaziewicz posłanym był do nich z listem królewskim, nakazującym im powrót do kraju i zaniechanie zbrodniczych zamiarów, pod zagrożeniem wyzucia z piastowanych godności. Posłańcowi kazano więcej nad trzy dni na odpowiedź nie czekać; poselstwo nie odniosło żadnego skutku — postanowienie zbrodniarzy było niecofnione — zaraz dali odpowiedź i Kniaziewicz natychmiast odjechał. Był to podobno ostatni prawy Polak, którego przed rozpoczęciem krwawego dzieła widzieli. Przy tej zręczności, Szczęsny Potocki który jako szef tytularny bataljonu fizyljerów, miał prawo do urlopowych dochodów jednej kompanji,a nie pobierając ich przez lat kilka, liczył już sześć tysięcy złotych pretensji, ofiarował tę summę Kniaziewiczowi, ale biedny porucznik datku tego nie przyjął, i wrócił z czystemi rękami,które już zaraz oręż na obronę Ojczyzny wydobyć miały.

Katarzyna II. wsparta na podyktowanym przez siebie manifeście Targowiczanów, wystąpiła jako gwarantka rządu republikanckiego, i oświadczenia przeciw *gwałtom* sejmu poparła kolumnami wojska. — Sto tysięcy żołnierza,pod dowództwem Kachowskiego i Kreczetnikowa z dwóch stron wkroczyło do Polski. Nie było chwili do stracenia.— Tymczasem środki obrony okazały się niedostateczne; uchwała o stotysięcznym kompucie wojska nie była jeszcze doprowadzoną do skutku. Rada wojenna która przez cały rok ani razu zebrać się nie mogła, złożona z ludzi ze sztuką wojenną zupełnie nieobeznanych, a w której przewodniczył Hetman Ksawery Branicki dla tego tylko aby jej czynności paraliżować i o wszystkiém dwór petersburgski uwiadamiać, nic nie zrobiła — nie zdołano wystawić zmniejszonej nawet przez Sejm ilości, 65000. Stanęło do boju zaledwo 47000 żołnierza, którego część nie miała broni ani amunicji; mundury dla wojska wygotowano po skończonej kampanji, a amunicję rozwożono pocztą po wystąpieniu już pułków do boju; część jej w Lublinie przypadkiem wyleciała w powietrze. Sejm, który się nie był związał zaczepném i odporném przymierzem z naturalnymi sprzymierzeńcami jakimi były wtenczas Szwecja i Turcja, dał się całkiem omamić Królowi Pruskiemu i jemu zawierzył — Fryderyk Wilhelm II zdradził, i przeciw nam zwrócił się zaraz, zatrzymując prowadzone dla wojska polskiego potrzeby. Położenie było trudne. Stanisław August obejmujący wtenczas w moc Ustawy władzę nad wojskiem , dywizje Księcia Józefa Poniatowskiego,

Wielhorskiego, Kościuszki i Księcia Michała Lubomirskiego przeznaczył przeciw Kachowskiemu, część mającą działać przeciw Kreczetnikowi powierzył Judyckiemu, po którym wkrótce objął dowództwo Zabiełło. Bataljon, a teraz już pułk dwunasty fizylierów w którym był Kniaziewicz przeszedł pod rozkazy Wielhorskiego. W obozie Kachowskiego jako doradca znajdował się Hetman Ksawery Branicki z Sewerynem Rzewuskim. Główne dowództwo objął Książe Józef; ale wojsko tak było po całym rozproszone kraju, że zaledwo dwa tysiące ludzi mógł mieć w jednėm miejscu pod ręką; nieprzyjaciel postępował więc w głąb kraju nie spotykając oporu. — Zebrawszy siły w Pikowie, Książe Józef ustąpić musiał (15 Czerwca) pod Lubar. Tu Kniaziewicz otrzymał bataljon w tworzącym się pułku strzelców Krasickiego, ale nim doręczono mu patent na Majora, zaszła Boruszkowska potyczka—w niej, z bataljonu posłanego na zdobycie długiej i przez artylerję bronionej między stawami grobli, Kniaziewicz pomimo całego męztwa zaledwo kilkunastu ludzi wyprowadzić zdołał — musiał więc znowu w dawnym stopniu do swoich fizyljerów powrócić. Ale był to już prawdziwy chrzest ognia. Nastąpiła (18 Czerwca) szczęśliwa potyczka pod Zieleńcami — odznaczył się w niej również przyszły wódz legjonów, a zaraz potém i pod Włodzimierzem. Cofające się przed nieprzyjacielem obydwa korpusy Księcia Józefa i Zabiełły, dążyły ku połączeniu się nad Bugiem, i tam bronić się postanowiono. Część rzeki przy Dubience powierzono Kościuszce — tutaj też przyszło do bitwy, dnia 17 Lipca — Kościuszko doczekawszy się nieprzyjaciela w swoich okopach, attakowanym był przez cały ośmnastotysięczny korpus, i po kilkogodzinnej obronie odparłszy trzy razy nieprzyjaciela, gdy ten przeszedłszy granicę austryjacką o którą wódz polski oparł był prawe swe skrzydło, groził mu otoczeniem, musiał się cofać — Kniaziewicz był w arjergadzie, i tu po raz pierwszy dał dowód już nie tylko odwagi i przytomności, ale i wyższych zdolności wojskowych; sformowawszy swój oddział w czworobok, co wtenczas było rzeczą jeszcze mało używaną, i wzmocniwszy go dwóma działami, na swoich barkach utrzymał nacisk Kachowskiego, zasłonił odwrót Kościuszki i znaczną klęskę nieprzyjacielowi zadał. W tej to bitwie zasłużył sobie na świeżo ustanowiony krzyż *virtuti militari.*

Odtąd walka już trwała nie długo. Z Wiednia, z Berlina, a nawet z Drezna, od Księcia któremu Ustawa 3° Maja zapewniała koronę polską, choć ten jej nie przyjął, nalegano na Króla, żeby Katarzynie ustąpił; ona w manifeście swoim, oświadczała się tylko przeciw Ustawie, *zaręczając całość Państwa* — skarb liczył już tylko pół miljona złotych — powitana tak radośnie Konstytucja jeszcze w życie narodu nie była weszła — tajni stronnicy dawnych przywilejów i nierządu występowali na jaw. Król nie znalazł w sobie potrzebnej w takiem położeniu odwagi, i 24 Lipca za radą większości Straży do Konfederacji Targo-

wickiej przystąpił. Marszałkowie Konstytucyjnego Sejmu, nie odwołali się do narodu, nie stanęli wśród wojska; od razu cała, tylko co ustanowiona władza znalazła się w obozie przeciwnym. Król wydał rozkazy wstrzymania wszystkich kroków zaczepnych przeciw Moskwie— zaczęły się rządy Targowicy. Członkowie Sejmu, wielu wyższych wojskowych, mnóstwo patriotów przeniosło się za granicę. Niecna fakcja rządziła krajem. Kossakowscy dokazywali na Litwie—Konfederacja wywracała wszystkie roboty wielkiego Sejmu; nareszte Sejm Grodzieński złożony z posłów pod wpływem Konfederacji wybranych, a obradujący pod grozą bagnetów i armat rossyjskich, drugi rozbiór kraju podpisał: 23 Lipca dla Moskwy, a 24 Września 1793 r. dla Prus; skończył zaś przyzwoleniem (16 Października) na traktat wieczystego przymierza z Moskwą, który słusznie paktem poddaństwa nazwano. Katarzyna zastrzegała w nim sobie prawo dowolnego wprowadzania wojsk swoich do kraju, a bez jej upoważnienia Polska nie mogła odtąd mieć żadnych stosunków z obcemi mocarstwami.

IV.

Kniaziewicz ze swoim pułkiem został w Siedlcach. Przystąpiono do zredukowania wojska; już przed tém 25000 posłanych na Ukrainę, Katarzyna do swojej wcieliła armji, reszta tak była rozstawioną, żeby ją zewsząd przeważne moskiewskie otaczały siły, a Jgielstrom z Warszawy rządzący resztą kraju zapowiedział bezwłoczne zmniejszenie sił narodowych do 15000. Francja tymczasem, ogłosiwszy się niedawno Rzecząpospolitą, toczyła walkę z monarchiczną Europą, a 19 Listopada 1792 r. oświadczyła się z pomocą dla wszystkich powstających ludów. Ku niej zwracały się oczy i nadzieje wszystkich patriotów. Już Dąbrowski, po przyłączeniu się Króla do Konfederacji Targowickiej rzucał myśl, aby pozostałe siły obrócić przeciw jednemu wojsku pruskiemu, a w ostatecznym razie zająć Gdańsk i tam pomocy Francji oczekiwać. Znajdujący się za granicą patrjoci, wysyłali posłów od siebie do mocarstw na których jakiekolwiek nadzieje pokładać mogli. Umocowany przez nich Franciszek Bars obywatel miasta Warszawy, przełożył ówczesnemu Rządowi francuzkiemu (*Comité du Salut public*), projekt powstania w Polsce, który z oklaskami przyjęty, wywołał obietnicę pomocy w miarę możności. Uczucia narodu pod uciskiem ciemiężców potęgowały się z dniem każdym, rozpacz ogarniała wszystkich, i nareszte, uprzedzając ostateczne rozbrojenie, dano znak do powstania. W dzień naznaczony przez Jgelstroma na redukcję armji, 15 Marca 1794 r. stojący w Pułtusku Brygadjer Antoni Madaliński, w Ostrołęce pierwszy

podniósł sztandar niepodległości, a już 24 uroczysty akt zaprzysiężony w Krakowskim kościele Panny Maryi, naczelną władzę złożył w ręce Kościuszki. Po zupełnem zwycięztwie odniesionem przez niego nad Tormasowem pod Racławicami (dnia 4 Kwietnia) podniosła się Warszawa (17 Kwietnia); Żmudź, Wilno (18 Kwietnia); powstanie rozszerzyło się po całym kraju, a Kniaziewicz walczył w niém do samego końca.

Z Siedlec przeszedłszy z kompanią swoją do Lublina, spotkał tam wysłanego przez Naczelnego Wodza Jenerała Zajączka, który znanego już z ostatniej kampanji oficera, wezwał na Naczelnika Sztabu. Oddział Zajączka składał się przeważnie z jazdy, bo część wcielonej do armji rossyjskiej ujść i połączyć się z nim potrafiła; miał jeszcze pułk Działyńskich, który się podczas powstania w Warszawie odznaczył i parę tysięcy kosynjerów. Pole do walki wybrano więc na równinach pod Chełmem (8 Czerwca); siły moskiewskie Jenerała Derfeldena kilkakroć przewyższały nasze, to też, powiada Kniaziewicz, « żołnierz zdawał się tylko pragnąć śmierci ze sławą, bo zwycięztwo widział niepodobném », walczono jednak trzynaście godzin z największą zaciętością a cofając się w końcu , umiano zachować porządek. Derfelden zwrócił się przeciw litewskiemu powstaniu, a Zajączek pośpieszył na pomoc Kościuszce, który w chwili odnoszonego pod Szczekocinami nad Denisowem zwycięztwa, (dnia 6 Czerwca) ujrzał się atakowanym niespodzianie bez wypowiedzenia wojny przez 18000 Prusaków pod dowództwem Fawrata, w obecności samego Króla Pruskiego i cofał się w porządku przez Małogoszcz i Kielce. Przebywszy Wisłę pod Puławami, Zajączek odebrał rozkaz zasłonięcia Warszawy przeciw Fersenowi który w Łowiczu, należącym wówczas do Prus, objął był po Jgelstromie dowództwo nad wojskiem moskiewskiem i stolicy zagrażał. Pod Gołkowem , między Tarczynem a Piasecznem, przyszło do starcia 8 Lipca, na polu wybraném przez Kniaziewicza; 4000 naszych walczyło z kilkonastotysięcznym nieprzyjacielem, ten jednak ze stratą 600 ludzi odpartym został, a chociaż we dwa dni poźniej ze trzech stron uderzył na oddział polski, Kniaziewicz jednak, w swoich czworobokach cofnął się pod Wolę, bez straty jednego działa. Tu awansowanym został na Pułkownika.

Powstanie szerzyło się; po zbrojnem wystąpieniu Prusaków pod Szczekocinami, Rada Najwyższa narodowa (19 Czerwca) wezwała do powstania i Wielkopolskę. Naczelnik rozwijał największą czynność, a stawał się coraz bardziej ulubieńcem narodu. Kniaziewicz tutaj powziął ku niemu tę cześć głęboką, którą przejęte były wszystkie szlachetne serca polskie, która się stała ogólnem uczuciem narodowem. Był też w istocie ten człowiek więcej niż wodzem wtenczas; reprezentował sobą nietylko ówczesne pragnienie niepodległości i gotowość poświęcenia, ale niejako przyszłą jeszcze Polskę. I w rzeczy samej, jak w przedostatnich chwi-

lach politycznego bytu, danem było narodowi wydać ze swego łona tę Ustawę 3 Maja, którą wielbiły wtenczas najświatlejsze umysły w całej Europie, a która pomimo wszystkich klęsk poźniejszych i najrozmaitszych prądów wyobrażeń pozostała drogą narodowi, tak w tym człowieku uznał prawdziwy, narodowy ideał. I dla czegóż tak było? Kościuszko nie miał w sobie nic z tego co od dawna już jedynie jednało popularność u nas; ani znakomitego rodu i dostatków: dwaj z kolei możni panowie, Sosnowski i Żurawski dla tego odmówili mu córek; ani okazałej postawy: wyglądał jak prosty zagrodowy szlachcic, a rysy nie odznaczały się pięknością; ani wymowy nawet: Kniaziewicz opowiadał, że nieraz i rozkazy nie dosyć jasno i dokładnie wydawał, a gdy Nuncjusz papiezki do obozu pod Warszawę przyjechał, wstawiając się za skazanym na śmierć Biskupem lubelskim Skarszewskim, zaledwo kilka nieporządnie skleconych wyrazów na mowę jego odpowiedzieć potrafił. Tam gdzie kochano się w zbytku, w strojach, w mundurach, ozdobach, on chodził w prostej sukmanie; gdzie tak od dawna nadużywano napojów, rozkoszowano w ucztach, on najskromniejsze życie prowadził; kucharz Stanisław nigdy więcéj nad trzy potrawy na stół Naczelnika nie podał, a burgundzkiego wina które lubił nie pozwalał sobie, bo znajdował, że dla przywódcy wybijającego się narodu było za drogie. Kochał lud, bo kochał w ogólności człowieka — żołnierz przepadał za nim, bo o jego potrzebach przedewszystkiem myślił — władzę miał za służbę narodową i był istotnie jakby uosobionem przeczeniem tych wad, które naród przywiodły do zguby (1); gdyby miał jeszcze wiarę Kordeckiego, byłby jedną z największych postaci w historji. Po wielkich wojnach napoleońskich, Kniaziewicz w bitwach Kościuszki jak wszystkich naszych wodzów z tych czasów, znajdował uchybienia, zarzucał mu, że za nadto okopywać się lubił, ale przyznawał zawsze, że miał nadzwyczajnie zimną krew w ogniu i rzut oka szczęśliwy, przyjąwszy zaś na siebie naczelnictwo narodu, cały i bezwarunkowo oddał się pełnieniu swoich obowiązków. Wszystko co było szlachetne i miało serce garnęło się do niego i otaczało miłością, dwór i cała partja królewska jakkolwiek w duszy przeciwna, nadskakiwała więcej niż Królowi. Dawny przyjaciel Kniaziewicza, Juljan Niemcewicz był nieodstępnym towarzyszem, adjutantem, i sekretarzem Naczelnika; stosunek z naszym Karolem stawał się coraz ściślejszym.

Wśród trudów dowództwa i niepokojów o los narodu, zasmuciła boleśnie Naczelnika wiadomość o rozruchu w samej Warszawie i szubieni-

(1) Zapiszemy tu jeszcze, co opowiadał Kniaziewicz, że Kościuszko póki był w kraju, towarzystwo lubił i chętnie go szukał; miał także upodobanie w grach takich jak gotowalnia, cenzorowany, mruczek, i. t p. przyjechawszy do jakiego szlacheckiego domu, zwlaszcza gdzie były panienki, zwykle napędzał do takich zabaw młodzież, i sam się do nich mięszał. W towarzystwach liczniejszych, bo nawet w salonach pierwszego Konsula, obejście jego było pełne prostoty, był bardzo grzeczny, kłaniający się, potulny, i wyglądał według słów Jenerała na ubogiego, niepoczesnego szlachcica.

cach jakie lud przez kilku wichrzycieli podburzony, sam na zdrajców ojczyzny wystawił. Oburzenie na Targowiczanów było powszechne i prędko po wypędzeniu Moskali, dnia 9 Maja, czterech obwinionych o zdradę : Ożarowskiego, Zabiełłę, Kossakowskiego i Ankwicza, w skutek doraźnego sądu, stracono. Kniaziewicz obecny wtenczas w stolicy, miał smutny obowiązek przeprowadzenia ich z więzienia w arsenale do ratusza i był świadkiem ich śmierci (1). Ale wielu jeszcze w więzieniach pozostawało, a 28 Czerwca lud rozdrażniony coraz bardziej groźnemi wypadkami, chciał sam na nich domierzyć sprawiedliwości. Władze miejscowe zdołały wprawdzie większą część obwinionych ochronić, ale krew już była samowolnie przelana. Kościuszko powtarzał, że to sprawie narodowej więcej szkody przynosi niżeli dwie przegrane bitwy — sprawców zamięszania surowo ukarał, a zarazem sądom domiar sprawiedliwości nad obwinionymi o zdradę przyśpieszyć rozkazał.

Warszawa z lewego brzegu Wisły została obsaczoną. Fersen w 14,000 wojska zajął 14 Lipca stanowisko w Służewcu, a król Pruski z 21,500 ludźmi we Włochach; dział oblegający mieli zrazu 107, poźniej jeszcze o czterdzieści więcéj. Kościuszko zmuszony stawić czoło nieprzyjacielowi w rozmaitych stronach kraju, na obronę stolicy zaledwo 9000 piechoty i 5000 jazdy mógł zebrać. Karol Sierakowski wały z piasku na prędce usypał; dział razem z temi co były na okopach, liczono 200, a nieco milicji miejskiej i kosynjerów stanowiło resztę sił. Naczelnik podzieliwszy załogę na 34 bataljony piechoty i 57 szwadronów jazdy, — 6 bataljonów i 9 szwadronów zostawił Zajączkowi między Wolą i Czystem, 8 bataljonów i 18 szwadronów dla obrony Marymontu oddał Mokronoskiemu, którego wkrótce zastąpił książę Józef Poniatowski, niedawno z Naczelnika prosty ochotnik w obozie powstańców, a resztę, pod Dąbrowskim i Ponińskim zostawił przy sobie, pod Mokotowem. Przez sześć tygodni nieprzerwanie ponawiały się potyczki, a Kniaziewicz pełniący jeszcze obowiązki Naczelnika sztabu u Zajączka przy najdalej wy-

(1) Tu zapisać przychodzi anegdotę opowiadaną przez Kniaziewicza; Około 1790 r. była w Polsce pewna francuzka, Panna Germain sławna kabalistka, która wtenczas zajmowała miejsce guwernantki u Hetmanowej Ogińskiej. Raz w Siedlcach, wśród licznego zgromadzenia i w przytomności Kniaziewicza, ciągnęła dla wielu osób kabałę, kiedy zbliżył się do niej Ożarowski, wówczas Hetman Targowicy,prosząc z uśmiechem aby i jemu przepowiedziała przyszłość. Panna Germain położyła karty, ale spójrzawszy na ich układ prędko je zmięszała, nie chcąc powiedzieć co w nich wyczytuje. Ożarowski nalegał, musiała więc karty jeszcze raz rozłożyć, ale znowu je zmięszała, nie chcąc upornie tłumaczyć ich znaczenia. Zaczęto z Francuzki żartować, że sama kabały swej nie rozumie ; rozmowa w końcu przeszła na inny przedmiot i zapómniano o tém, ale nazajutrz, gdy Ożarowski odjechał Panna Germain oświadczyła wszystkim, iż oba razy, raz po raz, wypadło jej z kart, że Ożarowski umrze nie naturalną śmiercią, ale będzie powieszony. Śmiano się z tego jak z niedorzeczności, a Kniaziewicz który sam słyszał tę przepowiednię, nie przypuszczał iż tak prędko będzie świadkiem jej spelnienia. Wszyscy czterej ponieśli śmierć spokojnie. Ankwicz, który był piękny, i do tego stopnia dbał o swą piękność, że nawet kobiecych bielideł używał, stojąc już pod szubienicą zażył jeszcze tabaki, a potem katowi złotą swą tabakierkę darował. Kossakowski miał mowę do ludu, aby nie poprzestając na nich, wyżej winnych szukał; idźcie mówił do zamku, tam Król, który przecież sam jest najwinniejszy.

suniętej dywizji, częściej od innych występował do walki; na góry Szwedzkie, których obrona nie należała do jego dywizji pośpieszył z pomocą Księciu Józefowi, prawie wbrew woli «obywatela» Zajączka (1) niechętnego «książątku» — nocne zaś jego wycieczki z kosynjerami wsławiły Kniaziewicza, jak wsławiły Rymkiewicza i Sokolnickiego wyprawy ze strzelcami których sami utworzyli wtenczas. Nie dowierzano Królowi — podejrzewano go, że się do obozu pruskiego chce dostać; takie przynajmniéj obiegały słuchy, i doszły do Kniaziewicza, gdy przyjechał adjutant z oznajmieniem iż Król jedzie do obozu wojsko obejrzeć. Nie było czasu skomunikować się z Kościuszką, który był na innėm miejscu. Kniaziewicz nie śmiał Królowi wzbronić przyjazdu, a lękał się żeby w istocie nie oddał się w ręce Prusaków; w tej niepewności dał rozkaz jednej z baterji strzelania do nieprzyjaciela, aby i jego strzały wywołać. Wybieg udał się; Król przyjechawszy wziął to za naturalny wypadek oblężenia, a zabawiwszy chwil kilka napowrót wrócił; gdyby nawet miał zamiar udania się do obozu pruskiego, co może w myśli jego nie postało, nie mógłby tego uczynić wtenczas, boby się naraził na strzały dwóch baterji. Po sześciu tygodniach, Prusacy straciwszy w tych potyczkach do 15,000 ludzi, zagrożeni wzrastającem ciągle powstaniem wielkopolskiem opuścili Warszawę, (d. 6 Września) Fryderyk *gruby* uciekł do Berlina, a wojsko jego oszańcowało się w leśnej okolicy, między Rawą a Skierniewicami. Fersen poszedł w górę Wisły szukać przeprawy na drugą jej stronę. Stolica odetchnęła, a Naczelnik posłał Jaźwińskiego za Fersenem, księcia Józefa za Prusakami, Dąbrowskiego na pomoc Wielkopolanom, a Ponińskiego, dla obserwowania Austryjaków, których 15000 od kilku tygodni zajmowało Lubelskie. Rossja tymczasem słała ku Polsce nowe siły pod wodzą Suworowa, który ku Bugowi posuwał się z Podola. Nowe niebeśpieczeństwo groziło tam Sierakowskiemu. W pomoc jemu posłany był z dwóma pułkami jazdy (1200 ludzi) świeżo Jenerałem mianowany Kniaziewicz. Już było za późno; Sierakowski po szczęśliwej bitwie pod Krupczycami (17 Września) zatrzymawszy się 24 godzin w Brześciu, na drugi dzień wpędzony został na Kobylańskie groble i tam połowę ludzi i wszystkie działa utracił. Po tej porażce, spotkał go Kniaziewicz połączony z jazdą Kamieńskiego, pod Łosicami. Razem musieli się cofać. Na ich spotkanie pośpieszył Naczelnik ku Okrzei, zostawiwszy (29 Września) Warsza-

(1) O Zajączku Kniaziewicz odzywał sie z szacunkiem; wysoko cenił jego wojskowe zdolności, i przypisywał mu wpływ znaczny na plany wojenne Kościuszki; dodawał, że nie miał szczęścia do ludzi. Pod Pragą ranny był z tyłu, krzyknięto więc zaraz że uciekał, że zdrajca. Kiedy przyjechał do Medjolanu, do formującego się legjonu Dąbrowskiego, zaledwie się pokazał publicznie, żołnierze przez jego nieprzyjaciół namówieni. zaczęli wołać: precz ze zdrajcą! i musiał zaraz odjechać. W pierwszej młodości był Adjutantem Xawerego Branickiego, i może temu stusunkowi z powszechnie w ostatnich czasach znienawidzonym człowiekiem winien był niechęć jaką spotykał. Podczas oblężenia Warszawy 1794 r. miał opinję zaciekłego Jakubina.

wę w ręku Zajączka; a wkrótce zbliżył się tam Adam Poniński, nie zdoławszy przeszkodzić Fersenowi przejścia przez Wisłę. Chodziło głównie o to, aby nie dopuścić połączenia się jego z Suworowem. Kościuszko zostawił Ponińskiego dla strzeżenia nadchodzącego nieprzyjaciela, a sam z resztą sił zwrócił się ku Wiśle, chcąc rozbić Fersena, zanimby nadszedł Suworow. Myślił że Fersen mniejsze miał siły; dowiedziawszy się o nich dokładnie zaledwo w Maciejowicach, posłał rozkaz Ponińskiemu aby się z nim połączył. Rozkaz ten wysłany został po północy; tymczasem Fersen ufny w przemagające siły, bo miał 15000 ludzi i 67 dział, gdy Kościuszko liczył ich zaledwo 21 przy siedmiu niespełna tysiącach żołnierza, przed świtem attakować zaczął (10 Października) (1). Kamieński dowodził prawem, Kniaziewicz lewem skrzydłem, Sierakowski środkiem. Bitwa od 6 zrana trwała do 2 po południu — Kniaziewicz zaciętszej nie widział w swojem życiu. Gdyby Poniński mógł był nadejść, zapewne zwycięztwo przechyliłoby się na naszą stronę. Lewe skrzydło Kniaziewicza dwa razy w ciągu boju spędziło nieprzyjaciela, i uległo ostatnie, kiedy wieś Oronne, o którą było oparte, ogień zniszczył. Wszystkie wysiłki rozpaczy i męztwa nie pomogły — klęska była stanowczą; nie dla wielkiej liczby poległych — bo nie chcących cofnąć się na krok 4000 żołnierza padło na placu boju, a zostawało jeszcze w innych oddziałach gotowego i uzbrojonego do 40,000 tysięcy wojska, z którem walczyć było można — ale za Kamieńskim: Kościuszko, Sierakowski, Kopeć, Fiszer, Niemcewicz, wszystko co było przedniejszego, okryte ranami dostało się do niewoli; stracił naród od razu tych, którzy byli duszą powstania, w których z miłością wszystkie nadzieje swoje był złożył. Naczelnika okrytego ranami przypadkiem odszukano wśród trupów. Losy powstania a z niem i kraju były rozstrzygnięte — Kniaziewicz podzielił dolę współtowarzyszów. Wzięty do niewoli, razem z Sierakowskim i Kamieńskim odesłanym został do Kijowa (2).

(1) Bitwa właściwie miała miejsce w Podzamczu, o półtory mili od Maciejowic.

(2) Zapisujemy tu jeszcze rzewną anegdotę, przechowaną w notatach Witwickiego, która zasługuje na pamięć. Był w wojsku Kościuszki żołnierz, który umiał świstaniem udawać doskonale śpiew słowika; Kościuszko lubił go témbardziej że to był dobry, zręczny i odważny chłopak. Często w obozie, gdy widział z daleka, że Naczelnik zasiadał do śniadania lub obiadu, świstaniem swojem niby od niechcenia rozpoczętem, ściągał na siebie jego uwagę, i przywołany dostał z rąk Kościuszki szklankę wina lub kawał pieczeni. Pod Maciejowicami, przed samém rozpoczęciem bitwy, słychać jeszcze było tego słowika. Po nieszczęśliwej bitwie, gdy Kościuszko i Niemcewicz byli już jeńcami, z tłumu żołnierzy naszych pędzonych do niewoli, znowu się wesoły świstak odezwał; był ranny i głodny. Niemcewicz poznał go i podzielił się z nim kawałkiem chleba; świstak podziękował, zapłakał ,i poszedł dalej z innymi. Nie było to jednak ostatnie ich spotkanie. Kościuszko i Niemcewicz wypuszczeni z więzienia petersburskiego, jechali przez Szwecję, dążąc jak wiadomo do Ameryki; dla zabicia czasu w podróży, gdy rozmawiali o tém i owém, przyszedł któremuś z nich na myśl i ów młody świstak, co się też z nim stało? czy żyje jeszcze? W tym momencie odzywa się śpiew i rozlega po śniegach; nie chcą wierzyć swym uszom, był to śpiew słowika; zatrzymują pojazd, głos zbliża się, poznają istotnie poczciwego żołnierza — świstaka, twarz tylko miał smutną, zmienioną; uciekł z niewoli, dostał się do Szwecji, i tam znalazł gościnność. Kościuszko chciał go wziąć z sobą, ale polski ło-

Po tej klęsce runęło wszystko. Fersen połączył się z Suworowem i Derfeldenem, Dąbrowski musiał porzucić korzyści swoje w Wielkopolsce i spieszyć na pomoc Warszawie; po dwóch tygodniach, (23 Października) już miasto zewsząd było zagrożone; Prusacy posunęli się do Bzury i Narwi, Austryjacy do Radomia. Rzeź Pragi (4 Listopada) wydała w ręce Suworowa Warszawę (9 Listopada). Henryk Dąbrowski proponował Wawrzeckiemu który zastąpił Kościuszkę aby zebrać pozostałych jeszcze przeszło 20,000 wojska z artylerją,i z niemi, wziąwszy z sobą Króla i członków Rady Najwyższej, jako prawych reprezentantów narodu, przerżnąć się nad Ren, do armji francuzkiej. Plan ten uznano za niemożebny do wykonania. W Radoszycach, 18 Listopada rozwiązało się powstanie. Trzy mocarstwa ułożyły (24 Października 1795 roku) trzeci rozbiór Polski, jak prostą już zmowę między sobą. Stanisław August podpisał za opłatę swych długów akt abdykacji, który mu podała dawna kochanka, w dzień Jmienin swoich, w ten sam dzień który on dawniej, jako jej patronce poświęcony, wybrał był na koronację w Warszawie (25 Listopada).

Wrogom od lat tylu pracującym nad osłabieniem nas, rozmyślnie szczepiącym zło wszelkiego rodzaju w narodzie, zdało się że już dopięli celu, i kamieniem grobowym przywalili Polskę.

V.

Miało to być początkiem zupełnego przeobrażenia. W ciągu kilku wieków broniła Polska Chrześcijaństwo od dziczy mahometańskiej, strumieniami krwi i strumieniami łez brańców swoich, bezustannie uwożonych w tatarski jassyr, ofiarami wszelkiego rodzaju, święciła tę swoją historyczną missję. Zadanie to już było dopełnione. Za rządów ostatniego Sasa, w pokoju, wśród uczt ciągłych i pomyślności zewnętrznej, wszystkie zarody zła w narodzie dojrzały, a w ogólnych europejskich wypadkach już ważyć przestał—nowe miały przed nim otworzyć się zadania, na nowych polach miał stać się żołnierzem tej cywilizacji której był dzieckiem — ale pierwej w sobie samym przekształcić się i z chorób własnych uleczyć musiał, a ofiarą krwi i męztwem przypomnieć się znowu europejskim narodom. Męki jassyru tatarskiego ustały, ale ich miejsce zastąpiły więzienia moskiewskie, austryjackie i pruskie — podziemia kopalni syberyjskich pochłonęły tych, których na galarach tureckich męczyć zapomniano — otwarło się bezdno niedoli przez którą już cały naród, aż do ostatniego swego członka przejść musiał, i w której był powołany oczyścić się i odrodzić na nowo. Praca i służba Ojczy-

wik nie mógł się odważyć na takie ogromne oddalenie od kraju, został. — Czy jego piosnka odezwała się jeszcze nad rodzinnym zagonem, to dzisiaj Bogu jednemu wiadomo.

źnie przestała ograniczać się do jej ziemskich granic — pokolenia całe miały pójść na tułactwo, samowiedne, rozumne, z myślą o Ojczyznie podjęte, i wszystkie pobojowiska, wszystkie cmentarze świata, krwią i kośćmi polskiemi użyźnić jak siewbą lepszej dla narodu przyszłości. Najszlachetniejsi musieli dać przykład, a Kniaziewicz do nich niezawodnie należał; ale pierwsze miesiące przebyć mu jeszcze w kraju wypadło. Przywieziony do Kijowa, i tam za staraniem Józefa Drzewieckiego który się do niego w tej drodze więziennej przywiązał, i potem wiernym już do końca życia pozostał przyjacielem, dostawszy poręczyciela, wypuszczonym został na wolność. Porękę za niego złożył Podolanin Dulski, dziedzic Karpowiec, niegdyś kolega Kniaziewicza w batalijonie fizyljerów. Może jaki krewny okrutnika o którym wspominaliśmy, bo nie raz winy starszych, do okupu ich przez szlachetne czyny pobudzały następców. Musiał też sam jako jeniec wojenny dać słowo że się spokojnie zachowa i nie uciecze. Razem z innymi czekał więc sposobnej chwili, myślami towarzysząc tym z braci, którzy dostawszy się już za granicę, na różnych polach szukali środków służenia Ojczyźnie.

Główne nadzieje wszystkich zwracały się ku Francji. Wprawdzie, młoda Rzeczpospolita niedawno w Bazylei zawarłszy umowę z Królem pruskim, już dla tułaczów nie miała innej rady jak żeby w nim położyli swą ufność; wkrótce jednak zmienić się miały okoliczności. Sklejone na gruzach Polski przymierze, miało wszędzie przeciw nowym ideom francuzkim występować i Rzeczpospolita zagrożona przez Austryję i Rossję, zamierzyła związać z sobą : Danję, Szwecję, i Turcję, wywołać powstanie w Dalmacji, Węgrzech, i Galicji — nastawiono więc ucha tułaczom. Było ich wielu w Paryżu. Bars nawet, pełnomocnik ostatniego powstania mógł służyć za prawowity organ do porozumienia, otaczało go też kilku ludzi znakomitych, jak Wybicki, Jenerał Wielhorski, Karol Prozor i inni, (ci tworzyli tak zwaną Deputację) miał on u Dyrektorjatu zachowanie; w interesie sprawy, należało go otoczyć, wesprzeć, zachować dla narodu organ około którego mógłby się w danym razie zjednoczyć. Do tego przyjść nie mogło — gorętsze umysły, *duchami francuzkiemi* w kraju zwane, nie chciały się koło niczego co istniało szykować. Już pierwej Wojciech Turski przyjąwszy imię *Sarmaty*, przed kratkami Konwencji miał mowę o Polsce i otrzymał od Prezydenta braterskie pocałowanie; teraz, przyjaciele jego z Kasztelanem Dyonizym Mniewskim na czele, utworzyli osobną Deputację, upoważniając ją do kierowania sprawą polską za granicą. Mogło przyjść do zgorszenia jakie często niesforność nasza wywoływała — ale Dyrektorjat, którego widokom odpowiadało wtenczas posługiwać się nami, przymrużył na to oczy — a tajnie sporządzony w Krakowie dnia 6 Stycznia 1796 roku, nazajutrz po zajęciu miasta przez Austryjaków, akt Konfederacji, przyjmował i potwierdzał działania Deputacji paryzkich. Miały więc te kroki nawet sankcję prawną,

narodową. Podskarbi Litewski Michał Kleofas Ogiński z instrukcjami obu Deputacji pojechał do Konstantynopola, a Ksawery Dąbrowski Kujawiak udał się na Wołoszczyznę, dla uorganizowania żołnierza polskiego, którego się tam do 2000 zebrało. Wybicki posłał już był Dyrektorjatowi projekt utworzenia legjonu polskiego; dobrze przyjęty, czekał urzeczywistnienia; lecz przedstawieni przez Deputacje na organizatorów legji, Wielhorski i Zajączek przyjęci nie byli. Tymczasem zjawił się w Paryżu Jenerał Henryk Dąbrowski; ten, prawdziwy twórca tej myśli, noszący się z nią od dawna, a posłom francuzkim w Berlinie znajomy, przez nich Dyrektorjatowi zalecany, poparty przez Klebera który go pokochał, znalazł nareszcie uznanie. Podobał się jego projekt poruszenia ludów słowiańskich przeciw Austryi, a wielka liczba emigrantów francuzkich walcząca w wojskach koalicji, tem przyjemniejszą Dyrektorjatowi uczyniła myśl odwetu. Prawo nie pozwalało wtenczas mieć cudzoziemców w szeregach wojsk Rzeczypospolitej; odesłano więc Dąbrowskiego do Bonapartego, naczelnego wodza armji włoskiej, którego sława i wpływ na losy Francji z dniem każdym rosły. Za jego wdaniem się, stanął z Rządem Lombardskim, ówczesną Rzecząpospolitą Cyzalpińską (dnia 7 Stycznia 1797 roku) układ, mocą którego żołnierz nasz otrzymał tam prawa obywatelskie a komendę i barwy polskie. Legje miały się zwać *Legjami posiłkowemi*. Nie można było liczyć na wielką liczbę żołnierzy między emigrantami, ale Austryja brała rekruta ze świeżo zabranych prowincji polskich i słała go w szeregach wojsk swoich na plac boju; ten opuszczał nienawistne sobie chorągwie i garnął się o ile mógł pod znamiona ojczyste. Dnia 20 Stycznia, ogłosił Henryk Dąbrowski w Medjolanie we czterech językach odezwę do rodaków. Potworzyły się wszędzie tajemne agencje do zbierania pomocy dla Legji, i przeprawiania młodzieży do Włoch. Głuche z początku wieści, a za niemi i odezwy doszły przez Galicję i na Ruś — młodzież i tam zaczęła myślić o Włoszech, a jednym z pierwszych ochotników musiał być Kniaziewicz, dla doświadczenia swego i dla imienia już nawet niezmiernie Dąbrowskiemu pożądany.

Wezwania te znalazły Kniaziewicza zajętego na chwilę osobistem swem szczęściem. Zacnej tej naturze nie było obce żadne szlachetne uczucie. W wędrówkach swoich po Rusi spotkał w jednym ze szlacheckich domów pannę Teklę Żurowską; niegdyś kochał się w niej Kościuszko, ale zamożny ojciec za biednego i nieznanego jeszcze oficera oddać jej nie chciał; teraz, żałując iż na związek córki z tak sławnym dzisiaj człowiekiem nie zezwolił, oświadczył, iż żadnemu jej wyborowi przeciwić się nie będzie. Podobali się sobie wzajemnie, i Kniaziewicz już o połączeniu się związkiem wieczystym zamyślał, gdy w głosie braci i dawnych towarzyszów broni walczących na obcej ziemi, uznał głos wołającej Ojczyzny. Pogodzić obie rzeczy niepodobna było — na ołtarzu obowiązków narodowych złożył osobiste zamiary i nadzieje, i już tylko

przygotowaniom do wyjazdu się oddał (1). Otrzymawszy paszport w Lubelskie, już się tam wybierał, do Wojcieszkowa majątku Kasztelana Suchodolskiego,gdzie mieszkała jego macocha. Kochał ją zawsze jak matkę a na daleką i niebeśpieczną wędrówkę bez jej błogosławieństwa wybrać się nie chciał, i przed odjazdem los jej o ile podobna zapewnić i interesa urządzić postanowił. Zjechał się z nim młody Józef Drzewiecki, zagrzany też chęcią służenia ojczyznie, a nie umiejący jeszcze zdecydować się czy ma do Włoch czy na Wołoszczyznę się udać, dokąd odezwy powoływały także. Kniaziewicz znający elementa jakie się w Wołoszczyznie zbierały, stanowczo go na stronę legjonów włoskich przechylił. Umówili się spotkać w Wiedniu, i dalej podróżować razem.

Coraz więcej młodzieży śpieszyło po tych drogach —legja włoska rosła. Zawiesiwszy na piersi woreczek ziemi ojczystej która ich powieki pokryć miała,biegli młodzi rycerze rzucając domy, rodziny, narażając się na tysiączne niebeśpieczeństwa, biegli tam, gdzie brzmiał śpiew « Jeszcze Polska nie zginęła,» biegli krwią i ofiarą okupywać wolność ojczyzny. Legja Dąbrowskiego przypięła naramienniki z napisem: *gli uomini liberi sono fratelli*, a zawiązana zrazu z 1,200 ludzi, bardzo prędko pod Mantuą już do 5,000 dorosła. Wojskom francuzkim szło szczęśliwie, dochodziły prawie do Wiednia, zdawało się że była pora wykonać ruch przedsięwzięty przy początku kampanji, gdy zawieszenie broni podpisane w Leoben, (17 Kwietnia) odroczyło nadzieje. Należało wstrzymać się z zamierzonemi krokami na Wołoszczyznie, ale Ksawery Dąbrowski należał do *duchów francuzkich*; pozakładał więc na Wołoszczyźnie kluby zamiast pułków, i z dzielnego żołnierza zrobił niesforną hałastrę która *wolnemi głosami* obrała go Hetmanem wojsk polskich. Garstka, nie czekając rozkazu, pod dowództwem brygadjera wołyńskiego Denyski, wpadła na Polesie; kilkunastu legło, dwunastu powiesili Austryjacy, zawiązki legji mołdawskiej rozpierzchły się, więzienia austryjackie napełniły się znowu. *Obywatel* Dąbrowski przeszedł w służbę rossyjską, której był zupełnie oddany. (2)

Miało to miejsce przed zjechaniem się przyjaciół naszych w Wiedniu. Ostrożność ze strony władz austryjackich była wielka, przejazd do Włoch stanowczo wzbroniony. Za staraniem przyjaciół Drzewiecki po dniach kilku dostał paszport do Karlsbadu; Kniaziewicz towarzyszył mu prze-

(1) Tekla Żurowska wyszła poźniej za niejakiego Chwaliboga.

(2) Dziwne są i pouczające losy tego człowieka. On to uformował w Rossji pierwszych ułanów moskiewskich i wysokiego dosłużył się tam stopnia; za jakieś szalbierstwo wysłany na Sybir, powrócił stamtąd i w 1830 roku znalazł się w Warszawie. — Tam znowu gorący udając patriotyzm, szukał stosunków z Kamilem Mochnackim i mięszał się do klubów rewolucyjnych. — Kiedy Paskiewicz przeszedł Wisłę, mianowany został przez niego członkiem tak zwanego Tymczasowego Rządu, utworzonego przez Mikołaja dla zdyskredytowania w oczach Europy Rządu Narodowego. — Poźniej z rozkazu Feldmarszałka pełnił w 1832 roku obowiązki Naczelnika Wojennego w Płockiem.

brany za lokaja. Tam Drzewiecki udaje mocno chorego, a jako obywatel galicyjski (bo i tam miał posiadłość) wyjednywa dla siebie paspo'rt do Saksonji, utrzymując że do Lipska na dalszą kuracyę jechać musi. Na rogatce nie chcą przepuścić podróżnych, bo pasport był tylko przez władze karlsbadzkie wydany; Kniaziewicz nie tracąc przytomności oświadcza strażnikom iż jeden nazad powróci, a swego nieszczęśliwego pana, którego był obłożył poduszkami i materacami, na ich pieczy zostawi i całą odpowiedzialność za następstwa, na nich składa. Strażnicy wyjechać pozwolili. Tym sposobem wydobyli się z Austryi. W dalszej drodze, musieli dla zmniejszenia kosztu szukać towarzyszy, i niedaleko Frankfurtu los ich zetknął z jubilerem wiozącym klejnoty na jarmark; wzięli go do swego pojazdu, a chcąc mu figla wypłatać, Kniaziewicz którego dobry humor wtenczas nie opuszczał nigdy, nie dojeżdżając do Frankfurtu kazał mimo jego wiedzy zawrócić do Giessen. Była tam wtenczas główna kwatera jenerała Soulta i biedny Niemiec ledwo nie umarł ze strachu, gdy nagle nad uchem usłyszał francuzkie *qui vive?* Kniaziewicz tu pierwszy raz poznał Soulta, który odtąd przyjaźń dla niego dochował do końca, a wylękniony i prawdziwie pocieszny jubiler, który to o klejnoty, to o życie ciągle się lękał, bawił wszystkich i dobrze towarzystwo oficerów dla autora tej uciechy usposabiał. Nazajutrz, dano Niemcowi dla beśpieczeństwa eskortę, i z nią szczęśliwy na swój jarmark pojechał— podróżni nasi, jeszcze szczęśliwsi ruszyli dalej. Jenerał dywizji Championnet zatrzymał ich dla przypatrzenia się wielkiemu przeglądowi jaki głównodowodzący jenerał Hoche miał odbyć. Podróżni od jenerała Hoche doznali najserdeczniejszego przyjęcia — od niego i oficerów korpusu mnóstwa oświadczeń przyjaźni, braterstwa — toasty za Polskę powtarzały się często; dał im nareszt ę Hoche listy polecające do Bonapartego, nie dziw więc, że z dobrą otuchą w sercu udali się do Medjolanu.

Przybywszy tam, dowiedzieli się że co tylko było sformowanego z legji, znajdowało się przy armji w Mestri; tam więc udali się do Dąbrowskiego. Jenerał ucieszył się bardzo z przyjazdu Kniaziewicza; był nie dobrze z Józefem Sułkowskim który najlepiej wtenczas u Bonapartego był położony, i spodziewał się że Kniaziewicz stosunek ten złagodzi, albo w końcu Sułkowskiego przy Bonapartym zastąpi. Przybywało wtenczas wielu oficerów z kraju. Dąbrowski doniósł o tém głównodowodzącemu. Sułkowski w odpowiedzi uwiadomił go iż Bonaparte chce widzieć przybyłego z Polski Jenerała. W Passignano przedstawił go Bonapartemu — było to wśród mnóstwa osób czekających na audjencję. «Wiem o ruchu w waszym kraju, powiedział młody zwycięzca, radbym dopomódz, ale gdzie reprezentacja? gdzie Małachowski, Sapieha, członkowie ostatniego sejmu? chciałbym ich widzieć w Medjolanie.»— Wszyscy pod strażą odpowiedział Kniaziewicz. — Bonaparte wskazał na wysłańców z Węgier i Grecji którzy czekali audjencji, i dodał że

rozejm prędko się kończy i on do Węgier pójdzie, gotówby tož samo zrobić dla drugiej strony Karpat, ale skąd weźmiecie broń? zapytał. — «Z rąk nieprzyjaciela, odpowiedział Kniaziewicz, imię twoje dopomoże do zwycięztwa.» — «Poszlę was w awangardzie skończył Bonaparte, z tą wiadomością wracaj jenerale do swoich.» — Chwilę potém widział Kniaziewicz jak Bonaparte posłom austryjackim rzucił pismo pod nogi, krzyknąwszy na cały głos: «Co to za warunki! nie masz pokoju aż go w stolicy waszej podyktuję.»—Powrót Kniaziewicza był radośny, urosły nadzieje legjonistów naszych. Kniaziewiczowi poruczono dowództwo 1 legji — formowanie drugiej oddano Wielhorskiemu. Wkrótce nadszedł rozkaz wyruszenia z miejsca; pewni byli że idą bić się z Austryjakami, duch był najlepszy, przegląd przez dowódcę awangardy Baraguay d'Hilliers odbyty, powiódł się najlepiej, maszerowano naprzód. W tem jednego wieczoru Dąbrowski odbiera list własnoręczny Bonapartego; uwiadamia że zawiera traktat, zapewne nie długo trwały, i każe legjon forsownym marszem odprowadzić do Bolonji. Żołnierze nasi jak gromem zostali rażeni; Dąbrowski zachorował, Wielhorskiemu krew puszczać musiano, Kniaziewicz z boleścią pożegnał tak świeżo zbudowane nadzieje, legjon jednak poprowadził. Zdemoralizowane wojsko, na drodze dopędził Bonaparte, jadący z żoną do Medjolanu; kazał stanąć pod bronią i rzucił nadzieję że jeszcze poźniej odprowadzi ich do kraju. Sama, piórem z kapelusza mężowskiego obdzielała na pamiątkę oficerów. Wielu z nich już przemyślało o powrocie do domów, ale po naradzie, obowiązali się czekać jeszcze i dali sobie słowo przez trzy lata legji nie opuścić. Dąbrowski pojechał do Medjolanu — Kniaziewicz legję swoją do Rimini poprowadził.

Przez Dąbrowskiego, jako swojego wodza, odzywali się legjoniści do Bonapartego, wynurzając mu nadzieje, że na kongresie który miał się zebrać w Rastadt prawa Polski przepomniane nie będą, i że ci którzy teraz walczyli obok żołnierzy francuzkich, otrzymają prawo *reprezentacji narodowej* wśród tych narad. Bonaparte odpowiedział, 13 Lipca 1797 (25 Messidora r. V.) «że życzenia wszystkich przyjaciół wolności są za Polską, ale ziszczenie ich zależy jeszcze od czasu i przeznaczeń» a zawarty (17 Paźdz. 1797) traktat w Campoformio, nic o Polsce nie wspomniał. Owszem, Rzeczpospolita krając państwa po myśli swojej jak je dotychczas krajali monarchowie, usprawiedliwiała to potrzebą przywrócenia równowagi politycznej, naruszonej przez rozbiór Polski. Rzesza niemiecka przyjmowała (28 Listopada) tenże rozbiór do swoich ratyzbońskich archiwów, jakby na jego usprawiedliwienie, a trzy dwory które go dokonały, zobowiązywały się tajnie, nie pomieścić pod żadnym pretextem imienia Polski w tytułach swoich. Nigdzie więc bliższych nie było nadziei — nosili je jednak w duszy legjoniści i czekali.

W oczekiwaniu tém, wiele biedy przenieść, wiele cnót dawniej dla

nas najtrudniejszych, rozwinąć w sobie musieli. Dosyć długo przyszło im pozostać w Rimini. Niedostatek był wielki; na kilku jenerałów, jeden tylko Dąbrowski posiadał konia, i to ofiarowanego mu przez Cyzalpińską Rzpltę. Z początku nie pobierali żołdu, a tylko racje, że zaś liczba ochotników większą była nad przepis, i żywność nie wszystkich dochodziła, wielu rzeczy brakowało, ale duch był najlepszy; dzielono się po bratersku; oficerowie których z kraju przybyło najwięcej, zajmowali ochotnie miejsca podoficerów i żołnierzy. Nie widziano dotychczas takiego przykładu w kraju, i przeobrażenie podobne mogło stać się tylko między ludźmi którzy czuli, że równe niebeśpieczeństwa dla tejże samej idei, dla Ojczyzny przenieśli, których prawdziwe poświęcenie i wyższe uczucie na obcą ziemię zaniosło. Między dowódzcami, jeden tylko Dąbrowski liczył się Jenerałem, inni, a między nimi Kniaziewicz uważani byli tylko jako dowódzcy legji, co odpowiadało niejako stopniowi pułkownika. Korzystając z pokojowych wczasów, zajęto się urządzeniem szkółek dla żołnierzy; zacny Wybicki towarzyszył legjom i pismami swemi starał się kształcić rodaków — Paszkowski, Rymkiewicz i inni wykładali matematykę, języki — Cypryjan Godebski pisał *Dekadę Legji* czytywaną zrazu w rękopiśmie z dziennemi rozkazami bo na druk funduszów nie było; zawierała ona wiadomości z dzienników bliżej legjonistów mogące obchodzić i wyjątki z dzieł miejscowych, nieraz literackie urywki; poźniej, kiedy się na druk zdobyto, w niedostatku polskich, posługiwano się czcionkami włoskiemi w których naturalnie kilku naszych liter nie dostawało — Drzewiecki składał piosenki. Legje miały swoją odrębną literaturę, bo były same, jak słusznie powiedział Mickiewicz, początkiem Polski nowej. Zostawały w ciągłym związku z krajem — kraj żył w nich i niemi jakby oddychał; czując się w tych zastępach, krzepił się ich męztwem a słysząc z daleka dolatujący odgłos ich pieśni nadziei, łatwiej znajdował w sobie siłę do pracy na rodzinnym zagonie, do przechowywania obyczaju i pamiątek przeszłości. Pomogły one niezmiernie do przetrwania pierwszych, najcięższych lat po rożbiorze. Wieśniak polski przyniósł jeszcze z sobą religijne uczucie, które go od wojsk francuzkich tego czasu różniło i szacunek na ziemi włoskiej dla legjonów jednało. (1) Wiarusy nasi wszystkich jenarałów nazywali Bartkami, a Bonapartego Bartkiem starszym, a było to tak ogólne, że nawet z przełożonymi swymi nie innych używali wyrazów; Francuzów nie wiadomo dla czego nazywali Mazurkami.

(1) Sławny poźniej z zadziwiających lingwistycznych znajomości Kardynał Mezzofanti, chcąc przygotować się do słuchania spowiedzi naszych wiarusów, wyuczył się po polsku. Był to pierwszy obcy mu zupełnie język, którego poznanie odkryło jemu samemu tę wyłączną zdolność, i pobudziło do uczenia się innych języków, a tem samem stało się początkiem całego lingwistycznego zawodu.

VI.

Legje czekały nowych wojen z nieprzyjaciołmi ojczyzny, ale pierwej nim do nich przyszło, jeszcze wiele krwi przelać miały. Użyto ich przeciw Włochom. Krwawy rozruch w Rzymie wywołał zemstę Rzeczypospolitej francuzkiej, i z początkiem 1798 r. Kniaziewicz odebrał rozkaz posunięcia się naprzód. Zajęto do Państwa Kościelnego należące miasteczko San-Leone, a kiedy ludność rzymska obejściem się Francuzów zniechęcona, burzyć się zaczynała, wezwano legje nasze na załogę do świętego miasta. Szedł Kniaziewicz przez Pesaro i Imolę; w pierwszem z tych miasteczek przyjął naszych gościnnie kardynał Saluzzo, ostatni Legat papiezki w Polsce; i on i otaczający go pamiętali żywo Warszawę, wspominając gościnność i pobożność polską, polecali wyssanym z mlekiem uczuciom stolicę świętą; w Imoli stanął Kniaziewicz w pałacu kardynała Chiaramonti, który niedługo potém pod imieniem Piusa VII miał w chrześcijaństwie zasłynąć; i ten pochwalał legje za wyniesione z kraju uczucie wiary i poszanowania dla kościoła, a ze współczuciem o nieszczęściach Polski mówił; odjeżdżającego żegnał błogosławieństwem serdecznem. Dalsza droga prowadziło na Loretto. Tam czekało legjonistów niespodziewane wrażenie; uformowanym w czworobok na miejscu uświęconem, wyniesiono z kościoła chorągiew Mahometa pod Wiedniem zdobytą i szablę którą Jan III po tem zwycięztwie Królowej Niebieskiej w hołdzie złożył. Rząd francuzki oddawał je w darze legjonowi polskiemu jako narodową pamiątkę. Żołnierze padli na kolana, łzy polały się strumieniem i pieśń z głębi piersi popłynęła na cześć Boga Rodzicy z modlitwą o miłosierdzie nad ojczyzną.

Niebawem, w dzień drogiej Polakom rocznicy trzeciego Maja stanęła legja w Rzymie; trojgiem wejść, trzema kolumnami weszła na kapitol, a Dąbrowski pod posągiem Marka Aureljusza odezwał się do braci: « Stanęliście rzekł na szczycie góry, na której błyszczy sława tylu wieków; pomnijcie w jakim dniu tu wstępujecie, niech godło sławy i miłości kraju tkwi zawsze w sercach waszych.» Tłumy ludu przypatrywały się naszym zastępom; nieznane rysy, słowa niezrozumiałe, kazały wielu wnosić, że to żołnierze Cesarza Rzymskiego — brano nas za lud Kościołowi przychylny, przychodzący na obronę jego i wiary — jako różnych od znienawidzonych Francuzów przyjęto najuprzejmiej. Klasztor Ara-Coeli przerobiono na koszary dla legii; Kniaziewiczowi mieszkanie w kapitolińskim wyznaczono pałacu. Wiara ze wzruszeniem obchodziła kościoły i miejsca święte, a jakież było uszczęśliwienie, gdy się dowiedziano, że jest w kościele ś. Piotra ksiądz Polak, który spowiedzi słucha i laską pokutników rozgrzeszając dotyka; mnóstwo cisnęło się

do polskiego konfesionału; to Włochów dla nas jednało i sprawiło że między nami i Francuzami robili zawsze różnicę; starali się nawet oderwać nas od Francji, i dla uczuć religijnych na swoją przeciągając stronę. Mieli jednak nasi chwile w których boleśnie uczuć im przychodziło, iż nieraz używani byli wbrew narodowym uczuciom i tradycji. Mężny i zacny Drzewiecki opowiada, że kiedy im kilku, Pius VI. w Siennie z żalem powiedział : że nie przypuszczał aby Polacy, których ojcowie żyli w miłości Maryi i tyle jej świątyń wznieśli, o których i teraz zapewniają że w wierze katolickiej żyją, mieli z tak daleka lecieć, o broń prosić i walczyć z Rzymem, który ich tyle razy wspierał; uczuli jakby wyrzut i upokorzenie wewnętrze, i długo z tego wrażenia otrząść się nie mogli.

Ogłoszona Rzeczpospolita rzymska podobała się z razu Rzymianom. Jenerałom naszym poruczyli uformowanie legji rzymskich. Pobyt w Rzymie stawał się przyjemnym; emigracyjne tylko zakłócić go przyszły niechęci. Wspomnieliśmy wyżej, że w Paryżu dwie między rodakami uformowały się były deputacje, jakby agencje narodowe; te zawsze chciały kierunek wszystkiego co się do sprawy polskiej odnosiło mieć w swojém ręku i niechętnie patrzyły na niezależne od nich stanowisko Dąbrowskiego. Nie jeden z ludzi przybyłych z kraju zazdrościł mu jego, najbardziej wojskowi dawni, bezczynnie na bruku siedzący w Paryżu; rzucano rozmaite potwarze na niego i Kniaziewicza, sejmikowano, krzyczano, nareszte wysłano do Rzymu deputację której główném przeznaczeniem było usunąć obu wodzów, a na ich miejsce postawić Jenerała Jerzego Grabowskiego Jnspektora litewskiego i Rymkiewicza. Deputację składali : wspomniony Grabowski, Neuman, Ostrowski obywatel z Wołynia, Władysław Jabłonowski dla ciemnej płci zwany *czarnym*, który po odjeździe Kniaziewicza do legji nadreńskiej objął dowództwo nad legją pierwszą a w St. Domingo zginął, i Wojciech Turski. Deputacja przyjechawszy do Rzymu zaczęła podburzać oficerów przeciwko Dąbrowskiemu, ogłaszając go potajemnie za zdrajcę, a korzystając z tego że przy wielkiej liczbie przybywających z kraju nie wszyscy stopnie otrzymywać mogli, i stąd były niechęci, zbierała przeciw Jenerałowi podpisy, chcąc użyć ich potém przed Rządem francuzkim. Chłopicki ówczesny Major legji pierwszej odkrył Kniaziewiczowi te wszystkie knowania, a ten potrafił im koniec położyć. Ostrzeżony Dąbrowski zebrał u siebie sztab-oficerów o których przychylności dla wysłańców paryzkich wiedział, i zaproponował, żeby razem Championneta odwiedzić chcieli. Radzi byli temu, i poszli. W salonie Głównodowodzącego, Dąbrowski, wziąwszy go na stronę ostrzegł o niebeśpieczeństwie podkopania karności wojskowej; Championnet widząc, że ze sztaboficerami do niego przyszedł, chciał z nimi o tym przedmiocie mówić, — gdy się okazało że żaden po francuzku nie umiał, podziękował im grzecznie za gorliwość i dobre chęci i po-

żegnał. — Dąbrowskiego upoważnił do wysłania niektórych delegatów z eskortą za Alpy. Kniaziewicz znowu wymógł na Dąbrowskim przyrzeczenie iż nominacje odbywać się będą nadal zgodnie z ogólnem życzeniem legjonistów; organizację legji rzymskiej oddano Jabłonowskiemu i Grabowskiemu, intrygi się przecięły. Było to przed samą wojną neapolitańską.

Rosnąca w Rzymie ku Francuzom niechęć, tworzące się w okolicach jego powstania, słabe w końcu ich siły, wszytko to razem ośmieliło Neapolitańczyków, że wojnę rozpoczęli, a tak nagle, iż nieprzygotowani do niej Francuzi, Rzym (dnia 29 Listopada 1798 r.) opuścić musieli i cofnąć się do Civita Castellana. Legja nasza wyszła z resztą armji; Kniaziewicz który dla zatrudnień zaledwo mógł w nocy za legją swoją pospieszyć, musiał jeszcze na odjeździe samym dać przykład surowości. Opuściwszy swoje mieszkanie usłyszał na jednej z odległych ulic krzyk, a przybiegłszy tam, znalazł trzech naszych żołnierzy rozbijających kufer, przy którym leżały dwa trupy kobiety i dziecka, była to właścicielka kufra, a żołnierze jej zabójcami. W kilka godzin, wszyscy trzej zostali rozstrzelani, co posłużyło do wstrzymania żołnierzy od podobnych nadal nadużyć, i zachowania dobrej legjonom naszym opinji.

Dąbrowski wtenczas znajdował się w Medjolanie; Głównodowodzący armją francuzką Jenerał Championnet, dodał Kniaziewiczowi legję rzymską, pół brygady francuzkiej, trzy szwadrony jazdy, trzy działa, i złożoną tak dywizję postawił na prawem skrzydle. Skrzydłem tem dowodził Macdonald. Siły Neapolitańczyków stosunkowo były ogromne i wszystkie wsie i miasteczka powstawały przeciw Francuzom. Kniaziewicz posłany na drugą stronę Tybru, aby nieprzyjaciela atakował w Magliano, wziął szturmem okopy, z bagnetem w ręku wyparł go z miasteczka, zabrał namioty i bagaże (1); poczém znowu Fabrica i Fallari szturmem także dobywać musiał. Tymczasem Kellermann odniósł zwycięztwo pod Monterosa, a wielkie siły neapolitańskie szły przeciw obozom francuzkim. Kniaziewicz dowiedziawszy się (4 Grudnia) że Książe de Saxe z 9000 wojska już był niedaleko Fallari, niedowierzając swym siłom dosiadł konia i sam z tém doniesieniem udał się do Macdonalda spodziewając się że go wódz francuzki artylerją

(1) Mamy o tém zwycięztwie następujące urzędowe świadectwo:

Wojsko Rzymskie. Sztab główny, główna kwatera w Terni. 12 Frimaire r. VII (2 Grudnia 1798) Rozkaz dzienny.

« Podaje się do wiadomości wojska, iż kolumna Neapolitańczyków, złożona z 5000 żołnierzy, atakowała wczoraj miasteczko Magliano i zdobyła takowe. Jenerał Macdonald rozkazał Jenerałowi Kniaziewiczowi aby z 300 ludźmi wziętymi w swej legji, odebrał Magliano. Po żwawych strzałach zmusił polski Jenerał nieprzyjaciela do ucieczki, zabił mu lub ranił wielu, zabrał aptekę i wszystkie wojenne zapasy, wziął w niewolę oficera i wielu żołnierzy. Polacy odznaczyli się bohaterstwem. Godnem jest uwagi iż oddział złożony z 300 ludzi odparł zwycięzko 5000 Neapolitańczyków.

JENERAŁ LEOPOLD BERTHIER. Szef Sztabu Głównego. »

swoją wesprze. Macdonald za całą odpowiedź powiada mu tylko, że Kellermann własnemi siłami odniósł zwycięztwo. Kniaziewicz zrozumiał przymówkę. Mniejsza oto zawołał, nie potrzebuję niczyjego przykładu abym obowiązku mojego dopełnił; natychmiast zwróciwszy konia,pobiegł gniewny ku swym hufcom, i nie czekając nieprzyjaciela, sam na spotkanie jego wyruszył. Szczęśliwie wybrana pozycja, trafne użycie artylerji, a nadewszystko przytomność wodza i męztwo żołnierza, dały mu zupełne zwycięztwo. Rozbity nieprzyjaciel stracił dwanaście dział i trzy tysiące niewolnika; sam Książe de Saxe o mało się w ręce Kniaziewicza nie dostał, i tylko osobistemu męztwu winien był ocalenie. Podczas bitwy, Macdonald przysłał do Kniaziewicza adjutanta z uwiadomieniem, iż mu część artylerji w pomoc posyła, ale ten w tej chwili już pewien zwycięztwa, odprawia posłańca z zimną odpowiedzią, iż pomocy nie potrzebuje; dokonawszy zaś bitwy, posyła Macdonaldowi raport o zwycięztwie. Dnia tego na całej linji wojska neapolitańskie odparte zostały. Kniaziewicz za całą odpowiedź na swoje doniesienie odbiera następujące tylko wyrazy: « Rozkazuje się dowódzcy pierwszej legji polskiej, aby jutro, punkt o godzinie piątej rano, stawił się w głównej kwaterze. » Zdziwiony i rozjątrzony nasz bohater, spełniając rozkaz, przybywa na naznaczoną godzinę. Macdonald otoczony całym swym sztabem, przyjmuje go z najobojętniejszą twarzą. « Nie kontent jestem z Jenerała, odzywa się naresztę, wolno Polakowi mierzyć się z Francuzem w męztwie, wolno mu go w niém nawet i przewyższyć, ale ty Jenerale odpowiedzią jaką dałeś mojemu Adjutantowi chciałeś nas przewyższyć i w fanfaronadzie; za karę musisz zaraz wejść do tego pokoju. » W tej chwili otwarte drzwi ukazały stół pyszném zastawiony śniadaniem. Wesoły śmiech do którego Kniaziewicz był zawsze bardzo łatwy, przy uściśnieniach kolegów i wypróżnieniu kilkunastu butelek doskonałego wina, były zakończeniem tego obozowego żartu.

Zwyciężcy ścigali nieprzyjaciela, legja nasza wszędzie była czynną. Kniaziewicz z Jenerałem Mathieu, okrążyli 9 Grudnia Calvi, gdzie poddało się im 5,000 żołnierza; Jenerał Mack, schronił się do Rzymu,z którego także przed zwyciężcami ustąpić musiał. Ściga go aż do Terraciny Kniaziewicz, kartaczami oczyszczając drogę z pozastawianych na niej zasadzek. Cofający się w granice swoje nieprzyjaciel, osadził działami wielkiego kalibru wąwozy między Terracina i Fondi. Na rozkaz Kniaziewicza, o brzasku zorzy, obszedł je ze swoimi strzelcami Józef Chłopicki; on sam na górę najwznioślejszą wprowadza kilka granatników, ucisza działa nieprzyjacielskie, zapala jego prochy, i taką trwogę przed siebie rzuca, że najtrudniejsze przeprawy stanęły mu otworem. Korzystając z tego przestrachu, Kniaziewicz na czele kilku szwadronów jazdy zapędza się aż pod Gaetę; tam, dostrzegłszy z góry jak statki skwa-

pliwie uciekały z portu, posyła śmiało adjutanta Ksawerego Kosseckiego do twierdzy, ze zwykłemi w podobnych razach groźbami; przyzwala (jakby mógł tego zabronić) na odpłynienie zebranej w porcie floty, i otrzymuje kapitulację jednej z najwarowniejszych twierdz, którą poźniej Massena ze znacznem wojskiem przez trzy miesiące oblegał; 4,000 żołnierza, 63 oficerów, 70 dział, 22 moździerze i ogromne zapasy żywności i prochu wpadły w ręce zwycięzcy. Championnet mianował go Jenerałem brygady. « Czytelniku, mówi Kniaziewicz w swojej autobiografji, nie chciej ważnego tego dzieła przypisywać wielkim moim przymiotom wojskowym, nadzwyczajnej odwadze; po prostu nie postrzegłem się żem tak blizko dotarł warowni. Gdyby nieprzyjaciel nieco tylko był ostrożniejszym, odciąłby mnie od korpusu; w tém chybił, że cofając się w lewo, nie miał baczności na poruszenia moje przy rozchodzących się drogach. Mnie zaś, gdym zapędził się pod warownię, nie pozostało jak nadrobić miną. » Nastąpiła wkrótce bitwa pod Kapuą; po niej Championnet zajął Neapol. (23 Stycznia.) Kniaziewicz zostawiony był nad rzeką Garigliano dla zabeśpieczenia z tyłu pochodu armji i tam kilka miast małych szturmem zdobywać i drobne potyczki staczać musiał. Ale Championnet lepiej od samego Kniaziewicza oceniał szybkość pogoni, odwagę, śmiałość, przytomność, jednėm słowem zasługę jego i wojenne przymioty; spotkał go więc najwyższy w owym czasie zaszczyt, wybranym został do złożenia Dyrektorjatowi zdobytych na nieprzyjacielu chorągwi i zabranych w Neapolu znaków królewskich. Zaraz puścił się w drogę, wziąwszy z sobą kapitanów, Drzewieckiego i Kosseckiego którzy kampanję całą jako adjutanci jego pełnili. Ostrzeżono ich w Rzymie, że podróż dla wojskowych z powodu wzburzonych umysłów i trwających jeszcze gdzie niegdzie powstań była niebeśpieczną; mundury poszły do tłomoków, a podróżni nasi w cywilném odzieniu puścili się w drogę. Otsrożność ta nie była dostateczną. Około Aquapedente mieli napotkać wielkie niebeśpieczeństwo z którego wybawiła ich tylko przytomność Kniaziewicza. Lud cały tej okolicy był w powstaniu i na jeńcach jakich dostawał, dopuszczał się najdzikszych okrucieństw; dowiedziawszy się o tém, podróżni myśleli o zmienieniu drogi; Kniaziewicz tylko wąsy swoje i towarzyszów pogolić kazał, i ruszył dalej, a kiedy lud sfanatyzowany z krzykami i groźbą otoczył pojazd, rozkazującym głosem zawołał, aby mu natychmiast dany był posłaniec do Biskupa, utrzymując że jest posłem hiszpańskim. Pocztylionom pod zagrożeniem śmierci toż samo twierdzić nakazał. Dano mniemanemu Hiszpanowi posłańca, a Kniaziewicz pisze do Biskupa następujący list : «Za chwilę przybędę do Aquapedente, jestem Polakiem, jenerałem armji francuzkiej, dla ocalenia życia od zbuntowanego motłochu wziąłem na siebie tytuł posła hiszpańskiego. Jeśli mnie wydasz, bądź pewny iż śmierć moją odpłacisz śmiercią własną, śmiercią wszystkich buntowników i nieszczęściem

całego kraju; dosyć mi jest uwiadomić was o tém czego zapewne jeszcze nie wiecie, iż Neapol już jest w ręku naszém. Jeśli przyjmiesz mnie w Aquapedente jako posła hiszpańskiego i dalszą drogę ułatwisz, daję słowo honoru Polaka, iż na wstawienie się moje do władz francuzkich, jakie natychmiast uczynić jestem gotów, zostaniesz ocalony sam i wszyscy buntownicy którymi dowodzisz; wymagać tylko będę, aby bunt natychmiast został uśmierzony.» W kwadrans, po wysłaniu tego listu ruszył Jenerał do Aquapedente, otoczony ciągle zgrają powstańców pragnących się dowiedzieć czy jest istotnie Hiszpanem. Adjutanci byli pewni, że jadą na śmierć. Wjechawszy do miasteczka, pocztyljon zapytuje dokąd ma zajechać? Do pałacu Biskupa, odpowiada Kniaziewicz. Biskup czeka na progu, z honorami wprowadza mniemanego posła, zamyka się z nim w osobnym pokoju, a tam pada na kolana i prosi o przebaczenie. Kniaziewicz powtarza dane raz zapewnienie, listem napisanym do Championneta ocala Biskupa, a sam szczęśliwie z towarzyszami dostaje się do Paryża. W tej całej przeprawie stracił tylko wąsy; nowe, nim przyjechał do Paryża nie były tak okazałe, nie miały na sobie dymu bitew, ale paryżanki (słowa spółczesnego pisma) znajdowały, że zwycięzcy który przywoził sztandary, i z niemi było do twarzy.

Wizyty officjalne u członków rządu i reprezentantów rozmaitych nowo potworzonych Rzeczypospolitych, zajęły dni pierwsze, a czekało Kniaziewicza milsze i droższe przyjęcie; Kościuszko wróciwszy z Ameryki już był w Paryżu; w domu Barsa zbierało się wszystko co było mu najmilszego. Niedawny Naczelnik narodu do łez rozczulił się witając swego towarzysza broni którego zdolności był odgadł — tam otoczyły go najpoważniejsze nasze postaci — upatrywano w nim człowieka który łącznikiem pomiędzy legjonami i rozpierzchłą bracią stać się może, a za skromnym stołem Kościuszki, [ci których miłość własna lub opinja roździeliły, przy Kniaziewiczu podali sobie dłonie. W imieniu legjonistów, oddany był Kościuszce miecz Sobieskiego z Loretańskiego kościoła, «bo jego dłoń tylko, jak wyrażali się oni, godną była nim władać,» Kościuszko za dar ten dziękując pisał: «Dałby Bóg abyśmy raz jeszcze połączeni walczyć mogli przeciw tyranom naszym, a zwyciężywszy ich, złożyli szable nasze z mieczem Sobieskiego, w świątyni pokoju uwieńczonego wolnością i szczęściem rodaków.» Sam udarował Kniaziewicza pałaszem, który w przejeździe przez Sztokolm, w darze od Króla szwedzkiego otrzymał. Była to najcenniejsza dla Kniaziewicza pamiątka.

Dyrektorjat ze swojej strony wynagradzając męztwo Kniaziewicza, przysłał mu w darze broń honorową, najwyższą nagrodę jakiej udzielano wtenczas, kiedy krzyżów żadnych nie było (1), a obchód uroczysty zło-

(1) Broń taka honorowa składała się z karabina, szpady, pałasza, i pary pistoletów, wszystko kosztowne i ułożone razem w jednej szkatule. Oficerowie otrzymywali szpady lub pałasze honorowe, żołnierze zaś karabiny w srebro oprawne. Poźniej, kiedy ustanowiono Legję honorową, szkatułka z

żenia chorągwi, odbył się na dziedzińcu pałacu Luxemburskiego gdzie wtenczas zasiadał Dyrektorjat francuzki (dnia 8 Marca 1779 roku.) Zaproszono obecnych w Paryżu Polaków, naznaczono między minisrtami miejsce Kościuszce; Minister wojny przedstawił Dyrektorjatowi Kniaziewicza i jego towarzyszy — huczne oklaski ludu któremu się podobały ich marsowe postawy i mundury niezwykłe, przywitały wchodzących. Minister wojny w napuszonej onego czasu mowie, zdając sprawę z kampanji neapolitańskiej, powiedział : «że Polacy dowiedli w niej, iż dla zachowania niepodległości ojczyzny nie brakło im ani męztwa ani talentu; zaszczyt który jednego z nich oto spotyka, jest słuszną nagrodą ich cnoty i zasług; godni są, aby pomiędzy nami znaleźli ojczyznę i wolność. » Kniaziewiczowi, w przemówieniu jego zaledwo tyle umieścić pozwolono iż : «Polacy przepełnieni wdzięcznością dla wielkiego narodu, poprzysięgli w duszy, że sprawa Francji zawsze pozostanie im świętą, gdyż uważają ją za nieodłączną od sprawy ich własnej ojczyzny. » Odpowiedział mu Prezes Dyrektorjatu Barras, mową długą, w której, po uwielbieniu wojska i szczęścia Rzeczypospolitej, odezwał się w końcu do naszego Jenerała : « Powracaj do tych mężnych współbraci którzy przenieśli wygnanie nad niewolę i powiedz im, że Rzeczpospolita przyięła ich za dzieci swoje a Francja będzie im ojczyzną.» Zasadzono przed pałacem drzewo wolności,

bronią, nadawała stopień Komandora.

Oto jest pismo Ministra Wojny do Kniaziewicza, przy którém mu broń kosztowną przesłano.

Paris. Nivose. an VII de la République française une et indivisible. Le Ministre de la Guerre au Général Kniaziewicz, Commandant une Légion Polonaise à l'Armée de Rome.

En rendant compte au Directoire éxécutif des avantages remportés sur l'armée napolitaine par les troupes de la République, le Général Championnet lui a fait connaitre, Citoyen-Général, avec quelle bravoure Vous avez conduit à la victoire les légions polonaise et romaine, et notamment dans la défense du camp de Civita Castellana. En Vous associant aux exploits des soldats français le Directoire Exécutif avait déjà donné une preuve de sa confiance dans un brave défenseur de la liberté polonaise; il se plait aujourd'hui à donner à un fils adoptif de la grande nation un témoignage de sa satisfaction, en Vous décernant un des prix destinés aux Chefs de ses guerriers; il offre à Votre valeur une récompense digne d'elle, en Vous faisant don d'une armure de la manufacture nationale. Le Directoire m'a chargé de Vous la faire parvenir, je me fais un plaisir de Vous en prévenir et de Vous annoncer qu'elle Vous sera incessamment adressée.

Recevez, Citoyen-Général, l'assurance de l'estime particulière que je porte à Vos vertus guerrières.

Salut et fraternité. SCHERER.

Sam Dyrektorjat następném pismem dziękował Kniaziewiczowi :

Paris le 1 Pluviose. an VII de la République française une et indivisible. Le Directoire Exécutif au Citoyen Kniaziewicz, Chef de Brigade de la Légion polonaise faisant partie de l'armée de Rome.

Le Directoire Exécutif a lu avec satisfaction, Citoyen, le récit du courage, que Vous et Votre brave légion avez montré dans l'attaque de Gaëte que l'armée française vient d'enlever au Roi de Naples. Vous vous êtes montré digne de la cause que Vous avez embrassée. Vous avez bien mérité des hommes libres. Le Directoire à applaudi à la justice que le Général Championnet Vous a rendu en Vous nommant Général de Brigade; il apprendra avec plaisir que le Directoire de la République Cisalpine ait confirmé cette promotion. La conduite des Capitaines Jliński et Laskoryski (podobno Lanckoroński) et du Lieutenant Linkiewicz dans la même circonstance, mérite aussi des éloges. Le Directoire Vous invite à leur en témoigner sa satisfaction.

Le Président du Directoire Exécutif,

REVAILLER LEPEAU.

rozpoczęły się uczty publiczne i na tém się wszystko na teraz skończyło.

Słowa Barrasa odbiły się smutno w duszy Kniaziewicza, Kościuszki i innych przytomnych uroczystości rodaków, bo wszyscy pokładając nadzieje na Francji, i wyglądając ciągle wojny za ojczyznę, spodziewali się przynajmniej wyraźnej o Polsce wzmianki, wszakże i one były już wielkim nabytkiem. Dawszy się tak łatwo pokonać i rozebrać, przestawszy od tak dawna ważyć na szali europejskich wypadków, cóż dziwnego, że męztwem kilku tysięcy i krwią ich nawet nie mogliśmy jeszcze win naszych okupić. Nie dosyć było żeby krzywda nasza, nasze prawo mówiło za nami, musieliśmy pierwej przekonać Europę że odbudowaną ojczyznę utrzymać potrafimy, i że ona nadal sprawie wolności i cywilizacji służyć jak niegdyś będzie mogła. Zaczynaliśmy już prawdziwie wkupywać sie znowu do rodziny europejskiej, najtrwalszym sposobem, bo krwią i poświęceniem wpisywaliśmy się w pamięć narodów, i to było zasługą i owocem legjonów; od miary dalszych usiłowań i wytrwałośći naszej zależeć miało osiągnienie celu.

VII.

Usługi oddane przez legje nasze we Włoszech, podały myśl utworzenia podobnych posiłkowych hufców przy innych Rzeczachpospolitych. Horyzont polityczny zachmurzał się znowu, nowa koalicja przeciw Francji tworzyła się i spodziewano się walk stanowczych. Austryja chcąc zapobiedz dezercji polskich żołnierzy, pułki galicyjskie przeniosła nad Ren; myślano więc naprzeciw nim postawić nowe legjony polskie. Kniaziewicz dla tego nie wrócił już do Włoch. Zraniony doświadczonym w nadziejach swoich zawodem, na projekta rządowych osób francuzkich, w memorjałach im podawanych odpowiadał wtenczas ciągle, że formowania nowych legji podjąć się nie może, póki nie będzie miał przekonania, że stąd odrodzenie się ojczyzny wypłynie; « inaczej, pisał do ministra wojny, byłbym tylko podłym żołdownikiem, wywoływałbym daremne ofiary, dla moich chyba osobistych widoków mnożyłbym liczbę nieszczęśliwych i oszukanych. » Wszystko to świadczy o szlachetności jego. Walkę 1794 roku uważając za zawieszoną tylko, wyjechał był za granicę z myślą, że sprzymierzeńców i środki do rozpoczęcia jej na nowo znajdzie; nie przewidywał jak długą miała być dla nas droga pokuty, i nie mogło być danem zacnemu mężowi przejrzeć wtenczas, że wszystkie i bezowocne na pozór usiłowania, jak tylko ducha narodowego podnosiły, rozwijały i do karności wdrażały, już były krokiem naprzód, na drodze do uwolnienia. Uporne trzymanie się tego, aby legje czysto narodowy zachowały charakter, miało jeszcze i ten ważny sku-

tek, że zasługę wszyskich razem i każdego z osobna, robiły zasługą całego narodu. Zaczęto zrazu robić mu nadzieje. Z początku upoważniono do traktowania z Helwecją, a gdy ta tłumaczyła się, że własnych obywateli do obcych wojsk wysyła, z Batawską Rzecząpospolitą. Wszystko to jednak skutku nie doczekało się żadnego, choć wysileń, zabiegów i pracy kosztowało nie mało. Wkrótce jednak, gdy Rossja do koalicji weszła, i wielkie boje rozpoczęły się w Holandji, a we Włoszech klęski następowały po klęskach, przychylono się do polskich projektów, i odkrywano przed naszymi patrjotami szerokie horyzonta; dawano im w końcu do zrozumienia, że nie tylko części Polski należące do Austryi i Rossji odzyskać mogą niepodległość, ale że nawet i zabor pruski za pomocą jakiego wynagrodzenia, da się odzyskać napowrót. Zaniechano wtenczas stanowczo układów z sąsiedniemi Rzeczamipospolitemi; waleczność nasza podała w zapomnienie wywołane przez opór Szwajcarów Ludwika XVI prawo, i upoważniono formalnie Kniaziewicza do utworzenia już pod francuzkiemi sztandarami nowej legji, złożonej z czterech bataljonów piechoty po 1,200 ludzi, z pułku jazdy i dwóch kompanji artylerji : konnej i pieszej. Tu rozwinął on ogromną czynność; nie tylko po wszystkich zakładach jeńców wojennych, wyszukiwał Polaków, umawiał się o mundury, o żołd, o wszystkie żołnierza potrzeby, ale jeszcze do kolejno po sobie następujących ministrów wojny, do dowódzców rozmaitych armji, posyłał ciągle memorjały, projekta, dowodził ogromnych korzyści jakie rozwinięcie legjonów na olbrzymią skalę przynieśćby mogło, a wszystkim i wszędzie mówił zawsze o Polsce. Jle tylko zebrał żołnierza, wysyłał do Falzburga, gdzie Stanisław Fiszer organizował bataljony. Oficerów było podostatkiem; sława legjonów i nadzieje przez wojnę z zaborcami naszymi wznowione, sprowadziły wielu ludzi ukształconych z kraju — rodacy z wojsk austryjackich i rossyjskich przy każdej zręczności przechodzili na stronę francuzką, albo wzięci do niewoli wstępowali do naszych szeregów. Skarb francuzki był wycieńczony, nieład w administracji ogólny, wszystkie nalegania o mundury, obuwie, broń, nie na wiele służyły — niedostatek był wielki. Drzewiecki przeprowadzając zebrane bataljony z Falsburga do Metz, gdy żołnierze na złe obuwie zaczęli się skarżyć, dla przykładu zdjął bóty, i oddawszy je głośniej narzekającemu, sam boso, po grudzie cały marsz odbył.

Ale nie na tém był koniec; większe próby przeszli legjoniści we Włoszech. Już przy początku wojny, pod Magnano i Weroną wyginęła połowa drugiej legji. Pierwsza przedzierając się z mieczem w dłoni z południa ku północnym Włochom doczekała się wprawdzie dawno wyglądanej pociechy walczenia z Moskwą, ale pod Trebją (17-19 Czerwca) straciła tysiąc ludzi w zabitych a połowę tego w rannych, z poddaniem się zaś Mantuy (28 Lipca) komendant twierdzy Foissac-Latour przyzwolił na wydanie Austryjakom zbiegłych z ich szeregów żołnierzy;

wydani więc zostali razem z dowódcą Wielhorskim nieubłaganemu nieprzyjacielowi i po srogich obelgach i karach znowu do służby w nienawistnych szeregach zmuszeni. Z 4 tysięcy składających niedawno drugą legję zostało zaledwo 150 ludzi; resztki pierwszej stopniały pod Novi (15 Sierpnia 1799 r.). Ludzie jednak co tę ideę podnieśli, mieli hart niczem nie złamany. Dąbrowski w Genui wzmocnił trochę pozostałą garstkę, a potém w Marsylji nowy punkt zborny ustanowił; wkrótce pisał do Kniaziewicza, żeby ze swej strony na ministra wojny o pomoc w pieniądzach i przedmiotach do ekwipowania się nalegał, zebrał już bowiem na nowo 3000 ludzi. Kniaziewicz zdawał się mnożyć — wystarczał na wszystko; mając sprawę ojczyzny zawsze jedynie na myśli, dopraszał się upoważnienia do wysłania oficerów do kraju, którzyby w imieniu Francji mogli tam podnieść nadzieje, a chciał mieć za granicą komisarzy, którzyby papiery wszystkich wychodźców przepatrywali i mogli ich zabeśpieczyć od ludzi podejrzanych, nieraz szpiegów, wysyłanych pod postacią emigrantów przez rządy zaborcze, w celu zasiewania kłótni między nami i budzenia przez to nieufności ku nam rządu francuzkiego; bo już i wtenczas nieprzyjaciel tej broni przeciw nam używał.

Tymczasem wrócił był z Egyptu Bonaparte, poprzedzony przez nowego ministra wojny, Jenerała Berthier, przychylnego Polakom, świadka ich waleczności w pierwszych kampanjach włoskich. Jednym z pierwszych których zwycięzca odwiedził w Paryżu, był Kościuszko. — «Pragnąłem bardzo poznać bohatera północy» powiedział mu, — a spotkawszy tam Kniaziewicza, witał go jak znajomego i towarzysza broni. Z przyjazdem człowieka przeznaczenia, wzmogłysię nadzieje naszych, bo już rozpalać je i dusze do siebie pociągać umiał. Prędko rząd Rzeczypospolitéj zmienił się; Bonaparte został pierwszym konsulem. Legja w Metz znalazła trochę lepsze utrzymanie, nadeszły i z kraju zasiłki, umundurowaną i uzbrojoną choć w części mógł już Kniaziewicz przeprowadzić do Strasburga, (w maju 1800 r.) gdzie były zakłady legji; bataljony przez Ren wprowadzono do szańców Koehl. Tam Kniaziewicz cierpiących jeszcze niedostatek i z tego powodu szemrzących czasem żołnierzy, do robot fortecznych używał dla tego, aby cóś sobie zarobić mogli a byli także zajęci. Zdarzyło się, iż w czasie, gdy jeden korpus austryjacki był pod twierdzą, żołnierze do karności wojskowej nie wdrożeni jeszcze, a zniechęceni tą pracą, oburzeni także na postępowanie niektórych oficerów, podnoszą rokosz i zamyślają całą massą opuścić fortecę. Uwiadomiony w Strasburgu Kniaziewicz, wskakuje na konia i pędzi do Koehl, z postanowieniem raczej zginąć razem z 1500 żołnierzy niż dopuścić do dezercji. Przejeżdżając, daje rozkaz francuzkiej baterji strzegącej przeprawy przez Ren, aby sypnęła kartaczami w to miejsce gdzie jego białą chustkę zobaczy. «Jakto jenerale, zapytuje zdziwiony artylerzysta, każesz strzelać do siebie samego?»—«Tak jest—

powtarza Kniaziewicz — rozkazuję to wam w imię prawa, musicie być posłuszni »—i pędzi do twierdzy. Niespodziane jego zjawienie się, wyraz twarzy na której błyszczało bohaterskie postanowienie, mięsza zbuntowanych żołnierzy. Kniaziewicz piorunującym głosem każe wystąpić do broni, objawia jaki rozkaz zostawił dowódcy baterji i już znak wspólnej zatraty ma podnieść do góry, kiedy żołnierze tém znalezieniem się jego przywiedzeni do uczucia obowiązku, uznają swą winę i ponawiają przysięgę na wierność Francji. Rokosz uśmierzony zupełnie, ocalona legja i jej honor, kilku sprawców tylko ukarano surowo. Kniaziewicz raz jeszcze dowiódł tego wielkiego moralnego prawa, że człowiek podniosłszy się do ofiary z życia, i cześć i samo nawet życie często ratuje, a ostatecznie, zawsze zwycięztwo odnosi.

Wkrótce, zastawiwszy w Strasburgu formujące się kompanje i szwadrony kawalerji, gotowe już bataljony Kniaziewicz wyprowadził na pole walki, i z dodaną sobie brygadą francuzkiej jazdy posłany naprzód, wyparł Austryjaków z Hattersheim, potém z Höchst. Nieprzyjaciel przeprawiwszy się przez Niddę usiłował zająć mu tył, ale ze stratą czterechset koni szczęśliwie odpartym został. Dwie dywizje francuzkie spokojnie przypatrywały się nierównej walce. W kilka dni potem, nieprzyjaciel natarł na wszystkie okoliczne oddziały francuzkie, sam tylko oddział Kniaziewicza wyjąwszy. Jenerał polski nie pozostał obojętnym widzem bitwy, owszem do odparcia ataku dopomógł; walcząc jak żołnierz i jak dowódzca, w Berghem zdobył armaty, w Bernheim zniósł Austryjaków i zaraz potém Offenbach zajął. Tam z wielkiem jego zdumieniem znalazł rodaków; udała się pod jego opiekę polska osada Frankistów, otaczająca tam syna już swojego założyciela i mistrza Franka. Po Offenbachu kapitulował Frankfurt. Nastąpiło zawieszenie broni. Kniaziewicz przydany był Jenerałowi de Laborde, dla blokowania Filipsburga, a gdy poddała się twierdza, (25 Września) stanął na odpoczynek w Hejdel bergu.

Dojrzała była tymczasem w Strasburgu intryga. Postawienie Kniaziewicza na czele oddzielnej legji narobiło mu wielu niechętnych, jak dawniej Dąbrowskiemu we Włoszech. Niesforne umysły okrywając zazdrość szlachetnemi pozorami, rozmaite na niego wymyślały zarzuty: narzekano że się oddzielał od Dąbrowskiego, że wszystkich legji pod dowództwem Kościuszki nie postawiono, że nowa legja nie nazywała się wojskiem posiłkowem, i t. d. jak gdyby to wszystko od Kniaziewicza zależeć mogło; krzyczano na brak funduszów, na powolną formację.

Kościuszko wtenczas bardziej niż kiedy ideami republikanckiemi przejęty, zostający w stosunkach z dawnymi członkami dyrektorjatu, posyłając do legji oficerów, wymagał aby ci przysięgali « nienawiść królom i arystokratom, wierność wiekuistym zasadom wolności i równości » tym sposobem przymięszało się do legji wiele żywiołów

które jej spokój zakłócić musiały. Alexander Rożniecki wówczas szef szwadronu stanął na czele niechętnych, potrafił im wmówić że powolna formacja legji jedynie z opieszałości Kniaziewicza pochodzi; z biegłością niepospolitego intryganta zebrał podpisy oficerów i prośbę przeciw niemu złożył w ręce Jenerała Moreau, głównego dowódzcy armji nadreńskiej. Moreau, po wspomnianych wyżej potyczkach, oddając pochwały legji, przesłał tę prośbę samemu Kniaziewiczowi, zalacając aby do Strasburga zjechał i niesfornych ukarał. Kniaziewicz przybył do Strasburga, a zebrawszy oficerów którzy podpisali prośbę, przeczytał im list jenerała Moreau. « Poleca mi wódz naczelny, abym panów ukarał; oto jest moje ukaranie » rzekł, rozdzierając prośbę; po chwili dodał: « chcę o tém zapomnieć, lecz boleję że między oskarżycielami moimi znalazłem imiona i takich kolegów, na których przyjaźń z ufnością liczyłem. » Te ostatnie wyrazy ściągały się do pułkownika Gawrońskiego, który był szefem sztabu legji, a który także chociaż w najlepszych zapewne zamiarach, dał się uwikłać intrydze Rożnieckiego. Gawroński zawsze szlachetny i bardzo przez Kościuszkę ceniony, nie mógł przenieść tego zawstydzenia, wyrzuty jakie sobie czynił były tém dotkliwsze, iż miał względem Kniaziewicza obowiązki osobistej przyjaźni — odebrał sobie życie, rzuciwszy się w nurty Renu. Wypadek ten głęboko zasmucił Kniaziewicza; w ostatnich jeszcze latach z rozrzewnieniem wspominał Gawrońskiego, którego całą winą była łatwowierność. Niesnaski się skończyły, burzliwych oddano do jazdy Rożnieckiego który jak powiedzieliśmy był na czele nięchętnych, a pierwszy zaprzysiągł nienawiść królom i arystokratom, późniéj zaś za czasów W. K. Konstantego tak bezecną miał grać rolę. Drugi to już w krótkiem opowiadaniu naszem, przykład zagorzałego Jakubina który się stał służalcem Moskwy.

Rozejm trwał nie długo; legja nasza rozłożona około Branau, miała pójść na pierwszą linję bojową; przybyły jej świeżutkie szwadrony jazdy przez Jabłonowskiego i Ostrowskiego prowadzone. Dwie armje austryjackie, każda po sto tysięcy ludzi i po kilkaset armat liczące uderzyły (2 Grudnia) na Jenerała Moreau pod Hohenlinden (w Bawarji). Kniaziewicz był tam na prawém skrzydle pod jenerałem Decaen. Wódz francuzki rozkazał jenerałowi Richepense obejść stanowisko nieprzyjaciela. «Od tego ruchu któremu jak mówi Kniaziewicz, stały na przeszkodzie największe trudności, zależało ocalenie wojska.» Richepense poświęca w drodze ńamiestnika swojego, jenerała Drouet, aby tylko w porę stanąć na miejscu swego przeznaczenia, ale siły jego nie wystarczyłyby, gdyby Kniaziewicz z właściwym sobie zapałem nie był rzucił się w ogień. Wyswobodziwszy jenerałów Richępense i Drouet, aż do nocy, « z niewzruszoną wytrwałością » walczył on na tém samem miejscu, (pod Matenbott), dopóki zupełne zwycięztwo nie uwieńczyło oręża Francuzów. Moreau, oddając sprawiedliwość « najwyższemu męztwu i doświadczo-

nym talentom» Kniaziewicza, lubił przy każdej sposobności przypisywać jemu i Jenerałowi Richepense wypadek tej wielkiej bitwy, jednej z najświetniejszych jakie w tych czasach wielkich bitew stoczone były. Obaj Jenerałowie odtąd stanowili przednią straż wojska.

Kniaziewicz pierwszy przeszedł Jnn pod Muhldorf. Zostawało tam kilka tylko belek ze zrzuconego mostu. Siada na belkę jak na konia; podobało się to jego strzelcom. «My nie jazda!» wołają, ale wesoło rzucają się za nim na belki i na drugą dostają się stronę. Nieprzyjaciel zatrzymał jeszcze Francuzów przy przeprawie pod Salcburgiem. Kniaziewicz z równą szybkością przeszedł rzekę Salcę pod Lauffen (dnia 13. Grudnia) potykał się z Austryjakami pod Wels i Linz (20 Grudnia), i dotarł do Opactwa Kremsmünster pod Wiedniem, gdzie legjoniści z ciekawością oglądali kamień wmurowany na pamiątkę zwycięztwa Jana III; ale nie chciał stanąć tam razem z Jenerałami popisującymi się ze swoich dostatków, zajął miejsce na uboczu, bliżej kwatery głównej.

Po tylu wysileniach, tak blizcy rodzinnej ziemi, myślili rycerze nasi że już są u celu swych życzeń. Kniaziewicz przed wojną podał był Rządowi francuzkiemu projekt wylądowania w Lipawie i Wįndawie i cały plan wojny, dowodząc korzyści z odbudowania Polski dla Francji i ogólnego europejskiego pokoju; Dąbrowski cieszył się nadzieją, że dawny projekt poruszenia ludów słowiańskich w Austryi wskrzeszonym będzie, i że wejdzie z legją swoją do Galicji; Kościuszko najlepsze o gotowości kraju do powstania odbierający wiadomości, zgadzał się stanąć na czele; w tém 25 Grudnia zawarto rozejm, po którym miał nastąpić traktat Lunewilski, a rozchodziły się słuchy, że i od niego Polska niczego spodziewać się nie miała. Kniaziewicz wtenczas pisał do Jenerała Moreau, jako swego dowódzcy (dnia 23 grudnia 1800 r.) z Kremsmünster list, w którym się odbiły wszystkie jego niepokoje i cała szlachetność duszy.

« Obywatelu Jenerale! Kroki wojenne ustały, traktat pokoju postanowi o losie wielu ludów; nie wiem jakim będzie los mojej ojczyzny. Pozwól Jenerale abym wystawił naprzód jak zapatruję się na stan wojskowy. Podług mnie, jest to stan najszanowniejszy, kiedy żołnierz przelewa krew swoją za ojczyznę; tenże sam żołnierz staje się najemnikiem, skoro nim powodują inne widoki. Kiedy wszedłem w służbę rzeczypospolitej francuzkiej Francja prowadziła wojnę z ciemiężcami mojej ojczyzny, szkodzić im o ile można, było zemstą prawą dla Polaka miałem prócz tego nadzieję, że wojna zmieni smutne położenie kraju. Gdyby pokój powszechny nie miał zmienić losu Polski, jakież prawo miałbym szafować krwią współziomków moich w sprawie któraby nie była sprawą ich ojczyzny? Zaiste, słuszniebym wtenczas zasłużył na nazwę najemnika. Jenerale! co do mnie, jużem to po-

stanowił : opuszczę najpiękniejszy zawód, pójdę uprawiać kawałek roli, szczęśliwy że mogłem dowieść współziomkom, iż zachęcając ich do łączenia się ze mną, nie miałem żadnego osobistego widoku. Ale jakiż będzie los podwładnych moich, którzy opuścili majątki, rodziny, ojczyznę? Czy będą mieli prawo wrócić na tę ziemię, gdzie z powodu ich oddalenia, rodziny ich uległy prześladowaniu? ci zaś którzy wrócić nie zechcą, czy znajdą we Francji drugą ojczyznę? bośmy dotychczas uważani tylko jako wojsko posiłkowe, które wnet zniknie dla braku takich, którzyby ubytki zapełniali. Obowiązek nakazuje mi zatrudnić się losem podwładnych, chciej więc Jenerale wskazać mi sposoby mogące zapewnić ich przyszłość. Udaję się po radę i opiekę do przełożonego, który zawsze zaszczycał mnie swoją życzliwością.

Pozdrowienie i szacunek.

Kniaziewicz.

Na ten list odebrał następującą z d. 4. Stycznia 1801 r. odpowiedź :

Żądania Twoje Obywatelu-Jenerale są natury tak drażliwej a tak ważne, iż nie zależy odemnie do nich się przychylić. Posyłam twój list pierwszemu Konsulowi; on jeden wśród negocjacji ogólnych jakie się mają rozpocząć, może mówić o sprawie waszej i ją popierać. Ludzie którzy za sprawę wolności tak świetnie walczyli jak mężni twoi współziomkowie, powinni być przekonani o przyjaźni i szczérem zajęciu się nimi rządu któremu służyli.

Pozdrawia was Moreau.

W krótce Moreau jadący sam do Paryża, wziął z sobą Kniaziewicza. W Strasburgu spotkała głównodowodzącego ludność miejska, w imieniu Francji witając zwycięzcę; kobiety wieniec mu ofiarowały w darze. Moreau wskazał na Kniaziewicza jako jednego ze sprawców zwycięztwa i z nim się tam tym wieńcem podzielił. Myśli wodza polskiego były gdzieindziej, a obawy trapiące duszę wkrótce ziścić się miały. Dnia 9 Lutego 1801 roku stanął traktat z Austryją w Luneville, a w nim żadnej wzmianki nie było o Polsce. Pierwszy konsul widocznie starał się zbliżyć do Pawła; odesłał mu 7000 w śliczne mundury przybranego niewolnika, probował nawet wyrozumieć Polaków czyby się do nowej kombinacji użyć nie dali. Senator Garat w tym celu widział ich zebranych na obiedzie u Barsa; mówił o nowych widokach pierwszego Konsula, wspomniał o wskrzeszeniu królestwa polskiego ręką Pawła którego on chciał mieć arbitrem europejskiego pokoju. Na wspomnienie królestwa, Kościuszko wzdrygnął się, i gorąco przeciw tej myśli wystąpił; Kniaziewicz przypomniał mu, z jakim zapałem przed dziesięciu latami na czele brygady swojej wykonywał i jemu wykonać kazał przysięgę na monarchiczną Ustawę 3 Maja. Garat zamilkł, rzecz więcej wznawianą nie była. Francja 8 Października podpisała ugodę z

Rossją. Cesarz Paweł wygnał z państw swoich rodzinę Burbonów i emigrantom francuzkim w przeciągu sześciu tygodni ustąpić z nich kazał; Rzeczpospolita za to obowiązała się położyć tamę zachodom Polaków. Legję naddunajską ofiarowano nowo-utworzonemu królestwu Etrurji. Rozpacz ogarnęła legjonistów; w drodze do Francji przez Szwajcarję i Medjolan eskortowały ich wojska francuzkie. Z upadkiem nadziei, większej części legjonistów nic w szeregach utrzymać nie mogło; ani podniesienie legji na stopę gwardji nowego Króla, ani rozdawane oficerom zaszczytne i dla innych zyskowne miejsca komendantów miast i warowni; odznaczali się na tych posadach bezinteresownością która im jednała szacunek, ale zniechęcenie szerzyło się, coraz ich więcej opuszczało szeregi, zostali w końcu tyko ci, którzy spodziewali się jeszcze wojen nowych, a z nich czegoś dla ojczyzny, albo których koleżeństwo, brak zupełny środków do życia i miłość chorągwi, nieprzezwyciężonym sposobem do niej wiązała.

Kniaziewicza postanowienie było niecofnione. Daremnie wstrzymywał go Minister najpochlebniejszemi wyrazami (1), daremne były wszystkie zachęty i namowy. « Ponieważ pokój przez Francję, powiada sam, z zupełném zapomnieniem o Polsce zawarty został, osądziłem przeto iż ani chwili dłużej w wojsku francuzkiem pozostać nie powinienem; ponowiłem zatém prośbę o danie dymisji z oświadczeniem, iż taką jest niezmienna moja wola i dymisja udzieloną mi została. » Dnia 1. maja 1801 r. opuścił już służbę.

Własne jego słowa tłumaczą nam pobudki tego kroku; były one szlachetne jak zawsze, a dowodzą najoczéwiściej, że przez cały czas służby w legjonach, tylko sprawę ojczyzny miał jedynie na myśli. Pamiętając o tém, nie będziemy się nawet dziwili że tak postąpił; straciwszy wiarę w możność służenia na tej drodze ojczyznie, stracił zarazem i tę podstawę która dodawała mu mocy, a której taki jak on człowiek koniecznie potrzebował; dodamy jeszcze, że wyrzeczenie się świetnych osobistych widoków dla tego, że w jego myśli już z niemi służba ojczyznie przestała się łączyć, nie pozostało bez pewnego i dla tej samej ojczyzny pożytku — podniosło w oczach wielu pojęcie o miłości dla

(1) Oto pismo Jenerała Berthier:

« Paris le 27 Germinal an IX de la République française une et indivisible. Le Ministre de la Guerre, au Citoyen Kniaziewicz Général de Brigade, Commandant la Légion Polonaise.

J'ai reçu, Citoyen Général, la demande que Vous m'avez adressée d'accepter Votre demission. La faiblesse de santé que Vous présentez ne me parait pas un motif suffisant pour accepter définitivement Votre démission et priver ainsi la République d'un officier-général aussi distingué par ses talents, et l'utilité de ses services, que par sa bravoure et les preuves de son zèle. Je Vous invite donc, Citoyen-Général, à réfléchir de nouveau sur cette démarche, et à me faire connaitre si Vous jugez préférable de profiter d'une autorisation d'absence pour le temps nécessaire au rétablissement de Votre santé. Alors, Vous m'instruiriez du lieu où Vous désirez Vous rendre à cet effet, et de l'espace de temps dont Vous croiriez avoir besoin. Je Vous salue.

BERTHIER.»

niej i narodowym naszym charakterze — sprawiło to, co sprawia każden czyn bezinteresowny pojedyńczego człowieka, dorzucający nowe ziarno do ogólnej uczuć i cnót skarbony — ale znowu nie możemy w tej chwili nie wskazać na drugiego męża, który również jak Kniaziewicz zawiedziony, równie ojczyznę kochający, pozostał jednak, i na raz obranej drodze wytrwał. Dąbrowski nie opuścił służby, a po kilku latach doczekał się tego, czego nadzieję dzisiaj z taką żegnał boleścią; bił się na ziemi rodzinnej, powoływał Wielkopolskę do powstania, organizował wojsko narodowe, i kierował usiłowaniami których owocem stał się pierwszy zawiązek nowego bytu politycznego dla nas. Pamiętając o tém że Kniaziewicz ze wszystkich Jenarałów był wówczas najbardziej przez Napoleona cenionym , łatwo przypuścić możemy, że pozostawszy pod jego chorągwiami, wysokich doszedłby stopni; cóż byłoby dziwnego gdyby jak poźniej Książe Józef zajął miejsce między Marszałkami Francji? a gdyby się wtenczas obok zwycięzcy 1807 i 1812 roku na ziemi naszej znalazł, któż oceni o ile osobisty jego charakter, energja i dzielność, zaważyćby mogły na szali wypadków a za niemi i losów krajowych?

VIII.

Otrzymawszy dymisję, Kniaziewicz postanowił wrócić do kraju; ogłoszona przy wstąpieniu na tron Aleksandra I, amnestja otwierała możność, a z upadkiem na chwilę świetnych zagranicznych nadziei, wielu patriotów zaczęło działalność swoją zwracać wewnątrz kraju. Zdawało się, że się tam nowe do pracy otwierają drogi, a po przebyciu pierwszych lat porozbiorowych, zmężniały nieco duch narodowy odważniej patrzył w przyszłość. Jenerał nasz, chciał obyczajem przodków szablę swoją na cichy pług zamienić, a kiedy szukał dla siebie zagonu, stało się nawet, że osiadł w tej właśnie części dawnej Polski która od wieków, żyżnością ziemi i nieustanną walką z pogaństwem nęciła rycerskiego i rolniczego ducha narodu, na Rusi.

Rozpoczyna się tu nowa, piękna epoka życia Kniaziewicza, w której bohater walk tylu, zaświecił nam przykładem cichych cnót domowych. Wyjeżdżając z Francji, podjął zaległy w skarbie Rzeczypospolitej żołd swój jeneralski; wynosił on *sto luidorów ;* z tym kapitałem, świadczącym najlepiej o bezinteresowności wodza obok którego w podobnem jemu stanowisku, tylu się wzbogaciło jenerałów, stanął na Wołyniu. Książę Eustachy Sanguszko na przystępnych warunkach wypuścił mu w dzierżawę wioseczkę swoją Zieleńce, i na tym zagonie już osiadł. Otaczał go szacunek powszechny; sąsiedztwo starało się odwiedzać — on nie wielu mógł przyjmować, bo szczupła kieszeń possesora nie pozwalała

na wydatki — ubóstwo panowało w domku. Organizator legji, zdobywca potężnych warowni, długo w kredensie swoim dwie tylko łyżki srebrne posiadał. Nie było zrazu na najkonieczniejsze wydatki gospodarstwa. Zieleńce miały browar, potrzeba było zakupić woły żeby nie przepadała braha. Gumienny, prosty chłop zieleniecki co wieczór przypominał to nowemu dzierżawcy, który go zbywał to tém to owem, nie chcąc otwarcie powiedzieć mu jaki był stan jego kassy. Nadszedł nareszcę jarmark w okolicy, gumienny znowu przypomina woły. Kniaziewicz musiał przyznać się w końcu, że pieniędzy nie miał; wtenczas poczciwy Rusin ofiarował mu swoje, a kiedy wzruszony jenerał zapytał go, co było powodem takiej przychylności « my znajemo szczo wy buły z Kościuszkom » odpowiedział gumienny. O dobroci włościan zielenieckich z rozrzewnieniem jeszcze w Montmorency wspominał Kniaziewicz, a zawiązała się między nimi a ich dzierżawcą prawdziwa spółka duchowa, która gdyby na całej przestrzeni kraju być mogła, ten już dawno byłby wolnym.

Gospodarstwu rolnemu oddał się Kniaziewicz z upodobaniem, a wdrożony długą wojskową służbą do porządku, z każdym rokiem podnosić je umiał. Przypatrując mu się w tych chwilach, widzimy w nim także to wszystkim zacnym naturom właściwe, a dawniej u szlachty polskiej tak powszechne rozmiłowanie w naturze. Wojownik nasz ze szczególniejszém upodobaniem zajmował się pszczolnictwem; miał nawet u siebie parę szklannych ulów, i postrzeżenia swoje nad gospodarną rzeszą w osobnym dzienniku zapisywał. Powstała poźniej tym sposobem książeczka wydana około 1807 roku w Berdyczowie, staraniem Kołyski, jednego z ówczesnych przyjaciół Jenerała, pod tytułem: *Dwuletnie doświadczenia*, a niemniej bacznie przypatrywał się bocianom, gniazda dla nich przygotowywać kazał, słuchał ciekawie podań nawet ludu, tyczących się rozmaitych tajemnic natury.

Powoli, kiedy poprawiły się interesa, zaczął więcej i sąsiedztwo odwiedzać. Jednym z domów gdzie bywać lubił, był dom sąsiedni księżnej Sapieżyny, powinowatej Branickiego; tam często przesiadywał. Jak we wszystkiem tak i w tych nawet stosunkach umiał zachować niezależność charakteru; z żadnym z hersztów Targowicy przestawać nie chciał. Raz, kiedy Branicki na parę tygodni do ks. Sapieżynej przyjechał, Kniaziewicz bywać tam przestał; zdziwiona tém, a pragnąca go widzieć Księżna, posłała z zapytaniem co to znaczyło? « Boję się nieboszczyka » (*j'ai peur des revenants*) odpowiedział Kniaziewicz; Księżna nie pojąwszy zrazu tych słów, pokazała je swemu gościowi. «Rozumiem, rzekł Hetman, to alluzja do sądu którym nie skazał na śmierć za Kościuszki, ale Jenerał się myli, ja zawsze chciałem dobra ojczyzny. »

Najbliższym w tych czasach przyjacielem i najmilszym towarzyszem nieraz dni całych, był Szef Józef Drzewiecki, dawny w legjonach adju-

tant, który na Wołyniu też osiadł. We Włoszech już Wybicki nazywał ich Kastorem i Polluxem.

Oddanego zatrudnieniom domowym doszły w Zieleńcach znaki komandorskie legji honorowej, przysłane mu zaraz po jej ustanowieniu w 1803 roku; a tak się zdarzyło, że wkrótce potém zmuszony był stawić się przed W. Księciem Konstantym bawiącym wtenczas na Wołyniu. W. Książe nie taił się z nienawiścią swoją do Napoleona i wszystkiego co od niego pochodziło; przyjaciele aby uniknąć znanej jego gwałtowności, radzili Kniaziewiczowi aby zdjął nienawistny mu order. Zacny mąż nie sądził aby godziło się ukrywać znak położonych dla ojczyzny usług, nie tylko nie schował, lecz jeszcze poprawił wstęgę, aby ją lepiej widziano. Zmierzył go dzikim wzrokiem swoim Konstanty, ale postać wodza wymogła na nim uszanowanie; powściągnął się, i dodał głośno : « na tych piersiach i ten order pięknie się wydaje. »

Z cichego ustronia swego przysłuchiwał się Kniaziewicz wielkim wypadkom jakie z kolei następowały po sobie, czekając aż nadejdzie chwila która go znowu pod sztandary narodowe powoła. Nie tylko w okolicy swojej był ogniskiem patriotycznych uczuć i usiłowań; zostawał w ciągłych stosunkach z najznakomitszymi kraju mężami i nic jego baczności nie uszło, a często jego zasięgano rady. Nowe wojny Napoleona, już Cesarza, z koalicją europejską, bitwa pod Austerlitz, znalazły go w Zieleńcach; nie opuścił ich, bo mu czuwanie nad samym krajem zleconem było. W 1806 roku walka już na Polską ziemię przeniesioną być miała. Napoleon ogłaszał zapomniane w archiwach dyplomacji francuzkiej pamiętniki Rulhiera o podziale Polski, odzywał się do narodu; w Listopadzie, deputacji polskiej w Berlinie oświadczył, że jak tylko Polacy wystawią 40,000 wojska, on w Warszawie ogłosi niepodległość Polski — « a skoro ja ją ogłoszę, dodał, nikt jej wzruszyć nie zdoła. » Dąbrowski z legjonami znalazł się na ziemi polskiej; Wybicki władze cywilne organizował, stary Wojewoda Radzimiński rozesłał wici do pospolitego ruszenia. Istniał wówczas na Litwie komitet z najznakomitszych patrjotów tej prowincji złożony; zasiadali w nim : Tomasz Wawrzecki, Michał Kleofas Ogiński, Karol Prozor, Antoni Lachnicki, Stanisław Sołtan, Jan Chodźko, Aleksander Jeśman. Cesarz Aleksander przelękniony podniesieniem kwestji polskiej odzywał się także z myślami odbudowania Polski, ogłoszenia się przynajmniej Królem polskim. Książe Adam Czartoryski upoważnionym był wtenczas przez niego do porozumienia się w tej mierze z rodakami, a bawiący w Tawrogach Cesarz, (w pierwszych miesiącach 1807 roku) sam Kniaziewicza do głównej swej kwatery powołał. — « Życzyłem poznać się z tobą Jenerale, powiedział mu. Twój patriotyzm i zdolności są mi znane; chcę zasięgnąć twej rady w przedmiocie ważnym. Podział Polski, mówił dalej, jest czynem niesprawiedliwym a nawet niepolity-

cznym; życzeniem mojem jest, naprawić jedno i drugie, odbudować Polskę, utworzyć wojsko polskie i tobie powierzyć jego dowództwo. Znasz lepiej odemnie charakter i usposobienie rodaków, otwórz mi twoje zdanie. »

Ździwiony i wzruszony niespodzianem pytaniem Kniaziewicz, odpowiedział bez wahania : « Najjaśniejszy panie! przed dwoma laty życzenia narodu polskiego były za waszą cesarską mością. Wierzono że zamiarem twoim N. P. było przyczynić się do przywrócenia Polski; dzisiaj, zmieniły się okoliczności. Cesarz Francuzów uzbraja część Polaków, przyrzekając im byt polityczny. Jaka będzie przyszłość tej części narodu? czy ujrzy ona spełnienie swoich życzeń, czy też zginie z orężem w ręku, któż to odgadnie? Ale wojsko polskie utworzone przez W. C. M. walczyćby musiało przeciw własnym rodakom; byłaby to wojna domowa. Przekonany jestem iż W. C. M. znajdziesz w mądrości swej inne środki do spełnienia szlachetnych uczuć serca twojego, a życzeń Polskiego narodu. » Cesarz w milczeniu długo spoglądał na Kniaziewicza, zwrócił potém rozmowę do innych przedmiotów, rozpytywał o wojny włoskie, o Wołyń, przy pożegnaniu ścisnął mu rękę i dodał dobitnie : « Szacowałem cię Jenerale, teraz więcej cię jeszcze szacuję. » Wychodzącego od Cesarza spotkał Ks. Czartoryski, a wysłuchawszy opowiadania o tej audjencji, powiedział : « Bóg ciebie natchnął Jenerale.» Gdy w kilka dni potém doszła Napoleona wiadomość o przyzywaniu Kniaziewicza do rossyjskiego obozu. « Pewien jestem, rzekł, że ten żadnej ofiary nie przyjmie. »

Po bitwach pod pruską Jławą i Friedlandem, po zajęciu Prus całych, nadzieje nasze rosły — wiara w Napoleona u znacznej części narodu nie miała już prawie granic — oczekiwano od niego wskrzeszenia całej ojczyzny; w komitecie nawet litewskim o ktorym wspomniałem, podzielano teraz te nadzieje. Jan Chodźko napisał wtedy bardzo głośną w swoim czasie komedję p. t. *Przejście Niemna*, która nie doczekawszy się teraz wejścia Francuzów, w 1812 dopiero roku grywaną była wśród niesłychanych oklasków publiczności. Stanęło wojsko większe, i prędzej niż dawniej, była gotowość do ofiary; ale jeszcze paraliżowana oglądaniem się na armję francuzką, oczekiwaniem wszystkiego od jednego Cesarza. Pokój zawarty w Tylży nie odpowiedział nadziejom; ale powstało Księztwo Warszawskie; w miarę wysileń naszych, w miarę poniesionych ofiar, zostaliśmy nagrodzeni. Napoleon posługiwał sie wprawdzie nami w widokach swoich; część nawet odzyskanego kraju, obwód Białostocki, chcąc ująć Aleksandra, oddał Rossji; przez wzgląd na trzy mocarstwa które nas rozebrały, a z któremi nowej nie chciał wojny, nie dał nawet imienia Polski wyswobodzonej jej cząstce, ale Księztwo Warszawskie miało już wojsko *polskie*, zostawało pod wszechmocną wówczas opieką francuzkiego Cesarza, był to za-

wiązek, z którego mogła rozwinąć się z czasem cała dawniejsza ojczyzna. Książe Józef Poniatowski postawiony był na czele nowego wojska. Polska, jak powiada Mickiewicz, zaczynała ważyć na szali spraw europejskich całą wagą przeszłości i przyszłości swojej — zależeć miało od nas, abyśmy sami z okoliczności korzystać umieli, a rosnąc w siły i rozwijając je, do dalszych gotowali się wysileń, a dowiedli Napoleonowi jak sam się wyrażał, że jesteśmy *narodem*.

Nowe to wojsko polskie, dziwny musiało mieć urok dla Kniaziewicza; zaraz téż, już w 1808 roku pośpieszył do Warszawy. Przyjęty serdecznie przez rodaków i Francuzów, miał zamiar wejść znowu do służby, ale się jeszcze wstrzymał, bo mu czuwanie nad wypadkami w rossyjskim zaborze przez rodaków zawierzone było. Dla tego nie miał nawet udziału w kampanji 1809 roku przeciw Austryi, chociaż się na nią zrazu wybierał, i chociaż ta więcej nad inne cieszyć go i otuchą napełniać musiała. W istocie, była świadectwem już bardzo podniesionego ducha; rozpoczęta ze szczupłemi, ledwo 15000 wynoszącemi siłami, bo legja nadwiślańska i kilka pułków wojska polskiego walczyły wtenczas w Hiszpanji, w końcu liczyła 62000 żołnierza naszego. Książe Józef Poniatowski nie tylko nie uległ przemagającym zrazu siłom nieprzyjacielskim, ale usłuchawszy rady najtrafniej zawsze i najdalej widzącego Dąbrowskiego, wszedł do Galicji i już był ją całą oswobodził, gdy pokój w Schönbrun (15. Października 1805 r.) wstrzymał go. Nowe te, poważniejsze niż dotąd wysilenia, dzielność i szczere do sił własnych odwołanie się, sprawiły, że Księztwo Warszawskie znacznie powiększoném zostało; wprawdzie obwód Tarnopolski oddano Rossji, ale część Galicji i połowa Wieliczki dostały się nam. Rosła nadzieja, że w przyszłych wojnach, o których już nikt nie wątpił, odzyskamy resztę.

W Księztwie Warszawskiem wzmagało się życie. Mały kraik utrzymywał siedmdziesięciotysięczną armję; zagrzany nadzieją blizkiego odzyskania całej ojczyzny, chętnie ponosił ofiary i do dalszych się gotował; Litwa i Ruś do nowego wojska dostarczały bardzo wielu ochotników. Niepokojony tém Aleksander podwajał usiłowania aby Polaków na swoją przeciągnąć stronę; oświadczał się coraz głośniej z przychylnemi dla nich uczuciami, a kiedy w korespondencjach swych z Napoleonem nastawał na zniesienie Księztwa Warszawskiego i gotowym się okazywał do znacznych za to ofiar, jednocześnie z Michałem Ogińskim o utworzeniu W. Ks. Litewskiego rozprawiał, i o nowem narodowem wojsku któremu w jego myśli Witte i Ks. Kazimierz Lubomirski dowodzić mieli; Księciu zaś Adamowi Czartoryskiemu wystawiał, że Kięztwo Warszawskie przetrwać Napoleona nie może, a będąc ustawnym powodem do wojen tylko na niezliczone klęski wystawiać będzie Polaków, którzy w nim Aleksandrze położywszy swą

ufność, dopiero prawdziwegoby wskrzesiciela ojczyzny znaleźli. Tworzyły się dwie opinje w kraju; i między najzacniejszymi jego synami znaleźli się tacy, którzy w obec niepewności co do istotnych zamiarów Napoleona względem Polski, przyszłość ojczyzny opierali na uczuciach i przyrzeczeniach Aleksandra. Ogromna jednak większość, massy całe wierzyły Napoleonowi; gwiazda jego i urok genjuszu pociągały naród. Z natury charakteru naszego, i z tradycji historycznych które do najwyższego stopnia rozwinęły indywidualność, a poźniej wyrodziły niekarność, swawolę i nieposzanowanie wszelkiej władzy, jeden tylko zapał, uniesienie, mogło nas skupić; taki zapał wywoływał Napoleon — prócz tego, dawna sympatja z Francją, odnowione z nią na tylu polach bitew braterstwo, wspólność cywilizacji, wszystko to, nieomylnemu instynktowi narodowemu tam wskazywało podporę. Oczekiwano powszechnie wielkich wypadków, a Napoleon na coraz większe siły w naszym kraju mógł liczyć. Kniaziewicz uczucia te podzielał, a od bytności jego w Tawrogach, mowy już o nim w Petersburgu nie było.

Nim do przewidywanej wojny przyszło, pozwolił mu Pan Bóg zakosztować domowego szczęścia. W Szpanowie na Wołyniu, pojął za żonę Marję z Morsztynów Stecką. Ślub odbył się w Porycku, dnia 10. Września 1810 roku, bardzo skromnie, w obecności tylko Szefa Drzewieckiego i kilku najbliższych. Mógł więc jeszcze odetchnąć spokojnie i doznać jak sam się wyraża, « słodyczy domowego życia, » nim go napowrót powołano pod narodowe chorągwie. Było to na krótko; w pierwszych dniach Marca 1812 roku był w Warszawie, mając zamiar cierpiącą żonę do wód zagranicznych powieść, ale już wtenczas pisał do Drzewieckiego że horyzont się chmurzy i zgadnąć nie można gdzie piorun uderzy. Piorun istotnie wypadł niebawem, i rozpoczęła się kampanja.

IX.

Z wypowiedzeniem przez Napoleona wojny Aleksandrowi, nadzieje nasze doszły najwyższego punktu, i Kniaziewicz opuścił szczęście domowe, aby go w tych stanowczych chwilach nie brakło pod narodowym sztandarem. Księztwo Warszawskie do istniejącego już wojska dostarczyło na raz 33,784 popisowych, tak, że wojsko podniesioném zostało do 74,722 ludzi, a 22,850 koni, dział liczyło 165; legje stojące w Hiszpanji Napoleon krajowi powrócił, zapowiedziano utworzenie gwardji narodowej po miastach, siły wszystkie wynosiły 96,000. Piękniejszego nad nie wojska Kniaziewicz w życiu swojém nie widział. Aleksander zrzekłszy się pierwiastkowego zamiaru wojny zaczepnej, czekał Napoleona na dawnej ziemi naszej. Liczono w armji francuzkiego Cesarza 605 bataljonów piechoty, 526 szwadronów jazdy, dział

1194, wozów 2768 ; rachując z szykami nieprzyjacielskiemi zalewało ziemię polską blizko miljon żołnierza.

Wojsko polskie roździelone zostało pomiędzy rozmaite korpusy, tak, że tylko dziesięć pułków piechoty i pięć jazdy podzielonych na trzy dywizje, (16 17 i 18), pod Jenerałami : Zajączkiem, Dąbrowskim i Kamienieckim stanowiły właściwy korpus polski pod dowództwem Księcia Józefa Poniatowskiego. Kniaziewicz postawiony był na prawém skrzydle wielkiej armji, któremu przewodził brat Cesarski, Król Westfalji, a mianowany 25 Maja Jenerałem Dywizji, przydanym został do jego boku. Korpus przeszedł Niemen pod Grodnem, dnia 1 Lipca. Kniaziewicz posłany do Szwarcenberga, dowódzcy sprzymierzonych wojsk austryjackich, w celu porozumienia się z nim względem wspólnych działań, miał sposobność przekonać się o nieszczerości tych sprzymierzeńców; zdał też o tém sprawę Królowi, który z kolei ostrzegł Cesarza, ale nadaremnie. W Grodnie, Król Westfalji zostawił Wielkorządcą okolicy Jenerała Kamienieckiego, a dowództwo jego dywizji, na prośbę innych Jenerałów, oddał Kniaziewiczowi. Dostały mu się : trzy pułki piechoty : drugi (Krukowieckiego), ósmy (Sztuarta), dwunasty (Wierzbińskiego) i dwa jazdy : piąty (Kurnatowskiego) i trzynasty (Tolińskiego); brygadzie jazdy przełożony był Książe Antoni Sułkowski, piechocie, Jenerał Michał Grabowski; artylerją dywizji, z dwunastu dział złożoną dowodził Szef Uszyński. Każdy pułk piechoty miał prócz tego dwa działa. Za cofającym się nieprzyjacielem ruszyło prawe skrzydło (5 Lipca) na Skidel, Nowogródek, Mir, Słuck. Dowodzący Korpusem rossyjskim Jenerał Bagratjon, zmyliwszy kierunek na Kijów, oszukał zręcznie Króla Westfalskiego i z rąk się jego wyśliznął, zadawszy nawet pod Mirem (9. Lipca) klęskę Rożnieckiemu, którego oddział stanowił przednią straż prawego skrzydła. Napoleon odebrał dowództwo bratu, i oddał je Dawustowi; Korpus polski nazwany teraz piątym Korpusem poruczył Księciu Poniatowskiemu, ale już i on nie mógł poprawić omyłki i przeszkodzić beśpiecznej przeprawie Bagratjona przez Dniepr pod Bychowem. W Lipcu, z Nowogródka Książe Józef uwiadomiony przez Kniaziewicza o dwuznaczném usposobieniu Szwarcenberga, podawał Napoleonowi projekt, aby wojska austryjackie wziął z sobą, a jego z korpusem polskim na Ukrainę posłał, gdzieby mu magazyny i liczną nawet kawalerję przygotował. Napoleon projekt odrzucił, bo nie chciał zaciągać względem Polaków żadnych zobowiązań któreby pokój, jakiego się ciągle spodziewał, utrudnić mogły. Na ponawiane prośby, kazał powiedzieć, iż jeśli Książe Józef jeszcze się raz z niemi odezwie, każe go rozstrzelać. Nieprzyjaciel ustępował wszędzie, nigdzie czoła nie stawiąc, niszcząc tylko i paląc wszystko za sobą. Plan ten zupełnie był nieprzewidziany, nie było przygotowań do tak wielkich marszów; przy niedostatku maga-

zynów, kraj wycieńczano do reszty—szerzyły się choroby, a wszystko to sprawiło iż piąty korpus, zanim doszedł do Mohylewa (18 Lipca) stracił już trzecią część żołnierza. Dywizja Kniaziewicza odpoczywała tam dwa tygodnie, aż póki cała armja francuzka nie stanęła na tej wysokości; dnia 31. Lipca po odesłaniu dywizji Dąbrowskiego pod Bobrujsk, dla strzeżenia tej twierdzy i zasłaniania Gubernji Mohylewskiej i Mińskiej, ruszyła z resztą korpusu pod wodzą Księcia Józefa Poniatowskiego przez Orszę pod Smoleńsk. Spodziewano się tam upragnionego od wszystkich starcia, i żołnierz polski ze szczerą radością ujrzał (16 Sierpnia) bohatera i *wybawcę* Ojczyzny. Ale Rossjanie ustąpili i tutaj, nie przyjąwszy bitwy. Napoleon kazał dobywać Smoleńska, choć żadnych do tego nie było przygotowań. Głęboki rów przedzielał wojsko od twierdzy; jazda polska prawą stroną opierała się o Dniepr, a reszta korpusu lewem skrzydłem stykała się z Francuzami. Dywizje polskie uderzyły mężnie, woltyżery Kniaziewicza przebywszy wąwóz z niesłychaną śmiałością, wyparły z przedmieścia jegrów rossyjskich, ale nie było sposobu dostać się na mury, których nie rozłamały kilkogodzinne strzały działowe; znajdujących się pod murami brano pojedyńczo na cel; wojsko tak resztę dnia przetrwało. Polacy sami stracili 2000 ludzi, Zajączek ranny, Grabowski zabity został, Rossjanie w nocy opuścili twierdzę, a Napoleon wystąpić kazał korpusowi piątemu i sam nagrody zasłużonym rozdawał.

Przy przejściu dawnej naszej granicy, dodanym został korpusowi polkiemu stróż w osobie Jenerała Sebastjani i kazano iść dalej. Zasłaniali nasi jak dotąd prawe skrzydło wielkiej armji, torując sobie drogę po polach i krzakach, o kilkanaście staj od bitego gościńca. Kniaziewicz był wszędzie; 5 Września stanęła armja pod Borodino na drodze do Możajska i Moskwy; usypana wielka reduta moskiewska pierwsza miała zatrzymać Napoleona; piechota Kniaziewicza z artylerją polską pod wodzą Jenerała Pelletier, dopomagały Francuzom do jej zdobycia. Nazajutrz zapowiedziano upragnioną bitwę—miała to być ta straszna bitwa Borodyńska, zwana bitwą Jenerałów (*bataille de la Moskowa* jak ją nazwał Napoleon). Opanowanie Borowna na lewem skrzydle nieprzyjacielskiém poruczone było Polakom. O czwartej zrana, zaledwo dano znak do boju, Borowno było zdobyte; Książe Józef Poniatowski dogadzając żądaniu wojska, nie doczekawszy się rozkazów, sam z dywizją Kniaziewicza posunął się naprzód. Nieprzyjaciołom sił przybyło, walka była zacięta. Moskale odzyskiwali stracone pole, po kilka razy Kniaziewicz, wśród gradu kul zbierał rozpraszającego się żołnierza, z najzimniejszą krwią szykował go znowu i do boju prowadził, aż póki ostatecznie nie zwyciężył. Około godziny szóstej wieczorem, gdy bitwa się skończyła, miał tysiąc ludzi zabitych.

Po zajęciu Moskwy, korpus polski stanął na drodze do Tweru; zabro-

niono było żołnierzom opuszczać obóz, aby w rabunku palącej się stolicy udziału nie mieli; 28 Września wyparli nieprzyjaciela z Podolska, a nazajutrz Książe Józef stoczył pięciogodzinną walkę pod Czarykowem, w której, mówi Kniaziewicz, dał nowe dowody zimnej krwi, rzadkiej odwagi i znajomości taktyki. Legło 500 walecznych; Król neapolitański zjeżdżał umyślnie do obozu polskiego, aby wodzowi i wojsku oświadczyć zadowolenie. W tej samej prawie chwili (4 Października) wsławiona w Hiszpanji legja nadwiślańska pod Chłopickim, odznaczyła się pod Winkowem. Korpus polski liczył już tylko 2,000 piechoty i 800 koni, działa miał wszystkie. Z pułków tworzono bataljony i kompanje.

Na przedstawienie Księcia Józefa, żeby się cofnąć przed nadejściem zimy, Napoleon odpowiedział, że się nie lęka losu Karola XII a zajęty układami z Aleksandrem, kazał dla postrachu, aby konfederacja warszawska gotową była do pospolitego ruszenia. Dwór rossyjski układy rozmyślnie zwlekał, aż póki rozbitych szyków swoich do porządku nie przyprowadził. 18 Października zerwał je, i kroki zaczepne rozpoczął. Armja francuzka cofała się na Woroneż; Kniaziewicz będący dotychczas w przedniej straży, teraz zostawiony w tyle, utworzywszy trzy czworoboki w schody przeciw jeździe, cofał się tak prawie milę pod zasłoną dwunastu dział swoich. Przez trzy godziny, ze trzech stron uderzał nań nieprzyjaciel, mniemano że nie ujdzie zguby; ale biegły w natarciu, okazał się równie doświadczonym wodzem w cofaniu; nie stracił ani jednego działa i połączył się z resztą wojska; witany radośnie przez swoich i Francuzów, z ust Króla neapolitańskiego otrzymał podziękowanie i pochwały. Tego samego dnia i w takiém samem zdarzeniu, jeden ze znakomitych Jenerałów francuzkich, stracił był dział ośmnaście. Cesarz opuścił Moskwę; na drodze do Małego Jarosławca jenerał Ludwik Pac wyrwał go z rąk kozackich. Miał zamiar zwrócić się ku Ukrainie, w te strony, które Książe Józef przed czterema miesiącami chciał ubeśpieczyć; nieprzyjaciel zastąpił mu drogę—był zmuszony wracać przez kraj zniszczony zupełnie, drogą smoleńską; korpus piąty otrzymał rozkaz osłaniania lewego skrzydła. Książe Józef pokonawszy Płatowa pod Borowskiem, drogę smoleńską dla armji ubeśpieczył; w kilka dni poźniej, wywichnął nogę, i dowództwo po nim objął Zajączek. Polacy z Marszałkiem Davoustem składali tylną straż armji. Liczono ich już nie wiele więcej nad tysiąc. W tym stanie ratowali ją jeszcze przy przejściu Rusiatki pod Wiazmą (5 listopada). Tu zmniejszył się korpus do 800 ludzi, jeźdźców zaś do osłonięcia artylerji liczył tylko dziesięciu, a konie tak osłabły, że działa na każde wzgórze ręką żołnierza wciągać było trzeba. Nastała sławna ze srogości swej zima — armja topniała z dniem każdym. Spodziewała się wypocząć nad Dnieprem. Wittgenstejn dotąd zasłaniający Petersburg, poraziwszy dwa francuzkie korpusy, zniszczył przygotowane w Witebsku zapasy, trzeba więc było iść dalej. Pod Dąbrowną zaszedł

Wittgenstejn drogę Napoleonowi, opanował nawet miasto. Raz jeszcze uratował armję Kniaziewicz; mając kilkanaście dział większego kalibru wyciągniętych z wąwozu na wzgórze, celnemi strzałami oczyścił drogę dla Cesarza i jego gwardji. Zbliżała się klęska berezyńska. Czyczagow przez pokój z Turcją zawarty uwolniony od konieczności bronienia granic południowych, nie spotkawszy oporu w Austryjakach o których złem usposobieniu daremnie przed kilku miesiącami ostrzegał Kniaziewicz, stanął był pod Borysowem, i po długiej walce z Dąbrowskim spalił mosty na rzece. Armja francuzka parta przez Kutuzowa, zagrożona przez Wittgenstejna, spotkała przed sobą Czyczagowa; otoczona zewsząd, ze wszystkiego wyzuta, karmiła się ścierwem końskiem i skrapianą mąką. Powiększyły ją pod Bobrem resztki rozbitych przez Wittgenstejna korpusów, (70,000) ale to tylko utrudniało przeprawę. Napoleon oszukawszy Czyczagowa, rzucił trzy mosty pod Studzianką—te dla całej armji wystarczyć nie mogły; 26 Listopada przeszedł po nich piąty kopus i wzmocniony dywizją Dąbrowskiego rozpostarł się zaraz w lesie, na prawym brzegu rzeki, aby osłaniać przeprawę. O dziesiątej z rana stracił nogę Zajączek, o południu, kula karabinowa przeszyła dłoń Dąbrowskiego, dowództwo korpusu spadło na Kniaziewicza. Do końca dnia opierał się przemagającym siłom nieprzyjaciela; już zsiadłszy z konia rozstawiał szyki na spoczynek, gdy odbijająca się od ziemi kula uderzyła go w prawą nogę i kostkę strzaskała. Straty armji francuzkiej były ogromne. Odtąd już żadnej nie było potyczki; rozprzężenie stało się ogólne, rozpacz ogarnęła żołnierzy—tysiące marły od głodu, znużenia i zimna—każdy myślił tylko o sobie. «Jedni Polacy, mówi nie podejrzany świadek, (1) zasłaniali odwrót, torowali drogę wojsku, z największem niebeśpieczeństwem roznosili rozkazy, przewodniczyli kolumnom, byli wszędzie! Zginęła już ich sprawa, a szlachetni ci sprzymierzeńcy, jakby nie wiedzieli o tém, nieprzestawali być puklerzem dla francuzkiego żołnierza.»

Napoleon w Smorgoniach zostawił wojsko Królowi neapolitańskiemu, (5 Grudnia) i puścił się *incognito* do Paryża; w drodze przeprowadzał go pułkownik Hrabia Stanisław Wąsowicz. Zamiarem Napoleona było z Możajska udać sie przez Prusy, ale poznał go tam pocztmistrz i powiedział: «Najjaśniejszy Panie! na lewo, przez Polskę, nie spotkasz człowieka któryby za Ciebie życia nie oddał; na prawo, w Prusach, każdy przeciwnie da głowę, żeby Cię życia pozbawić.» Usłuchał rady Napoleon, i udał się na Warszawę, gdzie zabawiwszy kilka godzin, zebranym ministrom (10 Grudnia) powiedział, iż nie ma żołnierza któryby polskiemu wyrównał w odwadze, wytrwałości i karności; zalecił utworzenie kilku tysięcy *kozaków* i zostawił kilka obietnic, które się

(1) Fain. Manuscripts de 1812.

ziścić nie mogły, W dziesięć dni potém, niedobitki piątego korpusu ściągnęły do Warszawy; przywodził im po Kniaziewiczu Krasiński. Przyciągnęło pod *Blachę* czterystu ludzi — dział mieli *czterdzieści ośm*. Książe Józef zalał się łzami, słowa nie mógł przemówić.

Kniaziewicz w krótkich wspomnieniach swoich o których tyle razy mówiliśmy, złorzeczy ówczesnemu Rządowi Księztwa Warszawskiego i Radzie Konfederacji, która żadnej obrony w kraju nie przygotowała. Takie musiało być uczucie wodza, który wszystkie nadzieje kraju w tej kampanji złożył i najwyższych wysileń od narodu spodziewać się miał prawo, a do sprężystego działania był przyzwyczajony. Na nieszczęście musimy wyznać, żeśmy nie zrobili wszystkiego co zrobić było potrzeba. Wystawiwszy 90,000 wojska, resztę zdaliśmy na Napoleona. Nic prawie nie uczyniono na Rusi a nawet i na Litwie; zdawało się, że odnowiwszy akt Unji « w imię Boga i Napoleona » myśliliśmy iż reszta bez naszego własnego udziału już się sama zrobi. Stojący wtenczas na czele kraju mężowie nie rozwinęli istotnie tej energji która często stracone już sprawy ratuje, która w 1809 roku dała Księztwu Warszawskiemu Galicję, a bez której wyswobodzić się niepodobna. Możemy wprawdzie na usprawiedliwienie tych zarzutów dodać, że sam Napoleon bardzo przyczynił się do tego. Księztwo Warszawskie zarówno jak Litwa rządzone było przez Francuzów, oprócz ambassady, Warszawa miała jeszcze francuzkiego gubernatora, każden powiat na Litwie osobnego rządcę; ambassador Napoleona, który według instrukcji swoich miał być « rzeczywistym vice-królem » urządzał wszystko stosownie do tego, jak mu zalecił książę Bassano (minister sekretarz stanu, czuwający nad wypadkami z Wilna) kazał radzie konfederacji jak się jej Marszałek odezwał, odegrywać *farsę* « pilnując aby w niej za daleko nie zaszła » i o to tylko był strofowany, że manifestacje konfederacji nadto *widocznie* zdradzały źródło francuzkie i nie *łudziły* dostatecznie (1). Napoleon nigdy nie powołał narodu do życia, losów jego w jego ręce nie złożył. Przy tym popędzie uczuciowym, który stanowił zawsze cechę naszego charakteru, mógł wywołać najwyższe wysilenia w massach całych, jak je spotykał w indywiduach. Nikomu łatwiejby to nie przyszło jak jemu w tych chwilach, bo posiadał wyłącznie serca narodu, a z niemi nieograniczoną jego ufność i znalazłby wszelką gotowość i posłuszeństwo. Lękał się tego, nie chciał, długo, i do samego prawie końca kampanji używał nas tylko za postrach dla Aleksandra, a o odbudowaniu całej Polski nie myślił; poprzestano na spełnieniu rozkazów, zrobiono tylko tyle ile żądał i pozwolił. Wszakże, i to nie usprawiedliwia całkiem. W 1809 roku nie był Napoleon bardziej zaprzątnięty nami niż teraz ; zostawieni sobie samym, nie czekając jego rozkazów, umieliśmy wydobyć z siebie

(1) Patrz Auberon. Spectateur militaire 1828 i Pradt. Histoire de l'Ambassade str. 71 — 125.

większe nad jego spodziewanie siły i wypadek uwieńczył nasze usiłowania. W 1812 r. Napoleon w Lipcu powiedział deputacji sejmowej w Wilnie: « Niech Litwa, Żmudź, Witebsk, Połock, Wołyń, Ukraina, Podole, objawią tegoż samego ducha jakim pałała Wielkopolska, a Opatrzność uwieńczy pomyślnością świętą sprawę waszą. » Wiemy dobrze, że te słowa więcej dla Aleksandra powiedziane były niż dla nas, bo wszystkie poźniejsze czynności władz francuzkich przeciwiły się im, hamowały uniesienie narodowe; nakazywane nawet przez nie nic nie znaczące formacje pułków, budziły przekonanie, że Cesarz ich więcej mieć nie chce—a jednak, gdybyśmy wtenczas taką jak wspomniał, rozwinęli czynność, w obec objawu narodowej siły i zapału, umilkłby Pradt i Bassano, nie zdołanoby przeszkodzić tworzeniu nowych zastępów— a kiedy nastały klęski, tenże sam Napoleon z radością znalazłby pod ręką nowe siły, któreby szalę może przeważyć zdołały. Księztwo Warszawskie było wycieńczone, ale Litwa a szczególniej Ruś, jakkolwiek znaczny do wojska dostarczyły kontyngens, miały jeszcze ogromne zasoby; wszystko tam, lud nawet był potrząśnięty, do ofiary gotowy. Nie użyliśmy tego. W wyższych sferach paraliżowały wielu świeże obietnice Alexandra, którym niedawno wierzyli, a których nie dość wyraźne względem nas postępowanie Napoleona całkiem zapomnieć nie dało; w ogólności zaś brak było poczucia, że sami koniecznie ojczyznę sobie musieliśmy wywalczyć, że gdyby nawet w Moskwie nie spotkała Napoleona klęska, tylebyśmy tylko od niego otrzymali, ileby naszych było wysileń. Dla niego, kwestja Polska, gdyby nią nawet szczerzej był zajęty, musiała zawsze być zależną od innych politycznych widoków — dla nas była ona pierwszorzędną, najważniejszą, jedyną. On tylko pewne, określone, mógł dla niej ponieść ofiary — nasze musiały być nieograniczone. Jeszcześmy się byli nie otrząśli całkiem z wad dawnych. Niegdyś, wśród groźnych do koła niebeśpieczeństw, mawialiśmy sobie, że Polska nierządem stoi, i że równowaga polityczna nakaże sąsiadom uszanować jej całość; później, wielu z uczciwych nawet ludzi zwracało się do Katarzyny, upatrując w niej tę rękę, która naród wyratuje z toni; teraz nawet, po takich boleściach i doświadczeniach, jeszcześmy sobie wyobrażali że bohater świata, jak go nazywano, sam wszystkiego dokona. Czciliśmy go to prawda, ale wymagaliśmy, żeby był lepszym od nas samych Polakiem, i razem z uwielbieniem, wiele też obowiązków naszych składaliśmy na niego. Kiedy upadł, wielu między nami i najszanowniejszych zarzucało mu, iż o Polsce nigdy szczerze nie myślił i zbyt mało dla niej zrobił — daleko mniej niżeli mógł w istocie. On sam, po strasznej klęsce 1812 roku uznawał w tém błąd swojej polityki, nieraz odezwał się z tém, że żałuje iż królem Polskim się nie ogłosił; już w mowie swojej do resztek naszego wojska przed bitwą pod Hanau, wyraźnie wypowiedział żal swój, iż chwytał

się półśrodków na nic nie przydatnych, a u nas jak się wyraził, mniej niż gdziekolwiek (1); w samotności zaś pokutniczej na ś. Helenie jeszcze jaśniej widział ważność tej sprawy i błąd jaki zaniechawszy jej popełnił; ale my z naszej strony, w naszej też pokucie, powinniśmy uznać iż pomimo całej dzielności i bohaterstwa jakiego dowiodły zastępy nasze, jeszcześmy o wiele nie dopełnili tego, co w tych stanowczych chwilach dla wyswobodzenia ojczyzny było niezbędnem, jeszcześmy za nadto na obcy genjusz i obce rachowali siły, a własnych dostatecznie nie rozwinęli. Odzyskanie ojczyzny trudniejsze jest i większych musi wymagać ofiar niżby ich trzeba było na jej utrzymanie. Kilkadziesiąt tysięcy walecznych którzy polegli, zdobyło nam poszanowanie u świata; oni krwią swoją okupili tę cząstkę ojczyzny której imię Polski przywrócono, — ale dla odzyskania politycznego bytu dla całej Polski, większych jeszcze wysileń i większych ofiar potrzeba było.

Po przejeździe Napoleona przez Warszawę wszystko rozstrajało się ostatecznie. Nakazane przez Radę konfederacji (20 Grudnia) pospolite ruszenie nie dawało sił żadnych; zmienione już były całkiem obyczaje, dawnych pospolitych ruszeń nie rozumiano, a i wymagania wojenne, były zupełnie różne, i taki żołnierz zaspokoićby ich nie mógł. Konfederacja znowu, po kilkomiesięcznem biernem zachowaniu się zapału wywołać też nie była w stanie. Przednia straż moskiewska ukazała się nad Liwcem 30 Grudnia a 31 Stycznia dotarła do Wisły. Prusacy już byli na stronie Aleksandra. Książe Józef zebrawszy ile mógł jeszcze żołnierza (7 do 8000) musiał pójść dalej za armją i razem z Rządem opuścił Warszawę d. 7 Lutego 1813 roku. Z rozmyślnej winy Austryjaków odcięty od wojsk francuzkich, zwrócił się z wrocławskiego gościńca do Krakowa. (20 Lutego). Tam, choć z niezagojonemi jeszcze ranami, połączył się z nim Kniaziewicz, teraz komandorskim krzyżem polskim ozdobiony. Gdyby tutaj przynajmniej mógł był Książe Józef utrzymać się, gdyby znalazł w mieszkańcach tej prowincji takie jak w 1809 roku poparcie— możeby jeszcze na losy rozpoczynającej się kampanji mógł wpłynąć, możeby Austryja wstrzymaną była od połączenia się z Rossją—ale już wszystko kruszyło się. Z klęskami Napoleona ożywiały się znowu nadzieje tych którzy ufność pokładali dawniej w Aleksandrze. Ks. Antoni Radziwiłł przyjeżdżał do Krakowa w deputacji do Ks. Józefa, chcąc go namówić aby Napoleona opuścił. Ten namowy odrzucił, a chcąc utrzymać się w Galicji, starał się o zawieszenie broni. Rossjanie będący już w porozumieniu z Austryją, propozycję odrzucili; Książe Józef

(1) Ciekawe to i nieźmiernie charakterystyczne przemówienie zachowali nam obecni przy niém ziomkowie: Jenerał Henryk Dembiński, w pamiętnikach swoich, i nieznajomy (podobno Jenerał Sokolnicki) w pisemku p. t. Journal historique des opérations militaires de la 7me Division de Cavalerie légère polonaise, depuis la reprise des hostilités au mois d'Août 1813 jusqu'au passage du Rhin. Paris 1814. Przytaczam oba te pisma, bo mowa Cesarza spisywana z pamięci, różni się trochę w każdém z nich co do wyrażeń, jakkolwiek zgodna zupełnie w treści.

musiał iść dalej. Kniaziewicza rany zniewoliły szukać ratunku u wód w Lubieniu i tam na kilka tygodni się udał.

Razem z klęskami ogólnemi, dotknął go jeszcze boleśny cios domowy; umarła mu kochana żona. Wszystkiemi cierpieniami na raz doświadczał Bóg silnego męża. « Czemuż, pisał wtenczas do przyjaciela, cierpienia moje fizyczne i moralne dokazać nie mogą, ażeby się skończyły dni życia mojego?»

W tém ustroniu dochodziły go wieści o nowych bitwach pod Lützen i Bautzen, o losach wojska polskiego które prowadził Ks. Józef, nareszcie o kongresie w Pradze Czeskiéj, (18 Maja) na którym już i Napoleon zgadzał się na zniesienie nawet Księztwa Warszawskiego. W Sierpniu układy zostały zerwane. Austryja wyraźnie do koalicji przystąpiła, a znajdujący się w jej krajach wojskowi polscy uważani jako jeńcy wojenni. Uległ temu losowi i Kniaziewicz. Pozwolono mu wybrać miejsce pobytu; osiadł więc w Tarnowie i tam końca nieszczęśliwej wojny doczekał się. Zajęty losem pasierzbicy która mu po ukochanej żonie została, pisał wtenczas, iż tylko gdy o niej myśli zdaje mu się że jeszcze nie wszystko umarło.

W nowej wojnie, przy opuszczonym przez wszystkich Napoleonie wytrwały nasze zastępy; Książe Józef zginął w Elsterze—wszystkie pobojowiska tego roku były świadkami waleczności naszej—nareszcie pokonany bohater złożył koronę. Pokój paryzki (11 Kwietnia 1814 r.) zaręczył Polakom powrót do ojczyzny z bronią w ręku « a to w dowód zaszczytnych zasług, » o Księztwie Warszawskiem nie wspomniał. Fryderyk August od bitwy pod Lipskiem był jeńcem wojennym; memorjał podany dworom w Paryżu przez ministrów Księztwa, w którym odwoływali się do odezw tychże dworów, powołujących niedawno wszystkie ludy do powstania w imię narodowości jako najświętszego prawa, pozostał bez odpowiedzi.

X.

Księztwem Warszawskiem zajętem przez wojska rossyjskie rządziła Rada Najwyższa, ustanowiona przez Aleksandra; w jego ręku zostawały losy kraju. Wprawdzie, zobowiązał się on był *tajemnie* w Kaliszu (28 Lutego) powiększyć kosztem ziem polskich Prusy, tak, aby wojennie i jeograficznie połączyć wschodnie ich prowincje ze Szlązkiem, a w umowach z obu rozbiorczemi Rządami w Cieplicach Czeskich również *tajemnie* przyrzekł powrót Prus i Austryi do granic przed 1805 rokiem; ale oświadczał się głośno z najlepszemi dla Polski zamiarami. Księciu Adamowi Jerzemu Czartoryskiemu który po zajęciu Warszawy przez wojska rossyjskie odezwał się do znanych mu dawniej jego uczuć

i podawał myśl połączenia wszystkich dawnych ziem polskich pod berłem Wielkiego Księcia Michała, odpowiadał własnoręcznie : «Niech Polacy mają ufność w moim charakterze i moich zasadach, a nie zawiodą się. » Podobne oświadczenie powtarzał poźniej nie raz. Wielu patriotów w nim tylko widziało wtenczas jedyną nadzieję ratunku. Po zawarciu Paryzkiego traktatu, Kościuszko (9 Kwietnia 1814 r.) i Dąbrowski jako ostatni wódz wojska polskiego, zwrócili się ku niemu. Uprzejmie przyjął deputację i zaraz Wielkiego Księcia Konstantego wodzem wojska polskiego mianował. Kościuszce odpisał : « Życzenia twoje będą spełnione— zniknęły przeszkody— odrodzi się dzielny naród przez tego, którego miał za nieprzyjaciela. » Z właściwą sobie zręcznością wybrał do tego dzień 3. Maja i tegoż dnia mianował *Komitet wojenny* do nowego urządzenia wojska. Przyzwał doń Kniaziewicza. Zacny mąż zasiadł w Warszawie i tu nowy przyszło mu złożyć dowód szlachetności i wierności zasadom.

Zebrał się Kongres Wiedeński mający zaprowadzić nowy porządek. Na spotkanie jadącego tam Aleksandra wyjechała deputacja polska do Biały Podlaskiej. Podwakroć powtórzył jej Aleksander, że jedzie dopełnić wielkiego dzieła które rozpoczął, że usprawiedliwi zaufanie narodu polskiego a jego szczęście będzie uważał za dostateczną nagrodę. Książe Adam Czartoryski pośpieszył za nim. W Maju 1815 r. przyjechał do Wiednia i Kościuszko. Trudności okazały się ogromne, a najtrudniejszą ze wszystkich kwestja polska. Spierano się o zasadę na której nowy porządek miał być osnuty, o nowe granice państw. Metternich podawał trzy sposoby załatwienia kwestji polskiej : przywrócenie jej w dawnych przedrożbiorowych granicach, powrót do stanu przed drugim rożbiorem, albo zupełne wykreślenie z karty europejskiej; w razie przyjęcia przez obradujących pierwszego projektu, Austryja oświadczała się z gotowością ustąpienia swojego zaboru, ale tylko dla Polski niepodległej; Francja i Anglja wyrażały życzenie aby pierwszy projekt przyjętym został. Gdy ten nieprzełamany opór znalazł w Rossji i Prusach, Austryja domagała się powrotu do stanu po ostatnim rożbiorze, i wykonania tajemnych układów. Aleksander odpowiedział na to, iż większe nad spodziewanie zwycięztwo zmieniło stan rzeczy i żądał Polski dla siebie. Talleyrand przyszedł z ideą *prawowitości* która istotnie rozstrzygnęłaby wszystko, gdyby sumiennie wykonać ją chciano; ale gdzież było szukać podstawy do praw które przywracaćby miano? ktoby się na uznanie ich tam zgodził! Lękano się groźnego wzrostu potęgi rossyjskiej i przeciw niej chciano sie zabeśpieczyć, dla tego przemawiano za Polską. Aleksander odwoływał się do życzeń « ośmiu milionów Polaków » kończył oświadczeniem, że ma w kraju 200,000 wojska i że chcąc nim inaczej rozporządzić, pierwej mu go odebrać potrzeba, a dla otrzymania uroczystego

oświadczenia życzeń krajowych za nim, wysłał do Warszawy Wielkiego Księcia Konstantego (9 Listopada 1814 roku). Ten wezwał Komitet wojenny aby przyśpieszył organizację wojska dla obrony granic kraju zagrożonego *jakoby* przez Kongres.

Położenie komitetu było trudne. Nasi mężowie stanu całą nadzieję wtenczas pokładali na Aleksandrze i gotowi byli popierać jego żądania. Jm więcej on kraju polskiego nabywał, tém bardziej rozszerzały się granice spodziewanego królestwa, a słabnął węzeł spajający trzy rozbiorcze mocarstwa; ale dotychczas, naród miał tylko obietnice, rękojmi żadnych— uczucie narodowe było za Francją przeciw której wymierzony był kongres, a przeciw Moskwie, z którą nie chiano wspólności; Księztwa Warszawskiego, prawym władcą dotychczas był zresztą Fryderyk August, powszechnie u nas szanowany—Komitet więc, na początku swych obrad oświadczył, iż do urządzenia wojska przystąpi dopiero wtenczas, kiedy Król Saski uwolni naród od przysięgi, a los kraju uroczyście przez traktaty zapewniony będzie. Z tego wychodząc stanowiska, i na odezwę Wielkiego Księcia Konstantego odpowiedział, iż wojsko polskie istnieć nie może bez Ojczyzny, że mu przedewszystkiém potrzebne wyrzeczenie uroczyste co do bytu politycznego kraju. « Niech Najjaśniejszy Pan zapewni Polsce ten byt i rząd konstytucyjny, kończył Komitet, a naród znajdzie zasoby do obrony swojej całości i złoży je w hołdzie swemu wielkiemu opiekunowi» (30 Listopada). Wieki Książe rozwodził się nad dobremi chęciami Cesarza, groził Komitetowi odpowiedzialnością wobec Ojczyzny gdyby jej w stanowczych chwilach nie pomógł; co do przysięgi wykonanej Królowi Saskiemu twierdził, że wypadki same od niej rozwiązały. Zwołani raz jeszcze członkowie Komitetu zdania swoje imiennie w protokóle zapisali. Wśród zdań rozmaitych, Kniaziewicz jeden oświadczył, iż Komitet wojenny mianowany przez Aleksandra nie ma praw żadnych, dopóki Alekśander nie zostanie prawym panem kraju; połączył się z nim Wojczyński. Przegłosowani przez kolegów, usunęli się obydwa z komitetu i na tém się na długi czas zakończyły publiczne prace Kniaziewicza (1). Zajączek pisał wtenczas do niego :

(1) Usuwając się z Komitetu Kniaziewicz i Wojczyński złożyli do protokółu następne oświadczenie : Przy otwarciu pierwszego posiedzenia, Komitet wojskowy wziął był mocne postanowienie podejmować stanowczą organizację wojska dopiero wtenczas, kiedy Najjaśniejszy Król Saski, Książe Warszawski uwolni go od przysięgi i kiedy los Polski przez traktaty zostanie uświęcony. Jednakże, przekonany o widokach wielkomyślnych Najjaśniejszego Cesarza Rossji dla narodu Polskiego, komitet wojskowy wziął na siebie tymczasowo przygotowawczą pracę, którąby na przyszłość służyć mogła za podstawę nowej organizacji wojska. Najjaśniejszy Cesarz raczył pochwalić to postanowienie komitetu, którego członkowie przez cztery miesiące, kiedy Jego Cesarska Mość Wielki Książe był nieobecny, pracowali gorliwie i wytrwale nad przedmiotami pomiędzy siebie rozebranemi. Wkrótce po powrocie z Wiednia, Jego Cesarska Mość Wielki Książe uwiadomił Komitet, że dla uniknienia nawet cienia nieufności względem zamiarów życzliwych Najjaśniejszego Cesarza i dla przygotowania się w razie, gdyby w zbiegu wypadków niespodziewanych, wojna wybuchnąć miała, na-

« Wielki to dla nas smutek, żeś się z nami, dawnymi kamratami, rozróżnił zdaniem. Wielki Książe ma nadzieję, że czas przekona cię o dobroci zamysłów Cesarza dla naszej ojczyzny, i że się z nami na jedno zgodzisz. Ja proszę Boga aby tak było, bo te rozłączenia zawsze szkodzą krajowi; wynika stąd zachwianie się opinji jeneralnej, co za sobą tysiączne rzeczy ciągnie. » Nalegania były liczne, ale Kniaziewicz zachwiać się nie dał.

Tymczasem w Wiedniu zawarty został dnia 3 Stycznia tajny traktat między Anglją, Francją i Austryją przeciw Rossji; mogło istotnie przyjść do wojny. Powrót Napoleona z wyspy Elby przyśpieszył rozstrzygnienie kwestji między obradującymi. Nie uznano głoszonej pierwej zasady, że « największą jest niesprawiedliwością jednoczyć gwałtem narody » zgodzono się owszem, aby przestały istnieć : Księztwo Warszawskie i Rzeczypospolite Wenecka i Genueńska « jako spuścizny bez dziedzica » — utworzono zaś Królestwo Polskie, połączone wprawdzie z Rossją, ale mające oddzielną swoją konstytucję i wojsko. Obecny na kongresie Książe Adam Czartoryski potrafił wtenczas ogromną krajowi oddać usługę. Za jego to staraniem, ujęty dla sprawy naszej Członek Parlamentu Angielskiego Brougham napisał książkę o Polsce i miał na jednem z posiedzeń głośną za nami mowę. W skutek tego, a wielostycronnh Księcia zachodów i dobrej natenczas woli Aleksandra,

leży koniecznie, nie odkładać na czas dalszy organizacji wojska. Pomimo, że tak ważne przedstawienie było naglące, komitet wojskowy sądził jednak, iż mu należało oświadczyć, że nie może zmienić raz wziętego postanowienia, mającego nadto przyzwolenie Najjaśniejszego Cesarza. Gdy Jego Cesarska Mość Wielki Książe też same postanowienia ponowił, kilku członków komitetu było zdania, iż należy według nich postąpić, aby postanowienie komitetu nie było uważane za akt nieposłuszeństwa; inni, zgadzali się na organizację, ale pod rozmaitemi warunkami. Sami tylko jenerałowie : Kniaziewicz i Wojczyński uważali przedstawienie Jego Cesarskiej Mości Wielkiego Księcia z innego punktu. Przekonani są zupełnie, że Najjaśniejszy Cesarz pragnie nadać Polsce byt polityczny, lecz pierwej chce mieć pewność, czy może liczyć na stałość, energję i skrupulatną wierność dla monarchy ze strony osób, które raczył zaszczycić swojem zaufaniem, wyznaczywszy je do reprezentowania pierwszej władzy wojskowej. Takie mając przekonanie, i przewidując, że naród tyle razy zawiedziony w swoich oczekiwaniach, stał się ostrożniejszym, więcej wymagającym i surowym w sądzeniu postępowania swoich przełożonych, zwłaszcza tych, którzy w rozmaitych kolejach na jakie Polska była wystawioną, nie wiele stracili, że w rozdrażnionym przez tyle nieszczęść narodzie, nicpodobna byłoby wykorzenić nasienia nieufności względem nowych przełożonych, pókiby nie ujrzał pewności, że spełnione jest jedyne szczęście, do którego wzdycha od tylu lat; wszystkiem tem powodowani, Jenerałowie Kniaziewicz i Wojczyński oświadczyli, że nie odstąpią od pierwszego swego postanowienia.

« Byli oni nadto zdania, że komitet powinien był, znając charakter współziomków, zamiast przyśpieszać organizację, przedstawić ze swojéj strony Jego Cesarskiej Mości Wielkiemu Księciu, iż dla pomyślnych wypadków nowej organizacji wojska należało czekać chwili, kiedyby naród i wojsko przekonane były, że byt polityczny Polski jest zapewniony, i że wojsko uwolnione od przysięgi, może zaciągać nowe obowiązki względem Najjaśniejszego Cesarza Rossji.

« Jenerałowie Kniaziewicz i Wojczyński temi wiedzeni pobudkami i przekonani, że ich przedstawienia nie osiągnęłyby żadnego rezultatu, zwłaszcza że inni członkowie komitetu są zdania przeciwnego, zawiesili swoje urzędowanie.

« Zresztą, Jenerałowie Kniaziewicz i Wojczyński mogli się mylić w swojem zdaniu, ale myśl ich była czysta. Kto nie żąda ani urzędu, ani względów, kto z powodu słabości zdrowia widzi się w niemożności oddawania się dłużej zawodowi wojskowemu, kto zamiast żądania pensji żąda tylko dymisji, ten może zdanie swoje wynurzyć śmiało, otwarcie i niepodlegle.

który z osobistą dla niego nie tail się przyjaźnią, osobne artykuły traktatu zawarowały dla wszystkich prowincji naszych pod rządami trzech mocarstw, reprezentacje i instytucje narodowe. Aleksander powtarzał wtenczas głośniej niż kiedy obietnice swoje, oświadczał się z serdecznemi dla Polski uczuciami, zastrzegł nawet dla siebie w traktacie Wiedeńskim prawo połączenia w przyszłości z Królestwem kongresowem pozostałych naszych prowincji. Zdawało się, że dla dopełnienia tego. tylko opozycji wewnątrz własnego kraju obawiał się.

Wielu ludzi najznakomitszych u nas postanowiło korzystać z jego usposobień, wielu uwierzyło w szczerość obietnic. Jak niedawno od Napoleona, tak teraz od niego zaczęto oczekiwać *wskrzeszenia* Ojczyzny. Kościuszko nie dał się pociągnąć i do kraju nie wrócił—Kniaziewicz oparł się wszystkim naleganiom. W Grudniu jeszcze 1815 roku pisząc z Warszawy do przyjaciela uskarżał się, że wystawiony jest ciągle na próbę czy się sposób myślenia z wiekiem nie zmienia, ale dodawał: « spodziewam się że się przyjaciel wstydzić za mnie nie będzie. » Prawa, a tylu zawodami doświadczona dusza jego, przenikała obłudę. Postanowiwszy, jak sam się wyrażał, « być już odtąd spektatorem a nie aktorem » nie chciał zostawać w Warszawie; do swojego nawet ukochanego Wołynia, gdzie miał najbliższych przyjaciół, powiadał że nie wróci pierwej, aż go chyba Królestwo zawojuje. Z serdeczną pociechą wydawszy w tych czasach pasierzbicę swoją za Księcia Michała Radziwiłła, i zdawszy rachunki z opieki, odstąpił jej całego majątku i zapisanego na nim przez żonę dożywocia, a zapewniwszy sobie skromny dochód do smierci, szukał miejsca gdzieby miał osiąść na resztę życia. Nęciło go zrazu Krakowskie, póki Radziwiłłowie tam zamieszkać mieli zamiar; w końcu zdecydował się na Drezno i tam się też ostatecznie przeniósł. Wody w Baden i Karlsbadzie wróciły mu zdrowie, a częste podróże rodaków którzy go odwiedzali, zwiększająca się ciągle kolonja polska w Dreznie, coraz mu przyjemniejszym robiły pobyt w tém mieście.

Nikt nie zarzuci takiemu jak Kniaziewicz człowiekowi, że w tej chwili o ojczyznie zapomniał albo nawet, że dla jakich osobistych niechęci w nowém wojsku polskiem służyć nie chciał — przyznać nawet musimy że w tém usunięciu się jego na bok, jak w usunięciu się Kościuszki było ostrzeżenie dla narodu zbyt może łatwo oddającego serce każdemu, co mu szczerze lub nieszczerze wskrzeszenie Ojczyzny przyrzekał; nie możemy jednak nie zwrócić uwagi na to, że tylko korzystając z tego co nadarzają okoliczności, możemy lepszą przyszłość dla siebie budować. Mozolną i niewdzięczną często służbą w nowém Królestwie Kongresowem, wytrwałem bronieniem udzielonych mu praw, rozwijaniem sił i zasobów wewnętrznych, hodowaniem wzrastających pokoleń, ćwiczeniem w końcu w karności nowego wojska naszego, pracujący na

wszystkich tych polach mężowie, przygotowywali narodowi całemu odrodzenie. Jeżeli w 1830 roku znalazł on w sobie siły do świetnej i upornej walki, ich to pracy przedewszystkiem zawdzięcza. Wpływ Kniaziewicza, gdyby był w Warszawie, mógł być bardzo zbawienny — kto wie nawet czy osobisty jego charakter, poparty europejską już sławą, nie byłby w stanie hamować nieraz Wielkiego Księcia Konstantego, a po nocy 29 Listopada czyby szczęśliwszego kierunku usiłowaniom narodowym nie nadał.

Zamieszkałemu w Dreznie, cicho i spokojnie przeszedł cały lat dziesiątek; był w stosunkach z krajem, żył jego uczuciami, ale sam czynnie do niego się nie mięszał. Rząd jednak rossyjski miał go ciągle na oku. Stałość jego uczuć patriotycznych i przekonań aż nadto była znajomą i jawną, imię zbyt szanowne w ojczyznie, aby w nim jednego ze sterników myśli narodowej nie podejrzywał. Odkryte w 1825 roku w Rossji i Polsce tajne towarzystwa i spiski, naprowadziły śledcze komisje na myśl, że on w nich udział mieć musiał — domyślano się nawet że niemi kieruje. Mikołaj wtenczas już stawał się wszechwładnym w Europie; dosięgło ramię jego naszego weterana w stolicy saskiej. W Lutym 1826 roku, policja pod przewodnictwem rossyjskiego rezydenta Szredera naszła nagle jego mieszkanie; zabrano mu papiery, a sam odwieziony został do Königstejn i zamknięty w więzieniu. Tą surowością tylko uwolnił się Król saski od wydania go rządowi rossyjskiemu, do czego nawet w końcuby przyszło, gdyby rezydent francuzki Rumigny nie ujął się za « komandorem legji honorowej » a przez to samo, według pierwotnych jej ustaw obywatelem Francji. Być może, że pamiętny uraz Wielki Książe Konstanty gotował mu los Łukasińskiego. Całych sześć miesięcy przeciągnęło się więzienie Kniaziewicza; wydała mu w końcu śledcza komissja warszawska świadectwo, iż najmniejszego nie znalazła śladu, a tem mniej dowodu, aby w jakikolwiek bądź sposób do odkrytych związków należał. Wypuszczony więc z więzienia, wrócił na powrót do Drezna. Już przed bramami miasta spotkali go tłumnie zebrani mieszkańcy, pragnący mu w tej chwili okazać miłość powszechną i szacunek jaki zjednać umiał, a przyjęty przez króla w Pilnitz, kiedy mu według etykiety dworu saskiego chciał rękę ucałować, mówiąc : « Najjaśniejszy Panie! opieką swoją stałeś się dla mnie ojcem, pozwól abym rękę twoją jako rękę ojca ucałował; » król rękę swoją usunął, i rzekł : « Miałem i ja dni ciężkie i twarde, umiałeś mnie wtenczas dochować niezachwianą wierność, dług ci więc tylko wypłaciłem. » Była to alluzja do jego znalezienia się w komitecie wojskowym 1814 roku.

XI.

Powstanie listopadowe znalazło Kniaziewicza w Dreznie. Siedmdziesięcioletni prawie starzec, chciał zrazu jechać do kraju, i ostatki sił i krwi, obronie jego raz jeszcze poswięcić, ale doświadczonego w rewolucjach, wstrzymała obawa, aby jak mówił, nie przyszła komu chęć postawienia go, jako najstarszego jenerała, przeciw naczelnemu wodzowi którego sobie kraj naznaczył; nie chciał stać się powodem ani pozorem do rozdwojenia w narodzie. Czy dobrze na tém postanowieniu jego kraj wyszedł, trudno dziś wyrokować; pobudki tylko nie uszanować, nie można.

Książe Adam Czartoryski przebiegający myślą już na wygnaniu wypadki tego czasu, w mowie nad grobem Kniaziewicza dotknął tego przedmiotu, i wyraził żal, że się on w kraju nie znalazł, kiedy Chłopicki złożył dyktaturę; « czerstwość ciała, moc umysłu, to są jego wyrazy, byłyby się podwoiły dotknięciem ziemi ojczystej, i widokiem jej usiłowań. Pod najstarszym jenerałem, powszechnie kochanym i poważanym, mniejby było zawiści, nieporozumień, i wahania. Jako wojskowy, Kniaziewicz był roztropny ale też i odważający się, był frontowym taktykiem, ale też i powstańcem; nadewszystko był bezstronnym, sprawiedliwym, a ścisłym karnośći i porządku przestrzegaczem; umiał być surowym i zachęcającym; nie zmieniał powziętego zdania i nigdy nie rozpaczał. Pod nim, rzeczy od początku weszłyby w karby i wzięły szczęśliwy kierunek. »

Czy znalezienie się Kniaziewicza na czele naszych zastępów przeniosłoby zaraz wojnę do dawnych granic Polski, czyby ją rozwinęło szerzej, i dłużej przeciągnęło, trudno sądzić; słowa ówczesnego Prezesa Rządu Narodowego przytoczyliśmy tutaj jako poważne bardzo świadectwo, i usposobień jego i miłośći jaką w narodzie posiadał; dodamy zaś jeszcze tę uwagę, że między jenerałami naszymi wtenczas, Kniaziewicz jednym był z tych którzy pamiętali jeszcze przedrożbiorową Polskę, bił się za nią całą za Kościuszki, uczucie jego obejmowało wszystkie prowincje nasze które znał, w których kolejno służbę pełnił, łatwo więc wnieść można, że nie ograniczyłby się sławnym trójkątem Chłopickiego i w duszy swojej zaraz dawne ujrzał granice. Jakkolwiek bądź, wtenczas użyto go na innem polu.

Powstający naród nie mógł zapomnieć o tém że należy do rodziny europejskiej, i skupiając własne siły do walki, wyrzec się albo odrzucić pomoc, jakąby gdzie indziej mógł znaleźć. Ze strony Francji pomocy takiej najbardziej spodziewać się miał prawo. Powstaniem swojem za-

słonił ją istotnie od wojny już prawie nieuniknionej, a przez ćwierć wieku na wszystkich pobojowiskach świata lejąc z nią wspólnie krew swoją, nowemi węzłami utrwalił dawne między obu narodami pobratymstwo; w dodatku rząd francuzki, powstały z dni lipcowych, był przedmiotem wyłącznej nienawiści Rossji; przeciw niemu wymierzoną była wojna w której my straż przednią stanowić mieliśmy, a wiadomo było iż Mikołaj oświadczył publicznie, że nigdy nie splami honoru swojego, uznając dynastję Ludwika Filipa. Mężowie stojący na czele narodu najpierwej też postanowili odezwać się do Francji. Zaraz po wybuchu powstania posłany był do Paryża Wolicki, a utworzony dnia 28 Stycznia Rząd Narodowy użył do tego pośrednictwa Kniaziewicza.

« Tłumacz życzeń Polski, pisał do niego Książe Adam Czartoryski, zgłaszam się w tej chwili do jednego z najwaleczniejszych i najdawniejszych jej obrońców. Już wprawdzie wypłaciłeś dług ojczyznie i wsławiłeś imię polskie w zawodzie wojskowym, ale czeka cię inny rodzaj sławy, nie mniej czystej, nie mniej godnej ciebie, nie wątpimy na chwilę, że podejmiesz się nowego obowiązku. Usłużysz krajowi skutecznie jeżeli udając się niezwłocznie do Paryża, podejmiesz się popierać u rządu francuzkiego nasze życzenia. Znany jesteś Francji i Europie; przyczyniałeś się do sławy wojsk francuzkich; jesteś pewny znaleźć w Paryżu, jak wszędzie, szacunek i poważanie. Żądamy twej osobistej usługi dla dobra ojczyzny i bogdajby ojczyzna tobie była winna najznakomitszą, jaką jej oddać można. »

List ten z aktem akredytującym i instrukcjami rządu narodowego (z dnia 28 Stycznia 1831 roku) powiózł do Drezna, Kasztelan Ludwik Plater, opóźniony trochę w drodze, bo pomimo legalizowanego przez konsula pruskiego pasportu, we Wrocławiu przez władze pruskie zatrzymanym został. Nazajutrz po otrzymaniu listu, (dnia 22 Lutego) Kniaziewicz z jego oddawcą był już w drodze do Paryża; odtąd, pracowali tam razem. Żądanie narodu aby dawne prowincje polskie przypuszczone zostały do wspólności praw z Królestwem, Mikołaj odrzucił; oczekiwano najścia kraju. Sejm na groźbę odpowiedział ogłoszeniem niepodległości narodowej — walka stanowcza lada chwila rozpocząć się miała. Kniaziewiczowi zleconém było : podać Europie manifest narodu tłumaczący powstanie, domagać się pośrednictwa Francji zwłaszcza u mocarstw sąsiednich, żeby je od szkodzenia nam wstrzymać, a nareszcie żądać pomocy w broni, pieniądzach, gdyby było podobném, wywołać zbrojną za Polską interwencję.

Nie mieliśmy już wtenczas zupełnie ludzi wdrożonych do dyplomatycznej służby, wymagającej jak każda inna specjalnego ukształcenia i wprawy; w ostatniej epoce politycznego bytu naszego, zaniechaliśmy jej byli zupełnie z wielką dla sprawy naszej stratą; po rozbiorze, mieć jej nie mogliśmy. Zacni obywatele którzy u obcych dworów starali się

obudzić zajęcie losem kraju, byli istotnie ochotnikami tylko, nie mogli ani wyrobić, ani zostawić po sobie żadnej tradycji, nie było więc gotowych nie tylko ambassadorów, ale nawet sekretarzy ambassady; wszystko trzeba było tworzyć na nowo. W takiem położeniu, lepszego pełnomocnika nad Kniaziewicza trudno było wybrać. W radzie Ludwika Filipa zasiadali wtenczas ludzie, którym on od dawna był znany i blizki; minister wojny, marszałek Soult, był pierwszym oficerem z którym się Kniaziewicz poznał i zaprzyjaźnił, jakeśmy we właściwem mówili miejscu; minister spraw zagranicznych Sebastjani, Macdonald, Lobau, wszyscy mieli wspólną z nim chwałę, wspólne wspomnienia; koledzy ich należeli do tak zwanego stronnictwa liberalnego, które przez lat piętnaście wrzeszczało na traktaty wiedeńskie, obwiniało o nie Burbonów a Napoleonowi wyrzucało opuszczenie Polski; ogólną sympatję Francji dla nas zdawała się jeszcze podnosić sympatja dla osiwiałego jenerała; w samej osobie bohatera z pod Hohenlinden, tego który sztandary z Neapolu Dyrektorjatowi składał, przypominały się każdemu węzły i obowiązki łączące Francję z Polską. Kniaziewicz sam spodziewał się dobrego skutku swojego poselstwa.

Stanąwszy w tym Paryżu który w tak rozmaitych okolicznościach widział, w którym już dawniej tak wytrwale dla sprawy narodowej pracował, rozwinął znowu zwykłą sobie czynność, ale niestety prędko przekonał się jak mało na rządzie ówczesnym mógł pokładać nadziei; «królowi mieszczaninowi» chodziło przedewszystkiem o zapewnienie się na tronie, i utrzymanie pokoju. Mikołaj w obec powstania polskiego zapomniał o niedawnych pogróżkach, i Ludwika Filipa królem uznał, a ten pełen obawy niedawno, aby deputacja wysłana do Petersburga nie pogodziła narodu z cesarzem rossyjskim i wyprawy na Francję nie uczyniła możebną, przekonał się teraz dotykalnie: «iż jeszcze godzina dla Polski nie wybiła, a nie mogąc wygrać, grać nie powinna, że zatem należało jéj upokorzyć się tylko i czekać sposobniejszej chwili.» Zresztą, w całej Europie nie było wtenczas męża stanu któryby miał ducha potrzebnego do rozwiązania najtrudniejszego z zadań polityki, któryby czuł potrzebę przywrócenia moralnego prawa w stosunkach międzynarodowych, i zjednania na tej tylko drodze możebnego poszanowania dla samychże rządów, i ówczesnego rzeczy porządku. Anglja zajęta reformą parlamentu słuchać o kwestji polskiej nie chciała; Metternich lubo oświadczający iż Austryja wolałaby zawsze mieć Polskę za sąsiadkę niż Rossję, do żadnego kroku przyczynić się nie chciał, Prusy wyraźnie pomagały Mikołajowi. Daremnie Kniaziewicz w memorjałach i na konferencjach jakie miewał z ministrem spraw zagranicznych, przekładał wyraźny interes Francji w odbudowaniu Polski, a widząc zupełną niemożność wywołania zbrojnej za nami interwencji, domagał się pośrednictwa, wymożenia neutralności na Prusach, w końcu ubocznych

nawet w pieniądzach i broni zasiłków, wszystko było napróżno. Niezmordowany, a w pełnieniu obowiązku nieznużony, jak zawsze, doczekał się przecież pogodniejszej chwili. Zwycięztwa kwietniowe wojsk naszych, powstanie na Litwie i Rusi, dłużej nad spodziewanie dyplomatów stawiony opór Rossji, zdawały się budzić lepsze dla nas chęci w gabinetach europejskich. Wzmiankę w mowie tronowej przy otwarciu angielskiego parlamentu, o *walce* a nie o *buncie* polskim, uważano wtenczas za dobrą wróżbę; rozpoczęta przez Palmerstona *dyskussja* z Prusami i Austryją o zasadzie nieinterwencji, wszystko to dla skołatanych umysłów, zdawało się promykiem nadziei. Nareszcie, 23 Czerwca Hrabia Sebastjani oświadczył Kniaziewiczowi, że miesiąc Lipiec będzie stanowczym dla Polski, i że już zbliża się chwila w której znowu zajmie miejsce w polityce europejskiej. Potrzebowano tylko, aby pełnomocnicy polscy, dopomogli francuzkim i angielskim ministrom do przyjęcia przez Belgijczyków podawanych im wtenczas warunków pokoju z Holandją, gdyż jak utrzymywano, wielkie mocarstwa nie mogą zająć się sprawą polską przed ostatecznem załatwieniem belgijskiej. Współczucie dla Polski tak było wtenczas we wszystkich narodach ogólne, że można było na skutek takiego poselstwa rachować; jakoż nie zawiódł się Hrabia Sebastjani. Wysłany przez Kniaziewicza do Bruxelli Roman Załuski otrzymał czego żądano. Mógł więc nareszcie nasz jenerał wysłać do Warszawy gońca z oznajmieniem, że Francja wezwała Anglję do pośredniczenia między Polską a Rossją «którego by skutkiem było narodowe i polityczne odrodzenie nasze.» Dodawał, iż minister oświadczył, że jeszcze tylko dwóch miesięcy wytrwałości potrzeba, aby Polska zajęła znowu miejsce w polityce europejskiej. Była to jedyna pogodna a przelotna chwila w ciągu półrocznych usiłowań Kniaziewicza. Piérwej nim goniec przybyć zdołał do Warszawy, już Ludwik Filip otwierając Izby francuzkie 23 Lipca mówił o rokowaniach tyczących się Polski jak o rzeczy minionej; «*usiłowałem* powiadał, przyśpieszyć koniec krwawej walki w Polsce, *chciałem* zapewnić Polsce, której męztwo obudziło dawną przychylność Francji, tę narodowość która opiera się czasowi....» Hrabia Sebastjani kładł jeszcze nacisk na to, jak wielkiej dokonał rzeczy, włożywszy w usta królewskie wspomnienie o *narodowości* polskiej zamiast kongresowego królestwa. Z dniem każdym pogorszało się usposobienie. Thiers który poźniej miał dostrzedz niebeśpieczeństwo jakie zagrozi Europie i cywilizacji, «gdy Rossja jedną nogą o Sund a drugą o Dardannelle się oprze» pierwszy wtenczas wyrobił sobie *pewnik* iż Polska odbudowaną być nie może; stało się to przekonaniem ministerstwa, a kiedy nadeszły wieści o upadku powstania na Litwie i zajęciu lewego brzegu Wisły, wróciło do dawnej rady, «aby Polacy układali się sami z Mikołajem.» Nareszcie, dnia 9 Sierpnia Prezes rady ministerstwa uroczyście z mownicy zapowiedział

iż «Polacy niczego już od Francji spodziewać się nie mają.» Kniaziewicz podał jeszcze ministrowi spraw zagranicznych memorjał, streszczający wszystkie usiłowania pełnomocników naszych i wykazujący dobitnie iż Francja o wszystkiém uwiadomioną była i od najdrobniejszej nawet uchyliła się pomocy, i tém urzędowanie swoje dnia 3 Września zamknął. (1)

XII.

Rozpoczął się dla zacnego starca ostatni lat dziesiątek, który już miał upłynąć na wygnaniu. Przybyli do Francji członkowie rządu narodowego, i sejmu, wodzowie i żołnierze walk ostatnich, przybył wcześniej jeszcze z Anglji i dawny dla Kniaziewicza młodych lat przyjaciel, Juljan Ursyn Niemcewicz. Z nimi ostatnie te lata spędził, a już z Paryża nie wyjechał. Nim umarł, doczekał się jeszcze, że imię jego wyryto na łuku zwycięztw wzniesionym na polach Elyzejskich. Zrazu zapomniano o nim i «nie dziwi mnie to, powiedział do przyjaciół, kiedym po wojnie włoskiej i nadreńskiej wrócił do ojczyzny, jeden z sąsiadów moich dziwił się tylko że mnie tak dawno nie widział, i zapytywał gdzie być mogłem.» Nie cieszyło to już bardzo; niedola kraju, nowy upadek sprawy, dochodzące codzień wieści o prześladowaniach Mikołaja nabierającego coraz szerszego wpływu na sprawy całej Europy, wszystko to tłoczyło duszę i doświadczona tylu bolami, skupiała się w sobie, gotując się do wieczności.

Wszakże, do ostatniej chwili myśleć o ojczyźnie i służyć jej nawet o ile mógł nie przestał. W pierwszych latach pielgrzymstwa, główne staranie tych którzy ostatnim usiłowaniom narodu przewodniczyli zwrócone było ku temu, aby przynajmniej protestacje zagranicznych rządów przeciw gwałtom moskiewskim wywołać i nie dopuścić aby w pamięci zachodu sprawa nasza przedawnieniu uległa. Kiedy Książe Adam Czartoryski w tym celu bawił w Londynie, Kniaziewicz był stałym jego korrespondentem i pomocnikiem tych mozolnych zachodów w Paryżu. Teraz zaledwo zbliżony prawdziwie do niego, bo przez całe życie na różném polu służyli krajowi, powziął ku niemu ten głęboki szacunek który do końca życia zachował i był wiernym towarzyszem prac wszystkich. Świadek tylu zawiedzionych nadziei, na schyłku życia nie spodziewał się już sam lepszych dla kraju chwil doczekać, ale nie wątpił, że one dla przyszłych pokoleń nadejdą—kształcenie ich zatém, przygotowywanie nowych dla kraju obywateli, za najważniejsze zadanie chwil obecnych uważał—dla tego z całą gorącością ducha sobie właściwą od-

(1) Memorjał ten w całości umieszczony na końcu.

dał się utworzonemu wtenczas Towarzystwu Naukowéj Pomocy (1). Wódz legjonów, bohater z pod Borodina i Berezyny, nie dawno reprezentant całego narodu, za ubliżające dla siebie nie uważał przyczyniać się do zbierania drobnych nawet pamiątek narodowych, i wznoszenia tych skromnych na pozór instytucji emigracyjnych, które jednak o żywotności narodu wymownie świadczyć miały. Jak piérwej krew przelewał, tak teraz, w téméże samém uczuciu cegiełki a nawet ziarna piasku do budowy przyszłości znosił, będąc przekonany że każden czas ma swoje zadania jak i krzyż swój, i o to tylko chodzi, aby w żadnej chwili nie zwątpić i rąk nie opuścić. Gorliwie bardzo był zajęty Towarzystwem literackiém do którego najpierwszych członków należał. Bibliotece polskiej w Paryżu mappy i książki swoje zostawił, a na dni kilka jeszcze przed śmiercią zajęty był wyszukaniem dla niej domu.

Serce jego otwarte było dla wszystkich, dla całej rodziny tułaczej, groszem dzielił się z potrzebującymi, od żadnych składek ręki nie usunął, a ostatnią jeszcze wolą, całą swą pozostałość, (2700 franków) na rzecz współwygnańców przeznaczył. O przeszłości mówić nie lubił; zagadnięty o nią, zrywał się często z miejsca, jak gdyby kto na ranę, palec drażniący położył i odpowiadał : «już to wszystko minęło, nie chcę o tém gadać,» tak go rany ojczyzny ciągle bolały; dla tego też zapewne i obszernych nie złożył pamiętników, wszakże, gdy już do opowiadań przyszło, był dla drugich wyrozumiałym, podnosił chętnie ich zasługi i sprawiedliwość oddawał, dla siebie tylko jednego sąd zachowując surowy. We wzniosłej jego rycerskiej postaci, w silnym głosie, w rzucie głowy, znamionującym wolę i nawyknienie do rozkazywania, czuć było hetmana, spadkobiercę ducha Czarnieckich i Żołkiewskich; w pełnej słodyczy twarzy, poznawał każdy dobrego męża, wiernego przyjaciela, człowieka któremu żadne ze szlachetnych uczuć zdobiących życie tu ziemskie, obcém nie było.

Po 1832 roku zazwyczaj na lato wyjeżdżał do Montmorency którego drzewa i ogrody lubił, a gdzie Niemcewicz także przemieszkiwał często. Czerstwy jeszcze na siłach, codzień wstając o 5 godzinie rano dalekie przejazdki konno odbywał, a potém po całych dniach malował krajobrazy, bo mu to czas jak powiadał zajmowało i pozwalało dumać spokojnie. W 1841 roku dowiedziawszy się z testamentu Niem-

(1) Towarzystwo to, założone 29 grudnia 1832 roku, pod przewodnictwem Księcia Adama Czartoryskiego, prócz Kniaziewicza liczyło między dyrektorami swymi : J. U. Niemcewicza, Ludwika Platera, B. Niemojowskiego, Adama Mickiewicza, jenerałów, Paca i Dembińskiego, Karola Marcinkowskiego Ignacego Domejkę, Janusza Czetwertyńskiego. Sekretarzami byli : Aleksander Jełowicki, a poźniej Feliks Wrotnowski. Towarzystwo urządziło wykłady nauk wojskowych w Paryżu, miało szkoły pomocnicze polskie w Nancy i Orleanie, udzielało wsparcia rodakom uczącym się w rozmaitych naukowych zakładach Francji, i tym sposobem rozdało przeszło 85,000 franków. W 1841 roku ogłosiło konkurs na napisanie elementarnej książki narodowej, pod tytułem *Szkoła domowa*. Przestało istnieć w 1844 roku, kiedy powstały szkoły polskie w Paryżu.

cewicza iż chciał być pochowanym w Montmorency, pojechał tam raz jeszcze wybrać i zakupić dla niego miejsce, które zarazem i na grób dla siebie przeznaczył. Przemawiając raz ostatni nad grobem towarzysza młodości i tylu rozmaitych życia kolei, powiedział te pamiętne słowa: «Znaliście nas, i widzieliście, że nie było może dwóch bardziej różnych charakterów, a jednak, dochowaliśmy sobie przyjaźni do grobu, bo miłość ojczyzny była jej podstawą.» W prostych tych wyrazach odmalowała się dusza obu tych mężów, a razem treść wewnętrzna ducha polskiego, którego istotną podstawą i rdzenią była zawsze ojczyzna.

W rok prawie po oddaniu ostatniej przyjacielowi usługi przeniósł się do wieczności i Kniaziewicz, — umarł d. 9 maja 1842 roku w Paryżu, w mieszkaniu swojém przy ulicy Godot de Mauroy pod N. 39. W kościele Wniebowzięcia odbyło się nabożeństwo żałobne, a zwłoki prowadzone do grobu około kolumny cesarza Francuzów, otarły się raz jeszcze o spiż na wrogach Polski zdobyty. Nad grobem przemówili, oprócz księdza Jełowickiego, książe Adam Czartoryski, jenerał Henryk Dembiński i Ludwik Plater kasztelan. Wkrótce, staraniem Towarzystwa historyczno-literackiego stanął w kościele Montmorency pomnik dłutem Władysława Oleszczyńskiego dokonany a poświęcony pamięci Niemcewicza i Kniaziewicza. Obu za życia otaczała cześć ogólna, uznani powszechnie za patriarchów pielgrzymstwa polskiego, i jako tacy szanowani, wspólny grób ich na ziemi wygnania stał się celem dorocznej odtąd narodowej pielgrzymki. Ustanawiając wieczystą mszę żałobną za wszystkich rodaków zmarłych na wygnaniu, wybrano na ten obchód dzień 21 Maja jako rocznicę śmierci Niemcewicza, a oba te imiona we wdzięcznej pamięci narodu pozostaną złączone na zawsze.

Bronisław Zaleski.

NOTA PODANA HR. SEBASTJAN

DNIA 3 WRZEŚNIA 1831 ROKU.

N. 1357 (bis)

Po sześciu miesiącach prac, usiłowań i kroków bezskutecznych, znalazłszy się na tym samym punkcie co w chwili przyjazdu do Paryża, i w skutek tego niepowodzenia widząc stan ojczyzny bardziej zachwianym i krytycznym niż kiedy, niżej podpisani, w interesie najświętszej sprawy której służą, stosując się do rozkazów swojego Rządu i chcąc złożyć z siebie wszelką odpowiedzialność, mają zaszczyt przełożyć Jego Excellencji Hrabiemu Sebastjani, Ministrowi Spraw Zagranicznych reściwy wykaz wszystkich żądań swoich i odpowiedzi jakie od Rządu francuzkiego otrzymali. Wykaz ten rzetelny i szczery posłuży za dowód, iż z naszej strony nie szczędziliśmy ani przełożeń, ani próśb, ani nalegań, i że nie naszą będzie winą, jeżeli pomimo wypadków lipcowych i korzyści jakie światu przynieść mogły, pomimo cudów waleczności ze strony Polaków, pomimo ich wysileń i poświęcenia, Polska oblana krwią walecznych swych synów, raz jeszcze straconą będzie dla Europy i wolności, których przedmurzem tak łatwo stać się mogła, i wpadnie znowu pod ohydne jarzmo autokraty.

We cztery miesiące po chlubnych dniach lipcowcyh, w Listopadzie 1830 roku, Polska podnosząc oręż w celu odzyskania swej niepodległości, wezwała zaraz pomocy Francji, jako mocarstwa którego naturalne, najbliższe i najserdeczniejsze interesa zdawały się wymagać, aby kraj nasz mógł odzyskać i utrzymać polityczną niezależność swoję. W tym celu już w miesiącu Grudniu wysłany był P. Wolicki, a wkrótce potem w ostatnich dniach Stycznia, podpisani tęż samą otrzymali missję.

Żądanej pomocy mogła Francja udzielić :

1. Za pomocą pośrednictwa.
2. Otrzymawszy neutralność sąsiednich Polsce mocarstw.
3. Jawnem wystąpieniem.
4. Pośrednio zasilając polskie powstanie.

Wszystkich tych rodzajów pomocy zarówno bezskutecznie domagali się i P. Wolicki i niżej podpisani. — Przyjazd tych ostatnich do Paryża przypadł jednocześnie z odebraną tutaj na drodze oficjalnej z Berlina wiadomością, o kapitulowaniu Warszawy po bitwie pod Grochowem dnia 25 Lutego. — Ministerjum francuzkie w skutek tej wiadomości mając sprawę polską za zupełnie straconą, wręcz odmówiło wszelkiego rodzaju pomocy i poczuwało się jedynie obowiązaném do prostego wstawienia się w celu złagodzenia skutków zemsty i gniewu. Po kilku dniach, gdy ta wiadomość zupełnie okazała się mylną, niżej podpisani ponowili wszystkie uprzednie żądania, i nie przestali nalegać na nie, przy każdej zmianie sytuacji w Polsce, po każdem nowem zwycięztwie odniesionem nad Rossją, przekonani, iż samo trwanie tak nierównej walki, skłoni nareszcie gabinet francuzki do uwzględnienia choć w części tych żądań. Aby je lepiej przypomnieć Ministerstwu, podpisani skreślą tu kolejne usiłowania swoje w celu otrzymania każdego rodzaju pomocy.

I. POŚREDNICTWO.

Podpisani żądali go naprzód 6 i 8 Marca od jednej Francji, jako naibardziej interesowanej w popieraniu porządku rzeczy, wynikłego z tegoż źródła co jej Rząd dzisiejszy. Gdy te kroki okazały się bezskutecznemi, domagali się zgodnie z poleceniem swego Rządu pośrednictwa wszystkich mocarstw uczęstniczących w Kongresie Wiedeńskim, nie wyłączając nawet Rossji, jako strony obwinionej, w razie gdyby Polska jako strona powodowa wezwaną i wysłuchaną być miała. Naresztę, kiedy Austryja i Prusy wykazały jawnie nieprzyjazne dążności, podpisani spełniając rozkaz swojego Rządu, zażądali 2 Lipca od Francji, aby podjęła się takiego pośrednictwa łącznie z Anglją, jako z mocarstwem europejskiém któremu razem z Francją Polska powierzała swe losy. Żądania te poparte były kilku notami podanemi gabinetowi francuzkiemu, i nalegano na nie w licznych konferencjach mianych kolejno z tymże gabinetem. Minister francuzki nie dając podpisanym żadnych pod tym względem nadziei, zalecał im przeciwnie aby się Polacy sami z Cesarzem Mikołajem układali; tak uczynił na konferencji 16 Marca, dodając, iż na teraz, Francja nic dla nas zrobić nie jest w stanie, że nie może dopomódz nam skutecznie i że należy tylko ubeśpieczyć przyszłość. « Nie mogę ukrywać tego przed panami, mówił pan Minister — jest to walka nowych zasad ze staremi. — Rewolucja 29 Lipca dała do niej hasło; rozszerzy się ona wszędzie, ale trzeba żeby idee miały czas dojrzeć. Na czele tego ruchu stoi trzydziesto-dwu miljonowy naród i inne za sobą pociągnie. Zyskacie wszystko, jeżeli zachowacie Królestwo. Nie można przyśpieszać wypadków. » Drugi raz, na konferencji dnia 7 Kwietnia P. Minister oświadczył: « Żadne pośrednictwo nie pozyska tego co możecie sami otrzymać odnosząc się prosto do Cesarza. » Naresztę na konferencji 28 Kwietnia : « Powinniście korzystać z pierwszego najmniejszego zwycięztwa, i rozpocząć układy bezpośrednio z Cesarzem Mikołajem. Nie łudźcie się daremnie, żadne pośrednictwo wam nie pomoże.» Daremnie podpisani przekładali, że interes zarówno jak honor nie pozwala Polakom układać się z cesarzem Mikołajem, który zostawia im tylko jeden środek hańbiącego zdania się na łaskę, że Polacy walczą aby być niezależni i połączeni, i że ten cel tak odpowiedny interesom Francji łatwo dałby się osiągnąć pośrednią nawet pomocą, ale że Cesarz, zostawiony samemu sobie nigdy na to nie przystanie. — P. Minister odpowiadał im zawsze, że to jest jedyny środek ratunku, i tylko w razie gyby Polska weszła na tę drogę, przyrzekał poparcie ze strony Francji.

Cztery miesiące przeszły na takich odmowach zawsze jednostajnych, i zaledwo dnia 23 Czerwca pan Minister wskazał podpisanym promyk nadziei, oświadczając : « iż zbliża się chwila w której Polska wejdzie do polityki europejskiej i że miesiąc Lipiec będzie dla niej stanowczym ». Nadzieja ta wzmocnioną jeszcze została na konferencji 7 Lipca; podpisani na długo przchowają jej pamięć, bo zdała się im być zorzą wskrzeszenia ojczyzny, a w ich przekonaniu miała być epoką w stosunkach Polski z Francją. Na tej konferencji pan Miniser komunikował im, nie pokazując jej wprawdzie, depeszę wysłaną z gabinetu francuzkiego do księcia Talleyranda, polecającą mu wezwanie Anglji do wspólnego pokojowego i szlachetnego pośrednictwa, w celu zawieszenia kroków nieprzyjacielskich między Rossją i Polską, i wyjednania dla tej ostatniej bytu narodowego i politycznego. Jego Excellencja posunął życzliwość aż do oświadczenia podpisanym życzenia swego, aby Rząd Narodowy jak najprędzej o tym kroku uwiadomionym został, przez kurjera

opatrzonego francuzkim pasportem. « Chcę, powiedział, dodać im ducha, chcę żeby się jeszcze trzymali przez dwa miesiące, bo tyle czasu wymagać będą rokowania. » Jakiż horyzont odkrywał się dla Polaków, jaka szczęśliwa przyszłość rozpocząć się miała dla ich nieszczęśliwej ojczyzny! Któżby się spodziewał że tak stanowcze zrazu wystąpienie nie będzie miało żadnego skutku, że Francja zamiast poprzeć go energicznie, da się zrazić oziębłością Anglji, która zajęta bilem reformy, oświadczyła, iż przed końcem jesieni zająć się Polską nie może, i za przyzwoite a zarazem godne siebie uznała, na los szczęścia oddać politykę i poruczyć losowi rozstrzygnienie kwestji tak ściśle związanej z najprzeważniejszemi interesami świata? Tak jednak Francja postąpiła, i odkładając dalszą interwencję aż do zimy, zamierzyła przyszłe zachowanie się swoje zastosować do wypadków jakiéby się przez ten czas wydarzyć mogły. Nie byłoż bardziej zgodném z interesami polityki prawdziwie przezornej, wdać się w tę sprawę natychmiast, kierować wypadkami, poskramiać mocniejszego, i tym sposobem nie dopuścić wytępienia narodu, który ofiarami swojemi, nadludzkiem poświęceniem, męztwem i zdumiewającą wytrwałością, dowodził Francji iż byłby dla niej wiernym i użytecznym sprzymierzeńcem, i który według jednomyślnego zdania wszystkich ludów, stał się godnym zająć nanowo miejsce swoje w wielkiej rodzinie europejskiej? Oto jak wszystkie usiłowania podpisanych w celu otrzymania pośrednictwa Francji, nie zdołały zapobiedz dzisiejszemu przesileniu z którego tylko Bóg i własna waleczność wyrwać Polskę może.

II. NEUTRALNOŚĆ SĄSIEDNICH POLSCE MOCARSTW.

Przekonani, że najważniejszem ze wszystkich zleconych im zadań, była ciągła baczność na postępowanie Prus i Austryi, wstrzymanie ich od wszelkiej interwencji i zmuszenie do zachowania najściślejszej neutralności, podpisani nie przestali pod tym względem domagać się od Francji, naturalnej a tak łatwej do otrzymania pomocy, a domagali się jej nieustannie, od 6 Marca aż do dnia dzisiejszego, czego dowodzą liczne konferencje z gabinetem francuzkim i kilkanaście not podanych mu w tym przedmiocie. Żaden krok gabinetu francuzkiego w celu otrzymania tak pożądanej neutralności, nie był podpisanym komunikowany, skutek jednak aż nadto wyraźnie przekonywa, że nieprzedsięwzięto skutecznych w tej mierze środków, że opuszczono Polskę na tém nawet polu, i nie chciano korzystać z żadnej okoliczności, aby zapewnić Polakom neutralność, która jedna uratować ich mogła. Kiedy Francja szczerze tego chciała, Prusy były zmuszone szanować Belgję, bo nie mówiono im wtenczas iż Francja odradza interwencję, ale zapowiedziano stanowczo, że jej nie ścierpi. Gdyby taż sama Francja, tymże samym Prusom zapowiedziała dzisiaj, iż nie zniesie ich systematu fałszywej neutralności, cały przebieg wojny naszej, a szczególniej ostatni jej perjod, wziąłby inny kierunek, Królestwo polskie byłoby z wojska opróżnione, i armja nasza od czterech miesięcy byłaby nad Dnieprem i Dźwiną. Gdyby gabinet francuzki to uczynił, Polacy byliby mu winni wybawienie; ale ministerjum nie doprowadziło Prus do neutralności, ani na początku kampanji, ani przy załatwieniu interesów belgijskich, ani nawet wtenczas, kiedy najście Króla holenderskiego wznawiało wszystkie kwestje i dawało Francji prawo i możność, w nadgrodę pokoju jaki zapewniała Europie, i poparcia gabinetu Greya, domagać się od Anglji aby łącznie z nią wymogła na Prusach stanowcze zachowanie prawdziwej i szczerej neutralności. Obecnie postępowaniu

Prus względem nas przypisać należy nasze nieszczęścia, a gdyby nowe klęski dotknąć miały sprawę, która w innym razie pewno byłaby zwycięzką, odpowiedzialność za to spaść musi na Rząd pruski.

III. JAWNE WYSTĄPIENIE.

Ministerjum nie kryło nigdy tak przed podpisanymi jak przed Francją i całą Europą, obawy wplątania Francji w wojnę ogólną — to też podpisani dopraszali się tylko o to, co Francja uczynić mogła nie narażając się na nią. Było zadaniem samej Polski wyjść zwycięzko z walki którą rozpoczęła. Domagali się więc podpisani ogłoszenia i utrzymania systematu nieinterwencji, a dowiedzionćm było wyżej, że Francja mogła to uczynić nie narażając ogólnego pokoju. Domagali się poźniej uznania Rządu Narodowego, tego Rządu który od kilku miesięcy stoi na czele kraju nie spotykając żadnych przeszkód, i który nietylko znajduje posłuszeństwo w prowincjach składających Królestwo 1815 roku, ale którego rozkazom poddają się ochotnie wszystkie prowincje rossyjskiego zaboru, przy pierwszej możności oświadczenia swej woli. Uznania takiego przez Rząd francuzki, domagali się podpisani w sposób wyraźny i stanowczy, jak tego dowodzą noty z dnia 19 Maja i 10 Czerwca, równie jak wszystkie z tego powodu konferencje. Uznania tego spodziewały się wszystkie ludy Europy, oczekiwała Turcja, pragnęła najgoręcej cała Francja; zostałoby ono w najgorszym razie przynajmniej pomnikiem uczciwości i sprawiedliwości, a żadną miarą nie mogłoby Francji wmięszać w wojnę z Rossją, z Rossją odległą od niej o 400 mil przeszło, osłabioną przez wojnę turecką i polską, przez cholerę, zamieszki wewnętrzne, zły stan finansów i floty, z Rossją, mogącą tak łatwo mieć na karku Szwecję i Portę Ottomańską. To osłabienie i upadek Rossji uznawał sam hrabia Sebastjani na konferencji 24 Lipca. «Potęga Rossji powiedział wtenczas podpisanym P. Minister, potęga która dotychczas wzrastała ciągle, zacznie się teraz stopniowo zmniejszać; możecie klęsk doświadczyć, ale i nieszczęścia wasze nie wyjdą jej na pożytek. Zupełnie pewną nie jest Małorossji, zaburzenia w Petersburgu trwały aż do 9, i cesarz musiał powracać raz drugi, chociaż ludność była bezbronną.» Trzeba więc było, tej tak wyraźnie upadającej Rossji, zadać cios ostateczny przez uznanie Rządu polskiego. Uznanie to Rządu istniejącego *de facto*, nie rozstrzygało jeszcze nawet kwestji prawa, dodałoby tylko wagi negocjacjom, ożywiłoby do najwyższego stopnia ducha Polaków, zmusiłoby Prusy do uwzględnienia systematu nieinterwencji, otworzyłoby przerwaną komunikację Polski z Europą przez Prusy, i zmusiłoby samo przez się Rossję do restytucji nakazywanej przez prawo i sprawiedliwość a którą « stosownie do okoliczności mogły jej wynagrodzić odpowiednie układy.» Podpisani natarczywie dopominając się takowego uznania, żądania swoje opierali na własnem P. Ministra przekonaniu o słabości Rossji, na opinji Izb, na petycjach podpisywanych w tym celu we Francji; oczekiwali też najzupełniejszego skutku swych usiłowań, kiedy Ministerjum, z mownicy odmówiło stanowczo takowego uznania.

IV. ZASIŁKI POŚREDNIE.

Zasiłki pośrednie mogły jeszcze zbawić Polskę nie narażając Francji. Podpisani żądali ciągle podobnych zasiłków od gabinetu francuzkiego a szczególnićj w notach z d. 17 Czerwca 2° i 6° Lipca. Odmówiono im ich również stanowczo. Żądali wypłat na rachunek pretensji jakie Polska na mocy istniejących traktatów może ro-

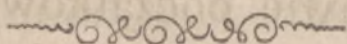
ścić do Francji. Wyrazili to w notach z dnia 11° i 21° Lipca. Gabinet i tego ich żądania nie uwzględnił. Żądali wtenczas, aby Rząd francuzki gwarantował zaliczkę jaką bankierowie paryzcy gotowi byli w takim razie zrobić, na rachunek tychże samych pretensji. Równaż odmowa. Żądali pomocy w broni, i ta im odmówioną została. Nareszcie Prezes Rady Ministrów, mową mianą w Izbach prawodawczych dnia 9° Sierpnia, rozproszył wszystkie nasze nadzieje, oświadczając iż Polska niczego od Francji spodziewać się nie powinna i nie może. Mowa ta powiedziana w chwili stanowczej, kiedy Polska potrzebowała rozwinięcia wszystkich sił swoich i całej energji, mowa ta zadała cios śmiertelny sprawie polskiej, odbiła się nad brzegami Wisły, wznieciła tam rozpacz, i sama może przyśpieszyła upadek Polski.

Pomimo tych wszystkich usiłowań ze strony podpisanych, w całym przebiegu walki rozpoczętej z Rossją, tak wtenczas, kiedy powodzenie polskiego oręża i powstań na Litwie i Rusi pozwalało spodziewać się pomyślnego już rozwiązania, jak i w chwilach wątpliwego dla obu stron szczęścia, i nareszcie wtenczas, kiedy położenie Polski stawało się coraz bardziej krytycznem, nic, nic zgoła nie mogło wpłynąć na zachowanie się gabinetu francuzkiego względem Polski. Takie, po sześciu miesiącach prac, usiłowań i mozołów boleśnie nabyte doświadczenie, przywiodło podpisanych do powątpiewania, czy słusznie przypuszczali, że istnienie i niezależność Polski łączy się z najbliższemi i najprzeważniejszemi interesami Francji, bo gdyby tak było, czyż ministerstwo francuzkie pozostałoby głuchem i nieczułem na wszystkie przełożenia, domagania się i prośby podpisanych? Podpisani, opierając się na dotychczasowych krokach swoich, opierając się nawet na doświadczonych odmowach, głęboko dziś jeszcze przekonani że istnienie Polski jest koniecznėm dla dobra Francji, i jej najżywotniejszych interesów, dla utrzymania pokoju i nowego systematu który rozwinęła Francja w dniach lipcowych, uważają za swój obowiązek, uczynić jeszcze jedną odezwę, niestety może spoźnioną, ale którą im nakazuje sumienie, chociażby dla usprawiedliwienia kiedyś siebie przed własnym Rządem przed narodem i przyszłością która ich sądzić będzie. Mają więc zaszczyt zapytać gabinet francuzki : jakiej i jakiego rodzaju pomocy udzielić chce rzeczywiście sprawie polskiej, kiedy i w jakiej porze pomoc takowa udzieloną jej być może — czy i kiedy, Francja gotową jest pomódz nam, jednym ze czterech skutecznych sposobów jakieśmy wyłożyli wyżej : pośrednictwem, utrzymaniem neutralności sąsiednich Polsce mocarstw, jawnėm wystąpieniem, albo ubocznemi zasiłkami.

Podpisani pochlebiają sobie iż wkrótce pomyślną zaszczyceni będą odpowiedzią; spodziewają się tego tém bardziej, że chwila jest naglącą, i że zarówno w niej chodzi o interesa Francji jak Polski. Gdyby zaś Ministerstwo nie chciało im zapewnić pomocy niezwłocznej, ani określić nawet jej terminu, gdyby odmówiło wyjednania na sąsiadach naszych najzupełniejszej neutralności, podpisani, taką odmowę musieliby uważać za zupełne opuszczenie. Ujrzeliby się zmuszonymi, stosownie do odebranych rozkazów, uważać missję swoją za zupełnie skończoną, i pozostałoby im tylko zająć się własnėm usprawiedliwieniem, którego materjały czerpaliby w aktach swojego urzędu.

podpisali : JENERAŁ KAROL KNIAZIEWICZ

HR. LUDWIK PLATER.



WYGNAŃCY POLSCY W ORENBURGU.

Od wielu lat historja nasza wybiegła po za jeograficzne Polski granice. Walki legjonistów, usiłowania ponawianych emigracji na zachodzie, wszystko to do niej należy, składa się na nią, zarówno z wewnętrznemi dziejami kraju i każdej jego prowincjij, a jedną z niemniej rzeczywistych jej części, jest i historja wygnańców naszych, której zgłoski rozrzucone są po wszystkich niemal zakątkach obszernego rossyjskiego państwa. Bez tej części, obraz życia narodowego w ciągu ostatnich stu lat, nie byłby nawet zupełnym; zwiększa się zaś jej znaczenie w miarę wzrastającej liczby ofiar. Dziś, kiedy ta liczba doszła przerażających rozmiarów, obejmujących już całe prawie pokolenie, témbardziej warto przypatrzyć się doli dawnych wygnańców naszych, że to nam da niejakie wyobrażenie i o obecném położeniu już prawie nieźliczonych braci naszych.

Chcąc obraz ten uczynić mniej więcej dokładnym, trzeba byłoby przebiegłszy wszystkie lata nieszczęść naszych, objąć zarazem całą Rossję, a przedewszystkiém Syberję, Kaukaz i kraj Orenburski, jako trzy główne miejsca wygnania. Materjałów do tego dostarczą chyba kiedyś tajne archiwa III wydziału kancelarji carskiej, teraz na tém prawie poprzestać przychodzi, co się w pojedyńczej zapisało pamięci. Takie opowiadanie o Orenburgu będzie przedmiotem następujących kartek.

Orenburg od samych prawie początków cierpień i pokuty naszej, należał jakby do miejsc uprzywilejowanych wygnania; wyjąwszy Sybe-

rję której nieobjęte przestrzenie chłonęły niezliczoną prawie liczbę braci naszych, tam może przez czas jakiś największą ich liczbę posyłano. Położony na wschodnim krańcu imperium, wpośród ludności różnoplemiennej, a przeważnie mongolskiej i fińskiej, był istotnie miejscem najstosowniejszem na żywy grób dla nas. Tam najmniej wpływu polskiego obawiać się mógł rząd, i rachował na to że marnie wyginiemy. Ale nazwisko jedno Orenburga, jeszcze miejsca wygnania w tych stronach nie określa—rozszerzało się ono tam nawet, w miarę ciągłego wzrostu państwa; bo też istotnie, jednym jakby z fatalizmów przywiązanych do doli naszej tułaczej, było to, żeśmy ślad w ślad za podbojami Rossji wędrować musieli. Gdziekolwiek stopa żołnierza rossyjskiego stanęła na wschodzie, czy to na szczytach Kaukazu, czy nad granicami Cesarstwa chińskiego i Spokojnego oceanu, zaraz tam za nią iść musiał i wygnaniec polski, z tęsknotą i łzą swoją. Tak samo było i w Orenburgu. W pierwszych latach, brzegi Urału stanowiły ostateczną granicę—z czasem posuwała się ona coraz dalej w głąb średniej Azji; między 1840 a 50 rokiem oparła się już o Aralskie i brzeg wschodni Kaspijskiego morza—w 53 posunęła się o wiorst 500 na wschód, po brzegach Syr-Darji, (dawnego Jaxartu starożytnych)—w ciągu jednego panowania Mikołaja, Rossja w tych stronach nabyła przestrzeń większą od Francji, Hiszpanji i Portugalji razem wziętych—dzisiaj, granic tych nowych prowincji już w sercu Bucharji i chaństwa Kokańskiego szukaćby trzeba, i to granic czasowych, bo jak samo ministerstwo spraw zagranicznych, zarządowi pogranicznemu w Orenburgu raz oficjalnie powiedziało: Rossja granic na wschodzie nie ma. Tak i wygnańcy nasi nie wiedzą dokąd w końcu zapędzeni być mogą, nie wychodząc nawet z miejsca swego przeznaczenia.

Pierwszymi wygnańcami za sprawę narodową w Orenburgu byli konfederaci barscy. Ilu ich tam było, jak tę drogę odbyli, nie wiemy. Pamiętniki Benjowskiego i jenerała Kopcia rzucają światło na byt rodaków naszych i ich cierpienia w Syberji; z Orenburga nikt o ile wiemy nie powrócił ktoby dał o tém świadectwo—ale dotychczas stoi mur kamienny, otaczający orenburską twierdzę, rękami konfederatów naszych wzniesiony i ten wymownie świadczy, że być ich musiało nie mało i że do ciężkiej pracy używani tam byli; wielu zaś rysów dostarczyć może znajomy dzisiaj ówczesny stan tego kraju. Rossja sama na państwo niby europejskie niedawno przekształcona, zaledwo się tam sadowić zaczynała; przynosiła z sobą ideę caryzmu, będącą wtenczas w pełnej sile, bo miała takich jej reprezentantów jak Suworow—przynosiła grube jeszcze obyczaje, zaledwo zaznany zewnętrzny nawet europejski polor, a znajdowała plemiona żyjące jeszcze całem swem rodzinnem, barwnem ale barbarzyńskiem życiem. Przed nie wielu latami założony Orenburg, zagrożony był nieraz przez Baszkirów i Kirgizów, przez

miejscową ludność tatarską; a jak były usposobione massy żyjące na tych przestrzeniach, najlepiej dowodzi ten fakt, że tam właśnie powstały i tak bardzo wzrosły bandy Puhaczowa. W walce z niemi mimowolnie mieliśmy nawet udział. Gwałtem w Syberji wcieleni do wojska konfederaci przyszli wtenczas z tamecznemi pułkami do Orenburga; 400 ich w bitwie z Puhaczowem poległo, — wielu, razem z całą załogą Troicka po wzięciu tego miasta wyrżniętych przez niego zostało. Antoni Puławski z kolegami będącym i w Kazaniu tylko walce z nim zawdzięczał powrót swój do kraju. Ale i po zupełnem band tych zniesieniu, społeczność sama nie prędko się jeszcze zmieniła. Baszkirja zgoła nie była uspokojoną, raz po raz zrywała się do oręża. Jenerał-gubernatorowie orenburscy nierzadko bywali w trwodze. Mordy, grabieże, pożogi, były codziennem zjawiskiem. Na drugi brzeg Urału przejść bez niebeśpieczeństwa nie było można, a często i rzeka nie broniła od napaści; kiedy zamarzła, Kirgizi wpadali i nieraz bezbronnych ludzi uprowadzali z sobą, a potém przedawali do Chiwy, gdzie takim niewolnikom zamienianym na pastuchów, bardzo często nacinano pięty i nasypywano do ran drobniutko posiekanych włosów końskich, żeby uciec nie mogli. Nieraz domostwa całe a nawet osady padały ofiarą stepowych rabusiów. Każda na nowo zakładana stanica kozacza była forteczką; opasywał ją wał, a utrzymywane na ten cel straże rozpalonemi ogniami dawały znać o napadzie i niebeśpieczeństwie. Moskwa grozą i siłą zaprowadzała swój własny porządek. Po uskromieniu jednego z powstań baszkirskich, Nepłujew 135 powiesił za gardło, kilkunastu za żebra, ściął 140, 3000 wysłał do ciężkich robot; a kilku secinom obciąwszy uszy i nosy puścił napowrót do domów; wszystko to zaś na mocy wyroków *sądowych*. Takich wypadków byli świadkami wygnańcy nasi i wśród takiego chaosu żyć im trzeba było. Być może, że który z nich szukał związków z powstającemi plemionami, bośmy długo jeszcze potém łudzili się myślą znalezienia sprzymierzeńców, a przynajmniej niebeśpiecznych dla Rossji wrogów i tam—oceniając podług naszych pojęć te plemiona zupełnie od nas różne, nic z Europą wspólnego nie mające i żadną europejską ideą nie dające się poruszyć. Podejrzewanych o chęć połączenia się z powstańcami, czterech konfederatów w Orenburgu powieszono—ale więcej śladów nawet zamiaru podobnego nie ma; że w massach ani współczucia znaleźć ani zrozumianymi przez nie być nie mogli, to niezawodna. Rząd, używał ich do robót, brał gwałtem do pułków linjowych gdzie kijami zmuszał do wykonania przysięgi na wierność Carowej, zapewne więc i do stanic kozaczych wcielać ich musiał—bo Rossja gdzie tylko nogę na wschodzie stawi, tam wojska kozacze formuje, zapisując do nich ludzi wszelkiego stanu i pochodzenia. Taki los spotkał wiele nietylko pojedyńczych rodzin ale całych nawet osad, tam dobrowolnie dla kolonizacji przybyłych; cóż naturalniejszego, że z przy-

słanymi gwałtem, nie robiono ceremonji. Napotykają się i teraz w stanicach kozaczych nazwiska zupełnie polskie, albo tylko z zakończeniem zruszczonėm i świadczą o tėm pochodzeniu; wnuki to i prawnuki naszych konfederatów, których zrobiwszy Kozakami przywiązano do ziemi, zamieniono na stałą miejscową ludność, i tak pozbawiono powrotu nawet wtenczas, kiedy cesarz Paweł wracał wygnańców naszych z Syberji, chcąc tym sposobem wywdzięczyć się Ilińskiemu za przyniesioną mu pierwszą wiadomość o czekającym już na niego tronie. Co w duszach tych ojców naszych, jeszcze zrodzonych w swobodzie, należących do owej butnej polskiej szlachty i walczących nie dawno za ojczyznę, a mrących w kurtkach kozaczych pod niebem Azji centralnej, dziać się musiało—któż to wypowie? Cóś jednak po sobie zostawić musieli, i kto wié czy ich straszna boleść nie była piérwszem wstrząśnieniem którego tamte barbarzyństwo potrzebowało, ażeby choć domyślić się rzeczy zupełnie jemu obcych, i pojęć całkiem niedostępnych, aby zrozumieć moralne cierpienie i litość—czy życiem i śmiercią swoją nie zrobili wnukom i prownukom łatwiejszej tam drogi.

A następców tych na wygnaniu miało być wielu. W pierwszych latach naszego wieku wielkie wojny europejskie gdzie indziej zwróciły uwagę. Rossja w orenburskim kraju organizowała się tylko, nie robiła podbojów. Może który z naszych jeńców wojennych albo jaki patriota z zabranych przez Rossję prowincji posłanym był i do Orenburga; musiały być takie wypadki—bo np. w 1839 roku po wyprawie chiwińskiej, między jeńcami wróconymi za pośrednictwem Anglji przez chana chiwińskiego, był zesłany do Orenburga Adamowicz, który porwany przez Kirgizów i sprzedany, lat blizko 30 w niewoli chiwińskiéj przebył, a kiedy powrócił, na ostatnich parę lat życia zapisanym został do jednego z bataljonów, bo przed uprowadzeniem swojem był żołnierzem, a według prawa rossyjskiego niewola nie liczy się żołnierzowi za lata służby i jeszcze mu ich nie dostawało żeby miał prawo do odstawki i powrotu. Przykłady jednak takie nie musiały być liczne, a po 1815 roku nastąpił czas wytchnienia, zmiany w polityce z nami cesarza Aleksandra; dopiero ofiary Nowosilcowa na Litwie pierwsze przedeptały już zarastające tam dla nas drogi. Byli między niemi młodzieniaszkowie ze szkoły w Krożach, a w ich liczbie Jan Witkiewicz, byli i dojrzali mężowie którzy nauką a przedewszystkiem cnotą przodkowali młodzieży uniwersyteckiej, jak Adam Suzin, Jan Czeczot, a nadewszystko Tomasz Zan. Za nimi miało przyjść wielu.

Od czasu konfederatów barskich do przybycia tych nowych wędrowców polskich, wielkie w orenburskim kraju dopełniły się zmiany. Życie dawniejsze już było całkiem złamane ; wycieńczona Baszkirja, stała się zupełnie posłuszną i potulną — pułki jej, odziane jeszcze wprawdzie w narodowe wilcze kołpaki i uzbrojone w sajdaki i łuki, odbyły już dro-

gę do Paryża w szeregach wojsk rossyjskich — szeroki pas ziemi nazwany ziemią orenburskich kozaków, oddzielał ich teraz od szumnego jeszcze nie dawno kirgizkiego stepu, i wszelkie porozumienia się obu plemion utrudniał niesłychanie. Sam step przycichł. Urał już był zupełnie beśpieczny — na drugim jego brzegu kupcy orenburscy zawierali umowy z karawanami średniej Azji. Sułtani kirgizcy już zasiadali w rossyjskim pogranicznym zarządzie. Wewnątrz gubernji, żywioł moskiewski wzmógł się bardzo; szerokie, bezludne a żyżne przestrzenie wabiły kolonistów—przybyło ich też nie mało, a w krótkim czasie proste osady wzrosły na wielkie sioła— w górach uralskich, na ziemiach kupowanych za nic prawie u Baszkirów, wznosiły się coraz nowe huty i zakładały przemywalnie złota — z coraz większém uspokajaniem kraju zwijano i miejscowe na czas krótki zawiązywane milicje i wojska—tak Teptiary z kozaków przemienieni zostali na włościan rządowych—straży w około stanic kozaczych nie rozstawiano więcej; wały około nich nieraz już pługiem rozorane były—wszystko uciszało się i przybierało postać rossyjską. Sfery urzędowe już były zupełnie uorganizowane; oficjalne życie szło tam zwykłą w całej Rossji koleją—a co było fińskiego, a zwłaszcza mongolskiego w ludności całej, to z właściwą sobie łatwością przerabiało się na żywioł zupełnie moskiewski.

Państwo więc samo tutaj wyraźnie krzepło i umacniało się; ale obok tego duch dawniejszy, ta idea moskiewskiego caryzmu słabła. Wzbudzony w 1812 roku zapał polityczny nieznaną dotąd iskrą przeniknął był te massy; wojny europejskie, potém wędrówki wojsk aż do Paryża, wszystko to przyniosło nowe wyobrażenia — spiskowano przeciw rządowi w całej prawie Rossji — a chociaż pewna tylko warstwa społeczności do tych spisków należała, i massy całe idei tamtych nie rozumiały, zawsze było to już dowodem zaczynającego się w wyobrażeniach ogólnych zwrotu i zachwiania tego zasadniczego dotychczas pojęcia, na którem głównie opierała się cała władza carska.

Wszystkie te w krótkim przeciągu lat kilkudziesięciu zaszłe przeobrażenia i odmiany musiały też i na położenie wygnańców naszych wpływać. Natura tylko została czém była. Ludność jakkolwiek przybytkiem z Rossji wzmocniona, zbyt jeszcze na tych obszarach była nieliczną, aby zewnętrzną fizjonomję kraju zmienić mogła—wrażenie na przybywających z Polski zostało zawsze toż samo. Wszyscy którzy tę drogę odbyli, zgadzają się na to, że po przebyciu Wołgi ogarniał ich smutek głęboki; czuli że wstępują w świat inny—iak gdyby się wieko trumny nad nimi zapadło i odgrodziło ich od wszystkiego co znajome i swojskie. I w rzeczy samej, tam już prawdziwie zaczyna się Azja centralna—a im dalej, tem bardziej uczucie pustyni obejmuje człowieka; przestrzenie coraz szersze, coraz bardziej płaskie i ogołocone z lasu— szeroki gościniec żadnem nie ocieniony drzewem idzie przez pustynię,

zdaje się w nieskończoność—gdzie nie gdzie tylko spotyka się sioło, także bez drzewa i cieniu—zimą zasypane śniegiem, a zamieszkałeprzez ponurych Finnów albo przez Tatarów—mowa zupełnie niezrozumiała, twarze inne i obyczaj obcy. A kraj między Wołgą i Uralem to jeszcze jakby przedsionek pustyni; za tą ostatnią rzeką już pustynia prawdziwa z całą nicością swoją. Przy samym Orenburgu, gaj jeszcze na drugim brzegu Uralu—ale dalej, po morze Aralskie z jednej, po Kaspijskie z drugiej strony, step tylko głuchy i pusty; na przestrzeni tysiąca wiorst, jedno drzewo—malutkie wzgórza i rozdoły, jak fale lekko pofałdowanego morza, ciągną się nieskończonym szeregiem—a piaski ruchome, wiatrami przesypywane ciągle, zajmują często pasy do wiorst trzystu długości. Rzadkie strumienie urywanemi jeziorkami płyną, to przepadają w ziemi—a ta znowu w wielu miejscach lśni się kryształami soli, szeroko ją pokrywającemi nieraz; sklepienie niebieskie najczęściej szarawo-błękitne, puste jak ziemia którą pokrywa, bez żadnego prawie obłoczka, wśród upałów słonecznych, fantastycznemi zjawiskami fata morgany barwi na chwilę te przestrzenie—ale kiedy wicher zawieje, to już prawdziwy huragan stepowy, duszny i tamujący oddech, a zimą nawet bardzo niebeśpieczny. Latem upały wielkie i znojne, zimą dokuczliwsze daleko od naszych mrozy. Jak powierzchnia ziemi i postać nieba odmienna, tak różne tam wszystko od naszego; rośliny inne, i zwierzęta prócz konia i psa, nie takie jak nasze; wielbłądy tam długie wyciągają szyje, stada antylop i dzikich koni (kutanów) przebiegają po stepie—gatunek malutki kanguru skacze z miejsca na miejsce—skowronek nawet, ten rolnikowi polskiemu tak miły ptaszek, inny niż w Polsce—dwa razy większy od naszego i czarne nosi piórka. A ludzie? Kirgiz przyrosły do konia, z namiotem swoim podróżnym, z napojem z kobylego mleka, z całem swem życiem koczowniczem, z mongolskiemi rysami twarzy—gospodarz dotychczasowy tych pustyń, który przez tyle wieków jako jedyną pamiątkę exystencji tam swojej zostawił kilka wykopanych studni i nieco rozwalających się pomników grobowych—oto co spotykali wygnańcy nasi. Wszystko tam nie tylko inne, ale zupełnie i postacią i duchem swoim różne i obce. Nic dokoła coby rzeźwiło, wszystko zmuszało wejść w siebie, i nowe rozpoczynać życie.

Warunki tego życia jakkolwiek dla wszystkich odmienne od dawnego, były jeszcze stosownie do wyroku jaki spotkał wygnańca, bardzo rozmaite. Stopni kary dla tak zwanych w Rossji politycznych przestępców jest ogromna liczba, a rozwinęło się to szczególniej za Mikołaja, którego całe panowanie było ciągłem prześladowaniem nas. Przy braku wszelkiego prawa stałego, przy sądach zawsze wyjątkowych, przez różne komissje wojenne wydawanych, a potwierdzanych to przez Jenerał- Gubernatorów, to przez Namiestnika Królestwa Polskiego, to w końcu i bardzo często przez samego Cesarza, rozmaitość wyroków była

nieskończona. W komisjach sądowych był wprawdzie zawsze tak zwany audytor, który miał sędziom prawa cytować, ale zazwyczaj było to czczą formalnością. Szymona Konarskiego n.p. i wszystkich jego współwięźniów w Wilnie, sądzono według kodexu morskiego. W ogólności stopnie kary były następujące : za najmniejszą uważało się wysłanie na służbę cywilną do wielko-rosyjskich gubernji, potém następowało wysłanie tam na mieszkanie pod dozór policyjny, dalej, na osiedlenie albo w sołdaty, jeszcze dalej, do tak zwanych aresztanckich kompanji albo domów roboczych, a nakoniec, do ciężkich robót w kopalniach. Stopnie te urozmaicały się do nieskończoności, i tak : miejscem wygnania mogła być która z bliższych gubernji, albo mchami porosła Wołogda, lub nad białem morzem leżący Archangielsk, mogło niém być miasto gubernjalne, albo jedna z najlichszych mieścin w imperjum, Koło n p. za Petersburgiem na północ położone; żołnierzem można było zostać z prawem wysługi i bez niego, z pozostawieniem praw dawnych, albo z odjęciem wszystkich praw stanu, czy też z pozbawieniem jednego tylko szlachectwa; kompanje aresztanckie są bardzo rozmaite, a ciężkie roboty mogą być przy warzelni soli albo przy dobywaniu metali, ograniczone na kilka lub kilkanaście lat, a czasem znowu sięgające po za granice życia ludzkiego. Mikołaj czasem robił jeszcze własne na wyrokach dodatki, tak n p. Szewczence poecie małoruskiemu i malarzowi, dodał na wyroku który go skazywał w sołdaty, że ma być trzymany w osobnej półkompanji i że mu się zabrania : *pisać, śpiewać i rysować*. Kilku z naszych rodaków wzbronioném było wyrokiem po odbyciu pokuty wrócić kiedykolwiek do kraju, innym znowu przyjechać do której stolicy. Wszystko to jeszcze zmieniało się również nieskończenie, stosownie do osób którym poruczano wykonanie wyroku, od których dalsze losy skazanego były zależne, bo w Rossji, gdzie najmniejszego pojęcia i poczucia prawa i obowiązku nie ma, wszystko prawie od woli indywiduów, od ich kaprysu albo rozmaitych instynktów zależy.

W Orenburgu znajdowali się ludzie dotknięci wszystkiemi rodzajami wyroków, prócz jednego, skazującego na osiedlenie, bo tych posyłano zawsze do Syberji. Kompanje aresztanckie w Orenburgu liczyły w swych ścianach Polaków, a twierdza Orsk leżąca przy ujściu Oru do Uralu, o wiorst dwieście sześćdziesiąt od Orenburga, miała swój dom roboczy, który uważał się za ciężkie roboty i z temi urzędownie był zrównany ; największą tam jednak i przeważną liczbę stanowili *żołnierze*. Dostarczył ich najwięcej rok 1831, bo Mikołaj wszystkich naszych jeńców wojennych na żołnierzy do sybirskiego i orenburskiego korpusu posłał ; dosługiwać tam musieli lat służby, a tych którzy byli z czwartego pułku linjowego spotkał jeszcze zaszczyt cięższej kary—ci bowiem od chwili przeczytania wyroku, na nowo dwadzieścia pięć lat służyć

byli obowiązani. Niektórzy z nich istotnie, którym Bóg życia przedłużył, dopiero w 1856 i 7 roku doczekali się odstawki—większość naturalnie w wojsku wymarła. Po 1840 roku kiedy się pokazało że wysyłani na Kaukaz konskrypcjoniści z Kongresówki żywiołem polskim armję kaukazką przepełnili, Mikołaj część ich do Orenburga posyłać kazał, i tym sposobem ilość Polaków w tamecznych bataljonach wzrosła znowu do stałej liczby przeszło dwóch tysięcy.

Filareci przysłani byli tylko na mieszkanie, z warunkiem przesiedzenia piérwej pewnego czasu w więzieniu. Piérwsi na nowo przedeptujący ślady dawnych konfederatów, zapewne boleśniej od poźniejszych przybyszów czuć musieli wygnanie — nie było do kogo odezwać się po polsku, byli zupełnie jedni wśród tej całej, z tak różnych żywiołów złożonej społeczności—ale ówcześni naczelnicy kraju, Jenerałowie Suchtelin i Essen, byli ludzie uczciwi, zresztą,była to jeszcze atmosfera Aleksandra I, czas kiedy współwięzień ich i współwygnaniec Mickiewicz, tyle sympatji napotykał w Rossji. Przez pewien czas byli raczej przedmiotem ciekawości niż prześladowania—niedowierzano im zapewne, nierozumiano ich niezawodnie, ale nie starano się gnębić—powoli zaś potrafili zdobyć dla siebie szacunek, i pewne wyrobić stanowisko. Czeczot był w Ufie , Suzin i Tomasz Zan w Orenburgu. W tych piérwszych nowych wygnańcach naszych, narysowały się zaraz dwa różne kierunki, dwa sposoby pojmowania obowiązków i zadania wygnańca polskiego w Rossji, które długo potém znajdowały naśladowców między rodakami. Czeczot, o którym młodzież uniwersytecka śpiewała : « Gdy uwielbień godna cnota, Któż poczciwszy nad Czeczota, » postanowił unikać wszelkich z Rossjanami stosunków, ograniczając się tylko nujzupełniej koniecznemi, któreby mu jak najprędzej pozwoliły wrócić. Zan przeciwnie, nie unikał ich zgoła, wszędzie i zawsze opowiadając wypiastowane i ukochane w duszy prawdy. Piérwszy chcąc uzyskać przychylność gubernatora, ofiarował się darmo uczyć dzieci pisania, czytania i arytmetyki, mówiąc że te nauki posiada, i tém się ograniczył, cały czas zresztą obracając na własne kształcenie się, stosunki z wygnańcami i korespondencję z dawnymi przyjaciołmi. Ofiarę jego przyjęto chętnie, a po kilku latach, kiedy dzieci podrosły i wyższych zażądano nauk, Czeczot bojąc się żeby go długo nie zatrzymano jak będzie potrzebny, powiedział że nic więcej nie umie ; uwierzono mu, a na podziękowanie przedstawiono do powrotu, i on istotnie pierwszy ze wszystkich wrócił. Zan prędko znajomy był bardzo wielu, pracował, a oddawszy się naukom przyrodzonym, głównie zaś geologji, nie jedną usługę oddał władzom miejscowym, w kraju tak bogatym, a o którym one nie wiedziały nic zgoła. Robił częste wycieczki do stepu, i Kirgizów jako dzieci natury lubił—przez nich też lubiony, znany był w aułach pod nazwaniem *miłośnika kamieni*, bo te w wycieczkach swo-

ich zbierał. Szanowany powszechnie, przez Humboldta nawet po jego podróży do Azji centralnej Mikołajowi zalecany jako największa tych stron osobliwość, przebył w Orenburgu lat blisko dwadzieścia i ledwo wtenczas, za wielkiém staraniem, przez Petersburg wrócić potrafił. Dla towarzystwa rossyjskiego, natura jego tkliwa, poetyczna, do mistycyzmu skłonna, nie była pojętną—wielu nazywało go marzycielem, i rzadko kto mógł to życie prawdziwie ewangeliczne ocenić, wszakże, w kilkanaście lat jeszcze po jego wyjeździe z Orenburga, spotykały się tam osoby utrzymujące z zapałem, że gdyby takich pięciu ludzi być mogło na ziemi jak Zan, toby świat cały przetworzyli, nie wylawszy kropli krwi. Suzin szedł drogą Zana, zjednał sobie kilku gorących między ludnością miejscową przyjaciół, ale także w powrocie o nie wiele Tomasza uprzedził. J jedni i drudzy strzegli nieskazitelności charakteru, godności naszej narodowej, którą każdy wygnany mimowolnie w przekonaniu tych wśród których się znajdował, piastował w sobie—ale w sposobie zachowania się były to jak widzimy dwa różne systemata, jakby stary i nowy zakon; piérwszy beśpieczniejszy, dla mniej wykształconych i mniej siebie pewnych, może nawet właściwszy—drugi, dla słabszych pełen pokus, a dla wszystkich trudniejszy, ale bez porównania wyższy; piérwszy strzegł indywiduum i może je prędzej ojczyznie wracał, drugi, gotował choć zwolna ale niezawodnie, przyszłe zwycięztwo idei narodowej, prawdy i sprawiedliwości. Obu ich z rozmaitemi modyfikacjami stosownie do indywidualnych sił i odcieni charakteru trzymali się poźniej rodacy, a były one naturalnym skutkiem położenia wygnańca polskiego, którego myślą przewodną była zawsze i być musiała ojczyzna, pod utratą wszelkiej godności.

Wśród cichych prac, zbolałą i wymęczoną tęsknotą, zastała tam garstkę naszą wieść o 29 Listopada. Co dusze te przeczuły w ciągu dziewięciomiesięcznej walki, takiemi przestrzeniami oddzielone od kraju, jak rwać się do niego musiały, jak stokroć trudniejszym wtenczas stawał się dzień każdy w niewoli, czém musiał być w końcu dla każdego nowy upadek sprawy, to łatwo zrozumieć. Była to epoka stanowcza w życiu narodu, i niezgładzonemi pewno zgłoskami wpisała się w dusze wygnańców. A odtąd i położenie ich tam zmieniło się znacznie.

Już przed tém, wypadki 1825 roku, i szubienice petersburskie, wstrząsły opinję rossyjską, i inny jej nadały kierunek; gwałtowna, nieubłagana reakcja przeciw wpływom i ideom zachodnim zaczęła się ze strony rządu; poprowadzono znowu Rossję drogą biernego, bezwarunkowego posłuszeństwa i dyscypliny wojskowej — wszystko poszło na kagańce—a przy giętkości charakteru moskiewskiego tak łatwo nastrajającego się do woli tego kto rozkazuje, Mikołaj bardzo prędko w narzędziach swoich, w administratorach prowincji a szczególniej w wojsku, miał ludzi wedle swej myśli i serca. Osobisty charakter monar-

chy nadawał ton, grube instynkta narodowe wtórowały, osad cały wypływał na wierzch, i machina rządowa, w której każdą szrubkę dociśnięto na nowo, gniotła całą swą siłą.

Jeszcze piérwej, sprawę potępionych powszechnie Decembrzystów łączono ze sprawą polską, a wojna uporna i długa wywołała mnóstwo namiętności; rząd im dodawał żywiołu, rozbudzając o ile mógł nienawiść i siejąc przez wszystkie swe organa rozmaite o nas potwarze. Jeńców naszych często spotykały obelgi, pogarda, naigrawanie się— tłum nie miał nas za chrześcijan, a żołnierzy naszych starano się dotknąć, przedrzeźniając pieśni narodowe, albo wołając im «że Polak Warszawę przespał». Tymczasem za jeńcami wojennymi poszły zaraz tłumy rozmaitego stanu i wieku ludzi wysyłanych za udział w powstaniu, i rozpoczęło się to systematyczne gnębienie każdego tętna narodowego, które prawie co roku nowych dostarczało ofiar.

Wszystko to odbiło się i w Orenburgu. I tam, jak wszędzie gdzieśmy byli, rozpoczęła się walka cicha a nieustanna: prawa bezbronnego z uzbrojoną przemocą, uczuć ludzkich z materjalną siłą, idei polskiej, reprezentowanej przez więźniów okutych w kajdany, z ideą carską, strojną w purpurę i wspartą na bagnetach—walka, w której byliśmy powołani dowieść, jak pięknie wyraził się poeta że «hart duszy zawsze zużyje hart stali» a zwycięztwo w końcu należy się prawdzie. Nie jesteśmy narodem świętych ani nawet męczenników chrześcijańskich, i w życiu wygnańców naszych nie wszystko było czysto duchowe i nieskazitelne—idea walki samą ofiarą i prawdą w całym swoim blasku zajaśniała w Warszawie w 1861 roku i pewno te wzniosłe chwile zapomniane nie będą—ale jakkolwiek bądź, i one były owocem długich cierpień narodowych, a w dziejach wygnańców, samo porównanie stanowiska ich w Rossji na początku panowania Mikołaja i Aleksandra II, najlepszym jest dowodem jak wielkie zwycięztwa moralne odnosili oni, wyzuci ze wszystkiego i prześladowani; rozmaite zaś ich koleje pokazałyby, że każden prawie nowy szczebel, ofiarą albo krwią okupywać nam przychodziło.

Od jeńców wojennych, w piérwszych chwilach ich pobytu w Orenburgu, trudno było wymagać rezygnacji zupełnej. Wzięci z pola orężnej walki, jeszcze z pulsami drgającemi niemal od niej, z wysoko rozwiniętém uczuciem wojskowego honoru, wyzuci ze swoich stopni i wystawieni na obejście się do którego przyzwyczajeni nie byli, często nie mogli go znieść spokojnie. Przybyli w znacznej liczbie, złączeni tą solidarnością jaką dawała wspólność broni, a potém jeszcze chrzest ognia, w tém samém znajdowali nieraz bodziec który ich do czynnego wystąpienia i odezwania się do pięści popychał; liczne były sceny, w których na naigrawanie się odpowiedzieli razami—stąd nowe śledztwa, sądy— położenie dla indywiduów pogorszone o wiele, niektórzy zupełnie

zginęli—w ogolności wyszło to jednak na dobre. Tak niezaprzeczoną jest rzeczą, że natura moskiewska musi być piérwej fizycznie upokorzoną, zbitą, żeby zmiękła i stała się człowieczą, że wszystkie te wypadki zaimponowały Moskalom; rząd ze swej strony znalazł się zmuszonym położyć im koniec, i najsurowiej zakazał wszelkich do ostatniej walki przymówek w postępowaniu z naszymi; nie śmiano więc już odtąd szydzić i naigrawać się. A nie dosyć było wojska i miejscowej ludności; sam władca ówczesny kraju jenerał Perowski, musiał przejść przez to, czego Rossja cała względem Polski fatalnie doświadczyć musi : musiał się uczuć wstrząśniętym do głębi duszy własnej. Jeden z jeńców wojennych, były oficer Lewandowski, wtenczas szeregowiec w orenburskich bataljonach, zelżony na musztrze przez bataljonowego dowódzcę, uniósł się gniewem i na miejscu szlify mu zerwał; oddany pod sąd wojenny, gdy Perowski do niego przyjechał, zapytując jak będąc starym wojskowym mógł się takiego kroku dopuścić, powiedział mu, że gdyby on, dowódzca korpusu, tak go traktował jak ten pułkownik, i z nimby nie inaczej postąpił. Rozgniewany tą odpowiedzią Perowski kazał go sądzić we dwadzieścia cztery godzin. Lewandowskiego, w skutek wyroku kijami zabito—ale odtąd jenerał nie miał spokoju, nie mógł wyroku tego zapomnieć i uczuł się obowiązanym wynagradzać to Polakom. Od tej chwili istotnie zaczęło się z jego strony troskliwe zajęcie się ich losem, a wielu zesłanych, jemu zawdzięcza i ulgę w położeniu i potém nawet powrót. Nie brakło też jak zawsze zaskarżeń i donosów; w Syberji odkryto szeroko rozgałęziony, a taką straszną tragedją zakończony spisek księdza Sierocińskiego i doktora Szokalskiego—odbiło się to i w Orenburgu. Zwożono ze wszystkich stron wygnańców do twierdzy—Perowski śledczą ustanowił komissję, sam prezesostwo w niej biorąc na siebie; znaleźli się więc na nowo, już na ziemi wygnania w więzieniu. Ale to dało sposobność Perowskiemu poznać ich osobiście; z właściwą sobie bystrością umysłu, i szlachetnością podniosłej choć dumnej natury, ocenił ich, uniewinnił wszystkich, a kilku zbliżył do siebie. To było początkiem bliższych jego stosunków z Tomaszem Zanem a szczególniej z Janem Witkiewiczem którego zdolności tak szeroko rozwinąć się miały, i który poźniej do ważnych na wschodzie używany missji tragicznie także miał skończyć.

Tymczasem zwolna i w pojęciach samego rossyjskiego żołnierza zachodziła zmiana. Wiarusi nasi ,wyćwiczeni w szkole Wielkiego Księcia Konstantego, znajomością służby i ścisłością w jej wykonywaniu zaimponowali Moskalom; zaczęto ich za wzór wystawiać żołnierzom, stali się w koszarach powagą; opowiadając zaś kolegom o stanie wojskowych w Polsce, dali im poczuć całą okropność ich położenia, możność zmiany—obudzili jej pragnienie. Zwolna, ten gmach absolutyzmu

wsparty na podstawie bezwarunkowego posłuszeństwa i czci dla władzy jaką przesiąkłe były jeszcze nie dawno dusze rossyjskie, od dołu samego rysować się i szczerbić zaczął. Zamiast nienawiści zaczęliśmy obudzać zrazu ciekawość, poźniej już pewien szacunek. — Polak, z istoty nie dawno pogardliwej i niższej, w poczuciu massy stawał się czemś dostojném i wyższém.



Ksiądz Michał Zielonka.

Przyczyniali się do tego i nowi, ustawnie przybywający wygnańcy z różnych stron kraju, w skutek rozmaitych śledztw i sądowych komisji. Przynosili oni z sobą znajdującej się tam braci nowy zasób sił i ciągle przerabiającą się ideę narodową; byli świadkami trwającej walki, i nowych na różnych polach usiłowań, a dla zaledwo budzącego się sumienia [rossyjskiego, byli ciągłém przypomnieniem Polski. O jednym

z nich wyłącznie wspomnić tu muszę, bo więcej od innych wpływał poźniej na położenie braci w orenburskiém wygnaniu. Był nim Ksiądz Michał Zielonka. Dawniej uczeń uniwersytetu wileńskiego, magister teologji, poźniej Dominikanin i professor w szkołach utrzymywanych przez to zgromadzenie w Nieświéżu, był prefektem takiejże szkoły w Grodnie, kiedy sławny dzisiaj Murawjew tam na gubernatora zjechał i śledztwo nad ś.p. Michałem Wołowiczem prowadził. Dwóch innych emissarjuszów poszukiwano także, więzienia się napełniały, a Murawjew i szkołę koniecznie do śledztwa chciał wciągnąć. Zielonka z mocą kapłana i męztwem cywilném obywatela bronił powierzonej mu dziatwy nie dając jej więzić i indagować bez siebie. — «Jestem im ojcem i matką mówił śmiało Murawjewowi przed którym wtenczas tylu truchlało, mnie te dzieci rodzice powierzyli, za nie przed wszystkimi jestem odpowiedzialny, mnie Pan o co chcesz pytaj.» Dzieci ocalały, ale Zielonka za nadto dowiódł wyższości charakteru, żeby mógł w kraju pozostać. Posłano go na mieszkanie do Orenburga, jedynie dla wpływu jaki miał na społeczność, jak się wyrok wyrażał. W białej sukni swojej, napiętnowany znamieniem politycznego przestępcy, stanął w tém mieście gdzie najmniejszego o naszych zakonach nie miano wyobrażenia. Z początku nie mógł pokazać się na ulicy, bo jak tylko spostrzeżono ten habit, zbierali się ulicznicy i przeprowadzali go, krzycząc że komedjanci przyjechali. Pewnego dnia, Zielonka włożył długi czarny surdut i tak stanął przed Perowskim, zapowiadając mu, że odtąd tak chodzić będzie, bo sukienki duchownej nie chce dać na pośmiewisko; i od tej chwili, przez lat dwadzieścia kilka nikt go inaczej nie widział—habit schowany, miał mu służyć do trumny, na ostatnie ubranie. Obdarzony z natury dobrą głową, od razu ocenił położenie swoje i środki stania się użytecznym; porzucił książki którym dotychczas oddany był prawie wyłącznie, a jął się życia praktycznego i w prędkim czasie miał już obszerne stosunki. Dzięki im, i szacunkowi jaki u Perowskiego zdobyć dla siebie umiał, pozwolono mu nabożeństwo odprawiać i oddawać rodakom religijne posługi. To był krok piérwszy. Niemcy starali się wtenczas o utworzenie przy korpusie stałej posady dla pastora protestanckiego; Zielonka już mający stosunki, ułatwiał im drogi, a gdy się to udało, domagał się zaraz aby toż samo uczyniono i dla katolików. Perowski wtenczas już sam prosił aby Zielonkę kapelanem orenburskiego korpusu zrobiono. Stawszy się z wygnańca, dzięki moralnej swej sile i rozumowi, figurą rządową, łatwiej już poszedł dalej; za jego staraniem wzniesiono naresztę i katolicki w Orenburgu kościołek; szczupły i zrazu biédny, powoli z ofiar, do których dla niego i Moskale się przyczyniali, zaopatrzony został we wszystkie potrzeby, a stał się ogniskiem i miejscem pociechy dla wszystkich. Zielonka służył każdemu—imię Michała Fadiejewicza, bo tak go nazywano, znał poźniej ka-

żdy mieszkaniec Orenburga. Od samego ranka, drzwi jego domu nie zamykały się—Rossjanie wszystkich stanów, Baszkiry, Tatarzy, cywilni i wojskowi urzędnicy, nawet duchowieństwo prawosławne, przychodziło do tego niedawnego wygnańca po radę i pomoc—on wszystkich interesa robił, a poznawszy tym sposobem życie każdego, mówiąc często ostrą prawdę, a zawsze oddając przysługi, nabył istotnie przeważnego moralnego wpływu. Wszystko mu było wolno; żołnierzowi najsurowiej jest zakazano jeździć po mieście, a znajomy wszystkim tarantas Zielonki woził na mszę i z kościoła odwoził wygnańców; przez niego przechodziły listy od rodzin, które według prawa cenzurze wojskowej ulegać były powinny; z każdą skargą, w każdej gwałtownej biédzie udawano się do niego, a w bardzo wielu razach ulżył, czasem potrafił wyratować z toni. Życie wiódł bardzo skromne—w sławnym jego czarnym surducie zawsze brakowało guzików, ale groszem ostatnim dzielił się z potrzebującymi, a wpływ jego na społeczność tameczną tak był wielki, że powtarzali sami, iż gdyby było wolno, wielu z nich przeszłoby na katolicyzm; nie dla teologicznych jego rozpraw, bo w te się nigdy nie wdawał, nie dla porywającej wymowy, bo tej nie posiadał, ale dla jego osobistej cnoty, dla życia bezinteresownego, czystego a czynnego, poświęconego usłudze bliźnich, a tak różnego od życia tamecznych duchownych. Zdarzało się często, że nie znający go osobiście obywatele orenburskiej gubernji, wybierali na exekutora testamentów swoich, zwierzali mu zawikłane interesa, pewni że nikt sumienniej nad niego z tych się obowiązków nie wywiąże. Parafja Zielonki obejmowała wszystkie kwatery orenburskiego korpusu; pod koniec pobytu jego tam, rozszerzyła się o tyle, że dla objechania jej tylko, po pięć tysięcy wiorst pomimo podeszłego wieku robić musiał co roku. Uszanowanie jakie obudzał tak było powszechne, że nieraz w tych podróżach przy zmianie koni w wioskach baszkirskich i tatarskich mieszkańcy mahometanie otaczali jego pojazd, zaklinając żeby do ich domów chciał wstąpić, bo one przez to będą poświęcone. W życiu codziennem, lubił zawsze dzieci—z tymi których wyłącznie upodobał i serdeczniejszém zaszczycał uczuciem, z przyjemnością mówił o czasach kiedy stał na czele niewielkiej w Grodnie szkoły, i wtenczas łatwo się rozrzewniał—wygnańcy, przez pamięć tych czasów nazywali go i w Orenburgu *księdzem prefektem*, bo mu to robiło przyjemność — pod tém imieniem znany był wszystkim tam Polakom. Mógł był wrócić do kraju, ale choć równie jak wszyscy za nim tęsknił, z bystrością rozumu i abnegacją cechującą go zawsze, poznał że pożyteczniejszym jest w Orenburgu niżby był w którym z dominikańskich klasztorów, i został. Umarł bardzo prędko po powrócie za Aleksandra II tych wszystkich, którym tyle usług oddał i którzy go pewno nie zapomną nigdy.

Ale to wszystko co w kilku słowach o księdzu Zielonce powiedzieć tu

mogłem, działo się powoli, stopniowo, zaprzaniem się siebie, służbą ludziom i pracą lat całych—życie tymczasem dla innych wygnańców wlokło się zwykłą koleją. Dla tych którzy byli w wojsku, z rokiem 1839 zdawał się nowy odkrywać horyzont. Rossja zaassimilowawszy dostatecznie dotychczasowe posiadłości, zamyślała o dalszych w Azji centralnej zaborach, dojrzewał projekt wyprawy chiwińskiej i oni w niej mieli brać udział. Jakkolwiek nic dla nas w tych planach nie mogło być bliskiego i z samej natury rzeczy, sympatje wszystkie musiały być prędzej za stroną przeciwną, już sama nadzieja wyprawy i niebeśpieczeństwa, przerywając męczącą duszę i ciało jednotonność koszarowego życia, była przyjemną. Zresztą, dla wygnańców wyzutych z praw wszystkich stan wyjątkowy był zawsze pożądanym; niebeśpieczeństwo równa ludzi, w obec niego znikają wszystkie podziały i prawa, każdy przedewszystkiém odnajduje się człowiekiem i wraca niejako do tego stanowiska które mu się z usposobienia moralnego w hjerarchji prawdziwej duchów ludzkich należy. Dla tego to na Kaukazie, wśród ciągłej wojny, położenie skazanych na żołnierzy było bez żadnego porównania znośniejsze, niż w wojskach spokojnie stałe zajmujących leże; dla tego w Orenburgu wielu przekładało służbę w samym stepie nad zwykły wewnątrz gubernji garnizon; dla tego nakoniec, czas nawet grasowania cholery, tak przerażający wszystkich, nie był dla nich okropnym. Stosunkowo zaraza niezmiernie mało między nimi zabierała ofiar, a wszyscy czuli się bez porównania swobodniejsi. Wyprawa jeszcze dla niejednego mogła sprowadzić awans, a za nim powrót do kraju. Na ten raz, oczekiwania te zawiodły—wyprawa zamieniła się w straszną klęskę, która w malutkich rozmiarach była niejako powtórzeniem 1812 dla wielkiej armji roku. Nie posiadano jeszcze wtenczas dokładnych o stepie wiadomości, wiedziano tylko, że drogę do Chiwy przecina wielka przestrzeń bezwodna; z tego więc powodu wybrano dla rozpoczęcia wyprawy ostatnie dni jesieni, rachując na to, że nim do bezwodnych miejsc dójdą, śnieg brak napoju dla zwierząt i ludzi zastąpi. Zima niepraktykowanie sroga, jakiej najstarsi w tych stronach ludzie nie pamiętali, omyliła rachuby—śniegi nagle spadły tak wielkie, mrozy tak były dojmujące; że piérwej nim zdołano dójść do tych miejsc bezwodnych, wielblądy wszystkie niosące prowjant dla wojska od zimna wyginęły, choroby rozwinęły się w szeregach, i musiano wrócić nie spotkawszy nawet nieprzyjaciela. Nim oddziały przyszły na miejsce straciły znaczną część ludzi; tych co się dowlekli, dziesiątkował dalej tyfus i skorbut, ze zbytniego wycieńczenia i znużenia powstały. Nie jeden z naszych braci znalazł śmierć na tej drodze która w kilkanaście lat jeszcze poźniej stosami kości bieliła się. Klęska była powszechną; wszyscy jednak uderzeni tém byli, że naszych żołnierzy nie tylko liczebnie, ale stosunkowo nawet, bez porównania mniej zginęło niż rossyjskich;

kiedy ci synowie północy, od lat dziecięcych przyzwyczajeni do zimna i mrozów a silnej najczęściej budowy ciała marli jak muchy, nasze zastępy, gwałtem tu z pod rodzinnego przypędzone nieba, a tylu już bolami i nieszczęściami wyprobowane, wytrzymywały wszystko. Przyczyna tego leżała niezawodnie w rozwiniętym wyżej duchu i w zahartowanej woli; Moskale sami przypisywali to moralnej naszej wyższości.

Po niefortunnej wyprawie, jenerał Perowski odwołanym został do Petersburga — miejsce jego zajął jenerał Obruczew, i nastąpiło znowu dziesięć lat jednostajnych, ciężkich, w drobne a dojmujące cierpienia obfitych, w których tym zwłaszcza którzy żołnierskie nosili płaszcze, położenie ich dotkliwiej jeszcze czuć się dało.

To życie żołnierskie miało wyłączne swoje warunki, które poznać potrzeba aby mieć o niém wyobrażenie. Wstępem do niego była naturalnie droga z kraju do Orenburga. Dla wysyłanych z Litwy i Rusi, nie miała ona w sobie nic wyłącznie okropnego. Szybka jazda dniem i nocą, męczyła wprawdzie, ale dla człowieka wychodzącego z ciasnego więzienia, w którem najczęściej dwa i trzy lata przepędził, była, szczególniej z początku, pewnego rodzaju przyjemnością; oddychał świeżem powietrzem, miał sklepienie niebieskie nad sobą — przyzwyczajonemu do ciągłej straży więziennej, już nieodstępne towarzystwo żandarma nie było tak uciążliwe, a po dniach kilku i ten żandarm najczęściej oswajał się z więźniem i nieraz z dobrém nawet odezwał się słowem. Bywały przykłady, że kiedy za pieniądze przeznaczone więźniowi na strawę (dwie i pół kopiejki, to jest pięć groszy naszych dziennie), zaledwo suchego chleba dostać było można, żandarmi których czasem po dwóch jednego przeprowadzało więźnia, a którzy po rublu srebrem od każdych stu wiorst pobierali strawnego, składali się sami, prosząc usilnie aby więzień tę ich ofiarę chciał przyjąć i trochę wygód sobie pozwolił. Ale z braćmi naszymi z Kongresówki zupełnie inaczej się działo; ci całą drogę z Warszawy albo Modlina do Orenburga odbyć musieli piechotą, a podróż ta należała niezawodnie do najstraszniejszych moralnych i fizycznych katuszy. Opowiedziana szczegółowo, na całe tomy dostarczyłaby wątku.

Wiadomo wszystkim że kodeks kryminalny rossyjski kary śmierci nieznа; zabijają tam wprawdzie nieraz pałkami, ale to tylko żołnierzy, albo ludzi sądzonych przez sądy wyjątkowe, wojenne, jak hersztów band rozbojniczych, podpalaczy i t. p. przestępców — sądy cywilne, największe zbrodnie karzą knutem i ciężkiemi robotami, mniej winnych wysyłają na osiedlenie na Sybir; temuż losowi ulegają ujęci na włóczędze, a takich bywa bardzo wielu. Cała ta ludność, ze wszystkich stron Cesarstwa wysyła się do Moskwy, gdzie na tak zwanych Wróblich górach zbudowane na ten cel więzienie, przyjmuje ich. Na szerokich gościńcach, wszędzie stoją więzienia, *etapami* zwane, czekające na tych przecho-

dniów; przeprowadza ich eskorta zmieniająca się co kilka etapów, a złożona z pewnej liczby żołnierzy i oficera jadącego konno. Z Moskwy już jeden trakt sybirskim zwany, prowadzi wszystkich przez Kazań do Tobolska, albo Orenburga. Gromady, albo w języku oficjalnym *partje* potępieńców wychodzą stamtąd dwa razy na tydzień; partja taka nie bywa mniejszą nad stu ludzi, a do ostatnich u nas wypadków, kiedy massami wysyłana ludność przestała być dzieloną na gromady mogące się w więzieniach po drodze pomieścić, liczba wyprawianych jednorazowie nie mogła według prawa przewyższać dwiestu ludzi. Idzie się zazwyczaj dwa dni, przechodząc od etapu do etapu, 20 do 30 i 40 wiorst dziennie; trzeciego dnia odpoczywają, i to nazywa się *dniówka*. Kto nigdy w drodze nie zachorował, ten wędrując tym sposobem dostawał się do Orenburga po siedmiu miesiącach; dla słabszych, zostawianych po drodze w szpitalach, podróż ta czasem i półtora roku trwała — a tak ją wygnańcy nasi odbywać musieli, bo nie było dla nich żadnej różnicy, szli razem z całą massą potępieńców słanych na Sybir.

Rossja jest państwem i społecznością zupełnie różną od wszystkich europejskich. Każdy prawie człowiek ma tam dwa różne oblicza: jedno urzędowe, oficjalne, drugie jakby domowe, swoje własne, a tak i ze wszystkiém się dzieje. Pod zewnętrzną urzędową skorupą, pod formami w które wszystko ujętém się być zdaje, przelewa się osobne, właściwe tej społeczności życie, niezrozumiałe dla ludzi zachodu chcących je według pojęć europejskich oceniać. Stąd i partje takich potępieńców różnią się niezmiernie od gromad ludzi których prawo wyłącza ze społeczeństwa w krajach ucywilizowanych; powstają one inaczej, mają odrębne swoje cechy, zwyczaje, a poznane bliżej mogłyby rzucić wielkie światło na stan całego imperjum i tego świata który czekał wygnańców naszych. Składają się one zazwyczaj z najrozmaitszych żywiołów, a powodem do tego jest nie tylko różnorodność szczepów wchodzących w skład ogromnego państwa, ale sama jeszcze natura jego instytucji i charakter panującego plemienia.

Jedną z cech społeczeństwa moskiewskiego, na co zgadzali się niedawno najoświeceńsi nawet Rossjanie, jest brak zupełny pojęcia prawa, a więc i obowiązku; nie ma tam wyrobionych zasad, są instynkta, a nie sumienie. W ludzie tak jeszcze historycznie młodym, silnym, celującym bystrością umysłu a chłodem serca, grube namiętności, popędy zmysłowe, grają wielką rolę, rozwijają się z ogromną siłą. Mniej tam wprawdzie tych zbrodni subtelnych, właściwych społeczeństwom zestarzałym, z wyrafinowaną cywilizacją, ale za to brak podstawy moralnej, granica dzieląca cnotę od występku niejasna, i w duszach nie istniejąca prawie. Na takiém tle moralném, stosunki społeczne będące wypadkiem siły albo gwałtu; machina rządowa sztuczna, z mnóstwa kół i kółek złożona, sama pozbawiona pojęcia prawa, ludowi obca, czę-

sto nienawistna; przy powszechnej samowolności u góry, fałsz jedyną prawie obroną słabszego, niemal warunkiem bytu. Przy takim stanie, dostają się w Rossji do więzień i pod sądy nie tylko zwykli zbrodniarze: zbójcy, podpalacze, złodzieje, — ale często ofiary samowoli możniejszych i silnych, urzędników lub panów, nie raz ludzie nie umiejący zdać sobie sprawy czy istotnie popełnili występek czy nie, i t. p. Dodać do tego należy jeszcze włóczęgów, których prawo karze, a których w Rossji jest więcej niż gdziekolwiek, bo lud moskiewski wędrówki lubi, i pomimo tego że przywiązany do ziemi w nieustannym prawie jest ruchu. Rząd całą tę massę obwinionych trzyma we wspólnych więzieniach, a potém osądzonych razem wysyła.

Sądy rossyjskie mają powszechną, a zupełnie zasłużoną opinję dowolności i przekupstwa; to też lud czujący instynktem domierzaną często nad obwinionymi niesprawiedliwość, wyrokom sądów nie wierzy. Sam zresztą nie mając wyrobionych zasad, inaczej patrzy na tych potępionych niż wszyscy na zachodzie; nazywa ich *nieszczęśliwymi* i śpieszy zawsze z jałmużną i pomocą. Ten co ją przynosi, wie, że jutro sam może być w podobném położeniu, a czuje, że pod względem moralnym, połowa tam przynajmniej zupełnie równa jemu.

Więzienia wspólne, przy niesłychanie długiej procedurze, a braku wszelkiego zajęcia dla więźniów, wyrabiają w końcu między nimi wyłączną atmosferę moralną. Doznane niesprawiedliwości i krzywdy wyradzają nienawiść, silniejsze natury uzyskują przewagę, — tworzy się zwolna swego rodzaju społeczność, która sama sobie jest celem, a w której występek staje się już powagą, niemal zaszczytem, i tém jest w końcu partja potępieńców. Na zewnątrz przybiera ona formy właściwe ludowi rossyjskiemu.

Poddaństwo wyrobiło w Rossji solidarną gminę, a przeszło to całkiem w życie. Wieśniacy idący gromadnie na zarobotki, furmani przewożący cudze towary, często z jednego końca państwa w drugi, rzemieślnicy rozmaitemi zajęci wyrobami, wiążą się tam w gospodarcze spółki, *artelami* zwane. Jest to jednym z rysów charakterystycznych. Partja więźniów jest także takim artelem, jedną solidarną spółką. Wybiera z pomiędzy siebie przełożonego, tak zwanego starostę, którym bywa zazwyczaj najprzebieglejszy, najsilniejszy fizycznie, a najczęściej i największy zbrodniarz; jemu swoje interesa powierza i jego słucha; on jałmużny rozdziela, spory między więźniami rozsądza, kary naznacza i wykonywa; w razie sprzeniewierzenia się z jego strony, zastępuje go drugi, na nowo wybrany. Straż jest także w swojego rodzaju spółce z partją — moralnie, sama się od niej nie różni, tylko będąc odpowiedzialną za dostawienie więźniów, prowadzi ich i pilnuje, ale patrząc na partję jak na źródło dochodu, najczęściej bywa z nią w zmowie; pozwala na odbieranie jałmużny, pod warunkiem podziału, do-

starcza wódki i na rozmaite przyjemności przez szpary patrzy.

W długiej podróży więźniowie wyuczają się wzajemnie swoich historji, bo opowiadanie ich stanowi całą rozrywkę; we wszystkich powiatowych miasteczkach po drodze, zabierają stosunki z nowymi jeszcze więźniami, dowiadują się mnóstwa szczegółów o wszystkich na trakcie swoim więzieniach. Często zdarza się w partji bywalec, który już raz lub dwa był na Syberji, uciekł stamtąd i znowu wraca; taki bywa zazwyczaj mistrzem. Układają się rozmaite projekta, zmowy, robią interesa. Na etapach przepisują się zazwyczaj imiona więźniów, a po niejakim czasie powstaje stąd chaos, niepodobny do rozwikłania. Liczba ich pozostaje jednaka, ale kto kim jest, tego już nikt nie wie. Więźniowie mieniają się nazwiskami. Kogo prowadzą na przykład dla skonfrontowania z jakim współobwinionym w odległej gubernji, z Iwana stał się Michejem i idzie tam dokąd Michej był przeznaczony; Michej przychodzi tym sposobem na miejsce Iwana; na konfrontacji nie poznają go, zawiązuje się nowe śledztwo, i tak bez końca. Ktoś potrzebuje zatrzymać się w pewném więzieniu, bo tam ma plan jakiś przygotowany; udaje więc chorego, a kiedy to się nie powiedzie popełnia zbrodnię, zabija naprzykład którego ze współwięźniów, piérwszego który mu się nawinie; zostawiają go dla nowego śledztwa — zyskał kilka miesięcy czasu, a jeśli jest szczwany i dobrze z procedurą oznajomiony, to może i całe lata proces przeciągnąć. Wypadki takie zdarzają się nie rzadko. Wielu z naszych braci odbywających tę podróż, było świadkami scen podobnych. « Jak mogłeś to zrobić, dla czegoś go zabił? » zapytał jeden z oburzeniem takiego zbrodniarza — « Daj pokój, » była odpowiedź — « dziękuj że nie ciebie; musiałem coś zrobić żeby tu zostać, miałem ciebie zabić boś nam niepożyteczny, ale spałeś tak spokojnie że nie mogłem, ot jemu widać było przeznaczono. Mnie wszystko jedno; zabiłem już dziesięciu, jednym więcej lub mniej, to jedno, taż sama odpowiedzialność. » Dodać tu można, że takie i tym podobne sceny dzieją się zazwyczaj tam, gdzie dozorcy więźniów srożej się z nimi obchodzą; pilnują się ogólnie tego prawidła, żeby oszczędzać tych, którzy dla nich są względniejsi i lepsi.

W takiém towarzystwie i w takiej atmosferze moralnej wygnańcy nasi zmuszeni byli odbywać tę ogromną podróż. Ale nie dosyć było iść razem; skazanych przykuwają zazwyczaj do jednego żelaznego pręta i tak iść muszą. Póki się nie nauczą iść noga w nogę, boleści fizyczne są niewysłowione. Starcy, młodzieńcy, kobiéty, ludzie najrozmaitszych sił fizycznych, idą przy sobie. Siostrzeniec Jenerała Dembińskiego miał jakąś cygankę posyłaną na Sybir za towarzyszkę takiej drogi. Każden ruch nie w takt zrobiony targa i zatrzymuje wszystkich, ręce od żelaznych pierścieni brzękną, a tu mróz często dokucza, i tylko szybkim ruchem można uniknąć zmarznięcia. Niektórzy tak marli na drodze,

większość ogromna, dochodziła do miejsca przeznaczenia. Przybyłych na etap czekały nowe męki; rozkuwano wprawdzie z pręta, ale zamykano w ciasném więzieniu, z którego pod żadnym pretextem nie wypuszczano do ranka; powietrze okropne, brud nieopisany, robactwa nieprzeliczone mnóstwo—nieraz tak wielu bywało więźniów, że się pomieścić nie mogli, i kładli się dwóma warstwami: na tapczanach jedni, pod tapczanami drudzy. Szczęśliwy kto nie był jeden, i miał przynajmniej towarzysza, z którym myślą i uczuciem mógł się podzielić. Zwyczajni przestępcy, na braci naszych patrzyli zazwyczaj podejrzliwie, jak na ludzi do nich nie należących, i od których w zamiarach swoich obawiali się nieraz przeszkody.

Kto miał jakie pieniądze, temu się niekiedy udało uwolnić na czas od więzów i pręta; gdy pisarz na etapie za zapłatę opuścił jeszcze w spisie kajdany, to się udawało i dalej, aż póki nowy oficer, pan i władca partji, w przystępie złego humoru, na nowo własną już władzą, zakuć nie kazał. Ale któż miał pieniądze? i ileż ich na taką drogę potrzebaby było! Do wszystkich cierpień przybywał nieraz i głód, bo z lichych kopiejek przez rząd przeznaczanych, połowa zostawała w kieszeni oficera, za resztę i chleba nie dość dostać było można. Pod tym względem, znaczną ulgę znajdowali więźniowie zacząwszy już od Moskwy. W tameczném naprzód więzieniu, na owych Wróblich górach spotykała ich zazwyczaj pociecha; przychodził zawsze odwiedzać wszystkich więźniów już ośmdziesięcio-letni starzec, doktor Gas, cudzoziemiec, pozostały w Moskwie po 1812 roku, który wszedł potém do służby rossyjskiej i poświęcił się na usługi nieszczęśliwym, a będąc dawniej przez Aleksandra I szanowanym, miał w tém więzieniu znaczenie. U czcigodnego starca były zawsze gotowe we wszystkich językach drukowane Ewangelje, te więźniom rozdawał, udzielając słów pociechy na drogę. Kiedy się dowiedział, że w partji był jaki Polak za sprawy polityczne zsyłany, otaczał go szczególniejszą opieką; pozwalał zawsze zatrzymać się ile chciano dla odpoczynku, a dziwną słodyczą i dobrocią niewolił. Exemplarz Ewangelji, książka do nabożeństwa po polsku, i serdeczne Bożą miłością ogrzane słowo, to były jego podarunki, których nikt pewno nie zapomniał, błogosławiąc mu z duszy. Postać tego starca była jakby promieniem z lepszego świata w tej okropnej drodze. Dzięki Gasowi, ci którzy jedni odbyli drogę z Warszawy do Moskwy, tam się zazwyczaj doczekali nadejścia pozostałych jeszcze w więzieniu przyjaciół i towarzyszy.

Po takiém moralném pokrzepieniu, przychodziła i pomoc materjalna, bo Moskwa wszystkim więźniom wysyłanym na Sybir udziela jałmużny. Jest to tak powszechnym zwyczajem, że żadnej partji nie ominęło. Eskorta w tym celu stara się przeprowadzić partję przez jak można największą liczbę ulic, ośmnaście wiorst długiego miasta, a wszędzie po

drodze przychodzą ludzie, najczęściej kupcy i ich żony, i oprócz chlebów i rozmaitego jadła, dają jeszcze pieniądze, w imię jak powiadają Chrystusa. Przyszedłszy na etap, starosta to roździela, połowę zabiera oficer i eskorta, z drugiej dostaje się więźniowi, od kilku do kilkunastu a czasem i do dwudziestu rubli na każdego. To starczy na długo. Wyszedłszy z Moskwy, jałmużny te powtarzają się wszędzie, choć naturalnie nie tak hojne jak w wielkiém, stołeczném mieście; głodu więc już nie ma, ale prócz tego, wszystko jak było; toż samo towarzystwo, takież więzienia, też same boleści i znużenie, klimat tylko coraz sroższy, mrozy i zamiecie coraz większe, droga coraz bardziej pusta i smutna.

Przybyłych do Orenbura, prowadzono zazwyczaj do jenerała dywizji, bo piechota orenburskiego korpusu jedną składała dywizję. Ten, jeżeli nie było wyłącznego o więźniu rozporządzenia, przeznaczał go do jednego z linjowych bataljonów, i zaczynało się już właściwe życie żołnierskie, koszary i musztra.

Wojsko w Rossji, szczególniej za Mikołaja, stanowiło przednią klassę społeczeństwa. Jenerał już zdolnym był do wszystkiego; mógł zostać kuratorem uniwersytetu, rządcą prowincji, uczonym, administratorem, sędzią, członkiem senatu, marynarzem, zresztą wszystkiém. Oficer każdy uważał siebie za nieskończenie wyższego od wszystkich innych, nawet od urzędników cywilnych, pogardliwie nazywanych jarząbkami (riabczyki) dla różnokolorowego ubrania różnego od munduru, ale to się bynajmniej nie odnosiło do żołnierza. Wmawiano mu wprawdzie wyższość nad stanem rolniczym, z którego jednak pochodził, wdrażano do pogardzania nim, ale w istocie, stanowił on najniższy szczebel w hierarchji społecznej, a *niższy od trawy, bezmowny jak ziemia*, to było przysłowie, które mu ustawnie powtarzano. Należał też niezaprzeczenie do bardzo nieszczęśliwych istot. Cesarz Mikołaj, rozmawiając kiedyś o teorjach Furjera, dał się z tém słyszeć, że w każdym bataljonie ma prawdziwy falanster, i w istocie był to falanster, tylko urządzony gwałtem, oparty na sile i pałce. Rozmaite tam wpływały elementa; oprócz zwyczajnego rekruta branego z różnych prowincji, i mięszanego wszędzie, byli jeszcze ludzie za rozmaite przewinienia przysyłani, bo wojsko w Rossji zastępuje też miejsce poprawczych kompanji w innych krajach; nie tylko za przestępstwo polityczne, ale téż i za złe życie, za złodziejstwo nawet, można tam zostać żołnierzem; gminy także i właściciele ziemscy, póki oddawanie rekruta należało do nich, najgorszych zazwyczaj ludzi tam wysyłali. To stanowiło część moralnie zepsutą, najlichszą. Obok tych, byli synowie żołnierscy, w osobnych zakładach, zwanych bataljonami kantonistów, od maleństwa na żołnierzy ćwiczeni; ci byli najbardziej dociągnięci pod względem służby, najlepiej bronią robili, z nich to po większej części wychodziła arystokracja koszarowa: gefrejtery, podoficerowie, feldfeble, czasem nawet po

wielu latach i oficerowie. W dzieciństwie oderwani od rodzin, i w karby dyscypliny wojskowej ujęci, stracili nić wszelką łączącą ich z narodem; rząd wyssał z nich duszę — były to njabierniejsze i najwytrwalsze narzędzia, bez żadnej podstawy moralnej. Obok tego wszystkiego, był prosty wieśniak, wzięty od sochy, oderwany od rodziny, który często żonę i dzieci gdzieś w domu zostawił, a w duszy nosił to wszystko co jest ludzkiego w tych warstwach społecznych. Wszystko to razem, postawione w zależności od starszych, nieznającej granic, ujęte w przepisy krępujące krok każden, nie tylko na służbie, ale i po za jej granicami, męczone musztrą której uczono z najwymyślniejszą drobiazgowością, zajmowane ustawnie, żeby pomyśleć nie miało czasu, z perspektywą długich lat służby, którą najmniejsze przekroczenie przeciągało w nieskończoność, po za granice grobu, zagrożone codzień pałkami—oto było wojsko. Jak ciężkie musiało być to życie, najlepiej dowodzi ten fakt, powtarzający się często, że żołnierze popełniali zabójstwa, w tym jedynie celu, żeby się od płaszcza szarego uwolnić i pójść do ciężkich robót, bo te dla nich były znośniejsze. Część była zupełnie, głęboko zepsuta—to co rząd sam wychował, nie miało duszy — część całkiem bezmyślna, jak ten kat Kaplińskiego, z bydlęcą prawie obojętnością gotujący się oficerze zarzucić stryczek na szyję—ale była też część cierpiąca prawdziwie, która przechowała w sobie i rzewność i dobroć, i nieraz bez porównania wyższą była moralnie od swoich oficerów. Mickiewicz w prelekcjach swoich powiedział, że żołnierz moskiewski pod niektóremi względami przypomina mnichów średniowiecznych; i w istocie, w duszach tych biédnych wieśniaków rossyjskich odzianych w szare płaszcze, była zawsze cierpliwość, rezygnacja, prostota, często litość, a kto długo z nimi pożył, powiedzieć musi, że jest to materjał zupełnie surowy, ale mieszczący w sobie wiele ludzkiego i dobrego; co zaś ci ludzie wytrzymać mogą fizycznie, to każdego zastanowić musi.

Oficerowie linjowych bataljonów, zazwyczaj pozbawieni wszelkiego ukształcenia, bo co miało środki ku temu, szło jeśli nie do gwardji, to przynajmniej do armji, nie mieli już tych dobrych instynktów które żołnierz z rodziny przynosił; mieli odrobinę zewnętrznego poloru pokrywającego zupełną nicość moralną, brak wszelki zasad, przekonanie o nieskończonej wyższości swojej nad żołnierzem, a wszyscy myśleli tylko o sobie, o swoich dochodach i karjerze; zresztą, w pojęciach i postępowaniu swojém stosowali się ze zwykłą Moskalom giętkością do woli i upodobania naczelników swoich.

To był świat, który przyjmował wygnańca skazanego w sołdaty; przyprowadzony do koszar, dostawał zaraz nauczyciela, tak zwanego *dziadźkę*, który go wtajemniczał w życie żołnierskie, wchodził do rekrutskiej komendy, a umundurowany, nieraz nazajutrz już odbywał musztrę. Piérwszym jego dozorcą był podoficer w dziesiątku, pożniej

podoficer wydziałowy, dalej feldfebel; ten kapitanowi zdawał raporta o jego prowadzeniu się, a nawet o *sposobie myślenia*, (taki był rozkaz). Raporta te szły do bataljonowego dowódzcy, a stamtąd, przez sztab korpusu do samego Cesarza. Cesarz był uwiadamiany o miejscu służby każdego skazanego, bez Cesarza żaden z nich na podoficera nawet awansowanym być nie mógł, to też zazwyczaj lat kilka na ten awans upornie odmawiany czekać trzeba było. Pobyt w rekruckiej komendzie trwał kilka miesięcy, czasem rok i więcej; starszym i słabszym na siłach z trudnością wielką przychodziły te exercycje posuwane za Mikołaja do najwyższego pedantyzmu, ale uczyć się trzeba było, bo bataljonowy dowódzca odwiedzał komendę, i jeśli z postępów był niezadowolony kazał bić podoficera któremu polecono było uczyć, powtarzając: patrz, to za ciebie jego karzą, a i ciebie tak siec będą. Wyuczywszy się stać, maszerować a potém bronią robić, przechodziło się do frontu, i już razem z kompanją swoją lub bataljonem zaciągało się wartę, odbywało musztrę i służbę całą.

Kto dostał się tak do wojska, musiał przedewszystkiém odbyć wielką szkołę wewnętrzną, zstąpić w głąb siebie; jeżeli miał jaką dumę rodową, czy szlachecką, oduczyć się jej i odnaleźć się tylko człowiekiem. Bo w istocie, dawniejsze życie było zupełnie skończone; czém był w kraju, jakie tam miał położenie, stosunki, wszystko to nic nie znaczyło; czy nawet w śledztwie ostatniém znalazł się dobrze, czy źle, czy go błogosławili ci których ocalił, czy płakali na niego, o tém nikt nie wiedział: to co go otaczało, ci którzy o dalszym jego losie stanowić mieli, nie rozumieli go zgoła; oficerowie wiedzieli że buntownik, koszarowa bracia pod nazwiskiem politycznego przestępcy dorozumiewała się zazwyczaj wykroczenia *policyjnego*, odezwać się do żadnych zasług nie mógł, bo ich dla tej społeczności nie było, jeżeli coś umiał, to mu powtarzano że cała jego nauka jest niczém, że tylko maszerowanie i karabin może go zrobić *człowiekiem*, a czyż nie widział codzień że seciny gefrejterów i żołnierzy stokroć jego na tém polu prześcignie? że im nigdy, gdyby chciał nawet nie dorówna? Trzeba było wydobyć z wnętrza swojego moralną siłę, która dałaby moc cierpliwie przenieść wszystko, a zarazem poszanowanie i z czasem pewne stanowisko zdobyła. To była jedyna droga. Nowoprzybywającemu pomagali w tém wprawdzie dawniejsi wygnańcy, ale każdy musiał do tego dostroić się tonu, i tylko taka wytrwała wszystkich praca, w ciągu lat całych, zmodyfikowała położenie, wyrobiła dla imienia polskiego poszanowanie, i życie dla samych wygnańców uczyniła możebném. Przybywający, dla rodaków nawet był nieznajomą osobą; przyjęty zawsze ze współczuciem, musiał jeszcze i u nich życiem samém dorobić się szacunku. Stąd każdy, dla tego tylko żeby nie zginąć, musiał już wszystkie siły duszy naprężać.

Położenie na każdym kroku było pełne upokorzeń. Kiedy w komisjach śledczych męczono i znęcano się nad więźniami, chcąc tym sposobem wydobyć z nich jakie zeznanie, dowiedzieć się jakiego imienia, podtrzymywało ich to uczucie, że zasłaniają tym sposobem drugich, że znoszą to dla jakiejś idei; skazanych na żołnierzy łajano i lżono, za to, że nie umieli tak naprzykład nogi wyciągnąć, albo tak zgrabnie poruszać karabinem jak gefrejter, zdrowszy daleko i od dzieciństwa do tego wszystkiego wdrożony. « Wiem że jesteś człowiek oświecony » wołał do jednego z nich stojący przed szeregiem bataljonowy dowódzca, « i wiem żeś człowiek dobry, ale póki mi bronią nie będziesz robił jak gefrejter, każę cię co dzień pałkami siec, » a kiedy na to krew mu uderzyła do twarzy, dodał : « jeszcze mnie śmiesz oczami grubijaństwa gadać, wypędzę z ciebie ten duch polski » i. t. d. i. t. d. Rzeczy podobne spotykały wszystkich, i nie raz, nie dwa, zależało to od kaprysu, od usposobienia. Żołnierz moskiewski przyzwyczajony jest do tego wszystkiego, wie że naczelnik musi łajać i bić — na to naczelnik. Kiedy w rekruckich komendach oczekiwali bataljonowego dowódzcy, podoficerowie uczący żołnierzy nakładali białe koszule; zapytani dla czego to robią, odpowiadali że wiedzą iż będą bici, ale pułkownik lubi bieliznę białą i dostałoby się im dwa razy więcej gdyby koszule nie były zupełnie świeże. Nie mogąc mieć tej rezygnacji niewolniczej, bracia nasi musieli uzbrajać się w całą moc woli, żeby zdołać spokojnie znieść wszystko co ich na takich musztrach i przy zejściu się z naczelnikiem spotkać mogło. Zdarzało się często, że na musztrach, pułkownicy kazali wychodzić z szeregu Polakom *konfirmowanym* ; (tak nazywano politycznych przestępców, dla tego że ich wyroki utwierdzał czyli *konfirmował* Cesarz) dowódzca wtenczas, zwracając się do żołnierzy, zapytywał ich, co to są za ludzie? i sam odpowiadając, tłumaczył : że gorsi są od złodziei i rozbojników, od wszelkiego rodzaju złoczyńców, bo są nie tylko duszegubcy, ale carogubcy, że ich trzeba pilnować i strzedz się jak zarazy.

Bataljonowi dowódzcy miewali czasem dziwne fantazje; uralski naprzykład : obchodząc przed musztrą szeregi, miał zwyczaj bić pięścią w twarz żołnierzy którzy mu się zdawali posępni, wołając : « patrzaj weselej ! » Kiedy Perowski na nowo rządy kraju objął, i kazał żołnierzy zbytecznie musztrą nie męczyć, pułkownik Czyhir przyjeżdża do koszar swego bataljonu, stojących około cerkwi, każe wyprowadzić wszystkich w płaszczach tylko, bez broni, i ma do żołnierzy następującą przemowę : « Dzieci ! przekonany byłem dotychczas, że każdy człowiek bez wyjątku może dobrze maszerować i bronią robić, i dla tego męczyłem was musztrą i ćwiczyłem nieraz ; przekonałem się, że do tego potrzebna wyłączna łaska Boża. Myślałem potém, że każdy wyuczyć się może literatury, (literaturą w wojsku moskiewskiém nazywają kilkanaście

definicji tego co jest żołnierz, podoficer, chorągiew i t. p. i te żołnierz musi umieć *expedite*) dziś widzę że i do tego potrzeba łaski z nieba. Ale co pacierz, to każdy bez wyjątku umieć może, chyba że jest anafima, (przeklęty). Przyjechałem więc zobaczyć czyście ludzie i czy pacierz umiecie; kto nie będzie umiał, dostanie 200 kijów. Ale dzieci! żona moja chora, nie mam czasu z wami marudzić, kto nie umić, niech wyjdzie przed front i odbierze co zasłużył.» Po tej przemowie, kilku baranków poczuwających się do winy dobrowolnie wyszło przed front; przyniesiono rózgi, rozebrali się i zaczęła się chłosta. Tymczasem dbały o moralność podwładnych dowódzca obchodził szeregi, słuchając po kolei każdego żołnierza. Po egzamenie, znalazło się jeszcze kilkunastu nie dobrze umiejących; ci stali osobno, czekając dalszego losu. Bogobojny pułkownik odezwał się znowu do nich: «Mówiłem wam, że żonę mam chorą, że mnie pilno do domu, widzicie, tamci wyszli sami, oni widać ludzie, w was żadnego człowieczego uczucia nie ma, żadnej litości, dostaniecie za to po 400 rózeg.» Egzamen pokazał że wszyscy konskrypcjoniści polscy pacierz umieli wybornie; pułkownik kazał im stanąć osobno, a zwracając się raz jeszcze do obżałowanych, dodał: «Patrzcie, oni wszyscy od swego Boga nie wiedzieć jak daleko, pacierz jednak umieją, a wy, u pana Boga za nadrą mieszkacie, pod samym soborem, i nic nie umiecie, wyście po prostu anafimy,» (przeklęci). I stał do końca exekucji, poczém do chorej żony odjechał.

Takich i tym podobnych scen uczęstnikami bywali często wygnańcy nasi, a malują one lepiej od długich opisów położenie ówczesne rossyjskiego żołnierza.

Przy tém wszystkiém życie wspólne w koszarach, wśród ciągłego hałasu, w towarzystwie tak zupełnie różném pojęciami i usposobieniem całém, było rzeczą nieźmiernie ciężką; dla natur cichych i bardziej skoncentrowanych w sobie, była to jedna z największych przykrości; ale tam to właściwie uczono się poznawać cierpienia tych najniższych warstw społecznych, tam po niejakim czasie zdobywano dla siebie poszanowanie, a wtenczas i perory batljonowych dowódzców nie robiły już na żołnierzach wrażenia. Kto dobrze się prowadził, a dla każdego wygnańca było to rzeczą bardzo łatwą, bo trzeba było tylko nie upijać się, nie łajdaczyć i burd nie robić, kto pamiętał o tém żeby drudzy za niego nie odpowiadali, komu się szczególniej udało oddać jaką przysługę, zasłonić czasem od kary żołnierza, wytłumaczyć go, ten już miał u niego szacunek. Chłop rossyjski dobro pamięta. Prócz tego, było jeszcze wszczepione w ludzie ód dawna uszanowanie dla stanu wyższego, podtrzymywane w wojsku tą niesłychaną różnicą jaka zachodziła między żołnierzem pozbawionym istotnie praw wszelkich, a oficerem posiadającym wszystkie przywileje. Żołnierz razem z całym ludem mający bardzo nie rozwinięte wyobrażenia moralne, patrzący na wszy-

stkich w ogólności przestępców jak na nieszczęśliwych, sam najczęściej karany nie za to naprzykład że ukradł, ale że ukradłszy schować nie umiał, srożej bity za maszerowanie lub najmniejsze przeciw prawidłom służby przekroczenie, niż za złodziejstwo i w ogólności przewinienia moralne, nie wchodził zupełnie w pobudki dla których kto był zesłany, strona moralna właściwie była dla niego obojętną; ale w wygnańcach naszych widział zawsze szlachtę, i czuł, że każdy z nich dziś żołnierz, jutro może zostać oficerem. Nie zasłaniało to od tysiącznych przykrości, gorsze i zawistne natury pobudzało nieraz do prześladowania, ale w ogólności łagodziło stosunek, i pewną względność sprowadzało. Kiedy dowódzca zapowiedział komu że rózgami ćwiczyć będzie, a za grubijaństwa gadane mu wzrokiem okuje w kajdany, albo powiesić każe, żołnierze patrzyli na niego przez parę dni poufalej, jak na człowieka podległego na równi z nimi karze cieleśnej, ale moralna przewaga wracała prędko, i w ogólności nikomu nie było tak źle jak być mogło i jak według woli cesarskiej być było powinno. Grożono kijami, ale nie było prawie przykładu żeby do tego przyszło; nie dla rozwiniętych uczuć w oficerach, ale dla ogólnej po prostu opinji i tego jeszcze przekonania wyrobionego przez jeńców wojennych z 31 roku, że toby płazem nie uszło.

Położenie zresztą zmieniało się bardzo, stosownie do miejsca gdzie się znajdowali skazani. Bataljony orenburskie miały stałe kwatery, a były rozłożone na ogromnej przestrzeni kraju. Sam Orenburg mieścił ich dwa, jeden był rozdrobiony po forteczkach stepowych, pozostałe 4 stały w Ufie, Orsku, Troicku i Uralsku; przestrzenie po wiorst kilkaset dzieliły jeden od drugiego. Gdyby z samymi żołnierzami żyć tylko trzeba było, różnice byłyby nieznaczące, ale niezmiernie wiele zależało od bataljonowych dowódzców i całej starszyzny, a to położenie zmieniało do nieskończoności. Jednym z rysów charakterystycznych cesarstwa rossyjskiego jest to, że samowola spotyka się tam na każdym kroku, a prawo nie wykonywa się prawie nigdzie, i jeżeli nie ma władzy tak nieograniczonej i szerokiej w zasadzie jak władza carska, to z drugiej strony, nie ma może żadnej tak często bezsilnej; każdy prawie, udzielony sobie rozkaz wykonywa po swojemu; jest to powodem okropnych nieraz katuszy, ale znowu temu może winna Rossja że istnieje, a ludzie że żyją pod tym rządem. Moskal jak już mówiliśmy, jest giętki, zastosowuje się do każdego położenia, do woli każdego naczelnika, jest takim jakim mu być każą. Policmejster Wasiljew w Wilnie, za Nazimowa, wyrażał się naiwnie, że piérwej był diabłem, bo tego po nim wymagano, teraz zaś kazano mu być aniołem, więc nim został. W ostatnich wypadkach krajowych, odznaczali się nieraz okrucieństwem a nawet dzikością, ludzie miani piérwej za bardzo dobrodusznych i łagodnych. Każdego kto zna Rossję nie zadziwia to bynajmniej, metamorfozy takie są tam na porządku dziennym i powtarzają się ciągle—całą okropność

tego stanowi zupełny brak zasad. I w bataljonach orenburskich toż samo się działo; usposobienie pułkownika wpływało na oficerów i nadawało ton całemu obejściu się; pułkownik znowu stosował się do tego co go od wyższej władzy dochodziło, albo czego po nim wymagało zwykłe jego towarzystwo. W Orenburgu samym był on małą figurą, oglądać się musiał na wszystkie sztaby korpuśne, dywizyjne, brygadne, na mnóstwo wyższych osób, od których zależał, którym się przypodobać starał. Nieraz wyskok jaki w obejściu z Polakami obiegał miasto, narażał go na śmieszność albo złą opinję : musiał siebie pilnować; w mniejszych przeciwnie miasteczkach, on był główną prawie osobą; nie lękał się nikogo, śmielej popuszczał wodze własnym instynktom. Podobnież działo się i z młodszą starszyzną. Z tego wszystkiego wypływała nieskończona różność odcieni, zmieniających się znowu za każdym prawie wiatrem, w każdém miejscu. Nie jeden z wyżsych znowu chętnieby ulgę zrobił i pozwalał na nią cichaczem, ale lękał się strasznie, i przy najmniejszym donosie zwijał chorągiewkę. Sam rządca kraju Obruczew, nie miał nienawiści do Polaków, owszem, często był względnym, ale słowo : Petersburg, Car, już go przejmowało dreszczem, i pod tym wpływem wracał do ścisłego wykonywania surowych przepisów. Szewczence naprzykład, o którym wspominałem, sam kazał malować widoki fortec stepowych, choć mu rysować było wzbroniono, i dziękował za nie, ale kiedy odebrał donos że on robi portrety, zląkł się, oddał go pod sąd, doniósł Cesarzowi, i biédny poeta więcej roku za to w brudném więzieniu z Kirgizami przesiedział. Jednego z naszych rodaków spotykał w swoim domu, dawał mu także roboty, i chętnie widział, że ten portrety jego dzieci rysował; gdy jednak któryś z jenerałów powiedział mu, że do stolicy napisze iż w Orenburgu żołnierzy przyjmują w towarzystwach, tak się przeląkł, że wszystkich Polaków kazał na krok z koszar nie wypuszczać, co trwało przez kilka tygodni, i znowu przeszło, jak wszystkie podobnego rodzaju rozporządzenia, których były seciny.

Według rozkazu Mikołaja, nie wolno było żadnegoPolaka w wojsku używać do pisma, lub dawać mu jakiebądź po za frontową służbą zatrudnienia; wszyscy musieli być używani li do karabina, choć między zesłanymi w sołdaty było kilku od urodzenia chromych. Kto nawet dosłużył się oficerskiego stopnia, nie miał prawa zostać chociażby adjutantem bataljonu; zawsze powinien był tylko musztry pilnować. Pomimo to, miewali niektórzy polecenia uwalniające ich na kilka miesięcy od musztry, a obowiązek naprzykład adjutanta spełniał nieraz Polak, jako zdolniejszy, tylko kto inny podpisywał papiery. Udzielanie lekcji było nawet dla wielu sposobem opędzenia potrzeb na które żołd rossyjskiego żołnierza wystarczyć naturalnie nie mógł. Płacono za nie źle bardzo, ale zawsze był za to grosz jakiś, a zabierały się stosunki, przy-

datne nieraz i sobie i drugim. Kto miał jakiekolwiek środki a umiał jeszcze język jaki, muzykę, rysunek, ten w wyższych domach dawał lekcje, najczęściej darmo, znajdował uprzejme przyjęcie, wytchnienie, i był istotnie przez to sowicie nagrodzonym. Ksiądz Zielonka zazwyczaj to wszystko urządzał, i w tych razach pomagał, a jakże był uszczęśliwiony kiedy się mógł kim pochwalić, kiedy z tego rodaka protegowanego byli gdzie bardzo radzi?; pomagało to wszystkim i był to właśnie jeden ze środków do wyrobienia opinji. Po latach, już byli dawni uczniowie Polaków to oficerami, to urzędnikami; rosła liczba ludzi zobowiązanych i mimowolnie zmieniał się stosunek. I na tej drodze ustawne były zawody. Zdarzało się naprzykład, że się znalazły lekcje u jakiego potężnego człowieka, u jakiegoś adjutanta dywizji, od którego los tylu ludzi zależał; po niejakim czasie stosunek był dobry, dzieci robiły postępy, nauczyciela przyjmowano jak przyjaciela domu, już mu się udało uwolnić jakiego kolegę z pod uciemiężającego go kapitana, przenieść czasem do innego bataljonu, co było już wielką rzeczą, w tém adjutant dostaje się pod sąd za kradzież summ rządowych — usuwają go — całe mozolnie wzniesione rusztowanie upada; trzeba budować na nowo, i tak bez końca. Ale czyż od lat tylu wszyscy nie jesteśmy skazani na to ustawne stawianie ciągle wywracanych budynków i rusztowań? Życie wygnańca i pod tym względem musiało być życiem Polaka.

Jako siedlisko wszystkich sztabów i głównego zarządu kraju, w którym skupiali się ludzie oświeceni, Orenburg był miejscem najdogodniejszém dla naszych wysłańców; za nim szły inne miasta i miasteczka; położenie posłanych do twierdz stepowych, było znowu bardzo odmienne. Tam nie było musztry, żołnierz zajęty był budowaniem wznoszących się fortów; zresztą, zaciągał wartę i na tém się wszystko kończyło; naszych braci nie używano do robót: byli zazwyczaj, pomimo zakazu, rozmaitego rodzaju urzędnikami. Gdzie czasem było ich kilku, ten prowiant wydawał, ten pilnował cekhauzu, ów doglądał warzywa albo szpitalu. Swoboda stosunkowo była wielka, ale za to step gładki i pusty do koła, w twierdzy bardzo często dwóch lub trzech oficerów, komendant codzień pijany i kilkudziesięciu żołnierzy, książki żadnej, towarzystwa żadnego, ledwoby nie można powiedzieć, że wrażeń żadnych, taką nicością tchnęła otaczająca wygnańca pustynia; życie sprowadzone do najprościejszych swych funkcji. Poczta kirgiska dwa razy na miesiąc przywoziła papiery z Orenburga i potém znowu głucho. Będący w Nowopiotrowsku, na wschodnim brzegu morza kaspijskiego byli szczęśliwsi latem; mieli statki parowe przychodzące z Astrachania, które przynosiły listy i wiadomości; ale tam znowu zimą cisza zupełna: morze zamarza, i maleńka twierdza jakby odcięta od całego świata. Zazdroszczono bobakowi własności przespania zimy całej.

Kiedy tam dostał się człowiek młody, z ognistą wyobraźnią i gorącém sercem jak naprzykład ś. p. Zygmunt Sierakowski, który piérwsze dwa lata pobytu w orenburskim korpusie tam spędził, było zaiste czego zwarjować albo przepalić się całkiem.

W takiém to w ogólności położeniu, na takich pracach i drobnych codziennych cierpieniach i walkach, schodziło życie wygnańców. Jedni wspierali drugich. Największą osłodą było towarzystwo współbraci. Po musztrach zbierali się często w koszarach na wspólną biesiadę. List od rodziny, wiadomość jaka przyniesiona przez gazety, były przedmiotem nieskończonych rozmów; a choć nie jeden z obecnych miał spocząć na jakim tamecznym cmentarzu, nikt przecież nie tracił nadziei, że jeszcze do kraju powróci; wątpliwość zaś o przyszłych losach Ojczyzny pewno w żadnym nie postała umyśle. Mieć zawsze nadzieję wbrew wszelkiej nawet nadziei, to już przeznaczenie i to siła nasza! Sierakowski, który gdzie tylko się znajdował, był duszą podobnych zgromadzeń, zebranym braciom ofiarował zazwyczaj hładysze mléka, bo kieszeń żołnierza na kosztowniejsze przyjęcie nie wystarczała, i nazywał takie zebrania *wielkiemi mlékami*. Nie jednemu zostały one pewno na zawsze w pamięci. W początkach przysyłano samą tylko szlachtę, ludzi mniej więcej ukształconych; z czasem, przy rozbudzającém się szérzej w kraju życiu narodowém, wszystkie zwolna warstwy zaczęły mieć swoich reprezentantów; około roku 1850 i poźniej, coraz więcej mieszczan i rzemieślników przybywać zaczęło; w końcu, byli już między zsyłanymi za polityczne sprawy i włościanie. Wszyscy razem stanowili jedną rodzinę. Każdy przybywający musiał przechodzić przez Orenburg, tam więc znano wszystkich, i tam naturalnie było ognisko, do którego się we wszystkich interesach udawano. Ks. Zielonka był orędownikiem wszystkich i jego opiekę czuć było wszędzie. W każdym zresztą bataljonie, w każdej forteczce nawet, był ktoś co umysłem albo sercem nad innymi celował; ten był jakby głową gromadki, opiekunem biédniejszych i słabszych. Ukradkiem miewano własne niedaleko od koszar izdebki; tam wytchnąć czasem, odpocząć, lub książkę jaką przeczytać było można. Kto wracał do kraju, ten książki swoje na rzecz ogółu zostawiał. Powstała zwolna tym sposobem mała biblioteczka, a obiegające wygnańców w różnych ich siedzibach książki, krzepiły nieraz na duchu, i kształcić się nawet pozwalały. Długie życie, oddawane usługi, coraz częstsze lekcje, sprawiły to w końcu, że w miejscowej ludności budziła się chęć poznania naszego języka i literatury. Kobiéty nieraz uczyły się po polsku, żeby módz czytać Mickiewicza: a były czasy, kiedy modą było w Orenburgu mieć szare płaszcze w salonie; ulegało to zmianom jak wszystko, ale w ogólności poszanowanie rosło. Żaden pojedyńczy wygnaniec nie mógłby powiedzieć, że to było jego dziełem: wszyscy prawie przyczyniali się do tego; każdy miał jako człowiek i wady i ułomności swoje,

ale wszyscy reprezentowali ideę polską : ta przez nich, często bezwiednie nawet, walczyła i zdobywała uznanie.

W Orenburgu, wygnańcy nasi spotykali się jeszcze z innymi skazanymi. Przybyło tam kilku Rossjan ze sprawy Pietraszewskiego, był Szewczenko, o którym wspomniałem. Z nimi bardzo prędko przychodziło do porozumienia. Szewczenko, wnuk jednego z Hajdamaków, w gorącej krwi noszący wielką nienawiść do szlachty polskiej, marzący o udzielnej małoruskiej niepodległości, tam z Polską się pogodził, pisał wiersz do przyjaciela Lacha, i wielu dawnych błędnych pojęć się pozbył, a naszym braciom dał poznać całą piękną, rzewną i poetyczną stronę ruskiego ludu.

Kobiét jeszcze prawie nie zsyłano wtenczas; widział jednak i orenburski kraj niewiastę polską, która tam przyszła dzielić los męża, a której heroizm i poświęcenie się, łzy potém u dusz najtwardszych wywoływały. Pani Migurska rodem z Galicji, przybyła do Uralska, gdzie mąż jej był żołnierzem; spędziła tam lat kilka słodząc jego życie, aż w końcu umyśliła go wyswobodzić. Ułożono cały projekt, na wykonanie którego tylko polska kochająca kobiéta odważyć się mogła. Migurski pewnego dnia zniknął; szukano go daremnie, aż nareszcie znaleziono nad brzegiem Uralu płaszcz jego, z listem do żony żegnającym ją i zaklinającym, aby mu darowała wszystko co dla niego przeniosła i wracała sama do rodziny. Zarządzono śledztwo, szukano, uwierzono nakoniec że Migurski utonął. Był on tymczasem u żony, schowany w małym składzie, ale o tajemnicy wiedziała tylko żona i poczciwa sługa, także z Polski. Po kilku miesiącach pozwolono pani Migurskiej wracać. Kazała przygotować podróżny pojazd, tarantas, z dnem podwójném; tam w nocy umieściła męża i trumienki dwojga dzieci, które tam potracili i miała już jechać, kiedy jenerał miejscowy przy pożegnaniu dał jej kozaka, dla beśpieczeństwa, jak mówił, w drodze; wistocie przypuszczał, że Migurski mógł uciec, i kozak miał go zatrzymać, gdyby się gdzie z żoną spotkał. Biédna kobiéta wymawiała się od eskorty, ale musiała ją przyjąć, nie przypuszczając zresztą tajemnych instrukcji. Wyjechała wiosną: wylewy rzek utrudniały drogę, nieraz dni całe na miejscu przestać musiała; nie wychodziła biédna z powozu, pilnując skarbu i drżąc żeby go nie odkryto przypadkiem; nareszcie, jak bywa zwykle, oswoiła się z niebeśpieczeństwem; już mąż z kryjówki swojej wysuwał czasem głowę i rozmawiała z nim. Tymczasem około Piotrowska, w saratowskiej gubernji, wśród szybkiej jazdy, deska na której siedział pocztyljon z kozakiem, łamie się pod ciężarem, i przygniecionemu Migurskiemu rani głowę. Pod niespodzianém uderzeniem, krzyknął. Ten krzyk zdradził uciekających; zatrzymano pojazd, tajemnica była wykrytą. Prośby i pieniądze nawet nic nie pomogły. Kozak, myśląc że za to awansowanym będzie, w Saratowie odwiózł ich oboje

do gubernatora. Rozpoczęło się kryminalne śledztwo o wywiezienie zbiega. Współczucie w mieście było ogólne, ale nic pomódz nie mogło. Zaledwo wstawienie się tkniętego tą całą sprawą gubernatora wyjednało u Cesarza, że sądzić za to nie kazał, tylko Migurskiego do sybirskich przeznaczył bataljonów. Poszła i tam za mężem nieboga, ale siły jej już więcej wytrzymać nie były w stanie; wkrótce umarła. W kilkanaście lat potém, przyszła tam jeszcze piechotą za mężem biédna Litwinka, Suboczowa; ta przez lat kilka potrawy polskie dla wygnańców przygotowywała, a była szczęśliwszą od pani Migurskiej, bo razem z mężem wróciła.

Oprócz wygnańców, było jeszcze w Orenburgu, jak wszędzie w Rossji, wielu rodaków, *dobrowolnie* jak nazywano, szukających tam służby i kawałka chleba; w istocie, wypędzonych z kraju i do tej peregrynacji zmuszonych rozporządzeniami Mikołaja utrudniającemi wszelkie dla nas w kraju posady, a niewolącemi wszystkich do rządowej służby. Ci bardzo się przyczyniali do ulżenia losu wygnanych i żołnierzy. Rozmaite były ich pojęcia i stopień ukształcenia, przy ciągłém jednak wzrastaniu koła polskiego, każdy z nich coraz bardziej czuł się Polakiem; nie jeden tam się prawdziwie wyuczył Ojczyzny, a wielu z nich zapisało się na zawsze w pamięci tych, dla których byli prawdziwą rodziną. Podczas świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, opłatek i święcone gotowe tam było zawsze dla braci, a gdyby było wolno wymieniać usługi oddane w czasie chorób, w niedostatku i rozmaitych potrzebach, nie jedno imię ze łzą wdzięczności wymienićby przyszło.

Z objęciem powtórnie rządów kraju przez jenerała Perowskiego w 1851 roku, położenie jeszcze się polepszyło. Osobiste usposobienie szlachetnego człowieka wpływało na podwładnych, musztra w ogólności stała się mniej uciążliwą, patrzano na rodaków naszych coraz względniej. Między ludźmi otaczającymi jenerał-gubernatora, mieli wielu przyjaciół; jeden z najwyżej położonych urzędników nieraz po całych nocach czytywał z jednym z naszych żołnierzy prelekcje Mickiewicza i zalewał się łzami; częściej dawano braciom naszym polecenia nic ze służbą frontową wspólnego nie mające, a choć wygnanie zawsze było wygnaniem, i płaszcz szary gnieść nie przestawał, mniej było w obejściu samowoli, i coraz więcej nadziei poprawy losu i nawet powrotu. Upragniona ta chwila zbliżyła się w istocie dla kilku, witana z radością nawet przez miejscową ludność. Kiedy nadeszła wyprawa do Akmeczetu, twierdzy kokańskiej, nad Syr Darją, o wiorst 500 na wschód za aralskiém morzem położonej, a która poźniej otrzymała nazwanie fortu Perowskiego, wielu z naszych rodaków, z woli samego jenerał-gubernatora, miało w niej udział. Półtora miesiąca szły kolumny z Orenburga do chaństwa Kokańskiego; oblężenie twierdzy trwało trzy tygodnie, bo pod grube i wysokie mury, chociaż z gliny tylko zlepione, opierające się kulom dzia-

łowym, miny podkładać musiano. Oblężeni jak na dzisiejszych mieszkańców środkowej Azji bronili się dobrze, ale po wysadzeniu muru w powietrze, twierdzę dobyto, w Sierpniu 1853 roku. Dwóch zacnych i powszechnie przez kolegów kochanych młodzieńców, Michał Bielikowicz i Karol Pogorzelski, przy szturmie śmierć znalazło, bo wszędzie mogiła polska przy rossyjskim sztandarze usypaną być musiała; ale dla wielu była ta wyprawa początkiem wyzwolenia z żołnierskiego płaszcza a potém i powrotu. W 1857 roku z uwolnieniem wszystkich prawie, miał się zamknąć dotychczasowy perjod męczeńskiej historji naszej; na tém też i dzisiejsze opowiadanie zakończyć przychodzi.

Przebiegając raz jeszcze myślą tych lat kilkadziesiąt i wywołując całe szeregi tych ofiar które tam szły z pokolenia w pokolenie i marły tak często nieznane, mimowolnie przychodzi pytanie czy wiele na tém zyskała ojczyzna, dla której jednak cierpieli i ginęli wszyscy? czy morze łez wylanych przez żony nasze i matki wynagrodzone zostało, czy te wszystkie potracone siły, zmarnowane życia, gdyby inny krajowi nadany był kierunek, i mniej boleśnie i pożyteczniej służyćby jemu nie mogły? I zaiste, gdyby mniej spisków, mniej zwłaszcza emissarjuszów z zagranicy, więcej porządnej, wewnętrznej, organicznej pracy, możeby losy kraju innemi dziś były. Ale wszystkie te przypuszczenia muszą dzisiaj pozostać tylko przypuszczeniami, na które innemi znowu odpowiedziećby można. To w czém pokolenia całe udział brały, nie było dziełem pojedyńczych ludzi, i ich siłami zmienioném być nie mogło. Wyjątkowe i bezprzykładne położenie nasze pchnęło nas na te drogi. Zresztą, na szlakach wygnania i w szeregach skazanych przez rząd rossyjski, spotykali się ludzie wszystkich politycznych wyznań i wszelkich odcieni: od Filaretów, co o kształceniu młodzieży i umoralnieniu narodu myśleli, do tych co w jego obronie oręż podnosili; od zakładających u siebie szkółki dla włościan, do spiskujących przeciw istniejącemu porządkowi; ci co nie dopuścili niewczesnego na Litwie w 1846 roku powstania, znaleźli się tam razem z tymi którzy je wywołać chcieli; iluż znowu pokutowało za to jedynie że byli Polakami, za samo uczucie, nie bronne nigdzie indziej i nie ulegające karze? Zastanowiwszy się jeszcze nad tém, jak duch polski był ciągle kuszony, przebiegłszy wszystkie rozporządzenia Mikołaja, odbywszy szkoły z dziećmi polskiemi, wszedłszy z niemi do kadeckich korpusów, poźniej na służbę, wszędzie gdzie cierpieć musieliśmy, zmierzywszy to bezdno niedoli moralnej i fizycznej, ten stopień oświaty jaki jedynie dla mass całych dostępnym już został, może dziwić się przestaniemy temu nawet co w wielu z tych usiłowań było niewczesném i zgubném, a przyznamy, że nie mogło być inaczej.

Porównywając zaś z sobą zastępy wygnańców z czasów konfederacji barskiej i późniejszych, nawet z 1831 roku, z przybyłymi w ostatnich latach, niepodobna w nich nie uznać różnicy: nie indywidua między ni-

mi były lepsze albo silniejsze, bynajmniej, ale duch był inny, w miarę tego jak w ucisku rósł i dojrzewał w samym kraju. Różnice stanów zacierały się zupełnie, tradycjonalne nałogi nikły, wywiązywała się coraz silniejsza solidarność; miejsce awanturniczych nieraz i rozpaczą natchnionych projektów, zastępował poważniejszy pogląd na położenie i obowiązki; każdy coraz bardziej przestawał być tylko sobą, a czuł się członkiem całej cierpiącej społeczności; wyrabiała się wspólna opinja, narodowe obowiązki i dobro ogółu wygnańców mająca przedewszystkiém na celu, a jej poświęcano interesa i potrzeby indywidualne; coraz rzadsze były przykłady tych, którzy się na wygnaniu żenili, w końcu, i sama ucieczka potępianą była, jako mogąca przynieść szkodę wszystkim. Usilniej i powszechniej starano się też szczepić dobre ziarno w samej społeczności rossyjskiej, nieść tam ulgę cierpiącym. Turno, za największą w życiu uważał pociechę, że po wielu latach żołnierskiej służby zostawszy oficerem i w końcu adjutantem przy naczelniku wewnętrznej straży, po kilkanaście tysięcy pałek co rok żołnierzom oszczędzał. Sierakowski w Orenburgu powziął myśl podniesienia moralnie żołnierza, oswobadzając go od cieleśnej kary i pracy nad tém kilka lat życia wyłącznie poświęcił.

Spójrzawszy znowu na to, co wygnańcy nasi przez długoletnie cierpienie dla siebie samych i dla imienia polskiego w ogólności wyrobili wśród społeczności rossyjskiej, o ile tam sumienie rozbudzić byli zdołali, i widząc jak dzisiaj na drogach wygnania, dziesiątki zastąpiły tysiące, jak całe niemal pokolenie narodu poszło tam gdzie pracowali i cierpieli pojedyńczy jego wysłańcy, niepodobna oprzeć się myśli, że sprawiedliwość Boża to niewysłowione cierpienie dla ostatecznego oczyszczenia nas i rozbudzenia w końcu drzémiących tam jeszcze miljonów zesłała.

Jakkolwiek bądź, o tych co w przeciągu lat kilkudziesięciu szli tam cierpieć i tęsknić, a tęsknotą i cierpieniem zmywać grzechy narodowe i dokupywać się lepszej dla prawnuków przyszłości, jakie bądź były ich zasługi a nawet i życie, to zawsze z rozrzewnieniem powiedzieć możemy, że cierpieli za Polskę, i wolno nam spodziewać się, że ich cierpienia na szali sprawiedliwości Bożej zaważą. Z tych wszystkich tysięcy, zaledwo kilka imion zapisało się w pamięci narodu; o większej bez porównania liczbie tam zmarłych, własne nawet nie wiedzą rodziny; ale można i o nich powiedzieć to samo, co o szczytniejszych, większych, bo prawdziwie już świętych wyznawcach Bożej myśli powiada cudowny napis rzymski nad kośćmi nieznanych męczenników chrześcijańskich, że imiona ich wiadome Przedwiecznemu.

Br. Zaleski.

AKTA MĘCZEŃSKIE UNJI.

Sub altare Dei audivi voces occisorum dicentium: Quare non defendis sanguinem nostrum? Et acceperunt divinum responsum: Adhuc sustinete modicum tempus, donec impleatur numerus fratrum vestrorum.

Apocal. VI. 9. 11 (*Pont. Rom.*)

W oczach prawie naszych, a za istniejącego dziś jeszcze pokolenia, dopełniony został na ziemiach polskich wcielonych do Rossji fakt doniosłości ogromnej. Przez zniesienie Unji, zmieniono religijne wyznanie kilku miljonów ludzi, zadano gwałt sumieniom większej części rolniczej ludności naszej na Litwie i Białorusi, a los podobny grozi dzisiaj Dyecezji chełmskiej, kto wié w jak dalekiej przyszłości przygotowywanym jest dla wschodniej Galicji. W walce jaką od trzech wieków idea moskiewska toczy u nas z cywilizacją zachodnią, tradycjami i narodowością naszą, był to jeden z najdotkliwszych ciosów jakie nam zadał nieprzyjaciel; ze wszystkich prześladowań jakim ulegał naród od wieku, było to jedno z najcięższych, najbardziej ohydnych, bo działo się w dziedzinie dusz ludzkich, tyczyło się tego, co w życiu człowieka największą ma wagę, co pozostać musi dla niego najświętszém.

Zbrodnia ta jednak, choć na tak olbrzymią dopełniona skalę, uszła prawie uwagi ogólnej. Rząd okrył ją przed światem obłudą i tajemniczością jaka zazwyczaj kroki jego osłania; ukaz 1839 roku ogłosił, że całe duchowieństwo katolickie unickiego obrządku *dobrowolnie* przeszło na schyzmę; Stolica Święta podniosła głos skargi, ale ziemię męczeńską zaległa cisza, popi spokojnie rozsiedli się na miejscu dawnego duchowieństwa, świątynie unickie przemieniono w schyzmatyckie cerkwie, ściany odległych monastérów pochłonęły jęki prześladowanych, trawa porosła na świéżych mogiłach męczenników; my nawet sami mało

o nich wiemy, i zaledwo zaczynamy przezierać ogrom poniesionej przez naród klęski, dzisiaj, kiedy los, jaki spotkał Unją, drugiemu już obrządkowi Kościoła w prowincjach naszych zagraża.

Ze sprawą tą jednak łączy się wszystko co duszę prawdziwie polską najgoręcej zajmowaćby powinno. Nieprzyjaciel użył tu wszystkich środków swoich i najlepiej poznanym być może; sami zaś w jego zwycięztwie znajdziemy owoc ciężkich grzechów naszych, ale obok tego jawne i zdumiewające świadectwo łaski Bożej : a więc, obok kary, przestrogę i otuchę na przyszłość. Jeżeli powodzenie Moskwy na tém polu straszniejsze niż na każdém inném, świadczy o tajemniczej sile która jej daje zwycięztwo, jeśli już dla tego samego, powodzenie to powinno obudzić całą baczność nas, którzyśmy do dalszej walki powołani, to baczność ta tém potrzebniejszą nam się tu wydaje, żeśmy w sprawie Unji sami ciężko zawinili i mimowolnymi Moskwy stali się pomocnikami. Od kilku wieków zaszczepiona w przodkującej narodowi klassie pogarda dla niższych jego warstw, nie wykluczała nawet i ich wiary. Zbyt długo, na nieszczęście, obojętném okiem patrzaliśmy na los uciśnionej rolniczej ludności, a obojętność ta, zwłaszcza też na Rusi, zarówno jej ciała jak duszy tyczyła. Kiedy w ostatnich czasach dawnej Rzeczypospolitej, jeden z senatorów poważnego imienia, spostrzegł, że syn jego dorastający zaczął się zaniedbywać w obowiązkach religijnych, rzekł mu : «Masz przecie na, tyle zastanowienia, abyś zrozumiał, że żaden człowiek nie może obejść się bez wiary; musisz jakąś wyznawać. Otóż trzy są tylko wiary na świecie : łacińska dla szlachty, luterska dla mieszczan, grecka dla chłopów. Jeśli nie chcesz szlacheckiej, to przyjmijże chłopską lub mieszczańską!» —Kościół grecki był w oczach jego dobrym tylko dla chłopów; a czy ten Kościół był katolicki czy też schyzmatycki, to już go mniej obchodziło. Co powiedział ów senator, to czuła mniej więcej cała wykształceńsza część narodu. Właściciel ziemski, w ostatniej zwłaszcza epoce, przestał czuć się wobec Boga i Ojczyzny odpowiedzialnym za dusze włościan, nad którymi jednak pełność praw posiadał; między nim i kapłanem unitą, nie było zazwyczaj żadnego moralnego węzła. W hjerarchji społecznej był kapłan unicki o tyle niższym od łacińskiego proboszcza, o ile wieśniak od szlachcica; doświadczał wprawdzie często od niego pomocy, opieki, ale jako niższy i upośledzony; w najlepszym razie był tylko klientem, istotą dość pogardzaną, potrzebną tylko dla chłopów. Wtenczas nawet, kiedy nieszczęścia rozbudziły dawną dzielność szlachty, i kiedy żyła myślą o niepodległości, za nią znosiła sama więzienia, wygnania i prześladowanie wszelkiego rodzaju, kiedy istotnie dla Ojczyzny nie szczędziła ofiar, nie pojmowała jeszcze znaczenia tej drugiej walki którą rząd w kraju z Kościołem toczył; nie przyszła unickiemu duchowieństwu i powierzonemu sobie ludowi z moralną nawet pomocą, zo-

stawiła ich własnym jedynie siłom, a gdy nadeszły ostateczne próby, przez grzeszną obojętność, a nieraz nawet przez grzeszniejszą jeszcze troskliwość o zachowanie wygodnego żywota, umyła sobie ręce jak Piłat, i dała nieszczęsnego krzyżować.

Opuszczony przez naturalnych, według tradycji narodowej i pisanego nawet prawa opiekunów, lud, po stracie duchownych swoich, którzy zostali wywiezieni, albo co gorsza, przyjąwszy sami schyzmę, służyli mu tylko za ciągły przykład i pokusę do apostazji, szukał jeszcze podpory w duchowieństwie łacińskiego obrządku, ale i tam pomocy szczerej nie znalazł. Zatrwożone pogróżkami rządu, oddzieliło ono sprawę swoją od sprawy Unji, jak gdyby oba obrządki nie stanowiły jednego Kościoła. Naznaczeni przez rząd administratorowie dyecezji łacińskich (bo Biskupstwa najczęściej wakowały) nakazywali ścisłe pilnowanie się przepisów rządowych, zabraniających udzielania sakramentów tym, których rząd prawosławnymi nazwał. W obec prześladowania, i słudzy ołtarza uznali ostrożność za najpotrzebniejszą cnotę; cała pomoc ograniczyła się do pojedyńczo oddawanych usług przez gorliwych kapłanów; ogół duchowieństwa usunął się od nich, nie mając dość żarliwości, aby dla dopełnienia obowiązku narazić się na prześladowanie. Byli też Biskupi łacińscy którzy gromili księży swych, że z «*cudzej owczarni*» ważą się owce zabierać! Duchowieństwo, jak szlachta, chowało się «dla swoich» nie bacząc że przyjdzie czas, kiedy swoich upilnować nie będzie można. Tak wszystko co przodkowało narodowi, w chwili najcięższego ucisku, odstąpiło prześladowanych i gwałt się dokonał.

Wszakże, pomimo całego zaniedbania z naszej strony, zniesienie Unji nie dopełniło się tak łatwo jak się na pozór zdawało i jak Moskwa starała się wmówić światu. Wszędzie, na wszystkich szczeblach społecznych, znaleźli się wyznawcy, a nawet i męczennicy. Sędziwy Metropolita Bułhak mimo wszystkich pokus i tortur moralnych dotrwał do końca, i póki żył, zamach do skutku doprowadzonym być nie mógł; z 2006 proboszczów unickich i 342 Bazyljanów których statystyka urzędowa liczyła w 1834 r. na Litwie i Białorusi, 1305 podpisało się tylko na akcie schyzmy; 106 proboszczów unickich wysłano na Sybir albo do odległych monastérów w głębi Rossji na sługi popów, a co się stało z resztą, to jest z dziewięciuset kapłanami, którzy Kościołowi wiernymi pozostali, to Bogu tylko wiadomo!... Dodać zaś jeszcze i to musimy, że swiecki kler unicki trudniejszą daleko miał walkę niżby nią ona była dla duchowieństwa łacińskiego. Paroch unicki zazwyczaj obarczony rodziną, od razu w chwili prześladowania znajdował się w tém prawdziwie tragiczném położeniu, w którém uczucia męża a szczególniej ojca walczyły z obowiązkami kapłana, a z którego, aby wyjść zwycięzko, trzeba posiadać już stopień bohatérstwa, albo co jeszcze trudniejsze,

świętości, nie dla wszystkich dostępny. Tém większą więc cześć winni jesteśmy tym, którzy wytrwali.

Lud sam wydał z pomiędzy siebie zastęp prawdziwych męczenników; między nimi były tak wzniosłe i świętobliwe postacie, że może kiedyś staną na ołtarzach. W wybranych tych istotach złożył on świadectwo swego duchownego życia; cześć ogólna narodu, wyższych zarówno jak niższych klass, powinna już dzisiaj otoczyć pamięć tych męczenników, którzy nikomu nie znani, niczém niezasilani i niekrzepieni z zewnątrz, w wierze i w sakramentach czerpali moc zadziwiającą i dla Boga jedynie ponosili okropne katusze. Jakże o całe niebo przewyższają ich czyny tak drogą narodowi i tak powszechnie uznaną zasługę męczenników politycznych!

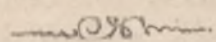
Podczas dzisiejszej pokuty naszej, budząc się z grzesznej obojętności dla rzeczy wiekuistych a tak bardzo z ziemskiemi związanych sprawami, i korne chyląc czoło przed świętością tych prostaczków, z otuchą na przyszłość rozpatrywać się możemy w tém nowoczesném martyrologjum naszém. Lud długo zapomniany, krzywdzony, dostarczył ojczyźnie bohatérów na polach walki ziemskiej, pod Racławicami i później w 1831 i 1863 r.; miał dalej swoich coraz liczniejszych reprezentantów w szeregach więźniów i politycznych wygnańców naszych, nie dał się więc klassom uprzywilejowanym i tutaj prześcignąć. Ale na najwyższém polu, bo w dziedzinie prawd wiekuistych, zajaśniał prawdziwie nieporównanym blaskiem, stanął na przodzie narodu. Drzewo które owoc rodzi (mówi Pismo) żyć będzie; naród który wydaje świętych i męczenników ma długie wieki przed sobą!...

W piérwszych czasach chrześcijaństwa, wierni zbierali skrzętnie wiadomości o tych, którzy krwią swoją o wierze świadczyli, a powstałe tym sposobem *akta* przez wieki służyły i służyć będą za pokarm moralny dla całych narodów. Obowiązkiem dzisiaj jest naszym, zbierać i przechować podobnież wszystko co się odnosi do ostatnich męczenników naszych, cierpiących za Kościół. Wiadomości te rozproszone są po wioskach które były świadkami dokonanych gwałtów, ale przy dobrej woli i trochę skrzętności, dziś jeszcze, póki żyją świadkowie, wiele by się szczegółów zgromadzić udało. Zebrane w ten sposób cegiełki posłużą może ku wzniesieniu najświetniejszego pomnika, jaki z tych czasów pogrobowej Polski dla czci u potomnych zostanie.

Wiadomości Polskie wydawane w Paryżu (1857-1861 r.) opowiedziały straszną, przed ośmioma laty odbytą, missję schyzmatycką w Dziernowicach. Dzisiaj dajemy czytelnikom naszym kilka podobnych opisów, wziętych z opowiadań naocznych i wiarogodnych świadków. Nie dołożyliśmy do nich nic własnego, nie potrzebowały żadnej okrasy; staraliśmy się przeciwnie zachować całą pierwotną ich prostotę. Nic nad nie wymowniejszego, a zarazem bardziej na przyszłość pocieszającego.—Ko-

ścioł tryumfujący i Kościoł walczący są właściwie jednym Kościołem. Im więcej w tamtym obrońców jakiej sprawie przybywa, tém więcej w tym ma ona przed sobą przyszłości. Męczeństwo ś. Józefata i kilku Bazyljanów którzy w tym samym czasie zostali zabici, dało po raz piérwszy rzeczywistą trwałość Unji. W trzydzieści lat poźniej, śmierć kilkuset zakonników zamordowanych w czasie wojen Chmielnickiego, zapewniła jej na wiek cały panowanie. Próby te były tak straszne, że w obu razach wszyscy prawie o Unji zwątpili; lecz w obu razach moc ofiary u Boga przemogła. Dziś, gdy tyle nowych przed tron Najwyższego przybyło jej obrońców, miałażby Unja, bądź co bądź, nie być pewną zwycięztwa?

« *Pod ołtarzem Bożym słyszałem głosy ofiar wołające : Czemu nie bronisz krwi naszej? I odebrały Bożą odpowiedź : Czekajcie czas niejaki aż się wypełni liczba braci waszych.* »



I

ŁYSKOW.

Łysków jest małém miasteczkiem wołkowyskiego powiatu, dzisiejszej gubernji grodzieńskiej. Na cmentarzu mieściny, w cieniu drzew kilku, pochowany Franciszek Karpiński, i dzisiaj jeszcze widzieć tam można, napis na grobie poety : « otóż mój dom ubogi. » Cichy ten zakątek od dwóch przeszło wieków posiadał zgromadzenie O. O. Bazyljanów. Mieli tam zakonnicy klasztor murowany, z dwudziestu mieszkalnemi celami; przy nich cerkiew drewnianą, ale materjał na wzniesienie nowej, murowanej, już był przygotowany. Gospodarstwo było w dobrym stanie : dwie sadzawki dostarczały ryb rozmaitego rodzaju, ogrody owocowe, pasieki, trochę opodal folwark dobrze zabudowany, przy nim tak zwana jurysdyka z piętnastu dymów złożona, opatrywały potrzeby zgromadzenia. Należała jeszcze do klasztoru wieś ze 30 chat licząca. Życie było patriarchalne. Klasztor jak wszystkie prawie w tych czasach, nie odznaczał się surowém, umartwień pełném życiem, ale panowała w nim szczera pobożność i było życie przykładne. Ojcowie kochani byli w miasteczku i okolicy; w przeciągu dwóch przeszło wieków, nie pamiętano żadnego w cichym ich domu zgorszenia. Żyli w najlepszych stosunkach z O. O. Missjonarzami, których klasztor stał bliziutko. Podczas wielkich uroczystości, nabożeństwa odbywały się wspólnie : Missjonarze pomagali Bazyljanom , Bazyljanie Missjonarzom; wiele sierot karmionych i odziewanych w unickim klasztorze, chodziło do szkoły utrzymywanej przez Missjonarzy; na egzamenach i w czasie szkolnych popisów musieli zawsze być obecni Bazyljanie. Kiedy ich prowincjał zjechał do klasztoru, całe zgromadzenie Missjonarzy przychodziło go powitać : wzajemnie, za przyjazdem wizytatora Missjonarzy, Bazyljanie śpieszyli z atencją.

Około 1838 roku, zgromadzenie Bazyljanów łyskowskich zmniejszające się razem z innemi od chwili zamknięcia przez rząd nowicjatów, i składające się już od dawna z 16 tylko, a poźniej z 12 nawet zakonników, liczyło ich zaledwo kilku. Superjor ksiądz Augustyn Siedlecki był człowiekiem średniego wieku, pozostali, jakoto : wikary, ksiądz Samuel Czarnorudzki, Bocewicz, Rzecki, i jeszcze trzech innych, byli to już starcy. Sposób życia był zawsze jednostajny. Co roku, w Wiel-

ką Sobotę; superjor z wikarym i księdzem Rzeckim obchodził domy, święcąc przygotowane piérogi; ale zacnym zakonnikom towarzyszyła jeszcze ładowna bryka z kucharzem klasztornym Jakóbem; gdzie znaleźli pustki na stole i w spiżarni, tam Jakób wnosił przygotowane święcone; cały war piwa był zawsze wtenczas przeznaczony dla biédnych; drugi, w dzień Ś. Bazylego; jałmużny dla wdów i sierot były obfite, nabożeństwo odprawiane zawsze przykładnie, a co niedziela z wielką uroczystością, przy sławnych w okolicy organach; po nabożeństwie i kazaniu niedzielném, wykład katechizmu dla dzieci. Te szczególnie miłował O. Bocewicz; dla pilniejszych w nagrodę miał zawsze medaliki, krzyżyki, obrazki; od dziatwy też w całej mieścinie nieźmiernie był kochany. Po lewej stronie bramy klasztornej leżał dość duży płaski kamień, tam umyślnie dla przychodzących żebraków położony. Staruszek zwyczajnie na nim zasiadał, odmawiając pacierze, i tam go też zawsze otaczała dziatwa, czekając spokojnie aż modlitwy skończy, bo wiedziała że tych przerywać nie wolno. Starzec żegnał ją swoim krzyżykiem, rozstawiał dziewczątka po jednej a chłopaków po drugiej stronie, znał wszystkie dzieci po imieniu, rozpytywał, a potém katechizm wykładał albo opowiadał historję świętą; kończył, odmówieniem jeszcze razem modlitwy, po czém słuchacze dostawali zazwyczaj: piernik, gruszkę, albo choć chleba kawałek. Nieraz superjor z drugiego piętra mięszał się do rozmowy i gościńca od siebie pojętniejszym przysyłał. Doktor klasztorny, który po kilkunastu leciech habit braciszka był włożył, leczył wszystkich bez różnicy stanów i wyznania, a lekarstwa ile razy było potrzeba, zapisywał w aptece na koszt Bazyljanów; dla pobożności też swojej, dla miłości ludzi i oddawanych usług, kochani byli zakonnicy przez całą ludność, a nie dawali się w tém uczuciu wyprzedzić nawet izraelici.

Ale burza niszcząca unickie wtenczas na Litwie kościoły miała i tego ustronia dosięgnąć. Nie łudzili się zakonnicy i gotowali się do stanowczej chwili. Superjor nie jedno już od nowego Metropolity Siemaszki odebrał wezwanie, aby się do ówczesnych rozporządzeń zwierzchności, jak się wyrażano, zastosował, i naprzód zmiany w obrządkach zaprowadził, a potém prawosławje przyjął. Ksiądz Siedlecki na wezwania nie odpowiadał, obrządków kościelnych ściśle przestrzegał, a cierpieć z bracią swoją zakonną był gotów.

W Żyrowicach, miejscu słynném od dawna cudami, w klasztorze niegdyś przez Ś. Józefata rządzonym, zebrali się, dawniej przełożeni, dziś najzaciętsi wrogowie duchowieństwa obrządku unickiego: Metropolita Józef Siemaszko, Biskupi Żubko i Żarski, oficjał Antoni Tupalski, rektor tamecznego seminarjum Homolicki, i prezes konsystorza, dzisiejszy Archirej miński, Michał Hołubowicz. Doszła do zakonników łyskowskich wiadomość, iż Bazyljanie żyrowiccy przez nich za wier-

ność w wierze rozpędzeni zostali; superjor ich, ośmdziesięcioletni starzec, ksiądz Józefat Słobodzki wywieziony do Zahorowa, ; wiedzieli, że z Żyrowic miano się udać do innych klasztorów, i że dni ich zgromadzenia były policzone. Chcieli, jak na kapłanów i pasterzy przystało, i sami się w duchu ukrzepić i raz jeszcze do powierzonej sobie owczarni przemówić. Nie tajne było parafji całej i okolicy, grożące zakonnikom niebeśpieczeństwo. W pierwszą zaraz niedzielę zgromadziły się tłumy wiernych obu obrządków do łyskowskiej cerkwi. Nabożeństwo było o ile można najuroczystsze; O. O. Missjonarze brali w niém udział, Superjor celebrował. Zakonnicy publicznie, jeden u drugiego odbyli spowiedź. Ksiądz Czarnorudzki wstąpił na kazalnicę; wykładał wiernym różnicę Unji od kościoła wschodniego, zapowiedział zbliżającą się godzinę próby, zaklinał aby wytrwali w wierze Kościołowi ,a kiedy skończył słowami : «lepiej jest śmierć ponieść niż przyjąć fałszywą wiarę która w tych dniach ma być wam narzuconą, i my kapłani, których jako pasterzy łączyła z wami miłość Jezusa, umierajmy lepiej, abyśmy przez zmianę wiary nie rozłączyli się w niebie» zemdlał, i tak do zakrystji odniesionym został. Ksiądz Siedlecki jako celebrujący, powstawszy wtenczas z krzesła, wzruszony, głośno wykonał przysięgę, iż raczej umrze, a wiary prawdziwej nie odstąpi; prosił Boga aby jego i braci i parafjan wśpierał, a skończył błagając obecnych o przebaczenie za winy, jakich się oni i klasztor ich, w czasie pobytu w Łyskowie dopuścić mogli. Było to jakby ogólne gotowanie się na śmierć. Płacz całego ludu zebranego na nabożeństwo rozległ się w cerkwi; a był tak głośny, iż na jęk ten, kilku starozakonnych najprzyjaźniejszych Bazyljanom, wpadło do świątyni. Rozczulony superjor zaledwo mógł nabożeństwa dokończyć. Zakonnicy przyjąwszy z rąk jego Przenajświętszy Sakrament, padli krzyżem na podłogę; Missjonarze wielu obecnym rozdali komunję według obu obrządków; zaśpiewano chórem « pod Twoją obronę» ; Bazyljanie ucałowali stopnie ołtarza, i przeprowadzeni przez O. O. Missjonarzy i mnóstwo przytomnych, wyszli z cerkwi do klasztoru.

Tam dowiedziano się, że Siemaszko z całym pocztem swoim był już w Rożannie, o mil trzy od Łyskowa, że superjor tamecznego klasztoru ksiądz Marcinowski z zakonnikiem Lisowskim dali zły przykład, przyjmując sami schyzmę, a że pozostałych uwięziono, i mają być gdzieś wysłani.

Ksiądz Bocewicz przed wieczorem wyszedł po raz ostatni za bramę, i stanąwszy na ulubionym kamieniu, odezwał się do zgromadzonych: że, nie nauczać już ich przyszedł, ale zaklinać tylko aby w wierności temu Kościołowi który ich wychował wytrwali, i w pokusach nie upadli. «Dziatki miłe! dodał, ciężko mnie z wami rozstawać się, ale za kilka dni stanę przed Bogiem, abym zaświadczył o waszej stałości w wierze.

Ostatnią naukę dam wam : gdy będziecie prześladowani, ufajcie Bogu, nie dopuści On abyście wiecznie cierpieć mieli; wierzcie, że nie przeminie ten wiek XIX, a chmura ucisku i prześladowania zajdzie na zawsze jak to zachodzące słońce : przemocą szerząca się herezja upadnie, a wiara katolicka zakwitnie wszędzie. Pytam was raz jeszcze, czy chcecie krew przelać za wiarę?» Wśród ogólnego płaczu odpowiedziano mu : «Umrzemy za wiarę, duszy naszej nie potępim!» Żegnał swym krzyżem, ostatnie obrazki i medaliki dziatwie i przytomnym rozdał, prosił aby jak umrze, za dni kilka, ten kamień na którym siedząc dzieci uczył, położono na jego grobie, i ledwo idąc ze wzruszenia, do klasztoru powrócił.

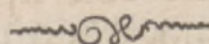
Ludność cała wzruszoną była do głębi. Doniesiono superjorowi, że postanowiono w miasteczku zebrać się na dziedzińcu klasztornym i prosić Siemaszkę jak przyjedzie, aby Bazyljanów zostawił; gdyby prośby nie miały skutku, chciano hurmem rzucić się na przybyłych i Siemaszkę z Tupalskim w bramie klasztornej powiesić ; mieli do tego należeć i żydzi. Zatrwożony ksiądz Siedlecki obchodził miasteczko, zaklinając wszystkich aby się zachowali spokojnie. «My poginiemy, powtarzał, ale wy nie gińcie ; co innego cierpieć i umierać za wiarę, a co innego za bunt i grzech» Zaledwo wzburzenie serc uciszył. Tak przeszedł poniedziałek.

We wtorek przed południem zjechali się apostaci : Biskupi, z członkami konsystorza i nieodstępnym Tupalskim ; spotkani na ganku przez Bazyljanów, wszystkich ich do mieszkania superjora wezwali. Tam Siemaszko groźnie zażądał tłumaczenia się od księdza Siedleckiego z dotychczasowego postępowania, że rewersów o przyjeciu prawosławja nie nadesłał, a nawet na pisma jego nie odpowiadał. Superjor ze stałością i mocą odpowiedział, iż on i jego zakonnicy wiary nie zmienią i że się dziwi iż Jllustrissimus myśli, że oni do herezji przystaną. — « Milcz łajdaku! » była odpowiedź Siemaszki, « znajdę dla ciebie miejsce. »— « Byle nie w piekle » odrzekł spokojnie superjor. — Po kolei namawiano wszystkich ; gdy przyszło do księdza Bocewicza, ten już w duchu stojący przed Bogiem, nie ograniczył się odrzuceniem propozycji ; gorąco wyrzucał zgromadzonym ich apostazję, nazwał ich Judaszami, zapowiadał że cienie umęczonych i sama pamięć zbrodni nie zostawi im spokoju ; skończył uroczystém zapewnieniem, że schyzmy nie przyjmie. « Ciała nasze dodał, w mocy waszej, ale złość wasza nie dotknie się duszy. »

Poodbierano zakonnikom klucze od ich komór, i wszystkich w pustych celach zamknięto, aby jeszcze nad słowami Biskupów rozmyślali. Goście rozlokowali się w klasztorze. Nazajutrz, Siemaszko z Tupalskim odwiedzał więźniów namawiając ich znowu aby oporu zaniechali, przyrzekając swą łaskę jeżeli będą posłuszni zwierzchności. Gdy

odpowiedź była zawsze taż sama, pozdejmowano wszystkim bóty i popędzono do chlewów, każąc nawóz stamtąd wywozić. Ranki były mroźne, starcy boso, przy najlichszej strawie jaką im umyślnie dawano, przez cały tydzień tak pracowali, w sukniach swoich zakonnych. Nie złamało to ich stałości. Siemaszko wtenczas superjora do wynoszenia śmieci klasztornych używał, a księdza Bocewicza któremu wyrzutów jego zapomnieć nie mógł, zamknął osobno w ciasnym kątku na górze. W złém powietrzu męczył się starzec, ale rozmodlona dusza już w wieczności zdawała się przebywać; przychodzący ukradkiem pod jego drzwi nie szczélnie się zamykające, widzieli ciągle modlącego się; prosił o spowiednika. Siemaszko nie pozwalał, sam chcąc go wyspowiadać. «Unjatów schyzmatyk spowiadać nie może, odpowiedział ksiądz Bocewicz, Bogu się wyspowiadam.» Potrafił jednak mimo zakazu oddać mu tę posługę ksiądz Czarnorudzki. Przenajświętszy Sakrament ukradkiem z missjonarskiego przyniesiono kościoła. Po przyjęciu go, starzec konać zaczął.

Gdy wiadomość o śmierci ks. Bocewicza rozeszła się po miasteczku, żal i smutek był ogólny. Siemaszko w cerkwi dzwonić nie pozwolił; w kościele Missjonarzy uderzono w dzwony, lud cały zebrał się; kto miał gromnicę, przyniósł ją na pogrzeb; gromada żydów towarzyszyła mu z łojówkami. Bosego i na pół nagiego jak był, złożono świętobliwego starca do trumny i pochowano przy kaplicy ś. Mikołaja. Missjonarze nazajutrz odprawili żałobne za duszę umęczonego nabożeństwo, co Siemaszkę bardzo gniewało; a na drugi dzień potém, wywieziono Bazyljanów z Łyskowa. Superjor i ks. Rzecki posłani zostali do Zahorowa, inni do Żyrowic, Bytenia i Torokan, gdzie stałość ich na nowe próby wystawioną być miała. Klasztorem cichych zakonników i ich folwarkiem zawładnął Siemaszko; przy cerkwi dla posługi parafjan umieszczeni już schyzmatycy: ks. Iwacewicz z Porozowa i świéżo nawrócony w Rożannej, Lisowski. Nie jeden z księży unickich za nieprzyjęcie schyzmy obrócony na diaka, potém do Łyskowa za karę posyłany został. Wywiezionych ojców, a przedewszystkiém męczennika O. Bocewicza, lud dotąd z miłością wspomina.



II.

KS. BARANOWSKI.

Sceny podobne do opisanych w Łyskowie, powtarzały się w większej części pobazyljańskich monastérów, zamienionych teraz na schyzmaty-

ckie. Rozsyłano tam księży wzbraniających się zmienić wiarę, a ścisłe instrukcje, nakazywały Ihumenom używać wszelkich środków dla złamania oporu. Zaprzęgano ich zazwyczaj do ciężkich robót, używano do najniższych w monastérach posług, trzymano w nieopalanych izbach, w sklepach, odmawiano często pokarmu, silono się na wymyślenie udręczeń fizycznych i moralnych. Obrządki, suknie duchowne unickie, ludzie sami, szli w poniewierkę; każden w monastérze miał prawie za obowiązek znęcać się nad nimi. Świéżo na schyzmę obróceni Ihumeni, zazwyczaj w gorących napojach i nierządném życiu szukali zagłuszenia wyrzutów sumienia, co często było powodem, że jeszcze dane sobie instrukcje w srogości przekraczali; témbardziej, że właściwa i naturalna u wszystkich odstępców niechęć do dawnych współwyznawców którzy się złamać nie dali, jeszcze nowego w prześladowaniu dodawała bodźca. Bardzo często przychodziło do razów, nieraz do prawdziwego katowania.

Odznaczał się między prześladowcami ks. Michniewicz, Ihumen pobazyljańskiego monastéru w Torokanach, w powiecie prużańskim, gubernji grodzieńskiej. Byli tam jednocześnie przysłani dla odpokutowania wierności Kościołowi : ksiądz Jan Sobotkowski dziekan wołkowyski, ks. Grzegorz Hołyniec, paroch w Smolanach, w powiecie kopyskim gubernji mohylewskiej, księża: Józef Zabiełło, Beregowicz, Baranowski, a z Bazyljanów: OO. Czerniecki, Abramowicz i kilku innych. Trzymano ich w chlewie, używano do robót, męczono głodem i pragnieniem. Michniewicz często pijany sam wpadał i bijąc po twarzach znęcał się nad nieszczęśliwymi. Ksiądz Baranowski, pobożny i światły kapłan, znalazł sposób napisania prośby do Cesarza, wyłuszczającej wszystkie męki i nadużycia. Przysłano adjutanta jenerał-gubernatora, niby na sprawdzenie skargi. Ten, w obecności więźniów, powiedział Michniewiczowi aby wszelkich użył środków dla zmuszenia upornych do przyjęcia prawosławja. — « Daję wam na to, dodał, sześć miesięcy czasu; jeżeli nie dacie się przekonać, sam przyjadę dla zrobienia porządku i rózeg nie pożałuję; taka jest wola cesarska; zniósł Cesarz Unją, i was zniesie jeżeli prawosławja nie przyjmiecie. » — Po takiém oświadczeniu, rozpoczęło się sroższe prześladowanie. Ks. Baranowski stał się piérwszą jego ofiarą. Po ciężkiej chłoście, wtrącony przez Michniewicza do lochu, i tam o głodzie i pragnieniu przez dni kilka trzymany, gdy na zapytanie czy przyjmie schyzmę, odpowiedział stanowczo, że nie, bo duszy swojej zgubić nie chce, nowym uległ katuszom; w przytomności współtowarzyszy, dla postrachu ich wszystkich, bity nielitościwie kijami, gdy w bolach powtarzał : « Odpuść im Panie, bo nie wiedzą co czynią » przez rozgniewanego Michniewicza uderzony w twarz, zęby przednie stracił, a omdlały, wrzuconym został do sklepu, za drzwi żelazne, i zamknięty na klucz, przy pogróżkach, że toż samo wszystkich opie-

rających się spotka. Odprowadzono ich do świnińca zapowiadając że głodem morzeni będą. W nocy, jeden z nich podkradł się pod więzienie Baranowskiego, usłyszał od modlącego się prośbę o spowiednika. Dziekan Sobotkowski przyszedł, i przez otwór od klucza spowiedzi wysłuchał; więźniowie z chlewu poszli do Braczewickiego katolickiego kościoła po Przenajświętszy Sakrament, i ten między dwóma łuczywami przez tenże otwór cierpiącemu podali. Po przyjęciu go, powiedział : « Słodko jest bracia umierać za wiarę ; dziękuję wam za tę pomoc; bolą rany, ale boleśniej byłoby dla mnie umierać bez Sakramentów; prosił, aby go pochowali, jeżeli to od nich zależeć będzie : « zresztą, » dodał, « co chcą z ciałem niech robią, bylebym tę jedynaczkę duszę moją zbawił. » Nieco poźniej, zawołał silniejszym głosem : « daruję i przebaczam wszystkim; w ręce Twoje Boże oddaję duszę moją » — i więcej już go nie słyszano. Po trzech dniach otworzono drzwi i znaleziono przy samym progu zmarłego, ze złożonemi na piersiach rękami. Michniewicz ździwił się, ale jeszcze ciało nogami potrącał, powtarzając : « Oto jeden łotr zdechł; będzie tak i drugim; przysięgam, że pozasiekam wszystkich, jeśli nie przyjmą prawosławja; kolej teraz na Zabiełłę, a potém na Sobotkowskiego. Namyślcie się. »

Przybyły w tym dniu przypadkiem urzędnik policji, (asessor) zdał urzędowy raport, że ksiądz Baranowski umarł z pijaństwa; przyszedł z Michniewiczem z podskarbim monastéru do chlewu, wyrzucać więźniom że się takiemu oddają nałogowi; postawiono wartę aby nie dopuszczała przynoszenia wódki. Księża tę umyślną potwarz znosili w pokorze. Ks. Zabiełło zaświadczył tylko głośno, iż nieboszczyk wódki i żadnych gorących trunków nigdy nie używał, za co zaraz przez Michniewicza był zbity. Dziekan Sobotkowski prosił wtenczas o pozwolenie zrobienia trumny i pogrzebania zmarłego. Zgodził się Michniewicz, byle się to bez kosztu dla niego obeszło a assesor dodał łagodniej : « Możecie pogrześć sami — cóż macie próżnować. » Było to pociechą dla prześladowanych; przyniesione do zajmowanego przez nich chlewa ciało męczennika, obmyli, a sami dół wykopawszy, nazajutrz je z cichą a rzewną modlitwą pochowali. Dzwonić pomimo prośby nie pozwolono.—Życie nieszczęśliwych szło dalej tąż samą koleją, katować tylko po śmierci księdza Baranowskiego lękał się Michniewicz; dwóch jednak jeszcze z nędzy i przeziębienia umarło. Ks. Sobotkowski kilka razy do Żyrowic to do Bytenia był posyłany i znowu wracał pod władzę Michniewicza, aż zmęczywszy stałością swoją prześladowców, na porękę wypuszczonym został, i w wielkiej biédzie, pozbawiony praw kapłańskich, lat jeszcze kilka w wołkowyskim powiecie przemieszkał, żyjąc jałmużną, w Werejkach to Łyskowie; nareszte w 1856 roku w Święcicy Wielkiej umarł. Inni, do rozmaitych

monastérów posyłani także byli, bo i tym sposobem starano się udręczyć; niektórych z nich spotkamy jeszcze w Zahorowie.

III.

KS. MICEWICZ I JEGO TOWARZYSZE.

Był w Zahorowie od niejakiego już czasu Ks. Grzegorz Micewicz, także za wierność Kościołowi prześladowany. Ten, krótki opis wszystkich przejść swoich zostawił; nie dla czczej jak sam powiada pochwały, ale dla świadectwa, że i w teraźniejszym wieku Królestwo Boże gwałt cierpi, a gwałtownicy porywają je, i dla dodania otuchy tym, którzy dziś są prześladowani i w przyszłości jeszcze do cierpienia za wiarę powołani będą. Skreślimy tutaj w krótkości według słów jego, szereg prób jakie przechodził, bo te dadzą miarę obejścia się jakiemu cały niższy kler unicki wtenczas ulegał.

Ks. Grzegorz Micewicz, ukończywszy nauki w seminarjum żyrowickiém, po zdaniu egzamenu przed oficjałem Antonim Tupalskim, ks. surrogatem Antonim Szymańskim, i innymi członkami unickiego litewskiego konsystorza, wyświęconym został 29 Czerwca 1818 roku przez Biskupa Leona Jamorowskiego Suffragana supraślskiego, na kapłana, i przez trzy lata pełnił obowiązki wikarego przy cerkwi w Krynkach, w dekanacie i powiecie brzeskim, poczém naznaczony został parochem cerkwi Zmartwychwstania Pańskiego (woskreseńskiej jak ją nazywano) w Kamieńcu Litewskim, miasteczku tegoż powiatu, gdzie bez nagany pełnił swe obowiązki przez lat piętnaście. W 1834 roku w skutek rozkazu kollegjum unickiego, dziekani zwoływali parochów dla wyuczenia się nowych, stopniowo zaprowadzanych zmian w obrządkach kościelnych, i ks. Micewicz w tym celu do Mało-Jelniańskiej cerkwi wezwanym został. — Chodziło wtenczas o przemienienie ołtarzy i zaprowadzenie w cerkwiach tak zwanych ikonostasów, używanych w świątyniach greckiego wyznania. Ks. Micewicz zwrócił uwagę dziekana swego Krukowskiego na to, że te nieznaczące na pozór zmiany muszą być początkiem większych, które samej istoty wiary dotykać mogą. To go podało w podejrzenie duchownej zwierzchności, która nieznacznie plany rządowe przeprowadzać starała się i nie życzyła sobie aby zbyt wcześnie przeniknione były. Odtąd miano go ciągle na oku. Kiedy w rok poźniej, rozdawano duchownym unickim nowe greckie mszały mające odtąd zastąpić dotychczasowe unickie, ks. Micewicz razem z siedmiu innymi tegoż dekanatu wzbraniającymi się je przyjąć, wezwanym został do Żyrowic. Tam kazano im codzień

assystować nabożeństwu dla wyuczenia się wszystkich zmian zaprowadzonych, a po niejakim czasie od zebranych żądano rewersu, że się do tych zmian stosować i pilnie ich przestrzegać będą, a nowe mszały przyjmują. Nie był to jeszcze krok ostateczny; pozwalano wymieniać podczas nabożeństwa Ojca Świętego, aby kapłanów, a za ich pośrednictwem ludu, nie zatrważać i nie jątrzyć. Oficjał Tupalski miał długą przemowę, w której starał się dowieść, podobnie jak to przed kilkoma laty nieraz w Galicji słyszano i dziś jeszcze słyszeć się daje, że zmiany te zewnętrznych jedynie dotyczą obrządków, a zresztą są tylko powrotem do dawnych, po Soborze Florenckim w Kościele unickim używanych, które z czasem uległy skażeniu. Niewyraźnie, w rossyjskim języku odczytany rewers, księża podpisali, a między nimi i ks. Micewicz. Pozwolono im wtenczas rozjechać się do domów. Ale Ks. Micewicz przed odjazdem dostał odpis rewersu z polskiém tłumaczeniem, i przekonał się wtenczas, że im greckie mszały, przez synod petersburski zatwierdzone, przyjąć kazano; poznał błąd w który dał się wprowadzić, i odtąd nie miał spokoju. Wyjechawszy z Żyrowic, na piérwszym popasie w Kossowie o mil pięć, noc całą spać nie mógł, bijąc się z myślami i wyszukując sposobu jak wyrwać się z tych sideł. Nareszcie nad rankiem, nie mówiąc nic nikomu, zaprzęga konia i wraca do Żyrowic; stawi się przed Biskupem Zubką, i powiada, że imienia swego na rewersie zapomniał napisać; Biskup kazał sobie podać księgę, a przekonawszy się że tak było w istocie, oddał mu ją, mówiąc, aby wziął tamże pióro i imie dopisał. Ks. Micewicz dostawszy do rąk księgę, wydobył z kieszeni umyślnie na to przygotowaną watę, a umoczywszy ją w atramencie, podpis swój wytarł; zasypał piaskiem, pożegnał Biskupa, i uszczęśliwiony z pomysłu, nazad ruszył. Zaledwo mil cztéry odjechał, dopędzili go wysłańcy Biskupa, i już związanego stawili przed Pasterzem. « Co zrobiłeś łajdaku! krzyknął Biskup; jak śmiałeś podstępem księgę sznurową zamazać! » Micewicz w którego już duch wstąpił, odpowiedział śmiało : « Jak może Biskup nas oszu-
« kiwać i sumienie gwałcić kapłańskie; ? zalać atramentem podpis
« podstępem wymożony, nie jest to, co wiarę zmienić; wiara moja
« ważniejsza niż sznurowa księga; jeżeli Illustrissimus chce zostać
« schyzmatykiem, niech nim sobie będzie, ale dusz naszych nie
« gubcie. »

Odprowadzono go, i zamknięto w sklepie, pod cerkwią; myślił że już tam zginie, ale sam mówi że dziwny spokój i radość miał w sercu. Zakrystjanowi, dawnemu braciszkowi bazyljańskiemu, używanemu przy drukarni w Wilnie, kazano doglądać więźnia i dawać mu codzień po funcie chleba i pół garnca wody. Starzec tak ściśle spełniał przepisy, iż ks. Micewicz świadczy, że nigdy w życiu lepszej nie miał wygody, i jeszcze trzech mógłby na dostarczanym mu wikcie wykarmić.

Poczciwy zakrystjan przychodził często do swojego więźnia, uskarżać się na nową zwierzchność, płakać nad Bazyljanami i upadkiem Unji, nad rozpustą szerzącą się między tymi co dobrowolnie wprowadzane zmiany przyjęli. Raz przyniósł mu ogromny wór sucharów, a w osobnej paczce szynkę, séry, i. t. p. zapasy; zapytany od więźnia na co to robi, kiedy i tak ma więcej niż potrzebuje, powiedział: «Czuję się coraz słabszym, może śmierć prędko zawita, dobrze bracie kapłanie mieć zapas; patrz tylko żebyś w post nie jadł z mięsem; teraz nie expensuj, póki jeszcze pełzam, dostarczę; ale chowaj na potém, bo lada dzień może zlegnę, a ty tu długo posiedzisz.» — Umarł jednak staruszek już po wyjściu z więzienia ks. Micewicza, który jeszcze na jego pogrzebie Anioł Pański mógł zmówić.

Więzienie to w sklepie cerkiewnym trwało dla Ks. Micewicza całych sześć miesięcy; po upływie tego czasu, przez miesiąc jeszcze kazano mu uczyć się obrzędów schyzmatyckich, a potém znowu wezwano do sali biskupiej dla podpisania zawsze żądanego rewersu. Po długiém namawianiu ze strony Biskupa i członków konsystorza, między którymi odznaczali się Dziubiński i Tupalski, a po stanowczej Micewicza odmowie, kazano mu za dni kilka przyjść do konsystorza, dla wysłuchania wyroku. Tam, nowe namawiania ze strony oficjała Tupalskiego i Hołubowicza; przekładania, że to się dogmatów Kościoła nie tyczy, że ten ma prawo zmieniać obrzędy. Ks. Micewicz odpowiadał, że niech mu bullę papiezką pokażą nakazującą przyjąć te mszały, wtenczas je z ucałowaniem ręki przyjmie, inaczej nie może, boby według uchwały Trydenckiego Soboru uległ klątwie kościelnej. — «Co tu z Trydenckim Soborem wyjeżdżasz? zakrzyczano; kto tam był? pięciu Biskupów i to łacinnicy.» — «Dobrze że łacinnicy odparł Micewicz, bośmy z nimi jedno ciało; byle nie schyzmatycy, bo z tymi nic nie mamy wspólnego.» — Tu mu już więcej mówić nie dano: «Podpisuj, albo usłyszysz dekret.» — Skończyło się na przeczytaniu wyroku, odsądzającego Micewicza i jego kolegów od sprawowania obrzędów kapłańskich i od beneficji, i zamieniającego pięciu z nich na diaków, a uczeńszych na tak zwanych ponomarów, czyli niższe sługi kościelne. Micewicza prócz tego, i ks. Stefana Szołginiego, b. parocha miasteczka Mielczyc, osobnym jeszcze wyrokiem, osądzono na trzy tygodnie powtórnego więzienia o własnym koszcie, przyczém obowiązani byli znajdując się codzień na jutrzni, nabożeństwie południowém i nieszporach, odbijać po dziesięć pokłonów. Ks. Szołginiemu kazano przez ten czas uczyć się obrzędów kościelnych, a Micewiczowi teologji, z dzieł prawosławnego Arcybiskupa Innocentego. Piérwszy wyrok, na zatwierdzenie i dla oznaczenia miejsca do którego każdy z obwinionych miał być wytransportowany, posłano Siemaszce do Petersburga.

Po odbyciu tej nowej pokuty, pozwolono ks. Micewiczowi czekać nadejścia wyroku Siemaszki, w domu. Wracającego tam, czekała nowa boleść. Szczupłe gospodarstwo przez tak długą nieobecność podupadło, rodzina prawie w nędzy; podeszły ojciec ciężką złożony niemocą, wkrótce świat ten pożegnał; żona już w piersiach nosiła zarodek choroby, która niedługo potém dzieci osierocić miała.

Wkrótce nadszedł i wyrok. W kamienieckim dekanacie osądzonych było ośmiu: ks. Bazyli Ławrynowicz paroch cerkwi zwadzkiej, ks. Marcin Imszenik paroch cerkwi czemerowskiej, ks. Jan Kunachowicz paroch pasznicki, ks. Michał Kulczycki paroch wiszniański, ks. Stefan Szołgini paroch mielczycki, ks. Mikołaj Wierzbicki paroch dembowski, ks. Teodor Miliński paroch stepanowski, i nasz Micewicz litewsko-kamieniecki. Porozsyłani zostali do rozmaitych miejsc dyecezji litewskiej, na diaków i ponomarów, bo Siemaszko wyrok konsystorza w zupełności zatwierdził.

Z ośmiu tych kapłanów, jeden ks. Wierzbicki, już bardzo podeszłego wieku, nie długo potém, zachowawszy swą wiarę, w Byteniu gdzie był posłany, umarł. Ks. Micewicz, jak zobaczymy dalej, wytrwał do końca i złamać się nie dał; pozostali, na nieszczęście, jedni wcześniej, drudzy poźniej, ulegli, i przy całkowitém zniesieniu Unji, schyzmę przyjęli. Bóg w sprawiedliwości swej policzy im długi ucisk i cierpienia jakie znieśli, nim upadli. Najdłużej pomiędzy nimi, bo całych lat pięć, opierał się Ks. Miliński, ale i tego w końcu nędza rodziny i złe obejście się z nim samym, złamało — przyjął schyzmę.

Ks. Micewicz był przeznaczony na diaka do Darewa, jednej z parafji unickich nowogródzkiego powiatu. Musiał wyjeżdżać zaraz, bo policja miała rozkaz zmusić siłą do wyjazdu gdyby się opóźniał. Prosił Biskupa Zubki aby mu jeszcze czas jakiś przy chorej żonie i dzieciach pozostać pozwolił, ale mu odpowiedział: «Nie czas i nie pora ze zwierzchnością żartować; nic mię nie obchodzi że twoja żona i dzieci przepadają; przepadaj sam, tobie podobnych nie szkoda; chcesz być w domu, podpisz co ci każą, jeżeli nie chcesz, ruszaj gdzie przeznaczono.»

Kazano darewskiemu parochowi ostro obchodzić się z nowym diakiem, nie dawać mu dostatecznego pokarmu, pilnować aby z nikim w sąsiedztwie znajomości nie zabierał. Oddalony od rodziny, bardzo często zgłodniały, nacierpiał się nie mało. W parę miesięcy nadeszła wiadomość o śmierci żony; los dzieci odtąd ojcowskie serce srożej dręczyć musiał. Nie miano na to względu: owszem, przyjeżdżający Biskup Zubko, używał tego aby go do ustępstwa skłonić. Nieugiętego w postanowieniu, odwiedził wkrótce dziekan nowogródzki, ks. Homolicki: ten już do groźb i złego obejścia uciekał się; gdy te nie skutkowały, przemawiał do rozsądku i ojcowskiego znowu uczucia. Wiem,

mówił, że to się z sumieniem nie zgadza; ale głową muru nie przebijesz, jeden przeciw wszystkim nic nie wskórasz; usłuchaj dobrej rady, podpisz rewers, a dostaniesz jakie zechcesz beneficjum i będziesz miał czém dzieci wychować. Oficjał Tupalski trafiał ze swojej strony; namówiono nawet urzędnika moskiewskiego, Polikarpowa, że z apostolstwem przyjeżdżał. Gdy to wszystko nie pomogło, przyszedł rozkaz Siemaszki aby Micewicza przenieść do szkoły diaków, dla wyuczenia się nowego obowiązku.

Tymczasem już rzeczy dojrzewały. — Zaprowadziwszy stopniowo zmiany w obrządkach, postanowiono zabić ostatecznie Unję; zbierano od duchowieństwa podpisy, na których poźniej miał się niby oprzeć dawno przygotowany ukaz znoszący ją całkiem. Już nie na mszały podpisywać się trzeba było; nowy rewers którego wymagano, brzmiał jak następuje : «Przekonany iż dotąd zostawałem w błędzie, dobrowolnie przechodzę do greko-rossyjskiego, prawosławnego Kościoła, i wszelkiemi sposobami starać się będę skłonić do tego moich parafjan; ufając zupełnie iż rząd i pasterze moi wynajdą w mądrości swej najwłaściwsze środki połączenia dotychczasowego greko-unickiego Kościoła z prawosławnym.» Takiego już rewersu wymagano i od Ks. Micewicza.

Nacisk na parochów i bazyljańskie klasztory był coraz większy; opierających się wysyłano natychmiast. W Żyrowicach odbyła się straszna scena powtarzająca się wtenczas na przestrzeni całej Litwy i Białorusi. Zebranemu duchowieństwu kazano podpisywać rewersa; tych co się oparli, odsądzano od beneficji, wypędzano z domów, więziono. Nędza grożąca rodzinom, wiara w nieskończoną potęgę rządu, obietnice jakie robiono, w końcu przykład wielu braci uległych, a nareszcię samych odstępców Biskupów, zwyciężył ogromną większość. Lękliwsi od razu się podpisali; część znaczna uległa po niejakim czasie; nie wielka liczba wytrwała, ale za to miała wiele ucierpieć. — Skutki zachwiania sumień dały się widzieć zaraz. Ks. Micewicz słyszał jak jeden z kapłanów, po długim oporze, nędzą rodziny i prześladowaniem które znosił złamany, podpisawszy żądany rewers, wychodząc po tym akcie od Biskupa Zubki, głośno powiedział : «Podpisałem się na schyzmę; gotów teraz jestem podpisać się na każdą inną, nawet na turecką wiarę, ale w żadną nie wierzę.»

Micewicza przeniesiono na diaka do Łyskowa, gdzie miał pobierać ordynarję i 100 złotych pensji. Szczupła ta płaca nie dochodziła 'go; po roku jednak, na usilne prośby pozwolono mu dzieci odwiedzić. Nie znalazł ich w domu. Nowy, już schyzmatycki proboszcz, któremu od razu cztéry parafje oddano, wypędził je nielitościwie. Odszukawszy, córkę u miłosiernych ludzi umieścił, syna zabrał z sobą do Łyskowa; ale dowiedziawszy się o tém Siemaszko kazał mu go odebrać i oddać do szkoły diaków w Żyrowicach, gdzie z ośmioletnim chłopcem najgorzej

się obchodzono, chcąc ojca tym sposobem do ustępstwa zmusić. Tak znowu przeszedł rok cały.

W Lutym 1839 roku, przeniesiono znowu ks. Micewicza, zawsze jako diaka, do Chomska, w wołkowyskim dekanacie. Złe obchodzenie się, niedostatek, głód często, trapić go tam nie przestały. Schyzmatycki proboszcz tameczny miał obowiązek płacić diakowi po rublu srebrem miesięcznie na utrzymanie. Po roku znudziło go to, zwłaszcza że namowy do odstępstwa nie skutkowały; prosił aby go od niego uwolniono. Konsystorz, dnia 11. Marca 1840 roku kazał go przenieść do Zahorowa, pobazyljańskiego monastéru, w powiecie włodzimiérskim, na Wołyniu, pod dozór owczesnego ihumena, ex-bazyljana także, ks. Seweryna Dziubińskiego, który już piérwej znał Micewicza, bo jak widzieliśmy, gorliwie go w Żyrowicach do opuszczenia Unji namawiał. Jadąc tam, po drodze wstąpił ks. Micewicz do dawnej swojej parafji; córkę pożegnał, resztę pozostałych ruchomości sprzedał, i dostawszy za nie 60 rubli, stanowiących teraz cały jego fundusz, puścił się w drogę. W Zahorowie czekało go najgorsze przyjęcie. Dziubiński, świéżo za gorliwe do schyzmy nawracanie na godność ihumena wyniesiony, rozporządzający dochodami bogatego klasztoru, pragnął coraz wyższych godności i chciał zasługiwać się u rządu prześladowaniem przysyłanych do niego na pokutę unitów, a oddając się rozpuście i pjaństwu, często był nieprzytomny i żadnych już karbów dla siebie nie widział. Prześladowani doświadczali najgorszego obejścia. Liczba ich powiększała się, a niebawem, było ich w tym klasztorze czternastu; między nimi jedénastu Bazyljanów, a trzech z kleru świeckiego, mianowicie: O. O. Józefat Słobodzki opat kobryński, Onufry Falkowski superjor z Nowosiółek, Fabjan Możalski były prefekt brzeski, Laurenty Wysocki superjor podolicki, Dionizy Onuszkiewicz, Flawjan Lisowski, Teodor Lisicki, Symeon Nalewajko, Arseni Błażewicz, zupełnie ociemniały, i znajomi nam z Łyskowa: superjor Augustyn Siedlecki i wikary Samuel Czarnorudzki. Księża świeccy: Antoni Gruszewski były dziekan lidzki, Paweł Żelazowski i nasz Grzegorz Micewicz, byli parochowie. Dawano im po jednej potrawie na dzień i to bez soli, a często po funcie tylko chleba, lżono i najgrawano się, pakowano często do klasztornej turmy, na dni kilka.

Opat kobryński Słobodzki, starzec 74 lata wieku liczący, szczególniéjszym był przedmiotem zaciętości ex-bazyljana. Zaraz po jego przybyciu, odebrał mu Dziubiński pieniądze i wszystkie rzeczy, i zamknął do nieopalanej celi; tam starzec, który wybierając się do Zahorowa spowiadał się i gotował jak na śmierć, modlił się ciągle; nareszcę znużony zabierał się do spoczynku, kiedy wpadł do celi zażarty ihumen z kilku parobkami. — «Patrzcie, zawołał, to były archimandryta (opat); miał znaczenie i dostatki, ale że nie chciał słuchać zwierzchności, i religji

prawosławnej nie przyjął, stał się mniej wart od mojej podeszwy. Stary pies zamiast dawać przykład, szczepi jeszcze zgorszenie ; myśli że tu na wygódki przyjechał, ale jak mu wsypię trzysta nahajów, to zobaczy co to jest opierać się zwierzchności.» — Zwracając się do samego opata zawołał : «No stara sobako, marsz do turmy.» — Starzec chciał włożyć obuwie; nie pozwolił, mówiąc : «po co ci to ; pragniesz być świętym, to chodźże boso.» — Opat zabierał się do drogi. Wtenczas Dziubiński zapytał : «Czemuż mnie nic nie odpowiadasz?»—Słobodzki odrzekł słowami Pisma Świętego : «Jako owca na zabicie wiedzion będzie, a jako baranek przed strzygącym go zamilknie, a nie otworzy ust swoich.» Na te słowa pohamował się ihumen i wyszedł. Ale podobne napaści i groźby powtarzałysię często ; doświadczał ich i Micewicz, nieraz potrącany i lżony, wobec parobków używanych do robót klasztornych.

Z nadejściem zimy, los męczenników pogorszył się znacznie; nie dano im ciepłego odzienia, powyjmowano blachy z pieców w ich celach, i w nieopalanych trzymano ; kazano w końcu dla pogardy przed służbą monastérów, kórytarze wymiatać, drwa rąbać, rądle w kuchni czyścić, wodę cebrami nosić, nareszte oczeret żąć i do karczmy dostawiać. Ostatnia ta robota, zmuszająca brnąć głęboko w śniegu, przy niedostatecznej odzieży, najbardziej była utrudzającą; Ks. Słobodzki pomimo wieku swojego spełniać ją także musiał, tylko bracia starała się mu ułatwiać zadanie; młodsi żęli oczeret, on snopki za nimi wiązał. Ks. Micewicz i Żelazowski odbywali nocne przy oborach i na folwarku warty, w mroźne noce, nie mając kożuchów. Gdy nadeszła wiosna, kazano wszystkim nawóz z obory koszami na pole nosić. Trwało to całych ośm miesięcy, przeplatane groźbami, obelgami, plwaniem w twarz, zamykaniem na dni kilka do zimnej i wilgotnej turmy, a zawsze z ukazywaną w perspektywie łaską, dobrym bytem i powodzeniem, w razie przyjęcia schyzmy. — Gromadka wyznawców krzepiła się wzajemnie, dodając sobie ducha, a ten związek tak był silny, że kiedy słabszy od innych i na piersi cierpjący ks. Nalewajko, nie mogąc znosić dalej prześladowania, zgodził się dać nieszczęsny rewers, zrobił to pod warunkiem, że go do innego klasztoru odeszlą, nic braciom nie mówiąc. Zrobiono tak; odesłany do Lubaru, tam się na schyzmę podpisał, ale zaraz potém rozchorował się i umarł. Dziubiński już po wyprawieniu Nalewajki, stawił go pozostałym na przykład. Ci trwali w stałości swojej.

Dnia 2 Marca 1841 roku, Dziubiński na uczcie u siebie zasięgał rady swoich czerńców, jakby nareszte opierających się pokonać. Djakon Kondratowicz, wielki pijak, powiedział na to, że opat Słobodzki, wszystkich do wytrwałości podżega, że póki jest między nimi, nic nie pomoże; potwierdził to ex-bazyljan Hipacy Starodubowski. Było to o tyle tylko prawdą, że ks. Słobodzki słodyczą, pobożnością i cierpliwością

wszystkim przyświecał; ale odtąd Dziubiński wyłączną przeciw niemu powziął zawziętość. Nazajutrz, 3 Marca, z dwóma parobkami wpadł do cerkwi, kiedy nasi księża psalmy jutrzniane odprawiali, i wywlec stamtąd szanownego starca kazał, a zelżonego do turmy wtrącił. Innych posłano wywozić nawóz z obory. Niespokojni o opata, wysłali od siebie ks. Falkowskiego na zwiady. Dostał się szczęśliwie pod drzwi turmy, a uradowany z przybycia jego ks. Słobodzki, prosił aby go wyspowiadał. Przez szczelinę drzwi odbyła się spowiedź; ks. Falkowski wrócił do roboty. Wieczorem, poszli kapłani dowiedzieć się znowu, a usłyszawszy tylko chrapanie, dali znać djakonowi, że opat dogorywa, prosząc aby ich do turmy wpuszczono. Uwiadomiono o tém Dziubińskiego; ten księży odpędzić kazał, a więzienia otwierać nie pozwolił, mówiąc: «Niech ginie jak pies, ja za niego odpowiadać nie będę.» — Nazajutrz zaledwo, konającego starca przeniesiono do celi, gdzie wkrótce ducha Bogu oddał. Obmywając ciało, widziano mnóstwo znaków ciężkiego skatowania. Księża nasi, 6 Marca, cichutko, zwłoki na cmentarzu klasztornym pogrzebali.

Jak zwykle, śmierć męczeńska zrobiła na prześladowcy wrażenie; strach go ogarnął. Dziubiński zwrócił naszym księżom zabrane u nich pieniądze, przestał ich do robot używać, jedzenie nawet dawał lepsze, ale trzymał wszystkich razem na górze, pilnując aby z nikim się nie widzieli i wieści o tém za mury klasztoru nie przesłali. Groził wprawdzie jeszcze bizunami, ale widocznie na energji słabnął. Po całych nocach sypiać nie mógł; zdawało mu się że widzi wszędzie ks. Słobodzkiego; dwóm ludziom nocować w swym pokoju rozkazał, ale i to nie pomagało. Znienawidził niedawnych towarzyszy i przyjaciół; ks. Hipacego który go właśnie przeciw nieboszczykowi podburzał, a który dotąd był jego ulubieńcem, przywoławszy do siebie, zbił niemiłosiernie, tak że się do łóżka położyć musiał.

Tymczasem, chcącym zabeśpieczyć się od podobnego traktowania księżom naszym, udało się w pięć tygodni po śmierci opata Słobodzkiego, przesłać o niej wiadomość do Włodzimiérza. Podjął się tego zdjęty litością żydek, w monastérze znajomy. Zjechał sprawnik Lelakow. Ten, przyjaciel Dziubińskiego, który sam nieraz wyznawców nawracać probował, a gdy mu się nie udawało powtarzał: «Na takich krnąbrnych to nie Dziubińskiego potrzeba», chciał całą tę sprawę załagodzić. Obecny przy nim urzędnik, niejaki Mułkowski, obstał za prawdą, grożąc w przeciwnym razie skargą, i śledztwo miało się rozpocząć. Dowiedziawszy się o tém Dziubiński, trwożony rosnącym ciągle wewnętrznym niepokojem, sam w nocy udał się do mieszkającego o milę assesora Dwernickiego i sprowadził go z sobą do klasztoru, chcąc żeby piérwej tajne przeprowadził śledztwo, i tym sposobem drugie niepotrzebném uczynił; ale zaledwie z gościem zasiadł do herbaty, wybiegł z klasz-

toru i dopadłszy do błotnistego, nie głębokiego stawu, w nim się dobrowolnie utopił.

Ta wyraźna kara Boża która dotknęła prześladowcę, dodała naszym mocy, a prześladowanie zwolniła. Po śmierci ihumena zdarzyły się w monastérze inne jeszcze wypadki, w których palec Boży był widoczny: dwóch jego sług ulubionych zwarjowało; najcięższego pomięszania dostał kucharz, będący wykonawcą wielu niegodziwych rozkazów; ks. Michalewicz, od niedawnego czasu schyzmatyk, dręczony także wyrzutami sumienia, wypił butelkę spirytusu, a zamknąwszy się w celi powiesił się. Podobne wypadki nie rzadkie były wtenczas między doprowadzoném do odstępstwa wiary duchowieństwem. Bóg dotykał apostatów! Prześladowani czerpali w tém bodziec do wytrwania. Ponawiane ciągle namowy spełzły na niczém; nowi ihumenowie nic nie wskórali.

W 1842 roku rozesłano naszych wyznawców znowu do miejsc innych. Ks. Czarnorudzki dostał się do Poczajowa, ks. Żelazowski do monastéru zahajeckiego w powiecie krzemienieckim, Micewicz do dermańskiego, leżącego w powiecie ostrogskim, a zamieszkałego przez wielkorossyjskich zakonników; ks. Augustyna Siedleckiego z ks. Wysockim, wysłano do monastéru w Mielcach. W Zahorowie, przy grobie męczennika opata Słobodzkiego, zostali jeszcze czas jakiś księża: Onyszkiewicz i Falkowski. Obaj w swej wierze zmarli; ostatni tylko, przed samą śmiercią, nie mogąc mieć katolickiego kapłana, odbył spowiedź przed jednym z ex-unitów. Odtąd zalecono władzom duchownym, mającym tak zwanych upornych w zawiadywaniu swojém, szczególną baczność zwracać na ostatnie ich chwile, aby przynajmniej spowiedź przedśmiertną przed księżmi schyzmatyckimi odbywali.

Archimandrytą monastéru w Dormaniu był Jerafiej Łobaczewski, w parę lat potém na biskupstwo wyniesiony. Położenie tam ks. Micewicza było znośniejsze; ustały męki i znęcania się, starano się tylko trafić do przekonania. Nie pozwalano jednak pójść do katolickiego kościoła, ani się u kapłana łacińskiego spowiadać. Wszystkie o to prośby, do wyższej nawet władzy zanoszone, pozostały bez skutku.

W 1846 roku, synod petersburski dla 14 księży unickich znajdujących się «*na pokucie*» w dyecezji wołyńskiej, przeznaczył po 50 rubli pensji na rok. Ks. Micewicz odbierał z nich 15 do rąk własnych; 35 zatrzymywał monastér za przekarmienie. W 1847 r. w przejeździe biskupa Jerafieja przez Dormań, nowa prośba ks. Micewicza o spowiedź katolicką; nowa odmowa, pod pozorem rozkazów wyższych, nowe namowy na schyzmę. Dano mu nareszcie na towarzysza do celi, najuczeńszego z mnichów dormańskich, Bazylego Kuszczyńskiego aby go przekonywał. Spory z nim a nieraz i z odwiedzającymi monastér wyższymi dostojnikami rossyjskiego kościoła, powtarzały się często. Ksiądz Micewicz rosł tylko w nauce, nabierał wymowy, utrwalał się w stałości

dla Kościoła, ale na położenie to jego nie miało żadnego wpływu. Całe lata jeszcze w monastérze pozostał, nie mogąc ani wymową przekonać ani wytrwałością swoją przeciwników znużyć. Podobnym był los i wszystkich innych. Niektórym, bliższym granicy galicyjskiej, udało się w końcu umknąć; byli i tacy którym po wielu latach, złamanym na siłach, na resztę dni wrócić do domów pozwolono, wymógłszy na nich «*rewersa*» że nikogo do Unji nawracać i posług religijnych spełniać nie będą; ci byli bardzo nieliczni — największa część po monastérach schyzmatyckich w różnych dyecezjach wymarła.

IV.

DUDAKOWICZE.

Zniosłszy ukazem 1839 roku Unję, w państwie rossyjskiem, a z nią i zgromadzenie księży Bazyljanów, zmusiwszy ogromną większość unickiego kleru i zakonników do przyjęcia schyzmy a opierających się temu duchownych, odsądziwszy od kapłaństwa i rozesławszy do rozmaitych monastérów, rząd kazał sporządzić spisy ludności należącej dawniej do unickiego wyznania, zaliczając do niej wszystkich, których przodkowie w 1798 r. byli unitami. Całą tę ludność za *prawosławną* odtąd poczytywać zalecono, rozkazując aby mogący w tej liczbie znaleźć się Rzymianie, panujące wyznanie przyjęli. Spisy te układało duchowieństwo schyzmatyckie, chciwe powiększenia liczby parafjan, popierane przez wyższe władze miejscowe, z pomocą policji, bez udziału nie tylko proboszczów katolickich ale nawet deputata ze strony duchowieństwa rzymsko-katolickiego. Nadużycia były ogromne, na całej przestrzeni kraju. Nie tylko unitów gwałtem robiono schyzmatykami, ale mnóstwo katolików obrządku rzymskiego, zapisawszy samowolnie do listy wyznawców urzędowego kościoła, zmuszono do wyrzeczenia się swej wiary. Spraw o podobnych gwałtach domierzanych nad pojedyńczemi osobami, było bez liku — ale ulegały temu całe nieraz parafje. Ks. Czapulewicz, pleban kościoła mjorskiego, (w powiecie dziśnieńskim gubernji mińskiej) w urzędowym raporcie do mińskiego rzymsko-katolickiego konsystorza, dnia 25 Lipca 1841 pod Nr. 1833 skarżył się, iż ksiądz Stukalicz, błahoczynny dziśnieński, w obecności urzędnika z kancelarji jenerał-gubernatora, niejakiego Mielnikowa, i miejscowej policji, przybywszy do miasteczka Przebrodzia, w jego parafji położonego, i przywiózłszy z sobą trzech swoich popów, zgromadzony piérwej przez policję cały lud okoliczny, przemocą do cerkwi zapędził a nie pytając nawet jakiego kto był wyznania, radząc się tylko samo-

wolnie sporządzonych spisów, gwałtem spowiadać kazał. Urzędnicy z dziesiętnikami stali we drzwiach cerkwi, a grożąc kijami i więzami, potrącając i łając, zmuszali do przyjmowania komunji; opierającym sie nakładano kłódki na nogi, więziono ich, dręcząc głodem przez dni kilka. Wielu gwałtowi uległo; mnóstwo rodzin kryło się po lasach. Raport ten, posłany do Petersburga, miał tylko ten skutek, że błahoczynny Stukalicz krzyż dostał. Podobne gwałty działy się w Pohościu i Chwaszczówce, majętnościach należących niegdyś do Jezuitów w gubernji mohylewskiej, w dobrach Korsaka, w powiecie dryzieńskim gubernji witebskiej, zresztą wszędzie prawie, gdzie tylko duchowieństwo schyzmatyckie jakąkolwiek przyczepkę wynaleźć potrafiło lub chciało. Dudakowicze należą do miejsc które może ucierpiały najwiecej, a dowiodły, że między cichą ludnością swoją miały ludzi najwznioślejszej cnoty, godnych stanąć obok męczenników pierwotnego chrześcijaństwa.

Dudakowicze należące dawniej do ks. Dominikanów, w 1841 roku były własnością rządu, jak wszystkie do skasowanych klasztorów należące dobra. Leżały w parafji tegoż nazwiska na Białorusi, w powiecie kopyskim, dzisiejszej gubernji mohylewskiej. Majętność składała się z pięciu sąsiadujących z sobą wiosek: Dudakowicz, Pasarewa wielkiego, Pasarewa małego, Orzechówki i Zubowa. Lud, jak wszędzie u nas, gdzie w bliskości były klasztory, bardziej oświecony w wierze, czuł się cały katolickim, czy do jednego, czy do drugiego obrządku należał; po 1798 roku mogła nawet część pewna przejść na obrządek rzymski, a zastąpienie unickich parochów księżmi schyzmatykami, jeszcze bardziej pobożnych do katolickiego przywiązało wyznania. Przed rokiem, włościanie tameczni skończyli budowę skromnego, ale po większej części ich kosztem wzniesionego kościołka. Duchowieństwo schyzmatyckie myśliło że do włościan rządowych niezaprzeczone ma prawo: byli na liście dawnych unitów. Wieści o gwałtownêm nawracaniu obiegały okolicę; zjechała się do wioski niezwykła ilość policyjnych drabów, dziesiętników, setników, z tak zwanymi kluczwójtami i assesorem na czele; zjawił się nawet pop prawosławny. Lud zatrwożony, z większą niż kiedy gorliwością zbiegał się do kościoła, czerpać tam potrzebną mu siłę. Zbliżały się święta Zmartwychwstania Pańskiego, w 1841 r. przypadające w Marcu. Na niedzielę Palmową zebrała się licznie pobożna ludność do kościoła i odbywszy spowiedź przed księdzem Wojdakiem, dostawszy do rąk poświęcone wierzby, czekała na Przenajświętszy Sakrament. Żal i przerażenie było ogólne, kiedy proboszcz, nie rozdawszy go czekającym przy kratkach, od ołtarza odchodził— «a komunję świętą kiedyż nam udzielisz?» zapytali. — «Wybaczcie dziatki, odpowiedział niegodny proboszcz, nie dostaniecie jej. Rząd mnie zakazał.» Oburzenie lud biédny opanowało. «Jakto? zaczęli wołać, to mamy być

schyzmatykami? Judaszu! wydałeś nas!» *Wojdaku, łajdaku*, odezwały się głosy, taki to z ciebie pasterz, taki ksiądz.!» Niektórzy rzucili się do ołtarza zabierać swoje ofiary; ci lichtarze, drudzy świéce woskowe, krzycząc że je do katolickiego kościoła odniosą, kiedy ten chcą oddać na schyzmę. Hałas powstał w kościołku. Wtém wpadła policja i lud wypędzać zaczęła. Assesor miał z pięciudziesięciu drabów. Lud w dzwony uderzył; zbiegło się na ich odgłos wielu wieśniaków ze wsi, z cepami, widłami, policja potłuczona musiała ustąpić. Wyniósł się assesor, za nim, niedaleko schowany, a na pomyślny skutek napadu czekający pop; wszystko to zaraz wyjechało ze wsi, do Mohylewa, donieść gubernatorowi że się chłopi dudakowiccy zbuntowali schyzmy przyjąć nie chcą. Włościanie tymczasem zamknęli kościoł, a klucze między zebraną gromadę rzucili, żeby przed rządem mieć potém wymówkę że się te niewiedzieć gdzie zatraciły, i żeby jak tłuma czyli sobie, kościoła odemknąć nie było można.

Lud dudakowicki przyzwyczajony zgromadzać się na narady w interesach gminy, bo sam je musiał załatwiać, zebrał się i teraz zaraz po obiedzie u Łukasza, siwego już starca, najbardziej między swoimi poważanego; obok niego zasiedli: drugi włościanin Kasper i organista Michał Maciuszewski, może z drobnej zagonowej szlachty pochodzący, którego lud po swojemu Maciuszonkiem nazywał. Po rozmowach o tém co zaszło, Łukasz wstał, i tak odezwał się: «Dziatki! co się stało to się odstać nie może; broniliśmy naszego kościoła i religji, brońmy ich do końca. Nastał wielki tydzień, w którym Chrystus Pan cierpiał za grzechy nasze, czyż my wyrodki chrześcijańskie żebyśmy za nasze własne występki cierpieć nie mieli? Chrystus Pan był biczowany, niech i nas urzędnicy biczują. Chrystus Pan umarł za grzechy nasze, umrzyjmy i my za kościoł nasz i wiarę świętą, a dobrze nam będzie, kiedy jak Chrystus Pan zmartwychwstaniemy i zobaczymy się w szczęśliwej wieczności.» Gromada zawołała: «Umrzemy, umrzemy, a kościoła naszego cośmy go sami zbudowali naszą pracą, nie damy.!» Tu poczęli wyliczać kto ile dni około niego pracował: ten cegłę wypalał, ów ją woził, ten mularzom pomagał, tamten krokwie na dach zaciągał. Znowu powstały głosy: «Nie damy go darmo gnębicielom.» Widząc ten zapał, Łukasz gromadzie przełożył, że assesor z popem musieli pojechać do Mohylewa, że zaraz stamtąd przyjdzie wojsko, i urzędnicy przyjadą z rózgami jak już nieraz w wioskach unickich było; radził więc przygotować się: postawić chłopców na dzwonnicy żeby dzień i noc na trakt mohylewski patrzyli, a skoro ujrzą nadjeżdżających, żeby na znak uderzyli w dzwony, koło dzwonnicy dla światła i ogrzania się utrzymywać ogień, a ludność całą rozdzielić na dwie części: jedna żeby spokojnie gospodarowała w domu, a druga żeby się rozłożyła taborem w blisko stojącym, a pustym dzisiaj, dawnym dominikańskim

klasztorku. Za odezwaniem się dzwonów, wszyscy powinni śpieszyć do kościoła na obronę, z widłami, cepami, kosami, z żelaztwem jakie kto znajdzie pod ręką; jeżeli kobiéty dodał, zechcą także kościoła bronić, niech i one z koczergami od garnków przychodzą. Stało się wszystko jak radził i zalecał.

Strażnicy i zgromadzony lud w klasztorku, nie długo czekali. Już w Wielki Poniedziałek po południu, postrzeżono bagnety jadącego na furmankach wojska; cicha dotychczas wioseczka ujrzała bataljon piechoty, z kilkunastu oficerami, sam gubernator mohylewski Engelhardt, z urzędnikami Andrejewem i Dnieprowem, naczelnik okręgowy dóbr państwa, wypędzony z kościoła assesor, z dziesiętnikami, sotnikami, kluczwójtami, pop nawet Borejko, wszystko to zjechało się razem. Biédni włościanie nigdy zapewne tak licznie zgromadzonych władz rządowych nie widzieli. Nie przestraszyło to ich jednak. Zaledwo postrzeżono zbliżający się orszak, rozległy się dzwony i obrońcy kościoła ze wszystkich pięciu wiosek zebrali się uzbrojeni jak było umówiono. Nie dowierzając swym siłom, i lękając się żeby wojsko gromady nie rozpędziło, lud w bramie kościelnej zaciągnął drąg gruby, i czterech silnych włościan uwiązało się do niego powrozami. Zmęczonych zastępowali inni. W prostocie swojej lud myślił, że tym sposobem z własnych ciał nieprzełamaną obronę kościołowi gotuje i wejście do niego stanowczo zagrodzi. Nie mało kobiét znalazło się w gromadzie, inne pomimo marcowego chłodu poniosły dzieci do okolicznych gajów i lasów; wioski zostały prawie puste. Łukasz, Kasper i organista Maciuszonek byli wpośród gromady, przy kościele, utrzymując porządek i krzepiąc ducha wieśniaków.

Bataljon otoczył zgromadzonych. Gubernator Engelhardt wystąpił z przemową: «Łajdacy! zawołał, toż śmiecie buntować się przeciw Cesarzowi; wolą jest jego żebyście prawosławje przyjęli, porzućcie wasz upor, upokorzcie się i bądźcie posłuszni jego najwyższym rozkazom, a nie, to poginiecie.» Wystąpili wtenczas z gromady: Łukasz, Kasper i Michał Maciuszonek, jako starsi, a ukłoniwszy się nizko zwyczajem włościan litewskich, Łukasz powiedział: «Jasny Panie! my się przeciw cesarzowi nie buntujemy, podatki i czynsze płacimy akuratnie, synowie nasi bez oporu idą w rekruty; wszystkie powinności skarbowe spełniamy i odbieraliśmy za to pochwały od okręgowego naczelnika, a oto są pokwitowania z opłaconych podatków, i pokazał je gubernatorowi, że zaś chcemy pozostać przy naszej świętej katolickiej wierze, to dla tego, żeby tém wierniej przysięgi cesarzowi dochować. Prosimy więc Jasnego Pana żeby nam wiarę naszą i kościoł nasz zostawił, który nawet wybudowaliśmy sami.» Skłoniwszy się powtórnie, znowu weszli w środek gromady.

Gubernator lękał się krwi rozlewu, nie miał nawet prawa kazać strze-

lać, spodziewał się przestraszyć i znużyć w końcu włościan. Otoczeni wojskiem, przestali całą noc poniedziałkową, Wielki Wtorek, Środę i Czwartek, jeżąc się swemi kosami, widłami i innemi narzędziami, powtarzając że chętnie na śmierć męczeńską pójdą, a kościoła nie oddadzą; przywiązywani do drąga w bramie kościelnej, zmieniali się ciągle. W Wielki Czwartek, pułkownik, naczelnik okręgowy trzech powiatów zniecierpliwiony, skomenderował wojsku : « *cel* ! » lufy karabinów wymierzone zostały do ludu. W tej chwili ze środka gromady wysunęła się naprzód staruszka, a rozkrywszy piersi, zawołała : « Słuchajcie żołnierze! niech ja piérwsza padnę ofiarą za religję; i cóż mnie zrobicie? zabijecie starą, a ja świętą zostanę. Wstyd wam bić się z kobiétami, z ludem bezbronnym i w niczém nieposzlakowanym ! » Wojsko i policjanci zaśmieli się; strzelać istotnie nie myślano : kazano batajlonowi wziąść broń do nogi.

Zawstydzeni dowódzcy schyzmatyckiej missji nie wiedzieli co począć; myślili, że lud rolniczy pożałuje swojej gospodarki i domostw i kiedy te będą zagrożone, pobiegnie je ratować a kościoł opuści. Część wojska odkomenderowano do wiosek, dla zabrania bydła, owiec, całego dobytku; zaczęto rznąć krowy, ptastwo, na święcone dla wojska; rozległ się ryk zabijanego bydła, płacz dzieci i matek taborujących w lesie i na mogiłach. Dla biédnego ludu był to cios bardzo dotkliwy; każda gospodyni wiejska przywiązaną jest do swojego drobiu, do tego co wyhodowała, pracą swą wykarmiła : krowę swoją zdaleka po głosie poznaje, w tym dobytku cały jej majątek, główny środek wykarmienia dzieci. Przeniósł jednak lud zgromadzony przy kościele i tę próbę i nie ruszył się z miejsca. W Wielki Piątek zaledwo, zmęczony długiém staniem, zaczynając także głód cierpieć, bo nie spodziewając się tylodniowego oblężenia, nie wielkie zapasy chleba wziął z sobą, postanowił ulżyć sobie i podzielił się na dwie połowy; jedna poszła wypocząć do byłego dominikańskiego klasztorku, druga została na stanowisku; obydwie miały się zmieniać kolejno.

Gubernator postrzegłszy że się gromada rozdzieliła, kazał ją siłą rozpędzić; posłano żołnierzy zamknąć klasztorek i nikogo stamtąd nie wypuszczać : pozostałemu wojsku polecono dobyć kościoła. Zniecierpliwieni kilkodziennem staniem na chłodzie i słocie, rzucili się żołnierze na wieśniaków, bijąc kolbami i odpychając od drzwi kościelnych; widząc czterech stojących nieruchomie przy bramie, a nie wiedząc że byli przywiązani, pokaleczyli ich, gwałtem stamtąd odrywając; poranili wielu, a rozbiwszy gromadę, Łukasza, Kaspra, Michała Maciuszonka i jeszcze czwartego, którego imię niewiadome, jako przywódzców ze środka jej porwali. Stawionym przed Engelhardtem, gdy się wzbraniali przyjąć schyzmę, jako buntownikom kazano natychmiast po 300 rózeg wyliczyć. Sędziwy Łukasz piérwszy

poszedł pod chłostę. Po każdej secinie zapytywano go, czy przyjmie schyzmę? odpowiadał zawsze, że nie. Po skończonej exekucji, powstawszy, przeżegnał się i głośno, mocnym głosem powiedział: «Dziękuję ci Panie Jezu Chryste, żeś dozwolił i mnie nędzarzowi w dzień Twojej śmierci przenieść taką mękę za grzechy moje, jaką Ty od żydów za nas wszystkich poniosłeś.» Rozgniewany gubernator sam własnoręcznie kilka razy go jeszcze w twarz uderzył, i kazał żołnierzom zamknąć w zimnej klasztornej celi. Odprowadzony tam wśród razów i obelg męczennik, bezsilny upadł na ziemię. Przyszła kolej na Kaspra; po nim, dwaj pozostali równąż liczbę razów otrzymali, i zamknięto ich także w celach klasztornych. Młodzież mniej rózeg dostała, ale popędzono ją gwałtem do kościoła dla przyjęcia schyzmatyckiej komunji, na rachunek spowiedzi w Palmową Niedzielę odbytej. Niektórych powrozami ściągnąć tam musiano. Pop Borejko olejem swoim czoła pomazał, a Engelhardt wróciwszy na święta do Mohylewa, doniósł Cesarzowi że gmina dudakowicka dobrowolnie prawosławje przyjęła; wojsko na cały miesiąc jeszcze zostawiono na miejscu.

W nocy, z piątku na Wielką Sobotę, Łukasz osłabiony przywołał do siebie rodzinę i odezwał się w te słowa: «Dziatki, godzina moja nadeszła: idę już na sąd Boży, zdawać sprawę z moich postępków. Błogosławię was, jak Abraham bogosławił Jzaaka a Jzaak Jakóba: niech się wam we wszystkiém wiedzie w tém i przyszłém życiu, żebyście na zbawienie dusz waszych zarobili; ale pamiętajcie! niech będzie przeklęty ten z pomiędzy was, kto po mojej śmierci schyzmę przyjmie. Jak umrę, nie przywołujcie popa, ale ponieważ księżom wzbroniono oddawanie nam religijnych posług, więc sami, bez nikogo, grzeszne moje ciało pogrzebcie.» W parę godzin poźniej, Bogu ducha oddał. W ślad za nim poszedł i niemniej sędziwy Kasper; ten błogosławiąc i żegnając synów, a zachęcając także żeby schyzmy nie ważyli się przyjmować, dodał to jeszcze: «sami bez popa mnie pochowajcie, ale wykopcie głęboką jamę, a spuściwszy tam trumnę zaraz nie zakopujcie, bo na drugi dzień po mnie i wasza matka umrze, to w jednym ze mną dole i ją pogrzebiecie i wtenczas zasypiecie razem.» Jak przepowiedział konając, tak się też i stało: na trzeci dzień Wielkiejnocy, dzieci, oboje rodziców grzebały. Wkrótce potém i trzeci, którego nazwisko zapomniane, przeniósł się do wieczności; jeden Michał Maciuszonek jako najmłodszy ze wszystkich, do sił powrócił. Temu, za karę iż się missji schyzmatyckiej opierał, wzięto syna bez kolei do wojska, razem z kilku innymi co się stałością w obronie Kościoła odznaczyli. Widząc go prowadzonego z innymi do cerkwi dla wykonania przysięgi, Maciuszonek porwał za rękę i do drugiej przeprowadził partji, złożonej z katolików, mówiąc: «Z nimi tobie

przysięgać należy. » Po wykonanej przysiędze dodał jeszcze : « Przysiągłeś Cesarzowi, służże wiernie jak każe przysięga, ale pamiętaj, że przeklęstwo Boże i moje ojcowskie będzie nad tobą jeżeli w służbie schyzmę przyjmiesz. » Za to upomnienie, oddano go do Mścisławia, do klasztoru pobazyljańskiego, zamieszkałego już przez schyzmatyckich czerńców, gdzie do najniższych posług był używany.

Wioski dudakowickie, pozbawione swoich przywódców, zrujnowane na mieniu przez wojsko, w skutek tych dni kilku spędzonych na słocie i chłodzie, potraciły jeszcze dużo kobiét a szczególniej dzieci; dostały zaś stałego schyzmatyckiego popa który miał być ich proboszczem, a kościół wyświęcono na cerkiew urzędowej religji. Nikt tam jednak na prawdę schyzmatykiem nie został. Gromada zebrawszy się uradziła zanieść skargę do Cesarza, a żeby ich prośba pewno go doszła, wybrali z pomiędzy siebie trzech włościan, którym oddanie jej poruczyli. Złożono dla nich pieniądze na drogę. Doszli do Petersburga i prośbę do rąk cesarza Mikołaja oddali; kazał im wracać do domów, mówiąc że sprawę rozpatrzyć poleci; wrócili, ale wkrótce potém wzięci za podanie prośby do więzienia i zbici zostali; najmłodszego z nich oddano w sołdaty. W kilkanaście miesięcy poźniej, podczas przeglądu pod Kijowem, gdy Cesarz zadowolony z musztry zapytywał żołnierzy czy nie mają jakiej prośby lub skargi, ów dudakowicki włościanin wystąpił z szeregu i krzywdę swoją i całej gminy opowiedział, przypominając Cesarzowi, iż sam z dwóma drugimi prośbę mu w Petersburgu podawał; Mikołaj uśmiechnął się, a poklepawszy śmiałego żołnierza po ramieniu, zapytał : « a teraz jakiego jesteś wyznania? » « Byłem, jestem i będę katolikiem, była odpowiedź, a to dla tego abym wiernie służył Waszej Cesarskiej Mości. » — « Dobrze » odrzekł Cesarz, « każę tę sprawę rozpatrzyć. » — Biédny żołnierz uszczęśliwiony, pisał do swoich, uwiadamiając o tém i zalecając aby raz jeszcze prośbę podali. Dopilnowano jego przejazdu i w 1846 roku delegacja włościan dudakowickich, na stacji pocztowej Krupką zwanej, podała mu tę drugą prośbę. Przyrzekł po raz trzeci, że sprawę rozpatrzy i sprawiedliwość domierzy. Tymczasem powróconych do wiosek delegatów i tym razem do więzienia zapakowano; innego skutku prośba nie miała i mieć w Rossji nie mogła.

Zawiedzeni we wszystkich oczekiwaniach, nie mogąc żadną drogą otrzymać pozwolenia wyznawania otwarcie swojej wiary, mieszkańcy Dudakowicz zebrali się znowu na naradę i postanowili : sami, bez popa którego im narzucono : grześć swoich umarłych, chrzcić dzieci, śluby tylko z błogosławieństwem starców zawierać, a spowiadać się i komunikować w kościołach katolickich, wydając siebie za parafjan rzymsko-katolickich probóstw; żeby zaś pop przez szpary na to wszystko patrzył i władzy swojej nie donosił, zobowiązali się darmo uprawiać

mu pole i własném je zbożem zasiewać. Udawało się to im przez całych lat jedénaście. Z chrztem było najtrudniej, bo metryki musiały być do ksiąg parafjalnych zapisywane. Zdarzało się też nieraz, że wyższe władze duchowne zjeżdżały żeby tego dopilnować; wtenczas policja gwałtem matki z niemowlętami do cerkwi prowadziła; czasem znowu dla zachęty, urzędnicy moskiewscy ofiarowali się na ojców chrzestnych dla nowonarodzonych, dawali dzieciom przy chrzcie sukienki, krzyżyki. Matki nieraz z płaczem ciskały te podarunki na ziemię wołając: «my nie Judasze, żebyśmy dusze dzieci naszych za to przedawały!» albo też zalewały się łzami, wyrzekając, że dziecko ich zgubione; lud z silną wiarą powtarzał: «*Syzmatyk, do piekła tyk.*» Zdarzały się sceny rozdzierające serce. Znajomy był powszechnie proces wytoczony jednej z dudakowickich kobiét, która ciągniona gwałtem do cerkwi dla ochrzczenia dziecka po schyzmatycku, rzuciła je o kamień, powiedziawszy: «lepiej niech ginie, niżby miało duszę stracić.» Ale w ogóle, mogli jeszcze bezkarnie cerkwi unikać i spowiadać się w kościołach katolickich.

Na dwunastym roku tej cichej z popem umowy, drugi pop sąsiedniej parafji, ex-unita Klementowicz, już lat podeszłych, zazdroszcząc dudakowickiemu sąsiadowi korzyści jakie od włościan za milczenie swe ciągnął, otrzymał od mohylewskiego Archireja (Biskupa) Anatolego, że zmieniwszy dawnego proboszcza, jemu tę parafję oddano; przyrzekał bowiem, że namową i łagodnemi środkami złamie ostatecznie opór mieszkańców i stanowczo ich dla schyzmy pozyska. Przyjechawszy zaczął im gadać, że i on tylko pozornie zmienił wyznanie, a w duszy został katolikiem; przyrzekał, że w cerkwi będzie śpiewał katolickie suplikacje: «Święty Boże, Święty mocny, Święty nieśmiertelny» byleby tylko do cerkwi chodzili. Nie udało mu się; włościanie przychodzili tylko na suplikację i zaraz po niej opuszczali cerkiew. Rzucił się na inny koncept. Za dane sobie na ten cel pieniądze, kupował wódkę, a spraszając do siebie parafjan, starał się ich rozpoić i tak do cerkwi zaciągnąć. Wieśniak z natury ostrożny i niedowierzający, a tylu próbami doświadczony, przejrzał obłudę; zapraszani przez Klementowicza rolnicy, ostrzegali braci, że i on jest wilkiem w skórze baranka. I wódka nie skutkowała, i pieniędzy żal było, a te się w końcu przebierały; Klementowicz umówił się więc z okręgowym naczelnikiem, ten kazał zebrać się całej gminie, dla zakomunikowania jej niby nowego rozporządzenia rządu, tyczącego się podatków, zgromadzonym zaś wieśniakom kazał ruszać do cerkwi dla odprawienia modlitwy za Cesarza; opierających się, gwałtem pędziła policja. Zaledwo lud zebrał się, Klementowicz zaczął przemowę, wychwalającą schyzmę; wieśniacy wtenczas zanócili głośno modlitwę wszyscy razem, głusząc głos każącego i póty w niej trwali, aż się pop

zniecierpliwiony sam z cerkwi nie wyniósł; przed urzędnikiem potém tłumaczyli się, że spełnili jego rozkaz, bo się za Cesarza modlili. Tego rodzaju walka trwała ciągle; kiedy Klementowicz do chat wchodził, dla nauczania schyzmy, kobiéty brały się do żarn swoich, żeby nie słyszeć słów jego i, t. p. Tak przeszły znowu dwa lata.

W 1854 roku Dudakowicze ujrzały raz jeszcze wyższą urzędową hjerarchję. Zjechał do wioski ówczesny gubernator mohylewski Gamaleja, z urzędnikami i policją, i zgromadzonym wieśniakom oświadczył: iż jeżeli zaraz rewersu o przyjęciu schyzmy nie podpiszą i do cerkwi chodzić regularnie nie zaczną, przesiedli ich wszystkich w głąb Rossji, bo taki jest rozkaz Cesarza. — Włościanie prosili aby im pozwolono naradzić się. Miłość rodzinnego zagonu przemogła; wytłumaczyli sobie, że raz wysłani nigdy go już nie zobaczą, że tam zarówno prześladowani i posług religijnych pozbawieni będą, zgodzili się rewers podpisać przyrzekając sobie, że w duszy pozostaną katolikami, a że kiedyś Moskwa sama przyjmie katolicyzm. bo księża im powtarzali że będzie jeden pasterz i jedna owczarnia. Gamaleja dokazawszy swojego, do Mohylewa powrócił.

Na tém się skończyło nawracanie włościan dudakowickich. Jednym z epizodów tej sprawy było jeszcze i to, że u właścicieli ziemskich sąsiadujących z gminą, pozamykano domowe katolickie kaplice, jak u pułkownika Dzierożyńskiego w Skłapowie, u Suszyńskiego w Leśném, wszystkich zaś ich razem z marszałkiem powiatowym Dąbrowskim oddano pod nadzór policji, za podtrzymywanie jakoby włościan dudakowickich w katolickiej wierze.

Michał Maciuszonek którego widzieliśmy w Mścisławiu, sprzykrzywszy sobie służbę u czerńców, uciekł z monastéru i ukradkiem do wioski swojej powrócił; przechowywany przez włościan, lata całe między nimi przepędził,krzepiąc ich w religji i dzieci katechizmu ucząc, ale nareszte odkryty, dalej uciekać musiał; przez czas jakiś ukrywał się w sąsiednich wioskach, gdzie ludność rolnicza udzielała mu przytułku: gdy żandarmi i tam trafili, ostrzeżony przez wieśniaka, raz jeszcze umknąć potrafił, ale nareszte, w miasteczku Obolcach, gdzie miejsce przy tamecznym katolickim kościele spodziewał się znaleźć, poznany i uwięziony, w głąb Rossji wysłanym został, i odtąd nic już o nim nie słyszano. Kapitana Zarzeckiego, właściciela Obolec, oddano pod dozór policji.

V.

POROZOW.

I.

Miasteczko Porozow leży nad Niemnem, w powiecie wołkowyskim, o 14 mil od Grodna. Dawniej miało pewne znaczenie; posiadając wielkie przywileje, chlubiło się własnym ratuszem i osobném sądownictwem miejskiém, przed którém jedynie obywatel porozowski był odpowiedzialny. Za Jana Kazimierza nawiedzone pożarem, w czasie wojen szwedzkich straciło znaczną część ludności i odtąd upadać zaczęło, a dostawszy się podczas rozbioru kraju pod panowanie rossyjskie, powoli zeszło do dzisiejszego stanu. Obecnie iest malutką mieściną, z 200 zaledwie domów złożoną, której mieszkańce trudnią się garncarstwem, w części handlem chmielu, ale przedewszystkiém rolnictwem. Ze świetnych dla Porozowa czasów, pozostał dawny ratusz, część kramów i szkoła żydowska. Dzisiejszy kościoł katolicki staraniem i prawie wyłącznie kosztem proboszcza ks. Michała Grabowieckiego na miejscu starego wymurowany, posiada cudowne obrazy Matki Boskiej i Ś. Antoniego Padewskiego. Jest i cerkiew dawniej unicka, schyzmatycka teraz. Ludność okoliczna w przeważnej części należała do unickiego obrządku. Dzisiejsza katolicka parafja, licząca 5000 wiernych, obejmuje rozległą przestrzeń, bo w jej obrębie znajduje się dziesięć dawniej unickich a dziś schyzmatyckich cerkwi, mianowicie : w Porozowie, Hornostajewiczach, Łopienicy, Swięcicy wielkiej, Choroszewiczach, Jzabelinie, Łyskowie, Nowymdworze, Łaszewiczach i Połonce, z których każda ma swoich parafjan i popa. Duchowieństwo obu obrządków, należąc do jednego Kościoła, przed zniesieniem Unji żyło w zupełnej zgodzie, odprawiało wzajemnie w świątyniach swoich nabożeństwo; różnica była w szczuplejszém daleko uposażeniu kleru unickiego, którego proboszcze obarczeni rodzinami większe nawet mieli potrzeby niż księża łacińscy. Każdy zajmował się swoimi, ale wszystkich razem za jedną owczarnię uważał. Właściciele ziemscy i w tym zakątku, jak na całej Litwie, należeli do obrządku rzymsko-katolickiego, zwanego nawet w ostatnich czasach Rzeczypospolitej *wiarą szlachecką*; za nimi szła najczęściej drobna szlachta, nieraz czeladź dworna i część mieszczaństwa, reszta ludności wyznawała obrządek unicki.

W 1834 roku Porózow widział zgromadzonych u siebie parochów i wikarych okolicznych cerkwi, i zjeżdżającego do nich apostatę Józefa Siemaszkę, z członkami konsystorza litewskiego. Ująwszy znaczną część

wyższego duchowieństwa unickiego dla schyzmy, pragnął on zjednać niższy kler i podróż w tym celu po całej dyecezji odbywał. W cerkwi porozowskiej do zgromadzonych przemówił jak wszędzie w podobnych razach. Wystawiał im ich niedostatek, zależność od kollatorów, przewagę duchowieństwa katolickiego; wszystko co istotnie bolеć mogło duchownych unickich, w przesadzonych kolorach stawiał przed ich oczy, a potém malował ponętny obraz łask cesarskich jeżeli schyzmę przyjmą. «Dotychczas, mówił, nie wyznawaliśmy dokładnie ani unickiej ani *właściwej* nam wiary; Łacinnicy popsuli nam obrzędy; pod naciskiem Polaków oddaliliśmy się od prawdy; czas do niej wrócić. Dziś, kiedy Cesarz naród polski zwyciężył, ojczyzną naszą jest Rossja, nic nam nie przeszkadza wrócić do wiary przodków. Nie dajmy się wyprzedzić samym Katolikom, którzy swego Papieża który niewiedzieć gdzie siedzi, chcą porzucić, bo im nic pomódz nie może. Władza papiezka nie jest artykułem wiary; Cesarz chce nas wywyższyć, otoczyć opieką, pensje powiększyć, środki wychowania dzieciom naszym zapewnić, odda nam porafjan których duchowieństwo łacińskie zabrało, i wszystkie tego duchowieństwa dostatki. Jnteres wasz to wam doradza, zwierzchność wasza chce tego i przykład wam daje. Gdyby wiara prawosławna złą była, Biskupi wasi nie zalecaliby jej wam. Zresztą, jest to wolą samego Najjaśniejszego Pana; rozważcie, że kto się jej sprzeciwi, ten będzie sprzeciwiał się Cesarzowi, ten stanie się nieprzyjacielem Cesarza.» Po długiej przemowie, pokazał księgę i zwracając się do najstarszego w wołkowyskim dekanacie dziekana Sobotkowskiego, dodał: podpisz się pod rewersem, i podwładni niech się podpiszą. Rewers zawierał wyznanie: że podpisujący dotąd zostawał w błędzie, że przyjmuje prawosławje i wszelkiemi sposobami parafjan do niego skłonić będzie się starał. Ks. Jan Sobotkowski paroch słowatycki i dziekan wołkowyski, przeczytał rewers dwa razy i księgę nic nie mówiąc na ołtarzu położył. Wezwany, żeby się z tego wytłumaczył, śmiało i z godnością odpowiedział, iż wiary zmienić nie może, że wreszcie same korzyści materjalne obiecywane tym którzy schyzmę przyjmą, już są dowodem na korzyść wyznania unickiego, bo przy wszelkich zamianach, do gorszej tylko rzeczy dają przydatki; że gdyby duchowieństwo unickie na tę się zmianę zgodziło, wtenczas znajdą się między ludem tacy, co je zawstydzą wytrwałością w wierze, i że każdemu odstępcy ciężką będzie godzina konania. Poważamy, kończył, i szanujemy Biskupa jako naszego zwierzchnika, dla tego też pozwalamy sobie myśleć, iż Jllustrissimus sam będąc inaczej przekonany, mówi to nam dla wyprobowania stałości naszej, bo niepodobna przypuszczać aby Pasterz unicki chciał ze Stolicą Świętą zrywać. Oburzony Siemaszko zapytał tylko: «A więc nie podpisujesz?» — «Nie uczynię tego» odpowiedział Ks. Sobotkowski. — «Będziesz wiele cier-

piał.» — «Prędzej śmierć poniosę niż zgodzę się na zmianę.» — «To odezwanie się uwalnia Pana od obowiązków dziekana» odrzekł Biskup.— *Deo gratias*, powiedział ks. Sobotkowski.— «Proszę natychmiast dostawić archiwa Dekanatu i ruszaj.... czy rozumiesz?» — Ks. Sobotkowski do Słowatycz pojechał.

Po jego odejściu, Siemaszko do pozostałych przemówił: «Kto nie podpisze się, natychmiast traci parafję i przestaje być parochem; niech rodzinę swoją gdzie chce lokuje, byle nie w żadnej parafji, a po 25 dniach wszystkich upornych zeszlę do monastérów na pokutę. Kto chce zostać spokojny na miejscu albo lepszą dostać parafję, niech podpisuje; oto atrament i pióro.» Paroch podorowski ks. Bazyli Protasewicz, po niejakim czasie przystąpił do ołtarza, i powiedziawszy: «spełniam wolę zwierzchności» piérwszy podpisał się; za nim poszło kilku innych, reszta prosiła o czas do namysłu. Wrócił ks. Sobotkowski z papierami. «Żal mi ciebie Sobotkowski powiedział Siemaszko, czego innego spodziewałem się po tobie; weź pióro lepiej i podpisz się obok kolegów którzy byli grzeczniejsi od ciebie i podpisali się.» — «Niech podpisują się kiedy sobie życzą i będą szczęśliwi.» — «Wrócę ci dziekaństwo rzekł znowu Biskup, dodam pensję porządną, zostaniesz w swojej parafji.» — «Za żadne obietnice duszy mojej nie zaprzedam i nie podpiszę, odrzekł stanowczo ks. Sobotkowski, nie potrzebuję nawet namyślać się.» — «Kiedy tak, odezwał się Biskup, ks. Bazylego Protasewicza naznaczam dziekanem wołkowyskim, a proszę żeby mi Sobotkowskiego we 24 godzin ze Słowatycz wyprawić.» — Rozkaz został literalnie spełniony. Co się dalej stało z naszym szanownym a kochanym w parafji kapłanem, widzieliśmy wyżej. Był to piérwszy krok zaprowadzającej się w tym zakątku schyzmy.

II.

Przeszło lat kilka. Unja urzędowie zniesioną została; z okolicy Porozowa jak zewsząd, wysłano do odległych monastérów co było najszlachetniejszego, najzacniejszego w duchowieństwie unickiém. Pożegnania parochów z parafjanami swoimi, ostatnie ich nauki, tkwiące jako testament w pamięci ludu, dochodzące wieści o ich cierpieniach, widok ich rodzin pozbawionych środków do życia, wszystko to w ludzie zwiększało uczucia przywiązania do nich, a niechęci do schyzmy. Tymczasem wzięto się do przerabiania dawnych domów Bożych na cerkwie schyzmatyckie; chorągwie z któremi lud odbywał processje, konfessjonały gdzie dusze swe oczyszczał, ambony z których słyszał naukę, wszystkie przedmioty odwiecznej czci jego, do których się serca gorące tak przywiązywały, wszystko to wyrzuciły, zdeptały, świętokradzkie dłonie policjantów albo żydów najmowanych umyślnie, bo nikt

z Unitów ręki do tego przyłożyć nie chciał. Lud w wielu miejscach bronił świętości i wszędzie za to był srogo karany, jak : w Czyżach, Szczytach, Korwinie, Berezowie, Łosinie, Łyskowie, Zelwie, Jzabelinie, Szaraszewie, Pieskach, i. t. d. Siemaszko i Zubko dla prędszego zapełnienia miejsc porozsyłanych księży, powyświęcali na kapłanów oficjantów swoich, nawet furmanów, zaledwo czytać i pisać umiejących; podawali im probostwa, z czasem dziekanje. Pozostali dawniejsi parochowie, odstąpiwszy wiary dla widoków doczesnych, z bojaźni lub dla przypodobania się władzy, bardzo często w nadziei wyniesienia się tylko i poprawienia losu, zachwiani w sumieniach swoich, zostawszy sługami grzechu, popadli w nałogi, oddali się pijaństwu, rozpuście. Nauczanie w cerkwiach ucichło, lud na każdym kroku miał powody do zgorszenia. Przybyło do tego zdzierstwo; udzielanie sakramentów musiano opłacać, chciwość popów stała się przysłowiem. Skargi wznosiły się ze wszystkich stron; a było to tak powszechném, że w 1842 roku, prezes grodzieńskiej izby dóbr państwa, sam Rossjanin i syzmatyk, urzędowie to podniósł i składając dowody, przed Arcybiskupem Siemaszką duchowieństwo obwinił i sprawę rozpoczął. Tę tak pokierowano, że uczciwy człowiek za czernienie prawosławja do innej gubernji przeniesionym został, a rzeczy szły dawną koleją. Z biegiem czasu, nabrane nałogi rosły, doznawana z powodu politycznych pobudek bezkarność mnożyła je jeszcze, duchowieństwo schyzmatyckie po wsiach i miasteczkach naszych stawało się coraz bardziej przedmiotem pogardy i niechęci. Rzadkie wyjątki uczciwych, nie mogły przeważyć wpływu złych. Kilku sprowadzonych z wielkorossyjskich gubernji kapłanów, jak naprzykład błahoczynny, to jest dziekan trocki, Stojanowicz, prosiło o powrócenie ich napowrót, nie mogąc wśród zepsucia duchownych których «przechrzczeńcami i siemaszkowcami» sami nazywali, wytrzymać.

Urzędowych kapłanów główna usilność zwróconą była ku pomnożeniu liczby schyzmatyków. Cesarz chce tego, mawiał w początkach Siemaszko; kto się jego żądaniu sprzeciwi, będzie jego nieprzyjacielem. Z tą ideą szli oni teraz do ludu; gdzie spotkali opór, tam używali świeckiego ramienia. Sypały się rózgi, zapędzano gwałtem do cerkwi; nierzadkie bywały przykłady że opierających się trzymano za ręce, i do ust roztworzonych za pomocą przygotowanego na to klina, wkładano komunję. Tak nawróconych zapisywano do ksiąg parafjalnych i wszystko było skończone. Tego rodzaju prozelityzmem odznaczał się naprzykład między innymi ks. Jan Stupnicki, paroch w Krynkach, w powiecie grodzieńskim, ale ten nie był wcale jedynym wyjątkiem. Ogromna większość ludu pozornie tylko przyjęła schyzmę, myśląc że i ta burza jak tyle innych które biernym oporem swoim lud zwyciężył, przeminie, ale uczucie religijne na tém cierpiało; zręczniejsi wykręcali się, opła-

cając popów, żarliwsze i głębsze dusze jawnie garnęły się do Katolicyzmu i znosiły prześladowanie nie dając się ugiąć. Gorliwość w urzędowém nawracaniu, nie ograniczyła się do samych Unitów. Powiedzieliśmy wyżej, iż nowe schyzmatyckie duchowieństwo układało spisy ludności którą stosownie do rozporządzeń rządowych miało prawo pociągnąć do swojego wyznania. Kazano wszystkich którzy po 1798 r. przyjęli Katolicyzm, uważać za schyzmatyków. Tak szerokie pole zostawione dowolności, rodziło tysiące nadużyć. Popi którzy wszystkie zdrożności swoje mogli pokryć w oczach swej władzy gorliwością w powiększaniu liczby wyznawców panującego kościoła, nie kontrolowani przez nikogo, umieszczali w spisach swoich osoby których rodziny od niepamiętnych czasów wyznawały wiarę rzymsko-katolicką; wystarczało na to najmniejszego pozoru, udzielenia którego sakramentu przez unickiego kapłana, wtenczas, kiedy oba obrządki uważały się prawie za jeden, a jedno i drugie duchowieństwo prawnie oddawało takie posługi wyznawcom obu obrządków. Juryzdykcje zawalone były sprawami tego rodzaju. Wszystko to razem wzięte, pomnażając cierpienia nieszczęśliwej ludności, mnożyło wstręt do schyzmy.

Porozow ulegał zarówno z całym krajem wszystkim tym boleściom. Naznaczony na miejsce ks. Sobotkowskiego dziekanem wołkowyskim a więc i porozowskim ks. Bazyli Protasewicz, odznaczał się brzydkiém życiem i nałogowém pjaństwem. Paroch porozowski Stankiewicz nie ustępował żadnemu z najgorszych, w złych obyczajach, zdzierstwie, i nadużyciach wszelkiego rodzaju. Przeciwnie, proboszczowie rzymsko-katolickiej parafji na szczęście odznaczali się przykładném życiem, światłem, gorliwością w służbie Bożej, oddaniem się swoim obowiązkom. Począwszy od ks. Grabowieckiego który sam kościół wymurował, wszyscy jego następcy zyskali miłość i szacunek parafjan. Ks. Jakub Jankowski świéżo wzniesioną świątynię przyozdobił, i z gorliwością katechizm młodemu pokoleniu wykładał. Ks. Szyszkiewicz, niegdyś professor seminarjum wileńskiego i kaznodzieja katedralny, wymową swoją niewolił i tłumy do kościoła pociągał. Ks. Wierszyło już wiele z duchowieństwem schyzmatyckiém mający do walczenia świetność nabożeństwa podniósł; szukający religijnej pociechy, zawsze kościół znajdowali otwarty, kapłana gotowego do wysłuchania spowiedzi i udzielenia sakramentów, bo proboszcz mający rozległą parafję nie ograniczał się na jednym wikarym, miał innych jeszcze księży dla pomocy w służbie kościelnej. Nareszcę w latach o których mówić mamy, ks. Krzysztof Olędzki młody jeszcze, a prawdziwie obowiązkiem swym przejęty, wszystkich poprzedników swoich żarliwością prześcignął. W urządzonej przez niego szkółce, dzieci uczyły się czytać i piérwsze zasady wiary odbierały; sieroty, wdowy, wszyscy cierpiący i prześladowani pewni być mogli jego pomocy, a bez pociechy nikt od sługi

Bożego nie odszedł. Nabożeństwo w kościele odbywało się regularnie, z właściwą uroczystością i powagą. Lud te jego usługi z postępowaniem schyzmatyckiego duchowieństwa porównywając, wzdychał tém bardziej do wydartego mu wyznania, a serdeczniej jeszcze narzuconych sobie pasterzy nienawidził.

Rząd księżom katolickim zabronił pod ciężką odpowiedzialnością, oddawać dawnym Unitom religijne posługi; do spowiedzi przyjmować nie mogli nikogo, kto karteczki od proboszcza, udowodniającej należenie jego do rzymskiego kościoła, nie złożył. Unici pozostali w duszy wiernymi kościołowi, pożyczali nieraz takich świadectw u katolików i takim sposobem przystępowali do Sakramentów. W 1857 roku pop Stankiewicz postanowił z tego skorzystać; dowiedziawszy się o kilku tego rodzaju wypadkach, a prócz tego ułożywszy samowolnie listę schyzmatyckich parafjan swoich, przez hłahoczynnego Protasewicza podał do konsystorza litewskiego skargę na księdza Olędzkiego i duchowieństwo katolickie, że mu parafjan zabierają, przyłączył do niej i spis osób, które według niego panujące wyznanie opuściły.

Przysłano natychmiast do Porozowa umyślnie na ten cel wyznaczoną komissję. Składała się ona na szczęście z ludzi uczciwych: członkiem jej schyzmatyckim był ksiądz Józef Wosiński paroch podorozki, stanowiący z powodu przykładnego życia wyjątek między duchowieństwem swojém; deputatem rzymsko-katolickim, nie dawno z wygnania powrócony ksiądz Kazimierz Kontrym; prezesem. assesor Harkowicz. Przeprowadzono śledztwo — dowiedziono Stankiewiczowi że w liście swojej wiele osób nieprawnie umieścił, zapisał tam wielu od dawna już zmarłych, i. t. p. wykryto przytém mnóstwo z jego strony nadużyć, przekonano się o haniebném i gorszącém parafjan życiu. Rzecz na ten raz skończyła się na tém, że Stankiewiczowi odebrano parafję i zawieszono go w swém urzędowaniu, a księżom rzymsko-katolickim ponowiono rozkaz zabraniający oddawania jakichkolwiek posług religijnych dawnym unitom, pod karą niezwłocznego wysłania do odległych wielkorossyjskich gubernji. Po Stankiewiczu parafję objął wybrany na tę posadę przez Siemaszkę, pop Kotliński.

III.

Usunięty z probostwa Stankiewicz, pozostał w okolicy, osiadł w odległym od Porozowa o parę tylko wiorst folwarku Telakowskim i postanowił się zemścić. Plan jego zależał na tém aby zwierzchności donieść, iż pod zarządem popa Kotlińskiego więcej osób niż za jego czasów, przechodzi na katolicyzm. Zaczął parafjan przeciw nowemu parochowi podburzać, co nie było trudném, bo pokazało się wkrótce iż pod względem moralnym nie różnił się on od większej części kolegów

swoich. Stankiewicz na ten raz zaczął udawać szczerego w duszy i pokutującego katolika. Mówiliśmy o ogólnym stanie dusz. Gwałtem i strachem narzucona schyzma, grozą utrzymywała się tylko; dość było iskierki aby żyjące w głębi serc nadzieje rozbudzić. Po wstąpieniu na tron Cesarza Aleksandra II, spodziewano się powszechnie łagodniejszych czasów, wytchnienia dla Kościoła; lud nieoświecony a zbolały, łatwo każdą wieść pomyślną przyjmował. Stankiewicz zrzucił swój ubior duchowny, kapelusz na płocie powiesił, laskę pasterską w oczach ludu połamał, i zaczął opowiadać, że się zbliża koniec schyzmy, że Moskale sami przekonawszy się o błędzie, wracają na łono katolickiego kościoła, że lada czas rozporządzenie rządowe w tym przedmiocie nadejdzie, i on natenczas, na klęczkach, jako pokutnik, do kościoła porozowskiego się uda. Zbliżało się czterdziestogodzinne przed obrazem Ś. Antoniego w Porozowie nabożeństwo; większe niż kiedy tłumy ludu cisnęły się do kościoła, liczba dawnych unitów między nim była wielka. Rozważniejsi, poszli do Kotlińskiego zapytać go czy prawdę rozpowiadał Stankiewicz? Kotliński wystąpił publicznie, nazywając byłego parocha Judaszem, łotrem, zdrajcą, nie szczędząc także duchowieństwa katolickiego; tymczasem doniósł Metropolicie Siemaszce o rozbudzonym w narodzie popędzie do opuszczenia urzędowego kościoła.

Zjechał przysłany przez niego Archirej grodzieński, Żelazowski. Zwoławszy do Porozowa sąsiednich parochów, zebranemu ludowi przekładał aby nie słuchał Stankiewicza a tylko przysłanego z ramienia Metropolity, Kotlińskiego; tym, którzy do kościoła Porozowskiego uczęszczali przekładał wielkość ich winy, i spokojnie rozpytywał o powody tej zmiany. Lud ze skargami na Stankiewicza i parochów swoich wybuchnął; niektórzy odezwali się, że ich nieprawnie do schyzmy pociągnięto, drudzy mówili: « Jeżeli duchowni chcą być schyzmatykami niech sobie będą, nam zostawcie nasze przekonanie; byliśmy Unitami, odebrano nam unickich kapłanów, cerkwie nasze popsuto, my rossyjskich obrządków nie znamy, znać nie chcemy, nie mamy spokojności sumienia. Płacimy Cesarzowi podatki, rekruta dajemy, ale sumienie i zbawienie duszy do nas należy. Czemużeśmy tacy nieszczęśliwi? nie pozwalają nam żyć w wierze naszych ojców. Czemuż Żydów, Karaimów, Lutrów nie nawracają? czemu tych łotrów, rozpustników, złodziejów, parochów naszych nie poprawiają? tamci żyją jak chcą w swoich występkach, a z nas starają się gwałtem łotrów porobić. Gdyby kto z nas, chłopów, żył jak Sankiewicz, dawnoby na Syberję był wysłany i knutem ukarany, a jemu wszystko wolno. » Dawszy wygadać się rozżalonym, Archirej Żelazowski powiedział: « Żal mnie was, będziecie dużo cierpieć, rząd tego nie zniesie. » — « Miło nam, odpowiedziała gromada, cierpieć i umrzeć za wiarę ». — Missja na ten raz na tém się skończyła. Stankiewiczowi Archirej kazał jechać dla odbycia

pokuty do Wilna, ale ten głośno odpowiedział, że wtenczas usłucha, kiedy błahoczynnego Protasewicza, i innych, gorszych od niego łotrów, tamże wyprawią, i został w swoim Telakowskim folwarku.

Tymczasem, doszły do Siemaszki przesadzone wieści, że kilka tysięcy osób w okolicach Porozowa przeszło na katolicyzm; zatrwożony, żeby to nie było początkiem upadku całej jego roboty, zwrócił na to uwagę ówczesnego jenerał-gubernatora Nazimowa. Kazano dawniejszej komissji powtórnie sprawę rozpatrzyć i sprawdzić zaskarżenia, na księdza Olędzkiego i duchowieństwo katolickie zanoszone, przez księdza Kotlińskiego, który, chcąc zniweczyć zabiegi Stankiewicza, coraz gorliwiej się krzątał, donosy mnożył, i listę 150 osób które w parafji porozowskiej przejść miały na katolicyzm, Metropolicie przesłał. Zjechali znowu do Porozowa: ksiądz Wosiński, ksiądz Kontrym i assesor Harkowicz. Była jeszcze sprawa o dziecko, z ojca łacinnika a matki niegdyś unitki urodzone i jakoby nieprawnie ochrzczone w kościele katolickim. Metropolita Żyliński kazał dziekanowi Abelewiczowi wejrzeć także w tę sprawę. Zaledwo rozpoczęto śledztwo, ksiądz Olędzki, 10 Czerwca umarł. Przy porozowskim kościele pozostał tylko wikary, ksiądz Kościa. Komissja odroczyła się na dni dziesięć. Po powtórném jej zebraniu się, zaledwo przejrzano listę przez księdza Kotlińskiego przesłaną Metropolicie Siemaszce i sprawdzono jej fałszywość, bo mieściła w sobie wiele osób znajdujących się teraz w innych parafjach, a nawet dawno zmarłych, kiedy przyszła wiadomość, że nowi urzędnicy zjechać mają dla dokończenia śledztwa. Byli to: adjutant jenerał-gubernatora, Aleksander Pawłow i protojerej Pszczółka. Zaczął się nowy perjod tej boleśnej historji.

IV.

Na 25 Czerwca, zwołano do Porozowa okolicznych parochów z błahoczynnym Protasewiczem i kazano policji dostawić wszystkich obwinionych o przejście na katolicyzm. W cichém zazwyczaj ustroniu, ruch zrobił się wielki. Przed adjutantem jenerał-gubernatora, rozwodziło duchowieństwo schyzmatyckie swe skargi na księży katolickich, że sami będąc zaledwo cierpiani w Cesarstwie, zaczepnie przeciw panującemu wyznaniu występują, parafjan jemu wydzierają, dzieci nieprawnie chrzczą, i. t. p. Dziekan Abelewicz zbijał te wszystkie zarzuty, wykazując napaści swoich przeciwników na kościół i duchowieństwo katolickie, a w prawdziwych malując kolorach życie i obyczaje popów, będące głównym powodem niechęci ludności. Pawłow, młody i prawy człowiek, słuchał wszystkiego cierpliwie, chcąc prawdę istotną poznać. Nazajutrz, przystąpiono do przesłuchania obżałowanych. Powtórzymy tu dosłownie niektóre ich odpowiedzi; dadzą one najlepsze wyobrażenie uczuć, jakie przejmowały wiernych.

Piérwszym z kolei indagowanym był Stefan Suchoniuk, dwunastoletni chłopak, pasący świnie; sierota, szczupły, bosy, z zabłoconemi nogami, w brudnej i podartej koszuli, z pozszywanych kawałków złożonej siermiędze, z kilku tylko upieczonémi kartoflami w torbie, stanął przed komissją, a odpowiedziami zadziwił pytających.

Dlaczego przyjąłeś rzymsko-katolickie wyznanie, kiedy twój ojciec był prawosławny? spytano chłopca.

— Mój ojciec był Unita, a nie prawosławny; Unici mieli takich księży jak katolicy, byli pobożni, bywali w kościołach i kościelni księża bywali w cerkwiach i Mszę odprawiali.

— A kto tobie o tém mówił?

— Ojciec i Matka i kazali być katolikiem.

— A co więcej tobie mówili?

— Że wiara moskiewska nie od Boga ale od czarta pochodzi i jest schyzmatycka.

— Co to znaczy schyzmatycka? czy rozumiesz co pleciesz?

— Panowie lepiej rozumiecie; schyzmatyk nie wierzy jak Bóg kazał, bo gdyby wierzył, wierzyłby tak jak katolicy wierzą, co mają dobrą wiarę i ofiarę.

— Co nazywasz ofiarą?

— Mszę świętą, którą lepiej odprawiają w kościele niż w cerkwi. W cerkwi lud ciągle żegna się i kłania się, pokłony odbija, męczy się a nie modli się, bo nie wierzy że tam jest Bóg; w cerkwi pop wstydzi się, zamyka się, rzadko się pokazuje; zamknąwszy się często się śmieje. Widziałem jak tu wielki Biskup przyjechał (pokazał na błahoczynnego Protasewicza) krótką fajkę w cerkwi palił, a jak zamknął się za ołtarzem, to z drugim szklankami z butelki pili i jedli i śmieli się, a jak mnie zobaczyli, wypędzili precz. W kościele każdy modli się ręce złożywszy, klęcząc; kto umié czytać, to z książki modli się; a w cerkwi, pop jak zobaczy kogo z książką albo z szkaplerzami, jakby go djabeł opętał, odbiera, drze na kawałki, nogami depcze. Jaka tam wiara, taka i ofiara.

— A czy byłeś u spowiedzi?

— Ja zawsze do spowiedzi chodzę.

— Czy do cerkwi?

— A niech mnie Bóg uchowa; tam trzeba pół rubla płacić.

— Skądże to wiesz, czy płaciłeś kiedy?

— Gdzie mnie biednemu takie wielkie pieniądze; ja nigdy groszyka nie miałem.

Adjutant Pawłow dał mu rubla, żeby poszedł do cerkwi, wyspowiadał się, a potém czapkę jeszcze sobie kupił.

— Nie, jasny panie, nie wezmę, i za żadne pieniądze do cerkwi nie pójdę, bo duszy nie chcę gubić, nie sprzedam; ja spowiadałem się

u nieboszczyka księdza proboszcza, (tu rozpłakał się). On dobry był; jak mnie zobaczy, zawsze da chleba, to séra, to gruszek; ostrzygł mi włosy, dał szczotkę, głowę wygoił; miał w szkółce uczyć czytać. Znalazłem w kościele karteczkę, oddałem jemu i wyspowiadał bez żadnej zapłaty.

— Kto ciebie nauczył tak odpowiadać?

— Nikt nie uczył; co widziałem to mówię, a co słyszałem tego nie gadam, bo ludzie mogą nieprawdę powtarzać.

— Weź pieniądze i idź do cerkwi, bo już w kościele ciebie nie przyjmą.

— Kiedy nie przyjmą i księża nie będą spowiadać, to Bóg mnie wyspowiada.

— Jakże Bóg ciebie wyspowiada, kiedy Boga nie widzisz?

— A jak Bóg odpuszcza grzechy kiedy księdzu spowiadamy się? Jak będę miał żal dobry za grzechy, żal największy, to Bóg odpuści kiedy nie można iść do spowiedzi, a i płacić nie będę i pop nie będzie bił, jak bił Rodoszkowę.

Przywołano Rodoszkowę, mieszczankę porozowską z ulicy cerkiewnej, liczącą wieku lat siedmdziesiąt. Ta, jako przy samej cerkwi mieszkająca, opowiedziała mnóstwo rzeczy o popie Stankiewiczu: jak ludzi za każdą posługę kościelną obdzierał, ciała po kilkanaście dni bez pogrzebu trzymał, targując się o zapłatę, jak po kilka tygodni nabożeństwa nie odprawiał, nieraz z karczmy przychodząc do cerkwi, gdy gotowych komunikantów nie znalazł, wyjmował z kieszeni obwarzanki, te poświęcał i parafjanom za komunję rozdawał, jak pieniądze ze skarbony cerkiewnej ukradł; ją, Radoszkowę, chorą, proszącą o spowiedź, bo myśliła że już umrze, ponieważ zapłacić czém nie miała, zbił i z cerkwi wypchnął, tak że się o mało na schodach nie zabiła. — Wielu świadków potwierdziło to wszystko, dając dobre świadectwo staruszce, która tylko przez pożar do nędzy przyprowadzoną została.

— Czemuż przeszłaś na wiarę katolicką? spytano.

Kilkanaście głosów odezwało się: Panowie widzicie jakich mamy popów; przyszliśmy Jasnych Panów prosić o tę łaskę, i zawiadamiamy, że kiedy nam Unję odebrali, my ruskimi być nie chcemy i wszyscy będziemy katolikami. Na parafję cztéry razy zwoziliśmy drzewo z lasów skarbowych, okręgowy naczelnik pozabierał; na cerkiew każą składać się ciągle, a ani kołka przy cmentarzu nie poprawiono. Ta wiara moskiewska zjadła nas i zgubiła. U katolików ludzi nie obdzierają, nabożeństwo zawsze, kazania, że aż dusza grzeszna topnieje; a my, mieliśmy popa rozbojnika, pijaka, złodzieja.

Przerwano im, mówiąc że tamten odsądzony, a mają lepszego, wybranego przez samego Metropolitę. — Nie lepszy on od tamtego, po-

częto wołać; kiedy Metropolita wybrał, niech sobie trzyma, nie ma czém chwalić się; i dalej skargi na Kotlińskiego zaczęli rozwodzić; a byli to świadkowie tylko, dotąd o przychylność dla katolickiego wyznania nie podejrzewani.

— Może i wy przeszliście na katolicyzm? spytał Adjutant.

— Nie, jeszcze, odpowiedzieli, ale mówimy Jasnemu Panu i samemu Cesarzowi powiedzielibyśmy, że niech nam odda księży unickich, albo pozwoli być katolikami, bo już wytrzymać trudno. — Odprawiono ich, przyrzekając że nadal będzie lepiej.

Trzecim z kolei obżałowanym, był chłopak Józef z Hryćkowszczyzny mniejszy jeszcze od Suchoniuka: ojciec jego łacinnik, matka unitka dzieciak był hodowany w wierze katolickiej. Namawiano żeby poszedł do cerkwi wyspowiadać się; odpowiadał stale, że chce być katolikiem, jak ojciec — «Kiedy ojciec napisał rewers, że będziesz prawosławnym?» powiedziano mu. «Mój ojciec pisać nie umié, nie mógł dać rewersu,» była odpowiedź chłopaka.

Przywołano ojca; tłumaczył się, że kiedy się żenił, nie dawano mu ślubu przez kilkanaście tygodni z powodu tego rewersu, że odczepnego zgodził się, aby napisali sobie co chcą, ale dodawał: ja ruskich pacierzy nie umiem, nie mogę ich dziecka nauczyć; gdyby żydowi kazano uczyć dzieci katolickich pacierzy, toby ich przecie swoich nauczył. Gdybym wiedział że będzie taka biéda? wolałbym utopić się, niżeli się żenić — jeżeli panowie będziecie mnie dziecko zmuszać, porzucę żonę i pojdę z niém gdzie oczy poniosą, a na schyzmę nie dam.

Czwarty obżałowany, był Jan Bachniuk, lokaj z Chrustowa, człowiek średniego wieku. Ten, przez sam rodzaj służby swojej z rozmaitemi władzami oswojony, którego zgromadzenie żadnych urzędników zatrwożyć nie mogło, śmiało i wyraźnie opowiadał wszystkie haniebne uczynki przytomnych tam duchownych schyzmatyków, których był świadkiem służąc w różnych miejscach; o błahoczynnym Protasewiczu tak samo się odzywał, tłumacząc przez to przejście swe do katolicyzmu.— Wszystko to zajęło dzień pierwszy. Sprowadzenie Stankiewicza, osądzonego na ponomara, to jest najniższego sługę kościelnego, którego komissja miała polecenie do miejsca przeznaczenia wysłać, a który spotkany na ulicy, publicznie, głośno, wyrzucał błahoczynnemu jego zbrodnie i innych współparochów swoich obwiniał, co zgromadzony lud głośno potwierdził; wszystko to pokazało śledzącym istotny stan rzeczy i umysłów. Nie mogąc wymierzyć sprawiedliwości, a nie chcąc większych wywoływać skandalów, pobieżnie już nazajutrz przesłuchano pozostałych; przekonano się, że na liście zamieszczony był nie jeden, z dziadów i pradziadów katolik, inni tłumaczyli się z opuszczenia spowiedzi brakiem pieniędzy na opłacenie popa i t. p.

Pawłowowi zaleconém było używać tylko środków łagodnych. Jenerał Nazimów wyprawiając go, po kilkakroć to powtarzał; sam z natury prawy, oburzony był wszystkiém co znalazł. Obwinienia przez duchowieństwo schyzmatyckie na księdza Kościę rzucone, okazały się mylne; wykryto przekupionych przez Protasewicza świadków i całą intrygę. Przez cały czas śledztwa, trzymając się zacnego księdza Kontryma, Pawłów wszędzie okazał się ludzkim i względnym. Sprawę na ten raz skończono, wezwaniem parafjan obu obrządków do Porozowa, na solenne nabożeństwo, odprawiane jednego dnia w kościele i cerkwi, dnia 29 Czerwca 1858 r. Komissja obecną była na obu. W cerkwi miał przemowę do zgromadzonych protojerej Pszczółka; w kościele, z obszerném kazaniem wystąpił ksiądz Kontrym. W obu zachęcano do życia w zgodzie i spokoju; komissja rozjechała się.

V.

Rzecz wcale nie była skończoną i skończoną być nie mogła. Ciężył nad nieszczęśliwą ludnością ukaz cesarski, nakazujący wszystkim unitom zostać schyzmatykami; gorliwość w tym względzie była zawsze dla popów i urzędników najlepszym środkiem zasłużenia się w oczach rządu; duchowieństwo do głębi zepsute przerobić się nie mogło, potrzeby jego i namiętności zostały też same; w narodzie żyła wiara. Z jednej strony, gwałtowne nawracania i nawet przyczepki, z drugiej, wyraźne garnięcie się do katolicyzmu, musiało mieć miejsce. Biédna okolica miała stać sią teatrem scen prawdziwego barbarzyństwa i tyranji, wśród których męczeńska ludność zajaśniała przykładami wysokiej stałości i cnoty.

Wiele wiosek do koła należało do zarządu dóbr państwa. Włościanie tak zwani rządowi, zależeli zupełnie od swojej wyłącznej władzy. Nie tylko żaden z właścicieli ziemskich, żadna z władz obywatelskich, jak naprzykład marszałkowie, nie mogli się do ich spraw mięszać, ale było to utrudnionėm nawet dla policji i innyh władz administracyjnych. Naczelnik okręgowy, z prezesem izby dóbr państwa, byli niejako panami ich życia i śmierci. Takim okręgowym naczelnikiem w Wołkowysku, a raczej okróżnym, jak go przez skrócenie nazywano, był natenczas niejaki Nowicki. Były przed komissją skargi i na niego; wymawiano mu kradzież kilkakrotnie sprowadzanego na budowę plebanji prawosławnej drzewa i. t. p. kilka razy publicznie zawstydzonym został; lękał się złych skutków. Z jednej strony złość za doznane upokorzenie, z drugiej, chęć merytowania się przed rządem, wskazały mu ofiary do prześladowania.

W dziesięć dni po wyjeździe komissji z Porozowa, kazał podwła-

dnym swoim władzom sielskim, setnikom i dziesiętnikom, zebrać do folwarku Dzieszkowiec wszystkich, którzy spowiedzi schyzmatyckiej nie odbyli, zapowiedziawszy im z góry, że kto świadectwa parocha nie przyniesie, będzie cieleśnie karany; mężczyzni po 60, kobiety po 40 rózeg. Niektórzy potrafili skryć się, znaczną liczbę nieszczęśliwych dostawiono. Zjechał sam Nowicki; kazał pokazywać karteczki świadczące o odbytej spowiedzi, albo dać rewers, że jutro do cerkwi pójdą i schyzmę przyjmą; bił kułakami po twarzach. Zapytani co wybierają, czy rózgi czy prawosławje? zawołali, że schyzmy nie przyjmą, i wolą cierpieć dla wiary katolickiej. Zaczęła się exekucja; rozbierano nieszczęśliwych do naga i ćwiczono przy wszystkich. Znajomy już nam Stefan Suchoniuk pierwszy dostał 70 rózeg; zemdlonego chłopaka odniesiono; drugi, czternastoletni, nazwiskiem Kowalczuk, dalej Tomasz Kryjski, Józef Michalak, Petrulewicz i jeszcze do trzydziestu mężczyzn których nazwiska śpisać zapomniano, otrzymali takąż chłostę. Przyszła kolej na kobiety. Magdalena z Szopików Romanowska i dwie jej siostry : Anna i Marcelina Szopikówny, Wiktorja Niczyperowa, stara nareszcę Rodoszkowa którą widzieliśmy na śledztwie i córka jej Katarzyna, bezwstydnie z wszelkiej odzieży odarte, skatowano także. Rodoszkowa znowu wszystkie swe krzywdy wypowiedziała i twierdziła stanowczo, że w 1857 roku przeszedłszy na katolicyzm, w tej wierze albo za nią życia dokona, a schyzmy nie przyjmie. Wyrzucała siepaczom, że rozbierając kobiety do naga, dziewczętom wstyd odejmują; zbito ją za to raz drugi, ale już dalej kobiét nie rozbierano. Rozalja Rośnikiewiczówna, Anna Rodoszkowa z Motoszów, i jeszcze ze 30 kobiét nieznanych imion i nazwisk, otrzymało chłostę; zapowiedziano wszystkim, że jeżeli za dwa tygodnie świadectw nie przyniosą, dwa razy tyleż rózeg dostaną; tych co się skryli, najsrożej wyszukać kazano. Był to tylko początek.

Zaledwo sześć dni po exekucji upłynęło, przyszedł rozkaz zebrania powtórnie wszystkich do Wołkowyska, bo pan okróżny chory, sam gdzieindziej zjechać nie może. Dla ludności rolniczej, Lipiec jest jednym z najpracowitszych miesięcy; oderwano nieszczęśliwych od robót w polu, poprzywiązywano do długich żerdzi za ręce i nogi, mężczyzn i kobiety pospołu, jak szlą w Rossji przestępców na Syberję, i tak z rozmaitych wiosek popędzono do Wołkowyska. Były w liczbie tych nieszczęśliwych ciężarne kobiéty, byli chorzy, nie jeden jeszcze po ostatniej nie wyleczony chłoście. Przeprowadzali ich strażnicy z kijami, krewni ze łzami towarzyszyli także, kobiéty głośno zanosząc się z płaczu; gromady posuwały się zwolna, wszędzie zgrozę i współczucie budząc. W wioskach po drodze karmiono ich, opatrywano potrzeby, wzdychano, płakano, ale cóż więcej biedni zrobić mogli? Obżałowanych, w drodze zaskoczyła burza; przemokli i zmęczeni, dowlekli się

do Wołkowyska. Tam pomieszczono ich w więzieniu, w policji, w oborze i stajni okróżnego, bito codzień i na schyzmę namawiano; po dwóch powiązani, oprowadzani byli po ulicach miasteczka. Na czwarty dzień tych prób, sprowadzono wszystkich na dziedziniec Nowickiego, gdzie pęki rózeg już były przygotowane. Suchoniuk dostał się znowu w ręce okróżnego; bity kilka razy nogami i kułakami wściekłego naczelnika, oblany wodą dla otrzeźwienia, dostał raz jeszcze 60 rózeg i zaprowadzonym został do cerkwi. Pop dał mu kawałek chleba i nieco kwasu, a pogładziwszy po twarzy, powiedział: «bądź chłopczyku prawosławnym, a będziesz spokojny i nikt ciebie bić nie będzie.»—«Nie byłem, nie jestem i nie będę schyzmatykiem odpowiedział młody męczennik, niech lepiej zabiją; dziękuję panu za śniadanie» — i skłonił się nizko popowi. Odprowadzono go do Nowickiego. — A co? czy przyjął prawosławje? zapytał. «To djabeł nie chłopiec odparł pop; gdzie tam on przyjmie, lepiej daj jemu pokój, tracisz sam tylko zdrowie i opinję; to zniewaga dla cerkwi, nieprzygotowanych i skrwawionych przysyłać dla przyjęcia komunji i oprowadzać po mieście, oburzysz pan tylko ludność całą; ja takich nawet nie przyjmę.» To powiedziawszy, zabrał innych księży i wyszedł; rozgniewany Nowicki kazał wszystkich więźniów po kolei ćwiczyć. Powstał jęk, krzyk; mnóstwo ludzi z miasteczka, od dni kilku z oburzeniem słyszących o domierzanych okrucieństwach, zebrało się przed domem Nowickiego; wyłamano wrota od dziedzińca, krzycząc: «Nowicki kat, łotr, tyran» piasek i kamienie posypały się na niego. W zebranym tłumie było wielu żydów, okróżny z razu odpędzał ich kułakami; gdy liczba ciągle wzrastała, przelękniony, kazał wszystkich więźniów z dziedzińca swojego wypędzić. Rzucono się ich rozwiązywać; młodzież z kancelarji rządowych spieszyła z jałmużną, żydzi rozdawali obwarzanki, cała ludność spieszyła okazać współczucie.

Nie był to jednak koniec. Wieczorem wprawdzie wybito Nowickiemu okna, z poczty przysyłano mu patenta na kata i t. p. na mieszkaniu przylepiano takiego rodzaju szyldy; w kilka dni potém na jarmarku w Zelwie nikt ręki podać mu nie chciał; dawni znajomi odwracali się, z urządzonego tam teatru, skoro ukazał się w nim, wyszli wszyscy, mówiąc głośno: «kat przyszedł, nie możemy być z nim razem.» Oburzenie istotnie było powszechne, ale do żadnego innego nie doprowadziło kroku, a na los więźniów nie wpłynęło bynajmniej. Nowicki, pomocnikowi swojemu, niejakiemu Janowiczowi, kazał się przenieść do Porozowa i całą tę sprawę jemu poruczył.

Dostawiono zbitych na furmankach do miasteczka; tam, z rozkazu Janowicza, przywieziono umyślnie przygotowane kłódki na nogi; kilka wozów rózg położono też przy mieszkaniu popa Kotlińskiego dla postrachu. Codzień przyprowadzano tam więźniów, na tak zwane

uwieszczewanja, to jest namowy. Kotliński pokazując narzędzia męki, prosił żeby przyjęli prawosławje dla uwolnienia się od nich. Odpowiadali : « lepiej umrzeć pod rózgami niż schyzmę przyjąć. » Po kilku dniach przyjechał Janowicz; uwięził sześćdziesięcio-siedmio letniego Bazyla Szopika, za to, że córki jego trzymały się katolickiej wiary, zbił, i do Dzieszkowiec odesłał. Do Porozowa zwołał okolicznych popów, i podwładnych swoich, setników, dziesiętników, i t. p. Zebrali się wszyscy na porozowskim rynku, przyprowadzono obżałowanych. Swiaszczennik Wosiński odezwał się : « Przyszła na was dziatki ostate-« czna biéda; mówiłem nieraz, że prędzej włosy na dłoni mojej wy-« rosną niż wam pozwolą zostać katolikami; przestańcie kaprysić, na-« rażać się na taki ból, skóry wam pozdzierają, sam Cesarz kazał was « codziennie ćwiczyć i pozabijają. Idźcie do cerkwi, tam czekają « was swiaszczenniki, wyspowiadają, i będziecie spokojni. Pomyślcie, « z czego żyć będziecie? ogrody wasze pozarastały, kartofle nie osypa-« ne,lny zielskiem zarosły, żyto wysypuje się; uporem swoim nie tylko « siebie ale i gospodarzy rujnujecie i odrywacie od pracy; zlitujcie « się nad sobą i nad bliźnimi. Chodźmy do cerkwi, wyspowiadacie « się, i wszystko będzie skończone. Nikt wam nie zabroni zachodzić « i do katolickiego kościoła, ale tak jak jest dzisiaj, pozostać nie może, « i Cesarz i zwierzchność na to nie pozwolą. » Milczeli — aż kilka głosów odezwało się : « ciała nasze w waszej mocy, ale duszy zgubić nie damy, nie pójdziem do cerkwi i do waszej spowiedzi. » Janowicz wtenczas, pomówiwszy z duchownymi, wskazał na przygotowane kłódki i rózgi. « Czy widzicie, zawołał, wszystkie na was pobiję, jeżeli tych będzie mało, drugie sprowadzę, i znowu bić będę, aż póki mnie prawosławja nie przyjmiecie. » Struchleli biedni, ale kiedy na powtarzane kilkakroć zapytania, odpowiedzieli, że gotowi umrzeć a wiary nie odstąpią, Janowicz krzyknął : « Umierajcie! » i przygotowani oprawcy, rzucili się na ofiary.

Piérwszą była, już tyle razy ćwiczona dziewczyna, Anna Szopikówna; rozebrana znowu do naga, publicznie na rynku, przewracana na wszystkie boki i ćwiczona, dostała przeszło 200 rózeg, a odniesiona omdlałą, ustąpiła miejsca siostrze Katarzynie, którą znowu zastąpiła trzecia z tej rodziny męczennica, Marjanna. Wszystkie skatowano tak samo. Oburzenie opanowało lud zgromadzony; mieszczanie, krewni, w końcu nawet żydzi, zrazu prosić, a potém łajać Janowicza zaczęli. Obecne duchowieństwo osypano też przekleństwami. Parochowie jeden po drugim wynieśli się do domu Kotlińskiego; wzburzenie rosło. Widząc to Janowicz przeląkł się sam, krzyknął na furmana, kazał podać konia i uciekł z miasteczka. To wybawiło pozostałych od katuszy.

Najwięcej stawiące oporu kobiéty, rozesłano do rozmaitych popów, dla nawracania. Szopikówny miały być u błahoczynnego Protasewicza;

zbitych i okrwawionych nie przyjął; odwieziono je do Dzieszkowiec Skąd, wytrzymawszy nowe groźby i postrachy, napowrót do niego wrócone były. Używał ich do żniwa, do różnych robót w polu; na noc dla postrachu w kaplicy na cmentarzu zamykał, bił w końcu i znęcał się — nic nie pomogło. Niektórzy popi, a zwłaszcza ich żony, z innemi kobiétami obchodziły się dobrze, nawet dodawały im ducha, szanując ich cnotę, ale to były wyjątki.

Po czterech tygodniach ciągłego przeprowadzania z miejsca na miejsce, rzucono się na nowy jeszcze sposób. Wszystkich obżałowanych zebrano znowu w Dzieszkowcach, a tam starszyna Ułas, który do każdej prawie exekucji należał, z polecenia Nowickiego zapowiedział im : że ponieważ Cesarz sam będąc prawosławnym, chce żeby wszyscy jego poddani do tegoż należeli wyznania, a oni temu się sprzeciwiają, więc kazał ich wysłać na granicę Syberji, jeżeli się nie upamiętają. Biédnych ludzi straszył, że tam lata nie ma a tylko wieczna zima i ciemność, mieszkańców bardzo mało, za to mnóstwo dzikich zwierząt karmiących się ciałem ludzkiém, i. t, p. Zaklinał, niby przez litość nad nimi, żeby nie gubili i siebie i rodzin. Wymowa nie przekonała; wtenczas pisarz gminny odczytał rozkaz zwierzchności, nakazujący : 1° Sprzedanie wszystkich ruchomości i całego dobytku, przez licytację. 2° Oddanie czwartej części podróżnym na drogę, dwóch czwartych pozostałym rodzinom, a resztę kancelarji i starszynom. W przeciągu dni kilku kazano przygotować się do drogi. Było to wymyślone, ale dusze przeboleć musiały, a przytém zrąbowano, zniszczono na mieniu nieszczęśliwych. Mając się za uprawnionych, sotnicy, dziesiętnicy, zabierali odzież, przetrząsali domy, wydzierali ostatni dobytek. Wielu się porozbiegało do lasów, skąd tylko na robotę w polu wychodzili. Stawiano exekucje, szukano zbiegłych, znalezionych wiązano i przy żerdziach, jak w początku, pędzono do okróżnego.

Nieszczęśliwi wysyłali od siebie deputację ze skargą do prezesa izby dóbr państwa, Kożewnikowa. Wypędził ją, nazywając ich buntownikami i oświadczając, iż póki nie przyjmą prawosławja, co tydzień będą odbierać : mężczyźni po 60, a kobiéty po 40 rózeg.

Położenie było straszne; co dziać się musiało w duszach tych biednych wieśniaków, opuszczonych przez wszystkich, nie mogących nawet w kościele znaleźć pociechy, bo bojaźń i ten przed nimi zamykała, jakże to wypowiedzieć? Niektórzy z nich, wśród męczeństwa, ulegli i do schyzmy się zapisali. O wszystkich nie mamy wiadomości. Papiery urzędowe nakazujące szukać wszędzie następujacych osób, które przyjąwszy Katolicyzm, po porozowskiém prześladowaniu skryć się potrafiły, wskazują, że do końca nie uległy. Były to : Antoni Hrehorowicz z Porozowa, Magdalena z Szopików Romanowska, Rozalja Rośnikiewiczowa, Anna, Marjanna i siostra ich stryjeczna Katarzyna, Szopikówny,

Dominika Januszkiewiczówna. Dodać do nich jeszcze musimy, starą Rodoszkowę z córką, Wiktorję Nieczyporównę, Michała Petrulewicza, Elżbietę Kładkiewiczowę. Niektóre z tych osób, zwłaszcza kobiéty, połapano potém i posyłano na pokutę do żeńskiego rossyjskiego monastéru w Grodnie; trzymane tam w odosobnieniu od rodzin, przez litość czernic były czasem pokryjomu puszczane do domów; ale byle się który z błahoczynnych o tém dowiedział, porywano je znowu i odwożono, a raczej odprowadzano napowrót. Trwało to lata całe; zrujnowanym ostatecznie na mieniu, nie zostawiano prawie chwili wytchnienia. Dzieci Romanowskiej z przeziębienia w tych przeprawach umarły. Wszystkie krzyże i boleści dotknęły tę wybraną duszę, zanim palmę zwycięzką odebrać miała.

VI.

Publiczne katowanie włościan, gromady ludzi spokojnych, gospodarzy i rolników miejscowych, przeprowadzanych na żerdziach jak złoczyńcy, zbitych i pokrwawionych, w okolicy ludnej, w czasie jarmarku Zelwiańskiego, zgromadzającego przyjezdnych ze stron wielu, wywołało oburzenie ogólne, a rozniosło tę sprawę po całej Litwie. Doszły te wieści do Wilna, a były to czasy liberalizmu Cesarza Aleksandra; kwestja włościańska już była podjętą, skazani na wygnanie wracali do domów; nie jeden z politycznych wychodźców po trzydziestu prawie latach pobytu za granicą przyjeżdżał do kraju i dobrze był przyjęty; zapowiedziany był przyjazd Cesarza, a władze głosiły, że miały mu towarzyszyć wielkie łaski : przywrócenie Uniwersytetu Wileńskiego, zaprowadzenie prawdziwej tolerancji, oddanie praw dawnych Kościołowi katolickiemu, i. t. d. Powiedziano o porozowskich gwałtach Nazimowowi; zatrwożył się, a w gruncie ludzki i dobrych instynktów człowiek, zabolał; rozkazał sprawę wstrzymać, i polecił, aby odtąd wszystkie tego rodzaju interesa duchowieństwo schyzmatyckie łącznie z katolickiem załatwiało, bez wdawania się policji i władz cywilnych. — Cesarz istotnie Mińsk i Wilno odwiedził, a choć nic dla prowincji nie uczynił, był grzecznym, sam w kościołach katedralnych assystował katolickiemu nabożeństwu co nigdy za Mikołaja się nie zdarzyło; o porozowskiej sprawie uwiadomiono otaczające go osoby, nareszcie dzienniki zagraniczne mówić o niej zaczęły; przysyłano Nazimowowi z Petersburga numera gazet. Pojechał sam do Grodna żeby się przekonać i sprawdzić. Wezwano do jenerał-gubernatora duchowieństwo prawosławne i katolickie z wołkowyskiego dekanatu; żalił się, że spory ich między sobą zakłócają mu spokój, że z powodu sprawy porozowskiej oczerniono go przed obcemi nawet narodami, zapytywał czy istotnie bito włościan w Porozowie

i Wołkowysku? — Błahoczynny i popi twierdzili stanowczo że nie. Niedawno na plebana do Porozowa przysłany ks. Pisanko tłumaczył się, że jeszcze wtenczas w parafji nie był; mogło wszystko znowu wpaść w wodę. Ks. Kontrym wystąpił wtenczas i całą rzecz najszczegółowiej opowiedział, mówiąc, że nawet pokrwawione koszule nieszczęśliwych ma na dowód u siebie; wystawił zarazem całe położenie duchowieństwa katolickiego i Kościoła. Nazimow dziękując mu za szczerość ucałował, jako najzacniejszego w gubernji człowieka gubernatorowi Szpejerowi polecił, słuszność jego uwag uznał, publicznie powiedział, że wszystkiemu co słyszał wierzy, a śledztwo szczegółowe dla ukarania winnych nakazał, osobną w tym celu komisję przysłać obiecał, sam zaś do Wilna powrócił.

W połowie Grudnia, znajomy nam Pawłow znowu na śledztwo nad Nowickim i jego podwładnymi i współzbrodniarzami zjechał. Wszystko co ks. Kontrym zaświadczył, a cośmy tu pokrótce opowiedzieli, okazało się prawdą. Ale po upływie dwóch miesięcy, Nowicki za karę, do Nowogrodu tylko na takąż posadę okróżnego przeniesionym został. Janowiczowi, Ułasowi i innym, przebaczono, dla tego, że spełniali rozkazy przełożonych swoich. Błahoczynnego Protasewicza zastąpił inny, a wszystko pozostało jak było. Zbiegłych nie odszukano. Ujętą w domu przy mężu i dzieciach Magdalenę Romanowską z siostrą jej Anną Szopikówną, przez kilka lat trzymano w monastérze czernic w Grodnie; gdy wiary odstąpić nie chciały, z rozkazu tegoż samego Nazimowa, dla zadosyćuczynienia jak się wyrażano, żądaniu Arcybiskupa i Metropolity litewskiego, Józefa Siemaszki, wysłano do czernihowskiej gubernji, do monastéru Wniebowzięcia Matki Boskiej. Dnia 9 Czerwca 1862 roku biédne kobiéty, oderwane od rodzin, a Magdalena od męża, na furmance, od dziesiętnika do dziesiętnika, powieziono na miejsce przeznaczenia.

RAPORT

JENERAŁA CHRZANOWSKIEGO

PO BITWIE POD NOWARĄ

DO JENERAŁA DABORMIDA

MINISTRA WOJNY KRÓLA SARDYŃSKIEGO (1).

Główna kwatera w Chivasso, 9 *Kwietnia* 1849 *roku.*

Panie Ministrze!

Ostatnie działania wojenne dokonane nad brzegami Tessynu nadto wielkiej są wagi, abym nie czuł potrzeby przełożenia Panu Ministrowi nie tylko dokładnego wykazu wszystkich operacji wojskowych dokonanych w dniach : 20, 21, 22 i 23 Marca, ale nadto skreślenia pokrótce rozmaitych okoliczności, odnoszących się przeważnie do armji, które uprzedziły wypowiedzenie zawieszenia broni.

Dnia 7 Stycznia 1849 roku wezwano mnie do Turynu, żądając abym był przytomny Radzie Ministrów, mającej roztrząsać i ostatecznie rozstrzygnąć kwestję niezwłocznego rozpoczęcia kroków wojennych.

Na tém posiedzeniu, przekładałem najwyraźniej PP. Ministrom, że opinja większości oficerów i żołnierzy przeciwną jest tej wojnie, że więc przypuszczać należy, iż tylko jedno uczucie obowiązku popchnie ich do boju. Dodałem, że na nieszczęście, z powodu dzisiejszego stanu umysłów we Włoszech a nawet i w Pjemoncie, uczucie obowiązku niezmiernie jest osłabione w armji, i że wojsko bardzo mało okaże zapału. Zmiana ta, w armji której karność i odwaga od dawna są znane całej Europie, nie zadziwi, jeżeli się zastanowimy nad mnóstwem przyczyn, które wszystkie, jakkolwiek rozmaitemi drogami, przyczynić się musiały do jej zdemoralizowania. I tak : obraz cierpień i klęsk nad Mincio

(1) Po śmierci Jenerała Chrzanowskiego, autentyczna kopja tego raportu w języku francuzkim, pochodząca z papierów Jenerała, dostała się do zbiorów Towarzystwa historyczno-literackiego. Ponieważ rzuca wielkie światło na trudności z jakiemi walczyć musiał wódz polski, ogłaszamy ją tutaj w przekładzie, dla ułatwienia opinji publicznej sądu o rodaku wygnańcu, walczącym za niepodległość obcego narodu.

zawsze był przytomny pamięci żołnierza. Nie zapomniał on scen medjolańskich i obelg jakiemi Król był obrzucony. Wiedział on, że Pjemont opuszczony przez wszystkie państwa włoskie, miał sam rozpocząć walkę‘ którą potępiała reszta Europy. Naresztę, stronnictwa szarpiące całe Włochy, potrafiły i w armji zasiać ziarna swych przesadzonych idei, i ślepych a gwałtownych namiętności.

Ministrowie żądali abym zmienił oficerów. Przełożyłem wtenczas, iż organizacja armji nie przygotowała niezbędnych dla tego żywiołów, któreby nowych oficerów dostarczyć mogły, że więc nie wiadomo skądby ich brać przyszło; że zresztą, słabość armji w znacznej części pochodzi stąd, iż rozszerzając jej kadry do rozmiarów w jakich to miało miejsce, musiano posunąć na wyższe stopnie znaczną liczbę indywiduów, nie posiadających już odpowiedniego nowym obowiązkom uzdolnienia.

Zapytano mnie wtenczas, czy można kroki wojenne rozpocząć dnia 15 Stycznia.

Odpowiedziałem, że było to zupełném niepodobieństwem. Wyliczyłem wszystko, czego jeszcze nie dostawało armji, żeby mogła wojnę prowadzić i zgodzono się odroczyć jeszcze jej rozpoczęcie.

Z Aleksandrji wysłałem dwa raporta (których kopję niżej przytaczam) a z nich przekona się Pan Minister, ilu głównych, niezbędnych podług mnie rzeczy, nie dostawało jeszcze armji, aby mogła kroki wojenne rozpocząć. Kopje tych raportów przesłane zostały Jego Królewskiej Mości, Ministrowi wojny i księdzu Gioberti Prezesowi Rady Ministrów.

Raport Nr. I. « Przygotowania niezbędne do prowadzenia wojny. Ponieważ ilość gotowej amunicji jest wystarczającą, główne przeto przygotowania, niezbędne do prowadzenia wojny, odnoszą się do umundurowania wojska, do urządzenia zakładów i do żywności.

« *Umundurowanie.* Żołnierze, zmuszeni przez kilka miesięcy spać na słomie, nie rozbierając się, zniszczyli bardzo mundury swoje. Dla tego, zaraz po rozpoczęciu kampanji, większa część ich odzieży, mundury, płaszcze i spodnie, będą zupełnie zdarte. Już dzisiaj korpusy z wielką trudnością dostają brakującą im odzież; a cóż stanie się wtenczas? Rząd przeto powinien się postarać, aby miał w magazynach swoich jak można największą ilość tych rzeczy niezbędnie potrzebnych, a już uszytych i zupełnie gotowych. Gdyby można było mieć odzież na 40,000 ludzi, ilość ta nie byłaby zbyteczną.

« *Zakłady.* Doświadczenie przekonało, iż w piętnaście dni po rozpoczęciu kroków wojennych, armje zmniejszają się o piątą część, w stosunku do ilości ludzi składających je przy wyjściu z ostatnich garnizonów, a to z powodu marszów i znużenia. Przy dobrej ozganizacji zakładów, każdy pułk, w pewnym przeciągu czasu, po rozpoczęciu wojny,

mógłby otrzymać zasiłek z 200 ludzi, dla zapełnienia na nowo swych kadrów. Ludzie ci podzieleni w zakładach na tymczasowe kompanje i sformowani w bataljony pochodne, łączą się ze swemi dywizjami. Taki sposób zużytkowania zakładów, przekładam nad formowanie czwartych bataljonów; te bowiem wymagałyby nominacji dwustu przynajmniej oficerów, a po pewnym przeciągu czasu, przy dłuższém trwaniu wojny, wszystkie bataljony okazałyby się za słabe.

«*Żywność.* Ponieważ nie można się spodziewać aby w Lombardji znalazły się środki niezbędne do wyżywienia armji, ta więc przez cały czas trwania kampanji, będzie musiała mieć prawie całą żywność przywiezioną z Pjemontu. Trzeba zatém, aby armja miała niejako przy sobie miesięczną swą żywność, a oprócz tego, aby środki wyżywienia na dwa miesiące, przygotowane były w różnych miejscowościach Pjemontu; nabycie zaś ilości potrzebnej na dalsze jeszcze trzy miesiące, zapewnioném było z góry. Takim tylko sposobem, można będzie zabeśpieczyć się na przypadek długiej kampanji, a także zastąpić w każdym razie żywność spożytą przez przygotowane wcześnie zapasy, a te znowu, przez nowe kupna.

Organizując tę gałąź służby, rząd powinienby dobrze rozważyć, czy nie korzystniej dla niego będzie, nie rozwiązywać zawartych już z przedsiębiercami kontraktów, co pociągałoby za sobą uciążliwe wypłaty, ale raczej utrzymać te kontrakta, wprowadzając tylko do nich niektóre modyfikacje. Skoro wojna zostałaby przeniesioną do Lombardji, przedsiębiercy byliby obowiązani dostarczać prowjanty do Pawji, a tam zdawać je administracji wojskowej, której obowiązkiem byłoby, dostawiać żywność do miejsc wskazanych, stosownie do potrzeb armji. Czy myśl ta będzie przyjętą, czy nie, zawsze uważałbym za rzecz użyteczną, dawać żołnierzom ciągle suchary, a chleb tylko wyjątkowo, w razach, kiedyby miano zupełną pewność pozostania na miejscu przez dni kilka. Mianoby do wyboru suchary rossyjskie, mogące trwać całe miesiące bez zepsucia, a kosztujące mało co więcej nad chleb, suchary francuzkie, trwające dni piętnaście i suchary morskie (*galettes*) najtrwalsze, ale też najkosztowniejsze ze wszystkich.

«Dodać muszę jeszcze ogólną uwagę, iż przygotowania wojenne, jako z natury swojej bardzo różnorodne, dla tego samego dużo wymagają czasu. Dobrze zaś wykonać się dają, tylko w dwóch razach: Naprzód, kiedy w narodzie, przyzwyczajonym do częstych wojen, wyrobi się przez samą *rutynę* pewna metoda gotowania się do wojny. Powtóre, kiedy główny kierunek tych przygotowań, zwierzonym bywa jednej, dobrze z tém obeznanej osobie, a raz przyjęty systemat nie ulega ustawnym zmianom.

«Mam zaszczyt oświadczyć Waszej Królewskiej Mości, że kopję tego raportu posyłam ministrowi wojny, etc. etc. «

Raport N. 2. « Stosownie do rozkazów W. Kr. Mości mam zaszczyt przełożyć kilka uwag, tyczących się środków zabeśpieczenia zdrowia i sił żołnierza, przygotowań niezbędnych dla postawienia armji na stopie wojennej, i tego, co uczynić potrzeba dla podtrzymania wojny.

« Co się tyczy zdrowia żołnierzy, winienem zauważyć :

« 1) Że brak kołder na leżach wojskowych sprawia, iż często zamiast na dwóch żołnierzy jak być powinno, jedna kołdra zaledwo się na trzech dostaje.

« 2) Że w szpitalach, po większej części dwóch żołnierzy kładą do jednego łóżka, co zawsze opóźnia ich wyzdrowienie, a czasem staje się powodem śmierci.

« Dodać muszę, że w szpitalach zaprowadziło się robactwo, nie dające się wyniszczyć dla braku bielizny, której małą zaledwo ilość posiadają te zakłady, co tém dotkliwiej czuć się daje, że ostra pora roku nie dozwala prędkiego jej mycia.

« Dla uporządkowania tej gałęzi służby, potrzeba jeszcze około 3000 łóżek i 10,000 koszul.

« Dla zapobieżenia niedogodnościom, wynikającym z tego braku rzeczy niezbędnych i dla ulepszenia żołnierskiego posłania, tak na leżach, jako też i w szpitalach, rząd powinienby nabyć brakujące przedmioty i rozdawać je w miarę tego, jak mu dostawiane będą.

« *Przygotowania wojenne.* Dla postawienia armji na stopie wojennej, pozwalającej jej rozpocząć kampanję, należy uorganizować i zaopatrzyć służby : żywności, szpitalów wojennych i saperów inżynierji.

« *Służba żywności.* Bieg Padu może ułatwić stopniowe zakładanie magazynów w Pawji, Cremonie, Guastalli, które mogą nowe zapasy żywności otrzymywać wodą. W każdym razie, dla tego aby armja nie doznała braku żywności i mogła manewrować swobodnie, koniecznem jest, służbę tej gałęzi dobrze uorganizować, a żywność na dni dziesięć mieć zawsze gotową na wozach. Wtenczas tylko armja będzie mogła oddalić się o cztéry marsze, od najbliższego magazynu.

« Organizację składu tej gałęzi, rozpoczęto już wprawdzie ; nie można jednak spodziewać się, aby przeróżni urzędnicy, zdołali w krótkim czasie nabyć tej wielkiej wprawy, jaka jest niezbędną dla dobrego pełnienia tych obowiązków, tém bardziej, że większa część wybranych do dzisiejszego dnia indywiduów, nie okazuje najmniejszej zgoła znajomości tego rodzaju służby.

« Rząd powinienby największe uczynić wysilenie dla nabycia w jak najkrótszym czasie, wozów i koni do przewożenia żywności. Obecnie, armja posiada takich wozów 80 ; 220 jest już obstalowanych i te wkrótce nadejść mają, ale dla dostawy żywności, potrzebaby około tysiąca wozów. Również potrzeba daje się czuć i co do koni. Nabycie 3000 koni pociągowych, nie byłoby zbytecznem. Komissorjat (*la Provianda*) po-

siada dzisiaj wszystkiego zaledwo 1600 koni, przeznaczonych pod park rezerwowy pontonjerski, pod ambulanse, i służbę żywności. Ponieważ nabycie tak wielkiej ilości wozów i koni, w przeciągu dwóch miesięcy, jest niepodobieństwem, możnaby temu w części zaradzić, dostawszy potrzebną ilość wozów zaprzężonych wołami, które mogłyby żywność o dwa marsze od najbliższego magazynu przewozić, skąd znowu konne furmanki dostawiałyby ją do armji.

« *Służba wojskowych szpitalów.* Armja dobrze przygotowana do wojny zaczepnej, powinna mieć z sobą wszystko co jest potrzebne dla uorganizowania wojskowych szpitalów. Ilość chorych, na którą przygotować się należy, obliczać wypada, na dziesiątą część sił rzeczywistych całej armji. W żadnym razie, nie należy się spuszczać na środki jakich kraj dostarczyć może. Bitwy nie zawsze się staczają w pobliżu wielkich miast, a przy największej nawet baczności, zawsze jeszcze wielu rzeczy szpitalom niedostawać będzie.

« Rząd powinienby przygotować dla szpitali wojskowych 6000 sienników, które raz napełnione, dałyby tyleż łóżek, szerokich na metr jeden, i 9 do 10,000 prześcieradeł, a 12,000 koszul.

« *Służba saperów i inżynierji.* Za pomocą nowych rekrutów, bataljon saperów, w ostatnich czasach na pułk przetworzonym został; nie mało więc jeszcze czasu upłynie, nim ci rekruci, służby swojej dokładnie wyuczyć się potrafią. Drugą wadę w tej gałęzi służby stanowi to, iż parki inżynierji dotychczas są tylko w projekcie.

« Rząd powinienby zająć się niezwłocznie, jak najśpieszniejszém uorganizowaniem tych parków, gdyż dywizje nie mające ich podczas kampanji, co chwila w ruchach swoich byłyby zatrzymywane, przez rowy i kanały, tak liczne w Lombardji.»

Gdy 15 Lutego 1849 roku, Jenerał Bava otrzymał rozkaz zdania mnie głównego dowództwa armji, napisałem zaraz do ministra wojny, iż to dowództwo tymczasowo tylko przyjąć mogę.

Wezwany wtenczas zostałem do Turynu, dnia 17 Lutego. Tam przełożyłem na posiedzeniu Rady Ministrów, że brak zapału w żołnierzu i niepopularność tej wojny w wojsku, konieczną czynią przytomność Króla w armji, dla podniesienia jej ducha i rozbudzenia zapału. Że ponieważ Król może się znajdować przy armji tylko jako głównodowodzący, mnie więc ten tytuł udzielonym być nie może.

Ministerjum, uznawszy słuszność tych uwag, postanowiło, iż głównodowodzącym będzie Król, ja zaś Majorem jeneralnym armji, (Generale Maggjore) z taką odpowiedzialnością za operacje wojenne, jaka jest przywiązaną do naczelnego dowództwa.

Po załatwieniu tej kwestji, przełożyłem Ministrom, iż dwa są sposoby prowadzenia wojny : piérwszy zależy na przeciąganiu jej jak najdłużej, nie powierzając nic losowi, i ograniczając się na otrzymywaniu drobnych

korzyści któreby wycieńczały nieprzyjaciela, zanim przyjazne okoliczności wydarzyćby się mogły — drugi, na zwróceniu od początku sił wszystkich i całej czynności ku jednej stanowczej bitwie.

Zwracałem uwagę na to, iż trzymając się ostatniego systematu wszystkobyśmy stracili w razie przegranej, kiedy zwycięztwo nawet, pozwalając nam wprawdzie posunąć się naprzód, postawiłoby w konieczności postawienia znowu wszystkiego na kartę w drugiej albo jeszcze i trzeciej bitwie, zanimbyśmy nieprzyjaciela do korzystnego dla Włoch traktatu zmusić mogli. Ta różnica następstw jednej przegranej bitwy dla nas i nieprzyjaciela, pochodzi z wielkiej nierówności środków obu stron wojujących, i z silnych linji na których się opierał nieprzyjaciel. Wyłożywszy tę rzecz, zapytywałem ministerjum, jakiego rodzaju wojnę mam prowadzić.

Ministerjum odpowiedziało, iż powinienem prowadzić wojnę żwawą, stawiać wszystko na kartę, aby jak najprędzej zmusić nieprzyjaciela do zawarcia pokoju.

Takim sposobem zawyrokowawszy o sposobie prowadzenia wojny, zapytano mnie czy armja jest gotową do rozpoczęcia kampanji.

Wyliczyłem mnóstwo powodów sprzeciwiających się takiemu postanowieniu, i oświadczyłem, iż chcąc prowadzić wojnę, trzeba było najpiérwej zająć się przygotowaniami do niej o których tyle razy mówiłem, a które zaniedbano dotychczas, szczególniej zaś uorganizowaniem służby zdrowia, saperów, żywności i transportów, co wszystko zaledwo rozpoczętém było, a o co się domagałem w obu przytoczonych wyżej raportach.

Ministerjum przyrzekło zająć się tém wszystkiém i zadość uczynić żądaniom moim, domagając się wzamian, abym się urządził stosownie do jak najrychlejszego rozpoczęcia wojny.

W ciągu Lutego ważne symptomata objawiły się w armji. Zbiegostwo rozpoczęło się w wielkich rozmiarach; żołnierze odbierali bezimienne listy dążące do zdemoralizowania ich; powstały w pułkach konspiracje między żołnierzem, mające na celu niedopuszczenie do wojny. Posłałem do Turynu projekt do prawa (modyfikujący dekret 10 Października) chcąc mieć możność szybkiego i energicznego poskromienia zła, i pragnąc zarazem uwolnić się od krępujących dotychczas formalności, które niepodobném czyniły natychmiastowe ukaranie przestępców; odpowiedziano mi, że projekt ten, przełożony Jzbom, jako niekonstytucyjny, odrzuconym został. Takim sposobem, władza wojskowa pozbawioną została środków niezbędnych do skutecznego zaradzenia złemu.

W piérwszych dniach Marca, Jenerał Chiodo, minister wojny, przybył do Aleksandryi, dla obeznania się ze stanem armji i przekonania się

osobiście czego jej jeszcze brakowało dla rozpoczęcia kroków wojennych. Wręczyłem mu długą listę naszych potrzeb, w której wymieniwszy rzeczy mniejszej wagi, najbardziej nastawałem na to, co się zawierało w przytoczonych wyżej raportach, wyłączny kładąc nacisk na uorganizowanie służby saperów i dostaw, zwracając uwagę na to, iż nie mieliśmy ani jednego pociągowego konia dla przewiezienia tak głównego parku jako też i pontonów. W liście tej wskazałem także, żeśmy nie mieli potrzebnej ilości koni w ambulansach, których mała część tylko posiadała zaprzęgi, że służba zdrowia dotychczas uorganizowaną nie była, że nareszcie nowoutworzona intendentura, (w której prywatnych przedsiębierców zastępował sam rząd) działała dotąd w sposób niezadawalniający, przy małych nawet poruszeniach wojsk.

Po wypowiedzeniu zawieszenia broni, kłopoty pod tym względem zwiększyły się jeszcze, z powodu odstawki głównego dyrektora tej służby, pułkownika Aliandi, któremu za następcę dało ministerjum Jenerała Montale, mianując go Jenerał-Jntendentem armji, a który obcy zupełnie składowi tej administracji, nie miał już materjalnie potrzebnego czasu aby się w niej rozpatrzył.

Zwróciłem uwagę Jenerała Chiodo i na to, że w pułkach brakowało znacznej liczby niższych oficerów, co często szkodliwie dawało się czuć w armji. (Nominacje tych oficerów otrzymano w głównym sztabie armji zaledwo po skończonej wojnie).

Dnia 7 Marca, dwaj ministrowie, Tecchio i Cadorna przybywszy do Aleksandryi oświadczyli mi, iż Rząd i Jzby postanowiły wypowiedzieć zawieszenie broni, dnia 10 Marca.—Zapytywali, czy armja gotową jest do rozpoczęcia kampanji? Odpowiedziałem, że wojska rozłożone nad granicą, mogą być zgromadzone w przeciągu dni czterech; ale że część wojska stojąca pa drugiej stronie Turynu, musi zrobić ośm etapów, zanim się z główną armją połączy; że zresztą rozmaitym gałęziom służby brakowało wielu rzeczy niezbędnych, bez których działać nie mogły, i że niepodobna rozpoczynać wojny nie zaradziwszy pierwej tym niedostatkom.

Zapytywałem ministrów jakie przeważne pobudki popychały rząd do tak gwałtownego zerwania zawieszenia broni? Odpowiedzieli mi, że Lombardczycy czekać dłużej nie mogli, a że się zbliżała rocznica rewolucji medjolańskiej, i trzeba było skorzystać z zapału jaki ta pamiątka niezawodnie wywoła

Nie mogłem się wstrzymać od przekładania ministrom, że obydwie pobudki nie zdawały mi się dostatecznemi, i że należało jeszcze zastanowić się głęboko, przed odważeniem się na krok tak stanowczy, nie będąc do niego neleżycie przygotowanym. Dodawałem, że pod względem politycznym, zwłoka mogła być tylko korzystną, bo dałaby ruchowi słowiańskiemu (o którym ministerjum było uwiadomione) czas do roz-

winięcia się i osłabienia przez to samo Austryi; na co w uprzednich rozmowach moich nieraz nalegałem.

Zapytywałem poźniej, czy rząd zaopatrzył się już w fundusze potrzebne do utrzymania armji? Odpowiedziano mi że pieniędzy nie mają, ale że Genua ich dostarczy, skoro zawieszenie broni wypowiedzianém będzie.

Dnia 12 Marca po południu, nie odebrawszy żadnej wiadomości, a lękając się aby pomimo wszystkich przekładań moich, nie upierano się przy piérwszym projekcie, zapytałem przez telegraf czy zawieszenie broni wypowiedziano, lub nie? Odpowiadano mi tąż samą telegraficzną drogą, że *wypowiedziano*. — O północy odebrałem list Jenerała Chiodo uwiadamiający mnie o tém.

Tak więc, jedynym skutkiem uwag moich o niemożności sprowadzenia na linję bojową pułków rozłożonych po drugiej stronie Turynu, było odroczenie tego ważnego postanowienia o dwa dni tylko. Co się zaś tyczy innych przełożeń moich, o braku organizacji rozlicznych gałęzi służby, te żadnego nie miały skutku i myślano, iż się w przeciągu ostatnich dni ośmiu więcej da zrobić w tym względzie, niż było dokonano w ciągu ośmiu uprzednich miesięcy. To też, cała ta organizacja pozostała niedostateczną, co właśnie czuć się dało w ciągu nie wiele dni trwającej kampanji.

Mogłem był wprawdzie nie ograniczać się na uwagach i przełożeniach, ale sam obcy krajowi, zmordowany już byłem walką, jaką sam jeden od dwóch miesięcy toczyłem z namiętnościami, które opanowawszy kluby, prassę, izby, rząd i samego nawet Króla, pchnęły wszystko ku katastrofie, aż nadto prawdopodobnej.

Zresztą, używszy wszystkich dowodów zdrowego rozsądku dla oddalenia wybuchu wojny, miałem już tylko jeden do użycia środek; mogłem sam się usunąć. Ale nosząc mundur, czułem wstręt do usuwania się od boju w chwili rozpoczęcia wojny, na którą widziałem że bądź co bądź zdecydowani byli. Myśliłem, że w takiej chwili podana dymissja moja, byłaby na niekorzyść armji wytłumaczoną, zaszkodziłaby więc narodowi w jego stosunkach z innemi mocarstwami, wzmogłaby zaufanie nieprzyjaciela, i samej armji posłużyłaby jeszcze za nowy argument przeciw tej wojnie, już dzisiaj nieuchronnej. Składając główne dowództwo, sprawiłbym większe jeszcze zamięszanie, i mógłbym być obwiniany o to, iż sam się stałem przyczyną demoralizacji wojska. Myśliłem w końcu, iż szlachetny i rycerski charakter Króla, połączony z wielką ufnością jaką mnie zaszczycał, wkładały na mnie obowiązek nie opuszczania go w tak stanowczej chwili.

A teraz panie Ministrze, wyłożywszy panu wszystko co się ściągało do przygotowań, przejdę do samych operacji wojennych.

Według wiadomości jakie o armji nieprzyjacielskiej zebrać było

można, należało przypuszczać, iż armja ta, zostawiwszy nawet bardzo słabe załogi w rozmaitych miastach Lombardji, nie więcej nad 60,000 żołnierza w pole wyprowadzić będzie w stanie.

Siły nasze czynne składały się z siedmiu dywizji (w tej liczbie jedna rezerwowa) z brygady przedniej straży, z trzeciej brygady składanej, pod rozkazami Jenerała Solaroli, z dwóch bataljonów bersaljerów, i z ośmnastu czwartych bataljonów.

Z całej tej siły, szósta dywizja, w innych politycznych celach posłana na wybrzeże morskie, znajdowała się wtenczas w Sarzano, i nie miała już czasu połączyć się z główną armją; zmuszony więc byłem wyznaczyć jej inne przeznaczenie, którego celem byłoby tylko powiększenie korzyści, jakieby się otrzymać dały.

Brygada przedniej straży obserwowała Pjacencę i neutralizowała tym sposobem daleko znaczniejszą nieprzyjacielską siłę. — Za pośrednie ogniwo łączące ją z Aleksandryją, służyły trzy czwarte bataljony postawione w Voghiera, a składające zarazem część załogi samej Aleksandryi, w której zostawały tylko trzy bataljony rezerwowe. Dwa czwarte bataljony składały załogę Turynu, dwa były w zawiadywaniu intendentury, a trzy eskortowały rozmaite parki. — Reszta armji przeznaczoną była do działania razem, i miała wziąść udział w wielkiej, stanowczej bitwie. Siły tej armji wynosiły trochę więcej nad 60,000 żołnierza — tak, że w dniu, w którymby przyszło do starcia, mogliśmy stawić czoło nieprzyjacielowi, z równą, jeżeli nie przewyższającą go siłą.

Granica ciągnie się tak, że gdybyśmy rozpoczynali kroki zaczepne, najdogodniejszą dla nas pod wszystkiemi, tak wojskowemi jako też politycznemi względami, byłaby linja idąca z Nowary na Medjolan.

Przeciwnie, gdyby nieprzyjaciel wojnę zaczepną miał prowadzić, mógłby dla wtargnienia do Pjemontu wybrać jedną z czterech linji :

1). Drogę prowadzącą z Medjolanu do Nowary.

2). Skoncentrowawszy siły swoje pod Pawją, drogę z Pawji do Mortary.

3). Pochód na Oleggio.

4).Prawym brzegiem Padu pochód na Aleksandryję.

Mniej prawdopodobném jednak było, aby wybrał który z dwóch ostatnich kierunków.

Odbierane w ostatnich dniach wiadomości z Lombardji donosiły zgodnie, iż duch armji austryjackiej wcale nie był dobry; nowiny jednak, z którychby cokolwiek bądź o projektach nieprzyjaciela wnosić było można, były bardzo niejasne, a nawet zupełnie z sobą sprzeczne. Nie można z nich było powziąć najmniejszej pewności, ani o miejscu gdzie się znajdowały siły nieprzyjacielskie, ani też o ich ruchach. — Według jednych, 10,000 ludzi było w Magenta, a znaczne massy w Sadriano ,kiedy inni twierdzili, iż się bardzo mało wojska znajdowało na tej drodze. Z drugiej z nowu strony donoszono, że armja austryjacka cofała

się za Addę, że pod Cresme zakładano obóz oszańcowany i że marszałek Radecki przeniósł się do tego miasta. Jnne nowiny zapowiadały, że 5,000 ludzi maszerowało ku Pjacencji, a prócz tego ostrzegano jeszcze iż w Pawji oczekiwano 4,000 żołnierza. Raporta donoszące o ruchu całej armji austryjackiej ku Pawji, doszły zaledwo 20 Marca o godzinie 10 wieczorem, i 21 w ciągu dnia. — Niezawodną dzisiaj jest rzeczą, że nieprzyjaciel, aż do 19 wieczorem, zostawiał silne korpusy w Magenta i Sadriano.

Niepewność ta co do ruchów i zamiarów nieprzyjaciela, zmuszała wszakże do obrania pozycji, któraby pozwoliła stoczyć walkę ze wszystkiemi zgromadzonemi siłami, jakiejby linji nieprzyjaciel nie obrał. W tym celu wojska rozstawione zostały jak następuje:

Dywizja druga. Jedna brygada w Cassolnovo a druga w Cerano.
— czwarta. Przed Trecato, z przednią strażą przy moście Buffalora.
— trzecia. Jedna brygada pod Romentino a druga w Galliate.
— pierwsza. Około Vespolate.

Dywizja rezerwy pod Nowarą, na drodze do Mortary.

Dla obserwowania nieprzyjaciela, na lewo od tej massy pięciu dywizji, trzecia brygada Jenerała Solaroli rozłożoną była między Oleggio i Bellinzago, związana z główną armją ustawionemi za nią wschodami czterech czwartych batalјonów.

Dla obserwowania nieprzyjaciela ze strony Pawji i dla zabeśpieczenia armji od niespodzianej napaści z tej strony, dano rozkaz piątej dywizji, zajęcia 20 Marca rano pozycji przy Cava, dosyć mocnej samej przez się, i wystawienia małej przedniej straży nad Gravelonem; wysyłania wzwiadów aż do portu Bereguarda, gdzie miały się spotkać z posterunkami jazdy, które druga dywizja miała rozkaz rozstawić wzdłuż brzegów Tessynu, począwszy od portu Bereguarda aż do Casselnuovo. Cztéry czwarte bataljony rozłożone około Vigevano miały służyć za łączniki między drugą i piątą dywizją.

Oprócz instrukcji na piśmie, udzieliłem jeszcze ustnie 16 Marca, Jenerałom Ramorino i Fanti, a także pułkownikowi Berchet, naczelnikowi sztabu tej dywizji, szczególnych objaśnień, co do ruchów jakie wykonać byli obowiązani, w każdym wypadku jaki się mógł wydarzyć, wskazując im, jak dywizja w razie każdego z tych przypuszczeń znaleźć się była powinna. Dałem im poczuć, że w pozycji przy Cava byli beśpieczni, byleby na lewém skrzydle pilne utrzymywali wzwiady, ponieważ w potrzebie mieli zapewniony odwrót, albo przez San-Nazzaro albo przez Mortarę, albo nareszcie przez most Mezzanocorte.— Zaleciłem im prócz tego wielką przezorność dnia 10 Marca, rozkazując nie występować zaczepnie aż do 21, kiedyby się przekonali, iż nieprzyjaciel słabsze od nich ma siły.

Rozmyśliwszy się, iż jenerał Ramorino, mógł skorzystać pod jakim bądź pretextem z zostawionej mu swobody w instrukcjach, pozwalających cofnąć się przez most Mezzanacorte na prawy brzeg Padu, co się planom mòim sprzeciwiało, napisałem do niego 17 Marca, aby 20 przed południem, użycie mostu pod Mezzanacorte uczynił niemożebném. — Spodziewałem się zmusić go tym sposobem do pozostania na lewym brzegu Padu, w gotowości połączenia się z resztą armji.

Zająwszy te pozycje, armja była przygotowaną na wszelki wypadek. Gdyby nieprzyjaciel attakował od frontu, po drodze z Medjolanu, spotkałby tam trzy dywizje i dwa bataljony bersaljerów, gotowe do przyjęcia go i wstrzymania, gdy tymczasem dywizja rezerwy, jako też cztéry czwarte bataljony stojące przy Oleggio, w przeciągu dwóch godzin nadbiegłyby im w pomoc, a pierwsza dywizja brygady jenerała Solaroli i cztéry czwarte bataljony z Vigevano, w przeciągu trzech godzin mogłyby także na plac boju pośpieszyć.

Takim sposobem, massa przeszło 50,000 ludzi mogła być zgromadzoną w przeciągu trzech godzin, wtenczas, kiedy przy słabym nawet oporze trzech naszych dywizji, nieprzyjaciel potrzebował pięciu godzin dla skupienia na prawym brzegu Tessynu zaledwo 40,000 żołnierza. — Mieliśmy więc nadzieję, a nawet podobieństwo wywrócenia wszystkiego, coby przeszło przez rzekę.

Równąż mieliśmy łatwość skoncentrowania się, w razie zaczepnego działania w tym kierunku i zdobycia przeprawy przez Tessyn. Zresztą, ruch zaczepny na tej drodze nie mógł już być probowany dnia 20 Marca, przez żadną z obu armji, gdyż godzina południowa wybrana przez ministerjum na zerwanie zawieszenia broni, nie zostawiała dosyć czasu do wykonania w tym dniu podobnej operacji, w obliczu przeciwnika.

W razie gdyby nieprzyjaciel maszerował na Pawję, piąta dywizja była tak postawioną, aby mogła, jeżeli nie bardzo opóźnić jego pochód, to przynajmniej kanonadą swoją uprzedzić nas, że Austryjacy tą właśnie maszerują drogą.

Wtenczas, ruch dywizji ku pozycjom jakie w tém przypuszczeniu zająć były powinny, na drodze z Tromello do Mortary, rozpocząłby się o godzinie piérwszej po południu. Ruch ten ułatwiało jeszcze położenie samych dywizji, które rozłożone w odstępach jedne od drugich, na dwóch drogach idących w tym kierunku, mogły wszystkie jednocześnie wystąpić do marszu.

Takim sposobem, 20 Marca wieczorem, piérwsza, druga i czwarta dywizja stanęłyby już na pozycji ; trzecia dywizja zatrzymałaby się przed Vigevano, a dywizja rezerwy w Mortara. Dnia 21 te dywizje wyszedłszy nad rankiem, stanęłyby także na pozycji przed dziesiątą ; miałyby więc czas wypocząć jeszcze przed nadejściem nieprzyjaciela, który zaledwo o południu mógł atakować. Dywizja piąta cofając się we-

dług instrukcji przez San Nazzaro lub Mortarę, połączyłaby się także z główną armją przed attakiem. Brygada składana jenerała Solaroli zostawiwszy dwa bataljony nad Naviglio, powinna była z resztą sił swoich zająć Sforcesca, także przed południem jeszcze. Z ośmiu czwartych bataljonów, cztéry znajdowały się już w Vigevano, pozostałe cztéry miały się z armją połączyć przed południem. Takim sposobem, 21 mielibyśmy skupioną całą armję dla wydania nieprzyjacielowi walnej bitwy.

Wszystkie te rachuby zniweczone zostały, ponieważ jenerał Ramorino nie zajął przepisanego sobie stanowiska.

Dnia 20 Marca, o dziesiątej zrana, pięć dywizji i inne wojska stały już na pozycjach im wskazanych, gotowe maszerować w każdym kierunku, stosownie do ruchów nieprzyjaciela. Czekałem tak przez czas pewien, chcąc się przekonać azali wystrzały armatnie nie ostrzegą mnie o obecności Austryjaków na drodze do Pawji. Nic się nie dało słyszeć; o pół do drugiej kazałem czwartej dywizji zrobić rozpoznanie w kierunku Magenty, i posunąłem trzecią dywizję aż do mostu Buffalora, dla wsparcia jej w razie potrzeby.

Przekonawszy się za pomocą tego rozpoznania, że nieprzyjaciel nie miał sił na drodze medjolańskiej, zostawiłem czwartą dywizję na lewym brzegu Tessynu, a rozkazałem trzeciej wrócić na swoją pozycję.

Rano przed dziesiątą, wysłałem był oficera jeneralnego sztabu, dla przekonania się, czy posterunki mające łączyć piątą dywizję z drugą, były na miejscu; zaleciłem mu także dotrzeć do jenerała Ramorino, i przywieść mnie jak najśpieszniej wiadomości jakieby ten o nieprzyjacielu mógł zebrać.

Przed rozpoczęciem rozpoznania na Magentę, wysłałem z témże samém poleceniem drugiego jeszcze oficera jeneralnego sztabu. Pierwszym był porucznik Casatti; wrócił o ósmej wieczorem, przywożąc wiadomość, iż posterunki kawalerji stały nad Tessynem, ale piątej dywizji na pozycji przy Cava nie było; że na lewym brzegu Padu znajdował się tylko bataljon dwudziestego pierwszego linjowego i bataljon bersaglierów majora Mannary; że reszta dywizji stała na prawym brzegu Padu, ku Casatisma; że chciał tam dotrzeć dla zobaczenia się z jenerałem Ramorino, ale że mu powiedziano iż ten jenerał pojechał na obiad do Stradelli; w takim więc razie zdecydował się wrócić, żeby mnie zdać sprawę z danego mu polecenia; że nareszcie w powrocie powiedziano mu, iż wielka massa nieprzyjacielska przeszła Tessyn i znajduje się w Zerbolo. W skutek tych doniesień, o pół do dziewiątej wieczorem, przesłałem do wszystkich dywizji następujące rozkazy:

Dywizji piérwszej, aby wyruszyła niezwłocznie i stanęła na pozycji przed Mortarą; drugiej, aby wyruszywszy także, zajęła stanowisko przed Vigevano; innym wojskom, aby wyszedłszy 21 o brzasku maszerowały w następnym kierunku: dywizja rezerwy ku Mortarze, trzecia dywizja

ku Vigevano, czwarta także ku Vigevano, w ślad za trzecią. Brygadzie Solaroli poruczyłem zastąpić z dwóma bataljonami posterunki nad Naviglio, a z resztą sił, oczekiwać dalszych rozkazów przy moście Bufallora.

O godzinie dziesiątej wieczorem, major jeneralnego-sztabu Bariola, przykomenderowany do jeneralnego sztabu piątej dywizji, przybył do głównej kwatery, będąc posłany przez jenerała Ramorino. Potwierdził wiadomość, iż piąta dywizja została na prawym brzegu Padu, dodając, iż jenerał Ramorino sądził, że rozkaz 17 Marca, nakazujący mu uczynić niemożebném użycie mostu przy Mezzanacorte dnia 20 rano przeciwił się wręcz danym mu piérwej instrukcjom.

Wręczyłem temu oficerowi dwa listy: jeden do jenerała Ramorino, nakazujący mu zdać dowództwo dywizji jenerałowi Fanti i stawić się niezwłocznie w głównej kwaterze, a drugi do jenerała Fanti, z rozkazem objęcia natychmiast dowództwa nad dywizją. W ostatnim liście, mówiłem jenerałowi Fanti, iż nie mogę w tej chwili dać mu stanowczych instrukcji; ponieważ jednak znał doskonale udzielone jenerałowi Ramorino instrukcje, powinien się więc starać o ile tylko dozwolą okoliczności, jak można najbardziej do nich się zbliżyć.

Dnia 21 Marca, piérwsza i druga dywizja zajęły przededniem wskazane sobie stanowiska; druga dywizja stanęła na pozycji pod Sforzesca i posunęła przednią straż złożoną z jednego bataljonu, sekcji artylerji i szwadronu jazdy, do Borgo San Siro. Wysłała na swe prawe, jeden bataljon do Remondo, a drugi do Fogliano. Dywizja piérwsza stanęła na pozycji pod Mortarą. Dywizja rezerwy przybyła tam między piérwszą a drugą. Dla wsparcia drugiej dywizji, brygada Sabaudzka przybyła o jedénastej. Brygada Sawonny wyruszywszy z miejsca daleko poźniej niż było rozkazano, przybyła do Vigevano, również jak czwarta dywizja, zaledwo około czwartej; stanęły więc na pozycji dopiéro około piątej wieczorem.

Przybywszy osobiście o dziesiątej rano, cofnąłem ku Sforzesca bataljony posłane do Remondo i Fogliano. Na drodze do Gambolo, za rowem, postawiłem pierwszy pułk sabaudzki, pułk jazdy genueńskiej i ośm dział. Drugi pułk tej brygady pozostał w rezerwie.

Około piérwszej, nieprzyjaciel atakował przednią straż drugiej dywizji, w Borgo San Siro; ta cofnęła się walcząc ku dwóm bataljonom, postawionym przezemnie na wysokości San Vittorio. Ponieważ siły nieprzyjaciela wynosiły 6 do 7,000 ludzi, trzy więc nasze bataljony cofały się w porządku ku pozycji pod Sforzesca, którą nieprzyjaciel z kolei, przez całe prawie cztéry godziny atakował. Odpartym w końcu został, po przybyciu drugiego sabaudzkiego pułku, wysłanego dla wsparcia drugiej dywizji.—W tej walce, znalezienie się 23 pułku, zasługuje na zaszczytną wzmiankę.

Około piątej, nieprzyjaciel próbował atakować wojska rozłożone na drodze do Gambolo, ale był również odparty.

Przed nastaniem nocy, wystrzały działowe dały się słyszeć w stronie Mortary. Wysłałem rozpoznanie, dla dowiedzenia się dokładnie co się tam działo, ale gdy po pół godzinie wszystko ucichło, wróciłem do Sforzesca, myśląc, że i tam attak odpartym został. Tém bardziej upoważniony byłem do podobnego mniemania, że z jednej strony byłem uwiadomiony, iż główne siły nieprzyjacielskie nie przeszły jeszcze Tromello, a z drugiej, wiedziałem iż wojska nasze w Mortara składały się z dwóch dywizji, i miały 48 dział.

Oficer wysłany na wzwiady doniósł, iż nie słysząc wystrzałów, powrócił napowrót, stosownie do danych sobie instrukcji, nie dotarłszy do piérwszej dywizji.

Przybywszy do Sforzesca, kazałem wygotować rozkazy dla różnych dywizji. Chciałem skoncentrować wszystkie siły na drodze z Mortara do Tromello, po za Roggia Biraga, nie mając już możności dokonać tegoż, bliżej Tromelli. Ruch ten wymagał czterech godzin czasu; miał się rozpocząć przededniem, tak, żebyśmy o dziewiątej rano już byli wszyscy skoncentrowani i gotowi do przyjęcia nieprzyjaciela. Rozkazy były gotowe, kiedy przybyli dwaj oficerowie jeneralnego sztabu, Bataglja i Pio, jadący z Mortary, gdzie towarzyszyli jenerałowi Aleksandrowi Lamarmora. Uwiadomili mnie, że pierwsza dywizja stanęła na pozycji nie po za Biraga, ale blisko miasta, umieściwszy brygadę Aosta na lewo, brygadę Królowej w środku, w poprzek drogi z Guerlasco, a ósmy pułk Cuneo, na prawo. Reszta dywizji rezerwowej pozostała w rezerwie, z tyłu, za Mortarą. Że się już nie spodziewano attaku tego dnia, kiedy o pół do szóstej wieczorem zbliżył się nieprzyjaciel i dał ognia z trzech czy czterech baterji naraz. Że na ten ogień, kilka bataljonów z brygady Królowej poszło w rozsypkę, zostawiając w szeregach lukę, w którą wpadła nieprzyjacielska piechota, a przeciąwszy tym sposobem na dwoje naszą linję bojową, dostała się do miasta. Wtenczas brygada Aosta cofnęła się w lewo, ku Nowarze; ósmy pułk i brygada Królowej, przechodząc przez miasto, spotkały się tam z Austryjakami, co sprawiło niepodobne do opisania zamięszanie, które wzmagała jeszcze ciemność nocy, tak że nasi zabijali się wzajemnie między sobą. Że naresztę, dywizja rezerwy cofnęła się za Agognę, i że w tém zamięszaniu straciliśmy pewną ilość dział i niewolnika.

Ustne to doniesienie potwierdziły raporta jenerała Aleksandra Lamarmory, Jego Królewskiej Wysokości, księcia Sabaudji i jenerała Trotti.

Wypadek ten zmieniał całkiem stan rzeczy; naturalna linja naszego odwrotu była przeciętą; musiałem zrzec się myśli atakowania nieprzyjaciela z boku i starać się połączyć z tamtemi dwoma dywizjami, a do-

konawszy tego, przygotować się do wydania nieprzyjacielowi bitwy ze wszystkiemi naszemi siłami. Bitwa ta, pomimo poniesionej porażki, zarówno o losie obu armji stanowić miała.

Natychmiast wysłany został drugiej, trzeciej i czwartej dywizji rozkaz wyruszenia do Trecate, gdzie stanęły przed południem; w marszu tym, tylna ich straż niepokojoną przez nieprzyjaciela nie była. Brygada Solaroli zajęła stanowisko w Romentino.

Około trzeciej, druga i trzecia dywizja wyruszyły ku Nowarze, i stanęły za miastem, na drodze z Mortary; pierwsza dywizja i dywizja rezerwy przyszły tam także ze swej strony.

Dnia 23 Marca, czwarta dywizja wyruszyła o brzasku i stanęła na pozycji, również jak brygada Solaroli — tak, że o dziewiątej rano, wszystkie wojska stały w szyku bojowym, gotowe stoczyć bitwę.

Siły nasze składały się z pięciu dywizji, z jednej brygady składanej, z dwóch pułków tymczasowych, złożonych każdy z czterech bataljonów, i z dwóch bataljonów bersaljerów; co razem stanowiło siedmdziesiąt sześć bataljonów, trzydzieści sześć szwadronów, i czternaście i pół baterji, czyli : 44,000 piechoty, 2,500 koni i 111 dział.

Wojsko mogące być użyte, które nie miało udziału w bitwie, stanowiły : szósta i piąta dywizja i brygada przedniej straży.

Dywizja szósta i awangarda odebrały oddzielne zupełnie przeznaczenie; wynosiły razem trochę więcej nad 10,000 żołnierza, w tej liczbie 200 jeźdźców i 24 działa.

Dywizja piąta wbrew danym jej rozkazom cofnęła się na prawy brzeg Padu; liczyła mało co więcej nad 5,000 ludzi, 450 koni i 16 dział.

Tak więc, 15 do 16,000 ludzi i 40 dział nie miało udziału w bitwie.

Rozporządzenia odnoszące się do 23 Marca, i objaśnienia samej bitwy znajdują się w dwóch raportach, datowanych : piérwszy dnia 25 Marca. a drugi 28, z Beronzo; wspomnę tu więc o nich tylko w krótkości.

Pozycja rozciągała się od kanału (płynącego prawie równolegle do Agogni) o który opierało się prawe skrzydło, trochę po za Cassina Cortenuova, aż do Bicocca. Miała mniej więcej trzy kilometry długości. Zajętą była przez trzy dywizje, uszykowane w dwie linje, jedne przy drugich.

Dywizja piérwsza stanowiła prawe, trzecia lewe skrzydło, a druga środek.

Pułk tymczasowy z czterech bataljonów dodany był piérwszej dywizji, dla wsparcia jej. Również drugi taki pułk i dwa bataljony bersaljerów dodane były dywizji trzeciej, dla wzmocnienia jej lewego skrzydła.

Dywizja rezerwy uszykowana w gęste kolumny, stanęła za prawem skrzydłem, niedaleko miasta i drogi z Vercelli, dla obserwowania

tej drogi i wsparcia w potrzebie prawej strony bojowego szyku. Dywizja czwarta zarówno w kolumnach, stanęła przed cmentarzem San Nazzaro.

Brygada Solaroli była na drodze z Trecate za Tardopio; miała obserwować tę drogę i w razie potrzeby wesprzeć czwartą dywizję, która znowu obowiązaną była przyjść jej w pomoc, gdyby nieprzyjaciel przeważnemi siłami attakował z tej strony.

Na lewo od frontu grunt nierówny i przerźnięty przez kanały, nie pozwalał manewrować kolumnami; użycie jedynie tyraljerów było tam możebne. Również po prawej stronie, Agogna i kanał zacieśniały grunt, tak że z obu stron, obejść pozycję można było tylko bardzo rozległemi manewrami, po drogach do Trecate z jednej, a do Vercelli z drugiej strony. Prócz tego, przed znaczną częścią frontu pierwszej dywizji, na dobry wystrzał armatni, rozciągał się głęboki, z bardzo wysokiemi brzegami rów, który attak frontu tej dywizji czynił niesłychanie trudnym, jeżeli nie niemożebnym.

Obrawszy taką ścieśnioną pozycję, rozwijając połowę tylko armji a drugą mając w rezerwie, chciałem z razu trzymać sie odpornie, aby w początku bitwy złamać tę przewagę moralną jaką dawały nieprzyjacielowi świéże pod Mortarą korzyści.

Nieprzyjaciel ukazał sie o jedénastej na drodze z Mortary, rozpoczął ogień działowy z trzecią dywizją, i zaraz potém żywą walkę tyraljerów; na reszcie linji, bój artylerji i tyraljerów zawiązał się i trwał przez dzień cały, ale daleko słabszy.

Według mnie, pod Bicocca miał się rozstrzygnąć los dnia tego. W razie zdobycia tego punktu przez nieprzyjaciela, bitwa dla nas była przegraną; przeciwnie, gdybyśmy utrzymawszy się tam, zdołali oporem naszym znużyć attakującą część armji nieprzyjacielskiej, i przechodząc wtenczas do kroków zaczepnych, z dostateczną ilością wojsk świéżych, odparli Austryjaków, bitwa była wygraną, a następstwa jej stawały się od razu ogromne dla nieprzyjaciela, który jedną drogą posunął się ku nam. Ruch jednak zaczepny z naszej strony, dla otrzymania pożądanego skutku, nie mógł się rozpocząć przed trzecią albo czwartą, to jest, przed chwilą, w której nieprzyjaciel, widząc że lewego skrzydła naszego przełamać nie może, zwróciłby na nasze prawe, siły zachowywane na tyle, starając się je obejść.

Rachowałem, że ośmnaście bataljonów znajdujących się w Bicocca a których tylko siedm mogło być użytych jednocześnie, wystarczy dla utrzymania pozycji przez czas odpornego zachowania się z naszej strony; i przeznaczałem czwartą dywizję, jako najlepszą w całej armji, na wykonanie ruchu zaczepnego, w którym byłaby wsparta trzema bataljonami brygady Solaroli, brygadą Cuneo i strzelcami gwardji, których w tym celu sprowadziłem w czasie bitwy z dywizji rezerwowej.

W ogólności, na ruch zaczepny przeznaczałem dwadzieścia jeden bataljonów, ośmnaście szwadronów, i cztéry baterje.

Brak wytrwania w wojsku, omylił wszystkie te rachuby. — Zmuszony byłem kolejno posyłać do boju, jedynie dla utrzymania się na pozycji w Bicocca, świéże brygady, i wyczerpać tym sposobem całą rezerwę przygotowaną do zaczepnego ruchu.

J tak, z brygady Savonny, ustawionej w pierwszej linji, piętnasty pułk ustąpił po półgodzinnym boju, i byłem zmuszony zastąpić go drugim pułkiem sabaudzkim. Pułk szesnasty trzymał się dłużej, zwłaszcza jeden z jego bataljonów który widziałem jeszcze o trzeciej na skrajnej pozycji lewego skrzydła pod Cassine, gdzie był postawiony nad rankiem, i który na chlubną wzmiankę zasłużył.

Brygada sabaudzka, wbrew memu oczekiwaniu trzymała się nie długo, i utraciwszy odzyskaną pozycję, zmusiła do posłania tam brygady Pinerola, która odparła nieprzyjaciela, podsunęła się aż pod jego pozycję, ale po niejakim czasie musiała być zastąpioną przez nową brygadę; kolejno tym sposobem pięć brygad zużyto na tym punkcie.

Muszę jednak oddać sprawiedliwość, iż brygady Piemontska i Pinerol biły się najlepiej.

W ogolności, cofająca się linja, zamiast formowania się nanowo za tą która ją zastępowała, dla wsparcia jej poźniej, szła zazwyczaj w rozsypkę, i w bataljonach zostawała zaledwo trzecia część ludzi; wyprowadzone drugi raz do boju, bataljony topniały zupełnie. Już o w pół do trzeciej, Novarra przepełnioną była żołnierzem wracającym z placu boju. Karabinjery zostawieni dla pełnienia policji w mieście, nie mogli już dać rady tej massie.

O piątej, dla zrobienia dywersji, kazałem drugiej dywizji posunąć się naprzód, a pierwszej wesprzeć to poruszenie, co wykonaném zostało. Czy to w skutek tego ruchu, czy też dla innych jakich powodów, zdało mi się że attak na Bicoccę zwalniał; widziałem przynajmniej samych tylko tyraljerów, kiedy raptem obrońcy Bicocci opuścili ją nagle, i wszystkie usiłowania w celu wstrzymania ich spełzły na niczém. Przyczyny tego niewiadome są dotąd.

Nieprzyjaciel zajął Bicoccę i w niej się rozłożył. Z naszej strony, daremnie książe Genui zsiadłszy z konia stanął na czele trzech bataljonów stojących jeszcze w porządku, chcąc je naprzód poprowadzić. Szlachetne jego usiłowania nie odniosły skutku.

Cofające się lewe skrzydło pociągnęło za sobą resztę armji. Oskrzydlona druga dywizja musiała się cofnąć, a za nią zmuszoną była pójść i pierwsza.

Demonstracje nieprzyjaciela na prawém naszém skrzydle nie wpłynęły na ten odwrót; bo naprzód, demonstracje te spowodowały tylko wysłanie naprzód jednego pułku gwardji i jednej baterji artylerji,

a powtóre, nieliczne karabinowe wystrzały wymierzone z po za kanału ku pierwszej dywizji, padły wtenczas, kiedy ta znajdowała się w pełnym odwrocie, w skutku cofnięcia się lewego skrzydła.

Znajdowanie się piechoty podczas bitwy, miało zupełnie wyłączny charakter. Bataljony nie uciekały, jakby to być musiało gdyby je strach opanował; żołnierze szli sobie zwolna, nie spiesząc się wcale. Zdawali się działać zgodnie z powziętem raz postanowieniem, jak gdyby żołnierze uniesieni chwilowo naprzód, przypominali sobie że nie powinni byli bić się. Były wprawdzie przykłady waleczności i poświęcenia między oficerami i żołnierzem, ale ogół, cała massa, była taką, jakem ją opisał.

Z powodu składu i wyłącznej organizacji, brakowało piechocie na spajającym ją zwykle duchu korpusowym; karność wojskowa była w niej niedostateczna, duch wojenny słaby, tak że opinja panowała wszechwładnie, przepisując prawidła postępowania.

Większość oficerów i żołnierzy, przeciwną była wojnie, chociaż dla rozmaitych powodów, a nie mając zapału dla samej sprawy, armja też źle się biła.

Artylerja od początku do końca spełniała swój obowiązek. Jazda, której plac boju z natury swojej pozwalał tylko w szczupłych używać oddziałach, dzielnie wykonywała szarże, ale też w obu tych broniach, duch wojenny i duch korpusowy miały przewagę nad opinją, dzięki samej ich organizacji. Żołnierz służył tam przynajmniej trzy lata.

Muszę jeszcze oddać sprawiedliwość oficerom orszaku królewskiego i oficerom jeneralnego sztabu, których czynności i światło wspierały ciągle usiłowania moje w celu przedłużenia walki.

Racz przyjąć Panie Ministrze wyrazy najgłębszego poważania.

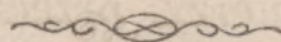
podpisano : CHRZANOWSKI.

LISTY PANI MNISZCHOWEJ

ŻONY MARSZAŁKA W. KORONNEGO

PISANE DO MATKI, PANI ZAMOYSKIEJ, Z DOMU PONIATOWSKIEJ, WOJEWODZINY PODOLSKIEJ.

1787.



Kilkanaście lat upłynęło od czasu gdyśmy wydali w *Athenaeum* ciekawy zbiór listów Księcia Kazimierza Sapiehy, pisanych do matki, które do obrazu tamtych czasów pełen barwy stanowią dodatek. Z listów także prywatnych korzystaliśmy wiele, pisząc historję starościny Bełzkiej; a znaczna liczba korrespondencji z różnych epok przeglądanych po archiwach domowych, przekonała nas, jak wielkiej wagi dla historji, są te ulotne kartki, pisane bez myśli postawienia się przed światem, bez pretensij do uposągowania. Wielkie też przypisujemy znaczenie tego rodzaju zbiorom, zwłaszcza jeśli pewny ciąg, nieco dłuższy i całość jakąś stanowią.—Pamiętniki, bądź co bądź, są zawsze mniej więcej apologią człowieka, mają na celu uniewinnienie go, dowodzą jakiegoś założenia, często mimowolnie narzucającego się autorowi; w listach prywatnych jest on cały, prawdziwy, niewymuszony; nie przybiera żadnej barwy, nie ma czasu myślić o udrapowaniu się i skłamaniu sobie cudzej twarzy. Nic szacowniejszego nad te, rzadko już gdzie dziś zachowujące się pamiątki życia, w których ono bije wszystkiemi tętny swojemi. Nie godzi się też, zwłaszcza gdy w nich nic nie ma coby przykrość rodzinie i żyjącym potomkom uczynić mogło, zachowywać je w ukryciu. Tém powodowani, z użyczonego nam zbioru listów pani Mniszchowej żony marszałka wielkiego koronnego, pisanych do matki hrabiny Zamoyskiej, żony Jana wojewody podolskiego, siostry królewskiej, ogłaszamy większą ich połowę, od 22 Stycznia 1787 roku do dnia 8 Września tegoż roku, te tylko opuszczając, które żadnej wagi ani dla politycznej ani dla obyczajowej historji kraju nie mają. Drob-

nostka to może, ale z takich małych rysów i odcieni składa się obraz epoki, który nigdy pełnym i barwnym nie będzie, dopóki się one w większej liczbie nie zgromadzą. Rzecz się sama czytelnikom zaleci, próżne by były podnoszenia jej przedwczesne.

Listy pani Mniszchowej z przypiskami jej męża i króla Stanisława Augusta, jak wszystkie korrespondencje wielkich panów owej epoki, są pisane na pół po francuzku, bez ortografji, pół po polsku dosyć niepoprawnie; nie zmieniając nic w nich, musieliśmy je wytłumaczyć i małe skazy te z nich zetrzeć, o ile się to dało nieuszkadzając ich charakteru, nie zmieniając kolorytu. Ustępy tłumaczone, oznaczono cudzysłowami.

Genewa 17 Lipca 1863 r.

J. I. Kraszewski.

I.

Warszawa, dnia 22 Stycznia.

« Nie możesz wątpić o moim smutku i życzeniach, które ci, kochana Mamo, towarzyszyć będą stąd na koniec świata; powróć nam tylko wesoła, rada i zupełnie uzdrowiona, są to pragnienia mojego serca najczulej przywiązanego do ciebie.

« Czekałam wczoraj żeby mi Jasińska stanowczą dała wiadomość o twym wyjeździe, nim się wybrałam do Króla. Znalazłam u niego księżnę Lubomirską i panią Wincentowę już na wychodném : poleciły mi przesłać ci od nich tysiące życzeń. Była także familja Grabowskich, matka i córka poruszone widocznie biletem, który do nich napisałaś, płakały czytając go, kochają cię z całego serca, a Król bardzo wzruszony, powiedział mi : « znać że moja siostra z serca ten list pisała. » Spełniłam wszystkie twe zlecenia do Króla, przyjął je bardzo czule i pytał mnie z wielkiém zajęciem, kiedybym się spodziewała pierwszą od ciebie otrzymać wiadomość. Polecił mi uściskać cię serdecznie od niego. Ma się dziś dobrze, spał spokojnie, ale sądzę że jeszcze nie wyjdzie.

« Benvenutti, którego wczoraj zastałam u Króla i Littlepage, którego tegoż wieczora widziałam u pani Krakowskiej (Klemensowej Branickiej) zdziwieni byli bardzo dowiadując się o twym wyjeździe ; i polecili mi przesłać od nich uszanowanie.

« Wieczór mojej ciotki (pani Krakowskiej) był dosyć liczny; starszy stryj (Zamoyski) jak tylko mnie postrzegł, spytał żywo i z zajęciem : Czy siostra moja pojechała? rad jestem z tej jej podróży dla niej samej, po-

módz powinna jej zdrowiu, powinna ją zabawić, miała wielką słuszność że się na nią zebrała.

« Zdaje mi się ze dodał : niemal chciałbym i ja to uczynić !

« Pani Krakowska, Lulier, pani Sewerynowa (Potocka), jej mąż, wielki Podkomorzy, Hetmanowa polna, (Tyszkiewiczowa, z domu Poniatowska) Oborska, pani Stanisławowa Gutakowska, Raczyński, pani Wielopolska, Ambassador (Stackelberg) polecili mi tysiące od nich przesłać ci ukłonów.

« Ale czego się Mama nie mogła spodziewać, a co jednak jest w istocie, to że księżna Podkomorzyna i pani de Nassau (Karolina z Goździkich) obie mi oświadczyły jak najżywiej, że byłyby cię odwiedziły dla pożegnania, gdyby je nie uprzedzono że nikogo nie przyjmowałaś, co w wigilję wyjazdu znalazły bardzo naturalném. Pani Raczyńska kazała mi powiedzieć, że ostatniego piątku po obiedzie przyjeżdżała z pożegnaniem, że widziała nawet twój powóz. Wieczorem u ciotki mówiono wiele o podróżach z powodu twojej ; rozprawiano o Avignonie, o grobie Laury który tam zobaczysz, o wodospadzie Wokluzy bardzo bliskim i z tego powodu pan Stanisław (Potocki?) opowiadał nam o przejażdzce którą odbywał z księżną Marszałkową (Lubomirską), dla widzenia grobu Petrarki, poety który unieśmiertelnił wdzięki Laury.

«Grób ten znajduje się w jedném z miast włoskich, niedaleko od wiejskiego jego mieszkania, dziś zajętego przez wieśniaków, którzy zachowują z największém poszanowaniem od czterechset lat, jak umarł, krzesło na którém siadywał, kościotrup jego ulubionego kota, przez niego nabalsamowany (sic. ??) i ustawiony za kratą nadedrzwiami, z wierszami pod nim, ręki Petrarki, na pochwałę kota i posług jakie mu oddał, strzegąc papierów od myszy.

« Książe Prymas bardzo czule Mamę uściskać kazał. Mam nadzieję że mi słowa Mama dotrzyma szanując swe zdrowie, chociaż więcej wierzę w staranie pani Łęckiej w tym względzie, i ściskam ją serdecznie.

(Ręką Hr. Mniszcha, dopisek.)

« Łączę tu, droga Mamo, żal mój z powodu rozstania, i życzenia szczęśliwej podróży. Proszę być spokojną o zdrowie mojej żony ; podwoim starań koło niej ; nie Ty wprawdzie, ale zawsze uczucie nad nią czuwać będzie. Tysiąc pożegnań i uszanowanie.

II.

Warszawa, 22 Stycznia.

« Z jakąż radością otrzymałam wczoraj wieczorem list twój z Poznania, jakżem szczęśliwa kochana Mamo, że się dowiaduję o twojém

zdrowiu, że męcząca podróż pierwszej nocy nie zaszkodziła ci. Król i książe Prymas bardzo byli wdzięczni za pamięć, dopytywali mnie niespokojnie o wiadomości. Posyłam gazety polskie, jeśli Mama chce, poproszę Kicińskiego, żeby ci je po moim wyjeździe, regularnie wysyłał, zdaje mi się że on to lepiej potrafi zrobić niż kto inny. — Ostatecznem postanowieniem w interessach naszych za zgodą stron interessowanych i tych którzy się łaskawie raczą nami zajmować, było, naprzód : że 33 (król) przez nas napisze do 4 (ojca pani Mniszchowej) i do pana 103 (ordynata Zamoyskiego). Gdy kopje tych listów otrzymam, to ci je poślę. Pan 98 wnosi, że droga procesu byłaby za długą i za kosztowną, a nadewszystko na nic nie przydatną ; bo mała osóbka, dobrze się ubeśpieczyła i form żadnych nie zaniedbała ; postanowiono sprowadzić ich tu wszystkich po powrocie 33 (króla), dla przyjacielskiego układu w miesiącu Czerwcu. Jeżeli zdrowie 4 (ojca) nie dozwoli mu przybyć osobiście, dosyć będzie gdy przyśle umocowanie i da je Łaznińskiemu. My od siebie umocujemy 98, który będzie pilnował i Mamy interessów i naszych. Pod naszą niebytność 103 będą z większém zaufaniem traktować, a 98 utrzymuje że prędzej tu dójdzie do końca sprawy niż w 41 (w Zamościu?); pan 50 jest tegoż samego zdania, nie myśląc także powrócić z Wołynia chyba w Październiku.

« W ostatnią środę był mały balik dziecinny u pani Wincentowej ; Emma się na nim bardzo dobrze znajdowała. We czwartek przy bardzo pięknej pogodzie, o pół do jedénastej siedliśmy do powozu, książe Prymas, Ambasador, mój mąż i ja, jeździliśmy do Willanowa. Była to przejażdżka najmilsza z tych jakie od dawna pamiętam, zaufanie zupełne, mówiliśmy otwarcie, nie narażani na przerwy w rozmowie. Około drugiej mieliśmy zwykły nasz obiad czwartkowy, po którym udałam się na część repetycji *Didony*. Dała mi ona wyobrażenie czém będzie samo przedstawienie, którego widzieć nie mogę bo jedziemy stanowczo we wtorek. 115 chce być koniecznie rozczulającą w tej tragedji, i nadaje swemu głosowi jakieś drżenie w deklamacji, nakształt pana de l'Orme kiedy śpiewa : tylkom co nie wybuchnęła ze śmiechu w czasie repetycji, w najpatetyczniejszém miejscu. Tegoż wieczora byłam na kolacji u pani Grabowskiej, gdzie mnie Staś (Grabowski?) poruszył troskliwie rozpytując, o wszystko co się Mamy tyczy : widać że to poczciwe chłopczysko kocha cię z całego serca.

« Była tam i pani Krakowska i hetmanowa polna (Tyszkiewiczowa z domu Poniatowska). Starszy stryj (ordynat Zamoyski) mocno mnie rozpytywał, czy nie miałam wiadomości od Mamy, zwierzył się też przedemną, z niedoszłej swej podróży, nawet ze smutkiem, ale polecając największą tajemnicę. Banti dała nam wczoraj operę królowej Kandji, dosyć lichą i bez sensu, ale w niej kilka pięknych arij. Potém jadłyśmy kolację u pani de Nassau, gdzie prawie nikogo nie było ; wszyscy za-

katarzeni lub zmęczeni, Król bawił tylko chwilę, z kobiét była tylko Hetmanowa polna i księżna Radziwiłłowa. Po kolacji deklamowano trochę Fedrę po polsku; Arycją jest 114, umiera z pragnienia wystąpienia na scenę, ale z Hipolita, którym jest wielki podkomorzy (książe Kazimierz Poniatowski) słowa nie można było wyciągnąć. Utrzymują że się jeszcze roli swej nie wyuczył na pamięć. Wielce mnie rozpytywał o Mamę, i po kilka razy prosił abym od niego przesłała uszanowanie. Sobolewski szambelan także się przypomina.

« Przybył wczoraj kurjer, który nam przywiózł wiadomość o wyjeździe Cesarzowej z Petersburga dnia 18 Stycznia; niezdrowie małego wielkiego księcia Konstantego nie dozwoliło towarzyszyć jej wielkim książętom, i postanowiono że nie pojadą.

« Przybył tu kawaler Worstey który powraca z Rossji, zabawi tylko dni parę « prawdziwy angielczyk » ale mówią że wiele ma wiadomośc dużo podróżował i był aż w Kairze. Król się wczoraj doskonale zaba wił wieczorem, rozpytując go o te kraje. »

Rączki całuję mojej Mamy.

III.

Warszawa, 29 Stycznia.

« Komarzewski powrócił rano w Sobotę, przywiózł nam pewność dobrego pomieszczenia w Kijowie. Daszków młodszy nam się przecie o to wystarał. Za cały czas pobytu cesarzowej w tym kraju, płacimy 250 dukatów. Znajduję że przy niezmiernej trudności znalezienia tam dobrego mieszkania, wcale to nie jest drogo. My go pewnie dłużej nad dni trzy zajmować nie będziemy i może kochana Mama być pewną, że pomieścimy się wygodnie. Komarzewski widział ten dom, bliski bardzo dworu, obok tego który zajmuje p. de Ségur, który, jak mówią daleko gorzej od nas mieszkać będzie. W naszym domu jest przedpokój, salon jadalny, drugi do przyjęcia gości, a naprzeciwko sypialny gabinet dla mojego męża, do tego stajnie, wozownie, kuchnia i jest jeszcze gdzie pomieścić służących. W Kaniowie także pewni jesteśmy że nam dobrze będzie. » Dawny dom i bardzo porządny gubernatora tamtejszego jest dla nas przeznaczony na jednej stronie, a hetman Tyszkiewicz będzie stał na drugiej.

« Król chce nakłonić panią Krakowskę aby wyjechała przeciwko niemu do Wiśniowca, w powrocie jego z Ukrainy w Maju, życząc sobie razem z nią potém odbyć podróż po województwie krakowskiém. Nie bardzo jest daleką od przyjęcia propozycji, jabym ze wszech względów radą temu była. Hetmanowa polna (Tyszkiewiczowa) towarzyszyła by jej zapewne i wszystkich by to w dobry humor wprawiło. Chwilę tę po-

trzeba schwycić zręcznie, aby od starszego stryja otrzymać co mama wié, Lulier pewnie tego nie zaniedba, w zastępstwie Bacciarellego, który, jak Mamie wiadomo, wyjeżdża. Zostawuję Lulier plany tego domu *pod blachą*, może jaki moment szczęśliwy się zdarzy. Co do podróży ich na Wołyń, nic jeszcze pewnego nie postanowiono.

« Jedliśmy w Sobotę przeszłą, kolację u księżny Miecznikowej, jutro wyjeżdża do Głogowa, interessa ją do tego zmuszają, mimo woli i ochoty. Wczoraj byliśmy na obiedzie u księcia Prymasa, który w tych dniach installuje nowego proboszcza w Przylotach, na co Mama mówiła że się zgadza. Dawny umarł, książe mi mówił jeszcze wczoraj, żebym nie zaniedbała zamiany natury tego majątku, co mam nadzieję że się da zrobić tego lata. Kolacja wczorajsza u pani Krakowskiej (Klemensowej Branickiej) była bardzo świetną, dziś chce dać drugą dla nas, a ta będzie mniej liczną. Zawsze ten nowy Anglik zabawia od kilku dni króla, bardzo jakoś udało mu się zająć go opowiadaniem o Grecji. Od tygodnia zaproszeni byliśmy na pożegnalny obiad do Małogoskiej, w wigilję naszego odjazdu, ale król nam dziś być u siebie kazał i będziemy jeść obiad u niego, potem pojedziemy na bal dziecinny do ambassadora, który odjeżdża daleko wcześniej niż sam w początku sądził. Postanowiliśmy wprost stąd wziąść posztę do Wiśniowca, aby tam przybyć wprzódy niż on, a zatrzymać się mimo to jeden dzień w Demblinie, jeden w Lublinie i kilka dni u mego ojca (Zamojski wojewoda podolski). Jedziemy więc jutro rano i już nie będziemy mogli tym razem wstąpić do Przylot, nad czém mocno boleję, bo bardzo lubię to miejsce i tak nam tam zawsze wygodnie. Proszę mi przebaczyć, kochana Mamo, jeśli w téj podróży na Wołyń, chybię którą posztę, mimo największej ochoty do pisania i pośpiechu łatwo się opóźnić, coby Mamę mogło niepokoić. Możesz być pewna że się będę starać aby mi się to jak najrzadziej trafiało, bo to prawdziwe dla mnie strapienie. Tak potrzebuję przypomnieć ci się i donieść szczegółowo o moich zajęciach, a powtórzyć ile mam dla ciebie przywiązania. Król i książę Prymas ściskają cię, zdrowi są zupełnie równie jak wszyscy, którzy cię tu interessują. Zimno zwiększające się znacznie i poczynające być dokuczliwém niepokoi mnie z przyczyny twej podróży. Gutakowski i Piramowicz tysiące ukłonów kazali Mamie oświadczyć. Zapewniają mnie że w Montpellier będzie ci bardzo nudno, okolice nie tak miłe jakeśmy się spodziewali. Zapewne na te kilka miesięcy zamieszkasz i najmiesz dom w Tuluzie, lub w Aix, lub w Marsylji, której okolice są prześliczne, jak powiadają, a przechadzki rozkoszne. Zdaje mi się że z tych miejsc powinnabyś wybrać ostatnie.

30 Stycznia.

« Siadamy w tej chwili do powozu. Łączę list od Piramowicza. Wczoraj całe poobiedzie przeglądaliśmy rysunki tego pana Worstey, przywiezione z Grecji i Egyptu, doskonale wykonane, pomniki i pamiątki zajmujące, on sam także interesujący swą prostotą i pełen nauki.

Dałam polecenie Bacciarellemu aby przywiózł tych kamyczków weneckich, które tam są tak tanie, a cała Francja zaopatruje się niemi na świetne wyszywania. »

IV.

Lublin. Na Tatarach, 3 Lutego.

« Znowu tedy muszę czekać, kochana Mamo, do Poniedziałku lub Wtorku przyszłego do Zamościa, nim odbiorę od ciebie wiadomości. Czas ten w miarę mej niecierpliwości bardzo mi się długim wydaje. Tymczasem dla zajęcia się, śledzę z największemi szczegółami drogę którą przebywasz; wszystkich tych prowincji Francji południowych, mam opisy zachwycające.

« Są to zeszyty które mąż mój pisał przebywając te kraje, dziś mnie podwójnie interessują, gdyż ty je przebywasz i oczyma twemi widzieć je będę. Szłam za Mamą oglądając troskliwie warsztaty i fabryki lyońskie, starałem się sobie przedstawić Avignon, Franciszka I odkrywającego grobowiec Laury i piszącego jej nagrobek, istotnie poruszający swą prostotą i naiwnością. Goniłam myśli twe przy wodospadzie Vocluzy, jechałam z tobą do Aix, oglądałam piękne zbiory obrazów które się tam znajdują. Mówią że jest ich podostatkiem. Myślę że może zechcesz wybrać to miasto na mieszkanie i pozostaniesz w niém przez kilka miesięcy, bo okolice są daleko zieleńsze niż około Marsylji a najżyźniejsze w całej Prowancji. Marsylja musi mieć także wiele wdzięku. Szłam za Mamą aż do Tulonu, Tarascon, Beaucaire, Nimes, do wspaniałego jego amfiteatru. Mówią że okolice Montpellier są bardzo nagie, chyba by Mama prosiła ks. Biskupa de Neuville aby jej odstąpił pięknego swego domu w Verne, o milę od miasta, z parkiem, pięknemi drzewy i sadzawkami, co jest osobliwością w kraju tak spalonym. Wyjechawszy z Tulonu, o trzy mile od niego szłam za tobą do królewskich ogrodów w Hyères, na stałym lądzie, tak dla nas szczególniej mieszkańców północy zachwycających, bo pełnych drzew pomarańczowych, które swą balsamiczną wonią napełniają powietrze. Jest to kraj miłych złudzeń i marzeń szczęśliwych, które życzę by dla Mamy stały się rzeczywistością. Proszę tylko byś nie płynęła do wysp Hyères, chybaby była

pogoda zupełna a morze spokojne. Zdaje mi się że one nie są warte trudu, bo główne ogrody znajdują się na stałym lądzie.

V.

Przybywszy w niedzielę rano do Łabunia 4 Lutego 1787.

Łabuń, 7 Lutego.

« Proszę wybaczyć że piszę sama, bo Glińskiego tu nie ma. Znaleźli śmy ojca dosyć zdrowym, cierpi tylko trochę na zęby. Przyjął nas doskonale; spełniłam wszystkie twe dane mi do niego polecenia, które jaknajlepiej zostały przyjęte. Pozostawiam sobie wiele szczegółów, o których napiszę po przybyciu do Wiśniowca. Jutro tam wyjeżdżamy, a staniemy w piątek wieczorem ; całą podróż odbywamy pocztą, wyjąwszy kawałek z Dęblina do Lublina, który nam zajął dzień jeden. Jedziemy to powozem, to saniami, wedle ilości śniegów, które tu są bardzo głębokie. Poniedziałek minął a wiadomości od Mamy nie odebrałam, oczekuję znowu końca tygodnia, który mi je przynieść musi — tak się spodziewam.

« Mąż mój był wczoraj po obiedzie z wizytą u państwa Ordynactwa w Zamościu. Przyjęli go widocznie skłopotani bardzo jego przyjazdem; stryj mój mocno postarzał jak mówią, i zdaje się mieć dużo zmartwienia, co mnie bardzo boli, bo człowiek ten na lepsze zasługiwał losy. Napisałam do niego liścik jak najczulszy przez mojego męża, wymawiając się zdrowiem iż sama przybyć nie mogłam. Z tego co donoszę, widzi Mama sama, że potrzebowałam kilkodniowego spoczynku, zwłaszcza żem i kataru lekkiego dostała, wymagającego ostrożności ; teraz już wszystko przeszło i mam się jak najlepiej. Mąż mój nie widział kuzynów, choć kilka razy o nich się pytał. Panna Zamoyska była w pokojach matki, wyrosła bardzo i jest dosyć przystojna. O interesach wcale nie mówiono w Zamościu, łowczy Łaźniński towarzyszył memu mężowi, znaleźliśmy go tu z synowcem, bardzo szczęśliwy z niebieskiej wstęgi.

VI.

Wiśniowiec, 10 Lutego.

« Tylko cośmy tu przybyli kochana Mamo o dziewiątej rano, spędziwszy noc w polu na saniach, bom się uparła we dwa dni tu stanąć z Łabunia. Wiesz jak lubię podróżować szybko, i przyjechalibyśmy byli tu niechybnie jeszcze wczoraj wieczorem, gdyby nie ogromne

śniegi i straszny wicher wiejący przez noc całą, który nie dawał rozpoznać drogi. « Wszystkie ślady tak zasypało, żeśmy musieli cierpliwie czekać dnia i rezolwować się na śnieg, deszcz, grad i zawieruchę caluteńką noc, o pół mili od Krzemieńca wyjechawszy, o dwie mile stąd » ale szczęściem bardzośmy wszyscy z tego dobrze wyszli, mamy się dobrze, tylko padamy ze snu. Poczta odchodzi, odkładam na pojutrze szczegóły podróży, zresztą szczęśliwej, i nowiny które przyrzekłam z Łabunia o pobycie naszym. Te ci przyjemność zrobią, bo są dobre; mąż zasyła uszanowanie i t.d.

VII.

Wiśniowiec, 14 Lutego.

« Nie pojmuję dla czego Mama w Lipsku nie odebrała listów odemnie bom tam dwa adresowała. Proszę wierzyć że to nie moja wina, i że regularnie bardzo piszę dwa razy w tydzień. Poczty tu znalazłam regularne, jak nas zapewniano w Warszawie. Wszystek ten czas użyliśmy na urządzenie wewnętrzne domu, z którego jestem bardzo szczęśliwa, mimo szkaradnej pory roku. Dnie mi się wydają za krótkie i tylem tu miłych zajęć znalazła, że gdyby dwa razy dłuższe były, miałabym je czém zapełnić.

«Żeby Mama wiedziała jak ja się uwijam z meblami, obrazami. kopersztychami, książkami, przytém rysuję, haftuję i gram na klawikorcie; przed obiadem jeżdżę do Łóz, biegnę po śniegu, a wszystko miło i zdrowo. Zastałam wszystkie nowe fruktowe drzewa przy murze pod szklarnią, w bardzo dobrym stanie; nowy ten zakład był nader potrzebny przy srogościach zimy naszej. Mąż mój odebrał sztafetę wczoraj, oznajmującą mu, o przybyciu Króla daleko wcześniej niżeliśmy się go spodziewali. Wyjeżdza z Warszawy dnia 22 Lutego i będzie tu dnia 1 Marca. Był łaskaw przysłać nam kopję odpowiedzi pana 103 (Ordynata Zamoyskiego), który się wymawia zdrowiem że przybyć sam nie może do Warszawy dla układów wiadomych, żądając aby się one odbyły w 41 (Zamościu). Król nas raczył zapytać, czegobyśmy sobie w tym względzie życzyli; 58 (Mniszech) odpowiedział : że widzi iż przyjąć potrzeba to co dają, choćby w 41 byle ugoda nastąpiła, a Król był łaskaw nakłonić 98 żeby pojechał do 41 (Zamościa) dla czuwania nad interessami naszemi. Nie łatwo to będzie otrzymać, pragnął bardzo żeby się to skończyło w Warszawie, i powiedział nam wyraźnie, że ma wstręt wielki jechać do 41 (Zamościa), bo się tam lęka komerażów małej pani (Ordynatowej) i jej uporu. Co się tyczy 4, (Ojca) ten gdyśmy mu pokazali list Króla, gdy się dowiedział o jego woli, zgodził się natychmiast i dał nam list z odpowiedzią do Króla wyrażając się w niej : « z wszelką powol-

nością, uszanowaniem i wdzięcznością za ojcowskie starania Jego królewskiej Mości, zastosuję się zupełnie do jego woli.»

«Oczekujemy co chwila Ambasadora; wyjechał już z Warszawy ale na Brzuzę jedzie, to się tam może zatrzyma: Orłowski jest tu od dni kilku, byliśmy szczęśliwi żeśmy się znowu spotkali, ale go ostatnia choroba bardzo osłabiła. Plater starszy przyjechał wczoraj na kolację do nas, obiegłszy świat do koła, i odjechał co najśpieszniej dziś rano aby odegrać w Dubnie wieczorem małą sztuczkę «Szczęśliwie» w której ma rolę oszukiwanego męża, a najzupełniej spokojnego o siebie z trzech przyczyn, które z ukontentowaniem wylicza: z przyczyny cnoty swej żony, wielkiej miłości jaką ona ma dla niego, i własnej swej wartości.

«Jest to kolacja P. de Senante i de Matas, z pamiętników Grammont'a, przerobiona na scenę. Widział kto co podobnego żeby ta rola najpociesznięjszym trafem przypadła temu biednemu Platerowi, który się ciągle śmieje i tak jest zawsze rad z siebie! co najlepsza, że mi to on sam opowiadał, a razem oznajmił o przybyciu pani Sewerynowej do Dubna na samą sztukę... Co to za gratka dla niej! jak ona potrafi z niej korzystać! Spodziewam się jej tu za ośm lub dziesięć dni. Proszę Mamy żeby przeczytała co piszę o sztuce księdzu Renaud, jeśli zna osoby poczuje ile w tém jest soli... Platerowie spotkali się kilka razy we Włoszech z księżną Marszałkową, byli z nią na przyjęciach i ucztach dawanych dla niej przez kardynała Archetti w Boulogne. Mówią że były nadzwyczaj wspaniałe.

15 Lutego.

«Żdrowie moje jak najlepsze, może wszystko by tu było dobrze ale ilość śniegu nadzwyczajna, a drzewa niezmiernie wiele wychodzi na opalenie tego strasznego domu. Okoliczności pomyślne czynią że się nad tém nie zastanawia.»

VIII.

Wiśniowiec, 17 Lutego.

«Ambasador jeszcze nie przybył, może się damy ściągnąć do Dubna, na ostatnie dni karnawału, ale jeszcze tego nie jesteśmy pewni. Sewerynowa się tam znajduje, Książe i Księżna stolnikowa (Czartoryscy), kasztelan Sierakowski z żoną i bardzo wiele osób. Mówią że towarzystwo wcale świetne. Co dzień prawie grają komedję amatorowie, na małym teatrzyku w zamku, oprócz tego jest teatr publiczny w mieście większy od warszawskiego, na którym dają komedje polskie i koncer-

ta. Są bale na zamku i reduty w mieście. Ranki przechodzą w maneżu wielkim przy teatrze publicznym na którym dają karuzele, damy siedzą w lożach przypatrując się zręczności swych rycerzy przyozdobionych ich kolorami. Czybyś Mama sądziła kiedy że książe *Pan*, zdobyć się potrafi na tak wyrafinowaną galanterję. Mówią że jego kapela, jak on ją zowie, jest wistocie bardzo dobra, a stajnie obficie w konie zaopatrzone, tylko literatury nie cierpi, a nadewszystko poezji. Razem wzięte ma to jakieś piętno które mi się mocno niepodoba.

Mąż mój zlecił mi przesłać uszanowanie i t. d.

Twój karnawał w Marsylji całe być musi różny od naszego, tam nie wymuszona wesołość wiejska, tu daremne tylko do czegoś pretensje.

IX.

Wiśniowiec, 21 Lutego.

« Ambassador przybył w przeszłą Sobotę na obiad, nie mając z sobą nikogo prócz kilku osób swojego dworu i Scio którego miło jest spotkać, bo bardzo w towarzystwie użyteczny. Czyta cudownie, śpiewa wcale ładnie i gra na hiszpańskiej gitarze z wielkim gustem. Najmniej się, będąc z nim, myśli o tém że jest doktorem, a dla mnie, ma w tej chwili i tę wielką zasługę, że jest rodem z Langwedocji i że zna swój kraj jak własną kieszeń. Domyślasz się, kochana Mamo, ile mu pytań zadaję, z mappą i dziennikami mego męża w ręku. Zapewnił on mnie że można znaleźć domy do najęcia we wsiach de la Verunne, o pół mili od Montpellier, a domy te mają przytykać do parku Biskupa, który jest dla publiczności otwarty jak powiada. Utrzymuje także iż pewnie będziesz wolała Montpellier niż Marsylję, bo powietrze tu jest czystsze i lepsze na delikatne piersi, a w Marsylji panują czasami wiatry od morza bardzo ostre. Widzę ztąd księdza Renaud, przechadzającego się ze swą rumianą twarzą i romansowo rozpamiętywającego o pięknej Magiellonie i Piotrze z Prowancji, którego grób ma się w okolicach Montpellier znajdować. Radabym była żeby Mama widziała jakie oczy robili ambasador i mój mąż, w czasie tych rozpraw romantycznych, jakie mieli miny profanów i *mauvais sujets*. Zapomniałam dodać, że Scio mnie upewnił, iż cudzoziemcy wcale nie jeżdżą na wyspy Hyères, oglądają tylko królewskie ogrody w Hyères na stałym lądzie. Wyspy mają być skałami nagiemi i nieuprawnemi. Wieczór dnia przyjazdu ambasadora, przeszedł na obgadywaniu Dydony 115, która utrzymuje skromnie, iż w Paryżu może równie dobrze są w stanie wydeklamować ustępy czułe jak ona, ale w miejscach powagi i dumy pełnych, nikt jej nie zrówna. Wszyscy się jednak na to zgodzą, że przedstawienie tragedji zupełnie

się powiodło i było niezmiernie wspaniałe. Dawano ją już po moim wyjeździe. Pan 101 jest dotąd z księciem Potemkinem gdzieś na wyprawach. Cesarzowa już w Kijowie od dni kilku, Ambasador nam opowiadał że karnawał w Dubnie był przerwany śmiercią strażnika Czackiego, która wszystkie siostry i braci pani Strażnikowej zasmuciła; pojechali do Boremla ją pocieszać. Nazajutrz, w Niedzielę byliśmy z Ambasadorem w Łozach, znajdował to miejsce, mimo zimy, bardzo miłém i rzekł mi po namyśle: «Nie sprzedacie już Wiśniowca, nie pojmuję jakbyście państwo mogli zrobić tę ofiarę.» Prawdaże raz tu będąc, trzeba być straszliwie rozumnym aby o tém pomyślić. Po południu, Scio czytał nam dzieło o Tauryce, aby nas zbogacić wiadomościami do okoliczności stosownemi. Tajemnicze te posiedzenia odbywały się w budoarze, profani byli w salonie z Seibem który bal ożywiał. Przypuszczeni przychodzili tylko kiedy niekiedy rozrywać się uczonemi wiadomościami, których chcieliśmy nabyć o Taurydzie. Przerywaliśmy czytanie arjami i seguedillami przy gitarze hiszpańskiej, bardzo miłemi.

«Nie zaniechaliśmy też z całą kokieterją pokazać Ambasadorowi biblioteki, której on wartość umiał ocenić. W chwili wieczerzy przybył hr. Moszyński niespodzianie. On i ambasador polecili mi przesłać Mamie uszanowanie i pytali bardzo o wiadomości od niej. Pani Sewerynowa dostała w Dubnie kolki dla której z ambasadorem tu przybyć nie mogła, jak sobie układała, i zdaje mi się że nie wstępując do nas pojedzie wprost do Ładyżyna. Ambasador zjadłszy z nami śniadanie w Poniedziałek, odjechał około dziesiątej do Zasławia. Wielkie śniegi, trochę lenistwa, a nadewszystko niepewność czy znajdziemy w Dubnie księżnę Stolnikowę, z powodu śmierci Strażnika, nie dozwoliły nam tam dojechać, jakeśmy zamierzali. Na ostatni Wtorek mieliśmy tam zawieźć hr. Moszyńskiego który tu zostaje z nami i z wielką uprzejmością do nas się zastosował. Ale wczoraj taka zawierucha była, że chwała Bogu żeśmy się w drogę nie puścili, bobyśmy byli mogli noc spędzić w sankach na szukaniu drogi. Nie można mieć wyobrażenia jakie tu u nas śniegi, jak na górze św. Gotard'a.

«Orłowski cały ten czas spędził z nami, dziś wyjechał, spotkamy się z nim w Kijowie. Mąż mój przypomina się łasce Mamy. Poczta warszawska całkiem dziś nie przybyła, i pozbawiona jestem wiadomości od Mamy.

22 Lutego.

Zdrowie moje dobre, proszę tam oszczędzać swego i być pewną mego przywiązania. Ściskam po tysiąc razy rączki całując.

X.

Wiśniowiec, 24 Lutego.

«Piszę dziś tylko aby się przypomnieć łasce Mamy, bo nic nie mam do doniesienia. Oczekujemy w tych dniach przybycia wielu osób. Król przybędzie w następnym tygodniu, pakujemy się do odjazdu z nim razem. Tymczasem przygotowują się wielkie apartamenta na górze dla Króla, też same które wielki książe zajmował; napełniamy je wygódkami różnego rodzaju, krzesłami rozmaitemi, biurkami, szafami, stołami do pisania, parawanami i wazonami róż rozkwitłych, których nam Orłowski dostarcza. Są one najpiękniejszego gatunku; przywiózł z sobą na wieś bardzo doskonałego ogrodnika, który był dawniej u starszego mego stryja, a stara się jak najmocniej aby mieć piękne kwiaty w zimie. Łozy dostarczają ich tylko na wiosnę i latem, a że się nie spodziewano widzieć nas zimą w Wiśniowcu, nie przysposobili się w piękne kwiatki na tę porę. Założyłam stoły w apartamencie królewskim sztychami i najpiękniejszemi wydaniami, które znalazłam w tutejszej bibliotece. Między innemi jest galerja florencka i przepyszne wydanie in 4° Buffona, także dobry klawikord i trochę nut, ale starannie wybranych. Będziemy się starali zająć jak najprzyjemniej te trzy dni które Król tu ma przepędzić. Na powrót jego przygotowujemy ładny mały teatrzyk, który Lesser, co wszystko umié, odmaluje ze wzorów, jakie sama pani wybierze. Będzie nawet mały balet. Dzisiejszego wieczora przybędzie raport od księcia Michała (Prymasa) a jutro najznakomitsze osoby z sąsiedztwa, dla oczekiwania już na Króla.

«Towarzystwo które ostatnie dnie karnawału spędziło w Dubnie, kazało mnie spytać czy mam teatr u siebie, a że zwykli grywać często komedje francuzkie i polskie, oświadczyli mi, że za powrotem Króla, chętnie by tu kilka sztuk odegrali. Zawszeby to przerywając jednostajność zabawiło go przez parę wieczorów, a co dla mnie najmilsza, że jabym sama nie była grać zmuszoną, ani nawet myślić o urządzeniu widowiska. Ponieważ się tym paniom tego zachciewa, niech biorą cały kłopot na siebie, a my tylko każemy w bibliotece mały teatrzyk urządzić. Kształt sali bardzo temu sprzyja. Balety będą raczej pantominami dziecinnemi, i t. d.

XI.

Wiśniowiec, 28 Lutego.

«Nareszcie z najżywszą wdzięcznością odebrałam, kochana Mamo, list twój z Frankfortu; znalazłam w nim szczegóły bardzo drogie sercu mojemu, wierzaj Mamo, żem je czuć i ocenić umiała.

Co się tyczy projektów twych skierowania drogi na Genewę i Ferney jeżeli pora pozwoli, patrzałam na mappie i powiedziałam sobie, że na Mamy miejscu, jabym toż samo uczyniła, bo na Genewę jadąc nic pra wie z drogi. Opisy podróży Mamy, choć tylko Niemiec, są bardzo zajmujące; ale niech Mama nie żałuje że się tak zbudował apartament jej do kąpieli, nie może być lepiej. Zdaje mi się że te drugie piętra wystające nad pierwszemi muszą być bardzo brzydkie, a niepokojące dla oka. Nie ma też co żałować że Mama nie widziała Bulli Złotej, ma to być księga gruba, zakurzona, brudna i zajmująca tylko dla ludzi miejscowych i antykwarjuszów. List oryginalny tego dobrego naszego Henryka IV, taki jaki się dostać udało pani Sewerynowej, więcej stokroć wart niż te stare rupiecie. Odebrane wczoraj pismo od księcia Prymasa oznajmuje nam o wyjeździe Króla z Warszawy d. 23 Lutego ; mówi także o słabości pana de Vergennes, która się staje niebeśpieczną. Nie uwierzy Mama jak to przykra rzecz dla mojego męża ; ludzkość cała jest interesowaną w tém, aby ocalić życie człowieka tak rzadkiego, tak drogiego dla jego osobistych zalet i pożyteczności. List Mamy z Frankfortu musiał być otwierany, bom w nim nie znalazła drukowanego ogłoszenia, które włożone być miało, musiano je przy zapieczętowywaniu zatracić.

« Pani Platerowa która tu czasem przyjeżdża i która się istotnie bardzo na awantaż odmieniła od swojej podróży, przybyła dziś proponując mi abyśmy na powrót Króla tutaj, dały sztukę Voltaira pod tytułem : *Charlot*, czyli *Hrabina de Gyori*. Przedmiot jej dosyć do okoliczności przypada. Oczekują na przybycie Henryka IV w zamku hr. de Gyori. Zdały mi się bardzo zabawne instrukcje które dają synowi hrabiny dla zachęcenia go do nauki, mówiąc że król wojownik, lubi także bardzo naukę i literaturę. Zgadujeszjakby się to zastosowało do 56 (króla ?); w całej sztuce jest pełno przyjemnych alluzji. Poprosimy Maisonneuve o ułożenie piosnki którą odśpiewa panna Plater z towarzyszeniem arfy, bo się na niej grać uczyła w Paryżu. Jest to młoda panieneczka, bardzo interesująca. Ambasador który widział ją grającą w Dubnie, mówił mi że go zadziwiła francuzczyzną swoją i wdziękiem w obejściu. Manjery doskonałe, daleko jest milszą od małej Zosi księcia de Nassau. Zupełnie mała Francuzeczka. Jestem bardzo ciekawa co z tych wszystkich projektów widowisk wyniknie. Chcą także grać *Syna Marnotrawnego* po polsku, dobre tłumaczenie Trembeckiego, które znasz i kilka mniejszych rzeczy, między innemi małą operetkę polską. Szczęściem mają dosyć czasu aby się do Maja swoich ról powyuczali.

1 Marca.

Oczukujemy Króla pojutrze, a mamy z nim razem wyjechać w Poniedziałek lub we Wtorek przyszły. Boję się że będę mogła czasem po-

cztę opuścić, zwłaszcza gdy się z Królem rozstaniemy jadąc do Kijowa; może Mama być pewną że nie z mojej winy, że zawsze pilnować się będę aby donieść o sobie, ale nie można odpowiadać za wypadki i wcześnie o tém piszę, abyś się nie martwiła. Skorośmy tu przyjechali, prosiłam proboszcza tutejszego o pozwolenie spowiedzi wielkanocnej dla nas i dla tych co jadą z nami do Kijowa, dla odbycia jej przed zwyczajną porą. Za tém pozwoleniem mój mąż się spowiadał dni temu kilka, a ja mam być jutro u spowiedzi. Podobno przyjdzie nam dłużej bawić w Kijowie niżeśmy rozumieli, przynamniej ze trzy niedziele, ale się to jeszcze może kilka razy odmienić.

XII.

Wiśniowiec, 2 Marca.

« Oczekujemy przybycia Króla co chwila, ale nie zdaje się żeby mógł dzisiaj przyjechać, drogi się psują, i nie mieliśmy dotąd żadnej wiadomości o jego podróży; zapewne nadjedzie dopiéro jutro. Mamy już mnóstwo osób które tu na niego oczekują, między innemi księcia Michała Lubomirskiego, Rzewuskiego, starostę Drohobyckiego i Moszynę (Moszyńskiego) który zawsze ci hołdy swe składać poleca. Mieliśmy wiadomości z Kijowa, donoszą nam że obcy widują Cesarzowę trzy razy na tydzień na apartamentach, że grywa partję swą zawsze z p. de Ségur, M. de Cobentzel i p. Fitz-Herbert. Wszystko to się kończy o ósmej; utrzymują że pobyt tam dosyć smutny. Nikt domu nie trzyma oprócz naszych Polaków, mianowicie wojewoda ruski (Stanisław Potocki) i wielki hetman Branicki. Błagam Mamę aby pamiętała, że wszystkie listy które od niej będę odbierać w Kijowie, muszą być rozpieczętowywane i czytane przez 20 (Cesarzowę).... Sama Mama uczuje jak to tamuje wynurzenia się wzajemne. Mąż mój zasyła najczulsze uszanowanie, jest równie jak ja mocno zmartwiony dowiadując się w tej chwili od przybywającego tu łowczego Łaznińskiego, że Król dopiero przyjedzie w przyszły Czwartek. « Dalsza nasza droga przez to będąc opóźniona » Król ma miłą perspektywę, że będzie po dwie mile robić na dzień, bo mówią, że gościńce ukraińskie w tej porze są okropne.

XIII.

Wiśniowiec, 7 Marca.

Wojewoda ruski (Stanisław Potocki) przybył tu w przeszłą Sobotę; czekać ma na Króla, który przyjedzie do Wiśniowca w przyszły Piątek, gdyż go Wisła, której przebyć nie mógł, wstrzymała przez pięć dni

w Kozienicach. Wojewoda przywiózł listy z Kijowa bardzo zaspokajające do Króla od 92; donoszą nam stamtąd że Cesarzowa bardzo miłą znajduje Wojewodzinę ruską. Wojewoda jest tu teraz daleko otwartszym i więcej mówiącym niż kiedykolwiek, wesół i prawie gaduła; zaczynamy z nim mówić o sprzedaży 34 (Wiśniowca); ale zawsze z warunkiem kupna Brzostowicy, czego się on spodziewa dopiąć z pomocą Chreptowicza. Mamy też wiadomości pewne o bardzo pochlebnem przyjęciu przez Cesarzowę 92; jestem z tego prawdziwie uszczęśliwioną, gdyż mamy w nim istotnie serdecznego przyjaciela. Nie mówię nic Mamie o tym tłumie który tu na Króla oczekuje; rano i wieczór dwa stoły, jeden na czterdzieści, drugi na trzydzieści osób, nie jest to rzecz bardzo zabawna « a osobliwie na worek. Moszyna na to głową kręci » bo najosobliwszym trafem taka tu drożyzna jak w Warszawie. Wierzyćbym temu nie chciała, gdybym sama nie doświadczyła, na Wołyniu gdzie zwyczajnie raj był na wszystko.

8 Marca.

« Król dziś o sześć mil stąd nocuje w Kozinie, to jutro zapewne będzie. « Mówią że jest w bardzo dobrym humorze, ma się doskonale » ten rejment moskiewski co go tak gryzł, przeniósł się do dóbr księcia Potemkina, nowo kupionych od księcia Ksawerego Lubomirskiego, jak powiada 92, dla ukończenia edukacji (pour lui faire faire ses humanités) « to i w tém już będzie uspokojony. » W małej flotylli Cesarzowej, która się pod Kijowem znajduje, jest osobny yacht przeznaczony dla naszego Króla, z całkowitym apartamentem, i najwytworniejszym. Pewnie Mama spotka gdzie we Francij l'abbé de Bourbon; błagam żeby mi powiedziała, czy też to prawda że podobieństwo Ludwika XV do naszego Króla on także odziedziczył. Osoby które go niedawno widziały we Włoszech, zapewniały mnie o tém; mówią że jest bardzo przystojny i niezmiernie dystyngowany,

« Państwo Ordynatowie (Zamoyscy) zajechali drogę N. Panu w Krasnym-stawie; dowiemy się co tam mówiono i jak się ułożono; przykra to rzecz że się nie chcą zgodnie porozumieć. Ale nacóż ja Mamie piszę o processach i interessach, do kraju w którym panuje pokój i szczęście.

XIV.

Wiśniowiec, 10 Marca.

« Mamy nareszcie naszego dobrego Króla od wczora; niech sobie Mama wyobrazi jak jesteśmy szczęśliwi. Zdrowie jego doskonałe; pora okropna, śniegi straszliwe, droga utrudzająca i powozy jego wymagają-

ce różnych poprawek, wstrzymają go tu, mam nadzieję do przyszłego wtorku. Pytał mnie z największém zajęciem o wiadomości od Mamy, ubolewając nad tém że Mama od nas nie odbiera ich regularnie. Mówił mi że pisał do Mamy tam dwa razy, i że każe ci donosić o sobie regularnie co poczta; Hetman (Ludwik Tyszkiewicz) i książe Józef Poniatowski, który towarzyszy Królowi, polecili mi złożyć uszanowanie. Witford, Maisonneuve, książe de Ligne syn, Litlepage, Belmontet, Tadeusz Morski, cała karawana, pozostała w śniegach zakopana i nie ma już nawet o nich mowy, jak o przeszłorocznych muchach, ale ich zapewne znajdziemy w Kijowie. Dowiaduję się w tej chwili że książe Stanisław przybywa. Król dał strażnikostwo po Czackim, Januszowi Sanguszce. Małogoska przysłała mi przez ludzi Króla kilka tomów listów o Prowancij, wiedząc jak mnie teraz kraj ten obchodzi, od czasu gdy Mama w nim zostaje. Są w nich śliczne widoki sztychowane, wodospadu Vocluzy i portu w Marsylij i Tulonie.

(Dopisek ręką Króla).

« Okrutnie mi cię żal, bom ja za to winien jest; wyrwawszy cię od swoich pierwszy raz w życiu, być blisko dwóch miesięcy bez listów. Ale to zapewne Cabrit musiał wszystko posłać prosto przodem aż do Montpellier.

« Tak własnie stało się pani Krakowskiej przed trzema laty. » Odebrała potém razem kilka moich listów. Mam nadzieię że dwa moje poprzednie już cię doszły, do tej pory i że już w pełni używasz słońca Prowancij. Racz mu oswiadczyć ukłon odemnie i proś je niech co rychlej ześle na nas nieco swych promieni a oswobodzi nareszcie od tej obrzydliwej trzeciej zimy. Ściskam cię z całego serca, i pozdrawiam serdecznie l'abbé i panią Łęską, za te starania, jakie mają około pani Siostry. »

XV.

Wiśniowiec, 14 Marca.

« Król wyechał dzisiejszego rana, a my myślimy jutro za nim podążyć. Zatrzymał się jednym dniem dłużej z powodu przybycia księcią de Ligne ojca, z dwóma synami i panem hrabią Dilon. Są u nas od pozawczora i wyjeżdżają z nami, co podróż naszą jedną z najprzyjemniejszych uczyni. Książe de Ligne ojciec, poleca mi pełne uszanowania ukłony dla Mamy, i bardzo mu przykro że się z nią nie spotkał przynajmniej w drodze. Nie przejeżdżał naówczas przez Warszawę, przez Brody się tu przerżnął.

«Littlepage i Morski którzy także są tu od dwóch dni jadą z nami, a

Belmontet, zgrawszy się w Warszawie został. Dilon zachowuje zawsze swą reputację pięknego mężczyzny, jest nawet dosyć miły, ale rzadko kto się może wydać z awantażem przy starym de Ligne.

« W piérwszych dniach pani Platerowa zabawiała Króla opowiadaniem o swych podróżach po Włoszech ; wié Mama że to dla niego przedmiot nie wyczerpany. Kilka wieczorów spędziliśmy na czytaniu różnych urywków które książe Józef (Poniatowski) i pani Platerowa z kolei na przemiany odczytywali. Oboje czytają bardzo dobrze . . . Pepi (książe Józef) urozmaicał to zajęcie mieszając do niego troche muzyki łatwej i przyjemnej, jaką lubi, nie uczonej wcale. Domyśla się Mama jak roskoszne były kolacje Króla od czasu przybycia księcia de Ligne, ile ucinków, ile dowcipnych słówek ! Któregoś dnia, mówiąc o muzyce księcia Potemkina złożonej ze dwódziestu czterech muzykantów, z których każdy, jeden tylko ton bierze,Książe opowiadał nam, że przyszła była fantazja kazać im grać w Peterhofie . . . Ale to do skutku przyjść nie mogło w tej chwili z powodu że *Sol* był zakatarzony, *Fa* dostał febry, *Ut* wziął na przeczyszczenie . . .

« Pan Dilon zajął wielce Króla opowiadaniami o swych podróżach po Grecji, Egypcie i do Jerozolimy; czytał nam z nich wyciągi wczoraj po obiedzie ; pięknie są pisane i mówią o przedmiotach bardzo ciekawych ; nie pisał nic o Atenach przez poszanowanie dla zabytków które w sobie zawierają, wielkich mężów jacy tu żyli, i braku talentu jaki sobie przypisuje. Pokazywał także Królowi tekę swych rysunków, przez niego samego robionych, z niezmiernym smakiem : są w nich efekta optyczne zachwycające, widoki Palmyry i Balbeku, niesłychane bogactwa architektury. Potém przeszliśmy do mieszkania męża mojego, i czas przedwieczorny zapełniony był czytaniem księcia de Ligne wyjątków z jego pamiętników o rozmowach jakie miewał z Królem pruskim. Król przyszedł słuchać czytania w towarzystwie niewielu osób. Dzieło to niezmiernie zajmujące, pisane z tym wdziękiem, łatwością i dowcipem jaki jest księciu de Ligne właściwy; szacowne z samego przedmiotu o którym mowa.

« Jest to niezawodnie najlepsze z dzieł jego. Między innemi przywodzi śliczne określenie matki księcia de Conti, która mówiła o swoim synu : Ma niezmiernie wiele dowcipu... wydaje się on nakształt rozległej z początku przestrzeni, która podnosi się ostremi szczyty powoli jak obelisk ku górze, a kończy ostro jak dzwonnica. Młoda księżna de Ligne (Massalska z domu) przejeżdżała niedawno przez Kraków, i zdaje mi się że się teraz musi znajdować w Warszawie. Spędzi dni kilka w domu pani de Nassau i pojedzie w dalszą drogę przez Wilno do swego stryja.... Chciałam Mamie posłać journal pana Platera drogi królewskiej, bo mi go bardzo chwalili, ale przyznam się żem go żadnym sposobem nie mogła przeczytać : są to szczegóły tak nudne,

tak drobnostkowe, że Mamie ich posłać niepodobna, témbardziej że to tego są tomy całe, a Naruszewicz mi obiecał że będzie Mama miała wyjątki porobione przez niego regularnie. Zdrowie Króla doskonałe, tego Mama może być pewna. Pan de Lameth siostrzan marszałka de Broglie, przybył tu w tej chwili.

« W tym opisie rozmów z królem pruskim księcia de Ligne, jest wzmianka o fajerwerku wyprawionym w dzień jego wesela. Chcąc coś nowego wymyślić wystawiono dwa serca zapalone; nieszczęściem serce żony wypaliło się przedwcześnie, moje (mówi książe de Ligne) pozostało i spłonęło samotnie, z wielkiém strapieniem rodziców, którzy ten wypadek wzięli za złą przepowiednię.

15 Marca.

« W tej chwili siadamy do powozów. — Wszyscy, których zdrowie Mamę obchodzi, mają się dobrze, poczynając od Króla. Muszę uprzedzić Mamę, że pewnie mi się przytrafi chybić jaką pocztę parę razy, bo z powodu niedostatku koni, więcej nad sześć mil dziennie nie zrobiemy. W tak dobrém towarzystwie pewnie się na to skarżyć nie będziemy. Pan Dillon mówił mi, że się spodziewa iż stryj jego Arcybiskup Narboneński i dwaj jego bracia znajdujący się w Montpellier, będą mieli szczęście złożyć Mamie uszanowanie.

XVI.

Zasław, 17 Marca.

« Przybyliśmy tu wczoraj, tegoż dnia którego Król stąd wyjechał; podróż odbywamy w sposób następujący : książe de Ligne ojciec, pan Dillon, mój mąż i ja , w jednym powozie ; w drugim, dwaj synowie księcia de Ligne, Morski, i Littlepage. Dillon jak najprzyjemniejszy; zna Mama księcia de Ligne, to dosyć powiedzieć, oba pełni wesołości i śmieszki. Nigdym jeszcze nie spotkała tyle razem wesela, tyle wdzięku w dowcipie. Nasze kolacyjki w tych obrzydłych karczmach żydowskich, są niezmiernie wytworne ·i w najzupełniejszej sprzeczności z miejscowością. Zamknąwszy oczy mogłoby się zdawać, że się jest w Paryżu. Jakżeby Prymas zemnie żartował żeby to widział! Wyjechawszy z Wiśniowca, na obiedzie byliśmy u Platerów, bo to nam wypadło po drodze; popisywano się z talentami córki gospodarstwa, która w istocie śpiewa i tańcuje z prawdziwym wdziękiem, jakiego nabyła świéżo w Paryżu. Dillon winszował matce z naiwnością z której śmieliśmy się potém dobrze z nim razem i z księciem de Ligne. Mam sobie do wyrzucenia wszystko co w naszej berlince wygadujemy na 115... zarę-

czam Mamie że oni ją doskonale znają. Opowiadają historje z Paryża o niej nie do wiary. Dillon jest jej antypatyczny, ale się też wypłaca równą monetą. Sądzę że go znienawidziła za to że przeniósł nad nią panią Rzewuskę z którą razem przybyła do Spa i hołdy jej składał. Wieczór nasz tu wczorajszy był hałaśliwy i liczny, kolacja podana i przysrojona tak, że Francuzi nasi bardzo tém byli jak mówią zdziwieni. Miejsce śliczne, o ile można sądzić teraz o niém pod tą skorupą lodu i śniegu. Przybywa się do zamku przez mosty zwodzone, a nasi rycerze wyglądali tylko karła któryby strzegł wnijścia grodu . . . Dom urządzony wygodnie, dano nam apartament wytworny, w którym wypoczęłam doskonale i zdrowiu memu posłużyło to bardzo. Gospodarz i gospodyni są z atencją niezrównaną i wybornie też u nich. Księżna Sanguszkowa mną się szczególniej zajmowała. Jemy tu dziś jeszcze obiad, a wieczorem jedziemy do Łabunia, do zamku który należy do Stępkowskiego... Ostrzegłam księcia de Ligne że tam przedmiotu gorącej swej miłości nie znajdzie, i gospodarza nie ma także. Gdyśmy tu przybyli, oddano mi od Platera młodszego dalszy ciąg dziennika podróży królewskiej, który przysyła dla Mamy. Ponieważ nowin mi braknie i chciałabym żeby Mama przestała żałować że nie doszedł ją początek . . . załączam tu część tego dziennika; przekona się Mama jaki drobnostkowy, nudny i czy podobna jej posyłać całe tomy takich płaskich a rozwlekłych opisów z tak daleka.

XVI.

Chwastów, 21 Marca.

« Tuśmy nareszcie dopędzili Króla naszego, i znaleźliśmy go otoczonego najświetniejszém towarzystwem z Kijowa. Książe Potemkin, pan de Stackelberg, książe de Nassau i Branicki, przybyli tu razem, jednym powozem i w tej chwili odjeżdżają. — Potemkin jest pełen uszanowania, nadskakujący, w atencjach dla Króla, tak jakeśmy tylko pragnąć mogli; Ambasador oddaje istotne przysługi i to z serca. Pan de Nassau zachowuje się wybornie, zawsze bardzo do Króla przywiązany i użyteczny; kolonja francuzka przyjechała z nami, wybornie została przyjęta. Książe de Ligne uszczęśliwiony był zastawszy tu Potemkina. Jedziemy stąd jutro z Królem o mil trzy, myślimy tam obiadować a na noc być w Kijowie tegoż samego dnia; Król dalej pojedzie swoją drogą do Kaniowa. Bardzośmy szczęśliwi że choć te mil trzy z najjaśniejszym Panem zrobimy.

« Książe de Ligne ojciec i Dillon, przez całutką drogę ciągle mówili o naszym Królu, znajdują go nadzwyczaj miłym; cały wdzięk jego dowcipu, jaki Mama zna, oceniać umieją i zachwyceni są nim; « dziwnie

grzeczne Francuzy » tak jednostajnego dobrego humoru, tak miłej rozmowy trudno : a lepiej się ich dopiéro poznaje gdy się ośm dni spędziło razem w jednym powozie.

« Ta miła podróż skończy się jutro, przyznam że z wielkim naszym żalem; ale ich znowu spotkamy w Kijowie, po pracy dziennej, na spokojnych wieczorach naszych. Jeszcze nie wiemy kochana Mamo jak tam zabawimy długo, zależy to od okoliczności; ale nam zawsze pilno być i służyć około naszego dobrego Pana.

XVII.

Kijów, 23 Marca.

« Korzystam z chwili gdy książe de Nassau wyprawia kurjera swego do Kaniowa, aby dać Mamie szczegółową wiadomość o przybyciu naszém tutaj; jesteśmy tu od wczoraj po południu, zjadłszy obiad z Królem w Mytnicy, o trzy mile stąd, zawsze z księciem de Ligne i panem Dillon. Dom nasz o tyle znośny o ile być może w Kijowie. Książe Stanisław już był z niego wyruszył do Kaniowa, a Tyszkiewicz z księciem Józefem którzy się tu byli rozlokowali w nim, najęli sobie inny, widząc że dla nas wszystkich wystarczyć nie może. Tyszkiewicz mi polecił abym go Mamie przypomniała. Dotąd z powodu niezdrowia męża mego widzieliśmy się tylko z tymi którzy byli łaskawi nas odwiedzić. « Francuzy prawie zawsze są z nami, ci co z nami przyjechali. » Wczoraj przybyli do nas z wizytą pan de Segur z panem Cobentzel, de Stackelberg i de Nassau, i wszyscy tu prawie znajdujący się Polacy, wyjąwszy marszałka Potockiego (Jgnacego) i księcia Sapiehę (przekreślony później ostatni). Wojewodzina ruska (z domu Mniszchówna) część poranku spędziła ze mną, zawsze gaduła z niej, roztrzepana ale miła, (kilka wyrazów zmazanych).

Powracam w tej chwili od pani Branickiej, gdziem znalazła panią Skawrońskę (z domu Engelhardt). Obie niezmiernie grzeczne, uprzedzające. Pierwsza z nich doczekała się już dosyć licznej rodziny, dwóch synów i córki. Widziałam tylko starszego syna, który jest bardzo ładny i niezmiernie pieszczotliwy. Tylko co mu ospę zaszczepiono.

XVIII.

Kijów, 26 Marca.

« Drogi w tej stronie są jeszcze dobre, zimno trwa i dosyć jest mocne, Dniepr trzyma dotąd, a lody nie puszczą pewnie chyba w końcu Kwietnia. W drodze jechaliśmy ciągle za Królem o jeden dzień tylko się opóźniając, i mieliśmy z tego powodu noclegi wyborne, szcze-

gólniej w zamku w Łabuniu należącym do Stępkowskiego, ten zazastanowił bardzo kolonję naszą francuzką; piękna ta budowa dobrej architektury uderzała nagłém wśród śniegów zjawiskiem czarodziejskiém. W zamku tym jest salon wspaniały z kolumnadą naśladującą marmur biały, a w niszach zwierciadła do posadzki; przypomina on w szczególniejszy sposób piękny salon królewski. Pokój sypialny bardzo wytwornie przyozdobiony, panuje nad skałą z której spada kaskada a szmer jej doskonale usypia; wyborną tu noc spędziłam. Dalej obiadowaliśmy już na Ukrainie, w domu pani Kordyszowej, którą zamiast Kordysz, książe de Ligne nazywa *Corniche* : jej poważna piękność zastanowiła naszych cudzoziemców, znajdowali ją z profilu podobną do cesarzowej Poppei. Dom jej wcale nie jest w starym stylu surowym dobrej architektury klassycznej; jest to chatka wytworna, umeblowana z wykwintnością Powązek, ubrana w zwierciadła, sztychy, kryształy angielskie, co w tych stepach ukraińskich, niezmiernie zadziwia.

«Ciągnę dalej opowiadanie moje od dnia przedstawienia u dworu, które się odbyło w zeszłą Sobotę. Mąż mój otrzymał osobne posłuchanie u Cesarzowej, z powodu listu Króla, który do rąk jej miał oddać. Jej Cesarska Mość zapytywała go z wielkiém zajęciem o wiadomości Króla tyczące, zadała mu kilka pytań o jego zdrowiu, o podróży, o ostatnim pobycie w Wiśniowcu. Była tak łaskawą że i do mnie się zwróciła z kilku zapytaniami w tym przedmiocie, okazując zawsze to samo zajęcie Królem naszym. Niepodobna wyrażać się wdzięczniej, dowcipniej i z większym wyrazem dobroci i uprzejmości, które cechują charakter Cesarzowej. Pani Branicka przedstawiała mnie u dworu, i obiadowaliśmy tegoż dnia u stołu na dwanaście osób, gdzie był p. de Cobentzel, książe Potemkin, dwie jego siostrzenice, p. de Ségur, hr. Stackelberg, i kilka osób dworskich. Rozmowa w czasie obiadu była ożywiona, a Cesarzowa raczyła dla nas okazywać nadzwyczajną łaskawość. Tegoż dnia jedliśmy wieczerzę u Wojewodziny ruskiej, gdziem się okropnie znudziła. Seweryn Potocki jest tu od dwóch dni, żona jego nie przyjeżdża z powodu trudności z mieszkaniem i stanu w jakim się znajduje, boby się nie mogła ubrać ; została z Emmą w Ładyżynie.

« Nazajutrz w Niedzielę, Wojewodzina ruska była u mnie na obiedzie z mężem i córką, księżna Lubomirska z domu Rzewuska, żona tego Lubomirskiego który swoje dobra sprzedał księciu Potemkinowi, młoda osoba, dosyć miła i pięknej postaci. Mieliśmy także księcia Michała Lubomirskiego, hetmana Tyszkiewicza i księcia Józefa Poniatowskiego.

« Ci ostatni obiadują u nas codziennie. Hetman pojutrze wyjeżdża do Kaniowa. W Niedzielę wieczorem były apartamenta, widzieliśmy tam ambasadę Tatarów od granic chińskich którzy tego dnia rano mieli posłuchanie, i mówili mowę w swoim języku. . . Książe Potemkin i pan de Cobentzel grali z Cesarzową, pan de Ségur, pani Skawrońska, Wojewo-

dzina ruska i ja graliśmy w *tinterét* którego mnie pan de Ségur nauczył trochę, bom do wszystkich gier bardzo niezręczna. Wojewodzina ruska prosiła mnie koniecznie na kolację do siebie ; ale mieszka od nas o pół mili, wolałam więc z moją ogromną toaletą powrócić, choć sama do domu. Mąż mój podzielił ten wieczór pomiędzy księcia Potemkina i pana Mamonow. Jeździł z księciem de Ligne ojcem, i u Mamonowa słuchali bardzo pięknego koncertu złożonego z niewielu ale najdoskonalszych muzyków jakich ma Petersburg. Pan de Ségur i nasza kolonja francuzka dziś u nas obiadowali, wyjąwszy księcia de Ligne, którego nam brakło z powodu okropnego kataru, nabytego w podróży.
Mąż mój pojechał w tej chwili do dworu, gdzie jest gra codziennie wieczorem od godziny szóstej do dziewiątej i są tam tylko ci co mają *les petites entrées* a te właśnie mój mąż otrzymał ; kobiéty nie bywają na tych wieczorach, oprócz dam dworu. Mało jest dam Rossjanek tutaj ; księżna Wołkońska, córka księcia Repnina, ale tej jeszcze nie widziałam, bo chora. Pani Naryszkin, żona wielkiego Koniuszego, trzyma tu dom i ma z sobą córki swoje : panię Sołłohubową i trzy jeszcze nie zamężne. Pepi (książe Józef Poniatowski) tam zupełnie utonął i pali się do pani Sołłohubowej. »

« Wszyscy dzisiejszego wieczora, jemy kolację u Wojewodziny ruskiej ; obiecuje ona być bardzo świetną, bo cały Kijow tam będzie. Po domu pani Branickiej jej jest najwygodniejszy i najobszerniejszy. Młody Rumiańcow i pan Szuwałow senator zostaną wysłani od Cesarzowej dla powitania w jej imieniu Króla. Pan de Stackelberg z panem Bezborodko, razem jadą wycieczkę zrobić do Kaniowa ; wyruszą jutro, a nie będą z powrotem tu aż w Piątek.

XIX.

Kijów, 30 Marca.

« Oto kochana Mamo, ogromny pakiet gazet o którym wspominałam ci, a które książe de Ligne namawia mnie bym ci posłała, zapewniając że o pięćset mil nie ma szczegółów obojętnych ; a jeśli się może mieć dzienniki, to im więcej tém lepiej ; czyta się je wszystkie z ochotą i zajęciem. Ciągnę dalej opowiadanie moje od wieczora poniedziałkowego, który miałam spędzić u Wojewodziny ruskiej. Ale w chwili gdym już wyjeżdżała, wrócił mój mąż z okropnym bolem zębów, który trwał aż do wczorajszego wieczora. Spędziłam cały ten czas przy nim i namówiłam że się udał wczoraj do Wojewodziny, gdzieśmy czas bardzo przyjemnie spędzili. Była tak grzeczną, że prosiła mnie abym ile razy u niej jesteśmy, zapraszała z sobą całą kolonję francuzką ; skorzystamy bardzo chętnie z tego pozwolenia. Wczoraj wieczór dziesięciu ich przywiozłam,

licząc w to hr. de Ségur i pana de Cobentzel. Dom Wojewody ruskiego bardzo jest wygodny, znajduję go dobrze urządzonym, i na rękę mi że mogę z sobą przywieść kogo zechcę. Nasi towarzysze podróży spędzają prawie całe swe życie z nami, przykro mi tylko było że książe de Ligne był w tych dniach równie jak mój mąż chory. Ale przecież, wszyscy wyzdrowieli na wczorajszą wieczerzę, która była jedna z najprzyjemniejszych. Nie mogę Mamie powiedzieć jak się to dziwnie wydaje, w pośród Kijowa, znaleźć się jakby we Francji, co do przyjemności towarzystwa. Bez wątpienia, mamy tu część najprzyjemniejszych ludzi jakiemi się ten miły kraj pochlubić może. Już i p. de Lameth, synowiec marszałka de Broglie, co przez Wiśniowiec przejeżdzał, przystał zupełnie do nas za drugimi. Nasza kolonja francuzka zachwycona Królem naszym; o nim mówią nieustannie; wdzięk mu daje umysł i uczucie razem; każdemu umié powiedzieć słówko właściwe dla niego; uprzejmość i dobroć której się odchwalić nie mogą, oto wizerunek który nieustannie tu powtarzają. Mamy zamiar, w przyszłym tygodniu, zrobić wycieczkę do Kaniowa, dla odwiedzenia i uczynienia atencji Królowi, którego zdrowie jest doskonałe, zapewniam Mamę. Książe de Ligne ojciec i Dillon chcą także dojechać z nami; powrócimy zapewne na święta Wielkanocne i wyjedziemy w kilka dni po nich. Hrabia Rumiańcow syn marszałka, powrócił zawczoraj z Kaniowa, obsypany łaskami Króla, prezentami i zachwycony jego osobą. Cały wieczór w czasie apartamentów tylko o nim mówił; Cesarzowa też głośno się z tém słyszeć dała, że życzyłaby sobie żeby wszyscy składający jej dwór, z kolei jechali złożyć uszanowanie Królowi naszemu. W skutek jej rozkazów pojadą prawie wszyscy. Niepodobna z większą grzecznością okazywać uszanowanie jak Cesarzowa dla Króla naszego. Książe Józef Poniatowski, przez te wszystkie dni przeszłe był chory, co mu nie dozwolilo bywać w towarzystwach. Pan Plater i Naruszewicz są tu od dwóch dni; biskupa ze szczególnemi względy przyjmuje książe Potemkin, u którego mieszka. Mąż mój poleca mi złożyć wyrazy przywiązania i uszanowania. Żegnam Mamę, bo poczta natychmiast odchodzi i t. d.

XX.

Kijów, 30 Marca.

«Byłam w tych dniach w sklepie kupca chińskiego, spodziewając się tam znaleźć coś dla nas właściwego; widziałam tylko małe domeczki chińskie, do stawiania po ogrodach, po pięć tysięcy rubli jeden, parawany chińskie ogromne ze starej laki, po trzy i po cztéry tysiące rubli. Ceny szalone; atłasu haftowanego wcale nie mają, ani jedwabiów, papiery nieosobliwe, suknie ozdobne chińskie, ale szlafroków watowa-

nych nie było, takich jak my lubimy; bardzo duże pagody, niesłychanie drogie i żaluzje takie jak u Mamy w gabinecie w łazience.

31 Marca.

Pan de Stackelberg z hrabią Bezborodko powrócili z Kaniowa. Książe de Ligne i mój mąż przynieśli mi te wiadomości wczoraj wieczorem, powróciwszy od dworu. Bezborodko zachwycony Królem i jego przyjęciem; równie jak panu Szuwałów, zawróciło mu głowę. P. de Stackelberg utrzymuje że tak ich Król wszystkich weźmie w swe sieci; jest to prawdziwe czarodziejstwo, zachwycenie tłumaczące się wdziękiem, uprzejmością z jaką ich przyjmowano. Spędziłam wczoraj wieczor bardzo przyjemnie z księciem de Ligne i moim mężem; dziś mieliśmy obiad dla księcia Potemkina, na którym była cała jego familja, wielki hetman Branicki z żoną, pani Skawrońska siostrzenica księcia Potemkina z mężem, który tylko co przybył z Neapolu w dni osiemnaście. Jest tam ministrem. Byli wszyscy Engelhardtowie, książe de Nassau, Wojewoda i Wojewodzina ruscy, Naruszewicz, Plater i Moszyński, a dla rozweselenia towarzystwa, książe de Ligne ojciec. Pan Dillon przyprowadził mi właśnie Hiszpana, nazwiskiem Miranda, który przybywa z Kaniowa i widział tam Króla. Jest to podróżny, który objechał także Grecję całą, co go czyni bardzo modnym; ale mówi wcale niezachwycająco. Książe Józef Poniatowski wymówił się od naszego dzisiejszego obiadu, powiadając że mu się nie chciało ubierać.

Mytnica, granica polska. 2 Kwietnia. (Ręką hr. Mniszcha).

« Proszę mi pozwolić abym ja doniósł nowinę, którą skromność pani mojej, umieścić jej nie dozwoliła. Nie spodziewaliśmy się wcale tak pochlebnej ze strony Cesarzowej łaski : wczoraj, po powrocie z kościoła, J. C. Mość wprowadziła żonę moją do swego pokoju sypialnego i tu ją udekorowała, z tą grzecznością jaka we wszystkiém jest jej cechą, wielkim orderem cesarskim sw. Katarzyny. Rzadko się komu daje, bardzo znaczący i bardzo też zaszczytny. Kilku dniami wprzódy, Cesarzowa poleciła hr. Bezborodko aby wyjednał na to przyzwolenie Króla w Kaniowie; wszystko się to ułożyło w największym dla nas sekrecie i z najzupełniejszém zadziwieniem. Za powrotem kochana Mama powita moją panię, udekorowaną śliczną gwiazdą djamentową. Gdy mojej żonie przypinano oznaki orderowe, Cesarzowa wyszła ze swego pokoju i spytała mnie uśmiechając się, czy nie byłem o żonę niespokojny, zapewniając że zaraz wyjdzie, i że zajęta była ubiorem swym. Książe de Ligne ojciec nie posiadał się z radości. Cała kolonja polska, a liczną jest w Kijowie, przyszła razem podziękować Cesarzowej. Raczy Mama przyjąć uszanowanie moje.

Ręką pani Mniszchowej.

« Co nadaje prawdziwą cenę temu wypadkowi, to uprzejmość z jaką Cesarzowa go dopełniła; dała nam tysiączne dowody swej dobroci; tegoż samego dnia byliśmy u niej na obiedzie, ze zwykłém jej towarzystwem; książe Józef Poniatowski obiadował tam także. Wieczorem były apartamenta, i żegnając się z Cesarzową, prosiliśmy o jej rozkazy do Kaniowa.

« Biskup Naruszewicz został przyjętym przez Cesarzowę w Kijowie z jak największemi względami, z powodu talentów swych jako historyk i poeta. Obsypano go prezentami, krzyż dostał, djamentowy pierścień i pensję dożywotnią pięciuset dukatów. »

Kaniów, 4 Kwietnia.

« Jesteśmy tu od wczorajszego wieczora, moja kochana Mamo i nie myślimy bawić dłużej jak do przyszłego Piątku; w Sobotę wieczorem będziemy w Kijowie. Tam spędzić chcemy święta i powrócić zaraz do Kaniowa aby tam już osiąść i pozostać aż do przypłynięcia Cesarzowej i widzenia się jej z Królem; to nie nastąpi prędzej chyba w początkach Maja, sądząc z pory, dotąd jeszcze bardzo ostrej. Król się ma doskonale i bardzo jest wygodnie urządzony. Książe Stanisław Poniatowski przyjął tu nas z największą uprzejmością. Król pomieszczony wygodnie, my mamy dom osobny, gdzie nam też bardzo dobrze. Pojmuje Mama jak wieczór wczorajszy zajęty był cały nowinami które co chwila przychodzą z Kijowa; książe de Ligne nie przestaje powtarzać, że Król polski jest tam w wielkiej modzie; słówko to obiega wszędzie. Obstalowałam sobie księcia Józefa Poniatowskiego, żeby na nas czekał w Kijowie dla balów które będą dawali u dworu, podczas świąt, bo swój i dobrze tańcuje. Źle całkiem przyjęci byli tylko 18 i 78 (Potocki Ignacy i Sapieha), Cesarzowa nawet na nich nie rzuciła okiem, a nie już żeby do nich przemówić miała, od trzech miesięcy jak tam siedzą. 133 (Potemkin) głośno z tego powodu powiada że 18 (Potocki) jest intrygant, i że odstręcza od niego powierzchowność; a o 78 (Sapieha), że to jest łgarczyk... dodając wyraz którego mi niepodobna powtórzyć.

(Dodano ręką Mniszcha : *pisseur*; a w przypisku. « Proszę poznać po piśmie, że to nie ja napisałam).

« Cesarzowa powiedziała księciu Józefowi Poniatowskiemu, że znajduje w nim wielkie podobieństwo do Króla polskiego, i dodała zwracając się do pana de Cobentzel : « takim jakem go widziała przed dwudziestu kilku laty». Król bardzo troskliwie dopytywał o nowiny od Mamy i czy list jego już odebrany; w odpowiedzi oddałam mu ogromny pakiet który świéżo odebrałam, w którym wdzięczność Mamy dla niego

odmalowana jest tak żywo, w sposób tak prawdziwy i uczuty tak głęboko.

« 64 (Ksawerego Branickiego) bardzo Cesarzowa dobrze uważa i przyjmuje żonę jego i dzieci i widać że on ją obchodzi i że z serca się nim zajmuje. 83 i 88 (Wojewoda i Wojewodzina ruscy) są dosyć dobrze położeni u dworu ; jest to jedyny dobry dom w Kijowie; lubię bardzo ich kolacje które są wielce świetne. . . Ona zawsze ma swe dziwaczne szaleństwa, i pełna jest wesołości przyjemnej. Pani Zajączek w piérwszem małżeństwie Izora, jest z mężem w Kijowie, prezentowaną była u dworu i chodzi na apartamenta ze wszystkiemi matuszkami; zachwycona tą nową dla siebie rolą. Zapomniałam napisać że Naruszewicz mieszkał u księcia Potemkina, który jest nadzwyczaj dla niego nadskakujący. Pana Fitz-Herberta przykro mi było widzieć, tak się zmienił; cierpi okrutne bezsenności już blizko od roku, co go czyni zawsze melancholicznym, jak zwykle cierpiący na tę chorobę. Ale mimo to bardzo przyjemny, a dla nas szczególniej miły tém, że tak jest przywiązany do naszego Króla. Belmontet się też znalazł w Kijowie, gdzie w karty przegrywa tak jak w Warszawie. Zastaliśmy tu przy Królu pana pisarza Dzieduszyckiego, Debolego z Petersburga, podkomorzego naszego Orłowskiego, którego zabierzemy do Kijowa. Król nabrał smaku do bilardu i całe wieczory spędza na tej grze. Jakże lubię wasze mieszkanie w Montpellier, jeśli jego powietrze wam służy. . . Wieczerzam tam z wami w ogródku, pod altanką mirtową, obok tego ślicznego wodotrysku, wśród pomarańcz, i kwiatów. »

Przypisek Króla.

« Jest to wielka prawda że szczęście tych których się kocha, i nas szczęśliwemi czyni. Mnie się też zdaje, że tam jestem pod tą altaną mirtową. Obyś mogła przywieźć z sobą z tej podróży, zapas zdrowia i przypomnienia przyjemne. Kochana siostro, z góry się już tém cieszę i bawię, jak będziemy rozprawiali i gawędzili bez końca o tej podróży, która obfitego dostarczy materjału.

« Zdaje się że Bóg łaskaw, przecie i tu trochę lepsze czasy nad przeszłe dla nas ukazuje. Może też to i twoje modlitwy po części wyprosiły. » Przynajmniej pewny jestem, żeś Boga prosiła gorąco o to. Miło mi to ci być winnym. Ściskam cię najczulej. Proszę pani Łęskiej złożyć i tym razem serdeczne podziękowanie, za staranie które ma o WPani, a księdza Renaud za szyję ściskam. »

Ręką pani Mniszchowej.

« A ja się dąsam na księdza Renaud, bo jest leniwiec ; raz tylko od wyjazdu swego napisał do mnie. Król który się zachwyca szczegółami

jakiemi są przepełnione listy Mamy, powiada: cóż ma pisać ksiądz Renaud, kiedy moja siostra wszystko wypowiedziała?. Dołączam moją sylwetkę, którą tylko co zrobiono w Kaniowie; kładę ją w list, aby ją sobie Mama nakleiła na oknie w Montpellier, ale wzajemnie proszę o tę łaskę, aby Mama pomyślała o mnie, gdy się gdzie nadarzy dobry malarz minjatur, niech dla mnie zrobi jej portret, ale nie zbyt maleńki. Wié Mama jaki jest wdzięk w portretach francuzkich malarzy, jakie niezgrabstwo w naszych; błagam więc aby korzystać ze zręczności i uczynić dla mnie tę łaskę, prawdziwyby był smutek żeby mi Mama odmówiła. Książe de Nassau jest tu od dwóch dni i tej nocy odjeżdża na powrót do Kijowa. Jest jak najlepiej z kięciem Potemkinem, a więc i z Cesarzową Jejmością. Odbywał całą tę podróż z nią razem aż do Moskwy. Jest to człowiek poczciwy, użyteczny Królowi i prawdziwie rycersko przywiązany do niego.

«Stąd do Kijowa mamy mil czternaście ukraińskich, naszych to uczyni dwadzieścia cztéry. Nocowaliśmy na pół drogi u pani Tarnowskiej z domu Ustrzyckiej, w dobrym domu, który szczęściem się na tej drodze znajduje. Książe Stanisław który polecił mi żebym go przypomniała Mamie, bardzo mi wychwalał przechadzkę do Peron w Montpellier a nadewszystko architekturę salonu panującego nad tą przechadzką.

5 Kwietnia.

«Spędziliśmy wczoraj dzień nader miły z naszym dobrym Królem, cicho i przyjemnie. Mama to wié najlepiej jak w jego towarzystwie żyć jest miło. Był tak łaskaw, że przyszedł po obiedzie do nas i słuchał czytania mowy pana de Calonne na zgromadzeniu notablów, która się nam wydała doskonale napisaną i pełną dowcipu.

145 (Mamonów) jest daleko lepiej od swoich poprzedników, co do wykształcenia i dowcipu; czyta bardzo wiele i dobrze mówi po francuzku, postać ma dosyć kształtną, ubranie zawsze nadzwyczaj staranne. Wszystkie dzieci wielkiego Księcia przebywają teraz szkarlatynę; mówiła mi to Cesarzowa przy ostatnim obiedzie, na którym u niej byliśmy i trochę jest niespokojna. Bardzośmy się zdziwili gdy któregoś dnia, Cesarzowa zażądała od mojego męża, ażeby dla niej kazał przekopjować trzy obrazy, znajdujące się w Wiśniowcu, cośmy chowali z największém staraniem podczas przejazdu wielkiego Księcia. Jednak sekret się nie zachował i nie wiedziéć skąd dowiedziała się o tej Marynie Mniszchównie, że jest wymalowana jej koronacja i zaślubienie z Dymitrem. Nalegała na to, wymagając aby były tej samej wielkości co oryginały i z temi samemi napisami. Król ma przysłać malarza ze swojej pracowni, aby odmalował dobre kopje dla niej, bo oryginały są szkaradnie robione. Zostawiliśmy, na wszelki wypadek u Lulier wyjeżdżając plany

dla przerobienia apartamentów *pod blachą*; może znajdzie chwilę sposobną, do skłonienia stryja starszego aby je potwierdził. Wyjeżdżając nie widziałam do tego najmniejszego podobieństwa, ale u niego czasem chwila dobrego humoru wszystko stanowi, a wiem że Lulier ją potrafi podchwycić bardzo zręcznie, jeżeli jest rzecz możliwa.

« Król był łaskaw przyrzec mi powracać na Wiśniowiec w końcu Maja i zatrzymać się u nas. Mąż mój ciągle się mnie stara nakłonić abym pojechała do Spa w końcu Czerwca, ale jego interessa nie dozwoliłyby mu towarzyszyć mi tego roku, a mnie się nie zdaje żebym mogła jechać bez niego, więc odłożę tę wycieczkę do przyszłego roku, gdyż naówczas mąż mi powiada że łatwiej mu będzie pojechać zemną. Tego lata będę piła wody Spa w Wiśniowcu.

« Kolacje najwytworniejsze i najwyszukańsze w Kijowie są u 145 (Mamonowa), ale na nich bywają tylko sami mężczyzni, zawsze jest przytém jak najlepsza muzyka.

« Ceremonja dzisiejsza ranna, ciekawszą była niż zwykle wielkoczwartkowa, tylko prawie niepodobna było znaleźć tu ubogich, co chlubnie dowodzi dobroci miejscowego pana. Dwunastu starców którym Król nogi umywał, byli to włościanie, gospodarze, którzy potém młodemu swemu panu, księciu Poniatowskiemu życzyli, aby we wszystkiém naśladował cnoty naszego dobrego Króla. Szczególna rzecz, jak tutejszy lud we wszystkiém przewyższa ten który spotykamy w okolicach Warszawy; jakie twarze rozumne i charakterystyczne!

XXI.

Kijów, 8 i 9 Kwietnia.

« Jesteśmy już tu kochana Mamo, od Soboty po obiedzie. Cesarzowa przepędziła cały prawie wielki tydzień w samotności, a całą noc z Wielkiej Soboty na Niedzielę w cerkwi, także dzień świąteczny. Jutro będzie bal u dworu, z illuminacją i fajerwerkiem. Wczoraj jedliśmy kolację u Wojewodziny ruskiej; de Stakcelberg kazał Mamie złożyć uszanowanie, bardzo był przejęty tém, co mu Mama o jego dzieciach powiedzieć kazała. Emma (poźniej Strzyżowska?) była wcale chora. Matka jej ślubowała że ją będzie nosić niebiesko; i spowiadała się i komunikowała kilka razy na tę intencję, dziecię wyszło z niebeśpieczeństwa, i mimo żartów których jej nie szczędzą, pani Sewerynowa dowiodła, że religja jest wielką pomocą we wszystkich życia wypadkach, a szczególniej w strapieniu. Ambasador z niej nie żartował, bo jest w tém całkiem naszego przekonania; kocha swe dzieci i znajduje bardzo naturalném że się do Boga ucieka aby je ocalić.

« Pani Sewerynowa (Potocka) ciągle jest jeszcze w swoich dobrach na Ukrainie, umeblowała i urządziła sobie dom.

XXII.

Kijów, 9 Kwietnia.

« Odbieram w tej chwili droga Mamo, z wielką wdzięcznością twe listy Nr. 11 i 12 z Montpellier. Czytam je z kartą Prowancji w ręku; opisy Mamy są tak dokładne, tak szczegółowe, że mi się czasem zdaje iż tam jestem z tobą. Przykro mi było, że Mama nie znajdowała się ostatnich dni karnawału w Marsylji; mówią że ostatni Wtorek ma być tak szalony jak w Wenecji, i w tym samym rodzaju obchodzony. Błagam Mamę żeby dla mnie zachować raczyła adres fabrykanta perfum Riban w Montpellier, w którego magazynie Mama już kilka razy być musiała; mówią że posunął swą sztukę do doskonałości nadzwyczajnej, Proszę też Mamę uczynić swe spostrzeżenia nad różnego rodzaju zapachami, jakie się tam znajdują, które są mniej mocne a najprzyjemniejsze. Wyobrażam sobie że woda fijałkowa, gwoździkowa i jaśminowa, muszą tam być doskonałe, niechże Mama będzie łaskawa dać mi swe zdanie o tém. Myślę jeszcze Mamę nudzić mojemi projektami co do drogi napowrót; cóż to Mamie szkodzi je przeczytać, choćby się nic z nich nie spełniło, jeśli się nie podoba? Wojażując z Mamą na mappie, myśliłam że przyjemnie będzie i zabawnie, powracać na Tuluzę, Bordeaux, (najpiękniejsze miasto Francji po Paryżu) Angoulème, Poitiers, Tours, Orléans, Paryż. Niech mnie Mama łaje jeśli się jej podoba, ale nie przestanę powtarzać, że jeśli Mama Paryża nie zobaczy, będzie tego wiecznie żałować, że nie widziała co jest najlepszego we Francji. Wedle tego projektu o którym mi Mama niegdyś wspominała jeśli się nie mylę, że chce widzieć drugie morze od strony Anglij; wyjechawszy z Paryża można by się obrócić na Chantilly, Ermenonviile, Compiégne, Péronne, Arras, Béthune, St. Omer, Calais, Dunquerque, Lille, Tournais, Bruxellę, gdzie książe de Ligne ma być właśnie we Wrześniu jak mi powiadał, i byłby bardzo szczęśliwy gdyby mógł Mamę na chwilę pochwycić do siebie do Beloeil, tuż pod Bruxellą.»

Proszę mi przebaczyć że się mięszam do tych projektów, ale zawsze mi się zdaje że Mamie w te miejsca towarzyszę; nie wyobraża sobie Mama jak mnie opisy tych krajów obchodzą, od czasu jak ona tam jest. Mnie się zdaje że po skończonym poście nie wytrzyma Mama żeby jakiej wycieczki do Aix lub Marsylji nie zrobić, choćby tylko dla teatru który tam ma być, jak mówią, bardzo dobry. Życie w Montpellier musi być jednostajne, od czasu zwłaszcza jak teatr tamtejszy się spalił. Boję się dla Mamy nudy, mówią że tam jest bardzo piękny akwedukt zbudowa-

ny na wzór tego co przy moście du Gard, i prawie godzien Rzymian. Rozmawialiśmy o Langwedocji i Prowancji najmniej dwie godziny dzisiaj ze Scio... pewnie Mama musiała tam przejeżdżać gdzieś nieopodal od zamku Grignan; co za miłe wspomnienie, z listami pani de Sévigné się tam znaleźć!

Mowią, że w dni pogodne, z lunetą bardzo dobrą, można z pięknego salonu znajdującego się na przechadzce do Perron, dostrzedz wdali Pireneje i Alpy.

10 Kwietnia.

Od Wielkiej Nocy rozpoczęły się znowu obiady paradne u dworu, na ośmdziesiąt osób, wszyscy cudzoziemcy są zapraszani, wyjąwszy tylko jednego 18 (Jgnacego Potockiego) który nie jest przypuszczony. Jest to już stanowczo antypatja, i nie pojmuję dla czego tu tak długo siedzi. Wojewoda i Wojewodzina ruska jadą jutro, aby się przygotować w Tulczynie i przysposobić uroczystości na przyjęcie Króla, który tam ma być w połowie Maja. « Wojewoda na Kaniow jedzie » aby jeszcze złożyć uszanowanie Królowi. Cała kolonja francuzka wyjeżdża jutro z księciem Józefem Poniatowskim do Kaniowa, wyjąwszy księcia de Ligne ojca, który tu zostaje.

XXIII.

Kaniów, 15 Kwietnia.

« Niechże Mama, proszę, nie żałuje że nie popłynęła z Marsylji do Montpellier; nie byłaby Mama wygodniej mogła oglądać ani Aix, ani pięknych zabytków starożytności w Nimes. Choćbym Mamę znudzić miała i zniecierpliwiła, proszę jak o łaskę, i upoważnioną jestem do tego przez Króla, aby, gdy gorąca dokuczać zaczną w Prowancji, a Mama postrzeże iż szkodzić jej mogą, wyjechać drogą na Tuluzę do Bordeaux, i tamtędy się udać do Paryża. Byłoby żal Mamie gdyby tego nie uczyniła. Tak będę Mamę tém nudziła, jak książe Prymas bratowę, *geben sie mir einen Ducaten*, póki go nie otrzymał.

Z pięknego opisu sukni, którą Mama była łaskawą zadysponować dla mnie w Lyonie, obawiam się bardzo żeby cena jej nie była zbyt wysoką, bo hafty mają być bardzo bogate, i widzę z pociechą wielką, że wspomniane są osobne rękawy haftowane, przepaska i bawet, dowodzące, że to będzie suknia tureckim krojem, bo moja wstęga pod suknią, ułożona po prostu na bawet, dobrze się musi wydawać, i przy niej przepaska — jak Mama widzi. « Że ten bawet może być nie haftowany, bo będzie prawie cały przykryty. ale jednak proszę o niego,

tylko żeby był garnirowany. » Bardzo mi żal że Mama dla siebie na meble tych pieniędzy nie schowała : ale kiedy się już stało, z wdzięcznością za tę suknię rączki całuję. Rozumiem że ją Mama z łaski swojej każe zrobić w Paryżu podług miar. Błagam żeby mi Mama donieść była łaskawa o pewnych jaśminach arabskich, które mają być roskoszne w tym kraju, gdzie jest Mama, a woń ich ma przewyższać wszystkie znane jaśminy, i *Cassier* które się znajdują we wszystkich prawie ogrodach w Prowancji, dla swych zapaszystych kwiatów. Któregoś dnia czytając wieczory prowanckie, znalazłam w nich opis grobowca księcia Montmorency, który ma się znajdować w Moulins, w kościele Nawiedzenia, tego który był ściętym w Tuluzie za ministerstwa kardynała Richelieu... Ten zachwycający pomnik zajmie pewnie Mamę; księżna des Ursins wzniosła go dla męża, jest on dziełem trzech sławnych rzeźbiarzy. Mówią że postać Herkulesa przedstawiająca męztwo księcia ma być ceny i doskonałości nadzwyczajnej. W tém żałobném schronieniu żona jego spędziła ostatnie dwadzieścia pięć lat życia pełnego strapień.

Ciągnę dalej mój dziennik kijowski. Nie przejeżdza się Dniepru jadąc ku Polsce, ale przybywając z Petersburga. Od dziesięciu dni niema już lodów na tej rzece, ale Rogenson i książe Potemkin nie dopuszczą aby Cesarzowa prędzej popłynęła, chyba dni piérwszych Maja. Bal wtorkowy u dworu nie był bardzo świetny, skończył się dosyć wcześnie. Na ostatnim obiedzie na który byliśmy zaproszeni we środę w wigilję wyjazdu, bardzo było mało osób, zwyczajne tawarzystwo Cesarzowej, które w poprzedzających listach wymieniłam, i Wojewodzina ruska z córką, która wyjechać miała nazajutrz z Kijowa. Mąż mój i ja przybyliśmy wedle zwyczaju, około południa na ten obiad; ale zamiast siadać do stołu, Cesarzowa kazała malować swój portret, co trwało mniej więcej prawie do godziny trzeciej. Naówczas dopiero podano obiad, a tych kilka godzin zapełniono czém tylko dowcip, wesołość, uprzejmość, może uprzyjemnić rozmowę pełną błysków i ucinków. Łatwo się Mama domyśli, że książe de Ligne zajmował tu miejsce nie pospolite. Cesarzowa była w wybornym humorze, obsypywała nas dowodami swej dobroci, i dała nam bardzo miłe polecenia do. Króla. Obiad był jednym z najożywieńszych i najmilszych jakieśmy tu mieli. Byłam potém po obiedzie u marszałka Rumiańcow, chorego. Jnaczej nie mogłabym była go poznać, czegobym żałowała bardzo, bo to człowiek ze wszech miar znania godny; oprócz wielkich talentów jest bardzo miły i najlepszego tonu. Jedliśmy tegoż dnia kolację u Branickich, gdzie było osób mnóstwo. Książe Potemkin zdaje się prawdziwie przywiązanym do naszego Króla, mówił mi o nim bardzo wiele w czasie tej wieczerzy, i prawdopodobnie zrobi przyszłej zimy wycieczkę do Warszawy. Wyjechaliśmy z Kijowa we czwartek bardzo rano; droga

ta z powrotem i cięższą była i nieprzyjemniejszą « bo już puszcza do gruntu. » Znaleźliśmy tu całą kolonję francuzką, która odjeżdża jutro z księciem Józefem Poniatowskim do Wiednia, oprócz księcia de Ligne ojca. Ten pozostał w Kijowie i będzie podróżował z Cesarzową. Pepi (książe Józef Poniatowski) wolał się tu spuścić Dnieprem ; pierwszym był żeglarzem na tych wodach, przybył bardzo szczęśliwie we dwadzieścia cztéry godzin. Pan Fitz-Herbert jest bardzo dobrze położony u Cesarzowej, wyróżniła go i wysoko ceni.

Przypisek Króla.

« Kochana siostro ! Ściskam cię serdecznie po tysiąc razy, za twój list 11 Marca, za to że jesteś dobrą siostrą moją i za to że jesteś dobrą matką, dobrej, trzykroć dobrej mojej Mniszchowej. Pozdrowienie księdzu i pani Łąckiej.

« Jacy my będziemy szczęśliwi gdy się nareście znów połączym wszyscy.

« Siarczyński pisuje co kres do WPani, a ja dziś napominam Kicińskiego czemu to nie dochodzi do W. Pani.

S. A. R.

XXIV.

Kaniów, 17 Kwietnia.

« Wielki koniuszy Naryszkin i wielki podkomorzy Szuwałów są tutaj z uszanowaniem, przybywszy do Króla z synami i zięciami niezliczonymi.

« Co chwila scena się zmienia « zawsze nowi Moskale się tu przewijają a z Polaków mieliśmy świeżo Wojewodę ruskiego, pana Seweryna (Potockiego?) księcia Janusza Sanguszkę, księcia Michała Lubomirskiego i brata jego Józefa. Księcia Sapiehę jenerała artylerji i wielu innych. Gliński który był wyszedł powraca, a ja mu pióro oddaję. »

« Oto jeden z żarcików, którym Cesarzowa rozweseliła obiad ostatni : pan de Ségur chcąc mi uczynić grzeczność, winszował dobrego gustu z jakim wybrałam kolor ponsowy jednego z mych płaszczyków, podbitego sobolami. Obróciłam się do kogóś drugiego odpowiadając. Przecież to ten gap, mój lokaj, zajmował się wyborem, a ja go codzień za to łaję. Pan Ségur niedosłyszawszy *gapia*, pośpiesznie dorzucił.— Pani! jaki pan taki sługa! — Jakimś wypadkiem jest w modzie pewna gra w Kijowie, w której walet zowie się *Nigaud* (gap) a Cesarzowa, ile razy rozdając karty, daje tego waleta, zawsze powiada. — *Voulez vous de moi Messieurs?* Oto jeszcze odpowiednia piérwszej historyjka którą Cesarzowa zawsze razem z piérwszą opowiadać zwykła. Poseł de Cobentzel,

który jest ze swego stanowiska zawsze sąsiadem moim u stołu, odezwał się do mnie jednego dnia. — Nie zawsze można sobie dobierać sąsiadów, a czasem się natrafia na bardzo nudnych. — Otóż to grzeczności jakiemi ci panowie mnie codzień karmią. Pan de Segur który, bądź co bądź, umié się zawsze ze wszystkiego zręcznie wywinąć, bo jest bardzo grzeczny, był raz bardzo zaambarasowany, a w takim wypadku ma zwyczaj kręcić tabakierą którą nosi, z portretem marszałka Ségur. Cesarzowa pokazała to mężowi memu, mówiąc : — Otóż już kamień młyński w ruchu; na co on odparł. — Rzecz bardzo prosta; p. de Ségur stworzony jest na to, aby nawet własnemu ojcu głowę zawracał. Słówko to niezmiernie się Cesarzowej podobało i książe de Ligne mu go zazdrościł, bo to zupełnie w jego rodzaju.

Poufałość jaką Cesarzowa rozmowę swą cechuje, czyni jej towarzystwo, jeśli się tak wyrazić godzi, niezmiernie przyjemném. Portret o którym pisałam Mamie w ostatnim liście, jest malowany przez Moskala, poddanego księcia Potemkina, mającego ogromny talent; temu za piérwszym pędzla pociągiem, książe zaraz dał wolność. Biskup Naruszewicz wczoraj znowu rano pojechał do Kijowa, powołany przez księcia Potemkina, który się już bez niego obejść nie może.

Pan de 101, na tym ostatnim obiedzie u cesarzowej zbliża się do mnie i powiada mi : 88 (Wojewodzina ruska) była mocno dotkniętą otrzymanym przez panią orderem, i dano jej także, ale perłowy, z mirzami z przepysznych diamentów dla córki. Oto są wiersze które napisała nie dawno w Kijowie dla podpisania pod popiersiem Cesarzowej. U Cesarzowej samej, nie znalazły bardzo świetnego przyjęcia :

D'un marbre inanimé, l'ingénieux artiste
Pour l'immortalité avait formé les traits.
Au bas étaient les mots : *Mère de la Patrie.*
L'envie repassant d'un œil morne, d'un air triste,
Et tes hautes vertus, et tes sages bienfaits,
Ne peut voir sans jalousie
Que ce langage de la flatterie...
Fut celui de la vérité.

Wiersze te ściągnęły nawet kilka nieprzyjemnych żarcików na autora.

« Prowadzimy tu życie bardzo przyjemne, miłe, spokojne; nie wysiadujemy poźno w noc, wszyscy się rozchodzą o pół do jedénastej. Stół doskonały, chciałabym Mamie módz posłać przez pocztę niektóre z tych roskosznych potraw, robionych przez Tremo. Wstajemy rano, około dziesiątej godziny Król siada na konia, ze wszystkimi którzy tu jego dwór składają. Ja jadę za nimi w odkrytym powozie, ale w ogromnym kapeluszu i w zasłonie, bo myślę twarzy ochraniać do św. Stanisława. Potém mniej będę uważać. Następnie zajmujemy się nowościami lite-

rackiemi i trochę muzyką a wieczorem gawędką. Dzień przechodzi spokojnie bez wypadków, zawsze w oczekiwaniu spotkania tego, które pora odwleka a my go niespokojnie oczekujemy. Zapomniałam Mamie mówić o księciu de Ligne młodszym, imię ma Ludwik. Twarz dosyć przystojną, mówi nie wiele, znajduje się skromnie i jeśli się odezwie, to do rzeczy. 92 bardzo jest zajęty 72, idzie za nią w ślad po wszystkich kolacjach, razem z panem de Cobentzel. Ambasadorowie dosyć są z tego nie radzi i gniewają się o to.

Przypisek Mniszcha.

«Ledwie Mam czas uściskać rączki i złożyć Mamie uszanowanie. Snujemy tu pasmo dni złotych a jedwabnych; jest to raj... cisza, słodkie używanie życia, w oczekiwaniu na wielki wypadek, na epokę tak zajmującą... Opóźnia się ona, ale przeczuwam że nastąpi w przeciągu dwóch przyszłych tygodni. Nóżki całuję stokrotnie.»

XXV.

Kaniów, 20 Kwietnia.

«Ażebym Mamie dowiodła, że mamy niezmyśloną ochotę, zbyć się naszego pięknego kłopotu Wiśniowieczyzny, postanowiliśmy (jeśli ten nygus Wojewoda ruski, nie znajdzie komu sprzedać swoich dóbr Brzostowicy) przyjąć je w zamian za Wiśniowiec. Korzyści jakie z tego wypłyną, że nie będziemy mieli domu do utrzymywania, że spłacim wszystkie nasze długi, a przewyżką szacunku Wiśniowca uzyskamy łatwość pozbycia się cząstkowego Brzostowicy, czém, lękliwy Badeni, ale mający dobrą głowę, ma się zająć. Spodziewam się że teraz ten interes skończymy z Wojewodą w Tulczynie, dokąd Król ma jechać po widzeniu się z Cesarzową. « Żal mi Wiśniowca, ale cóż robić ! » Roztropność ma swe prawa. Byle tylko sprzedaż udała się, jużci starania ani zabiegów nie zaniedbamy, pókiśmy w tym kraju. Tu u nas bardzo zimno, bardzo wietrzno, przejazd nie nastąpi jak dopiero między 2 a 8 Maja, nowego stylu. . . Może będą dwa razy obiadować razem, zresztą nie wiemy jeszcze ani kiedy, ani jak, ani ile razy. Składam Mamie hołdy moje.»

« Oto jest kochana Mamo, sylwetka Króla którą tu zrobiono; dodaję do niej żarcik wesoły księcia de Ligne, który Littlepage przywiózł nam z Kijowa : W czasie świąt Wielkanocnych, wystawiono na placach publicznych w mieście rodzaj huśtawek dla ludu, który bardzo lubi tego rodzaju zabawy. Pan de Fitz-Herbert, przypatrując się gdy stawiono jedno z tych rusztowań, a cierpiąc, jak już pisałam, na okropne bezsenności, które go czynią bardzo melancholicznym, przywidział sobie że

budowano nie huśtawkę ale szubienicę i wołał: — Aż mi ślinka szła do ust!... Doskonale to maluje charakter Angielczyka; ale zmyślił koncept książe de Ligne.

Książe Stanisław Poniatowski pokazywał nam któregoś dnia plany domu, który chce kazać wystawić w Korsuniu. Jest w nich przepyszna kolumnada, która łączy stary dom z nowym domem. Rysunek jej wcale dziwaczny ale bardzo wytworny; powiedziećby można w smaku perskim prawie. Całe poobiedzie dzisiaj zabrało przeglądanie zeszytu rysunków księcia Stanisława z najlepszych mistrzów; zbiór prawdziwie drogocenny.

XXVI.

Kaniów, 22 Kwietnia.

« Niedostatek dzisiejszy nowin, nie pozwoli mi listu tego uczynić zajmującym. Z nowo przybyłych jest tylko pan de Lameth, siostrzan marszałka de Broglie, któregośmy już widzieli w Wiśniowcu i w Kijowie. Pora dotąd jeszcze wcale chłodna, opóźnia co raz przybycie Cesarzowej. Jest już rzeczą pewną że z Królem się tylko widzieć będzie na wodzie; postanowiono że na nasz brzeg polski nie wysiądzie, Król także nie wyjdzie stopą na brzeg rossyjski. Zdaje mi się że dwa lub trzy dni spędzą razem. Mój mąż przypomina się kochanej Mamie, i poleca mi złożyć jej uszanowanie. W tej chwili dowiaduję się że marmury włoskie Mamy, które tak długo leżały w Gdańsku, przybyły nareszcie do Warszawy; wszystko jest w bardzo dobrym stanie, wyjąwszy jednej sztuki złamanej. Ale jenerałowa Grabowska dołożyła za to swój własny marmur całkowity, tak że Mama mieć szkody nie będzie. I według Mamy dyspozycji, skoro Kubicki architekt będzie w Warszawie, zaraz wprawi ten komin marmurowy w bibliotece. Dotychczas jeszcze tu siedzi, zatrudniony illuminacją i fajerwerkiem, który będzie na przejazd Imperatorowej. To jest nie do pojęcia jak tu we dwóch miesiącach mógł wystawić dom w którym Król mieszka i kilka innych. My zaś w dawnym stoimy gubernatorskim; czysto, wygodnie i na suchém miejscu.

XXVII.

Kaniów, 26 Kwietnia.

« Tylko co listy Mamy odebrałam, dwa razem; mam je więc wszystkie aż do 18. Niepojmuję dla czego moje tak długo idą do Mamy, bo ja mamine mam szczęście prędzej niż w miesiąc odbierać; dzisiejszy jest z d. 30 Marca. Gazeta francuzka nie omyliła się pisząc że hr. Mniszech znajdował się w Kijowie d. 9 Lutego; ale to nie był mój mąż, tyl-

ko brat jego starszy, który pojechał tam z Wojewodziną ruską. Znaleźliśmy go tam jeszcze w końcu Marca; wyjechał w dni kilka po naszém przybyciu. Uwaga Mamy była bardzo słuszna i mybyśmy byli woleli umieścić nasz mały teatrzyk w dolnych salonach w Wiśniowcu, właśnie w tych arkadach o których Mama wspomina; ale otwór sceny byłby za ciasny, a niechcieliśmy poświęcać sal przyległych, bo w nich chcemy przepędzać dnie i wieczory, w czasie drugiego przejazdu Króla przez Wiśniowiec. Biblioteka okazała się za ciasną na pomieszczenie teatru, i zadysponowaliśmy go urządzić w sali Wiśniowieckich, na górze. Scena będzie dosyć obszerna i dogodna; a że teatr ma być urządzony starannie, chcemy go potém z sobą zabrać do Dęblina, co przyjdzie bez trudności wielkich, bo to tylko płótna ze staraniem malowane na blejtramach,» złoży się z tego ładna budowelka, w sadzie w Dęblinie, na zielonym tym pagórku który Mama zna dobrze. Dowiaduję się właśnie tutaj że Banti która całkiem opuszcza Warszawę i jedzie do Wiednia, ofiarowała się nałożyć drogi na Wiśniowiec, w czasie pobytu który Król nam przyrzekł; Gaillard przybywa także dla urządzenia widowisk; Droid nauczyciel na arfie, dla śpiewu i towarzyszenia głosowi Banti. Chcą przedstawić *La Servante maitresse*, *la Colonie* i kilka innych oper komicznych francuzkich. Le Doux, *maitre de Ballet* króla, przybywa także z dwojgiem dzieci tańczących i najwdzięczniejszych... Słowem, złoży się z tego widowisko całkowite. Są jeszcze projekta pantomin i cieniów chińskich, ale wié Mama jak to w tego rodzaju wypadkach, zawsze czegoś musi zabraknąć; nie mogę więc sobie pochlebiać żeby się to i mnie nie przytrafiło. Zdaje mi się że się to na projektach skończy i na teatrze amatorskim, który najpewniej będzie zły, bo naszych artystek z Warszawy nie będziemy mieli. Mieliśmy pozawczoraj widowisko daleko bardziej zajmujące niż być może teatralne; była to rewja królewskiego pułku ułanów, o dwie mile stąd, na równinie, która zdaje się być na to stworzona. P. de Lameth, siostrzan marszałka de Broglie przybyły świéżo z Kijowa, ten sam co przejeżdżał przez Wiśniowiec, człowiek miły, choć w początkach zimny, już był zachwycony szybkością i łatwością z jaką nasza jazda lekka odbywała wszystkie ruchy. Znajduje dziś, że to jest wojsko najwięcej mające wdzięku ze wszystkich tego rodzaju i najlepiej umontowane. Wyjechał właśnie do Warszawy; daliśmy mu listy do księcia Prymasa i do pani Krakowskiej (Klemensowej Branickiej, siostry króla).»

Przypisek Mniszcha.

«Prawdziwie kochana Mamo, tá rewja rozbudziła we mnie dawne powołanie żołnierskie; jest to najpiękniejsze ale też najszczuplejsze wojsko w świecie. Jest nam tu bardzo dobrze, ale się niecierpliwim

oczekując spotkania. Chłód, wiatr i rzeka jeszcze je opoźnia, pewnie do piérwszych dni Maja. Może tu na sam święty Stanisław flota przypłynie « będzie to wiązanie nieoszacowane » tu gotują harmaty, fajerwerki i illuminację która będzie prześliczną. Codziennie drapiemy się na górę, na której umieszczono cyfrę Imperatorowej, panującą nad Dnieprem. Wszystko to w najpiękniejszym stylu. Byleby skutek spodziewany, pomyślność kraju i króla i wewnętrzna spokojność w tej porze mogły być zabeśpieczone! Wkrótce dowiemy się więcej i dopiéro z Tulczyna do Mamy obszernie i dokładnie wypiszę się.

XXVIII.

Kaniów, 30 Kwietnia.

Odebraliśmy nie bardzo pocieszny respons 83 (Wojewody ruskiego) względem przedaży Wiśniowca; bardzo ostygł w tej mierze, mimo ułatwień jakie mu czynimy. Jest to robota 18 (Ignacego Potockiego) jestem tego pewna, bo właśnie się znajduje teraz w Tulczynie. Wyznaję, że mnie to niepokoi i martwi bardzo; albo się to jeszcze znów zawiąże, gdy będziemy u 83 (wojewody). Piszą do nas z reprezentacjami o drogę Banti do Wiśniowca i tych parę dzieci tańcujących, że to nam zazdrości i nieprzyjaciół narobi. Kiedy im się tak zdaje, tośmy ich wszystkich odmówili, i ograniczymy się teatrem towarzyskim, do którego ofiarowali się nam nasi sąsiedzi, księżna Michałowa Lubomirska, pani Plater ze swą rodziną i Sierpula z córką, do komedji polskiej.

Ostatnia jest tu właśnie z córką swoją i księżną Józefową Lubomirską. Książe Stanisław Poniatowski wczoraj tylko co wyjechał do Kijowa, na dzień urodzin Cesarzowej, z listem winszującym od Króla. Będzie z powrotem w przyszły Piątek; Cesarzowej oczekujemy tu w Sobotę, d. 4 Maja, z księciem Potemkinem i hr. Stackelbergiem którzy ją poprzedzą o kilka godzin, przybiją do brzegu w Kaniowie, i towarzyszyć będą Królowi na yachcie Cesarzowej. — Oto jest wyjątek z listu Łaznińskiego datowanego d. 24 Kwietnia z Łabunia : Cesarz (Józef) był onegdaj w Zamościu, lecz bardzo krótko; przyjechał ze Lwowa jednego dnia o godzinie siódmej w wieczór, obszedł wszystkie wały, kościoły, klasztory, z nikim nie widząc się poszedł do swojej stancji. Nazajutrz o godzinie siódmej z rana był w ratuszu miejskim; stamtąd na kwadrans w pałacu i zaraz pojechał do Lwowa. Jechał bardzo *incognito*, bo wszystkiego trzy lekkie z nim pojazdy. Ze Lwowa mówią że dziś lub jutro ma wyjeżdżać prosto do Chersonu. Rozrządzenia żadnego w Zamościu nie uczynił i chyba, może ze Lwowa co nowego przyśle. Księztwo jeneralstwo Czartoryscy oboje bawili dzień jeden w Zamościu i przed przybyciem cesarskiém pojechali do Lwowa, ponieważ Książe jenerał oświadczył, że ma wiele z Cesarzem do mówienia. »

Kilka dróg jest dla Cesarza wytkniętych przez Polskę do Chersonu, między któremi jest jedna na Korsuń, dobra należące do księcia Stanisława Poniatowskiego, o cztéry mile stąd. Załączam dzienniki kaniowskie, ale obawiam się aby Mamie się nie wydały nudne przez zbytek szczegółów.

Kaniów, 3 Maja.

Odebrano nareszcie dzisiejszego rana kurjera od hrabiego Stackelberga, który oznajmuje wyjazd stanowczy Cesarzowej na dzisiaj z Kijowa. Będzie tu nieochybnie w Sobotę przyszłą. Dziś już obiaduje na swoich galerach, a wyjeżdża po obiedzie. Mieliśmy w tych dniach kilku Rossjan, którzy przyjeżdżali z uszanowaniem do Króla; między innymi ten poczciwy Szuwałów który stał kilka lat z regimentem w Lublinie i ochronił Zamość podczas konfederacji.

« Słyszałam że Mama o nim odzywała się z pochwałami jego uczciwości i bezinteresowności. Oświadczyłam jak chlubną po sobie zostawił opinję, bardzo mnie rozpytywał o Mamę. Withworth polecił mi złożyć od niego uszanowanie; jest tu z panem Maisonneuve, który napisał prześliczne wierszyki. Przedmiotem ich jest podróż Cesarzowej, obraz jej dworu bardzo dobrze oddany. Jest to utwor poetyczny bardzo zajmujący, napisany z talentem; obiecał mi go dać dla Mamy; przesłać spodziewam się za pierwszą okazją.»

XXIX.

Kaniów 7 Maja.

« Nareszcie ten dzień tak oddawna pożądany, który nieprzyjazne wiatry opoźniały, nadszedł wczoraj, w Niedzielę, dnia 6 Maja. Pora się znów polepszyła, cisza zupełna nastąpiła po burzach, i około godziny ósmej rano, ukazał się pierwszy żagiel flotylli. Książe de Ligne i książe de Nassau, przybyli szalupą około godziny dziesiątej. Jak tylko postrzeżono z daleka galerę Imperatorowej, zaczęto ją z armat salutować, a gdy o godzinie jedénastej przybył hrabia Bezborodko z marszałkiem dworu Baratyńskiem dla przewiezienia Króla do szalupy Cesarzowej, Król zaprosił do tegoż statku z sobą : księcia de Ligne, księcia de Nassau, księcia Stanisława Poniatowskiego, pana hetmana Tyszkiewicza, mego męża i mnie. Reszta dworu zabrała się na inne szalupy. Kapitan Puszkin, syn admirała, który był u stéru, zapytał o rozkazy Króla, gdy wszystko było pogotowane do wyjazdu. . . Odpowiedziano mu, że *hrabia* Poniatowski nie ma żadnych do wydawania rozkazów. . . Działa flotylli mimo to salutowały Króla; przez Imperatorowę i cały dwór był traktowany jako król. Przybywszy do galery Cesarzowej, znaleźliśmy cały

jej dwór zebrany w pięknym salonie. Król wszedł sam do apartamentu Jej Cesarskiej Mości, którego drzwi dopiéro w kilka minut potém, gdy się już tam oboje znajdowali, otwarte zostały. Król był łaskaw mnie tam sam wprowadzić. Gdy Cesarzowa dała znak abym się zbliżyła, 20 (Katarzyna II) rzekła w tej chwili do 52 (mnie) : Niepodobna w piérwszym momencie niebyć zaambarasowanym. Odpowiedziałam natychmiast : Ambaras jaki Wasza Cesarska Mość postrzega w 33 (Królu) nie może być Jej przykrym, przyczyną jego jest uczucie i wdzięczność. Na to 20 (Cesarzowa) uściskała 52, (mnie) mogę powiedzieć z największą dobrocią i dodała z wdziękiem. . . « Bardzo to miłe z waszej strony że mnie zapewniacie o tych uczuciach 33, (Króla) chciałabym na nie rachować. » Następnie Imperatorowa prezentowała Królowi panią Branickę i panią Skawrońskę, jako swe wychowanice. Obie były w największym stroju, i w pełni świéżości. Gdy obiad dano, Cesarzowa siadła do swej szalupy z Królem, księciem Potemkinem, panem de Cobentzel, panią Branicką, i ze mną. Płynąc, Cesarzowa oświadczyła Królowi żywą chęć jaką miała spędzenia z nim dnia jego imienin, dnia dla niej podwójnie przyjemnego, gdyż był to razem dzień urodzin wielkiego księcia Konstantego, i że chce obchodzić go przynajmniej w wigilję.

« W istocie piła stojąc zdrowie Króla przy stole, przy strzałach z dział. Stół był na czterdzieści kilka osób, na osobnej galerze. Prawie cały dwór królewski przy nim się mieścił i dwór Cesarzowej, ministrowie i książęta zagraniczni, damy jadące z Imperatorową, pani Branicka, pani Skawrońska, panna Protasów i panna Czerniszew. Obiad przeszedł wśród wesołości, dowcipów, rozmowy miłej, jakiej po tej parze panujących spodziewać się należało. Gdy od stołu wstano, Król postrzegłszy laskę Cesarzowej, wziął ją od jednego z jej paziów i sam podał ; Cesarzowa odwróciwszy się zawołała aby jej podano kapelusz Króla i również mu go z rąk swych oddała, na co Król odparł : Winienem pani nakrycie głowy, daleko nad to droższe. . .

« Słówko to nadzwyczajnie się podobało Cesarzowej ; stworzoną jest w istocie by umiała ocenić dowcip i uczucie. Była tak łaskawą, że sama uwagę moją zwróciła na swój strój, który był staranny i przepyszny ; z materji lila glasowanej srebrem, haftowanej z wielkim smakiem. Przeszkodą główną dla której Cesarzowa tu dłużej zabawić nie może, jest wyjazd Cesarza ze Lwowa do Chersonu; przyszły tu już o nim wiadomości ; boi się więc Imperatorowa, aby tam na nią zbyt długo czekać nie był zmuszony. Król następnie odprowadził Cesarzowę na jej statek, wysiadł nań i przypatrywał się portretowi świéżo malowanemu w Kijowie. Będzie Król miał drugi podobny... Ten jest bardzo dobrze malowany, podobieństwo wielkie i strój przyjemny ; czapeczka futrzana, ubior podróżny. Król udał się potém na inną galerę, gdzie był dla niego przygotowany apartament (na statku księcia Potemkina) . W chwili gdy Król odjeż-

dżał, pan Mamonow przyniósł mu bilecik od Cesarzowej, mniej więcej w tych słowach : «Podanie powiada, że święty Andrzej nawracał u brzegów Dnieprowych. . . To przypomnienie podaje mi zręczność ofiarowania, z prośbą byś przyjął i nosił znaki orderu tego świętego Apostoła. » W istocie włożono zaraz na Króla wstęgę i gwiazdę brylantową świętego Apostoła, z tym samym krzyżem który Cesarzowa z rana miała na sobie.

«W ten sposób i tym samym obyczajem, otrzymali ten order i inni monarchowie, którzy przybywali odwiedzić Cesarzowę, jako Król szwedzki i panujący Król pruski.

« Popołudnie zeszło na odwiedzinach które *hrabia* Poniatowski oddawał różnym osobom; jeden z biletów wizytowych *Hrabiego* posyłam Mamie. Między piątą a szóstą godziną Król powrócił na galerę Cesarzowej; odbył się tu chrzest syna pani Tarnowskiej z domu Ustrzyckiej którego trzymał Król z Cesarzową, a Naruszewicz ceremonję odprawiał. Następnie Cesarzowa wszystkich do gry posadziła, i poszła do okna z Królem rozmawiać, co trwało mniej więcej do godziny dziewiątej. W tym przeciągu czasu Król rozmawiając z Cesarzową, raz czy dwa przechadzając się wszedł wewnątrz do jej apartamentów. Gdy nadeszła chwila w której zwykle Cesarzowa opuszcza swe towarzystwo, Król ją pożegnał. Cesarzowa ciągle go traktowała z jak największą serdecznością i z uszanowaniem wielkiém. . . Król wsiadłszy do szalupy Imperatorowej, wrócił na niej do Kaniowa, z temi samemi osobami które mu wprzódy towarzyszyły.

« W ciągu jednej z rozmów Króla z Cesarzową, była mowa o kilku miastach ruskich pogorzałych i odbudowanych z muru; Imperatorowa dodała : — Trzeba je na przyszłość zabezpieczyć było od podobnej klęski. Na co Król odrzekł : (Madame, vous trouvez toujours de très bonnes raisons, pour les très bonnes choses que vous faites.) — Komplement ten zdawał się czynić wielką przyjemność Cesarzowej. Gdy Król odpływał od galery imperatorskiej, działa floty salutowały go jak zrana. Illuminacja obelisku na którym była cyfra Cesarzowej bardzo się pięknie udała i girandola z bukietem ze czterech tysięcy rac złożonym. Cała góra w ogniu stała, który do płynącej lawy był podobny.

Tegoż wieczora ministrowie cudzoziemscy, damy i książęta ze dworu Imperatorowej, wieczerzali w Kaniowie, wyjąwszy księcia Potemkina, który przodem popłynął do Krzemieńczuka. Otóż dakładne sprawozdanie z całego dnia.

Dziś rano cała flota Cesarzowej odpłynęła około godziny czwartej; Cesarzowa, gdy się budzi, to już zawsze 30 do 40 wiorst zrobiwszy. Miły to jest sposób podróżowania, a nadewszystko nie utrudzający wcale. Hrabia Stackelberg odprowadziwszy J. C. Mość o trzy lub cztéry mile, ma do nas wieczorem powrócić.

Zapomniałam napisać Mamie, że Król był w mundurze gwardji konnej koronnej i że między innemi Cesarzowa mu powiedziała: nigdym tyle nie używała perspektywy jak teraz zbliżając się do Kaniowa, którego wybrzeża wydały mi się bardzo malownicze.

8 Maja.

Ambasador powrócił dopiéro w nocy, bardzośmy szczęśliwi z odzyskania go, a on też zdaje się rad że znowu jest z nami razem. Przywiózł z sobą order św. Andrzeja dla hetmana Tyszkiewicza. Król jutro wyjeżdża do Korsunia, gdzie się parę dni zatrzyma. Stamtąd pojedzie do Bohusławia i Tulczyna, gdzie stanie prawdopodobnie około d. 15 Maja. My mu towarzyszyć będziemy. Właśnie bardzo w porę, wczoraj otrzymałam napowrót moją gwiazdę djamentową oprawną przez Jacobsona w Warszawie. Kasztelanowa Sierpska która tu jest, poleciła mi tysiączne ukłony i uszanowania złożyć Mamie. Ona i księżna Józefowa Lubomirska, nie mogły się przypatrzyć temu dworowi Cesarzowej, mimo że otrzymały pozwolenie prezentowania się. Szalupy imperatorskie nie przybyły po nie. W wielkich desperacjach były; żal nie ma uwagi i księżna Lubomirska rozumiała że to była moja wina, ale potém sobie wyperswadowała, bo widziała, żem najszczerzej podzielała jej zmartwienie. Proszę sobie wyobrazić położenie młodej osoby która czeka ubrana do ósmej wieczór, zawsze się spodziewając że po nią przyślą, a wszystko się na niczém kończy. Jabym się była rozpłakała.

XXX.

Korsuń, 11 Maja.

«Od przeszłej Niedzieli, trzeba przyznać że Król wcale nie złe ma towarzystwo. Cesarz przejeżdżał dziś po południu przez Korsuń. Oznajmiono było w wigiliją dnia tego, a dziś bardzo rano Król wysłał księcia Stanisława Poniatowskiego na spotkanie Cesarza do Bohusławia, o trzy mile stąd. Ten go już zastał przy obiedzie. Potém książe Stanisław wyprzedził Cesarza do Korsunia, ale tylko o pół kwadransa. Cesarz przyjechał o kwadrans na czwartą do domu królewskiego, sam z hrabią Kińskim tylko, bratem księżny Poniatowskiej. Odmówił wszelkich honorów i grzeczności chcąc tu być tylko jako hrabia de Falkenstein. Wszedł wprost do gabinetu królewskiego, siedział mniej więcej z półtory godziny, sam na sam z Królem, rozmawiając z nim jak najpoufalej i bardzo mile, jak nam poźniej Król był łaskaw opowiadać. Następnie otwarto drzwi od gabinetu, i Król nas kazał wezwać, księcia Stanisława, pana hetmana Tyszkiewicza, mego męża i mnie; i sam raczył nas prezentować Cesarzowi. Cesarz bardzo

jest miły, w rozmowie przyjemny, łatwy, prędki, grzeczności i uprzejmości nadzwyczajnej; ciągle się wymawiał i przepraszał z powodu zaniedbanego stroju i powtarzał w bardzo wdzięczny sposób: jestem tylko kurjerem z którym Król JM. chciał się widzieć i zażądał żeby mu się stawił.

Była godzina mniej więcej piąta z południa, konie do powozu jego zaprzężone; wsiadając doń pożegnał Króla bardzo przyjacielsko i gdy się serdecznie uściskali, rzekł do niego, że się spodziewa mieć szczęście widzieć go jeszcze jako podróżny, że miło mu się cieszyć tą nadzieją.

«W istocie, prawdopodobném jest, że Cesarz jeszcze wielekroć przez Polskę przejeżdżać będzie. Król niezmiernie jest uszczęśliwiony tém spotkaniem, i ma powody dla których się cieszy. Hrabia de Falkenstein był niewypowiedzianie przyjemnym. Król jutro wyjeżdża do Bohusława, a stamtąd do Tulczyna, my go wyprzedzamy i jedziemy bardzo rano.

Jeszczem Mamie winna opisanie Korsunia; jest to najbardziej malownicze miejsce jakie w życiu widziałam. Od Środy ciągłe robiliśmy przechadzki pieszo przez dwa dni; potém powozami, wszelkiemi sposoby. Jest to istotnie czarodziejskie położenie, niezmiernie piękne, a serdeczność gospodarza, który tu czuje się u siebie, serdeczność szczera... ujmuje każdego. Jesteśmy tu w pośród skał ale nie nagich, okrytych trawą ile potrzeba aby oko odpoczęło; spady wód, które z dziwnym hukiem lecą, rozbijają się i rozdzielają na tysiące strumieni; niezliczone słowiki, wiosenne deszcze ciepłe nader miłe; illuminacja wczorajszego wieczora czarowna, wystawiająca zamek maurytański z przepyszną kolumnadą, jaka ma być tu wystawiona dla księcia a którą nam ukazano w fajerwerku, z reprezentacją pięciu czy sześciu salonów w ogniu, jedne za drugiemi, z wielką sztuką umieszczonych, na otaczających skałach... były to istotne czary... Nie mogę opisać tej fety, była w zupełnie nowym rodzaju; jeszczem w życiu nic podobnego nie widziała. Mosty w wielkiem oddaleniu pooświecane; obeliski, kaskady ogniste... Słowem cuda... Wszystkie te piękności choć na skałach, ale skały nie są stylu surowego, widok jest wesoły i przyjemny.

Przypisek Mniszcha.

«Nakoniec, droga Mamo, ten dzień któregośmy się obawiali, pragnęli, który był tak ważnym, nadszedł na pociechę wszystkich dobrych, wiernych sług króla. Hrabia de Falkenstein przybył widzieć się z naszym dobrym panem; tak naturalnie, tak serdecznie, tak żywo... z taką wdzięczną poufałością. Rozmowa jego szybka, w tonie bardzo prostym, nie piszę więcej, nie umiem teraz tylko używać, czuć i tysiąckroć rączki Jej ucałować.

Przypisek Króla.

« Kochana Siostro. Jestem z obudwu tych spotkań zadowolony. Mam nadzieję że dobro z nich spłynie i spokój dla Polski. Kocham cię z całego serca. Proszę cię jedź do Paryża. Kocham Mniszchów bardzo, bo na to oboje zasługują. Byłabyś uściskała Mniszcha kilka razy w tej podróży, bo i mówił i robił wiele bardzo dobrych rzeczy. Jestem bardzo ucieszony z tego że się Mniszchowie zbliżają do księcia Stanisława a nawet do p. hetmana (Tyszkiewicza). »

Ręką Pani.

Prawda że i hetman dobry niedźwiedzio, a co książe Stanisław, prawdziwie poczciwy człowiek... co jest najważniejszym przymiotem.

« Dziś znowu feta podobna i druga illuminacja... Mam na sercu powiedzieć Mamie jedną rzecz, którą Mama uczuje jak ja : że mamy bardzo dobrego Pana i bardzo miłego króla. »

XXXI.

Tulczyn, 18 Maja.

« Jesteśmy tu, moja droga Mamo od d. 15 Maja, od obiadu. Znaleźliśmy tu pełno osób zgromadzonych i oczekujących na przybycie Króla. Między innemi pan i pani Sewerynowa, Sapieha, książe Belmonte, i wszyscy mieszkający na dwadzieścia mil w około, mężczyzni i kobiéty. Podczaszy Potocki z młodą swą żoną, która jest bardzo ładna (Grocholska z domu) i prześliczna wdówka Kraszewska (1) którą książe Belmonte jest bardzo zajęty... co się może skończy na małżeństwie. Nasza sprzedaż Wiśniowca idzie dosyć dobrze z Wojewodą ruskim, mam nadzieję że się to w ciągu tego lata ułoży. Ma przysłać do Wiśniowca w przyszłym miesiącu kogoś ze swoich ludzi, dla dobicia targu i myśli Króla odprowadzać sam, aż do nas na Wołyń. Znaleźliśmy dom w Tulczynie prawie całkowicie ukończony; wielkie apartamenta na górze otwarte dopiéro na przyjęcie Króla, które nastąpiło zaledwo wczoraj, o jedénastej przed południem. Wojewoda zdaje się uszczęśliwiony widząc Króla w swoim domu; jest dla niego nadskakującym, z największą atencją i wielką serdecznością; pani Wojewodzina z najgłębszém uszanowaniem i z prawdziwém staraniem aby pamiętać o najmniejszych szczegółach. Dom ich jest piękny, w smaku włoskim architektury, dziesiątek kolumn kamiennych stanowi fronton perystylu i kilka sal marmoryzowanych i marmurem wykładanych, popiersia i wazy sprowadzone z Włoch; posadzki nadzwyczaj wyszukane; meble wszystkie

(1) Wdowa po Janie Aleksandrze, jenerale w służbie polskiej.

z drzewa mahonjowego; całe urządzenie tego apartamentu niezmiernie się podoba Królowi.

«Wczoraj wieczorem był koncert i illuminacja; nadto chłodno się zrobiło, żeby wyjść można. Król nie myśli stąd wyjechać aż chyba w przyszły Poniedziałek; my wyruszymy w Niedzielę, poprzedzając go, tak jakeśmy tutaj go wyprzedzili. Książe Stanisław opuścił dwór w Bohusławiu i pojechał do Chersonu. Załączam dalszy ciąg dziennika polskiego, i wszystkie drobne szczegóły podróży królewskiej, które próżno by było powtarzać.

19 Maja.

«Dziś mi nic nie pozostaje przydać do dziennika hr. Platera chyba wiadomość o tém co na dnie następne projektują... Illuminacja co wieczór przez cały ciąg pobytu Króla tutaj. Przegląd regimentu zajmuje cały ranek. Dziś mamy wieczorem jechać do lasku o pół mili stąd, urządzonego nakształt angielskiego ogrodu. Mówią, że ma być prześliczny; potém udamy się do teatru który ma być illuminowany. Dadzą na nim koncert dla braku opery, bo jej urządzić nie było podobna, gdyż większa część aktorek niezdrowe. Jutro bal na którym nie będę, bo wyjeżdżamy bardzo rano. Wedle wszelkiego podobieństwa mieć będziemy szczęście widzieć Króla w Piątek lub Sobotę przyszłą w Wiśniowcu. Pani Sewerynowa, która mnie bardzo dopytywała o wiadomości od Mamy, poleciła złożyć uszanowanie Mamie i przypomnieć pamięci; myśli spędzić z półtora roku na Ukrainie; Wojewodzina ruska zasyła także wyrazy poważania.

Przypisek Króla.

«Uprosiłem sobie miejsce w tej depeszy, abym cię sam upewnił, moja droga siostro, o całém mém przywiązaniu, i o pragnieniu mém aby cię Bóg nam powrócił w dobrém zdrowiu i szczęśliwą... mnie, twym dzieciom i wszystkim których kochasz.

Pozdrowienie księdzu i p. Łąckiej. S. A. R.

XXXII.

Wiśniowiec, 24 Maja.

«Jesteśmy tu, droga Mamo, od Wtorku zwieczora, znaleźliśmy Wiśniowiec i Łozy, prawdziwie rozpaczliwie pięknemi; rozumié Mama dla czego. Im więcej wdzięku miesiąc Maj dodaje temu krajowi, tém też żal mój po nim wzrasta; bo już jest rzeczą prawie postanowioną między 58 (moim mężem) a 83 (wojewodą ruskim) sprzedaż tego pię-

knego majątku. Muszę z sobą staczać walki, które sobie wyrzucam; mam jeszcze nadzieję że 83 (Wojewoda) wynajdzie jakie trudności, i ta sprzedaż się zerwie. Wyznaję że to nie jest rozumném z mojej strony, ale piękność tego miejsca oczarowywa. Wszystko cośmy w Łozach zadysponowali, zostało wykonaném, daleko lepiej niżeliśmy sobie wyobrażać mogli. Będziemy już mieli w tym roku owoce z tych drzew pięknych, któreśmy sadzić kazali trzy lata temu, brzoskwinie przepyszne, którym mrozy nie zagrażają, bo się mieszczą w szklarniach.

Młyn który kazałam postawić, jest jakby z pięknego flamandzkiego obrazu wzięty, można go prawdziwie nazwać *moulin joli*. Teatr się udał wybornie; urządzono go w sali górnej środkowej, Wiśniowieckich. Jest cztéry zmian dakoracji: kolumnada, ogród, las i pokoik. Nie mogę opisać jak ogół ładny, Lesseur go malował, z nadzwyczajnym gustem, wszystko to zrobiono w czasie niebytności naszej, także salon w małym ogródku, przytykającym do zamku, sześć arkad otwartych architektonicznie, które mogą być bardzo ładnie oświecone. Czekamy na Króla w Piątek wieczorem, lub w Sobotę na obiad. Dla skrócenia sobie drogi nie przejeżdżał przez Kamieniec, bo interesa wymagają jego przytomności w Warszawie. Ale zawsze chce wprzódy objechać jeszcze Krakowskie.

Pani Witowa jest tutaj od wczoraj, oczekuje tu na męża który pojechał na spotkanie Króla; znajdują że się zmieniła na twarzy, ja tego nie widzę, owszem zdaje mi się prześliczną, zyskała wiele pod wszelkiemi względami, jest niezmiernie miłą, wyraża się bardzo dobrze, i tyle tylko ma nieśmiałości ile wypada jej mieć kobiécie, aby się stać zajmującą Podróże, czytanie, nieskończenie ją wykształciły, myśli są tak świéże jak twarzyczka, a sposoby wyrażania się ma całkiem oryginalne, razem z tém skromność naturalną, nie udaną, i wielce się podobającą. Jest to kobiéta z którąbym bardzo żyć lubiła. Myśli przedsięwziąść podróż do Konstantynopola dla widzenia się z matką, płynie morzem i wsiada na okręt w Chersonie, w przyszłym miesiącu.

XXXIII.

Wiśniowiec, 28 Maja.

Nareszcie od przeszłej Soboty, dobry nasz pan jest tu z nami. Nikt lepiej nad Mamę nie oceni ile jego przytomność, wszędzie gdzie się znajduje, dobra z sobą przynosi. Ten Król kochany, którego jedyném staraniem jest szczęście drugich, zawsze zapomina o sobie. Jm dłużej się go widzi, jest z nim, tém więcej uderza podobieństwo nadzwyczajne charakteru jego z Henrykiem IV. z tą różnicą tylko, że przy równie dobrém sercu, ma nieskończenie więcej darów umysłu. « Co mnie

extra cieszy, że się bardzo dobrze na nim znają nasi cudzoziemcy; chcę mówić kolonja francuzka, która podróż odbyła z nami, począwszy od księcia de Ligne, który jest nim zaentuzjazmowany. Przez niego nas doszło, że 20 (Jmperatorowa) w poufném swém kółku, powiadała im, że znajdowała, iż 33 (Król) nic nie utracił swej przyjemności, i wdzięków umysłu jakie miał dawniej... Dodała jeszcze rzeczy bardzo pochlebne i pocieszające których napisać nie można... 33 (Król) zasługuje nareszcie bardzo na spoczynek, i wytchnienie tak pożądane.

Czekałam z oznajmieniem o zmianie naszego mieszkania, ażby rzeczy były pewne. Jest więc postanowione pewno, że bierzemy apartament wielkiego koniuszego; to jest: ja w nim pomieszczę mojego męża, dopóki chwila dobrego humoru stryja nie nadejdzie, i nie odstąpi mu, może kiedy, swojego; chociażby dopiéro na sejm. A właśnie tego tylko nam potrzeba.

Nie może sobie Mama wyobrazić ile kłopotu, biédy, niepokoju, miała jenerałowa Grabowska, z 11 dopóki nie otrzymała co wiadomo «burek się nabrała, złego czasu zażyła» ale okazała w tém gorliwość nie do wiary, a potém wyimaginowała, czekając na spełnienie umowy którąśmy przyjęli a która się podoba wszystkim począwszy od Króla, to co teraz mamy. Prymas także znajduje to dobrze obmyślaném, «niech jej Pan Bóg zapłaci na dzieciach,» do Mamy dziwnie przywiązana, dobra i przyjacielska.

Przypisek Króla.

«Podzielam ukontentowanie mojej siostrzenicy, umieszczoną więc na koniec zostanie na parterze, i spokojnie tu będzie mogła odbyć słabość. Prawdziwie Pan Bóg tego roku łaski swojej nam użycza widocznie.» Ściskam Cię z całą moją czułością, i zawczasu się cieszę «twojém ukontentowaniem» gdy za powrotem obaczysz te lepszości wszystkie.

«I Miszulo się odgryzł,» ma się daleko lepiej, zasługuje też na to aby był szczęśliwym. Jest to istotnie dobry mąż, dobry krewny, dobry przyjaciel, i miły człowiek.

Pozdrowienie wygolonemu i pani Łęckiej.

S. A. R.

XXXIV.

Wiśniowiec, 31 Maja.

«Król wyjechał stąd dziś rano o godzinie szóstej. Uczuje to Mama jaki mi żal po sobie zostawia. Poczta odchodząca w tej chwili zaledwie mi dozwoli przypomnieć się jej pamięci i dobroci polecić.

Z jaką roskoszą odebrałam świéżo jeszcze czwarty list Mamy, który pisała w chwili wyjazdu z Montpellier do Tuluzy; na wszystkie odpowiem przez przyszłego posłańca. W dniu przybycia Króla zawieźliśmy go do Łóz które się przedstawiły w całym blasku i stroju swym majowym. Wróciwszy tegoż dnia, mieliśmy wieczorem małą illuminację w ogrodzie i salonie ogrodowym, byłaby się pięknie udała, ale wiatr był ogromny tego dnia, i częśćjej pogasił i popsuł; potem kolacja w wielkich salach na dole i bal. Obiad był także na dole. Nazajutrz po przybyciu Króla namówiliśmy go że pojechał do Sznyrówki i Peredmirki, dla zobaczenia prześlicznych lasków tej okolicy, pięknych darniowych kobierców, i wielkiego jeziora którego brzegi są tak malownicze. Z powrotem po tej przejażdce, pani Platerowa z familją dała nam sztukę : *Charlot, ou l'arrivée de Henri IV. dans le château de la princesse de Gyvry.* Król musiał chyba być wdzięcznym za dobrą intencję, bo widzę że na proprowincji, trzeba się wyrzec teatru francuzkiego — grano szkaradnie. Po komedji nastąpił balet, w którym tańcowały dzieci pani Rzyszczewskiej i kilka panienek z jej sąsiedztwa. Sama Rzyszczewska matka się tém zajmowała, i istotnie się to udało, balety wszystkie były prześliczne, ubiory bardzo wytworne, ze dwanaście osób młodych, bardzo ładnych, wystrojonych jak najstaranniej, gazy, kwiaty, wdzięki, świéżość... Piérwsza tancerka miała lat ośm. Mógłby się był ten balecik i w Warszawie pokazać... « Piérwszego dnia był balet *Flory*, dzieci tańcując uformowały cyfrę królewską; dekoracja przedstawiała ogród rozkwitły i róż pełen. Nazajutrz, w dzień dżdżysty i burzliwy, mieliśmy na teatrze *Kawę* księcia Jenerała, graną przez panię Platerową i jej córkę, księżnę Józefową Lubomirskę, i córkę kasztelanowej Sierpskiej. Sztuka ta była dobrze graną i zdawała się bawić Króla. Po niej nastąpiło, *Heureusement*, źle oddane, jak wszystkie sztuki francuzkie grane na prowincji. Po tych dwóch komedjach nastąpił balet *Majtków*. We wtorek zaprosiliśmy znowu Króla żeby pojechał do Łóz inną drogą, której jeszcze nie znał, przez las dębowy bardzo gęsty, obok kaskady nie widzianej dotąd, a piękniejszej od ogrodowej, bardzo malowniczej i większej. Gdyśmy powrócili, dano nam sztukę polską, przechwaloną, ale bardzo nudną. — Sami ją sobie aktorowie wybrali, a ja ani jej czytałam, ani byłam na żadnej repetycji. Czas tak pozostawał krótki między przyjazdem naszym a przybyciem Króla tutaj, żeśmy się tém zająć nie mieli czasu. Spuściłam się zupełnie na panią Platerowę, powróciwszy z Paryża, rozumiałam że lepszego gustu nabrała. Trzy godziny Króla trzymali w takiém gorącu, żem się bała aby nie chorował. Nikt swojej roli nie umiał. Sztuka tłumaczona z niemieckiego, a Bruhle jest jej autorem, » *Dziecię znalezione*, w pięciu aktach. Potém dano balet prześliczny, *Les jalousies villageoises*, najpiękniejszy ze znanych baletów, który Król lubi. Mała Platerów tańcowała w nim także; nie można

mieć więcej wdzięku i szlachetności. We środę po prostu pojechaliśmy na spacer do Łóz, Król powrócił dosyć późno. Potém był bal który się rozpoczął baletem małym. Uprosiłam żeby go na dole tańcowali, Króla nie prowadząc w gorąco na górę do teatru. Bardzo się udał ładnie, przedstawiał zabawy wiejskie ; rozmaitości strojów użytych w tych wszystkich baletach, ich wytworność prawdziwie osobliwsza na prowincji; a co by było pięknem nawet w stolicy, to siurpryza jaką nam zrobiła pani Rzyszczewska.

Dziś we Czwartek Król ma nocować w Beresteczku, o ośm mil stąd. Mama może być pewną, Siarczyński ją regularnie zawiadamiać będzie o Królu; oddałam mu list Mamy do niego.

Rzewuski Seweryn chorążyc który tu jest, ma w istocie wiele talentu do rol śmiesznych i wiele do nich ochoty.

XXXV.

Wiśniowiec, 1 Czerwca.

« Oto jeszcze niektóre szczegóły z czasu pobytu królewskiego u nas. Zebrało się tu bardzo wiele osób znaczniejszych z województwa naszego i z Podola, trzysta osób stało w zamku, więcej niż drugie tyle w miasteczku; po ośmnaście stołów co dzień różnych klas, musieliśmy zastawiać rano i w wieczór. Stół królewski był na czterdzieści osób; same damy u tego stołu siadały, a z mężczyzn tylko jeden hetman Tyszkiewicz. Drugi stół na pięćdziesiąt nakryć, był przeznaczony dla samych panów o niebieskiej wstędze i czerwonej; piérwsi urzędnicy i obywatele. Większa część tego towarzystwa rozjechała się razem z Królem. Pozostał nam jeden stół na osób czterdzieści i drugi na piętnaście, co pewnie potrwa przez całe lato. Czas się wyprzedać z tego kraju, bo to jest sposób rujnowania się nie bardzo zabawny. Czekamy tedy ze dwie niedziele ludzi Wojewody ruskiego i samego Wojewody, do zakończenia interesu, tak się spodziewam. Ale jeszcze wiele czasu minie, nim przyjdzie do konkluzji, całe lato ten interes zabierze.

Oto mniej więcej osoby, które się znajdowały w czasie pobytu królewskiego. Mieliśmy kilka sławnych piękności, któreby w najświetniejszém towarzystwie znaleźć mogły miejsce ; pani Witowa na ich czele, pani Kordysz piękność poważna, z ładną siostrzenicą, śliczna pani Wąsowiczowa przybyła tu z księżną Januszową Sanguszkową, Sierpula z córką która jest bardzo ładna, księżna Michałowa Lubomirska, księżna Józefowa Lubomirska, pani Platerowa z córką, księżna Sapieżyna któréj Mama niezna, z córką, dwie panie Orłowskie, pani Grabianczyna z córką wychowaną we Francji dosyć ładną, pani kasztelanowa kamie-

niecka Swiejkowska z trzema córkami swego męża, pani Rzyszczewska ze dwunastu szlacheckiemi panienkami które składały balet, jedna ładniejsza nad drugą, pani Bejzymowa, pani Polanowska, pani Wojnarowska z dwięma córkami, pani Ustrzycka kasztelanowa inowłodzka z siostrzenicą i przyjaciołką, i mnóstwo jeszcze innych kobiét, których sobie nazwisk nie przypominam; do tego ich mężowie, bracia, krewni, dwóch Rzewuskich, trzech Mniszchów, dwaj szwagrowie, jeden synowiec i ze trzydziestu oficerów z regimentu księcia Michała i Szydłowski... Wszystko to obiadowało, wieczerzało.

« Zdrowie Króla bardzo dobre, proszę być pewną, nabrał wesołości, spokojności, i słusznie, czas też był po tylu trudach i zgryzotach. Znajdował się tu łowczy Łazniński podczas bytności królewskiej: ułożyli punkta które ja tu przyłączam. Król je sobie kazał oddać i pod przejazd swój przez Krasnystaw, gdzie się ma znajdować wtenczas 4 (Papa) z łowczym Łaznińskim, ma o tém mówić obszerniej z 4 (Papą). Król mnie pytał: wjakiż ja sposób będę o was gadał z Ojcem? Prosiłam go, aby nadał tej rozmowie odcień, który sam najlepiej czuje właściwym, aby obudzić zajęcie i dobroć 4 (mego Ojca) dla nas skłonić, przedstawiając mu, że dochód stały, pewny, jakikolwiek, przyczynia się do uporządkowania interesów. Mam nadzieję że wymowa Króla naszego dobrego, pochodząca z serca, pożądany skutek uczyni.

Przypisek Mniszcha.

« Po wrzawie nastąpiła cisza. Szczęściem ta długa i kłopotliwa podróż zwiastuje Królowi przyszłość spokojniejszą i bardziej pocieszającą. Powiodło mu się w osiągnięciu tego celu tak ważnego dla niego i dla nas. Oczekujemy za dni kilka ludzi Wojewody ruskiego, i wkrótce potém jego samego także. Bogdajby w tej porze udało się nam ułożyć interesa nasze, to nam doda wesołości, ochoty, zdrowia. Po tysiąckroć rączki całuję.

2. Czerwca.

« N. 33 (Król) posłał do Krzemieńczuka dla 20 (Katarzyny II.) order orła białego, w zamian świętego Andrzeja; był bardzo dobrze przyjęty. Miała go włożyć w kilka dni po odebraniu, i destynowała tysiąc dusiów dla posłańca.

XXXVI.

Wiśniowiec, 9 Czerwca.

« Gotuje się też do faworów dworskich sukcesor Wielhórskiemu, w tym samym gatunku, co do talentów teatralnych, deklamacij, muzyki,

głosu, literatury... Co do charakteru nie dosyć go znamy; ale rozumiem że lepszy, przynajmniej zdaje się szczery. Jest to jeden z młodych Rzewuskich, brat tego który służy w regimencie Wojewody ruskiego; ma z czego być grzecznym, ale mu jeszcze bardzo wiele trzeba widzieć dużego swiata... żeby się uformował. Nagle ogarnęła go nadzwyczajna passja dla Króla; opis który musiał słyszeć, jak spędza się piękna pora w Łazienkach, dużo się do tego przyczynił. Prosi się więc by zostać szambelanem, żeby się tam introdukować; zmiarkował że Król w jego bufonadach dosyć gustuje. Myśmy wczoraj z Orłowskim zrobili wycieczkę do pani Platerowej, która ten kraj opuszcza i wynosi się na mieszkanie na Ukrainę. Orłowski tu będzie siedział do końca naszego interesu z Wojewodą ruskim, w którym nam dopomoga.

XXXVII.

Wiśniowiec, 13 Czerwca.

« W tych dniach odbyłam kilka bardzo miłych przechadzek, nowych dla mnie. Cały ten kraj jest jednym ogrodem angielskim, nieprzerwanym: wzgórza, doliny, kaskady naturalne, lasy dębowe, największej piękności. Jedliśmy wczoraj obiad o dobre pół mili od Wiśniowca, w jedném z tych ładnych miejsc, gdzie jest folwarczek kształtnie pobudowany. W istocie dobry smak coraz się w tym kraju upowszechnia; bo to wprost ekonom miejscowy go budował. Jest 1500 dusz w tej wiosce; jaka to ludność w porównaniu do Mazowsza! Jest to jedna z głównych wsi należących do Wiśniowca.

« Pytałam się miejscowych włościan czy też czuć umieją piękność położenia swej wioski; zapewniali mnie że ją cenią, a szczególniej kobiéty w odpowiedziach były bardzo roztropne i wesołe.

« Oto jeszcze dwie anegdoty o Królu z czasu jego pobytu na Ukrainie, zupełnie w rodzaju tych które opowiadają że się tak często trafiały Henrykowi IV. Raz Król przechodząc pieszo przez jedną wioskę w tym kraju spotkał wieśniaczkę która mu dała chleb który niosła. Król ją spytał dla czego by mu go oddawała? « Bo chcę się Panu wygodniej przypatrzyć.» odpowiedziała.

« Drugim razem Król wyszedłszy sam, przechodził w miejscu w którém było błoto, i spostrzegł dziecko, lat siedmiu lub ośmiu, które małemi rączkami starało się wysypać przez nie grobelkę. Widząc to Król zapytał dla czegoby to czyniło; a dziecko odpowiedziało: Żebyś pan mógł przejść przez błoto suchą nogą.

Król rozczulony, bardzo je pieścił i chciał mu dać cóś pieniędzy; ale dziecko póty ich nie przyjęło, póki sobie rączek w blizkim strumieniu nie umyło, aby mogło beśpieczniej podziękować i króla uściskać.

Podczas pobytu Króla tutaj, pani Brzostowska kasztelanowa połocka, znana ze swej niechęci i z intryg przeciwko królowi, mieszkająca stąd o mil cztéry, ufając wspaniałomyślności jego z jaką przebaczać zwykł nieprzyjaciołom, napisała do niego list, przepraszając że stan jej zdrowia nie dozwala samej upaść mu do nóg. Odmalowała mu w nim smutny stan swych interesów, prosząc go o pomoc przeciwko mężowi swemu, błagając o napisanie listu do niego, ażeby jej słowa dotrzymał i wypłacił mało znaczącą pensyjkę, którą jej wyznaczył, bez której żyć nie miałaby z czego.

« Król był tak wspaniałym, że jej ten list napisał; w odpowiedzi jednak nadmienił, iż sama się powinna dziwić iż to otrzymać mogła. Nie piérwszy to i nie ostatni dowód dobroci jego serca; ale widać że nieprzyjaciele dziwnie na nią rachują gdy się w takich okolicznościach śmią do niego udawać. Co się tyczy szczegółów spotkania króla z cesarzową i cesarzem, może Mama być pewną, że są ściśle prawdziwe, i anegdoty przytoczone rzeczywiste, bo moje listy sam Król przezierał i poprawiał. »

« Król był tak łaskaw i dobry że do nas list napisał, ośm kartek, własną ręką z Krasnegostawu. Wczoraj odebraliśmy go sztafetą. Mówi nam w nim o szczegółach widzenia się swojego ze 4 (Papą) i 103 i jej mężem, (stryjem Ordynatem i Ordynatową). Zachowujemy starannie ten list aby go kiedyś pokazać Mamie. Jest to bardzo zajmujący obraz charakterów. Między innemi przestrach odmalowany 103 (Ordynatowej) w czasie gdy mąż jej sam na sam z Królem pozostał w jego gabinecie. Posunięty on był do tego stopnia, że przerywała konferencję prosząc aby ją wpuszczono; czego wszakże nie otrzymała. Dopuszczoną była dopiéro do Króla, gdy od niego mąż wychodził.

Pisał także do nas 4 (ojciec) bardzo łaskawie przez tę samą sztafetę, oświadczając nam swoje ukontentowanie z widzenia się z Królem, którego niezmiernie łaskawym dla siebie znalazł. To są słowa jego listu. Król mówił z nim i z jego bratem podług punktów które Mamie posłałam w ostatnich listach. Zgadzają się bracia na superarbitra, referendarza Małachowskiego.

XXXVIII.

Wiśniowiec, 20 Czerwca.

« Kilka dni spędziliśmy w Łozach, skąd nas dopiéro plenipotenci Wojewody ruskiego wyciągnęli. Od Niedzieli przeszłej, jak przyjechali, mocno się cały czas uwijają, inwentarze spisują, starając się wygotować na przyjazd pana Wojewody, który tu jest spodziewany na początku

przyszłego miesiąca. Tęż samą robotę teraz nasi ludzie odbywają w Brzostowicy, skąd jeszcze nie mamy wiadomości.

« Czterdzieści siedém obrazów pięknych stąd wybrałam które weźmiemy do Warszawy, za ostrzeżeniem Wojewody ruskiego. Te się przydadzą do Józefowa, jeżeli ta zamiana na Brzostowicę nam się uda z księciem Stanisławem, czego bardzo życzymy i spodziewamy się. Suplikuję wierzyć, że te obrazy są ani długie, ani czarne; Król sam będąc tu był tak dobry że mi niektóre wskazał. Takżeśmy sobie excypowali niektóre meble ulubione, i bibliotekę, którą sanną drogą przewieziemy do Lublina.

« W tych dniach odbyliśmy żeglugę bardzo przyjemną z Wiśniowca do Łóz przez wielkie jezioro które je na pół mili dzieli, w ładnej krypie... z ludźmi których lubimy, wesoło, z umysłem uspokojonym wszystkiemi dobremi wieściami które nas ze wszech stron dochodzą; i z których Mamie zdam rachunek...

Okolica prześliczna, woda spokojna jak szyba szklanna, obrazy wiejskie nadzwyczaj malownicze. Nie przypominam sobie w życiu mojém przejażdżki więcej zajmującej, szczególniej pod względem miejscowości. Na krypie jedliśmy lekki podwieczorek i wróciliśmy z przejażdżki tej, około godziny jedénastej, chłodem miłym, w otwartym powozie. Przecież mi się udało że i mój mąż znalazł przejażdżkę tę miłą, i równie jak ja był nią uradowany; nie tak jak dawniej. Otóż te dobre nowiny o których wspominałam, 33 (Król) odebrał wiadomość od 57 (z Chersonu) że 130 i 20 (Cesarz Józef i Imperatorowa) mieli z sobą rozmowę bardzo dla 33 (Króla) korzystną, 20 (Imperatorowa) poczęła od tego iż rada była że go widziała. 130 (Cesarz Józef) cieszył się że Króla poznał; chwalił jego przymioty i uprzejmość. 20 (Katarzyna II) mówiąc o 33 (Królu) wyraziła się z największém współczuciem dla niego w tych słowach: Mam nadzieję że będzie szczęśliwy, wielce zasługuje na to.

XXXIX.

Wiśniowiec, 21 Czerwca.

Spędziłam część dzisiejszego ranka w naszej pracowni malarskiej, bo i tu mamy ją także z łaski Króla który przysłał nam malarza, (co dawniej pracował przy Bacciarellim). Jest to młody człowiek z wielkim talentem, kopjuje tu z rozkazu Króla, zaślubienie Maryny Mniszchówny z Dymitrem w Krakowie, wjazd jej do Moskwy i jej koronację. Są to trzy wielkie obrazy historyczne; oprócz tego portret Maryny w całej postawie i jej męża. Wszystko to ma się posłać Cesarzowej, która wyraźnie tego żądała. Niewiedzieć skąd dowiedziała się o tych obrazach, bośmy je w wielkiem zarzuceniu i sekrecie chowali, podczas przejazdu wielkich Księztwa.

XL.

Wiśniowiec, 27 Czerwca.

Cisza w której tu żyjemy ma swój powab, po wrzawie wśród której zbiegło nam blisko cztéry miesiące. Karmiémy się teraz wspomnieniem wypadków tej wiosny, których skutki tak były pomyślne dla Króla. Codziennie odbieramy wiadomość o tém jak Cesarz był rad, że Króla poznał. Moszyński który był ciągle w czasie tych wszystkich wypadków w 57 (w Chersonie) mówi nam o tém w swych listach. Zapomniałam podobno donieść że Król w zamian za wstęgę sw. Andrzeja, posłał Orła Białego Cesarzowej, który był bardzo dobrze przyjęty, *jako zakład przyjaźni;* jest to wyrażenie Cesarzowej, użyte w liście do Króla.

«Szczegółowa relacja z Chersonu donosi nam, że Cesarzowa spędziła tam pięć dni z Cesarzem. Cesarz ją tam uprzedził, i wyjechał o kilka mil na spotkanie. Cesarzowa wysiadła na ląd nie dopłynąwszy i spieszyła ku niemu lądem, zostawiwszy swe ekwipaże na Dnieprze. Monarchowie spotkali się uszczęśliwieni i spragnieni widzenia się z sobą; miła rozmowa i zajęcie się wzajemne sobą nie dozwoliły jednak zapomnieć o obiedzie. Ździwili się nie znalazłszy nic przygotowanego, tak że książe Potemkin, książe de Nassau i wielki hetman Branicki musieli się podjąć jeść gotować, co musiało być szkaradne, jak się domyślam; ale Ich Cesarskie Moście mocno się tém ubawiły.

«Jedna z naszych pań przedsięwzięła najdziwaczniejszą podróż jaką kiedy odbyła kobiéta. Jest to pani Mniszchowa, wdowa po tyranie, która wsiadła na statek w Chersonie i popłynęła do Konstantynopola, z dziesięciu kobiétami, towarzyszkami, jedną siostrą i siostrzenicą. Miączyński zawiaduje podróżą tej karawany, pani Witowa skorzystała ze zręczności dla widzenia swej matki. «Musi być u tej wdówki bardzo pstro w głowie. Muzykantów i namiotów nabrali, żeby wysiadać po brzegach morza.

Rączki mojej Mamy całuję.»

XLI.

Wiśniowiec, 8 Sierpnia.

«Ileż to rzeczy zajmujących w listach Mamy, jaki to zbiór będzie ciekawy; bardzo boleję że Król go zaraz czytać nie będzie, wiem jakby się tém bawił; a z przyczyny tych niespodzianek jakie mu Mama gotuje, posłać ich nie mogę. Muszę z nich dla niego porobić wyciągi i te mu prześlę. Zajmujące były te odwiedziny u Buffonna i on sam musi być ciekawym; jeszcze go znajduję większym, odkąd wiem, że się tak dobrze zna na naszym Królu i ocenia jego przymioty.»

XLII.

Wiśniowiec, 15 Sierpnia.

«Sprzedaż Wiśniowca prawie zerwana. Moszczyński który nie traci odwagi a pragnie bardzo tego kupna dla Wojewody ruskiego, wyjechał dwa dni temu do Tulczyna, sądząc że rychlej sam skłoni Wojewodę do tego układu, gdy tam będzie; główna trudność w tém że nie wiedzieć jak się pozbyć tej obrzydliwej Brzostowicy, której nikt nie chce. Pókiśmy byli pewni że książe Stanisław ją sobie weźmie, mąż mój zgadzał się na zamianę, aby mu ją zaraz odprzedać; ale od czasu jak otrzymał stanowczą odpowiedź od księcia i od Badeniego jego plenipotenta, żę niepodobna mu zrobić to nabycie : mąż też nie może przyjąć w zamianie tych dóbr, boby z niemi musiał pozostać wiekuiście. Gotów jest nawet na ofiary, byle układy przyjął Wojewoda, i właśnie z tém to pojechał Moszczyński, aby go skłonić. Najpóźniej 24 t. m. będziemy mieli stanowczą odpowiedź.

Odebraliśmy przyjemną nowinę, że pani Wessel wyszła ze swego klasztoru i nie pożegnawszy się z ciotką która była obecną w Warszawie wyjechała do stryja wojewody brzesko-kujawskiego. Mówią, że za niego wychodzi za mąż, gdy rozwód będzie skończony. Ten stryjaszek kochany owdowiał przed kilku miesiącami. Od piętnastu dni się ulokowawszy w klasztorze, pani Wessel napisała do mojego męża, że dla grubej aury musi opuścić klasztor, w którym dla zdrowia nie mogła dłużej mieszkać. Mój mąż jej grzecznie odpisał, że mając tak godnego stryja, nie może jej nigdzie być lepiej jak w jego domu, i jego radą wspierana ; że się jednak dziwuje, iż nie pożegnawszy ciotki wyjechała z Warszawy, i że jej radzi się już trzymać we wszystkiém porady stryja Dąbskiego, boby nieprzyzwoitém było co chwila zmieniać projekta. Napisał razem do swoich plenipotentów do Warszawy, żeby pensji siostrzenicy nie wypłacali więcej i nie zajmowali się już jej interesami. Otóż dzięki Bogu, uwolniliśmy się od niej. Książe Sułkowski desperuje, a mój mąż komponuje epigramata na ten piękny marjaż. Ja znajduję że nie mają nic lepszego do zrobienia, tylko go przywieść do skutku. Potomstwo ich będzie najlepszego używać zdrowia, a układ ten zakończy sprzeczki i processa, co zawsze jest dobrodziejstwem.

Przypisek Mniszcha. 16 Sierpnia.

Łatwiej jest jak widzę, kochana Mamo, pozbyć się siostrzenicy, niż majątku; wrażenie w początku silniejsze, niżeli rozpatrzywszy się. Ale to żart, a co nie jest żartem to urządzenie moich interesów, które mnie obarczają.

XLIII.

Wiśniowiec, 21 Sierpnia.

« Bardzom szczęśliwa z odebrania aż czterech razem listów Mamy. Osobliwie strasburgskie bardzo mnie uradowały, bom spokojna że Mama wyjeżdza zdrowa. Obawiałam się znużenia w Paryżu.

Od czasu jak mi Mama pisze o niespodziankach dla Króla i księcia Prymasa, nie mogę im już jej listów posyłać, dyktuję tylko z nich wyciągi i posyłam je z kolei Królowi, bo to są konfitury, w tym rodzaju jakie on lubi.

Pochlebiam sobie, że Mamie pozwolą wziąść modlitwę poranną z sobą; zbyt przykroby się było z nią rozdzielać, a jak miło będzie zaraz przybywszy ofiarować Królowi. Obraz Greuz'a będzie dla niego mieć wdzięk nowości; bo zdaje mi się że żadnego jeszcze nie ma tego malarza.

Mąż mój odebrał list od pana Dąbskiego stryja pani Wessel, w którym mu donosi, że za opłatą 180,000 zł. p. które dał młodemu Wesslowi, ten zgodził się na podpisanie układu o rozwód, do którego już przeszkody nie będzie. Ten interes, dzięki Bogu, skończony; na worek mego męża to wielki sęk. Księżna Sułkowska pisze także do brata, że po wielu kłopotach skończyła interes ze szwagrami, i że woląc pensję mniejszą a pewną, zgodziła się na zapewnione jej przez nich 30,000 złotych rocznie, za które bankierowie ręczą. Otóż dwóma kłopotami mniej. Teraz idzie tylko o nasz wielki interes wiśniowiecki, który uważam za zerwany; ale jeszcze w tych dniach oczekujemy posłańca z Tulczyna.

« Wracam w tej chwili z przejażdżki konnej, która mi się bardzo powiodła. Parę dni temu wcale innego rodzaju był spacer, feta o pół mili stąd u jednego z naszych sąsiadów, dawnego przyjaciela naszego domu. Poczciwy staruszek, miejsce ładne: na jego święto zjechało się ze trzydzieści dam, dał nam bal w ogrodzie, w cieniu, było to zupełnie wiejskie. Znajduję że tańcować na podwórzu bardzo jest miło, wszyscyśmy się wytańcowali i Motek także. Podolanki które się zjechały na ten fest, urzędniczki tego województwa, przyjechały tu potém do nas i przywiozły nam następujące wiadomości o podróży pani Mniszech; w przejeździe do Konstantynopola damy te zajęte były nauczeniem się rol i repetycjami kilku sztuk francuzkich, mając je zagrać wysiadłszy na ląd na teatrze ambasady francuzkiej. Da to dosyć wesołą ideę panu de Choiseul o sposobie podróżowania dam polskich. Mówią, że w chwili ich przybycia do portu w Konstantynopolu, panie te widziały z okrętu przejeżdżającą Jego sułtańską Mość i przesłały mu w dowód czci prześliczne kwiaty i owoce. Zdaje mi się że jego wysokość musiała być bardzo zdumiona temi dary, a tyran pani Mniszchowej byłby jeszcze mocniej

zdziwiony znajdując żonę w stosunkach z Jego Cesarską Mością ottomańską; byłoby dopiéro czém zaniepokoić zazdrośnika. Utrzymują, że cała ta karawana pań ma opłynąć Archipelag. Pani Mniszchowa pisała, że z powrotem chce być w Paryżu, i zaprasza całe województwo podolskie do kompanji z sobą. Wszystkie te nowiny tak są dziwaczne, że co najwięcej, przypominają rozdziały z tysiąca i jednej nocy.

XLIV.

Wiśniowiec, 23 Sierpnia.

«W jednym z ostatnich listów Króla do mojego męża pisze nam: «Spodziewam się wkrótce przybycia starszej mojej siostry do Łazienek, i że tam zechce kilka tygodni spędzić ze mną, a wy też także. Wielką to dla mnie będzie radością widzieć was tam wszystkich połączonych.» Nie sąż to wyrazy najlepszego ojca? Wybieramy się z pociechą, wysiądziemy wprost do Łazienek, ale to być nie może przed 23 Septembra. Ale ja sobie pochlebiam że Mamę uściskam przed tym czasem, przynajmniej w Przylocie... Ten leniuch Wojewoda jest przyczyną że nie w Dęblinie, więcej jednym żalem mam do niego. Nieprawdaż Mamo że resztę jesieni spędzimy w Łazienkach?

XLV.

Winśiowiec, 25 Sierpnia.

«Przybyła tu kupka dzieci ze swą matką panią Rzyszczewską, które mi winszować będą baletem. Musi to być zwyczaj tego kraju, mają manję baletów, niespodzianka odbędzie się dziś wieczorem. Mój mąż zawsze w interesach po uszy i w oczekiwaniu, nie jest to położenie wesołe. Alboś ten kurjer z Tulczyna zjawi się dziś albo jutro... Ale z jakąż radością list ten już adresuję do Warszawy... Obchodzimy dziś imieniny Mamy, przepełnieni dla niej uczuciem przywiązania i wdzięczności.

XLVI.

Wiśniowiec, 29 Sierpnia.

«Kurjer oczekiwany z Tulczyna, przybył na ostatku wczoraj około północy z odpowiedzią Wojewody który powiada bardzo wyraźnie, że mimo warunków pisanych mu, bardzo rozsądnych i korzystnych dla niego (sam to wyznaje), przyjąć ich nie może. Otóż cały owoc tych negocjacij które trwały przez lato. Odkładano, ciągniono, i w końcu wpadli-

śmy znowu w *dédale* interesów naszych z których się potrzeba dzwigać, z pomocą Bożą, innemi sposoby.

« Balet o którym wspominałam w ostatnim liście, odbył się dnia 25, ale ich było dwa : heroiczny jeden, drugi komiczny w guście hiszpańskim, oba ładne, z precyzją, z wdziękiem i świéżością wykonane. . . Cyfra Mamy którą te dzieci na końcu związały, zakończyła fetę. To małe widowisko poprzedziło bal, na którym wytańcowałam się z moim mężem z całego serca, po gospodarsku i wieśniaczemu. Ale czemu to tam Mamy nie było?

XLVII.

Wiśniowiec, 7 Września.

« Z Podola nam donoszą że w Chocimiu 27 Augusta przez armaty ogłoszony był firman wypowiadający wojnę Moskwie, za niedotrzymanie w kilku punktach traktatu i nazbyt ostre do Porty pisma, że ze Lwowa książe Koburg i Splini incognito byli w Chocimiu i cały objeżdżali, że w lasku raszkowieckim, skąd Moskwa atakowała, kilka godzin zważając położenie bawili, że potém wstąpili do Kamieńca, że jenerał Witt o tém już sztafetą Warszawę uwiadomił, że Bułhakowa wzięto do siedmiu wież, i konsulów moskiewskich również do aresztu pobrano, i że chanowi przeszłemu głowę zdjęto. . . Jeżeli te wieści prawdziwe, Król o nich już od kilku dni musi być uwiadomiony, jeśli nie, to muszą być bajki, jak wiele innych. Daj to Boże: bo nasi obywatele nie tak wojną, jak spodziewanym głodem i powietrzem bardzo zatrwożeni; byłyby to skutki wojny, których obawiać się trzeba. Mąż mój bardzo zajęty w tej chwili szczegółami ekonomicznemi, których dozoru był łaskaw podjąć się podkomorzy Orłowski, dla podniesienia tych dóbr wiśniowieckich, w których gospodarstwo było bardzo zaniedbane. Będziemy się kurczyć na wszystkie sposoby, bo tego okrutnie potrzeba.

XLVIII.

Wiśniowiec, 8 Września.

« Ojciec mój przysłał tu umyślnego z pomyślną nowiną że brat do niego pisał niedawno, iż bardzo sobie życzy układu, i że zgadza się na przypuszczenie nas do kompromisu, czego dotąd uczynić nie chciał. Cała jego poczciwość charakteru maluje się w tym liście; odpowiedź mego ojca była taką, że lepszej dla siebie życzyć nie mogliśmy, bardzo przyjacielska dla brata. Kopje tych korespondencji Mamie wieziemy.

MŁODOŚĆ I WYCHOWANIE

STANISŁAWA AUGUSTA.

(Z PAMIĘTNIKÓW KRÓLA.)

Jeśli w ogóle historja Stanisława Augusta nie mało jeszcze potrzebować będzie studjów, zanim lepiej niż dotąd, a zwłaszcza bezstronniej, będzie mogła być przedstawioną, to piérwsze lata tego króla, jego wychowanie i młodość, wcale są, można powiedzieć nieznane. Pisarze historyczni zajmują się nim dopiéro od przyjazdu jego do Petersburga, jako od chwili w której sam przez siebie zaczął już znaczyć; z lat poprzednich, zaledwo spotkać można o nim wzmiankę przy wspomnieniu o jego rodzicach lub wujach.

Sądzimy, że czytelnik z przyjemnością natrafi w zbiorze naszym na wiadomość niniejszą, do piérwszej epoki życia Stanisława Augusta odnoszącą się, z najbardziej autentycznego jakie być może źródła, bo z samych-że pamiętników królewskich zaczerpniętą. Ogłaszamy, w polskim przekładzie, z piérwszego tomu tychże pamiętników, pisanego między 1771 a 1775 rokiem, to wszystko co się odnosi do osoby Stanisława Augusta i do stosunków krajowych; opuszczamy tylko jego opisy podróży zagranicznych, których, jak wiadomo, wiele w tym czasie odbywał.

Urodziłem się 17 Stycznia 1732 r. w Wołczynie, w województwie brzeskiém (na Litwie) w majętności należącej wtenczas do mojego ojca, na rok przed śmiercią Augusta II.

Podczas zamieszek które nastąpiły, porwany z kolebki, odwieziony zostałem jako zakładnik do Kamieńca, przez wojewodę kijowskiego Poto-

ckiego (później hetmana i kasztelana krakowskiego) który tym sposobem chciał dowieść przywiązania swego do króla Stanisława Leszczyńskiego, chociaż skrycie prowadził już układy z jego współzawodnikiem, Augustem III, o wiele piérwej nim ojciec mój zdawszy Gdańsk Rossjanom, zmuszony został poddać się prawom zwycięzcy, razem z prymasem Potockim i innymi magnatami polskimi znajdującymi się wtenczas w tém mieście. Dogadzał w tym razie jak i w wielu innych, temu uczuciu namiętnej nienawiści, jakie miał dla mego ojca, a które było przyczyną wielu wypadków za panowania obu Augustów a nawet za moich rządów, rodząc wieczne współzawodnictwo między domem Potockich i moim, co podzielali z jednej strony bracia mojej matki, książęta Czartoryscy z licznymi stronnikami swymi, a z drugiej, Radziwiłłowie, Mniszech, i tylu innych. Po skończoném oblężeniu Gdańska, rodzice mnie tam sprowadzili. Miałem wtenczas trzy lata; od tej chwili matka zajęła się mojém wychowaniem, z tym wyższym umysłem który już jej za wychowanie starszego rodzeństwa mojego zjednał był sławę, a z większą jeszcze pieczołowitością. Ta prawdziwie niepospolita niewiasta nietylko wyuczyła mnie sama połowy tych rzeczy które zazwyczaj zlecają obcym nauczycielom, ale nadto, starała się zahartować i podnieść duszę moją, tak, że w istocie, stosownie do jej widoków, wyróżniło mnie to od innych dzieci, ale zarazem stało się powodem niektórych wad moich. Uważałem się za wyższego od moich współtowarzyszy, bom nie pozwalał sobie tego, co im za winy poczytywano, a umiałem nie jedną rzecz, jakiej ich jeszcze nie nauczono. Stałem się małą istotką zarozumiałą i dumną. Rzeczywista i powszechna ułomność wychowania narodowego w Polsce, zarówno pod względem naukowym jako téż i moralnym, sprawiała, iż matka strzegła mnie od obcowania ze wszystkimi których przykłady według niej, zgubnemi dla mnie stać się mogły; to mnie tyleż zła z jednej, co dobra z drugiej przyniosło strony. Szukając ludzi doskonałych, nie mówiłem już prawie z nikim, a wielka ilość tych którym się zdawało że nimi pogardzam, była powodem smutnego przywileju, że w piętnastym już roku miałem nieprzyjaciół; z drugiej jednak strony, kierunek jaki mi nadano, ustrzegł mnie od wszystkiego co w złém towarzystwie zaraźliwém bywa dla młodzieży. Powziąłem i zachowałem odtąd odrazę ku wszelkiej obłudzie; ale (na wiek i położenie moje) miałem za nadto tej odrazy ku wszystkiemu co nauczono mnie uważać za niskie i pospolite. Takim sposobem, nie dano mi być dzieckiem; co było, jak gdyby z roku wyrzucono Kwiecień. Uważam to dzisiaj za nienagrodzoną stratę, nad którą ubolewam, bo myślę, że skłonność do melancholji jakiej nieraz tak boleśnie doświadczam, jest skutkiem tej przedwczesnej i sztucznej mądrości, która nie ustrzegła mnie jednak od błędów, jakie popełnić było mojém przeznaczeniem, ale w najmłodszych latach o mało mnie entuzjastą nie zrobiła. We

dwunastym już roku dręczyły mnie aż do choroby teologiczne wątpliwości, co do wolnej woli, przeznaczenia, omylności zmysłów, pyrronizmu czystego, i t. p. Zawsze z wdzięcznością wspominać będę O. Sliwickiego (1) który mnie mądrze od tych udręczeń wybawił. Zamiast uciekania się do syllogizmu, miał rozum powiedziéć mi tylko : « Moje dziecko, czy być może żebyś zupełnie powątpiéwał o rzeczywistości tego co widzisz i słyszysz? Gdyby w istocie tak było, nie byłbyś temu winien, ale Bóg nadto jest dobry aby ciebie z niepokoju i boleści jakiej doświadczasz wybawić nie miał, bylebyś prosił go o to z ufnością, jako stwórcę twojego, o którego istnieniu już samo twoje istnienie najwyraźniej przekonywać cię musi. » Tych słów kilka, głos miły i przyjazny z jakim wypowiedziane były, i wewnętrzna zapewne potrzeba wydobycia się z tego stanu, uspokoiły mnie. Nie pochodziło to stąd, żeby matka moja miała pretensję uczyć mnie metafizyki w tych latach, ale było naturalném następstwem tego, że unikając płochości dziecięcej i przyzwyczaiwszy się słuchać wszystkiego co w około mnie mówiono, pochwyciłem i probowałem zgłębiać wiele idei, nad któremi nie życzono wcale żebym się nawet zastanawiał. Tkliwość naturalna, przy żywej wyobraźni, sprawiły, że czułem pociąg dochodzący do najwyższego uniesienia, ku ludziom i rzeczom które zasługiwały lub zdawały mi się zasługiwać na szacunek i uwielbienie, ale z drugiej znowu strony, z surowością cenzora ganiłem i brzydziłem się prawie wszystkiém co znajdowałem godném nagany.

Skończyłem nareszte lat szesnaście; umiałem na ten wiek dużo, byłem bardzo prawdomowny, bardzo posłuszny rodzicom, przez cześć dla ich przymiotów, nad które nic nieprzypuszczałem wyższego; wierzyłem, że kto nie jest przynajmniej Arystotelesem albo Katonem, jest niczém; zresztą, wzrostu byłem bardzo małego, przysadzisty, niezgrabny, słabowity, i pod wielu względami czysty arlekin ździczały. Takiemu jakim byłem, kazano odbyć piérwszą moją podróż.

Trzydzieści sześć tysięcy Rossjan pod wodzą księcia Repnina, ojca tego, który we dwadzieścia lat potém takim się głośnym stał w Polsce, przechodziło wtenczas przez nasze ziemie, dążąc na pomoc Marji Teresie. Ojciec mój, który dotychczas kierunek mojego wychowania wyłącznie prawie powierzył matce, polecił mnie wtenczas Lievenowi, drugiej z porządku osobie w tej armji, a dawnemu znajomemu swemu. Odbyta kampanja, według mego ojca, znaczyła więcej dla dokończenia wychowania, niż wszystkie akademje ; matka moja miała odwagę podzielać zupełnie jego zdanie i wiecznie żałować nie przestanę, że ich zamiary w tym względzie nie mogły przyjść do skutku. Kto będąc powołany do rządzenia państwem nie zna sam wojny, jest jak człowiek

(1) Sliwicki stał w Polsce na czele zgromadzenia księży Missjonarzy, zwanych we Fracji Lazarystami. *Przypisek Króla.*

pozbawiony jednego z pięciu zmysłów; jeżeli w ciągu życia zmuszony do dłuższej lub krótszej wojny, prowadzić ją będzie przez swoich jenerałów i jedynie przez jenerałów, ci zaś wiedzą że nie tylko ich ramieniem działać, ale nawet ich oczami patrzeć na rzeczy musi, wtenczas nadużywają tej przewagi, a i wojsko przywiązuje się prawdziwie tylko do wodzów którzy je prowadzą, panującemu zaś ulega o tyle, o ile to się tym wodzom spodoba. Według mojego przekonania, każdy człowiek wyższego urodzenia (zwłaszcza w kraju wolnym) i każdy syn panującego, powinien odbyć kampanję, skoro mu się do tego zręczność nadarzy, a nawet, powinien przez czas niejaki pełnić czynną służbę w jakim korpusie. Nie należy uważać za pedantyzm zajęcia się drobnemi szczegółami służby; wyuczyć się ich można tylko pełniąc je wszystkie; a stanowią one istotną podstawę wielkich obrotów wojennych, będących szczytem sztuki wojskowej. Cała różnica między niższym oficerem, a wodzem, zależy na tém, że dla pierwszego ostatecznym celem jest to, co drugiemu służy tylko za narzędzie. Ale wróćmy do naszego opowiadania.

Zaledwo przybory do mojej wyprawy skończone zostały, dowiedziano się o podpisaniu przedwstępnych warunków traktatu w Akwisgranie; «nie zobaczysz tym razem wojny,» powiedział mi ojciec, » ale dla przypatrzenia się przynajmniej zgromadzonym armjom, ruszaj natych miast.» Dał mnie listy do Marszałków de Saxe i Lœwendahl, i do kilku przyjaciół w rozmaitych krajach które zwiedzić miałem. Za towarzysza drogi, dodano mi majora Kœnigfels, dawniej adjutanta sławnego marszałka Münicha, który po upadku tego ostatniego, zamieszkał w domu mojego ojca. Wzrosły w służbie rossyjskiej, bardziej od kogo innego był uzdolniony do odbycia kampanji jako ochotnik przy rossyjskiej armji, a raz na towarzysza dla mnie wybrany, pozostał nim, chociaż cel podróży zupełnej uległ zmianie. Nie umiał po francuzku, a cały jego układ zdawał się nieodpowiedni dla krajów i ludzi których poznać miałem; zdrowy jednak rozsądek jego i prawość starczyły za wszystko. Rodzice wymagali odemnie jak przedtém od starszych braci słowa honoru, że nie będę grał w gry hazardowne, nie skosztuję wina ani żadnego gorącego trunku, i nie ożenię się przed trzydziestym rokiem. Dochowałem wiernie tych przyrzeczeń, z których drugie (w myśli moich rodziców) miało być dla mnie ochroną na przyszłość od niepomiarkowanego u nas używania napojów we wszystkich zgromadzeniach szlacheckich, a nawet i w domach, do tego stopnia, że można się było narazić na nieprzyjaźń najpotrzebniejszych sobie ludzi, odmawiając pić tyle ile proszono, chyba iż kto mógł dowieść, że nigdy z nikim nie wychylił kieliszka. Przykład mego wychowania, chociaż mniej ściśle naśladowany w domach innych magnatów polskich, przyczynił się może do widocznego zmniejszenia u nas tego nałogu, który August II szczególniej w Polsce rozszerzył.

Wyjechałem nareszcie i przez Częstochowę, Troppau, Kœniggrätz, Pragę, Bareith, Frankfurt, i Kolonję, przybyłem 10 Czerwca do Akwizgranu, gdzie Kauderbach, wówczas poseł saski, a niegdyś protegowany przez mojego ojca i nauczyciel starszych moich braci w Hadze, przedstawił mnie reprezentantom innych państw, zebranym na kongres.»

Młody podróżny poznał tam Kaunitza, Marszałka de Saxe i wielu innych, udał się potém do Holandji.

«Im mniej, powiada dalej, podróż moja stawała się wojskową, tém bardziej ciekawość mą obudzało wszystko, co ten kraj piękny ma do widzenia pod względem swojej uprawy, sztuk pięknych, a szczególniej malarstwa; byłem w uniesieniu na widok Rubensów i Van-Dycków, a mój mentor tak był rad że jeszcze tylko goniłem za obrazami, iż pomimo całej oszczędności swojej, pozwolił mi w Brukselli zrobić piérwsze tego rodzaju kupno; myśliłem nabywszy mały obrazek, że skarb prawdziwy posiadam.

..... Przez Kassel i Drezno, wróciłem do Warszawy, w końcu Październiernika 1748 roku. Był to rok sejmowy. Zaraz, piérwszego dnia, referendarz Siemieński z łatwością obrany został marszałkiem. Ówczesnemu ambasadorowi rossyjskiemu Bestużewowi, bratu wielkiego kanclerza cesarstwa, zdawało się to zapowiadać niebeśpieczne dla jego dworu kroki, kupił więc unieważnienie wszystkich postanowień tego sejmu.

Umieszczono mnie wtenczas, przy moim wuju, księciu (Michale) Czartoryskim, wówczas podkanclerzym litewskim. Stanowisko jego i charakter, zrobiły zeń jednego z najpopularniejszych ludzi w Polsce, i myślano, że on najlepiej do życia publicznego u nas przysposobić potrafi młodego człowieka. Mając lat dwadzieścia, zjednał był dla siebie wyłączne względy Fleminga feldmarszałka saskiego, a rzeczywiście pierwszego ministra Augusta II do spraw polskich, chociaż tego tytułu nie nosił. Dzięki tym względom, w 25 roku został podkanclerzym litewskim, a mając przez to głos przy rozdawnictwie urzędów w prowincji, zyskał zaraz i wziętość. Posiadając więcej nauki i ukształcenia niż ich w ogólności miano wtenczas w Polsce, skłonny do uszczypliwości, pod rządami ministra potężnego, a lubiącego dowcipne słówka i przycinki, książe Czartoryski przyzwyczaił się wypowiadać każdemu myśl swoją bez ogródki. Wielu ludzi którym wpływy jego u Fleminga były potrzebne, znosiło to; wkrótce, przyznał sam sobie prawo cenzurowania i karcenia, a długie trwanie jego urzędu, i rzeczywiste zasługi jakie na nim położył, przyzwyczaiły zwolna i samą publiczność do znoszenia w jego ustach tego tonu, w którym on sam i wiele osób upatrywało w końcu cnotę Katona, zwłaszcza od czasu, gdy się nią posługiwać zaczął na karcenie błędów i słabości panowania i dworu Augusta III. Istotna jego zasługa wykazała się głównie w tém, że do urzędów i na

starostwa prowadził zazwyczaj najuczciwszych ludzi na Litwie, pozyskując czasem dobrodziejstwa dworu nawet dla osób z urodzenia lub stosunków, mianych za należące do nieprzyjaznego jemu stronnictwa; podobnego rodzaju promocji podejmował się dość często aby zauważano jego bezstronność, a znowu dość rzadko, aby te liczbą swoją dalszym jego planom zaszkodzić mogły. Ponieważ z natury rządu wypływało, że skład coroczny trybunałów, najważniejszą dla wszystkich był sprawą, zjednał więc sobie pochwały i wdzięczność współobywateli, starając się zawsze aby do nich wchodzili ludzie zdolniejsi i uczciwsi od tych, których zazwyczaj prowadzili tam inni panowie litewscy spółubiegający się z nim o wziętość. Z pomiędzy panów polskich owego czasu, jego to krytyki i rady najbardziej przyczyniły się do tego, że Jezuici i Pijarowie zrzucili jarzmo barbaryzmów pod jakiemi wówczas jęczały ich szkoły. Nie idzie za tém wcale, aby własne jego przemówienia i listy były wzorem prawdziwej wymowy; przeciwnie, zadziwią one potomność (jeżeli do niej dójdą) dziwactwem stylu i używanych wyrażeń, dochodzącém do tego stopnia, że wbrew nawet temu co się dziać zwykło w przededniu wieków oświeconych, książe podkanclerzy naśladowców nie znalazł, chociaż sam siebie za nowe światło ogłaszał. Jakimkolwiek był jednak, zawsze mu wielka należy się wdzięczność za to, że pierwszy powstał na nadmiar barbaryzmów, do jakiego ciemnota Augusta II i niedbalstwo Augusta III doprowadziły literaturę w Polsce. Zdarzyło się, że w ciągu dziesięciu ostatnich lat życia Augusta II i przez dwie trzecie panowania Augusta III, nie miał nad sobą nikogo, prócz dworu lub faworyta, którzy na sprawy litewskie patrzyli jedynie jego oczyma, a w rzędzie współzawodników swoich w tej prowincji, znajdował tylko ludzi, których wady albo nawet występki, stawiły nieskończenie niżej od niego. Miał jeszcze dar wielkiej cierpliwości w słuchaniu procesów i procesujących się, obok rozwagi i poczucia sprawiedliwości, skąd łatwo sprawy obejmował i wydając wyrok jako sędzia, zawsze prawie umiał zadowolnić obie strony, gdy te na jego sąd polubowny się zdały. Zrazu wsparł go wziętością i stosunkami swojemi mój ojciec; w czasie o którym mówię, miał on już własną swą popularność szeroko ugruntowaną na Litwie, a w Koronie posiadał poszanowanie i miłość znacznej części stronników brata swego, Wojewody ruskiego. Ci mieli go za wyrocznię w przedmiocie prawa, a nawet za pracowitszego od brata; tém bardziej, że lubił się popisywać ze swemi zatrudnieniami, obszerną korrespondencją, działalnością wielką, okazałą rządnością i wielu rzeczami których był, lub zdawało mu się że jest główną sprężyną. Próżność posunięta aż do śmieszności, była nieraz jego wadą, i wielu ludzi skorzystało z niej, żeby go ująć dla siebie albo oszukać; ale istotnie, mógł się poszczycić, że w porównaniu do współczesnych sobie rodaków, bardzo często i umysłem i charakterem gó-

rował nad wszystkiém co go otaczało. Nie tracił nigdy nadziei, to czego pragnął uważał prawie za niezawodne, w klęskach zaś i niepowodzeniu umiał dopatrzyć zawsze dobrą stronę. Z wewnętrznego usposobienia, (byleby mógł krytykować i sprzeczać się trochę) był zawsze towarzyskim i wesołym. Tak lubił oddawać usługi, że można mu było przebaczyć iż chluby z nich szukał. Z natury serdeczny, byłby skuteczniej dobrym, gdyby w ostatnich zwłaszcza latach życia rządzonym nie był przez ludzi, którzy umieli nim kierować, wmówiwszy mu, że on nimi rządzi. Ponieważ często i dużo mówił o reformie wychowania narodowego, słowami i własnym przykładem do pilności zachęcał, niezmiernie liczne korrespondencje w całym kraju utrzymywał, a nadewszystko lubił mówić głośno i prawie nieustannie o sprawach publicznych i prywatnych które rozmaicie na te ostatnie wpływały, myślano więc, że to najlepsza dla mnie będzie szkoła, w której nabiorę gruntownej znajomości o stanie narodu, wprawię się do pisania i rozmaitych manewrów, potrzebnych dla zyskania wziętości. Znaczenie naszej rodziny zdawało się w tym roku dosięgać szczytu przez małżeństwo mojej młodszej siostry z hr. Branickim wojewodą krakowskim i hetmanem polnym koronnym, a córki Księcia podkanclerzego z Sapiehą, wojewodą podlaskim; obydwa odbyły się jednocześnie dnia 19 Października. Markiz d'Issarts, ówczesny poseł francuzki w Polsce, składając mojej rodzinie z tego powodu zwykłe powinszowania, dodał: iż ostrzeże swój dwór, że związki te dadzą nam w kraju przewagę nazbyt wielką, aby nie powinna zwrócić na siebie uwagi rządu francuzkiego, któremu rodzina moja według niego nie miała być przychylną. Następstwa jednak nie odpowiedziały tym pozorom, z powodu osobistego charakteru i stosunków tych ludzi.

Branicki, jedyny potomek starożytnego domu, był bogaty i umiał używać swego majątku w taki sposób, iż słusznie uchodził za pana polskiego owych czasów, którego dom jaśniał największym przepychem i gustem. W młodości swojej, był wspólnikiem wszystkich uciech Augusta II. — W latach kiedy się Sejmy odbywały w Grodnie, Król ten i syn jego August III. niejednokrotnie przebywali w Białymstoku, rezydencji Branickiego, i podejmowani tam byli z całym swym dworem z zadziwiającym przepychem i świetnością. Domy mieszkalne w Białymstoku i Horoszczy z ogrodami swemi stanowią prawdziwe pomniki jego gustu, któremi przyozdobił Polskę. Chociaż małego wzrostu, Branicki miał powierzchowność pana; posiadał zaś wszystkie *zręcznostki* imponujące gminowi, a w dodatku jeszcze i tę, że nie wdał się był dotąd w żadną sprawę trudną, i nie ściągnął na siebie nienawiści żadnej z dwóch głównych nieprzyjaznych sobie fakcji, które wtenczas dzieliły Polskę. Był obecnie wojewodą krakowskim i hetmanem polnym koronnym, a zdawał się obiecywać, iż z upodobania i nawet przez mi-

łość własną, będzie pracował nad polepszeniem stanu armji a więc i państwa, jak skoro osiągnie wielką buławę, która po ośmdziesięcioletnim Potockim zapewne rychło zawakować musiała, a której on, Branicki, posiadający łaskę u dworu, zdawał się być pewny; to było powodem, że obydwie partje ubiegały się w pozyskaniu go dla siebie. Takie były korzyści jakie Hetman z sobą przynosił; ale z drugiej strony, mierność jego zupełna w przedmiotach najważniejszych dla wszelkiego męża stanu, (którą sam czuł, a której powodem w znacznej części było jego ukształcenie, przyjemne ale powierzchowne) uzbrajała jego próżność przeciw każdemu, od kogo lękał się być przyćmionym. Książe wojewoda ruski, pomimo zwykłej mądrości swojej, za nadto mu zawsze uczuć dawał jak mało szacunku i dobrej woli miał dla niego. Książe podkanclerzy nazbyt w stosunkach z nim dogadzał pedagogicznemu i krytycznemu usposobieniu swemu, aby go nieprzyjaciele nasi przekonać nie mieli, że połączywszy się z moimi wujami, nigdy nie będzie ich sprzymierzeńcem, lecz pozostanie tylko narzędziem w ich ręku; kiedy przeciwnie Potoccy, pochlebiając mu uniżenie, upewniali najsolenniej, że po śmierci wielkiego hetmana, będącego ich głową, nie przestaną go uważać za protektora swego domu. Do tych intryg przyłączyły się podmuchy francuzkie a nieraz nawet zasiłki pieniężne paryzkiego dworu, co prawie zawsze stawiło go w opozycji z Czartoryskimi. Wszystko to razem sprawiło, iż żadnej dla mojej familji nie przyniosły korzyści: i osobista skłonność jaką zdawał się mieć dawniej dla mojego ojca, i przywiązanie jakie powinien był zachować dla żony, której wdzięki były powodem że starał się o jej rękę, ale której cnota i anielska słodycz nie zdołały ustalić sześćdziesięcioletniego rozpustnika. Namiętnie lubiący wystawę i ciągle nią zajęty, nie zawsze przebierał w środkach gdy szło o jej podtrzymanie; ograniczony jako człowiek polityczny i bardzo leniwy, posiadał niesłychaną uwagę i przebiegłość w rzeczach tyczących się jego prywatnych przedsięwzięć i celów; obłuda nawet nie była mu obcą. Dom jego wydawał się doskonałą minjaturą wielkiego dworu, pełnego intryg, podstępów, spółzawodników, ulubieńców, bardzo zepsutych ale wykwintnych i świecących ogładą, a wszystkich prawie (prócz Mokronoskiego) kupionych przez Brühla, faworyta Augusta III., aby ich patron jemu znowu nie szkodził. Ponieważ zadowolenie próżności i wygodne życie, raczej niż ambicja, były dźwignią czynności Branickiego, byleby więc utrzymywał się na wierzchu, byleby zewnętrzne oznaki jego znaczenia, a rzeczywiste uciechy i zyski nie doznawały uszczerbku, mało się troszczył o sprawy publiczne, nawet o takie do których go nakłaniali właśni jego faworyci, bo i tych oszukiwał kolejno, a wspaniałomyślnym i w względem nich okazał się zaledwo w testamencie. Takim był człowiek, który dla dostatków i wykwintnej a rozkosznej wystawności swojej, znanym był na dworach europej-

skich, dzięki opisom cudzoziemców, a zwłaszcza Francuzów, znajdujących wiele przyjemności i jakby drugą ojczyznę pod jego dachem. Zdawało się, że Sapieha, brat cioteczny Branickiego, powinien był zapewnić wyłączną wziętość wujowi mojemu na Litwie. Głowa domu i potomek znakomitego i bardzo jeszcze w tej prowincji poważanego rodu, wdowiec po żonie która go wzbogaciła; sam przez się zdolnym był do pracy, znał się na sejmikowych manewrach i miał w nich upodobanie; popularny z godnością, umiał być wspaniałomyślnym w tych razach, chętnie udzielał synom szlacheckim znajdującym się przy nim, ukształcenia jakie sam posiadał (a miał go więcej niż cała większość jego współobywateli), wymownym też był dosyć na czasy w których żył. Miał brata, koadjutora biskupstwa wileńskiego, otwartego opiekuna literatury, wielkiego intryganta, z którym podzielał dziedziczną nienawiść do domu Radziwiłłów, nieprzyjaznego Czartoryskim. Wszystko to jednak nie zdołało utrzymać go przy moim wuju i nie wystarczało przeciw intrygom hr. Brühla, który w kilka lat poźniej potrafił już zasiać kąkol niezgody między teściem i zięciem.

Należy tu dać poznać tego sławnego faworyta, który pod imieniem króla panował przez lat dwadzieścia cztéry. Wdrożony do interesów za Augusta II, którego zrazu był paziem a poźniej ministrem, znalazł przegrodzoną sobię drogę do wyniesienia się i zaszczytów, od śmierci Króla aż do 1739 roku, przez Sułkowskiego, który go nie lubił; ale jak tylko upadek tego ostatniego postawił go na jego miejscu, utrzymanie się na niém stało się wyłącznym celem usiłowań hr. Brühla; używał zaś ciągle do tego środków wbrew przeciwnych tym, które zgubiły Sułkowskiego,

Sułkowski wychowany także jako paź przy Auguście III kiedy ten był zaledwo książęciem elektoralnym, dobry jeździec, namiętny myśliwy, temi zrazu przymiotami uzyskał przystęp do łaski pana, który poźniej przywiązał się do niego z pewnego rodzaju namiętnością tém dziwniejszą, że najmniejszego nie miano powątpiewania o czystości obyczajów Augusta III; namiętność ta jednak tak w końcu stała się przeważną, że całe usposobienie królewskie i wszystkie jego skłonności od niej zależały. Sułkowski tak jej był pewnym, że odjeżdżał na długo, porywczo nieraz odzywał się do królowej, z góry i najgorzej traktował każdego kto mu się nie podobał, nie wzbraniając nikomu przystępu do pana, któremu przewodził publicznie, na którego dąsał się tak często, że się zdawał wyszukiwać sposobu zniechęcenia go do siebie, do tego stopnia, że można powiedzieć, iż sam króla zmusił aby go usunął. Sam bardzo ograniczony, odzywał się nieraz głośno, że bał się i nie lubił ludzi rozumnych, ale nigdy pomówionym nie było oszustwo albo brak uczciwości. Finanse saskie nie były zagmatwane póki on był w łaskach, a źródłem jego bogactwa były dobrowolne datki pana, któ-

rego wcale od interessów usunąć się nie starał. Chociaż nie ze znakomitego pochodził rodu, pamiętał jednak że był Polakiem i starał się rozwinąć w królu upodobanie do pobytu w Polsce i do zajęcia się jej sprawami. Brühl przeciwnie, przyjął dla siebie za zasadę, odosobnić zupełnie króla, a ponieważ z powodu samej formy rządu, łatwiej mu to przychodziło w Saksonji, utwierdzał go więc coraz bardziej we wrodzonej mu już niechęci do Polski, w której August III znajdował się zawsze jako podróżny, do tego stopnia, że cały skład jego dworu zupełnie saskiego, aż do samych nawet tytułów kilku pierwszych urzędników, polegał na tém przypuszczeniu. Zresztą duma i lenistwo były głównemi wadami Augusta III; skorzystał z nich Brühl, żeby mu wmówić, że większe posłuszeństwo znajdzie w swojém państwie dziedziczném, i wtenczas kiedy się tak urządzi, aby wszelkie jego rozkazy odnosiły się wprost do jednego tylko człowieka, któryby potrafił oszczędzić mu długich dyskussji, a sam miał dosyć zdrowia, aby zarazem być jego ministrem we wszystkich departamentach, głównym nadzorcą zabaw, wiecznym towarzyszem podróży, polowań, przechadzek, słowem każdego kroku króla po za jego pokojem, do którego wejścia nawet onby tylko w imieniu królewskiém udzielał. Tym właśnie wybranym człowiekiem był Brühl, który nie będąc ani uczonym, ani finansistą, ani wojskowym, ani jeźdźcem, ani myśliwym, ani muzykiem, ani znawcą sztuk pięknych, potrafił, za pomocą wrodzonej giętkości i sprytu, a także sypanych podwładnym pieniędzy, uchodzić w oczach swego pana, za wystarczającego wszystkiemu. Natura obdarzyła go temperamentem żelaznym i twarzą przyjemną, na której bezsenność, największe utrudzenie i niepokój,najmniejszego nigdy nie zostawiały śladu. Zawsze uśmiéchnięty, świéży, zawsze grzeczny i nawet pochlebiający wszystkim, nikogo otwarcie ku sobie nie zraził, mierności nawet często pociągał, a tym którzy mu zaszkodzić mogli, umiał tak trudnym i nieznośnym uczynić przystęp do króla, którego był pewien że go się nigdy nie zaprze i nie opuści, iż nareszcie, znużeni walką, wszyscy mu się prawie poddali. Zresztą, odróżniał on trafnie ludzi którzyby się mogli posunąć z nim osobiście do ostateczności (czego się lękał bardzo) i umiał tego uniknąć rozmaitemi sposobami, stosownie do usposobienia każdego; albo uległością, albo dobrodziejstwami których był szafarzem, albo nareszcie trafiając w słabą stronę człowieka, którą odkryć z łatwością i z której skorzystać zawsze potrafił. Niemając wykształconego smaku, z natury lubił wystawę wszelkiego rodzaju, klejnoty, przepych w ubiorze, i ten posunął do niesłychanego stopnia. Znane i stałe wydatki Brühla wynosiły miljon talarów rocznie, a pan jego tylko się w tém przeglądał, jak w obrazie i świadectwie własnej swojej wielkości. W końcu, nie tylko sam faworyt, ale wszyscy jego krewni, powinowaci, faworyci, ich i jego metressy, tak przywykli każde zachcenie

swoje uważać za prawo, że gdy dobrodziejstwa pana wystarczyć na wszystko nie mogły, finanse saskie których najwyższym zawiadowcą był minister, cierpieć na tém zaczęły. Wprawdzie, przepych stołów królewskich i całego dworu, polowań i widowisk, a także zadziwiające kupna brylantów i obrazów, służyły przez czas długi do wytłumaczenia pustek w skrzyniach królewskich; przyczyną niedostatku zdawały się być upodobania samego Pana, będące prawem; prawda jednak w końcu zaczęła na wierzch wychodzić; wiedziano, że pomimo wszystkiego, summ przeznaczonych na utrzymanie wojska nie naruszono na wydatki królewskie, a wojsko opłacone nie było. Ojciec Ligeritz, spowiednik króla, odważył mu się o tém powiedzieć. Brühl pokazał pokwitowania z ostatniego kwartału nie opłaciwszy poprzednich, i zaraz kazał oddalić spowiednika, który do konfrontacji już nawet przed panem dopuszczonym nie został, bo sam trud objaśnień i tłumaczeń się, kłopoty przy zaprowadzaniu nowego ministerstwa, dzielenie rozkazów pomiędzy kilku poddanych, i nawykanie do nowych twarzy, już zastraszało niedołęztwo Augusta III. Nareszcie, dwa napady pruskie, (w istocie bardzo dla Saksonji dotkliwe) dały Brühlowi możność przypisywania tej tak pozornej przyczynie, wszystkich pomyłek i całego nieporządku jego administracji. Król stał się nieprzystępnym dla wszelkich skarg na Brühla, który, w kilka lat po upadku Sułkowskiego, rządził najzupełniej umysłem królewskim, zarówno w rzeczach tyczących się spraw polskich jako też i saskich. Ogromna liczba dozorców i szpiegów wszelkiego stanu, hojnie opłacanych przez Brühla, uwiadamiała go nie tylko o wszystkiém co się tyczyło osoby królewskiej, ale nawet o wszelkich, jakichkolwiekbądź zamiarach i knowaniach przeciw niemu samemu. Zresztą, ponieważ nie rozumiał istotnej sławy i mało dbał o nią, a chodziło mu o zachowanie posady i wygód jakich mu ona dostarczała, ponieważ całej swej zręczności ku temu jedynie używał, nie był więc istotnie ani dobrym, ani wielkim, ani okropnym, był tylko zepsutym, miernym, a często nawet zupełnie maluczkim człowiekiem. Całe panowanie króla przybrało barwę duszy ulubieńca, co się aż nadto przyczyniło do zniżenia charakteru narodowego.

Spędziwszy rok prawie przy wuju Podkanclerzym, przekonałem się, jak często w wielkich i małych rzeczach wziętość i sława bywa przywłaszczoną. To polityczne wykształcenie jakiego w tym domu miałem tak niezawodnie nabyć, dało się prawie sprowadzić do zera. Nigdy tak nie próżnowałem; wuj nie dawał mi roboty, i rzadko się dowiadywał czy dopominałem się o pracę u jego głównego sekretarza; mogłem był zepsuć się pod wszystkiemi względami i aniby tego dostrzegł; zdało mu się że mnie kształci, prawiąc czasem nauki o rzeczach oklepanych, i jedynym istotnym pożytkiem jaki z tej szkoły wyniosłem, było poznanie stosunków i podstaw popularności jaką miał, zwłaszcza na Litwie.

Ten przykład dał mnie do myślenia, że kiedy rodzice dbali o wychowanie dzieci, umieszczają je po za oczami, chociażby przy osobach o których najwyższe mają wyobrażenie, powinni im wyznaczyć pewne zatrudnienia, np. czytanie jakie lub robienie wyciągów z dzieł, rozbiorów, postrzeżeń i t. p. któreby im dzieci potém pokazywały, a to aby je ustrzedz od próżnowania, chybaby wiedzieli z pewnością, iż mają stałe zatrudnienie nakazane im przez osobę której są powierzone. Ale wkrótce nowe mym oczom przedstawiło się widowisko.

Posłano mnie, abym był świadkiem otwarcia Trybunału w Piotrkowie. Dla zrozumienia tego co tam zaszło, należy powiedzieć czém było i czém powinno było być, coroczne otwieranie naszych Trybunałów, a także dla czego rodzina moja wyłączny w tém udział brała tego roku.— Od czasu ustanowienia przez króla Stefana Batorego tej najwyższej instancji sądowej, zwanej u nas po prostu Trybunałem, i od czasu zaprowadzenia w niej zmian niektórych przez konstytucję 1726 roku, wszystkie województwa koronne obowiązane były wybrać w połowie Września (według litery prawa, w pierwszy poniedziałek po święcie Narodzenia Najświętszej Panny Maryi) dwóch albo trzech deputatów, którzy w połowie Października (według litery prawa, w piérwszy Poniedziałek po dniu ś. Franciszka) powinni byli zebrać się w Piotrkowie, dla złożenia razem tego najwyższego Trybunału, mającego rozstrzygać w ostatniej instancji wszystkie sprawy ziemstw i grodów w Koronie. Piérwej jednak, nim zasiedli właściwe im krzesła w ratuszu miejskim, musieli dowieść prawności wyborów swoich przed cenzorami, którymi byli : sędzia i pisarz ziemski sieradzki, albo w zastępstwie ich : starosta piotrkowski, lub jego urzędnicy sądowi.—Dla prawności wyboru wtenczas, należało być wybranym na deputata jednomyślnie, przez wszystkich na wyborach obecnych, a do wotowania mających prawo. Dla zarzucenia nieprawności i niedopuszczenia pretendentów do przysięgi, (którą wspomniani cenzorowie czytali im po uznaniu prawności ich wyboru) uciekano się do następnych sposobów : Produkowano protestację (zwaną manifestem) sejmiku *zaprzeczanego* deputata, w którym wyrażano, iż, tacy a tacy, szlachetnie urodzeni, właściciele ziemscy powiatu, głośno, na rzeczonym sejmiku, opierali się wyborowi tego deputata, i że przez opozycję swoją zniszczyli, albo jak wyrażano się wtenczas, *zerwali* sejmik, i że ich manifest był zaniesiony do *Grodu*. Drugi sposób obalenia wyboru deputata zależał na złożeniu (zawsze przed tymiż samymi cenzorami) kondemnaty na kandydata, to jest dekretu, wydanego nań zaocznie w jakiémkolwiekbądź sądownictwie krajowém, przed, albo nawet i po wybraniu go na deputata.

Sposoby obrony przeciw takim zarzutom były następujące : 1° złożenie *Laudum*, to jest zaświadczenia urzędników od wyborów przed władzami każdego województwa, iż taki a taki prawnie wybranym został;

2° dowiedzenie, iż manifesta zanoszone przeciw obranemu deputatowi napisane były przez nieobecnych na sejmiku; 3° albo, że choć obecni, opozycji swojej nie objawili głośno podczas wyborów; 4° że ci, których manifesta produkują, nie mają posiadłości ziemskiej w powiecie; 5° że sami znajdują się pod kondemnatą; albo nareszcie 6° złożenie zrzeczenia się kondemnaty przez tego, na czyją prośbę była ferowaną. Wzmiankowani cenzorowie wyrzekali w tych wszystkich razach ostatecznie; od nich zależało postanowić, że taki a taki dopuszczonym będzie do przysięgi na deputata, taki a taki usunięty zupełnie, a inny nakoniec zawieszony, aż póki sprawa jego przez koło uznanych już prawnie deputatów, rozpatrzoną i rozstrzygniętą nie zostanie.

Taki był porządek prawny, który nadwerężyły następne nadużycia.— Ktokolwiek w Polsce miał sprawę w tym Trybunale, albo chciał w kraju nabrać wziętości, ten starał się mieć większość koła deputatów złożoną z przyjaciół; usiłowano więc jednocześnie przeprowadzić na tych sejmikach ile było można, wybory osób na które rachowano z pewnością, a także zerwać wszystkie sejmiki, gdzie nie miano dostatecznego wpływu; ponieważ zaś jednomyślność wotów na sejmikach była rekwizytem legalnym, najniezbędniej potrzebnym, który jeden manifest znosił, mogło się więc zdarzyć i istotnie zdarzało się często (z powodu walczących z sobą partji w Polsce), że między zebranymi w Piotrkowie, nie było siedmiu deputatów świeckich, wolnych od wszelkiego zarzutu prawnego. Owóż, gdy prawo wymagało koniecznie tej przynajmniej liczby deputatów dla kompletu Trybunału, bardzo często kraj zostawałby bez sądownictwa, gdyby dla uniknienia tego zła, wspomnieni cenzorowie i zgromadzające się zazwyczaj wszelkiego stanu osoby na reassumpcją każdego Trybunału, nie dokładały wszelkich starań w celu otrzymania od przyjeżdżających z manifestami i kondemnatami na deputatów, aby dobrowolnie od zaniesienia ich odstępowali.

Dotychczas nie było jeszcze nadużyć; ale skoro cenzorowie pozwolili sobie przyjmować albo usuwać deputatów, przez osobiste względy, albo nienawiść, bez uwagi na dokumenta, które ich broniły lub potępiały, zaczęły też i prywatne interesowane w tém osoby używać przekupstwa, dla zapewnienia sobie u nich przyjęcia lub odrzucenia deputatów. Jeżeli cenzorowie byli nieprzekupni, albo już przez drugą stronę ujęci, wtenczas wichrzący magnaci do innych uciekali się sposobów.

Według prawa, piérwszy Poniedziałek w Październiku po ś. Franciszku, przeznaczony był na ostateczne uprawnienie wyboru deputatów; dnia tego, w katedrze piotrkowskiej, po wielkiej mszy, starszy z cenzorów, odczytywał deputatom rotę przysięgi na sędziów, siedząc za stołem, na którym piérwej produkowano wszystkie manifesta, kondemnaty, lauda i pokwitowania, na zasadzie których przypuszczano do przysięgi, albo też usuwano wybranych deputatów.

Stół ów zatém, był punktem, do którego jak można najbardziej przybliżyć się, było interesem każdego, kto miał manifest, kondemnatę, laudum lub pokwitowanie do złożenia. W interesie też partji i ich przywódzców było i od ich sprytu zależało, otoczyć ten stół stronnikami swoimi, a oddalić od niego przeciwników, bo wszystko co tam produkowaném nie było, nie miało żadnego znaczenia. Zrazu, posługiwano się tylko zręcznością, ale wkrótce, ustąpiła ona tłumnemu naciskowi przytomnych starających się pozajmować najpiérwej miejsca, poczém, odpychano już nieraz siłą współobywateli chcących się tam docisnąć albo wyrywano im papiery, którémi gotowali się popierać lub téż obalać wybranych deputatów.

Skoro liczba i siła zaczęły ważyć na tej szali sprawiedliwości, naród uląkł się słusznie, aby tej rzeczy rozstrzygać nie zaczęli wielcy hetmani nieograniczeni dawniej panowie wojska. Wprowadzono więc w 1717 r. do przysięgi hetmańskiej wyraźne zastrzeżenie : *iż nigdy na to żadnym sposobem nie użyją wojsk rzeczypospolitej*. Aby ominąć to zastrzeżenie, partja Potockich w tym roku (1749) już w Sierpniu rozpuściła pogłoskę, iż niejaki Pęcherzewski na czele bandy rozbojników, pustoszył okolice Piotrkowa. Ten Pęcherzewski rzeczywiście nie istniał, równie jak jego bandyci. Jednakże, stary hetman wielki koronny Potocki, skorzystał z wymyślonej mary i rozkazał wojewodzie smoleńskiemu Sapiezie, ówczesnemu regimentarzowi w Wielkopolsce, aby zebrał oddział wojska dla wytępienia tych mniemanych burzycieli publicznego spokoju, co posłużyło mu do wykonania istotnych zamiarów wielkiego hetmana; kazał więc sobie towarzyszyć aż do samego Piotrkowa, oddziałowi wojsk rzeczypospolitej.

Jeden z Potockich (ten który umarł jenerałem artylerji litewskiej, a wtenczas był tylko starostą tłomackim), siostrzeniec hetmana wielkiego koronnego, kazał się był wybrać deputatem na sejmiku bełzkim, którego nieprawności dowodzić, przyjechał do Piotrkowa sam osobiście, owczesny kasztelan bełzki Lipski. Potocki chciał zostać marszałkiem Trybunału, aby za własną powagą i przez wpływy na kolegów, unieważnić wszystkie akta prawne, w ostatnich latach przed Trybunał wniesione, a mające na celu udowodnić, iż Hr. Brühl pochodził w prostej linji od starożytnego domu polskiego, istniejącego niegdyś w rzeczypospolitej, a którego gałąź jedna przed dwóma wiekami kraj była opuściła, i aby wznowić przeciw starszemu bratu mojemu, wielkiemu szambelanowi koronnemu, proces, będący następstwem pojedynku, w którym miał nieszczęście zabić w r. 1744 hrabiego Tarłę, wojewodę lubelskiego.

Jedną z wad głównych prawodawstwa naszego była nieskończoność procesów wnoszonych przed trybunał koronny; ktokolwiek przegrał sprawę, mógł następnego roku, a nawet i w kilka lat poźniej, wznowić ią, pod pretekstem, że dekret na który się skarżył, naruszał prawo (*quod*

vim legis sapit, taką była formuła); a jeżeli wygrał, przeciwnik jego mógł szukać znowu odwetu na trzecim trybunale i tak bez końca; bywały sprawy przesądzane aż do dwudziestu razy. W 1768 r. zło to ukróconém zostało; prawo tego roku postanowiło, iż dwa jednozgodne dekreta w jednej sprawie przez dwa trybynały wyrzeczone, rozstrzygają proces ostatecznie. Pieniacze odtąd starają się niedopuścić zgodności dekretów.

Potoccy mogli skorzystać z tego stanu rzeczy, żeby dać uczuć mojemu bratu najgorsze skutki swojej niechęci, której źródłem było dawniejsze współzawodnictwo wielkiego hetmana z moim ojcem, a której teraz dodawała bodźca zazdrość, jaką obudzało (przeważne wówczas) stanowisko rodziny mojej u dworu. Potoccy chcieli się zemścić za to na Brühlu, a upokorzyć przeciwników swoich w osobie mojego brata.

Oczéwiście, dla własnej obrony rodzina moja musiała przeciwić się nieprawnemu istotnie wyborowi Potockiego, który dążył do marszałkostwa Trybunału.

Na nieszczęście, pięciu tylko było prawnie wybranych deputatów, Potoccy zaś nie zgadzali się na usunięcie przeszkód w przyjęciu dwóch innych (którzyby utworzyli komplet) inaczej, jak pod warunkiem zgodzenia się na ich kandydata.

Daremne były rokowania w tej mierze, aż do południa 6 Października. Godzina służby bożej, mająca według zwyczaju poprzedzać cywilny akt dnia tego, już minęła, i kilka zaledwo zostawało godzin, podczas których, obecne jeszcze na niebie słońce, mogło uchodzić za rekwizyt prawny; zebrały się więc obie strony o godzinie piérwszej, w katedrze piotrkowskiej, nie tyle już w nadziei dokonania czego dobrego, jako raczej w oczekiwaniu scen krwawych.

Nie chcąc mieć tej winy na sobie, wyraźnie zaleciliśmy szlachcie z naszej partji, nie dobywać piérwej szabel i nie rąbać nikogo, dopóki kto z naszych ranionym nie będzie; było około tysiąca szlachty z naszej strony, było jej trochę mniej z drugiej, ale tę mniejszość wynagradzało sowicie wojsko rzeczypospolitej. Wojewoda smoleński Sapieha wszedł do kościoła poprzedzony kompanją tatarską, z czapką na głowie a dłonią na rękojeści szabli; daremnie podkanclerzy litewski Sapieha, krewny jego znajdujący się tam z nami, przekładał mu nieprzyzwoitość i nieprawność tego kroku; kilkuset dragonów i innych Tatarów, pod wodzą Wojewody smoleńskiego i starosty oświecimskiego Małachowskiego (poźniej krajczego koronnego), drugiego podwładnego wielkiego hetmana, stało tuż przy kościele, gotowych nadbiedz na piérwsze wezwanie. Wielki szambelan znalazł Starostów tłomackiego i oświecimskiego, siedzących w piérwszej ławce kościelnej, i poszedł umyślnie zająć miejsce pomiędzy nimi z pobudek, które zobaczymy niżej. Jeden

z przyjaciół naszych Glinka (wówczas pisarz w Łomży, a później szambelan) przemówił głośno do zgromadzonych, wyrażając zadziwienie i zgorszenie swoje z powodu, iż widzi wojska rzeczypospolitej z wyraźnem pogwałceniem konstytucji 1717 roku, używane przy otwarciu Trybunału; Starosta oświecimski odpowiedział mu wprawdzie, ale w jego mowie były tylko czcze wyrazy, bo fakta same za nadto go potępiały. Wkrótce potém, kilku ze szlachty znudzonych tém, iż nie przystępowano do zwykłych w tym dniu czynności, udało się do zakrystji po stół, przy którym wykonywała się przysięga; coroczny ten przedmiot uwagi ogólnej, bez rozkazu nawet dowódzców partji, wywołał w podwładnych usiłowanie zbliżenia się doń jak można najbardziej; hałaśliwy ruch przez to wszczęty omylił dowódzcę Tatarów przyprowadzonych przez Wojewodę smoleńskiego; dał znak, podnosząc w górę czapkę, i w tejże chwili Tatarzy dobyli szabel, a wielka liczba szlachty z naszej strony tłumnie wyszła z kościoła, bo nie mając żadnego umówionego znaku, ani hasła, ani rozkazu do walki, sami nie znali sił własnych. Jednocześnie, niejaki Czarnecki, krzykacz płatny przez Potockiego, z gołą szablą w ręku, myśląc że chwila już nadeszła, stanął przed wielkim szambelanem i zawołał; «zabiłeś wojewodę lubelskiego, chcesz panu Potockiemu przeszkodzić do marszałkostwa w Trybunale, myślisz że jesteś tu panem, otóż pokażemy ci własnym twym kosztem, że tak nie jest.» Tymczasem niejaki Komorowski, koniuszy Kasztelanowej kamieńskiej (siostry starosty tłomackiego) krzyczał toż samo po prawej stronie wielkiego Szambelana, gdy brat jego, oficer artylerji, przeskoczywszy kilka ławek stanął tuż za Szambelanem i już do połowy dobył szabli; wtém wielki podczaszy koronny Goździki (później wojewoda podlaski) znajdujący się w Piotrkowie, a właściwie do żadnej nie należący partji, odwróciwszy się przypadkiem, postrzegł ten ruch oficera i z oburzeniem zapytał go dla czego pałasza dobywa? Zmięszany Komorowski odpowiedział, że dla obrony — «Mogłeś w takim razie zostać na miejscu» odparł Goździki, i odepchnąwszy go w tył, zmusił do włożenia napowrót szabli w pochwę. Wtenczas wielki Szambelan ująwszy ręce sąsiadów swoich, Starostów tłomackiego i oświecimskiego, położył je na kieszeniach swego żupana, mówiąc; «Pomacajcie panowie—widzicie, że mam dwa pistolety przy sobie, przeznaczone są dla was, jeżeli w tejże chwili nie każecie uciszyć się i szabel do pochew schować krzykaczom i żołnierzom swoim; wiedziałem o waszych projektach, mogłem porobić także wojenne przygotowania z jedną szlachtą moją, ale nie chciałem mieć tej winy na sobie; siadłem umyślnie między wami dwóma, abyście byli ze mną w kompanji, w razie jeżelibyście nastawali na moje życie.» Kiedy to mówił, pułkownik Błędowski (1) nie dobywając pałasza, rzucił

(1). Ten Błędowski w czasie wojny rozpoczętej w Czechach w 1741 dowodził z odznaczeniem się pułkami ułanów Augusta III. z których zreformowani Tatarzy, po zawarciu pokoju przeszli po

się pomiędzy Tatarów, wołając; «Bracia! przypomnijcie sobie dawnego dowódzcę waszego, upamiętajcie się, ja to wam mówię, że posługują się wami do złego.» To ich wstrzymało. — Jenerał Mokronoski, człowiek bardzo wzięty, nie dobywszy także szabli, powściągnął massę szlachty Potockiego, przedstawiając okropność kroku, do jakiego ich popychano. Małachowski i Potocki, widząc że piérwsze poruszenie tłumu zwolniało, a po zapowiedzi Szambelana, nie śmiejąc głośno dawać swoim nowych krwawych rozkazów, krzyknęli istotnie, aby szable schowano do pochew, a po chwili wezwali Szambelana na konferencję do zakrystji. Wypadek jej był taki, że z powodu niedostatecznej liczby deputatów, Trybunał otwartym być nie mógł; brat mój odrzekł: «wy za to odpowiadać będziecie.» Zaniesiono manifest do grodu, tłumaczący pobudki nieotwarcia Trybunału. Poszliśmy wszyscy oddać wizytę Kasztelanowej kamieńskiej, która przypatrując się piérwej z trybuny koło organów, całej tej scenie tak nieodpowiedniej dla kobiéty, zajętą była teraz, przy pomocy pół tuzina ładnych siostrzenic i służebnic, nalewaniem puharów węgrzyna całym secinom stronników swego brata. Przyjęła nas z największą grzecznością, powtarzając jednak zcicha, na lewo i na prawo, że wielka szkoda, iż nie dokonano roboty. Ta kobiéta szukała zawsze sławy z popularności i z wyrażeń i odpowiedzi które miała za dowcipne, ale które po większej części dalekie były od słodyczy i skromności płci jej właściwej.

Nazajutrz, wszyscy się z Piotrkowa rozjechali, w trwożném oczekiwaniu następstw, jakie wywoła ten fakt dotąd bez przykładu, iż Polska przez rok cały miała być pozbawioną najwyższego Trybunału. Nic jednak nadzwyczajnego nie zaszło; bespieczeństwo publiczne naruszoném nie było, i czekano, nie czyniąc żadnych następnie kroków, na otwarcie Trybunału w Maju 1750 roku. To dowodzi z jednej strony, jak ta społeczność jest dobrą, a z drugiej, że póki (jak mówią Anglicy) naród *nie dojrzeje do rewolucji*, ta jest niemożebną, pomimo najdziwniejszych nawet wydarzeń.

Była to piérwsza moja kampanja polityczna, a że wypadek był równie niesłychany jak burzliwy, ja zaś piérwszy zaniosłem o nim wiadomość do Warszawy, uważałem więc siebie za bardzo ważną osobę, której wszyscy, w piérwszych zwłaszcza chwilach, powinni byli słuchać z uwagą i zajęciem równém przynajmniej temu, jakie znalazłem u moich rodziców, którzy mnie natychmiast wyprawili dla złożenia relacji hrabiemu Wielopolskiemu, wielkiemu chorążemu koronnemu. Był to człowiek bardzo poważany wtenczas, z powodu urodzenia swego, prawości, za-

większej części do pułków Rzeczypospolitej. Ci Tatarzy są potomkowie tych, których Witołd wielki książe litewski przesiedlił w XV. wieku z Bessarabji do Litwy; przyjęli tam obyczaje i język polski zachowując mahometańską religję; są to spokojni obywatele i w ogólności dobrzy żołnierze. *Przyp. Króla.*

miłowania w naukach, i rozległych stosunków; szwagier Mniszcha, przez żonę, siostrę wielkiej hetmanowej Potockiej, miał wiele do powiedzenia w obu tych domach, a w ogólności miano go za człowieka bezstronnego i nieskazitelnego; ale miłował on spokojność swoją i swoje wygódki nadewszystko; znalazłem go strojącego skrzypce, (na których zresztą grał źle bardzo) bo się gotował wykonać *duo* z bankierem Tepperem. Powiedziałem mu wchodząc, że przyjeżdżam z Piotrkowa, i że nie ma Trybunału; odpowiedział mi zrazu : «zaraz, kochany chłopcze» odegrał potém swoją sonatę i dopiéro wtenczas słuchał mojego opowiadania; zaledwo mym oczom i uszom wierzyć mogłem! Nigdy poźniej nie doszedłem do tak zupełnej obojętności w podobnych razach, doświadczenie jednak nauczyło mnie z czasem, jak wiek i ciągłe zajęcie się interesami osłabiają wrażenia największych nawet nowin, ku wielkiemu zawsze zdumieniu ludzi, mniej z interesami oswojonych.

Dwór był w Saksonji. To sprawiło także, iż nie spieszono się bynajmniej zaradzić tej przerwie sprawiedliwości. Jednakże, ponieważ przykład był niebeśpieczny, udawano zajęcie się na serjo, i w tym celu, przyśpieszono o kilka miesięcy przyjazd królewski w 1750 roku. Zazwyczaj, w latach sejmowych król zjeżdżał zaledwo w Sierpniu. Tego roku przybył w Maju, i sejm zwyczajny, który miał się rozpocząć w Październiku, zmienionym został na nadzwyczajny, zwołany o dwa miesiące wcześniej. Zdaje mi się, iż Brühl, w głębi duszy powiedział był sobie, że sejm będzie zerwany; ale gdyby nawet do tego nie przyszło, miał trwać tylko dni piętnaście, jako sejm nadzwyczajny; czy tak więc czy owak, Brühl przyrzekał sobie, iż tego roku odprowadzi swego pana napowrót do Saksonji przed terminem wielkich łowów w Hubertsburgu, co w oczach Króla poczytaném mu być miało za nową zasługę, gdyż August III to polowanie (najwyższą dla niego przyjemność) uważał za stracone w latach kiedy zjeżdżał do Polski.

Przed nadejściem sejmu, rodzice wysłali Stanisława Augusta do Berlina, dla zaradzenia się u tamecznych lekarzy.

...... Po dwóch miesiącach pobytu w Berlinie, opowiada dalej, wróciłem do Warszawy, dość jeszcze w porę abym został wybrany posłem na sejm. Spotkało mnie to piérwszy raz w życiu, na sejmiku w Zakroczymie, za drugim uniwersałem.

N. B. Kiedy piérwsze zwoływane dla obioru posłów sejmiki, których termin był : przy sejmach zwyczajnych sześciotygodniowy a przy nadzwyczajnych czterotygodniowy od czasu ogłoszenia uniwersałów, zerwane były, królowi przysłużało prawo zwołania drugich i trzecich nawet sejmików. Zostałem więc obrany posłem razem z Szydłowskim,

dziś kasztelanem mazowieckim (1) a żeby niczego nic brakowało do zwyczajów i obyczajów ówczesnych, byłem świadkiem zwady i dobytych pałaszy, przy uczcie jaka miała miejsce po moim obiorze.

Sejm rozpoczął się, . . Dobrze życzący spodziewali się iż zapobieży temu, co było powodem jego zwołania, to jest, zerwaniu Trybunału. Wojewoda ruski doradzał dworowi, aby Rzewuski zrzekł się województwa podolskiego, dla tego, aby potém mógł być wybrany posłem z ziemi chełmskiej, jak się istotnie stało w zamiarze zostania marszałkiem sejmowym. Twórca tego projektu spodziewał sie, iż człowiek który potrafił doprowadzić szczęśliwie do końca sejm pacificationis 1736 r. obradujący wówczas pod jego laską, i który poźniej wdany był w najmozolniejsze praktyki popularności, i znał je wszystkie, będzie zarównie szczęśliwym w powtórném marszałkowstwie; ale partja Potockich widziała w tym wyborze tylko człowieka uchodzącego wtenczas za stronnika Wojewody ruskiego, a grzeczność jego ceremonjalną do zbytku i aż do uniżenia pokorną, miała tylko za pokrywkę wielkiej ambicji. Potoccy w tym wyborze znaleźli jeszcze pretekst użalania się na zniewagę wyrządzoną stanowi rycerskiemu, jak gdyby w całem, tak liczném jego kole, nie było ani jednego człowieka godnego laski marszałkowskiej i jak gdyby uciekając się w tém ubóstwie do stanu senatorskiego, potrzeba było dawać ten przykład nowy, nieużyteczny, i wymyślony zapewne dla pokrycia zgubnych zamiarów. Nienawiść partji silnie się objawiła z obu stron, a rzeczy doszły do tego stopnia, że hetman wielki koronny Potocki wierzył, albo udawał że wierzy, iż Wojewoda ruski podał radę aresztowania go i odwiezienia do Koenigstein, jak byli tam z rozkazu Augusta II zawiezieni dwaj synowie Jana Sobieskiego. Nie mogę twierdzić ani za, ani też przeciw temu przypuszczeniu, ale dotychczas kilka osób poważnych ma je za słuszne i uzasadnione; to pewna, że stary Potocki w wigilję dnia naznaczonego jakoby na jego uwięzienie, kazał napełnić ładownice i nabić broń, całemu wojsku znajdującemu się pod jego rozkazami w Warszawie. Wiadomo, że wielcy hetmani wtenczas nie przyjeżdżali nigdy do Warszawy i nie podróżowali po kraju bez eskorty kilkuset żołnierzy z wojska rzeczypospolitej, albo utrzymywanych własnym ich kosztem; nazajutrz, Potocki aresztowanym nie był, ale po kilkudniowych nieużytecznych kłótniach z powodu wyboru marszałka, poseł bełzki, nazwiskiem Wydżga, stronnik Potockich, zerwał sejm, zanosząc formalny manifest. Akt ten tém był uderzający, że na czterech poprzednich sejmach, wichrzyciele poprzestawali na zapełnieniu bezowocnemi sprzeczkami całych sześciu tygodni na zwyczajną sessję sejmową przeznaczonych i tak nie dopuszczali żadnego postanowienia. Taki sposób przeszkadzania wszelkiemu dobru, winy

(1) Umarł wojewodą płockim 1799 r. *Przyp. Króla.*

przynajmniej za to nie przywiązywał do nikogo. Dymissja Rzewuskiego, nagana jakiej lękali się być przedmiotem Potoccy, w razie, gdyby sejm przyszedł do skutku, (bo był zwołany jedynie dla spowodowanego przez nich zerwania Trybunału), korzyść jaką upatrywali w zniszczeniu planów swoich przeciwników, wszystko to razem, ożywione jeszcze tchnieniem francuzkiém, sprowadziło to zerwanie, które na nieszczęście naśladowano już odtąd na wszystkich następujących sejmach, za panowania Augusta III. Na ten raz, wybuch niezgody wewnętrznej poprzestał na tym akcie; nowy przywilej królewski przywrócił napowrót Rzewuskiemu godność senatorską i województwo podolskie, a wkrótce potém, gdy we Wrześniu nadszedł termin zwykłych deputackich sejmików, Trybunał 1750 r. nastąpił po Trybunale 1748; brak zaś jego przez cały rok 1749 nie dał się uczuć niczém więcej, prócz tego, że przyzwyczaił naród do nowego jeszcze bezładu. Być może, że należało życzyć jakiego nagłego i gwałtownego nieszczęścia, aby obudzić rodaków z letargu w którym pleśnieli, myśląc, iż niczego obawiać się nie mają, oprócz zaprowadzenia prawa decyzji większością głosów. Zerwany ten sejm nadzwyczajny posłużył dworowi za preteks t do uwolnienia się od kłopotu zwoływania sejmu zwyczajnego, który przypadał w tym roku; wkrótce też powrócono do Saksonji.

Podczas pobytu dworu w Polsce stosunki moje z Williamsem stały się daleko ściślejsze, i posłużyły do zjednania mi w wielkim świecie pewnego poważania, dając już pozór człowieka skończonego, czego mi jeszcze sam wiek odmawiał, a co nawet wzrost mój malutki, który zaledwo w tym roku się rozwinął, jeszcze bardziej opóźniał. Wyjechawszy za dworem do Drezna, Williams chciał ze mną utrzymywać korespondencję cyfrowaną, w interesach mojej rodziny i to spowodowało rodziców, że mnie tam następującej jesieni posłali, ale piérwej assystowałem ślubowi brata, który zimą po sejmie 1750 roku w sposób nagły i niespodziewany ożenił się z panną Ustrzycką, córką kasztelana przemyślskiego. Odbywszy z nim razem wszystkie podróże po Polsce, przedsiębrane przez niego po ślubie, w celu zaprezentowania żony całej naszej rodzinie, wyjechałem do Saksonji, towarzyszyć królowi, którego znalazłem na święto-michalskim jarmarku w Lipsku; przez kilka dni które tam spędził, przysposobiłem się do łowów w Hubertsburgu; tam to, Król polski August III. prowadził dwór z największą wystawą, tam czuł się najszczęśliwszym; zgromadzał około siebie całą swoją rodzinę. Wszyscy zagraniczni ministrowie rezydujący przy jego dworze, wszyscy dostojnicy cywilni i wojskowi jego państw, spieszyli za nim, równie jak znakomitsi cudzoziemcy znajdujący się w Dreznie. Cały ten świat, mieszkał, był karmiony i podejmowany kosztem króla, a życie jakie pędzono w Hubertsburgu było istotnie rozkoszne. O ósmej rano ukazywał się król, idący na mszę; o pół do dziewiątej, jechano za nim i w jego powozach na wyznaczone miejsce polowania, gdzie w cieniu drzew znaj-

dowano wspaniałe śniadanie zastępujące obiad; stamtąd spieszono konno spędzać jednego, dwóch, lub trzech jeleni za jedném polowaniem. Mundury dworskie żółte z błękitem i srebrem, piękność koni, ogromna ilość powozów napełnionych damami z otoczenia królowej, a nadewszystko zachwycająca piękność tego lasu, mającego trzy mile w przecięciu, i przedzielonego dwudziestu czterma drogami przeprowadzonemi pod sznur, wszystko to z tej rozrywki robiło prawdziwe święto, dla tych nawet, którzy sami myśliwymi nie byli. Myśliwi gonili zwierza z zapałem, wślad za synami królewskimi; najmniej zapaleni jak ja, towarzyszyli hrabiemu Brühlowi, który choć nie szedł wślad za psami prowadzonymi przez doświadczonych myśliwych, choć nigdy nie zapuszczał się w las, zawsze jednak szerokiemi drogami umiał trafić na samą chwilę śmierci jelenia. Było to jedyne zatrudnienie podczas którego Brühl nie był nieodstępnym towarzyszem króla, który jechał zazwyczaj za polowaniem w powozie, mając obok siebie jedną tylko królowę. Podczas polowania, a zwłaszcza polowania pomyślnego, król zdawał się być nie podobnym do siebie; wesoły, ujmujący, rozmowny, zdumiewał wszystkich mających wtenczas najłatwiejszy do niego przystęp, bo się nie mogli wydziwić że to ten sam monarcha, zazwyczaj taki dumny, surowy, milczący, a z powodu ścisłej i drobiazgowej etykiety prawie niedostępny. Wracano zwykle z łowów między czwartą a piątą po południu; miano godzinę czasu na spoczynek, zmianę stroju, a potém udawano się do teatru, gdzie była muzyka Hassa, prześliczne głosy i pyszne balety; wieczerzano potém razem z królem za niezmiernym stołem, w bardzo pięknej sali, rzęsiście oświeconej, w której wszyscy zaproszeni, mężczyźni i kobiéty, nosili mundury równie śliczne jak bogate; po wieczerzy, około dziesiątej, Król się oddalał i przechodzono do apartamentów następcy tronu, którego żona, Antonina księżna bawarska, chociaż bardzo brzydka, zachwycała wdziękiem rozmowy i głosu. Prawie co dzień bywała u niej muzyka i to doskonała; a około dziesiątej, wychodzono stamtąd, żeby jeszcze odwiedzić hrabinę Brühl; ktokolwiek zaś znał tę kobiétę, przyznać musi, że piérwszy minister i faworyt, nie mógł nawet żądać bardziej uzdolnionej do zjednania mu przyjaciół, a przynajmniej do zmniejszenia zazdrości i złośliwych uczuć, jakich każdy człowiek na takiém znajdujący się stanowisku, a zwłaszcza hrabia Brühl obawiać się musiał. Miałem zresztą u niej wszystkie przywileje dziecka rodziny, z powodu ścisłych stosunków jakie ją z moją matką łączyły. Nieobecność jej zięcia od kilku miesięcy, zdawała się mocno niecierpliwić jej córkę panię Mniszchową, i razem z innymi przyznawałem, że mąż jej w tym razie był winien nie tylko w obec niej ale jeszcze bardziej wobec samego siebie. Od hrabiny Brühl wychodziłem zazwyczaj około północy z panem Willjams, hrabią Salmour (1) albo z posłem holender-

(1). Salmour Piemontczyk, synowiec tego który był nauczycielem Następcy tronu, młody człowiek

skim Kalkoen, dla spędzenia jeszcze u którego z nich godziny lub więcej, na przypominaniu wśród serdecznej wesołości wszystkich wypadków dnia ubiegłego; pozwalaliśmy tam sobie, i kochani bliźni szerokie zajmowali miejsce w tych rozmowach naszych, jak się każdy łatwo domyśli. Wesołe to życie trwało sześć tygodni. Byłem zdrów, miałem niewiele pieniędzy, ale daleko więcej niż potrzeba, wolny od wszelkiej troski, żyłem w rozkosznej okolicy, w pięknej porze roku, w dobranem towarzystwie, byłem prawie zakochany, a nie rozpustny bynajmniej, spotykałem ludzi którzy zdawali się zadowolnieni i zajęci jedynie zabawą, nigdy, w całém życiu mojém, nie byłem tak szczęśliwy jak przez tych sześć tygodni; ale kiedy minęły, dobre czasy minęły z niemi razem, a rodzice kazali mi opuścić Saksonję i jechać do Wiednia, dokąd przybyłem w końcu 1751 roku.

.... Wróciłem do Polski w końcu Kwietnia 1752 roku przez Kraków, skąd dostałem się do Łubnic, w województwie sandomierskiem, majętności księcia Wojewody ruskiego, który się tam znajdował. Ponieważ wtenczas najbardziej głaskać mnie zaczął, wtenczas więc też zacząłem poznawać bliżej tego znakomitego człowieka, który później tak przeważnie i w tak rozmaity sposób miał wpłynąć na dalsze życie moje. Tu zdaje się najwłaściwsze byłoby miejsce, skreślić jego portret; ale są dusze głębokie, które ani się łatwo przejrzeć na wskroś, ani też odmalować od razu nie dają. Mogę powiedzieć, że się starałem wyuczyć księcia Wojewody jak książki; znajomość moja i sąd o nim dojrzewały z biegiem wypadków, przy poufnych stosunkach i wspólném zajmowaniu się interesami, a czytelnik pozna go najlepiej śledząc za mną dalszy ciąg tego opowiadania. Tu trzeba powiedzieć, że Wojewoda ruski, miał znowu za zasadę, wyszukiwać i przywiązywać do siebie wszystkich ludzi młodych, w których zdawało mu się dostrzegać jakikolwiek talent lub przymiot wrodzony czy nabyty, który mógł zrobić ich użytecznymi w jakimkolwiekbądź zawodzie i że nikt bardziej nad niego nie posiadał daru pochlebiania miłości własnej, opanowania serca i umysłu, ludzi ufnych z natury. Pewien rodzaj uroku w jego postępowaniu, wzbudzał dlań uwielbienie, a nie można było dostrzedz najmniejszego usiłowania, najmniejszego celu w jego krokach i wyrażeniach, które, zwłaszcza dla oczu nie wspartych jeszcze doświadczeniem, zdawały się jedynie wypływać z istotnej jego życzliwości.

Zrazu przypuszczał, że młody człowiek wracający z piérwszej swojej podróży odbytej bez mentora, musiał być w złych interesach, i ofiarował mi pieniądze; daremnie go upewniałem żem miał jeszcze za co dojechać do rodzicielskiego domu; powiedział mi: « Jesteś moim sio-

bardzo miły, bardzo ukształcony i bardzo wesoły, zakochany wtenczas, a później ożeniony z hrabianką Łubieńską pierwszą damą dworu królowej, rodzącą się z mojej siostry stryjecznej. *Przyp. Króla.*

strzanem, nie odmówisz mi przyjemności zrobienia ci podarunku; oto dwieście czerwonych złotych, ale proszę cię, nie mów o tém nikomu.» Powiedziałem, że miał zupełne prawo robić mi podarunki, ale że rodzice wiedzieć o tém będą; wtenczas wziął się na inny sposób; zaczął mówić mi o nich, a zwłaszcza o mojej matce, z największą czułością, jak gdyby ubolewał nad interesem który po czterdziestu latach najtkliwszej i najściślejszej przyjaźni, zasiał pierwsze nasiona niechęci między nimi, w czém sobie jednak nie przypisywał winy. Przy tej zręczności dorzucił kilka słów o wielkim szambelanie moim bracie, o jego słabych stronach, chcąc niby dać do zrozumienia, że ja na jego miejscu nie dopuściłbym się tych win przeciw niemu, jakie w bracie moim upatrywał, oświadczając się pomimo to, iż go zawsze lubi. Im bardziej czułem się usidlony tą mową, tém bardziej lękałem się, abym się nie dał pociągnąć do przyznania jakiejkolwiek winy matce, która w przekonaniu mojém mieć jej nie mogła, zwłaszcza w razach gdzie chodziło o jej bezinteressowność i zamiłowanie prawdy. Przypominam sobie, żem mu odpowiedział, mniej więcej w następujących wyrazach: «Niepodobna mi przypuścić, aby fakta rożniły się od tego jak mi je matka opowiedziała, ale wierzę, żeście mogli oboje zapatrywać się na nie z różnego stanowiska; nie mogę poczytywać bratu memu za winę, iż wzrosłszy z myślą, że pułk gwardji pieszej koronnej odstąpiony był wujowi przez mego ojca pod warnnkiem, iż go wuj na nowo starszemu jego synowi odda, gdy ten do lat dójdzie, uczuł się boleśnie dotkniętym, ujrzawszy raptem zawiedzione te nadzieje, tak odpowiedne jego talentom; ale nie mówiąc już o synie kochanego wuja, dla którego rozumiem ojcowskie jego przywiązanie, cała ta sprawa, i jeszcze dziesięć innych, jej podobnych, nie są warte według mnie, nieocenionego dobra rzadkiej i przykładnej jedności i zgody, będącej siłą i chlubą naszej rodziny; myślę więc, że należałoby już o całej tej rzeczy nie wspominać i uważać ją za zupełnie pogrzebaną.» Uściskał mnie, i zdawał się być rad bardzo z mego sposobu myślenia w tym względzie; spędziłem jeszcze dni kilka u niego, podczas których przekonał mnie najzupełniej, że mię szacował i kochał zarówno, i wróciłem do Warszawy tak pełen tej idei, że matka moja uznała za potrzebne zabeśpieczyć mnie przeciw łatwemu w tym razie omamieniu miłości własnej, i przeciw skutkom zręczności bardzo biegłego człowieka mającego do czynienia ze szczerym i niepodejrzliwym zgoła młodzieńcem. Opowiedziała mi historję swego brata jak następuje:

Przyszedłszy na świat z charakterem gwałtownym i dumnym, czego najoczéwitsze dowody składał już w dzieciństwie swojém, ale obdarzony zarazem bardzo niepospolitym umysłem, od jedénastu lat życia potrafił już tak nad sobą zapanować, iż wydał się zupełnie zmienionym; do tego stopnia, że od tego czasu, ktokolwiek go zbliska nie znał, albo

ciągle za nim nie śledził, miał go za człowieka umiarkowanego pod wszystkiemi względami. W szesnastym roku posłano go podróżować ze starszym bratem i nauczycielem; miał już wtenczas dosyć rozwagi i zręczności aby oszczędzać miłość własną starszego brata, któremu zdawał się ustępować we wszystkiém. Nie przeszkodziło to starszemu, dziś w. kanclerzowi litewskiemu, zazdrościć mu, chociaż przez całe życie korzystać nie omieszkał z przewagi jaką sobie nad młodszym bratem przypisywał. Rozdzielili się wkrótce: młodszy został w Malcie, gdzie przyjął krzyż zakonu i rozpoczął swój zawód na jego galerach; po nie wielu latach, oddano go do służby austryjackiej, gdzie odbył kilka kampanji i znajdował się między innemi w pamiętnej bitwie pod Belgradem 1718 roku, wygranej przez księcia Eugenjusza. Podczas tej służby w najlepszych zostawał stosunkach ze sławnym Guido Stahrembergem, z jenerałami de Merci i de Bonneval, lubiony był bardzo i wyróżniany wśród innych przez wszystko co było najznakomitszego z mężczyzn i kobiét w Wiedniu, wyjąwszy jednego księcia Eugenjusza, a to z powodu iż zdawał się być przywiązanym do wielu osób nielubiących księcia, który, jak większa część sławnych w rozmaitych czasach wojowników, bardzo miał wiele stron ulegających krytyce, skoro nie prowadził wojny. Guido Stahremberg współzawodnik jego sławy na usługach domu austryjackiego, z wielu innymi zaprzeczał mu nawet znaczenia niektórych czynów wojennych, gdzie być może istotnie że mu jedynie szczęście dopisało; zresztą, hrabina Bathiani, kobiéta w wieku, nie piękna, nie bardzo rozumna a niezmiernie zysku patrząca, nie zdawała się zasługiwać na to, aby bohatér wieku co zimy wawrzyny swoje u stóp jej składał. Wyższy umysł łatwo daje się skusić ponętą wystąpienia przeciw sławie narzucającej się tłumom, jeżeli dopatrzy niewłaściwych źródeł jej blasku; tak się stało z księciem Czartoryskim w obec księcia Eugenjusza; ale to zamknęło przed nim dalszy w tym kraju zawód; po kilku latach służby nie mógł przejść nigdy stopnia pułkownika; książe Eugenjusz nie przebaczał nikomu, kto się przed nim nie korzył. Książe Czartoryski jednakże, pozostałby zapewne w Austryi, gdyby matka moja, którą zdawał się najbardziej z całej rodziny kochać, nie dołożyła wszelkich starań, podczas krótkiego czasem pobytu jego w Polsce, w celu odwiedzenia krewnych, aby go skłonić do zbliżenia się znowu do ojczyzny, której obyczaje, rząd i całe położenie stało mu się zarówno nienawistném jak obcem; myślił że nigdy w niej do znaczenia nie dójdzie. Ojciec mój, bardzo lubiony przez Augusta II ofiarował mu pomoc swoją i wpływy, co wątpię wszakże aby widoki jego ku Polsce zwróciło, gdyby nie powzięta nadzieja zaślubienia wdowy po Denhofie, wojewodzie połockim, jedynej dziedziczki rodu Sieniawskich i niezmiernych ich bogactw, prócz tego pięknej, miłej, i o której rękę dobijano się w całej Polsce. Jeden z Potockich, wówczas starosta bełzki,

dzisiaj wojewoda kijowski był jego współzawodnikiem, i to się stało zarodkiem ich zobopólnej i trwałej ku sobie niechęci. Szwagier mój z któ rym wuj przypadkiem miał jakieś zajście jeszcze z Wiednia, był także przez czas pewien w rzędzie starających się o piękną wdowę. Starosta stężycki Tarło, zmarły poźniej jako kasztelan lubelski, szukał z nim nawet osobistej kłótni, w której wuj, dawszy mu dwa razy do siebie wystrzelić, sam nie strzelając poprzestał na zapytaniu, czém jeszcze teraz mógłby mu służyć? Odpowiedź ta, zrobiła wrażenie na wdowie; wszakże, zaledwo po trzech latach, stałych i często wszelkiej nadziei pozbawionych zabiegów, potrafił naresztę zniewolić serce swej pani, w czém nawet, jak w wielu innych rzeczach, niezmiernie mu pomogły zręczne i wytrwałe starania moich rodziców.

Gdy województwa mazowieckie i ruskie zawakowały, ojciec mój, któremu August II wybór między niemi zostawił, ustąpił tego przywileju księciu Czartoryskiemu; ten wybrał województwo ruskie, ojciec więc mój objął mazowieckie, ustąpiwszy mu jeszcze piérwej za zgodą króla pułk gwardji pieszej koronnej, pod warunkiem, iż książe go starszemu jego synowi napowrót odstąpi, skoro ten lat dójdzie. Ponieważ ta umowa zawartą była tylko ustnie, po dwudziestu więc latach wojewoda ruski zaprzeczył jej we wszystkich prawie punktach, co w matce mojej, stało się powodem gorzkiego bardzo do końca życia uczucia, którego nie mogła się pozbyć choć je potępiała, a to dla tego, że (mimo całego rozumu) powzięła była nadludzkie prawie wyobrażenie o charakterze brata, który od czasu gdy ujrzał przyszłość swą przez ożenienie zupełnie zapewnioną, zaczął stygnąć w tej nieograniczonej ufności jaką dotąd matce mej okazywał. Jednakże, długo jeszcze, w naradach familijnych i w naradach swego stronnictwa, układał z nią projekta i kroki jakie przedsiębrać miano.

Wkrótce, wypadki zaszłe po śmierci Augusta II, zaprowadziły go razem z całą moją rodziną do Gdańska, gdzie o mało nie umarł z ciężkiej choroby która zdrowie jego na resztę życia podkopała. Gdy spokojność w Polsce została przywróconą, wojewoda ruski zdawał się zajmować wyłącznie urządzeniem niezmiernych dóbr jakie mu żona wniosła, i tak pomyślnie tego dokonał, że utrzymywano powszechnie iż podwoił dochody, spłaciwszy miljon czerwonych złotych długu który je obciążał.

Im bardziej zdawał się być oddany temu jedynemu przedmiotowi, tém mniej dwór i Potoccy zważali na politykę wojewody; upodobanie jego w wygodach, wiele istotnego lenistwa, które lepiej jeszcze udawać umiał, były przyczyną iż myślano, że nienawidził całą publikę sarmacką, i że, jeżeli się kiedy zajmował sejmikiem jakim albo składem Trybunału, lub czynnościami na sejmie, czynił to wcale nie z upodobania ani przez ambicję, ale dla tego jedynie, że stanowisko iakie zajmo-

wał nie pozwalało mu się całkiem od tych spraw usuwać; zawsze prawie tak się umiał urządzić, że proszono go o to, czego w istocie sam najgoręcej pragnął. Ostrożność jego wyrażeń, najstaranniej ukrywana sztuka i głęboki rozmysł przewodniczący wszystkim jego krokom, tym zwłaszcza które za najbardziej naturalne uchodzić miały, tak utrwaliły przekonanie o jego mądrości, łagodności i prawości, że nie raz usuwały się przed nim największe zawady, i że umiał wmówić najzaciętszym nieprzyjaciołom swojej familji i jej interesów, że zasługiwał osobiście na wyjątkowe z ich strony zachowanie się. Powodem do tego było umiarkowanie jakiemu z jego strony wierzono, bo właściwie bratu jego kanclerzowi przypisywano wszystko, co najbardziej raniło nieprzyjaciół i współzawodników mojej rodziny, kiedy tymczasem w istocie, Wojewoda ruski daleko dalej od wszystkich swoich krewnych posuwał zasady absolutnej władzy i egoizmu, ilekroć zdawało mu się że może tego dopełnić skutecznie, ukrywszy jeszcze rękę z której pocisk wypadał. Głęboka przenikliwość i bystrość zdumiewająca jaką się odznaczał, służyły mu szczególniej w ocenianiu okoliczności i ludzi, których chęci a nieraz nawet i wady, najlepiej w danym razie usłużyć mu mogły. W gruncie, nie lubił wcale dawać i wszystko co w jakikolwiekbądź sposób dotykało jego własności, obchodziło go tak mocno, że z trudnością zachowywał wtenczas maskę umiarkowania; jednakże, przyznać należy, że jest panem, nie zaś niewolnikiem grosza, umié dawać i to w sposób zobowiązujący; daje nawet dość często i w wielkiej tajemnicy; tylko nigdy nie daje dla przyjemności dania; tego w nim nie ma; robi to zawsze w jakimś celu, odnoszącym się do niego samego, chociaż umié wmówić, że czyni to z uczucia, przez szacunek i przywiązanie.

Gdybym nie przeżył z Wojewodą ruskim lat kilku, w najbliższej poufałości, podziwiałbym w nim tylko jak tylu innych, duszę najpogodniejszą, najbardziej oświeconą i wyższą nad wszystkie drobne namiętności i usterki tłumu; rozum prawie nieomylny, ilekroć się nie spieszy (co mu się zresztą bardzo rzadko zdarza); wiadomości rozległe we wszystkich gałęziach, wymowę szlachetną, a pełną ścisłości, talent usunięcia i cieniu powątpiewania we wszystkich którymi chce rządzić, oczarowania ich niejako, nie pozwalając sobie nigdy nie tylko zjadliwej uszczypliwości, ale nawet krytyki publicznej. Czytelnik przekona się z kolei razem ze mną, o ile w istocie dalekim był od tej doskonałości.

Aż do 1752 roku mniej więcej, rodzina moja w sprawach krajowych kierowała się według zdania Rady, w której różność charakteru członków, za cichém przyzwoleniem wszystkich, następującym sposobem podzieliła role :

Książe kanclerz, jako najbardziej mowny, największy publicysta w kraju, imaginacji płodnej, zazwyczaj odzywał się piérwszy i kwestję pod wszystkiemi jej względami przedstawiał; kilku doborowych przy-

jaciół, wezwanych do rady, roztrząsało ją, matka moja i wojewoda ruski najczęściej wyjaśniali ją ostatecznie, a mój ojciec, szczéry, otwarty, kochający, wesoły, ruchawszy, silniejszy i więcej od innych datny, bardziej téż kochany i popularny, wykonywał; zdanie jego rozstrzygało zaledwo w razach niespodziewanych i nagłych; nikt wtenczas rychlej i szczęśliwiej nad niego nie przejrzał tego co począć należało i zwykle wówczas pociągał za sobą. Takim był aż do 76 roku życia; wtenczas dopiéro widocznie posuwać się zaczął i od 1752 r. coraz się bardziej uchylał od spraw publicznych, kiedy tymczasem dwaj jego szwagrowie, pozyskawszy już stałą i dobrze ugruntowaną wziętość, a licząc mnóstwo własnych klientów, mniej jego pomocy potrzebować i żądać zaczęli. Matka moja ze swej strony, z wielu powodów na nich zażalona, oddała się odtąd prawie wyłącznie dwóm przedmiotom : pielęgnowaniu matki swojej, księżny Czartoryskiej, kasztelanowej wileńskiej, i dokończeniu wychowania swych dzieci przy posuwaniu ich na właściwej każdemu drodze, usunąwszy się sama ze sceny wielkiego świata, jeszcze bardziej, niż to czyniła od dawna.

Wkrótce po moim powrocie, udałem się do Radomia, dla pełnienia obowiązku komisarza województwa mazowieckiego, w dykasterjum które, w skutek dziwacznego połączenia różnorodnych idei, utworzoném było za Augusta II, dla opracowywania przedmiotów zajmujących od 1764 roku dwie oddzielne komissje: wojny i skarbu. W istocie, komissja radomska nie ograniczała wcale władzy wielkich hetmanów i wielkich podskarbich, służyła tylko do zwolnienia ich od części uciążliwych obowiązków; że jednak sposób wnoszenia tam spraw i cała procedura sądowa, zupełnie była taką jak w wielkim Trybunale koronnym, kadencja zaś trwała tylko sześć tygodni, chętnie więc posyłano tam młodych ludzi przeznaczonych do życia publicznego, dla wyuczenia się sądownictwa i obeznania się z publiką. Nigdzie w Polsce nie oddawano tyle ukłonów i nie pito tak wiele jak w Radomiu; tam też uczułem się szczęśliwy, że wiedziano powszechnie, iż nigdy wina czystego nie kosztowałem; utrzymałem się przy mojej wstrzemięźliwości, alem był za to zimnym i tém bardziej znudzonym świadkiem najwyuzdańszego pijaństwa. Nie ono jednak było powodem kłótni jaka wybuchła między Rudzieńskim (1) kasztelanem czerskim, ówczesnym marszałkiem tej komissji, i Kossowskim (2) podskarbim nadwornym, piérwszym komisarzem wojskowym; obaj byli poufnymi przyjaciołmi mojej rodziny (3) co nie małym dla mnie było kłopotem; zwiększała zaś ten kłopot ta jeszcze okoliczność, iż mimowolnie stałem się przyczyną ich kłótni.

(1). Który umarł wojewodą mazowieckim, *Przyp. Króla.*

(2). Który umarł wielkim sekretarzem koronnym — jest to ojciec dzisiejszego podskarbiego nadwornego. *Przyp. Króla.*

(3). Rudzieński po dwóch latach opuścił moją rodzinę — Kossowski pozostał nam wierny do śmierci. *Przyp. Króla.*

Zwyczaj chciał, aby wspomniana komissja wysyłała do króla deputację, złożoną z dwóch członków; z tych, piérwszym co do stopnia bywał zawsze Małopolanin, i mianowany nim został przez marszałka Rudzieńskiego, któremu przysłużało to prawo, Rzewuski, dzisiejszy marszałek nadworny koronny, a wówczas komisarz województwa ruskiego; miejsce drugiego członka z Wielkopolski, przeznaczał marszałek siostrzanowi swojemu, Karczewskiemu, wówczas budziszewskiemu, a później liwskiemu staroście, który był młodszym moim kolegą z Mazowsza; Kossowski myśląc, że ta zręczność przedstawienia się w urzędowym charakterze królowi, nie powinna mnie ominąć, tak żywo upomniał się o to u marszałka, że ten uczuł się obrażonym. Uważałem za mój obowiązek zabrać głos dla uciszenia kłótni, prosząc z mej strony Rudzieńskiego, aby trwał w wyborze swojego siostrzana, a Biskup krakowski Załuski (1) prezydujący tego roku w Radomiu, pomógł mi do pogodzenia zwaśnionych.

Komissja miała do Króla przemowę we Fraustadt, dokąd zjeżdżał w lata sejmowe, dla podpisania uniwersałów, które według prawa powinne być podpisywane na ziemi polskiej. Król przyjeżdżał tam z Drezna we trzydzieści godzin, bawił tyle ile potrzeba było dla podpisania uniwersałów i wracał niezwłocznie napowrót, a do Warszawy zjeżdżał jak mógł najpoźniej, przed terminem sejmu zwyczajnego (2). Bawił w Fraustadt dni kilka tylko wtenczas, kiedy okoliczności sprowadziły tam jakie *Senatus Consilium* albo jaką wschodnią missję; czuł się u siebie tylko w Saksonji a nawet niewyobrażał aby mógł w Polsce zamieszkać. Z racji pobytu swego na ziemi polskiej (po za granicami której, prawo pozwalało mu tylko rozdawać stopnie wojskowe) podpisał tym razem po śmierci wielkiego hetmana Potockiego, przywilej na kasztelanję krakowską dla mojego ojca, któremu odwieźć go miałem przyjemność, bo sam nie znajdował się w Fraustadt.

Mój szwagier Branicki, po Potockim został wielkim hetmanem, Rzewuski, zaś wojewoda podolski, a dzisiaj krakowski, dostał małą buławę.

Wkrótce po wycieczce do Fraustadt, trzeba było myślić o sejmikach, a nie była to rzecz łatwa w owych czasach. Chcąc być wybranym na posła, nie dosyć było mieć wielu przyjaciół w okolicy, trzeba było ko-

(1). Prawo ustanawiające tę komissję zawarowało zarazem, że wszyscy Biskupi Polski mieli jej przewodniczyć: każdy z nich po dwa lata z rzędu. *Przyp. Króla.*

(2) Termin ten przypadał w Poniedziałek po Ś. Michale; sejmiki powinne były poprzedzać sejm, jak jest i teraz, o sześć tygodni, a uniwersały poprzedzały znowu sejmiki o drugie sześć niedziel, tak, że król powinien był znajdować się w Warszawie już na początku Czerwca, co uważał za czas zupełnie dla siebie stracony. Przyjeżdżał zazwyczaj dopiéro w Sierpniu, a na Boże Narodzenie bywał już w Saksonji, skąd znowu, zaledwie po ośmnastu wracał miesiącach, robiąc zupełnie na odwrót to, do czego Pacta Conventa obowiązywały, bo według nich, miał w każdém dwóleciu sześć miesięcy spędzać w Saksonji, a ośmnaście w Polsce. *Przypisek Króla.*

nicznie nie mieć ani jednego oponenta; ukrywano swoje kroki, tajono miejsce w którém miano starać się o wota, z obawy, aby jaki nieprzyjaciel osobisty lub stronnik innej partji, dowiedziawszy się, nie wzbudził tam przeciwników.

Ojciec mój miał w ziemi łomżyńskiej przyjaciela, nazwiskiem Glinkę (1) rejenta wówczas tegoż powiatu. Był to człowiek bardzo biegły we wszystkich sejmikowych manewrach i po swojemu sprytny; jemu też zalecono mnie, powierzono, poddano, na to abym został posłem. W istocie smutniej jeszcze niż zaszczytnie było wtenczas, ubiegać się o ten urząd; wiedziano z góry, że żaden sejm nie przychodził do skutku, że król się o to wcale nie troszczył, minister jego daleko mniej jeszcze, wszyscy ministrowie polscy nie wiele też więcej nad nich, że zresztą, gdyby nawet wszyscy najmocniej tego pragnęli, było to prawie niepodobieństwem, z powodu wytężonej uwagi mocarstw ościennych starających się zrywać sejmy, ku czemu niesłychane znajdowali ułatwienie w zgubnem i niedorzecznem *Liberum veto*. Jedyną korzyścią tej nieużytecznej godności poselskiej, była tylko możność oparcia się jakiemu istotnie zgubnemu projektowi, gdyby go dwór wymyślił (2), sposobność obeznania się z reprezentacją publiczną, wdrożenia się do spraw narodowych, lub za narodowe mianych, i przygotowania sobie dróg do innych stanowisk, na których kiedyś, tak lub owak, możeby się udało czegokolwiek dokonać. A jednak, dla dojścia do tego lichego posłowania, trzeba było co dwa lata nadskakiwać kilku secinom ludzi, którzy wprawdzie z urodzenia mogli nazywać się szlachtą, właścicielami ziemskimi takiego lub takiego powiatu, ale z których połowa zaledwo umiała czytać, a daleko większa część służyła dawniej lub obecnie zostawała na usługach u tychże samych magnatów, którzy teraz ubiegali się o ich wota dla siebie albo swych dzieci. Trzeba było, przed sejmikiem, kilka dni z rzędu, derezonować od rana do wieczora z tą ciżbą, podziwiać ich brednie, zachwycać się nad ich płaskiemi konceptami, a nadewszystko ściskać ich brudne, kapcańskie osoby; na wytchnienie, trzeba było dziesięć albo dwanaście razy na dzień *konferować* z matedorami z okolicy, to jest, trzeba było pod zasłoną największej tajemnicy wysłuchać szczegółów ich drobnych kłótni domowych, oszczędzać ich zobopólne zawiści, wstawiać się za promocją ich do urzędów w powiecie, układać z nimi ile i któremu ze szlachetnie urodzonych wyborców dać trzeba było pieniędzy (3); naresztę, trzeba było jeść z nimi śniadania, obiady, podwieczorki, wieczerze, za stołami równie brudnemi jak licho usłużonemi, a to wszystko na to, aby w końcu, bardzo często, wi-

(1) Zrobiłem go szambelanem łomżyńskim; jest to ten sam, który w Piotrkowie miał mowę 1749 przeciw nadożyciom władzy wojskowej. *Przypisek Króla.*

(2). Jak n. p. zawiązanie konfedaracji w zamiarach szkodliwych. *Przypisek Króla.*

(3) Przynajmniej na sejmikach naszych nie było jak w Anglii poprzedzającej wybory przysięgi *de non accipienda pecunia. Przyp. Króla.*

dzieć owoc tych pokłonów, wydatków, i całej tej cierpliwości, zniszczony w jednej chwili przez jakiego bałwana zostającego na żołdzie przeciwnika, albo nawet przez zły humor tylko jakiej osobistości, która poświęcała i ciebie i sejmik cały, nieukontentowaniu swojemu do nastręczanego tobie kolegi, lub do którego z dygnitarzy powiatowych który pracował dla ciebie, a którego promocję u dworu ten gbur spodziewał się zniszczyć burząc twoją elekcję, bo syn magnata ubiegający się o godność poselską taką promocię w nagrodę udzielanej sobie pomocy zazwyczaj przyrzekał.

Pan Glinka przyjął mnie w swoim domu z największemi oznakami radości i uszanowania; codzień rano i wieczór powtarzał mi w mowach swoich « że czuje się najszczęśliwszym z ludzi, posiadając w osobie mojej nieoceniony klejnot, który powiat łomżyński powinien oprawić w kosztowny pierścień swojej godności poselskiej, aby oświecał na przyszłym sejmie cały horyzont sarmacki. »

Na takie to biédoty, w podobnymże stylu, musiałem odpowiadać ze dwieście albo trzysta razy w ciągu tygodnia, podczas którego pan Glinka posiadał mnie w swoim domu, albo obwoził po powiecie, od domu do domu, zbierając obietnice wotów od wszystkich wyborców.

Zostałem nareszte posłem, *unanimi voto*, razem z miejscowym starostą Przyjemskim, po czém Glinka zaprowadził mnie do domu pana Starosty makowskiego, a był to ze wszystkich dni dla mnie najcięższy. Stary Starosta, dotknięty pedogrą, nieruchomy, żył jeszcze dla tego tylko aby pić; żona jego, była przedmiotem najgorętszych zapałów pana Glinki, który sam będąc wdowcem, spodziewał się, że i ona wkrótce owdowieje; tymczasem zaś umieścił przy niej córkę swoją z piérwszego małżeństwa, ośmnastoletnią dziewczynę, tłustą, białą, prawdziwą Kunegundę, która, mówiąc nawiasem, w gorący dzień sierpniowy ustroiła się w piękny czarny aksamit z pluszem różowym na odwrotnej stronie. Glinka zaproponował bal tym dwóm paniom, które z nim i ze mną złożyły jedyny kadryl, a stary mąż przedstawiał zgromadzenie. Miejscem dla tańców był rodzaj drewnianego przedsionku, mającego dwanaście stóp w kwadrat, wspartego na czterech słupach, gdzie rodzina przychodziła oddychać świéżém powietrzem, u drzwi domu, z napół przegniłą z desek posadzką.

Starosta zasiadł w jednym kącie, jedyne rozstrojone skrzypce zajęły drugi, a Glinka i ja, służąc tym damom naprzemian, tańcowaliśmy od szóstej po południu, do szóstej zrana. Po każdym skończonym tańcu Glinka wychylał pełny kielich, ostatnią kroplę płynu strząsając na paznogieć, a stary Starosta wiernie towarzyszył ochocie, pijąc zawsze za moje zdrowie, na co, jako niepijący, tém niższemi odpowiadać musiałem ukłonami. Nie, gdybym na to własnemi nie patrzył oczyma, nie wierzyłbym nigdy! Igła obeszła wkoło cyferblatu, a Glinka pił i tańcował

jeszcze; tylko trzy razy z rzędu zmieniał ubranie swoje, zawsze mnie przepraszając najpokorniej; odwiązał pas naprzód, potém zdjął kontusz, nareszte żupan, i został w jednej koszuli, a w dodatku do szerokich swych polskich spodni i wygolonej głowy, nadział na wierzch pudermantel pani domu, przyklaskującej tym miłym konceptom. O szóstej rano prosiłem o pardon; z trudnością otrzymałem pozwolenie udania się do osobnego pokoju, gdzie zaledwo czas miałem zmienić bieliznę, kiedy pani domu z przewodnikiem swoim i jego córką, znowu tam na mnie napadła. Klęcząc prawie wypraszałem się, żeby mi dano odetchnąć, i z wielką biédą otrzymałem pozwolenie wyjechania po obiedzie do Warszawy. Jeszcze nie byłem wyjechał z podwórza szlachcianki, kiedy oś w moim pojeździe złamała się; miałem siebie za straconego, rozpacz ogarniała mą duszę, ale Glinka wspaniałomyślnie użyczył mi swego powozu, rad że miał pretekst pozostać przy swojej pani, póki ja wlokłem się między sosnami, po piaskach tego lichego i tak biédnego powiatu, że dosłownie konie moje i ja o mało co nie zginęliśmy z głodu w tej drodze. Kładę tu konie przed sobą dla tego, że ojciec najpiérwej mnie o nie zapytał, kiedy wróciłem do domu. Ojciec mój namiętnie konie lubił, i dał mnie był ulubiony swój zaprząg; kiedy mu powiedziałem, że jeden z siedmiu koni i to najpiękniejszy padł nagle w tej smutnej pielgrzymce, zapomniał na kwadrans, że byłem przyobleczony nietykalném dostojeństwem posła i przepowiadał mi, że nigdy nie stanę się porządnym człowiekiem, bo nie umiem utrzymać powierzonych mi rzeczy, a nadewszystko szanować koni, których całą wartość, szlachetność i wszystkie zasługi wyliczył mi wtenczas; był to niemiły moment; ale nareszte byłem już za Łomżą, pan Glinka już mną nie komenderował, czułem się prawdziwie szczęśliwy; tak to zło przebyte, staje się dobrém.

Zaledwo od dwóch tygodni byłem w Warszawie, kiedy trzeba było myślić o podróży do Grodna. Uprzedziłem do Białegostoku króla, który tam wkrótce także nadjechał.

Piszą w historji, że książe d'Epernon zadziwił dwór Ludwika XIII świetnością przyjęcia, jakiego mu udzielił w zamku swoim Cadillac; hr. de Broglie, poseł francuzki, świéżo wtenczas przybyły do Polski, zdumiony był przyjęciem, jakiego doznał August III od wielkiego hetmana Branickiego, w Białymstoku. Król i cały dwór jego był podejmowany i wożony przez dni kilka przez wielkiego Hetmana, który między innemi urządził mu w Horoszczy świetną zabawę, zupełnie w jego guście. Mnóstwo dzikiego zwierza przywiezionego w klatkach do lasków tego rozkosznego miejsca, pędzono potém po wązkiej dróżynie z desek, między dwoma ścianami, aż na wierzchołki drzew, rosnących nad kanałem; tam znajdowały urządzone zapadnie, przez które, z wysokości trzydziestu stóp spadając do wody, dawały Królowi zręczność

strzelania w lot, gdyby chciał, wilków, dzików i niedźwiedzi; psy myśliwskie u stóp drzew, czekały na te zwierzęta, żeby je ścigać na ziemi i wodzie, aż póki się Królowi nie podobało strzelać do nich. Jeden z tych niedźwiedzi, spotkawszy czółno, wlazł na przód jego, chcąc się od psów uchronić; młody Rzewuski brat marszałka, zmarły później w Wiedniu, i Saul, piérwszy urzędnik saski z biura spraw zagranicznych, chroniąc się na tył czółna gdzie był przewoźnik, tak je przechylili, że wywróciło koziołka; niedźwiedź poraz drugi zakreślił wielki łuk w powietrzu, i wpadł do wody tuż około tych panów, dla których wszystko skończyło się na strachu, a ich przygoda bardzo zabawiła Króla.

Po drodze z Białegostoku do Grodna, w puszczy białowieżskiej, należącej do królewskiej ekonomji grodzieńskiej, byłem świadkiem, z całém otoczeniem królewskiém, drugiego nadzwyczajnego polowania, jakiego już nigdzie więcej w całej Europie mieć nie można: polowania na *żubry*, które w Europie, w tej tylko znajdują się puszczy i jeszcze w Prusach brandeburgskich. Przeszło trzy tysiące wieśniaków robiło obławę w tym lesie rozległym na mil kilka, i wpędziło całe stado tych zwierząt ze czterdzieści sztuk liczące, do wielkiej płóciennej zagrody, ze czterysta stóp w przecięciu mającej, w pośrodku której, wysoki, kryty namiot służył Królowi za schronienie, dla wygodnego strzelania do nich. Król, Królowa i ich synowie, książęta Ksawery i Karol, używali do strzelania broni gwintowanej tak wielkiego kalibru, że widziałem u jednego z największych żubrów obydwie łopatki przeszyte od jednego strzału. Po skończonych łowach, udano się nareszcie do Grodna.

Sejm ten 1752 roku, którego pomyślnego skutku nikt ze znaczniejszych osób nie spodziewał się i nie życzył nawet sobie, zajmował jednak wszystkie stronnictwa, z jednego powodu. Po śmierci wielkiego kanclerza litewskiego Sapiehy, trzeba było nie tylko poruczyć jego pieczęć podkanclerzemu, księciu Michałowi Czartoryskiemu, ale jeszcze oddać po tym ostatnim, podkanclerstwo komu innemu; najznakomitsi zaś współzawodnicy byli znowu dwaj Sapiehowie : jeden wojewoda podlaski, zięć księcia Czartoryskiego, drugi wojewoda mścisławski (dziad małego Sapiehy, dziś jenerała artylerji litewskiej) podtrzymywany przez wielkiego hetmana Branickiego, Radziwiłłów, Potockich, i wszystko co nam było przeciwne. Mniszech, zięć Brühla, już czynnie przeciw nam występujący, i ambasador francuzki, popierali starostę mścisławskiego; wuj mój jednak otrzymał przewagę, powiedziawszy Brühlowi : « Prawo chce, żeby pieczęcie nie były rozdawane, aż po wybraniu marszałka sejmowego i na zalecenie posłów; jeżeli nie będę miał z góry podpisanego przywileju dla mojego zięcia, przyrzekam, że obiór marszałka nie przyjdzie do skutku; ponieważ zaś sejm uważa się za niebyły, jeśli na nim nie obrano marszałka, więc tegoroczna podróż królewska

do Grodna będzie zupełnie daremną i nie uwolni go od podjęcia tej samej pańszczyzny za lat dwa, dla dogodzenia prawu, które chce, aby po dwóch sejmach w Warszawie, trzeci odbywał się w Grodnie.» Była to najstraszniejsza groźba dla tego dworu saskiego, który z trudnością zjeżdżał do Warszawy, ale dla którego podróż na Litwę była podwójnym przedmiotem wydatków, kłopotów i nudy; i oto co dało pieczęć zięciowi księcia Czartoryskiego. Postępek ten jego, nie był zapewne aktem patriotyzmu, zdawał się jednak być wymówionym w oczach tych wszystkich, którzy wiedzieli z góry, że sejm do skutku nie przyjdzie, a uważali wybór wojewody podlaskiego za daleko korzystniejszy dla sprawy ogólnej nad wybór jego krewnego, niższego pod względem osobistych przymiotów od swego współzawodnika, a którego stronnictwu nie wiem dla czego nie przyszło na myśl użyć tegoż samego sposobu dla poparcia swego kandydata.

Póki ta sprawa w cichości gabinetu rozstrzygniętą nie była, zostawiano jak zawsze posłom nie wtajemniczonym w te wszystkie sekreta, wolność perorowania na ślepo, bez żadnego kierunku i wytkniętego celu, dla zajęcia posiedzeń i zabicia czasu. Zdarzyło się, iż niejaki Chojecki, poseł województwa kijowskiego, z fakcji Potockich, dzisiejszy chorąży żytomirski, był w jakiejś rzeczy zdania, które mi się nie zdało być dobrém; odważyłem się wtenczas poraz piérwszy wystąpić z mową publicznie, bez uprzedniego przygotowania, zbijając jego przekonanie; zdawało się, że miałem prawo za sobą i względy Izby poselskiej dnia tego; nie miało to istotnie żadnego skutku, ale ośmieliło mnie samego, dało cokolwiek poznać, i było jedynym owocem nieskończonych ukłonów moich w Łomży.

Nazajutrz rozdano pieczęcie, a następnego dnia, poseł rawski, nazwiskiem Morski, przekupiony przez sam dwór, zerwał sejm uroczyście, aktem złożonym na piśmie; Massalski zaś, podskarbi nadworny litewski, syn hetmana polnego, obrany marszałkiem tego sejmu dla tego jedynie żeby pieczęcie mogły być rozdane, powiedział według zwyczaju piękną mowę, jak gdyby był bardzo zdziwiony zerwaniem sejmu; Król odjechał uszczęśliwiony, że tylko dwa tygodnie bawił w Grodnie, zamiast sześciu, jak w 1744 roku.

Jeżeli pod względem politycznym sejm ten był bardzo smutnym faktem dla każdego dobrego Polaka, widzącego do jakiej ostatecznej nicości stronnictwa wszystkie zdawały sie zgodnie przyprowadzać państwo, to pobyt sam w Grodnie, na krótki czas swego trwania, był rzeczą równie wesołą jak szczególniejszą.

Trzeba wyobrazić sobie mniemaną stolicę, w której oprócz pałacu królewskiego, dwa tylko były murowane domy prywatne; wszystkie inne, drewniane, jakkolwiek źle urządzone, popisywały się pewnego rodzaju zbytkiem, tém dziwaczniejszym, że się łączył z wielkiem nieo-

krzesaniem i ubóstwem. Tak np. żadna pani litewska nie wyobrażała sobie, aby mogła przyzwoicie figurować w Grodnie, nie mając wielkiego, bogato galonowanego łoża, kiedy ściany mieszkań po większej części były nagie. Widziałem z nich jednę, która, chcąc inne w tém przesadzić, miała w dwóch oddzielnych pokojach dwa ogromne łóżka; jedno galonowane, drugie z bogatej haftowanej materji, jak baldachin; była też przedmiotem ogólnej zazdrości wszystkich, a zwłaszcza swojej bratowej, której jedyne ogromne łóżko, suto galonowane, nie znalazło w całém mieszkaniu dość wielkiej izby, w którejby się pomieścić mogło , tak, że przód tego łóżka, przeze drzwi wchodził do drugiego pokoju i służył tam za kanapę. Ale w tych drewnianych pałacach, a raczej w tych chatach, mieściły się prześliczne kobiéty, bardzo gościnni mężowie, i tańcowano w nich codzień; Warszawiacy zaś szczególniej tam wyróżniani byli, wśród pokornych oświadczeń tych ludzi, mających siebie za parafjanów. Mieszkałem razem z Williamsem w domu hr. Fleminga i przepędzaliśmy prawie codzień wieczory tak, jakeśmy je rok temu spędzali z nim i z Salmourem w Hubertsburgu. Raz poszliśmy we trzech na zgromadzenie do księcia Michała Radziwiłła, wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego litewskiego, który na prędce dokończył był swego obszernego pałacu, będącego z pałacem Sapiehów jedynemi murowanemi budowlami w Grodnie. Słusznie powiedziano, że dom tego Radziwiłła wyglądał pod wszystkiemi względami na szpital w tryumfie; bezład i skąpstwo oburzające napotykało się tam co chwila obok rzeczy najkosztowniejszych i hojności bez granic; bez gustu i wiadomości, pragnął on namiętnie uchodzić za człowieka obdarzonego i jedném i drugiém; ze śmieszną próżnością rozpowiadał przy każdej zręczności, najdziwaczniejsze androny i najpocieszniejsze kłamstwa o wielkości swych przodków i swojej własnéj; ale przynajmniej nie był okrutnym i krwawym jak jego brat, ani pijakiem, srogim i głupim, jak syn; i owszem, lubił pogadankę i wesołość, rad byłby widział całą rzeczpospolitę obiadującą i wieczerzającą codzień u niego, byleby go poważano; lubił nawet, aby każdy grał rolę pana u niego, czego też sobie nie odmawiano; stąd rozkazywał tam kto chciał, ale i słuchał kto chciał. Dla ozdoby wielkiej sali pałacu, umyślił rozwiesić na jej ścianach portrety królów polskich (już nie wiem po kim odziedziczone); wszędzie, gdzie miejsce okazało się być za ciasne, kazał im poobcinać ramiona i ręce, i przemalować zwężonych tak na nowo, aby bądź co bądź, mogli się pomieścić na przeznaczonych dla siebie ścianach. Można łatwo wyobrażić sobie wzbudzającą litość postawę tych obciosanych królów, których nam jednak dobry książe pokazywał jako arcydzieła.

Naśmiawszy się dobrze jego kosztem, wyszliśmy udając się na jakiś bal, aleśmy się zatrzymali na schodach chcąc się przypatrzyć niesionej na górę wieczerzy: było istotnie co widzieć (a ręczam czytelnika że

nie jest to wcale zmyślona historyjka); przeszedł koło nas sążnisty hajduk, niosący ogromny półmisek szpinaku, w pośród którego pływały jakby trzy wyspy, trzy duże kawały szpikowanej cielęciny; hajduk, jak cała służba Jego Książęcej Mości od dawna pensji nie pobierał, a żył własnym sprytem: cielęcina uśmiechała mu się, walczył czas jakiś z pokusą ale prędko znalazł się jak wszyscy począwszy od Adama grzesznicy, w stanie zgryzoty po popełnionej winie; ażeby ją zakryć, rozprowadził łapą jak kielnią szpinak na półmisku, zapełniając nim miejsce połkniętej cielęciny. Widząc to, powinszowaliśmy sobie żeśmy postanowili jeść wieczerzę gdzie indziej. Tysiące szczegółów równie prawdziwych, mogłyby złożyć nie romans ale komiczną historję tego radziwiłłowskiego domu. Wszystko cośmy widzieli w Grodnie, zdawało nam się tak pocieszném i niezwyczajném, żeśmy tam jeszcze tydzień zabawili po odjeździe króla, poczém wróciłem do Warszawy.

Jakkolwiek poważnym jest cel tego pisma, pozwalam sobie jednak rozweselać je niekiedy, nie tylko dla ulżenia sobie pracy, ale jeszcze bardziej dla tego, że odmalowane szczegóły mogą nieraz służyć do dokładnego obrazu obyczajów, ducha czasu i ludzi o których mówię.

Wróciwszy do Warszawy, widziałem zbliżające się postanowienie wydania za mąż córki Wojewody ruskiego, za księcia Lubomirskiego, wówczas strażnika, a dzisiaj, wielkiego marszałka koronnego.

Ojciec zostawił mu niewielki majątek; dwa lata spędzone w akademji w Turynie, trochę podróży, nie wielki udział w kampanji czeskiej, a poźniej służba szambelana przy Królu i doskonałe towarzystwo domu Lubomirskich w Dreznie, dokończyły jego wychowania. Wróciwszy do Polski przywiązał się do Wojewodziny ruskiej, swojej siostry ciotecznej,(1) która ze wszystkich krewnych zdawała się go lubić najwięcej. Namówiła męża, że tego ulubionego krewnego wziął do swego domu, wypłacał mu nawet pensję i przyczyniał się do jego ukształcenia. Wkrótce publiczność przeznaczyła go na zięcia Wojewody ruskiego; że tak być miało w istocie, o tém ostatnia dowiedziała się Wojewodzina i długo oświadczała najwyraźniej całe stąd nieukontentowanie swoje; powodem zaś jego była przedewszystkiem córka, bo tém więcej miała powodów do smutku, że wychodziła za mąż, czując wstręt do Lubomirskiego, jedynie z posłuszeństwa rozkazom ojca. Książe wojewoda nigdy dotykalniej nie dowiódł, że w rzeczach odpowiadających jego widokom nic go wstrzymać nie mogło, jak zmuszając do uległości rozkazom swoim, tę córkę ukochaną, jedyny na pozór przedmiot jego powolności i upodobania. Zauważano, że skoro córka skończyła lat piętnaście, Wojewoda ruski zaczął z nią rozmawiać po dwie i trzy godziny na dzień i nie tylko okazywał jej najczulsze względy, ale jeszcze ob-

(1). Matka Wojewodziny ruskiej była z domu Lubomirska, rodzona siostra Wojewody czernichowskiego, ojca Marszałka W. K. *Przyp. Króla.*

chodził się z nią jak z osobą którą o tyle poważał o ile kochał, do tego stopnia, że ta córka przestała (że tak powiem) być młodą jak była, i zbyt wcześnie usunęła się od właściwych jej wiekowi zabaw i towarzystw. Przedwczesna ta dojrzałość, wynosząc ją ponad całą prawie młodzież ówczesną, stała się następnie dla niej źródłem wielu smutków. Od kolebki, wychowaną pyła przy księżnie Kasztelanowej, w której domu schodziły się codziennie wszystkie jej wnuki; z pomiędzy nich, księżniczka Jzabella Czartoryska, o której tu mowa i ja, czuliśmy wzajemnie największy ku sobie pociąg; powoli zamienił się on w ścisłą i tkliwą przyjaźń, a przez długie bardzo lata był najsłodszém nawyknieniem mojego serca. Kiedy ojciec zaczął ją traktować jak dorosłą pannę, ja prócz niego, byłem prawie jeden, względem którego zachowała ton dawnej ufności i przywiązania. Ojciec jej, badając przyczyny wstrętu do męża którego jej przeznaczał, mówił jej o mnie, jak o człowieku z którym nie mogłaby być szczęśliwą i nadał tenże sposób widzenia księżnie kasztelanowej, która powiedziała o tém mojej matce. W skutek tego, rodzice postanowili wysłać mnie za granicę; mieli też za zasadę, że młody człowiek więcej odnosi korzyści podróżując kilku nawrotami, i wracając od czasu do czasu dla odetchnienia rodzinnem powietrzem, niż kiedy mu każą odbyć krąg wielki za jednym razem. Zostawały mi do widzenia nieznane jeszcze: Francja i Anglja, nie licząc Włoch, a mogłem tylko zyskać na oglądaniu powtórném, po niejakim czasie, miejsc już pierwej widzianych; wyjeżdżałem z żalem, ale musiałem być posłuszny. Posłano mnie naprzód dla objęcia starostwa jurysdykcji przemyślskiej, które ojciec kupił dla mnie u księcia Hjeronima Radziwiłła, wielkiego chorążego litewskiego, brata tego, którego pałac widziałem w Grodnie. Stamtąd, w końcu Marca 1753 roku przebyłem tę część Karpat którą Beskidami zowią, i przez Eperies, Kaschau i Zips, puściłem się drogą, zwaną poźniej drogą kurjerów, w czasie kampanji 1756 roku, kiedy tamtędy tylko utrzymywała się komunikacja miedzy wiedeńskim i petersburgskim dworem.......

W tej podróży Stanisław August zwiedził naprzód Wiedeń, gdzie spotkawszy Williamsa i ówczesnego posła rossyjskiego Kajserlinga, w ich towarzystwie parę miesięcy spędził. Z Wiednia, przez Drezno i Hanower udał się do Hagi; tam, przedstawiony księciu Brunświckiemu, za pomocą Williamsa i posła angielskiego Karola de Yorke, zabrał znajomość z najwyżej położonemi osobami w Holandji, i po dwóch zaledwo miesiącach pojechał do Paryża, gdzie ojciec jego miał licznych przyjaciół i znajomych, a matka bliską krewnę w pani de Bezenval, posiadającej stosunki u dworu. Hrabina Brühl poleciła go księżnie de Brancas, ojciec pani Geoffrin; przyjęty przez nie jak krewny, przedstawiony był Ludwikowi XV i królowej Marji Leszczyńskiej od której,

jako Polak, najbardziej uprzejmego doznał przyjęcia; poznał całe ówczesne wyższe towarzystwo francuzkie: księcia Orleańskiego, księcia de Conti który marzył ciągle o polskiej koronie, księcia Richelieu, księżnę de Charolais, Choiseula, widywał Dalamberta, Fontenella, Montesquieu, Barthelemego, prezydenta Hénault i wiele innych znakomitych osób; angielskiego też posła, hrabiego Abermale. W Lutym 1754 roku udał się do Anglji; przyjęty od razu przez dawnego przyjaciela rodziny, Schauba, naturalizowanego tam Szwajcara, a niegdyś posła w Polsce przy dworze Augusta II, zaproszony przez wielkiego kanclerza, lorda Hardwick, wprowadzonym został do kilku pierwszych domów angielskich; poznał lorda Lytleton, Temple, Chesterfielda, lorda Grandville (dawniej Carteret), zwiedził Bath, Wilton, Oxford, i t. d. Wezwany przez rodziców do kraju, tak powrót swój sam opowiada:

W Czerwcu 1754 roku odebrałem rozkaz powrotu do Polski. Przybyłem bardzo szczęśliwie z Harwich do Helvoet Sluys w czternaście godzin, ale nigdy jeszcze nie doznawałem takiego niepokoju, takiego ściśnienia serca, jak zbliżając się do Hagi. Nie tracąc ani na wino, ani na karty, ani też na kobiéty, nie popełniwszy żadnego z tak zwanych *szaleństw młodości*, do tego stopnia byłem wyszastał wszystkie pieniądze dane mi na podróż przez rodzinę, że razem z młodym oficerem gwardji Cieńskim, który mi towarzyszył i całą moją służbą, nie miałem ani złamanego szeląga, po opłaceniu koni na ostatniej poczcie (1). Drżałem, aby jaki przypadek nie zmusił mnie do przyznania się żem był bez grosza, co wszędzie jest nieprzyjemne, ale w Holandji staje się okropniejszém niż gdzie indziej, z powodu wrodzonej chciwości, przebiegłości w szalbierstwie i zuchwalstwa, niższych warstw tego narodu, co na mnóstwo krzywd i obelg wystawia tam najbogatszych nieraz cudzoziemców.

Zaledwom wysiadł, kazałem prosić Kauderbacha aby przyszedł do mnie. Byłem mu oddał usługę podczas uprzedniego spotkania, teraz jego prosiłem o pomoc; w godzinę przyniósł mi 300 czerwonych złotych, które na jego zaręczenie pożyczył mi żyd, Tobjasz Boas. Ten, z powodu oddanej mi wtenczas usługi, napisał do mnie po mojém wyniesieniu na tron, list z powinszowaniem, na który odpowiedziałem z serdeczną życzliwością.

Wyjechałem nazajutrz, i z największym pośpiechem, przez Hanower i Drezno wróciłem do Warszawy, przekonany najmocniej, że zostanę posłem.

Za powrotem moim, matka zaledwo dała mi czas przywitać się z ojcem i zaraz wziąwszy na stronę, zapytała ile miałem długów? kiedym

(1). Ojciec dał mnie był 3500 dukatów na tę podróż, babka 1000, Wojewoda ruski przysłał mi do Paryża 500, i za to podróżowałem przez piętnaście miesięcy po Austryi, Saksonji, Holandji, Francji i Anglji, a w Paryżu sprawiłem sobie garderobę. *Przyp. Króla.*

odpowiedział że tylko 300 dukatów winien byłem w Hadze, myśliła zrazu, że jej wszystkiego nie mówię; przyzwyczajona jednak do mojej prawdomówności, uwierzyła prędko zapewnieniom i powiedziała mi: *będą zapłacone;* zaraz potém zaprowadziła mnie do okna, i pokazała świetny (na owe czasy) ekwipaż, dla mnie przeznaczony; wszystko dnia tego zapowiadało mi szereg innych dni przyjemnych. Ale był to tylko sen pochlebny, który trwał nie długo i ustąpił miejsca trzem najsmutniejszym w mém życiu miesiącom.

O ile piérwsze przyjęcie rodziców było tkliwe i ujmujące, o tyle poźniej dawali mi uczuć humoru i ciągłego niezadowolenia z powodu tysiąca drobnych rzeczy, których sama drobiazgowość tém boleśniejszem dla mnie czyniła to nieukontentowanie rodziców, że czułem jego niesłuszność a kochałem ich serdecznie.

Zdawało mi się poźniej, że to niezadowolenie było bardziej udane niż prawdziwe, zwłaszcza ze strony mojej matki, która spodziewała się tym sposobem obudzić we mnie większą troskliwość o moje osobiste sprawy domowe, na które według niej zbyt mało dawałem baczenia. To mnie pogrążyło w wielkim smutku, który wzmagała jeszcze myśl, że mi nie dosyć czasu zostawiono dla zwiedzenia Francji i Anglji, gdzie istotnie zaledwo czwartą część tego widziałem com chciał poznać i zgłębić. Żale te podwoiły się jeszcze, kiedy mi rodzice oświadczyli, że nie życzą sobie abym był posłem na tym sejmie. Przyczyną tego było, że szwagier mój Branicki prowadził otwarty i zawzięty spór z wujami Czartoryskimi z powodu sławnej sprawy o Ostróg, a rodzice moi nie chcieli abym na sejmie miał sprzeciwiać się i narazić albo szwagrowi, albo wujom.

Ta nieczynność z musu trapiła mnie bardzo; zdawała mi się upokarzającą; zazdrościłem tym, którzy mieli zręczność odznaczyć się na owym sejmie. Czterech posłów szczególniej zwróciło na siebie uwagę. Z tych, Skrzetuski i Dąbrowski już nie żyją; Sosnowski dziś hetman polny litewski i Czaplic teraz wielki łowczy koronny, wtenczas już zaczęli zyskiwać opinję wymownych i śmiałych patriotów. Należeli do partji moich wujów, przeciwnej wielkiemu hetmanowi i dworowi. Łatwo wyobrazić sobie jak ponętném być musiała dla młodego człowieka, wracającego z Anglji, możność wystąpienia w roli, która zdawała się być śmiałą ale też i sprawiedliwą.

Oto co mnie dawało to przekonanie.

Sejm 1677 r. zostawił tę sprawę w zawieszeniu; żaden poźniejszy jéj nie rozstrzygnął i zdawało się oczywistém, iż jeden sejm tylko mógł prawnie ją zakończyć. Przypuszczenie Maltańczyków do posiadania dóbr ostrogskich, uważano w ogólności za szkodliwe dla państwa i niezgodne z literą prawa 1609 r. które zdawało się powoływać do władania temi dobrami tylko bliższych lub dalszych potomków krwi. Widzia-

łem wszakże, że hetman w. k. z pomocą jednej siły wojskowej rozwiązywał kwestję w każdym razie wątpliwą, i to jeszcze w sposób, który, bez wyroku sądowego, wyzuwał ze znacznej własności obywatela, szlachetnie urodzonego i posessjonata, księcia Janusza Sanguszkę, marszałka nadwornego litewskiego, do tego stopnia, że z możnego pana jakim był piérwej, doprowadzonym został do zupełnej nędzy, z której nicby go nie wybawiło, gdyby ci na rzecz których rozporządził był swém mieniem, nie złożyli się dla zabeśpieczenia koniecznych jego potrzeb. Nieboszczyk król dał się wciągnąć do popierania kroków hetmana, aktami władzy monarszej, które pospolicie uważano wtenczas za nieprawne, a które mnie tém bardziej oburzały, iż przypuszczano że nigdyby nie miały miejsca, bez nowych wpływów Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego, zięcia Brühla, który i w tej sprawie szukał zręczności postawienia się na przekor moim wujom i upokorzenia ich. Francja miała też swoje przyczyny i widoki (które pozostały nieznane prawie wszystkim) w popieraniu hetmana w. koronnego.

Widoki te Francji (o których się dowiedziałem dalèko poźniej) zależały na zjednaniu za pomocą agitacji wywołanej sprawą ostrogską, tak wielkiej przewagi stronnictwu hetmana w. koronnego i dworu, nad partją Czartoryskich popieraną przez Rossję, aby doprowadzić w końcu do konfederacji; tę znowu Francja wesprzeć miała pieniędzmi, bronią (której kilka tysięcy sztuk istotnie do Gdańska przybyło) i wojskiem króla pruskiego, dla wspólnego wystąpienia wszystkich przeciw Rossji, która jak to ze smutkiem postrzegano we Francji, dwa razy już przez obecność wojsk swoich w Niemczech, wpłynęła na wypadek wojen Burbonów z domem austryjackim. Francja miała nawet zamiar wciągnąć powoli do tego projektu Szwecję i Turcję, co możeby się skończyło na ustanowieniu w Polsce tronu dziedzicznego z dynastją saską.

Nie znane mi były wtenczas istotne zamiary Francji; że jednak ówczesny jej sprzymierzeniec, król pruski, działał z nią wspólnie w tej sprawie (będącej w gruncie niesłuszną) więc pomoc ta Prus zdawała mi się być nowym jeszcze żarzutem przeciw partji hetmana wielkiego koronnego.

Ponieważ z drugiej strony, w umyśle i sercu ogromną robiłem różnicę między hetmanem i moimi wujami, na korzyść rozumie się tych ostatnich, wszystko to więc razem tém bardziej napawało mnie smutkiem, iż w tej chwili bezczynnym być musiałem. Nadjechał Williams, ten zupełnie podzielał moje zdanie i dla tego że był przeciwny Francji i Królowi pruskiemu, i że nieskończenie poważał Wojewodę ruskiego.

Nic mnie pocieszyć nie mogło w bezczynności mojej; zrażony byłem do wszelkiego rodzaju rozrywek, a nie przypuszczałem, aby jaka-

kolwiek kobiéta mogła się mną zająć, tak sam siebie miałem za nudnego i nieprzyjemnego.

W takiém byłem usposobieniu, kiedy dobry mój przyjaciel hr. Rzewuski, najwykwintniejszy wtenczas młodzieniec w Polsce, i najszczęśliwszy u pań, przyszedł mi powiedziéć : «Winszuję ci powodzenia ; jedna bardzo wysoko położona i dotąd jeszcze nietknięta pani, chce ciebie. » Zrazu, nie tylko wierzyć, ale słuchać nawet nie chciałem; kiedy nalegać nie przestał, zapytałem w końcu o nazwisko. Chciał żebym je odgadł; wymieniłem wszystkie kobiéty warszawskie przed tą ostatnią, bo z powodu jej wesołości, młodości, wziętości ogólnéj, zdawało mi się zupełném niepodobieństwem aby sympatyzować mogła z człowiekiem takim ponurym, tak małomownym jakim byłem wtenczas, a który właśnie do niej nigdy słowa nie przemówił. Zaledwo mogłem przypuszczać, że mnie znała, wśród tłumu który ją otaczał. Otóż, (powiedział mi Rzewuski będący z nią w bardzo dobrych stosunkach) « kiedy jej wyraziłem ździwienie moje iż dotąd nie zrobiła wyboru, i kiedy mnie zgadywać kazała dla kogo najwięcej mogłaby mieć skłonności, przyznam ci się, że znalazłem się względem ciebie zupełnie tak, jak ty względem niej teraz, wymieniłem cię ostatniego, a przecież, ciebie to ona wybrała; jeżeli mnie nie wierzysz, rozmów się z nią, a sam się przekonasz. »

Tenże sam wieczor przekonał mnie że powiedział prawdę. Zadziwienie, wdzięczność, smutek w jakim obumierałem, a nadewszystko pochlebiona miłość własna, bardziej niż skłonność prawdziwa, podziałały na mnie. Poczułem się obowiązany prowadzić dalej tę awanturę, według wszelkich reguł. Pani była łaskawą przez parę tygodni, ale skoro postrzegła żem się zajął na serjo, nie tylko że osadziła mnie nagle, ale jeszcze użyła najdziwaczniejszych kaprysów jakiemi się kiedy piękność posługiwać mogła, na udręczenie moje. Byłem nowicjusz, wszystko brałem dosłownie i wyrezonowałem sobie, że stałością, prawością, dokładnemi sprawozdaniami ze wszystkich moich czynności, z ich przyczyn i skutków, otworzę nareszcie sobie serce pani, tak jak się rozwiązuje teorytyczne zadanie, a nie postrzegałem wcale, że dla tej zalotnicy bardzo wesołej, służyłem za przedmiot do zabawy, całkiem nowy i różny od wszystkich innych wielbicieli, jakich miała; pocieszném się je zdawało roztapiać tego dwódziestoletniego mizantropa. Bawiła się tak przez dwa miesiące, poczém odjechała do męża, bardzo jak powiadała zazdrośnego ; zaszczycany jej korrespondencją przed i po odjeździe, widziałem zawsze, że w listach kochała mnie bardzo, ale w oczy ani trochę; wszystko to tworzyło kontrast który mnie dręczył, i nieraz dawał uczuć, żem opuścił prawdziwie dla mnie przeznaczoną cząstkę.

Widywałem codzień kuzynkę która znajdowała nawet przyjemność w ułatwianiu stosunków moich z tą panią, dla której okazywała wtenczas wiele uczucia. Zdawała się zgadzać ze mną we wszystkiém. Jedno-

stajnie zapatrywaliśmy się na osoby, sposób postępowania, książki, sztukę, rozrywki; rozprawialiśmy z sobą o wszystkiém i spotykaliśmy się zawsze w upodobaniach i sądach. Był to najmilszy dla mnie stosunek, a dawał mi uczuć mimowoli, że tamtą byłem zajęty tylko przez upor, ta zaś prawdziwie posiadała moje serce, szacunek i ufność. Znajdowałem, że miała więcej rozumu i uczucia niż wszystkie inne kobiéty; zdawała się wtenczas być wyższą nad wszelkie słabości płci swojej, tak, że podziwiałem w niej osobę zupełnie wyższego rzędu, i czułem się szczęśliwy ilekroć raczyła do mnie przemówić. Przywiązywało mnie to coraz bardziej do Wojewody ruskiego, który ze swej strony użył całej przewagi jaką mu nadawała przenikliwość i wdzięk jego umysłu, nad pełnym szczeroty i tkliwości młodzieńcem, którego ująć i któremu pochlebić lepiej od kogo innego umiał.

Widziałem, że mój ojciec coraz się bardziej z wiekiem od spraw publicznych usuwał, kiedy tymczasem wszystko co czynnością polityczną nazwać się mogło w Polsce, najlepiej przez moich wujów prowadzoném było. Zdawało mi się, że matka zanadto pamiętała winy brata swego względem niej i nazbyt troszczyła się o otwarcie drogi przedemną, nakazując mi najskrzętniej unikać wszystkiego, coby mnie ludziom potężnym narazić mogło.

Po sześciu miesiącach jednak, miałem powód wybić to sobie z głowy. Książe Radziwiłł, wojewoda wileński i hetman w. l. ten sam o którym wspominałem już wyżej, na sejmikach w Gromnice 1755, kazał wybrać deputatem syna swojego, dzisiejszego wojewodę wileńskiego, w zamiarze zrobienia go marszałkiem tegorocznego Trybunału. Sama myśl ujrzenia na czele sądownictwa całej Litwy tak młodego, źle wychowanego i nieświadomego człowieka, zaniepokoiła wszystkich znaczniejszych obywateli tej prowincji. Wuj mój Kanclerz, upatrywał w tém jeszcze zamiar zapewnienia przewagi dla partji dworu, do któréj Radziwiłł należał; podwoił więc starań ze swojej strony, i namówił obu swych zięciów, Fleminga i Sapiehę, aby zjechali do Wilna, w celu niedopuszczenia, gdyby było podobna, a przynajmniej dodania temu szczególniejszemu marszałkowi, jak można największej liczby zdolnych i prawych deputatów.

Rzecz ta wydała się moim rodzicom tak dla mnie ciekawą i pouczającą, że wyprawili mnie tam, w towarzystwie w. podskarbiego hrabiego Fleminga, który mnie wtenczas bardzo lubił.

Szczególniejszy ten człowiek zasługuje na to, aby był znany czytelnikowi. Urodzony i wychowany w Pomeranji, w młodości służył we Francji, skąd tytuł synowca feldmarszałka Fleminga, piérwszego ministra Augusta II, sprowadził go do Saksonji a potém do Polski; podczas śmierci Augusta II, był w bliskich stosunkach z księżną Wiśniowiecką, które mu jednocześnie dawały wpływ wielki na jej męża, będącego

wtenczas główną osobą na Litwie. Fleming potrafił go nakłonić, że (jeden prawie między magnatami polskimi) w czasie elekcji Stanisława Leszczyńskiego 1734 r. oświadczył się za Augustem III, co dało wkrótce Flemingowi starostwo szereszowskie i stopień jenerała artylerji litewskiej.

Do tak rozpoczętego powodzenia, przybyła niebawem opinja biegłego gospodarza i finansisty, dla której został wkrótce dzierżawcą ekonomij królewskich na Litwie; to wzbogaciło go bardzo, i pozwoliło mu poźniej kupić godność w. podskarbiego, do czego pomogło mu także, że był zięciem Księcia kanclerza, którego dwie starsze córki kolejno poślubił.

O ile czasem bywał przyjemny, dzięki wesołym i najoryginalniejszym konceptom i słówkom, o tyle męczył swych przyjaciół przez napady złego humoru jakim często ulęgał. Całe jego obejście i sposób znalezienia się nie zdawały się odpowiadać bynajmniej obyczajom i ujęciu Polaków i Sarmatów, z którymi obcował często, a których językiem bardzo źle mówił, chociaż, jako urodzony w Pomeranji, posiadał zarówno jak stryj jego, indygenat polski. Porywczy w obejściu, odmawiał często proszącym, a jednak, pomimo to, potrafił zjednać sobie wielkie poważanie na Litwie i miał tam licznych stronników. Z jednej strony, rachowano bardzo na rzetelność jego słowa, a z drugiej, będąc ogólnym dzierżawcą ekonomij królewskich i w. podskarbim litewskim, miał często zręczność zobowiązania przyjaznych sobie i dokuczenia nieprzychylnym, z czego korzystać umiał.

Z nim to udałem się do Wilna. Miasto samo, stolica Litwy, pomimo upadku handlu, braku policji i częstych pożarów, zachowywało jeszcze szczątki dawnej świetności, dowodzące, że W. Książęta i Królowie Jagiellońskiego domu mogli w niém okazale występować. Kaplica św. Kaźmierza jest istotnie pięknym pomnikiem architektury. Znalazłem most na Wilji, a nie było go jeszcze wtenczas na Wiśle. Ale co mnie uderzyło, to różnica reassumpcji (że użyję zwykłego w kraju wyrażenia) Trybunału litewskiego od koronnego.

W Koronie, naczelnicy partij, zwłaszcza w podeszłym wieku, rzadko kiedy bywali sami obecni przy reassumpcjach w Piotrkowie, a jeżeli ich namiestnicy potrzebowali oprzeć się na wielkiej liczbie stronników, szukali ich zazwyczaj między mieszkańcami najbliższych tylko województw; województwo sieradzkie dostarczało ich z łatwością, a raczej, wynajmowało secinami, jako zamieszkałe przez drobną szlachtę.

Czasem, jak w 1749 roku rozrządzający siłą zbrojną, używali jej dopuszczając się nadużycia, ale w ogólności, reassumpcja w Piotrkowie przedstawiała wówczas daleko mniej wspaniałe widowisko niż w Wilnie, gdzie wojewoda łączył w sobie urząd starosty grodzkiego i obowiązek odbierania przysięgi deputatów, w jednej z sal zamku, którego

był domniemanym gubernatorem. Owóż, wojewoda wileński był wtenczas prawie zawsze i Hetmanem W. L. zarazem, bo prawo zabraniające połączenia w jedném ręku obu tych godności, nie istniało jeszcze; a w dodatku, był nim zawsze, albo Radziwiłł, albo Sapieha, albo ktokolwiek z najpierwszych rodzin w prowincji, a każdy z nich, na reassumpcję Trybunału prowadził za sobą ogromny orszak szlachty i wyższego stopnia wojskowych. Prawo 1717 r. zabraniało wprawdzie hetmanom znajdować się przy otwarciu Trybunałów, ale hetman będący zarazem wojewodą wileńskim, już przez to samo przepisowi temu nie ulegał.

Stąd, ktokolwiek chciał sprzeciwiać się widokom tych wojewodów wileńskich, takich potężnych przy reassumpcji trybunału, i dla innych piastowanych przez siebie godności, i dla miejsca samego, którém rozrządzali z urzędu, musiał koniecznie używać do pomocy jak można najwięcej szlachty, i nie tylko ubogiej, ale przeciwnie, ludzi znaczących, którzyby śmieli i mogli stawić czoło wojewodom wileńskim.

Marszałek każdego nowego Trybunału litewskiego, aż do dzisiejszego panowania, miał przywilej układania według swej woli listy wszystkich procesów, tak tych których uprzedni Trybunał ostatecznie nie osądził, jako też i nowych, wnoszonych przez strony na początku kadencji Trybunału; co zmuszało nieskończoną liczbę Litwinów do znajdowania się osobiście przy każdej reassumpcji.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte, przyzwyczaiły powoli Litwinów ze wszystkich województw, do zbierania się co rok w Wilnie, tak, że przy otwarciu każdego Trybunału zgromadzało się tam zazwyczaj kilka tysięcy szlachty wszelkiego stanu, zjeżdżającej się, to dla interesów, to przez samą ciekawość i zabawę, jak na ogólną schadzkę, to nakoniec w skutek zobowiązań się i na koszcie wielkich panów, współubiegajacych się o piérwszeństwo między sobą.

Od dwóch wieków trwające współzawodnictwo Sapiehów, i Radziwiłłów, świéża zawiść tych ostatnich przeciw Czatoryskim, i ogromna przewaga bogactw i wpływu tych trzech domów u dworu, nad wszystkiemi innemi w Litwie, wyrodziły powoli między miejscową szlachtą rodzaj dziedzicznej niejako zależności od jednego z tych wielkich domów, do tego stopnia, że większa część wyobrażając sobie iż istnieć bez nich nie może, wierność dla swoich patronów poczytywała za cnotę: a było to istotnie cnotą w porównaniu do mniej lub więcej szacownych przymiotów samych patronów.

Ponieważ jednak ukształcenie Radziwiłłów zniżało się stopniowo od kilku już pokoleń, w skutek więc tego, w epoce o której mówię, między najgorliwszymi ich stronnikami znajdowali się ludzie najgłośniejsi na Litwie z pijatyki, najwięksi krzykacze i zawadjaki całego kraju. Stali się też wogólności tak niedogodni i nienawistni dla wszystkich, że bandę junaków którą otaczał się Radziwiłł, nazywano pospolicie haj-

damakami. Gwałty wszelkiego rodzaju jakich dopuszczali się bezkarnie pod zasłoną protekcji swoich patronów, zmusiły współobywateli do używania w obronie tych samych prawie środków jakiemi uderzano na nich, i zwolna cała Litwa przybrała postać wojowniczą.

Skórzane kaftany pikowane jedwabiem, które noszono pod sukniami, rękawice i czapki podbite tak samo, stały się codziennćm ubraniem. Szabla, której rękojeść opatrzoną była żelazną kratką, zwaną *kocią główką*, pistolety u pasa i w bótach, nawet muszkiet gwintowany przewieszony przez ramię lub na krzyż założony na plécach, z ostremi ładunkami, stanowiły zwykłe uzbrojenie tych licznych orszaków z któremi oddawano sobie wizyty w Wilnie, spędzając tam zwykle cały tydzień po wielkonocnych świętach. Cudzoziemiec, widząc te ciągłe, podczas całego tygodnia odbywane marsze w Wilnie na czele tysiąca jazdy uzbrojone od stóp do głów, nie domyśliłby się, że to były wizyty które wzajemnie sobie oddawano, pracując nad utworzeniem magistratury sądowej. Wystrzały w nocy z pistoletów były rzeczą najzwyczajniejszą. Były to zwykłe przechwałki brukowych zawadjaków, wtenczas nawet, kiedy nic złego nie miano na myśli.

Wpośród tych wszystkich okropnych pozorów, obiadowano, wieczerzano, tańcowano, odwiedzano się nawzajem, często nawet w domach przeciwnego stronnictwa, gdzie podczas balu rozprawiano czasem o interesach, chociaż rozchodząc się przychodziło nie raz i w szable zadzwonić.

W tego rodzaju rokowania i układy wprowadzony teraz zostałem. Chodziło, jeżeli nie o przeszkodzenie młodemu Radziwiłłowi aby nie został marszałkiem, to przynajmniej o zapewnienie naszej partji większości deputatów, a to za pomocą tego rodzaju *manewrów* o jakich mówiłem opawiadając zdarzenie w Piotrkowie 1749 r.

Jedno i drugie omyliło na ten raz, bo nie było zupełnej zgody między Flemingiem i podkanclerzym Sapiehą. Fleming powziął zazdrość do szwagra, bo zdało mu się iż dopatrzył piérwszeństwo dla niego w umyśle wspólnego ich teścia, księcia Czatoryskiego, kanclerza wielkiego litewskiego.

Hrabia Brühl dostrzegł prędko tego uczucia we Flemingu, a wiadomém mu też było, że Sapieha, obrażony pedagogicznym tonem kanclerza, usuwał się powoli od niego. Skorzystał z tych słabości, żeby między tymi trzema ludźmi zasiać ziarno niechęci i rozdrażnienia, które poźniej daleko silniej wybuchło, ale już teraz odejmowało stronnictwu moc, jakąby mieć mogło, będąc wewnątrz bardziej spojone.

Byłem więc naprzód świadkiem wielu bezskutecznych konferencji, a potém, w sam dzień reassumpcji przypadającej wtenczas na drugi Poniedziałek po Wielkiejnocy, całego rytuału tej ceremonji, podczas której, radziwiłłowskie metamory już brały się do szabel, myśląc omyłko-

wie że im znak dają do walki. Przypominam sobie mianowicie niejakigo Ciechanowieckiego, który już do połowy wydobył pałasza, kiedy Fleming klepiąc go poramieniu, powiedział mu złą swoją polszczyzną : *Zostaw tego nie potrzeba*, ale z taką powagą i spokojem, że mu zaimponował. Jedynym dla mnie skutkiem z tej podróży było zapoznanie się z bardzo wielu Litwinami, z ich obejściem się i manewrami politycznemi; poznałem też z powodzenia przeciwników, szkodliwe następstwa namiętności i niezgody naszych własnych przywódzców.

Młody Radziwiłł mając lat 18 i zaledwo umiejąc podpisać się, został marszałkiem trybunału, podczas którego, co do własnej osoby prowadził się raczej jako swawolny student, niż jako zły sędzia; ale samo stronnictwo, pod jego imieniem, dopuściło się w ciągu trwania trybunału ogromnych niesprawiedliwości i wielu kroków nieprawnych.

Opuściłem Wilno zasmucony, jak gdybym był odpowiedzialny za ostateczny wypadek. Wiek mój i usposobienie sprawiało, iż bardzo byłem czuły na każdy ubytek przyczyniony stronnictwu, w którego stratach upatrywałem wstyd dla siebie a klęskę dla kraju; boć prawdą przecież było, iż w latach kiedy trybunał złożył się według życzeń mego wuja, sprawiedliwość lepiej na Litwie domierzaną była, a metamorom radziwiłłowskim trudniej było stać się plagą publiczną. Ale nowe pole miało się otworzyć przedemną.

Wiosną 1775 r. król na odbycie *Senatus Consilium*, wyznaczył Fraustadt, miejsce położone na granicy Szlązka, i przez to samo najdogodniejsze dla niego, bo mógł się tam na czas najkrótszy oddalać z Saksonji, ilekroć gwałtowna jaka potrzeba wymagała obecności jego w Polsce. Na ten raz, miał udzielić posłuchania posłowi tureckiemu, który przyjeżdżał uwiadomić Polskę o wstąpieniu na tron nowego sułtana.

Każde ukazanie się króla na ziemi polskiej, zgromadzało mnóstwo Polaków około jego osoby, z powodu wielkiej liczby wakujących urzędów, które miał prawo rozdawać. Dla tej przyczyny i moi rodzice postanowili mnie tam wysłać z wujem moim kanclerzem, w celu starania się o wakujący wtenczas urząd stolnika litewskiego. Starszemu bratu mojemu wyłącznie poleconém było, dopraszać się dla mnie o tę promocję. Mógł być do tego właściwie użyty, bo dla nieporozumienia swego z wojewodą ruskim, od dawna nie miał udziału w krokach, które go w opozycji z dworem postawiły. Miałem wielu współubiegających się; brat mój potrafił uchylić ich wszystkich i przezwyciężyć przeszkody, które wcale nie były małe, gdyż Mniszech nie przestawał powtarzać Brühlowi, że powinien zniszczyć partję Czartoryskich, jeżeli chce zapewnić poważanie dla stronnictwa dworu, któremu z usposobienia mojego zdawałem mu się być bardzo przeciwnym. Ale hrabia Brühl, który zarówno jak pan jego, zapatrywał się na Polskę, jako na przedmiot dodatkowy, którego sam tytuł tylko był korzystny, ale gdzie nic

nie było do zyskania dla panującego, skłaniał się zawsze ku temu co mogło utrzymać jakąkolwiek równowagę między wielkiemi domami i zapobiedz rozdraźnieniu a więc i wstrząśnieniom gwałtownym; dla tego też zazwyczaj łaski królewskie na równo pomiędzy wszystkie partje rozdzielać się starał.

Na sejmach, jedno miał tylko na celu, żeby je co najprędzej zrywać, dla odprowadzenia jak najrychlej króla do Saksonji, gdzie mu jedynie było dobrze. To przyczyniło się do udzielenia mi tego urzędu, sam bowiem dla otrzymania go, najmniejszego nie uczyniłem kroku, nie umiejąc i nie chcąc nigdy grać roli dworaka.

Posunąłem to niedbalstwo do zbytku, tak że brat miał z tego powodu przemowę do mnie, którą zachowałem w pamięci, bo była bardzo rozsądną. Powiedział mi : « Jeżeli nie dbasz o żadne tytuły, nie powinieneś przyjmując je obrażać niepotrzebnie współzawodników swoich; jeżeli je przyjmujesz, słuszna jest, abyś za nie jakąkolwiek przynajmniej oświadczył wdzięczność. Żadne zasługi, żadna transcendentalna wartość nie daje ci jeszcze prawa do uważania wyświadczonej ci łaski za nagrodę, a ściśle sprawiedliwém nie jest, utrzymywać, że *Król to tylko daje co według prawa obowiązany jest oddać komukolwiek*; *że więc obdarzony wcale obowiązanym mu nie jest*, *tém bardziej* ,*że rozdawnictwo dzieje się zazwyczaj bez wyboru*. Zdaje ci się, że niesłusznie zaszczycono łaskami wielu ludzi; zapytaj współzawodników swoich, a nawet wielu obojętnych, czy uważają podniesienie twoje za zupełnie usprawiedliwione? zawsze to tyluż malkontentów, których król i jego faworyt stworzyli sobie przez względność dla ciebie; gdyby nic nad to nie było, jużbyś im to pamiętać powinien, a trzeba być bardzo pewnym czystości swoich pobudek i mieć wiele prawdopodobieństwa pomyślnych dla całego kraju skutków, żeby się ubiegać o rolę trybuna ludu. Czy myślisz zresztą, że ja nie czuję się także zmęczonym, tą natężoną uwagą i cierpliwością i wszystkiemi zachodami jakie podejmować trzeba, chcąc cokolwiek u dworu otrzymać? Boli mnie, że tak mało cenisz ponoszone w twoim interesie trudy; w wielu przecież zdarzeniach przyjemnie ci będzie posiadać stopień wyróżniający cię od innych. »

Brat miał słuszność, przyznałem mu ją i przebaczył mi, bo jest to człowiek równie dobry jak żywy i waleczny; co znaczy nie mało.

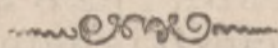
We Fraustadt znalazłem moją panię, ale bardziej kapryśną niż kiedy, tak, że po tygodniu cierpliwości dałem jej do zrozumienia, iż ją, wyjechawszy stamtąd, na zawsze opuszczę. To ją wzruszyło; naznaczyła mi schadzkę, którą zaraz mąż przerwał; zaledwo miałem czas schować się; bawił tak długo, iż prawie dniało kiedy wyszedł. Musiałem skrócić pożegnanie. Jakkolwiek niepowiodła się nasza schadzka, utrzymywała ona, iż w niej najżywsze zostawiła wrażenie; ja wszakże nosiłem już w duszy pragnienie zerwania mego łańcucha, który raczej

przypadek niż upodobanie ukuło, a który nosiłem prędzej przez rodzaj zobowiązania, niżeli przez prawdziwe uczucie.

Za zgodą rodziców, przyrzekłem był Williamsowi podczas ostatniego pobytu jego w Warszawie, iż będę mu towarzyszył, jeżeliby kiedy jechał do Rossji; napisał mi nie wiele przed moją do Fraustadt wycieczką, iż mianowany został ambasadorem przy tym dworze, i dopominał się dotrzymania danego mu słowa.

Rodzice chwycili się skwapliwie zręczności posłania mnie do kraju, którego znajomość od dawna zdawała się im dla mnie potrzebną; ale jakkolwiek spieszyłem chcąc dopędzić Williamsa, który w czasie bytności mojej we Fraustadt, udał się z Drezna do Petersburga, nie mogłem tego dokazać i przybyłem tam już po nim, w końcu Czerwca 1755 roku.

Ponieważ w Petersburgu rozpoczął się dla mnie zupełnie nowy okres życia, skończył się właściwie czas wychowania, a nastąpiło działanie o własnych już siłach, na tém więc zamknę piérwszą część tych pamiętników.

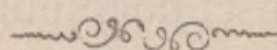


KILKA DOKUMENTÓW

DO HISTORJI

TADEUSZA KOSCIUSZKI.

(PRZEKŁAD Z RĘKOPISMÓW.)



I.

KSIĄŻE JENERAŁ ZIEM PODOLSKICH,

SYNA KSIĘCIA ADAMA CZARTORYSKIEGO.

Warszawa dnia 23 Października 1778 roku.

...... Czy nie zechcesz podjąć się prośby do Franklina, aby zażądał wiadomości o losie P. Kościuszki, jednego z tych młodych oficerów, których Król wychowywał w Paryżu; znajduje się on w służbie Stanów Zjednoczonych w Ameryce; przed dwóma latami miałem list od niego, ale od tego czasu nic o nim nie słyszę. Miałem przyjemność widzieć Franklina w Londynie w 1773 roku, należy do rzędu tych rzadkich ludzi, których samo widzenie jest przedmiotem miłości własnej. Bywaj zdrów kochany i wierz, że uczucie moje dla Ciebie nigdy się nie zmieni.

II.

KSIĘŻNA LUBOMIRSKA Z DOMU SOSNOWSKA,

DO KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA.

18 Października 1788 roku.

Najjaśniejszy Panie!

Trzeba być tak przekonaną jak jestem o dobroci serca Waszej Królewskiej Mości, aby ośmielić się zanieść do Niego prośbę ze szczerością

i zaufaniem zupełném, bez względu na uczucie delikatności, któreby mnie od tego wstrzymywało. Znane są Waszej Królewskiej Mości dawne stosunki między mną i P. Kościuszką, które go na czas długi oddaliły z kraju i były źródłem jego nieszczęść. W wynagrodzeniu czuję się obowiązaną zająć się jego losem.

Poważam się więc najusilniej prosić Waszą Królewską Mość o umieszczenie go w wojsku, do czego teraz właśnie nadarzy się nie jedna zręczność. W Ameryce służył on zaszczytnie w tym zawodzie, a jeżeli gorliwą była jego służba u cudzoziemców, to o ileż z większą jeszcze gorliwością będzie się starał być użytecznym własnej Ojczyznie.

Proszę Waszą Królewską Mość o pobłażanie, gdyby prośba moja wydała się zuchwałą, zaklinam Go, aby pozostała w tajemnicy, znając zaś dobroć Waszej Królewskiej Mości pochlebiam sobie że bezskuteczną nie będzie.

III.

DIARJUSZ KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA

PODCZAS POWSTANIA W WARSZAWIE 1794 ROKU.

16 *Kwietnia.* Przygotowywało się już w Marcu powstanie przeciw Rossjanom i projekt ten o którym coś zaszłyszeli sprowadził aresztowanie Węgierskiego i Sierpińskiego. Ci wymienili podobno Ignacego i Stanisława Potockich, Kołłątaja, Małachowskiego, Sapiehę, Kościuszkę i kilku innych, jako stojących na czele przedsięwzięcia, i w skutek tego uwiadomienia, P. Igelstrom 16 Kwietnia zażądał od Rady Nieustającej, aby ci wszyscy powołani byli przed sądy naznaczone na 1 Maja, i aby p. Białopiotrowicz zawieszony był w urzędzie komissarza wojskowego litewskiego, z powodu, iż się opierał zniesieniu krzyżów wojskowych na Litwie. Dwa te artykuły dodały zapewne nowego żywiołu do goryczy przepełniającej od dwóch lat umysły.

Tegoż samego dnia rozpuszczono pogłoskę, że Rossjanie rozbroili w Grodnie gwardję pieszą litewską i co pozostawało wiernémz pułku Raczyńskiego; sprawiło to wielkie wzburzenie w Koronie, a zwłaszcza we wszystkich oddziałach wojska polskiego znajdujących się w Warszawie. Powiedzili : «Jeżeli Rosssjanie rozbrajają tych nawet, którzy się nie oświadczyli za Kościuszką w Grodnie i Stężycy, to tak samo postąpią i z nami; Madaliński słusznie więc zrobił że uprzedził rozbrojenie.» Wejście Prusaków i popełnione przez nich nadużycia w okolicach Warszawy, powiększyły jeszcze urazę. W nocy, po ostatniem posiedzeniu Rady Nieustającej, z 16 na 17 Kwietnia, ludzie dotąd nieznani przyszli powiedzieć zaciągającym wartę w arsenale i przy magazynach prochu,

że Rossjanie mieli zająć oba te miejsca; wieść ta, fałszywa czy pradziwwa, obiegła zrazu wszystkie koszary gwardji i artylerji.

17 *Kwietnia.* O godzinie czwartej zrana, odział gwardji pieszej koronnej z kilku młodymi oficerami, bez wiedzy oficerów głównego sztabu, przyszedł z koszar do miasta, dla zdjęcia straży honorowej od ich pułków, znajdującej się w mieście; o godzinie piątej doniesiono o tém Królowi. Król posłał zrazu po swoją gwardję konną i ułanów, rozkazując aby stanęli w zamku, przy jego osobie; ale już ich na kwaterach nie znaleziono; poszli byli do prochowni i arsenału. Król zeszedł na dziedziniec zamkowy, aby się zapewnić tych przynajmniej którzy byli na warcie tej nocy; przyrzekli mu wierność, kazał im nie ruszać się bez jego rozkazu. Wyszedł z pięciu czy sześciu osobami o kilka kroków za zamek, żeby zobaczyć co się działo na placu, gdzie postrzegł już dużo uzbrojonego ludu. W dziesięć minut potém usłyszał hałas za sobą, a odwróciwszy głowę, ujrzał idącą tę samą gwardję zamkową która przed chwilą przyrzekła była pozostać na miejscu. Król pobiegł naprzeciw niej, ręką i głosem starając się zatrzymać; żołnierze wstrzymali się, ale młody oficer zapewniając Króla o uczuciach wierności, powiedział, że muszą iść tam gdzie ich wzywa honor. W chwili kiedy Król mówił do nich: « Honor wasz i obowiązek, przywiązują was do waszego stanowiska przy mojej osobie» dały się słyszeć piérwsze wystrzały w stronie domu Igelströma; wtenczas, cały ten oddział rzucił się z taką gwałtownością w tę stronę, że Król o mało nie był wywrócony i pozostał bez straży w zamku. Od tej chwili wystrzały z ręcznej broni i armat nie ustawały ani na moment, przez dwa dni. W godzinę poźniej, magistrat przyszedł powiedzieć Królowi że nie jest panem mieszczaństwa, które z bronią w ręku połączyło się z wojskiem, rozbiwszy wprzód sklepy puszkarzy dla uzbrojenia tych, którzy sami broni nie mieli. Wtenczas Król wysłał starszego swego brata do Igelströma aby go skłonić do opuszczenia z wojskiem miasta, dla tego żeby Król przez to mógł miasto uspokoić, gdyż lud z wojskiem krzyczał głośno, że póki tego nie będzie, walczyć nie przestanie. Igelström odpowiedział, że pójdzie za tą radą, ale tego nie zrobił. Ogień nie ustawał; Król posłał starego jenerała Byszewskiego do jenerała Igelströma z tém samém poselstwem które mu brat królewski zanosił. Igelström zrazu chciał sam udać się do Króla, ale na przedstawienie Byszewskiego, posłał swego synowca, nie wiadomo z jaką missją. Mokronoski i jenerał Byszewski towarzyszyli Igelströmowi żeby go ustrzedz od wściekłości ludu, ale nadaremnie; stary Byszewski sam został ciężko ranny w głowę, Mokronoski odepchnięty, a młody Igelström zabity. Jednocześnie, pułkownik dowodzący pułkiem Działyńskiego w ujazdowskich koszarach, na drugim końcu miasta, posłał swego adjutanta do hetmana Ożarowskiego, który swoją osobą

znajdował się przy Królu, powiedziać mu, że słysząc kanonadę a żadnych nie odbierając rozkazów, prosi o nie. Ożarowski odpowiedział : « Przyjdźcie naprzód z pułkiem przed zamek, pełnić straż przy osobie królewskiej. » Hauman doszedłszy do kościoła Ś. Krzyża znalazł księcia Gagarina, pułkownika, na czele rossyjskiego pułku piechoty, z pięciu armatami zaciągniętemi na krakowskiém przedmieściu, który mu krzyknął aby się zatrzymał. Hauman posyłał do niego dwa razy, raz po raz, z tém, że mu zła robić nie chce, tylko spokojnie idzie do zamku w skutek otrzymanych rozkazów. Gdy Gagarin odmawiał mu przejścia, Hauman po raz trzeci jeszcze wysłał do niego majora swego pułku. Gagarin kazał swemu pułkowi otoczyć majora i powiedział mu, że jest jeńcem; ale major spiąwszy konia ostrogami wyrwał się, i do swoich powrócił; natychmiast Rossjanie rozpoczęli ogień. Hauman ze swej strony odpowiedział salwą, poczém, poszedłszy na bagnety, wywrócił i rozproszył oddział Gagarina, który sam został zabity, a Hauman około południa, z pułkiem swoim stanął przed zamkiem. Około godziny piątej po południu, kilka tysięcy ludu przez inną bramę weszło na dziedziniec zamkowy, a znalazłszy tam Mokronoskiego i Zakrzewskiego gwałtem porwało ich i zaniosło na ratusz, gdzie okrzyknięci zostali : Zakrzewski przezydentem, a Mokronoski komendantem miasta. Piérwszém ich staraniem było, udać się na kapucyńską ulicę dla wstrzymania ognia i posłania trębacza do domu jenerała Igelstrôma aby się z nim rozmówić i ocalić go, ale strzelono z okien do trębacza, zapewne bez rozkazu Igelstrôma. W godzinę poźniej, brygadjer Bauer był wzięty i oświadczył, że Igelstrôm chce kapitulować; w skutek czego Mokronoski dwa razy jeszcze wysyłał trębacza, ale zawsze do niego strzelano, i nie podobna było wiedzieć nawet, czy Igelstrôm był w swoim domu czy też w którym z zajętych jeszcze przez Rossjan przy kapucyńskiej ulicy, skąd oni ciągle z okień strzelali, równie jak wzdłuż ulicy, z nad samego ganku przedsionka kościoła Kapucynów. Taki stan rzeczy trwał aż do dnia następnego. Około godziny ósmej wieczorem, oficer pruskich huzarów, nazwiskiem St. Paul, przybył z trębaczem od jenerała Brückner, zapytać Mokronoskiego, czy Warszawa uważa Prusaków za przyjaciół czy za nieprzyjaciół i czy uznaje jeszcze Króla polskiego? Mokronoski odpowiedział : że « Polacy są przywiązani i szanują swego Króla, a że Prusaków atakować nie będą, jeżeli ci odstąpią od miasta i redut, w których były składy prochu. » Oddział pruski składał się z dwóch bataljonów i czterech bataljonów pod Marymontem.

18 *Kwietnia.* Po zniesieniu i wzięciu do niewoli wszystkich oddziałów rossyjskich, rozrzuconych po mieście, kiedy broniono się już tylko na kapucyńskiej ulicy, około dziesiątej zrana, przybył do Mokronoskiego oficer rossyjski Braun z oświadczeniem, iż Igelstrôm chce kapitulować

i że się znajduje w domu rzeźnika przy ulicy wołowej, poza pałacem rzeczypospolitej. Mokronoski udał się tam z trębaczem i dwóma lub trzema osobami, ale znalazł tylko kupę trupów rossyjskich, i dowiedział się, że Igielström uszedł, z jenerałami : Apraksinem, Pistorem i Zubowem. Mokronoski udał się po ich śladach znaczonych trupami rossyjskich żołnierzy poległych w tej walce, aż do piérwszego forpocztu pruskiego, gdzie musiał się zatrzymać. Żądał rozmowy z jenerałem pruskim, ale przed jego przybyciem musiał pobiedz o pół mili na lewo z powodu wydarzonego wybuchu w prochowni; wróciwszy, nie znalazł już jenerała pruskiego, który tego dnia nie ruszył się z miejsca. Tymczasem lud, zapaliwszy dom Igielströma ,dobył go, i wszystkich innych jakie Rossjanie zajmowali jeszcze na kapucyńskiej ulicy; na tém się walka w Warszawie skończyła, około godziny piątej po południu.

19 *Kwietnia.* Otrzymawszy wiadomość o cofnieniu się Prusaków , nowy prezydent Zakrzewski i jenerał Mokronoski, złożywszy w ratuszu Radę Najwyższą, złożoną z nich, i z dwunastu jeszcze osób (ośmiu członków tej rady należy do szlachty, a sześciu do mieszczan), zrobili tam akt prostego przystąpienia do aktu powstania krakowskiego. Wysłali potém dwóch swoich członków w deputacji do Króla z oświadczeniem, iż zachowają dla niego poszanowanie i miłość, ale posłuszeństwo zupełne dla Kościuszki, że proszą go aby wspierał ich przedsięwzięcia, a sam Warszawy nie opuszczał; na co Król odpowiedział : że wyjeżdżać z Warszawy nie myślił, że im dziękuje za oświadczenie miłości i poszanowania, że nikt goręcej nad niego nie pragnie dobra ojczyzny, i że życząc aby ich przedsięwzięcie do tego doprowadziło, zaleca im przedewszystkiém, aby czynami dowiedli, iż szanują religję, prawo własności, różnice stanów i tron, jedném słowem, iż nic nie mają wspólnego z zasadami Jakobinów, bo ta różnica jakkolwiek ważna sama przez się, większej jeszcze nabiera wagi w okolicznościach dzisiejszych; dla tego Król prosi, aby przywdzieli znowu znaki orderów orła białego i ś. Stanisława, aby zajęli się zaopatrzeniem miasta w żywność i urządzeniem policji, niezbędnej dla utrzymania w pokoju ludności rozgorączkowanej dwudniową walką, dla zapobieżenia rabunkowi i wszelkiego rodzaju gwałtom. Nareszcie, Król oddał im dwa listy Buchholtza, posła pruskiego; w piérwszym z nich, prosił o pasport i eskortę dla wyjechania z Warszawy *będąc posłem a nie dowódzcą wojskowym*, w drugim zaś otwartym, pisał do jenerała pruskiego Wolckij prosząc, aby się oddalił od Warszawy. Król dodał, iż oba te listy Buchholtza oddaje Radzie rządzącej Warszawą, bo pasport podpisany przez Króla na prośbę Buchholtza i udzielony pewnej osobie, okazał się niedostatecznym. We dwie godziny poźniej, przysłano drugą deputację do Króla z oświadczeniem, iż na dowód poszanowania religji, Rada już zaleciła duchowieństwu do-

dać jeszcze *Te Deum* do innych uroczystości wielkonocnych, że wszyscy kawalerowie orderów orła białego i ś, Stanisława, znaki ich od jutra na nowo przywdzieją, że Rada pracuje teraz nad zaopatrzeniem miasta w żywność i urządzeniem policji, które jej Król zalecił, że ponieważ szczupła ilość wojska regularnego, znajdującego się w Warszawie, przy koniecznej rozmaitego rodzaju służbie, pozwoliłaby zaledwo słabą bardzo eskortę dać Buchholtzowi, ta zaś nie byłaby dostateczną dla zabeśpieczenia go od obelg ze strony ludności bardzo rozgorączkowanej, i której Rada nie jest jeszcze całkiem panią, proszą więc aby Buchholtz zechciał być cierpliwym jeszcze przez dni kilka, podczas których pracować będą nad uspokojeniem ludu, a że tymczasem Rada dla niego straż beśpieczeństwa wyznacza.

20 *Kwietnia*. Nowy prezydent i większa część kawalerów orderowych ukazała się z oznakami ś. Stanisława i Orła białego na wielkiej mszy wielkonocnej, której Król asystował w katedrze, a po której, stosownie do żądania Rady, celebrujący Prymas zaintonował *Te Deum*. Tego dnia i 21 *Kwietnia*, prezydent i członkowie Rady Najwyższej zajęci byli odebraniem przysięgi na posłuszeństwo Kościuszce, od wszystkich wojskowych, a nawet i od korpusu kadetów, którego Król jest szefem. Żeby zaś ludzie, zwani ochotnikami, a dopuszczający się największych nadużyć, powstrzymani być mogli, Rada wyznaczyła sześciu dowódzców, czyli pułkowników, mających z nich utworzyć regularne zaciągi i używać na forpocztach. Lepsze mieszczaństwo rozdzieloném zostało pomiędzy rozmaite kwartały i sekcje, z bronią, pod osobnymi dowódzcami; pogrzebiono poległych; uprzątnienie koni zabitych, których znalazło się przeszło 600 idzie powolniej, z powodu powszechnego w ludzie przesądu, iż do ciała nieżywego zwierzęcia nikt prócz kata dotykać się nie powinien; ponieważ zaś kilku katowskich pachołków podczas walki zginęło, ten więc rodzaj służby napotyka na opóźnienie. Rada zajęła się jeszcze urządzeniem rozmaitych wydziałów cywilnych i wojskowych. Tegoż dnia, p. de Caché, poseł austryjacki, przyszedł do Króla prosząc go, aby przepuszczono na Wiśle i Bugu statki galicyjskie, przewożące zboże dla armji księcia Koburgskiego, oświadczając, iż oprócz pasportów komisji skarbu Korony polskiej, mają jeszcze pasporta Kościuszki. Ponieważ pasporta królewskie nie miały już wagi, Król o tém pisał do Zakrzewskiego, który odpowiedział : « że Rada, z największém uwzględnieniem przyjmując żądanie p. de Caché, widzi się zmuszoną żądać od niego, aby pasport udzielony rzeczonym statkom przez naczelnika siły zbrojnej, był Radzie zakomunikowany, a to, dla uspokojenia ludu, który w obecnych okolicznościach mógłby źle sobie tłumaczyć wszelki wywóz zboża. » Wtenczas p. de Caché powtórnie napisał do Króla z najusilniejszą prośbą, aby statki naładowane artykułami żywności na-

leżącemi do Cesarza nie ucierpiały nic na Wiśle i Bugu, zapewniając zarazem, iż przewoźnicy cesarscy tych statków mieli jeden czy kilka paszportów wydanych przez jenerała Kościuszkę, i że to zaświadczenie powinno by uspokoić lud co do tranzytu własności dworu austryjackiego, zostającego w przyjaznych z Polską stosunkach. Król posłał ten list Prezydentowi przez czterech deputowanych, których mu Rada dnia tego przysłała: Wybickiego, Wulfersa, Horaina i Rafałowicza. Ci byli przyszli z oświadczeniem, iż lud chce iść na zamek, aby dostać hetmana Ożarowskiego. « Rada odpowiedziała ludowi, że powinien szanować mieszkanie królewskie jako miejsce święte, ale my prosimy Króla, aby nam pozwolił samym przyjść jutro dla wzięcia hetmana Ożarowskiego.» Król odrzekł: « Ożarowski tak rzeczywiście chory, iż komunikował gotując się na śmierć; nie wiém czy będzie mógł być przewieziony; żona jego zapewne towarzyszyć mu zechce, jak żona drugiego hetmana Zabiełły. Spodziewam się, iż ze wszystkimi których uwięzić uważacie za potrzebne, postąpić zechcecie ze sprawiedliwością i łagodnością, które przekonają najlepiej o ile wasze pobudki i zasady różnią się od zasad Jakobinów.» Odpowiedzieli, przyrzekając to Królowi. Tegoż wieczora Ożarowski został ostrzeżony i przygotowany do tego co zajść miało.

22 *Kwietnia*, o czwartej zrana, Rafałowicz członek Rady, mieszczanin, przyjechał na zamek z eskortą dla wzięcia Ożarowskiego, którego z żoną i najmniejszém ich dzieckiem wsadziwszy do swego powozu, odwiózł do umeblowanego pokoju w arsenale. Należy zauważyć, że dwaj synowie hetmana Ożarowskiego, bardzo byli czynni w powstaniu. O południu, Rada uwiadomiła Króla, iż wydała już rozkaz wolnej żeglugi dla statków cesarskich.

Oficer polski, który woził list Buchholtza do jenerała Wolckij, do Zakroczymia, wrócił z listem od niegoż do Buchholtza, w którym mu powiada, iż nie przejdzie Wisły, i że chce z nim codzienną utrzymywać korespondencję. Tenże Wolckij ustnie powiedział oficerowi: « Odpocznij pan, oto jest łóżko, musisz być bardzo zmęczony po gorącej i długiej przeprawie, której tak mężnie dokonaliście. Mówiłem nieraz Igelströmowi, że naród tak do wolności przyzwyczajony, nie zniesie w końcu podobnego ucisku.» Na zapytanie oficera o Igelströma, odpowiedział mu, że *śpi*.

Rada wydała drukowaną odezwę, zakazującą wszystkim nie będącym w służbie czynnej, pokazywać się na ulicach z bronią palną i gołemi pałaszami. Uwiadamia, iż wszyscy członkowie Rady na lewém ramieniu nosić będą przepasane chustki czerwone, aby każdy mógł ich rozpoznać i posłuszeństwo okazać. Ogłasza, podległym karze kryminalnej każdego, ktoby się gwałtu na ich osobach dopuścił; w razie trwogi ze

strony nieprzyjaciela, lud do nich powinien się zwracać, dla prowadzenia i rozstawiania ochotników. Ogłasza podległymi karom kryminalnym wszystkich, którzyby pod pozorem szukania przestępców pogwałcili domy lub osoby prywatne.

23 *Kwietnia.* Rada najwyższa rozesłała do posłów zagranicznych cyrkularz, uwiadamiający ich, iż ustanowiła osobną dla spraw zewnętrznych komisję, z którą odtąd znosić się mieli; jednocześnie dała wiedzieć panom : Asch, Büler, Józefowiczowi i Diwottowi należącym do dyplomacji rossyjskiej, że ich każe przenieść do innego, wygodniejszego domu, w którym mieć będą straż dla własnego tylko beśpieczeństwa. Kapitan od ułanów Wojciechowski i dowódzca ochotników Kwaśniewski, wysłani zostali z oddziałami, dla zrobienia rekonesansów o kilka mil od Warszawy, po obu stronach Wisły i zdania z nich raportu.

24 *Kwietnia.* Ośmiu członków Rady najwyższej : Kasztelan lubelski Potocki, Kochanowski, Mokronoski, książe Mikołaj Radziwiłł, Eljasz Aloe, Węgierski, Rafałowicz i Tynell przyszli powiedzieć Królowi, iż są wysłani dla oświadczenia mu ,że lud podejrzewa Jego Królewską Mość o zamiar tajnego opuszczenia Warszawy, i utrzymuje iż Król dnia wczorajszego o zmroku, przechadzał się wzdłuż Wisły, z dwóma tylko osobami, mającemi mu ułatwić ucieczkę wodą. « Zaręczyliśmy głowami naszemi (mówili, Kochanowski i Mokronoski) że te podejrzenia są fałszywe, ale lud nie dał się żadnym sposobem uspokoić; prosimy więc Waszą Królewską Mość, o danie nam środków uspokojenia go.» Król na to : « Cztéry dni temu odbyłem istotnie taką przechadzkę, ale w biały dzień, bez żadnej tajemnicy; chciałem widzieć przychodzące tratwy i dowiedzieć się czy wiozą żywność dla Warszawy, co w obecnych okolicznościach jest rzeczą piérwszej wagi; poźniej udałem się zobaczyć o ile posunięto prace około mostu i stamtąd wróciłem przez wielki plac, w biały dzień, przeprowadzany nie przez dwie osoby, ale przez tłumy ludu. Dałem wam, panowie, przed czterema dniami słowo, iż Warszawy nie opuszczę, dziś je powtarzam uroczyście, czegoż chcecie więcej?» Odpowiedzieli, że sami osobiście najzupełniej przekonani byli o prawdzie słów królewskich, ale że nieufność ludu tak była wielka, iż mu koniecznie czegoś więcej potrzeba. Król odrzekł : « Powiedzcie sami, co uważacie za potrzebne?» Oświadczyli wtenczas, « iż lud domaga się, aby ktokolwiek z jego zaufanych mógł się znajdować stale w apartamentach królewskich, i towarzyszył mu wszędzie. »—Król odpowiedział : « Podobne żądanie byłoby dla mnie dotkliwém i przykrém, gdyby ta oznaka nieufności pochodziła od was, ale ponieważ mówicie, że lud inaczej uspokoić się nie da, więc się temu nie sprzeciwiam. » Delegowani wtenczas prosili Króla, aby się

chciał częściej pokazywać w miejscach najbardziej uczęszczanych, jak to zwykł był robić przed 17tym; Król przyrzekł. Oświadczono mu wtenczas, że dwaj cudzoziemcy mieszkający w zamku, a zostający przy osobie królewskiej, jeden już od trzydziestu, a drugi od dziesięciu lat, miani są za podejrzanych, przy czém jednak większość delegatów zapewniała Króla, iż są przekonani jak dalece podejrzenie takie jest bezzasadném. Król, dawszy poczuć o ile tém był dotknięty, zakończył audjencję zapewnieniem, iż ręczy za wszystkie sługi swoje mieszkające w zamku.

25 *Kwietnia.* — Ostrzeżono Króla, iż wigilją wieczorem, człowiek którego mu nazwano, oświadczył, iż sam przez noc całą czuwać będzie, aby przeszkodzić ucieczce Króla, której zresztą był pewien. Król, w skutek objawionego mu wigilją żądania, dnia 24 i 25 po południu przejeżdżał się konno po rozmaitych ulicach Warszawy. Dnia 25 po południu odebrano wiadomość, iż Grochowski mianowany jenerałem przez Kościuszkę, pobił oddział rossyjski pod Łokaczem na Wołyniu, zabrawszy mu dział siedm, i że kurjer zostawił przednią straż Kościuszki w Dryzwisce, o jedénaście mil od Warszawy, za Pilicą, na krakowskiej drodze.

26 *Kwietnia.* — Rada Najwyższa wysłała do Króla : Mostowskiego, Horaina, Wulfersa, Tickla i Bilińskiego. Oświadczyli Królowi w imieniu Rady, iż wysyłają na Litwę Horaina i jenerała Jażeńskiego dla oddania pod rozkazy Chlewińskiego i Stryjeńskiego wszystkich wojskowych i ochotników litewskich jacy się zgromadzić dadzą, także Tatarów osiadłych już od wieków w tej prowincji, i straż myśliwską z puszcz królewskich na Litwie; dodali : iż po tém co zaszło w Warszawie, nie można już i nie godzi się zaniechać żadnego środka obrony i niema innej drogi dla każdego kto się urodził Polakiem, jak walczyć aż do jej wyswobodzenia, albo wszystkim ginąć z nią razem. » — Delegowani uwiadomili też Króla, iż przejęto list jenerała Derfeldena do Jgelströma, w którym ostrzega go, iż nie będzie mógł nadesłać mu żądanej ilości wojska, ponieważ wielkie wzburzenie zaczyna się objawiać w wojsku i w całym w ogólności kraju oderwanym od Polski. Dwa listy pisane z Wołynia, jeden do mieszkańca Warszawy, drugi do brygadjera Ożarowskiego, donoszą zgodnie, iż Grochowski pobił Rossjan między Łokaczem i Włodzimierzem i wziął im siedém armat. Z raportu zdanego przez rekonesanse pokazuje się, iż nad Pilicą, po stronie przeciwnej Warszawie, znajduje się oddział rossyjski złożony z ośmiuset ludzi, zapewne łazareta i gwardje będące uprzednio w Karczewiu, i że jenerał pruski Wolckij zawsze jest jeszcze w Zakroczymiu; że probował przeprawić dwie armaty na ten brzeg Wisły, zapewne dla usypania baterji,

ale że postrzegłszy oddział polski po tej stronie rzeki, kazał zawrócić nazad łódź wiozącą armaty.

1 *Maja*. — Przybył goniec od Kościuszki, którego depesza z dnia 23 Kwietnia pochwala wszystko co zaszło od 17 tego miesiąca, potwierdza ustanowione tutaj obecnie dykasterja, nadaje Mokronoskiemu stopień jenerał-lejtenanta i upoważnia go do podniesienia o jeden stopień wyżej wszystkich żołnierzy i oficerów którzy się odznaczyli w tych wypadkach, a także do usunięcia niechcących mieć w nich udziału. Zaleca zarazem, aby niedopuszczono Królowi opuścić Warszawy i utrzymywać korespondencji, i żąda, aby wszystkie osoby podejrzane, znajdujące się nawet przy Królu, były aresztowane. Gdy to wszystko doszło do wiadomości ludu, zaczął nalegać gwałtownie aby iść hurmem na zamek, dostać księcia Massalskiego, Biskupa wileńskiego, przeciw któremu już nie raz oświadczał niechęć swoją. Rada Najwyższa z wielką trudnością wymogła na nim, iż odstąpił wykonania własnemi siłami tego zamiaru, przyrzekając mu, iż tego dopełni w sposób mniej gwałtowny. Naprzód kilku członków Rady udało się po południu do Biskupa, prosząc aby im oddał krzyż wysadzany drogiemi kamieniami który mu po złożonych podpisach w Grodnie przysłała Jmperatorowa, stosownie do zwyczaju dworu rossyjskiego, rozdającego podarunki po podpisaniu każdego traktatu, tak zagranicznym jako też i własnym pełnomocnikom traktat podpisującym. Od Biskupa, delegowani (jak powiadają) udali się do innych osób znajdujących się w Warszawie, domagając się zwrotu podarunków otrzymanych też w Grodnie. Następnie, o godzinie dziewiątej jenerał Mokronoski przybył do Króla prosząc go w imieiniu Rady aby przez swego adjutanta aresztował Biskupa i oddał go w jej ręce. Król odpowiedział, wyrażając z razu swą boleść iż nawet jego mieszkanie nie może służyć za schronienie, i że tém bardziej jest tém dotknięty, iż sam był świadkiem jak wspomniany Biskup starał się wszelkiemi sposobami zmniejszyć o ile mógł nieszczęścia które się stały powodem rewolucji 17 Kwietnia. Dodał w końcu, iż nie miał ani prawa, ani władzy aresztowania Biskupa wileńskiego, tak, jak się pierwej był oświadczył z powodu hetmana Ożarowskiego; po czém, drugi delegowany udał się do mieszkania Biskupa na zamku i oświadczył rozkaz Rady aby mu towarzyszył; Biskup siadł z nim do powozu i odwieziony został do pałacu Rzeczypospolitej zwanego pospolicie pałacem brühlowskim. Jednocześnie aresztowani zostali przez Radę we własnych mieszkaniach : Biskup chełmski i podkanclerzy koronny Skarszewski i marszałek wielki koronny hr. Moszczeński; odprowadzono ich również do brühlowskiego pałacu. Hetman wielki litewski Tyszkiewicz, dowiedziawszy się o tém, odesłał Radzie pudełko, jakie otrzymał też w darze od Jmperatorowej, w Grodnie. Napisał jednocześnie do Rady, iż odwołuje się do ogólnego

świadectwa wszystkich, jako wbrew własnej woli zmuszonym został do przyjęcia laski marszałkowskiej i że spełniał ten obowiązek w sposób nie mogący ściągnąć na niego nagany patriotów.

3 *Maja*. Przyjechał Sawaniecki wysłany z Wilna, z wiadomością że w nocy z 22 na 23 Kwietnia, mieszkańcy tego miasta zdołali wziąść w niewolę jenerała Arsenjewa, 1900 żołnierzy rossyjskich, 4 armaty i hetmana Kossakowskiego; poczém oświadczyli i zaprzysięgli przystąpienie swoje do aktu powstania Kościuszki, utworzyli Radę tymczasową i sąd kryminalny jak w Warszawie; nowi ci sędziowie dali Kossakowskiemu kilka punktów oskarżających na piśmie, na które też na piśmie miał odpowiadać; na podstawie tych dwóch dokumentów sąd jednomyślnie wydał wyrok śmierci, Kossakowski powieszonym został na témże samém miejscu, na którém przed dwóma latami przywłaszczył był sobie godność hetmańską. Z jenerałem Arsenjewem obchodzą się z dobrocią i wielką delikatnością, przez wzgląd na łagodność jaką okazał będąc piérwej komendantem Wilna. Nie więcej nad 200 Rossjan zginęło, tak się to stało nagle, bo 23 rano już wszystko było skończone. Tylko oddział artylerji rossyjskiej z 20 armatami, stojący za miastem potrafił cofnąć się niedaleko od Wilna. Kilka oddziałów wojska po wzięciu Arsenjewa zebrało się w Wilnie; wszystko zaś dokonaném zostało przez samych mieszkańców miasta, w którém było zaledwo 200 wojskowych.

4 *Maja*. Przyszła wiadomość, że oddział rossyjski z 1500 ludzi złożony, pod dowództwem pułkownika Apraksina, splądrował i zrabował pałac w mieście Kozienicach, należącém do ekonomji królewskiej; zabrano tam meble, bieliznę, łóżka, sprzęty kuchenne, nawet bibliotekę Króla; jeden z oficerów przebił szpadą jego portret. Plebanja, probostwo, większa część domów należących do mieszczan została zrabowaną, bydło wieśniaków z okolicznych wiosek uprowadzono całe, i fabryka broni założona w tém mieście przez Króla a zasilająca od lat kilku jego kosztem arsenał, zrujnowana, równie jak fabryka wyrabiająca krążki miedziane dla mennicy warszawskiej; uprowadzili z sobą dwie córki dorosłe pułkownika Koeniga. Kozacy spalili wszystkie prawie wioski znajdujące się na ich drodze, na przestrzeni dwunastu mil, od Pragi do Kozienic; grożąc zniszczeniem całego miasta i bijąc kijami burmistrza, kazali sobie dostarczyć dziewcząt. Oddział artylerji rossyjskiej który się cofnął z Wilna ku Grodnu postępuje tak samo.

Jenerał Grochowski 3 Maja znajdował się już w Lublinie w 4300 piechoty, 4200 jazdy i 2000 uzbrojonych włościan; razem 10500 ludzi, a przednia straż jego przeszła już Wisłę pod Puławami.

8 *Maja.* Fałszywa wieść przyniesiona przez jakiegoś wieśniaka i drugiego jeszcze podróżnego o zbliżaniu się Prusaków ku Woli, zrodziła popłoch w Warszawie; przypadek zwiększył go jeszcze. Król po wyjściu z kościoła przejechał most, dla zobaczenia w jakim stanie znajduje się Praga; ktoś na ulicy krzyknął, że Król porzuca stolicę; zdało się ludowi że jest opuszczony, pobiegł do arsenału, wyłamał bramy, uzbroił się, krzycząc zewsząd na zdradę, aż póki nie zobaczył wracającego Króla; wśród tego poruszenia, czterech ludzi od przypadku zginęło. Ciemniewski na przodzie konno, za nim Deboli i Szydłowski w karecie prezydenta wyjechali szukać Króla, którego spotkali wrącającego już na moście; powiedzieli mu jak lud pragnie go widzieć. Król kazał przyspieszyć kroku, tém bardziej że słyszał okrzyki ludu okazującego swą radość z oglądania go znowu. W pół godziny po powrocie Króla na zamek, ciż sami: Deboli, Szydłowski i jeszcze kilku członków Rady przybyli do niego w deputacji, prosząc w imieniu Rady: « aby nigdy nie wyjeżdżał za miasto, bo to lud niepokoi.» Król odpowiedział: « Samiście mnie panowie prosili abym się często pokazywał ludowi i to w rozmaitych częściach miasta; przez wsystkie te dni objeżdżałem je z tej strony rzeki, dziś chciałem to zrobić po tamtej stronie, ale przyrzekam że już tam więcej nie pojadę, jeśli to obudza niepokój. » Na to delegowani: « Niespokojność ludu tak była wielką, że nam noszącym czerwoną przepaskę u ramienia i jadącym w karecie Prezydenta miasta, przykładano pistolety do piersi, nazywając zdrajcami, bo wyobrażał lud sobie, że odjazd Waszej Królewskiej Mości, będzie hasłem jego zguby. » Król odrzekł: « Powtarzam panom tyle razy daną obietnicę, że Warszawy nie opuszczę i za most nie wyjadę; nie byłbym nawet obrażony gdybyście kogo ze swoich mnie przydali, jeżeliby to was bardziej uspokoić miało. » Odpowiedzieli: « Ubliżalibyśmy przez to uszanowaniu i ufności jaką pokładamy w Waszej Królewskiej Mości. Kazaliśmy aresztować urzędnika Rady który krzyknął na ulicy że Król odjeżdża i stał się główną przyczyną wzburzenia. »

9 *Maja.* O wschodzie słońca ujrzano trzy szubienice wzniesione przed ratuszem i jedną przed Bernadynami. Lud je wystawił w nocy. Od 8 rano otoczył on ratusz, domagając się głośno śmierci hetmana Ożarowskiego, Zabiełły, Ankwicza prezesa Rady nieustającej, i Biskupa Kossakowskiego. Rada miejska kilka razy probowała ułagodzić lud, a przynajmniej otrzymać zwłokę, ale daremnie. Lud wołał nawet, że jeżli nie spełnią jego domagań się, on sam dostanie winnych i sprawiedliwość nad nimi domierzy. Wtenczas trybunał kryminalny, zgromadzony w dolnej sali ratuszowej, posłał po czterech więźniów. Trzech z nich przyszło piechotą; hetmana Ożarowskiego, ciężko chorego, przywieziono; przez półtory godziny byli przed trybunałem, przy zamkniętych drzwiach, i

tam odbyli spowiedź przed sprowadzonymi na ten cel O.O. Kapucynami, po czém woźny ogłosił ludowi, że wyrok skazujący ich na śmierć wydanym został, i trzech świeckich tamże powieszono. Biskupa Kossakowskiego poprowadzono pod szubienicę przed Bernadynów, w towarzystwie Kapucyna i wśród ogromnego tłumu ludu. Biskup Malinowski przed drzwiami kościoła Bernadynów dopełnił względem Biskupa Kossakowskiego odpowiedniego okoliczności obrządku; dał się słyszeć z tłumu wystrzał, który był jakby hasłem, bo w minutę poźniej Biskup już był na szubienicy.

10 *Maja*. Król pisał do Prezydenta miasta : «Wśród rozmaitych, groźnych dla wielu osób słuchów, nie wiem do których z nich mam wiarę przykładać. Ponieważ jednak dochodzi do mnie, iż najbardziej zagrożoném jest życie księcia Massalskiego Biskupa wileńskiego, naprzód więc dzisiaj za nim się wstawiam, prosząc najusilniej, aby był oszczędzony, ponieważ sam byłem świadkiem, tak w Grodnie jak tutaj, o ile słowem i czynem przykładał się ze swej strony do zmniejszenia srogości jakiej używano przeciw narodowi i jego pojedyńczym członkom, do tego stopnia, że ściągnął nawet na siebie niechęć tych, którzy wtenczas mieli tu władzę w ręku. Mógłbym to samo powiedzieć o kilku jeszcze osobach aresztowanych teraz, a za któremi mam również wolę i obowiązek wstawiać się, w imieniu samej prawdy : ale ponieważ słyszę, iż Biskupowi Massalskiemu grozi najbliższe niebeśpieczeństwo, za nim więc naprzód zanoszę prośby, odzywając się tak do uczucia sprawiedliwości jako też i do światła waszego, które zapewne wywoła przed wasze oczy wszystkie inne (prócz samej sprawiedliwości) powody, pobudzające do łagodności naród nasz, który od wieków, wśród najwaleczniejszych a nacechowanych sprawiedliwością przedsiewzięć, odznaczał się wspaniałomyślnością i dobrocią.» *P. S.* Prośbę tę i uwagi zanoszę równie do was panie Prezydencie jako też i do zasiadających z Wami członków Rady najwyższej.» Na to, Referendarz koronny Małachowski odniósł Królowi ustną odpowiedź Prezydenta Zakrzewskiego : «że zakomunikuje Radzie list królewski, ale że z góry zaręcza iż Biskup Massalski nie będzie karany śmiercią, i że on Zakrzewski oświadczył stanowczo, iż nie pójdzie na ratusz, póki te trzy szubienice zniesione nie będą, że nawet już ich nie ma.»

WYJĄTEK Z POLECENIA DANEGO RADZIE TYMCZASOWEJ PRZEZ TADEUSZA KOŚCIUSZKĘ NACZELNIKA SIŁY ZBROJNEJ NARODOWEJ, DNIA 4 MAJA 1794 ROKU.

Dla zapobieżenia uszczerbkom Rzeczypospolitej w ofiarach składanych przez licznych obywateli, polecam :

1). Utworzyć Zarząd mennicy który składać się będzie z trzech osób wybranych między członkami komissji policji, posiadających dostateczną kaucję i odpowiedzialnych osobami swemi i mieniem. Po zupełném przeto usunięciu P. Unrug, dyrekcja mennicy powierzoną będzie Dyrektorowi.

2). Dla zapobieżenia wychodzeniu brzęczącej monety za granicę, polecam zniżyć jej stopę.

3). Polecam bić tylko monetę wartości jednego złotego, pół złotego i grosze; inne wyższej wartości monety mają być bite tylko w małej ilości, aby zostały jako pamiątka.

4). Stempel zawierać będzie po jednej stronie zwykły herb Rzeczypospolitej z wyrażeniem wartości monety, po drugiej następujące wyrazy : Wolność, Całość, Niepodległość Rzeczypospolitej 1794, Dan w w obozie w Wiślicy d. 3 Maja 1794 roku.

(podpisano) Kościuszko.

12 *Maja.* Deboli, książe Radziwiłł i Wasilewski z municypalności w imieniu Rady Najwyższej przynieśli Królowi przytoczone wyżej pismo, oświadczając : iż Rada żąda wiedzieć zdanie królewskie w tej mierze, a pragnie aby się wszystko odbyło z jak największém dla jego osoby uszanowaniem i względami. Rada uprasza Jego Królewską Mość o pozwolenie jej posługiwania się narzędziami mennicznemi, obowiązując się zresztą zwrócić natychmiast wszystko, co było własnością osobistą Króla w mennicy. «Polecono nam jeszcze prócz tego oświadczyć,iż wyznaczono czternaście osób dla towarzyszenia kolejno Waszej Królewskiej Mości, i Rada w tym względzie pragnie też wiedzieć wolę Waszej Królewskiej Mości, chcąc,aby i przy tém zachowane były najwyższe wzgledy dla Jego osoby, gdyż taki jest duch obecnego rządu.» Na to wszystko Król odpowiedział: «Chcę wiedzieć czy to mówicie z własnego tylko poczucia, czy też było to panom wyraźnie zaleconém przez Kościuszkę? Nie mogę ukryć, że opuszczanie portretu i herbu mojego na przyszłym stemplu monety krajowej, zdaje mi się zapowiadać taki upadek władzy królewskiej, że obojętnym być na to nie mogę, i chciałbym wiedzieć jakie są dalsze zamiary co się tyczy mojego bytu i dostojeństwa; w obecnych okolicznościach nie jestem w stanie przeszkodzić temu co zamierzacie względem monety krajowej, ale też przyzwolenia na to mojego dać nie mogę. Jednakże, nie to co się do mojej osoby odnosi, obchodzi mnie najbardziej; zmiana stopy monety i całej administracji mennicznej zaprząta mnie daleko więcej,bo z dobrem całego kraju w najbliższym jest związku. Dla tego proszę Radę, aby przełożyła Kościuszce, iż krok ten wymaga najgłębszego zastanowienia i najściślejszego obrachowania, zanim się do jego wykonania przystąpi, aby nie sprowadzić na kraj klęski, zamiast spodziewanego dobra. Zmiana

dzisiejszych urzędników w mennicy,(a szczególniej dyrektora hr. Unrug) którzy przez lat trzydzieści nie przestali składać dowodów wierności i uzdolnienia, musi w publiczności i za granicą rozszerzyć najszkodliwsze o nas opinje. W tém wszystkiém, odwołuję się chętnie do światła hrabiego Ignacego Potockiego, który przez tyle lat zasiadał w komissji mennicznej. Co się tyczy własności mojej w mennicy, tę stanowi sam gmach kupiony przezemnie za 10,000 czerwonych złotych, metale na 2000 czerwonych złotych znajdujące się w mennicy i należące do mnie, oraz wszystkie narzędzia menniczne sporządzone moim własnym kosztem. W każdej innej okoliczności, nie wspomniałbym o tém pewno, dałem dosyć dowodów (a świadczą o tém prawa uchwalone podczas sejmu za mego panowania) że z radością największe z mej strony ofiary dla dobra kraju ponosiłem; ale dzisiaj, będąc pozbawiony wszelkiego rodzaju dochodów, i zmuszony przetapiać kolejno srébro moje stołowe, żeby mieć co jeść i z czego żyć, muszę domagać się zwrotu najmniejszych nawet summ mnie należnych. Ponieważ zaś to potrzebuje obrachunku i dokładności, proszę więc ażeby hr. Unrug, jako dyrektor mennicy i wielki koniuszy Kicki dzisiejszy intendent mojego domu, mieli sobie wyznaczony dzień i godzinę, aby mogli udzielić panom wszystkich do tego odnoszących się objaśnień.

«Co się tyczy rodzaju służby jakąby przy mnie pełnić miały przydane mi osoby, chciałbym najpierwej wiedzieć ich nazwiska; zdaje mi się, że jeden, a najwięcej dwóch wystarczyłoby na to; uważałbym ich jako moich adjutantów albo szambelanów; będą jedli ze mną i będą mi towarzyszyć wszędzie, jak to czynili dotąd adjutanci i szambelanowie moi».

Delegaci odpowiedzieli, iż «ze sposobu jakim im prezes Zakrzewski rzecz całą przełożył, wnoszą z pewnością, iż czynił to w duchu i w skutek rozkazów Kościuszki. Co się tyczy stempla, wyrazy użyte są takie, iż zdaje się nam że nie wyłączają wcale osobistego herbu W. K. Mości. Summy do Niego należące, w mennicy, będą zaraz bonifikowane, co zaś do narzędzi i samego gmachu, mamy nadzieję iż W. K. Mość zostawi nam ich używalność. Wasza Królewska Mość będzie uwiadomioną jutro o nazwiskach czternastu osób przeznaczonych dla towarzyszenia Mu kolejno, a możemy zapewnić z góry, iż sam ich wybór dowiedzie W. K. Mości głębokiego uszanowania i względów, jakie Mu chcą okazać; ten zaś projekt nawet, stąd jedynie pochodzi, że W. K. Mość sam raczyłeś nam powiedzieć 8 Maja, kiedy chodziło o uciszenie niespokojności ludu, niepewnego czy Król w stolicy zostanie, że nie miałbyś nic przeciw temu, aby ktokolwiek z Rady przy osobie królewskiej był stale umieszczony; spodziewamy się nawet że miło będzie W. K. Mości mieć zawsze pod ręką kogoś, zostającego w ciągłych i bezpośrednich stosunkach z Radą, której odniesiemy wiernie wszystko cośmy od W. K. Mo-

ści mieli zaszczyt usłyszeć; ponieważ jednak posiedzenia Rady już dzisiaj nie będzie, więc jutro zaledwo będziemy mogli przynieść dokładną odpowiedź na pytania W. K. Mości na które nie byliśmy przygotowani». Po przywołaniu p. p. Unrug i Kickiego, też same rzeczy przy nich powtórzone zostały i trzej delegowani powiedzieli im, że jutro uwiadomieni będą o godzinie w której się z nimi spotkać będą mieli, dla wzmiankowanych wyżej objaśnień. Hr. Unrug oświaczył, iż administracja jego jest w takim porządku, że każdego dnia we 24 godzin ze wszystkiego zdać może rachunek, a zresztą we wszystkiém odwołuje się do przekonania hr. Ignacego Potockiego.

13 *Maja*. Nieborowski i Gautier z municypalności przyszli w imieniu Rady Najwyższej do mennicy dla wzięcia jej w posiadanie. Powiadają, że Rada pisała do Kościuszki o wszystkiém co jej Król wigilję przekładał i że w publiczności szlachta i wyższe mieszczaństwo zarówno ten krok potępiają. Tegoż dnia, Deboli z drugim członkiem Rady Najwyższej przyszedł w jej imieniu do księdza Wołłowicza referendarza litewskiego i sekretarza Rady Nieustającej, żądając wydania im całego archiwum tej Rady, co też uskutecznioném zostało. . . . .
. . . .

IV.

HR. PANIN DO CESARZA PAWŁA.

Berlin 13/24 Lipca 1798 r.

Przyjazd Kościuszki do Francji nie jest już wątpliwym. Raport ministra pruskiego donosi, że się znajduje w Paryżu, i że miał nawet konferencję z Taleyrandem. Uwiadomiony o tém, za potrzebne uznałem poznać sposób zapatrywania się ministrów królewskich na ten wypadek, którego skutki obojętnemi dla nich być nie mogą; chciałem zarazem skłonić ich do energicznego wystąpienia przed rządem francuzkim, w celu zapobieżenia, a gdyby było podobna, zniweczenia nawet zbrodniczych zamiarów tego głównego sprawcy i podżegacza rewolucji w Polsce. W tym celu udałem się dzisiejszego wieczora do p. Haugwitz, i przekładałem mu, że Francja przyzywając Kościuszkę, przyjmując go otwarcie w stolicy swojej, rozgłaszając ten fałsz haniebny, że ów koryfeusz rewolucjonistów polskich wolnym jest od wszelkich względem W. C. M. zobowiązań, że powiadam Francja, dowodzi wyraźnie, iż nie poczuwa się do żadnych dla dworu berlińskiego względów, gdyż kroki te z jej strony zdradzają nieprzyjazne zamiary przeciw trzem mocarstwom posiadającym dzisiaj dawniejszą Polskę. « Gdyby ten złoczyńca, powiedziałem, śmiał knuć zdradliwe zamiary przeciw swemu oswobodzicielowi, otrzymałby prędko zapłatę niewdzięczności swojej, i nie

spodziewam się aby się chciał najpiérwej probować z wojskami które tak bardzo dały mu się poznać; przekona się więc p. hrabia, iż dzisiaj prędzej interesa Prus niż nasze własne mam na względzie. Nie watpię wcale, iż wymierzone przeciw Prusom usiłowania, okażą się również bezskutecznemi, ale czyż nie jest zadaniem rozumu, uprzedzić wybuch? czyż nie macie zupełnego prawa domagać się od Rzeczypospolitej aby się wytłumaczyła ze swego wspólnictwa z buntownikami? nie przytaczając nawet licznych dowodów jakie sam przedmiot nastręcza, czyż nie macie prawa przypomnieć tego wszystkiego coście przeciw emigrantom uczynili, dla dogodzenia jedynie republikanom? i jeżeli Dyrektorjat trwoży się pobytem kilku nieznanych starców po za linją demarkacyjną, i domaga się wygnania dla tych ofiar nieszczęśliwych, czyż nie możecie upomnieć się ze swej strony, aby nieprzyjaciele wasi nie byli protegowani we Francji? czyż sława Króla tego nie wymaga? etc. etc. » P. Haugwitz nic nie miał do zarzucenia tym uwagom; owszem, pochwalał je nawet, nie chcąc wyjść wszakże ze swego systematu bezwładności, i starał mi się dowieść, że krok jakiego wymagałem byłby wyzywającym a przez to samo niebeśpiecznym. » Znajome są dodał dworowi petersburskiemu powody dla których unikamy zerwania stosunków z rzecząpospolitą, a *wpływ nasz na nią jest zupełnie żaden*; moglibyśmy go pozyskać chyba zawierając ofiarowane nam ścisłe przymierze, Król zaś najmocniej postanowił unikać jednej i drugiej alternatywy. »

V.

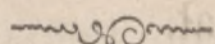
KSIĄŻE REPNIN DO HR. RAZUMOWSKIEGO.

AMBASADORA ROSSYJSKIEGO W WIEDNIU.

Dnia 13/24 Lipca 1798 r.

Dowiedziałem się z największą pewnością, iż Kościuszko, naczelni ostatniego powstania polskiego, przybył do Paryża, chociaż dał był słowo że służyć nie będzie przeciw Rossji i jej sprzymierzeńcom, i chociaż dobrodziejstwa Najjaśniejszego Pana powinne były wlać w nas ufność, że zachowa się spokojnie i nie będzie miał żadnego udziału w znanych usiłowaniach Dyrektorjatu zbuntowania dawnej Polski. Samo przybycie jego do Francji zamiast siedzenia cicho w Ameryce, przekonywa dowodnie, że zapomniał i swoje słowo i wyświadczone mu dobrodziejstwa. Wypadek ten nadto jest ważnym przez następstwa jakie dla obu dworów cesarskich mieć może, abym o nim nie mówił z Waszą Excellencją. Potrzeba aby dwór wiedeński uwiadomiony był o tém, jeżeli nim dotąd nie jest, i żeby zgodnie i wspólnie z nami przedsięwziął zaradcze środki.

Nie mogę też pokryć milczeniem, iż Ignacy Potocki, jeden z głównych twórców ostatniego powstania polskiego, przyjaciel Kościuszki i jeden z tych którzy nim kierowali, znajduje się w nowej Galicji, w okolicach Lublina, w należącej do niego majętności, zwanej Kurowem. Niezawodnie największej wagi jest rzeczą, aby ten p. Potocki, najgorszy zresztą poddany, dyszący tylko zaburzeniami i myślą odbudowania Polski za pomocą jakich bądź środków, nie pozostał bez najściślejszego dozoru, i aby dwór wiedeński przedsięwziął względem niego środki jakie mu mądrość jego podyktuje. Z gorliwości dla wspólnej sprawy, uważałem za potrzebne pisać o tém do Waszej Excellencji, abyście, kierowani temiż pobudkami mogli zrobić z tej wiadomości użytek, jaki dobro służby Jego Cesarskiej Mości wskazać może.



Jednocześnie wyprawione zostały pisma urzędowe, uwiadamiające o przybyciu Kościuszki do Paryża: do jenerał-gubernatora Litwy Bułgakowa, do inspektora jazdy litewskiej Kołogrywowa, zalecające mu aby miał oko na Polaków służących w wojsku, i do hr. Gudowicza.

VI.

HR. PANIN DO CESARZA PAWŁA.

Berlin 21 Września, 2 Października 1798 r.

Cel powrotu Kościuszki nie jest już tajemnicą. Zwierzenie się hr. Haugwitzw tej mierze, nie pozostawia najmniejszej wątpliwości co do okropnego charakteru tego człowieka, nieczułego na nauki losów przeciwnych i na wspaniałomyślne dobrodziejstwa. Sieyes odsyłał Dyrektorjatowi, adressowany do W. C. M. list Kościuszki, tłumacząc się, że ja go żadnym sposobem przyjąć nie chciałem. Depeszę posła republikańskiego przejęto na poczcie; zawierała ten list, którego kopję tutaj przyłączam. Hr. Haugwitz udzielił mi jej pod największą tajemnicą, i pod warunkiem że będzie przesłaną *do rąk własnych* W. C. M. Nie zaniedbałem upewić go, jak dobrze przyjętym będzie tak szlachetny z jego strony postępek. Mam zaszczyt etc.

VII.

HR. PANIN DO CESARZA PAWŁA.

Berlin 9/20 Października 1798 r.

P. Sandoz Rollin, minister Króla pruskiego we Francji, doniósł w ostatniej depeszy, że Kościuszko opuścił Paryż pod imieniem *Dufresnoy.*

Jedni upewniają, że ma się połączyć z Dąbrowskim we Włoszech, drudzy, że uda się do Hamburga, chcąc stamtąd dostać się skrycie do dawnych ziem polskich, zebrać tam stronników i stanąć na ich czele. Nic o tém pewnego wiedzieć jeszcze nie można; ponowiłem jednakże prośbę, aby rozesłano wszędzie powtórne cyrkularze o aresztowaniu Kościuszki, i nastawałem najmocniej na to, aby wszystkie raporta odbierane tutaj o jego podróży, urzędownie i na piśmie mnie komunikowane były. Naczelnik gabinetu odpowiedział mi, iż tego uczynić nie omieszka, skoro p. Sandoz potwierdzi piérwsze swoje doniesienie, i że toż samo dworowi wiedeńskiemu zakomunikowaném będzie. Uprzedziłem tymczasem jenerałów W. C. M. na Litwie, Wołyniu i Podolu, posławszy im cyrkularz. Murawjew odbierze odemnie też same wskazówki, aby mógł zarządzić poszukiwania w Hamburgu, i odkryć mniemanego Dufresnoy jeśliby tamtędy przejeżdżał.

W rozmowie z hr. Haugwitz starałem się przedewszystkiém dać mu uczuć, jak niezbędném dla utrzymania porządku i spokojności w nowych prowincjach trzech mocarstw, jest wzajemne między niemi porozumienie się co do środków przytłumienia wszelkiego rozruchu, i pomagania sobie nawzajem, w razie gdyby płomień rewolucyjny znowu w którémkolwiek państwie wybuchnął. Minister Stanu uznając korzyści wczesnego porozumienia się, i nawet pewnych, na wszelki wypadek zobowiązań, nie chciał posunąć się dalej. Wezwany jednak do głębokiego obmyślenia tego przedmiotu i przełożenia go od siebie Królowi, oświadczył, iż ma zamiar zająć się tém niezwłocznie. Uwiadomiłem go wtenczas, iż jestem przez W. C. M. umocowany do traktowania w tej mierze, skoro Król raczy mnie o swoich chęciach uprzedzić.

VIII

RESKRYPT CESARZA PAWŁA DO HR. REPNINA.

24 Października 1798 r.

Dowiedziawszy się o wyjeździe z Paryża znanego Kościuszki, za potrzebne uznaliśmy, abyście drukowanemi cyrkularzami ogłosili, iż po wstąpieniu Naszém na tron, znalazłszy onego Kościuszkę w więzieniu, czynem wspaniałomyślności naszej, nie tylko uwolniliśmy go, ale nadto, odebrawszy od niego przysięgę na wierność, wyświadczyliśmy jemu łaskę, nadając wioski, a w zamian ich udzielając summy pieniężnej i dozwoliwszy mu wyjechać za granicę, dla wyleczenia się z chorób. Pokazuje się teraz, że zamiast zachowania wierności ku Nam, dotrzymania danego słowa i wdzięczności za doznane od Nas dobrodziejstwa, ów Kościuszko stał się zdrajcą, i wspólnikiem nieprzyjaciół naszych i wszystkich dobrze urządzonych państw; a więc rozkazujemy, aby,

w razie ukazania się jego w granicach naszych, każdy dobrze myślący starał się wszelkiemi sposobami odkryć miejsce jego pobytu, korespondencję i stosunki, a jego samego schwytać i dostawić do najbliższej wojskowej komendy, albo do urzędu ziemskiego, za takową gorliwość w służbie Naszej i wypełnienie obowiązku, przyrzekając szczególne wynagrodzenie. Przeciwnie, jeżeliby kto ośmielił się ukrywać go, wchodzić z nim w jakiekolwiek bądź stosunki, lub wiedząc o nim i jego wspólnikach, natychmiast nie doniósł, ten sam za zdrajcę i buntownika poczytany, i najsrożej według prawa sądzony, a bez żadnego zelżenia karany będzie.

IX

NOTA WRĘCZONA HR. PANINOWI PRZEZ MINISTRA KRÓLA PRUSKIEGO.

dnia 23 Października 1798 r.

..... Otrzymaliśmy najpewniejszą wiadomość, że sławny Kościuszko, który od niejakiego czasu mieszkał w Paryżu, wyjechał w tych dniach do Niemiec, pod imieniem Dufresnoy. Miał zrazu jechać do Hamburga, ale teraz udał się na Moguncję i Frankfurt, gdzie będzie czekał nowych instrukcji, do których zastosuje dalsze swoje wycieczki i kierunek całego, tajnie mu danego zlecenia. Opatrzony jest w weksle na 800,000 fr. wypłacalne okazicielowi w Amsterdamie i Hamburgu; ale piérwsze z nich zostały już zaprotestowane i zwrócone nazad; jest nadzieja że toż samo spotka i drugie....

Dwór pruski zalecił schwytanie Kościuszki, jeżeliby się w granicach Prus zjawił, kazał też śledzić za nim, umocowanym swoim w Hamburgu i Frankfurcie, i pisał do Króla Saskiego, prosząc o podobneż z jego strony rozporządzenie.

X

NOTA MINISTRA KRÓLA PRUSKIEGO.

dnia 2 Listopada 1798 r.

Nie przestając śledzić z bliska intrygi ex-jenerała Kościuszki, dowiedziano się, że przed opuszczeniem Paryża, utrzymywał korespondencję z załogą twierdzy w Ferrarze, i że jej polecił złożyć od niego podziękowanie rzeczypospolitej cysalpińskiej, za pomoc i schronienie udzielone wychodźcom polskim. Zachęcał też rodaków swoich, aby cierpliwie i wytrwale oczekiwali chwili, w której można będzie praco-

wać nad wskrzeszeniem niepodległości Polski. Dowiadujemy się nadto, iż zamiarem jest Kościuszki udać się do Włoch, i ta wiadomość jest bardzo prawdopodobną; zasługuje na to, aby natychmiast zakomunikowaną była hr. Paninowi.....

XI

MURAWJEW DO HR. PANINA.

Hamburg 9 Listopada 1798 r.

Kościuszko przyjechał do Moguncji z Jourdanem; stamtąd ma być w Hamburgu i zatrzyma się na przedmieściu Jerzego, w domu Kempena, gdzie mieszka także Lamarque. Weksle jego są na imię Dufresnoy; mają być wypłacone przez bankiera Strezowa; utrzymują, że 50,000 fr. na ich rachunek już wypłacono.

XII

HR. HAUGWITZ, MINISTER KRÓLA PRUSKIEGO, DO HR. PANINA.

Berlin 9 Listopada 1798 r.

.,.. Przy odejściu poczty z Paryża, dnia 26 Października, awanturnik ten już był tam powrócił. Coraz bardziej prawdopodobném się staje, że miał zamiar udać się do Włoch, ale na ten raz, nie był dalej Bruxelli, prędki zaś jego powrót przypisują głównie zaprotestowaniu wekslów, które miały go wspierać w dalszych przedsięwzięciach.

XIII

HR. RAZUMOWSKI DO CESARZA PAWŁA.

Wiedéń 17/28 Listopada. 1798 r.

Najjaśniejszy Panie!

Między listami jakie mi poczta dzisiejsza przyniosła, odebrałem jeden, którego adres i pieczęć zwróciły szczególną moją uwagę; z wielkiém zdziwieniem znalazłszy w nim parę wierszy zdrajcy Kościuszki i pakiet do rąk Waszej Cesarskiej Mości adresowany, składam tę szczególniejszą przesyłkę u stóp Waszych, Najjaśniejszy Panie, uważając za obowiązek zostawić przy niej i to co pisał do mnie, oraz kopertę zawierającą wszystko.

Spełniając rozkazy Waszej Cesarskiej Mości, tyczące się Kościuszki naprowadziłem dzisiaj na ten przedmiot rozmowę z baronem Thugutt. Oświadczyłem mu, iż żądaniem jest Waszej Cesarskiej Mości, aby ten

zdrajca wydanym został Rossji, w razie gdyby zdołano aresztować go na ziemiach Cesarza Rzymskiego, albo dostać gdzie indziej za pomocą siły zbrojnej austryjackiej. Baron Thugutt przy tej zręczności potwierdził mi to samo, o czém dawniej zapewniał, że gdyby kiedykolwiek miano szczęście go pochwycić, byłby całkiem oddany w ręce Waszej Cesarskiej Mości. W tym celu, rysopis jego udzielonym został wszystkim urzędnikom Cesarstwa i tutejszego dworu, a na żądanie ministerjum, pisałem do missji Waszej Cesarskiej Mości we Frankfurcie, dokąd jak uwiadamiano, Kościuszko miał zamiar udać się pod przybraném imieniem, aby wspólnie z ministrem austryjackim śledziła jego kroki starając się go ująć. Baron Thugutt dodał, iż niczego z żadnej strony nie odkryto, prócz tego tylko, że podejrzewano iż ukazał się w okolicach Hamburga, ale że się schronił przed zarządzonemi poźniej z tego powodu poszukiwaniami.

Z najgłębszém uszanowaniem, etc. W. C. M.

(podpisano) HR. A. RAZUMOWSKI.

XIV

CESARZ PAWEŁ DO HR. RAZUMOWSKIEGO.

Petersburg dnia 2 Grudnia 1798 r.

Z zadziwieniem odebrawszy za pośrednictwem waszem, panie Hrabio, pakiet od Kościuszki, i wyrażając moje niezadowolnienie, odsyłam go nazad, rozkazując, jakim zechcecie sposobem zwrócić list ten Kościuszce, i uwiadomić, że ja od zdrajców nic nie przyjmuję.

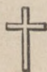
(podpisano) PAWEŁ.

ZMARLI NA WYCHODZTWIE

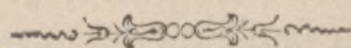
OD 1861 ROKU.

Na obszernym tułaczym mogilniku coraz więcej przybywa krzyżów. Z każdym z nich łączy się wspomnienie albo narodowej zasługi albo cichych za ojczyznę cierpień i wierności do grobu; każdy też z nich, jeśli nie do całego narodu, to przynajmniej do rodziny i przyjaciół przemawia i przypomina im chrześcijański względem umarłych obowiązek. Dla tego myślimy, że czytelnicy z wdzięcznością znajdą w niniejszym zbiorze wiadomość o rodakach, którzy żywot swój na wychodztwie skończyli. Zaczynamy ten nowy szereg nekrologów od r. 1861, jako od chwili, w której zawieszone w owym czasie *Wiadomości polskie* przestały je podawać. Wiemy, żeśmy nie wszystkich zmarłych tu zapisali, ale dajemy wszystkich, o których jakiekolwiek doszły do nas szczegóły; nie pomieszczeni w *Roczniku* obecnym, znajdą się w następnym, skoro o nich odbierzemy wiadomość.

Musimy także ostrzedz czytelnika, żeśmy ograniczyli się na krótkiej, jedynie chronologicznej wzmiance o tych mężach wielkiej narodowej zasługi, których biografje albo już są ogłoszone, albo niebawem wyjść mają.



REQUIESCANT IN PACE.



BASIŃSKI Henryk urodził się we wsi Golicach około Piotrkowa, 1842 roku; odbywał nauki w piotrkowskiém i warszawskiém gimnazjum; wyszedłszy stamtąd jako celujący uczeń, zapisał się do nowo utworzonego instytutu politechnicznego w Puławach, a dla braku środków zmuszony go opuścić, szukał dalszej nauki w szko-

le głównej warszawskiej. Z wybuchem powstania 1863 r. pomimo słabego zdrowia pośpieszył z innymi na pole walki; był w oddziale Oksińskiego i straciwszy w boju rękę, kaleką dostał się na wychodztwo. Przybywszy do Paryża w 1864 roku wszedł zaraz do szkoły prawa; pomimo małej znajomości języka nad którym słuchając kursów dużo jeszcze pracować musiał, potrafił w dwóch pierwszych latach być celującym uczniem. Gotował się do trzeciego egzaminu, kiedy wytężona praca, przy cierpieniach tułactwa i wielkim niedostatku, bo udzielana przez rząd francuzki pomoc była jedynym dla niego środkiem do życia, wycieńczając siły, oddziałała na umysł. Pierwszym objawem pomięszania była mowa powiedziana przez ucznia w sali *des pas perdus* do zgromadzonych adwokatów, o wielkości powołania sędziów; nazajutrz w południe, widziono go klęczącego przed kościołem na placu Sorbony i modlącego się głośno; otoczony przez przechodzących, miał znowu do nich przemowę, o moralnym upadku świata, o opuszczeniu Polski,—ale w myślach coraz więcej było rozstroju. Nie jeden z przytomnych zapłakał; biédnego młodzieńca odprowadzono do domu zdrowia; odwieziony poźniej w zupełném obłąkaniu do Bicétre, pod Paryżem, tam d. 22 Listopada 1866 roku umarł.

BIELSKI Paweł, urodził się w województwie lubelskiém 1809 roku; w powstaniu listopadowem zaciągnął się do wojska i odbył całą kampanję; dostawszy się na wychodztwo, służył jeszcze w wojsku pjemonckiem, a przez długi czas był korespondentem dzienników krajowych z Paryża. Gdy wybuchło powstanie 1863 roku udał się do Galicji w celu ofiarowania krajowi swych usług, — ale zrujnowane już zdrowie zmusiło go do prędkiego powrotu. Umarł d. 31 Sierpnia 1863 roku. Spoczywa na cmentarzu Montmartre.

BIGOSIŃSKI Ignacy, urodził się d. 1 Lipca 1795 w Kłobucku, w powiecie wieluńskim województwa kaliskiego, młodo wstąpił do wojska; od 1819 r. żołnierz w 8 pułku linjowym, jako podoficer walczył przeciw Moskwie pod Zakrzewiem, Dobrem, Młynkiem ocieszyńskim, Grochowem, Dębem wielkim, Siedlcami, Kleczkowem, Tykocinem, Ostrołęką i Warszawą. Nie chcąc się poddać Mikołajowi ani przyjąć poźniej amnestji, dostał się z innymi do Francji i osiadłszy w mieście Niort, oddał się pracy; ożenił się i doczekał czworga dzieci. Umarł tamże 10 Czerwca 1864.

BOLEWSKI Łodzic Ksawery urodzony w Żydowie, na Kujawach, d. 1! Listopada 1811 roku, uczeń we Włocławku i w warszawskiem Lyceum. Dla zbyt młodzieńczego wieku przyjęty z trudnością do artylerji w 1831 r. pod Ostrołęką, gdy towarzysze legli, ostatni przy armacie oczekiwał pocisku, który mu nogę strzaskał. Ranny i obalony, podjęty był na konia przez rannego oficera 6 pułku jazdy, który gdy widzieć nie mógł kędy uchodzić, bo mu oczy zalewała krew, unoszony służył za wzrok unoszącemu. Do Warki tak dobiegli, do Warszawy odniesieni byli. Krzyż *virtuti militari* odebrał Bolewski w dzień amputacji palców. Ukończył szkołę « sztuk i rzemiosł » i « jeneralnego-sztabu » w Paryżu za dni wygnania. Czas niejaki w Anglji i trzy lata na wyspie Jersey spędził, gdzie z hiszpańskimi żyjąc wygnańcami, oznajomił się z ich mową i wiedzą. W 1843 r. do Francji wrócił, w mi-

stycznëm rozgorliwieniu owego czasu udział przyjął, w 1845 r. ożenił się, 1860 żonę utracił 4 Kwietnia, a na dniu 13 Listopada umarł mu piętnastoletni syn. Pod tę boleść i czasy, rozwinięty w Horodle sztandar woli i przyszłości narodowej, nie dozwolił Bolewskiemu spocząć ani się zatrzymywać; dwoje sierotek i wiek nie były mu zaporą; w burzę wielką, o nocy, dnia 20 Lipca 1863 ujechał z Paryża do Samostrzału, gdzie równie niewstrzymany, dwa dni zaledwo przebył, biegnąc pod naczelnictwo jenerała Edmunda Rożyckiego, do Galicji. Na Wołyniu dokąd weszł pod Poryckiem, w ośmset ludzi i zaraz tysiącami nieprzyjaciela otoczeni, gdy rozdzielili się na głosy nawstecz i naprzód iść chcących, Ksawery Bolewski z mniejszością heroiczną radził: «na przebój», lecz wysłany temu gwoli z siódemką zbrojnych, 2 Listopada, zaledwo pół mili ujechać zdołał, natychmiast przez tłumy moskiewskiego żołdactwa otoczony, porwał za sobą podwładnych swoich i uderzył. Kilkanaście trupów nieprzyjaciela, gdy nie poprawiło w niczém położenia, zestrzelony z konia, upadł pod ciosami nieprzyjaciół. Zwłoki jego śmiertelne, rozpoznane po głowie i obliczu wielkiej powagi, zabrane zostały na płaszcze żołnierzy z oddziałów owdzie nadeszłych i pochowane w Porycku na cmentarzu. C. N.

BORKOWSKI ksiądz Jerzy, były kapelan pułkowy w legji konnej litewsko-wołyńskiej w 1831 roku, umarł w Paryżu dnia 30 Sierpnia 1861 roku, licząc 59 lat wieku.

BORKOWSKI Karol urodził się na Wołyniu 1802 roku; zaledwo skończywszy szkoły, mając lat ośmnaście udał się do Warszawy i zaciągnął się 1820 r. do gwardji artylerji konnej, gdzie go znalazło powstanie listopadowe. Odbył całą wojnę 1831 roku, a każde poźniej za życia jego usiłowanie odzyskania bronią niepodległości ojczyzny znalazło przygotowanego do udziału i ofiary. Jeden z pierwszych i najgorętszych stronników wyprawy partyzanckiej Józefa Zaliwskiego, w 1833 roku w Avignonie wykonał żądaną przysięgę; naznaczony na okręgowego naczelnika, w duszy ofiarę z życia uczynił, a wybrawszy dla siebie powiaty: Ostrogski i Krzemieniecki, ruszył z nadzieją wywołania tam wojny partyzanckiej; przez Szwajcarję Drezno, Czechy dostał się do Galicji, odbywając całą tę podróż dla braku funduszów po większej części piechotą. Gdy przygotowań do powstania nie było, Zaliwski wróciwszy z Kongresówki w Czerwcu, wyprawę do przyszłej wiosny odłożył, wydając do Galicjan odezwę; rząd austryjacki kazał wszystkim wychodźcom przybyłym z Francji wyjeżdżać. Borkowski ukrywał się w Galicji. Po zjeździe w Münchengraetz (we Wrześniu 1833) i zawartej między trzema rządami umowie, nie mogąc skłonić Zaliwskiego do zmienienia pierwotnego zamiaru, według którego powstanie miano tylko w zaborze moskiewskim wywołać, chciał je do wszystkich ziem przedrozbiorowej Polski rozciągnąć i w celu zrobienia przygotowań, zawiązał tajne stowarzyszenie *Węglarzy polskich*. Zaliwskiego wkrótce aresztowano; rewizje odbywały się wszędzie; d. 21 Marca 1834 r. i Borkowski został ujęty i osadzony w kryminale we Lwowie. Dowiodłszy podczas śledztwa szlachetności i wielkiej mocy charakteru, po trzechletniém więzieniu skazany na śmierć, ujrzał ten wyrok zmienionym przez cesarza Ferdynanda na 15 lat więzienia w kajdanach w twierdzy Kufstein; wysłuchawszy go pod pręgierzem, 25 Lutego 1837 roku na miejsce przeznaczenia wywiezionym został; okuty na rękach i nogach znosił tam srogie więzie-

nie, przy najgorszém obejściu, do 23 Lutego 1844 roku; ułaskawionego z powodu zupełnie zrujnowanego zdrowia, odwieziono do Triestu; stamtąd w skutek starań przyjaciół i nadesłanej przez ks. Adama Czartoryskiego i Komisję funduszów emigracyjnych pomocy, d. 23 Kwietnia odpłynął do Francji. W 1848 roku, pośpieszył znowu do Galicji, i był obecny podczas bombardowania Krakowa; udawszy się później do Lwowa, dostał się raz jeszcze do więzienia; — uwolniony, w domu księcia Jabłonowskiego, w ciężkiej chorobie, poznał zacną Szwajcarkę, będącą tam nauczycielką, która go doglądała w niemocy; ożenił się z nią i wrócił do Francji. W 1861 r. wydał obszerny *Pamiętnik historyczny o wyprawie partyzanckiej do Polski w r.* 1833, który we dwa lata później powtórnego doczekał się wydania. Do ostatniej chwili o ojczyźnie myślił. W 1863 r. już zupełnie na siłach złamany, ogłosił jeszcze *Kilka uwag nad obecnem powstaniem w Polsce*; zostawił w rękopiśmie Katechizm dla ludu polskiego. Umarł w Paryżu d. 25 Lutego 1865 roku; pochowany na cmentarzu Montmartre.

BOROWSKI Władysław. Urodził się w Królestwie kongresowém, 1841 roku. Miał czynny udział w ostatniém powstaniu i jako kapitan dostał się do Francji w 1864 r. Wszedłszy do szkoły dróg i mostów, umarł d. 25 Lipca 1866 licząc lat 25.

BRODOWSKI Wacław, oficer 3 pułku sztrzelców konnych w r. 1831; umarł w Filadelfji w Ameryce d. 9 Stycznia 1863 r. zostawiwszy żonę i czworo dzieci.

BUDZYŃSKI Wincenty urodzony na Wołyniu 1815 roku, miał czynny udział w powstaniu 1831, a później w wyprawie Józefa Zaliwskiego z Francji do Polski w 1833 roku. Na wychodztwie zajmował się sprawą narodową; dużo pracował i pisał; starając się oznajamiać Zachód z literaturą naszą, gruntowne krytyczne prace nad dziełami Adama Mickiewicza, Juljana Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego umieszczał w *Revue contemporaine*, pod przybraném imieniem *Paul de Saint Vincent*. W 1846 roku wydał w Paryżu: *Kilka uwag o poezji narodowej*. Wykładał literaturę naszą w szkole wyższej polskiej przy bulwarze Montparnasse. Dotknięty cierpieniem na umyśle, umarł w domu zdrowia d. 5 Maja 1866 roku.

CHERUBIN Jakób, urodził się w Płockiém 1809 roku; podczas powstania listopadowego zaciągnął się jako ochotnik do pierwszego pułku ułanów i odbył całą wojnę 1831 roku. Po przejściu granicy przez dwa prawie lata trzymany był w więzieniu pruskiém w Grudziążu. Na wychodztwie utrzymywał się z pracy rąk; umarł w Londynie dnia 18 Lutego 1865 roku.

CHRZANOWSKI Wojciech, urodził się w województwie krakowskiém 1792 roku; skończywszy szkołę wojskową, 1811 wstąpił do wojska polskiego w Księztwie warszawskiém, i jako porucznik artylerji odbył kampanję 1812 roku; po kongresie wiedeńskim wszedł do sztabu kwatermistrzostwa w nowo tworzącém się wojsku Królestwa polskiego. Brał czynny udział w zdejmowaniu planów do karty tegoż Kró-

lestwa. 1828 r. W. K. Konstanty wymówiwszy się od udziału w wojnie tureckiej z wojskiem polskiem któremu przewodził, zgodził się na odkomenderowanie kilku najzdolniejszych oficerów sztabu i kwatermistrzowstwa do głównego sztabu armji rossyjskiej. Między nimi Chrzanowski, podczas kampanji 1828 i 1829 roku, zdobył sobie w sztabie armji moskiewskiej reputację oficera znakomitego.

Po zawartym pokoju wrócił z pod Adryanopola do Warszawy. Powstanie listopadowe zaledwie wybuchło, kiedy dnia 7 Grudnia 1830 roku podał Dyktatorowi Chłopickiemu plan wojny zasadzający się na bezzwłoczném zaczepném działaniu przeciw Moskwie, przeniesieniu teatru wojny na Litwę, i organizowaniu tam sił zbrojnych. Projekt ten odrzuconym został. Co więcej, Chłopicki, chcąc się uwolnić od natrętności tych co mu radzili myśl Chrzanowskiego wykonać, chcąc się pozbyć i podpułkownika Prądzyńskiego podobne podającego plany działania, odkomenderował jednego i drugiego do dwóch fortec Modlina i Zamościa, tak iż obaj dopiero, po złożeniu dyktatury, przez zamianowanego Wodzem naczelnym Księcia Michała Radziwiłła, napowrót do sztabu głównego przywołani byli. Na samym początku wojny, jeszcze przed bitwą grochowską, Chrzanowski był lekko ranny w rękę. Po tej bitwie, jednakże, w której Chłopicki ciężko ranny został, a po której Radziwiłł złożył dowództwo naczelne, Chrzanowski powołany do narady przez Rząd narodowy, należał do tych co stanowczo odrzucili sommację Feldmarszałka Dybicza, żeby się Warszawa poddała.

Nowo mianowany wódz naczelny, Skrzynecki, zaszczycał go wielkiém zaufaniem, chociaż nie zawsze szedł za jego radą. Widząc niepodobieństwo skłonienia Skrzyneckiego do śmiałych z armją głowną przedsięwzięć, odkąd był zwyciężył pod Dębem wielkim i Iganiem, Chrzanowski należał do tych co mu doradzali, podczas biernego i odpornego tylko zachowania się głównej armji, probować szczęścia korpusami mniejszemi, zagrażającemi odległe od środka nieprzyjaciela, skrzydła jego. Posunięty na stopień jenerała brygady, miał sobie powierzone dowództwo takiego korpusu z którym, pobiwszy jenerała Kreutz pod Lubartowem, dotarł do Zamościa, w myśli niesienia pomocy powstaniu Wołynia i wyprawionemu tam poprzednio jenerałowi Dwernickiemu. Lecz wkrótce zawiadomiony, że Dwernicki widział się zmuszonym ustąpić z korpusem do Galicji, sam postanowił wrócić pod Warszawę, i powtórnie umiał swój korpus przeprowadzić szczęśliwie do Wisły pod Puławami, pomimo otaczających go sił nieprzyjacielskich.

W Lipcu znawu wykomenderowany na czele trzech dywizji, szukał nieprzyjaciela na trakcie brzeskim aż pod Kałuszynem, bez stanowczego spotkania.

Pod koniec wojny, zrażony brakiem inicjatywy z naszej strony, począł sam wpadać w zwątpienie. Po przejściu Wisły przez armję moskiewską, kiedy Skrzynecki za naciskiem Rządu narodowego, wyprowadził wojsko nasze przeciw Paskiewiczowi za Bzurę, Chrzanowski dowodził prawem skrzydłem; ale i tu nie przyszło do spodziewanego z nieprzyjacielem spotkania. Karność w wojsku, skutkiem przeciągłej nieczynności głęboko zachwiana, doprowadziła Skrzyneckiego do złożenia naczelnego dowództwa. W samejże Warszawie, niecierpliwość doszła do tego stopnia, że lud dał się uwieść ślepej wściekłości która się objawiła nieszczęsną nocą 15 Sierpnia!

Chrzanowski przez Krukowieckiego powołany do urzędu gubernatora stolicy, uczęstnicząc w obronie Warszawy, dopełniał ściśle trudnej powinności; ale przy zupełném już zwątpieniu o możności przedłużenia wojny, stał się w najwyższym stopniu między spółrodakami niepopularnym. Po kapitulacji Warszawy, jeden z

wyższych oficerów, pozostał w stolicy; na wezwanie W. Księcia Michała stawił się przed nim jako podpułkownik kwatermistrzostwa; udał nawet przed W. Księciem że się da nakłonić do wstąpienia do moskiewskiego wojska; tymczasowie otrzymał pasport do Galicji, za którym kraj opuścił na zawsze.

Przybywszy na emigrację do Paryża, miał zrazu do pokonania przeciwko sobie uprzedzenia spółrodaków, tém bardziej, że nie chciał, czy nie umiał przed nimi przeszłości swojej bronić ani tłumaczyć, skoro w nich tylko widział domysły krzywdzące jego charakter. Niebawem, przecież, zacność tego charakteru stała się wszystkim oczéwistą.

W pierwszym rzędzie tych co jej główne dawali świadectwo, stanął książe Adam Czartoryski. Niebawem też go Książe przedstawił rządowi angielskiemu jako oficera, nie tylko sztuki wojennej doświadczonego, ale nadewszystko, obeznanego z wojskiem moskiewskiem i zamiarami gabinetu petersburskiego co do Wschodu.

Tymczasem Rząd moskiewski ceniąc jego wysokie zdolności, nie przestawał różnemi drogami kusić go do przyjęcia służby u siebie. Głośne odrzucenie tych propozycji postawiło Chrzanowskiego w jaśniejszém o tyle świetle w oczach wszystkich spółrodaków.

1833 roku został przydzielony do poselstwa angielskiego w Stambule i w tym charakterze upoważniony do służenia Sułtanowi, celem nadania wojsku jego, silniejszej organizacji, i postawienia Turków w możności stawienia oporu Moskwie. Było to jakby pierwsze znamie obudzonej w rządzie angielskim czujności na zamiary Moskwy przeciw Turcji. Przybyli między rządy zachodnie wychodzcy polscy po roku 1831, mianowicie starania księcia Adama Czartoryskiego, obudziły tę czynność; posłużyły do tego przedstawione gabinetom Paryża i Londynu akta sekretne dyplomacji moskiewskiej, znalezione w kancellarji W. Księcia Konstantego, w Belwederze, 1830 roku. W istocie, kiedy Car Mikołaj prowadził wojnę 1828 i 1829 roku przeciw Turcji, Anglija i Francja ,nie tylko nie widziały powodu do jakiegokolwiek zastrzeżenia, ale własnych przez cały ciąg tej wojny utrzymywały posłów nadzwyczajnych przy kwaterze Cara. W lat kilka zaledwo, w miejsce obojętności i zaślepienia nastąpiła czujność, potém drażliwość, która w końcu doprowadziła do wielkiej, tak zwanej krymskiej wojny, na zasadzie interesu pierwszego rzędu jaki ma Europa, żeby zabeśpieczać państwo tureckie przeciw zamachom albo cichym podejściom Carów.

W rok po przybyciu Chrzanowskiego do Stambułu, 1834 roku, kiedy już miał sobie oddane przewodnictwo w reorganizacji wojska tureckiego, na naleganie Moskwy, przy powolném przyzwoleniu Anglji, musiał Turcję opuścić. Ale gdy wkrótce potém, Mehmed Ali, Pasza Egyptu, stał się groźnym dla Turcji, rząd angielski, chcąc powtórnie postawić Chrzanowskiego w możności służenia Turkom radą, chociaż w charakterze członka ambassady, nadał mu prawo obywatelstwa angielskiego. Wróciwszy do Stambułu (1835 r.) zwiedził wtenczas Azję mniejszą, Kurdystan, Syrję, Mezopotamję, kraj zakaukazki, przedstawiając projekta ich obrony; rok cały spędził w Bagdadzie, organizując tam dwudziesto tysięczny korpus jazdy, złożony z Arabów. Pod tę porę, Moskwa niby życzliwość okazywała Turcji. Przyszło do tego, że przed zagrożeniem Azji mniejszej przez Jbrahima Paszę, Moskwa ofiarowała wystawić z Gruzji, na pomoc Turkom, własnego wojska korpus. Chrzanowskiemu na przedstawienie Anglji ofiarowano dowództwo korpusu tureckiego któryby działał wspólnie z tym posiłkiem moskiewskim. Chrzanowski oświadczywszy że do żadnego

działania wspólnego z Moskwą przydać się nię może, czuł się obowiązanym, w ręce angielskiego rządu któremu zawód sprawiał, złożyć dymissję.

Wróciwszy do Paryża w ostatnich dniach 1840 roku, podniósł i przedstawił księciu Adamowi Czartoryskiemu myśl użycia kilku byłych oficerów naszego sztabu kwatermistrzostwa do narysowania i wydania karty Polski przedrożbiorowej, z materjałów cząstkowych, dokonanych przez sztaby trzech państw zaborczych, każde na posiadłościach swoich. Lat kilka upłynęło nim się dał obmyślić fundusz potrzebny. Początku dostarczył zapis zmarłego 1847 roku jenerała hr. Paca, fr. 12,000 do rozrządzenia księcia Adama Czartoryskiego, na jakikolwiek użytek mający na celu sprawę krajową, zostawiony. Chociaż ten fundusz wynosił zaledwo dziesiątą część summy potrzebnej na dokonanie tak wielkiego przedsięwzięcia, zezwolił przecie Chrzanowski na przystąpienie do dzieła które zwykł był, od lat wielu, zalecać jako do przyszłego powstania narodowego tak koniecznie potrzebne, że nie przystępowanie do niego częstokroć wytykał rodakom w oczy jako brak rzetelnej miłości Ojczyzny. Powoławszy do pomocy dawnych kolegów ze sztabu kwatermistrzostwa naszego, podpułkownika Zabłockiego, kapitana Kowalskiego i innych, zaczął od wykonania *karty zbiorowej*, według której, 48 części miało stanowić całość karty przedroźbiorowej Polski. Przez następne lata, za staraniem księcia Czartoryskiego pomiędzy możniejszymi z kraju, dostarczanych było Chrzanowskiemu corocznie po 10,000 franków na to dzieło, i co roku po dwie lub trzy sekcje przybywały do całości. Z rokiem 1848, zaszła przerwa w tej pracy jako i w potrzebnym zasiłku pieniężnym. Ale 1857 roku, za staraniem wydawnictwa biblioteki polskiej w Paryżu podjęte na nowo wykonanie karty, doprowadzoném zostało w 1862 roku do zupełności; tak więc, atlas ten pozostaje świadectwem zarówno zaszczytném dla jenerała Chrzanowskiego i oficerów którzy wykonaniu przewodniczyli, jak dla naszego w ogólności wychodztwa.

1848 roku, Karol Albert Król Sardynji i Pjemontu, po klęsce doznanej od Austryjaków w Lombardji, na przedstawienie oficerów polskich już w służbie jego zostających, ofiarował Chrzanowskiemu naczelne dowództwo pod okiem własném. Stawił się Chrzanowski w Turynie pod koniec roku tego, a rozpoznawszy stan i ilość wojska, radził w Styczniu 1849 r, nie spieszyć z wypowiedzeniem zawartego z Austryjakami zawieszenia broni. Przemogły jednakże rady niecierpliwych, zawieszenie broni wypowiedziane zostało; co więcej, Wódz naczelny (Major-Général) nieobecny w Turynie, o tém wypowiedzeniu zawiadomionym został, na dni ośm tylko przed terminem onego. Wojsko pjemonckie pod Nowarą (dnia 23 Marca 1849) doznało porażki tak stanowczej, że Karol Albert schodząc z pola bitwy, złożył koronę w ręce syna, Wiktora Emanuela, i potajemnie kraj opuścił. Czy w tém zawinił Chrzanowski? — Ktokolwiek wówczas należał do tego wojska, a nie uległ późniejszym wrażeniom i względom, w rzetelności przyzna, że w pjemonckiém wojsku nikt dowódzcy nie winił; owszem, wszyscy go żałowali, że chociaż im umiejętnie przewodził, natrafił na chwilę w której można było powiedzieć, że nikt w wojsku bić się nie chciał. W rzeczy samej, i wojsko i kraj pod tę porę, dzieliły się na dwie części : jedna zwątpiła o sprawie i upierającego się Karola Alberta szaleńcem nazywała; druga, widziała w nim zdrajcę, a co najmniej Króla, który zawadzał zaprowadzeniu Republiki. Mazzini podówczas był w Rzymie : wiadomość o Nowarze doszła go wpośród uczty, powstał i krzyknął : « Włochy ocalone, wojsko *Królewskie* w rozsypce! » To też po tej przegranej, nie słyszano między Włochami

żadnego narzekania na polskiego wodza; Chrzanowski zaś, złożywszy ministrowi raport szczegółowy, mimo namowy przyjaciół, nie chciał podać do wiadomości publicznej jakiegokolwiek tłumaczenia zaszłych wypadków. Nalegającym by się opowiedzeniem prawdy zasłonił od sądów niesprawiedliwych, jedno odpowiadał : « Bronić « mnie, jest rzeczą ministra wojny; ja się bronić nie mogę kosztem wojska które« mu przewodziłem. » Żądał tylko dymisji; zatrzymywano go, w części zapewne, dla zapewnienia sobie milczenia jego, ale po sześciu miesiącach, przestali milczeć pewnego rodzaju patrioci włoscy, a korzystając z milczenia Chrzanowskiego, usiłowali zakryć winę samychże Włochów, kosztem obcego jenerała.

Nadmienić tu należy o bezinteresowności Chrzanowskiego. Przed wezwaniem go, rząd pjemoncki szukał między fracuzkimi jenerałami naczelnego dowódzcy do wojska pjemonckiego, i ofiarował na wstępie znaczną summę pieniężną. Chrzanowski, nie tylko żadnej zachęty podobnej nie potrzebował, ale na opatrzenie się do wojny, obył się ściśle potrzebnym funduszem zapożyczonym od przyjaciela. Po zawarciu pokoju, w rok po Nowarze, Król dał mu przy dymisji żądanej wstęgę wielką swego orderu, i niemal zmusił do przyjęcia summy piętnastu tysięcy franków, które mu były całym majątkiem do śmierci.

Resztę dni swoich zapełniał Chrzanowski tak jak wszystkie wolne chwile życia, pisaniem dzieł o sztuce i o różnych częściach służby wojskowej. Ale wyższość swoją nie tylko czysto wojskową, ale i polityczną, która jest najwyższym szczeblem na jaki się wznosi żołnierz — okazał najwięcej, ciągłym wykładem bieżących zadań polityczno-wojennych, w pismach podawanych na ręce rządów zachodu, Francji a bardziej jeszcze Anglji, których wydanie z pozostałych papierów jenerała, zapowiedział Leon Chrzanowski w Krakowie. Pisma te ulotne uderzają obszerną znajomością przedmiotu, trafnym sądem, i nadzwyczaj zwięzłém wysłowieniem.

Główną cechą życia jenerała Chrzanowskiego przy gruntownej zacności, była ofiarność zupełna dla kraju, przy zimnej, na pozór lodowatej rozwadze oraz skromności, i jakby zupełném zapomnieniu o sobie.

Umarł w Paryżu, dnia 26 Lutego 1861 roku; spoczywa na cmentarzu Montmartre. Na wychodztwie wydał następujące pisma : *O wojnie partyzanckiej*, (1835) *Rys taktyki zastosowanej do piechoty*, (1837) *O przyrządzeniach mostów i przepraw w czasie wojny*, (1842) *Wyciągi z celniejszych dzieł o wyższej części sztuki wojskowej*, (1844) *Zarys zastosowanej taktyki jazdy*, (1846) *O sztabach*, (1847). *Przepis musztry dla piechoty*; *Quelques considérations sur la campagne de* 1812. (1857) *Podania o piechocie, o jeździe i o sztabach* (1860).

J. W. Z.

CHULAWSKI Michał, rodem z Królestwa kongresowego, służył przed powstaniem listopadowem w drugim pułku linjowym, był sławnym fechtmistrzem. W wojnie 1831 roku podniesiony na stopień porucznika, ozdobionym został za waleczność krzyżem złotym. Po upadku powstania dostał się do Anglji, i tam przez lat dwadzieścia siedm pracował przy kolei żelaznej *Great-Western*. Dnia 29 Września 1865 roku rozjechany został i zabity przez szybki pociąg, niedaleko Londynu. Liczył 59 lat wieku; zostawił żonę i dwoje dzieci.

CZARTORYSKI Książe Adam Jerzy, (syn Adama Kazimierza Jenerała Ziem podolskich, i Jzabelli z Flemingów), urodzony w Warszawie 14 Stycznia 1770.

W latach 1786-1790 odbywa kilkakrotne dla nauki podróże po Niemczech, Francji i Anglji.

Roku 1788, choć jeszcze małoletni, marszałkuje na sejmiku podolskim.

Roku 1790, assystuje jako arbiter, obradom sejmu czteroletniego.

Roku 1792, odbywa kampanję przeciw Moskwie w armji litewskiej, ozdobiony krzyżem *virtuti militari*.

Roku 1796, jako zakładnik w carskiej stolicy i u dworu, zdobywa na samychże wrogach uznanie dla poważnego smutku po stracie ojczyzny.

Roku 1798, przez Cesarza Pawła oddalony z Petersburga na poselstwo przy wygnanym ze stolicy Królu Sardyńskim.

Roku 1801, przywołany napowrót przez Aleksandra I.

Roku 1803, zostaje ministrem spraw zagranicznych, zastrzegłszy sobie prawo pełnienia tych obowiązków bez żadnych nagród i złożenia ich w każdej chwili gdyby stanęły na przekor uczuciom Polaka. Mianowany w tymże roku kuratorem uniwersytetu wileńskiego, zapewnia młodzieży większej części Polski wychowanie publiczne, narodowe.

Roku 1806, składa obowiązek ministra, zachowując tylko opiekę nad zakładami naukowemi, i główny na Litwie wychowania kierunek.

Roku 1815, kiedy Europa w Wiedniu oniemał cała się godzi na nowy a ostateczny rozbiór Polski, jego wpływem wchodzą do europejskiego traktatu postanowienia, zastrzegające na całym obszarze przedrozbiorowej Polski, zachowanie odrębnych ustaw i narodowości naszej.

Roku 1823, nie mogąc powstrzymać wpływów moskiewskich w uniwersytecie ani prześladowania młodzieży, składa obowiązek kuratora, ściągnąwszy na siebie pamiętne od wroga oskarżenie, że pełniąc go, « o lat sto opoźnił wynarodowienie Litwy i Rusi. »

W latach 1827-1829, staje się praw narodowości polskiej poważnym i szczęśliwym, w obronie oskarżonych rzecznikiem, na sądzie sejmowym.

W latach 1830-1831, jako Prezes Rządu Narodowego dzieli trudy i ofiary kraju walczącego o niepodległość.

Roku 1834, skazany zaocznie przez Rząd moskiewski na śmierć, pozbawiony urzędów i całego majątku.

Przez lat trzydzieści na wychodztwie główny między obcymi reprezentant Polski, patriarcha narodu, duszą jest większej części usiłowań, świadczących przed Europą, że Polska żyje i nie przestaje zasługiwać się chrześcijaństwu.

Roku 1861 dnia 3 Maja wita z radością wypadki warszawskie, a przestrzega naród przed zbrojném powstaniem; 15 Lipca umiera w Montfermeil, pod Paryżem.

CZARTORYSKI Książe Witold. Syn księcia Adama Jerzego i Anny z książąt Sapiehów, urodził się w Puławach, dnia 6. Lipca 1822 roku ; odbywszy początkowe nauki pod okiem ojca, po upadku powstania 1831 roku razem z rodzicami dostał się zagranicę, i kształcił się dalej w zakładach naukowych francuskich. Od lat młodych i przez całe życie, pomimo bystrości umysłowej i wyjątkowego dowcipu, odznaczając się głośném uchylaniem się od jakichkolwiek zaszczytów, niemniej dla tego miłował naukę gruntowną i w 1839 roku w Münster zdał egzamen *maturitatis*,

uczęszczał poźniej na kursa uniwersyteckie w Berlinie, nareszcie oddał się naukom wojskowym w szkole sztabu w Paryżu, a chcąc dobrowolną służbą w wojskach zagranicznych usposobić się na zdolnego ku potrzebie kraju oficera, służył naprzód przez rok (1845) w Hiszpanji, w pułku piechoty Reyna gobernadora; skoro zas rozpoczęła się wojna Włoch przeciw Austryi w 1848 roku pospieszył do szeregów wojska pjemonckiego i wszedł tam jako porucznik do 1 pułku piechoty sabaudzkiej. Pułk ten wraz z całą brygadą sabaudzką słynął między Włochami przez cały czas wojny z bitności i wytrwałości swojej; książe Witołd w brygadzie zyskał nie tylko imię jednego z najdzielniejszych, ale i miłość powszechną towarzyszy. Już w pierwszej połowie kampanji, minister wojny w Turynie zapytany czy wié jak się książe Witołd w służbie okazuje, odpowiedział: « Wié o tem dziś już cała armja; wiedzą wszyscy o jego odwadze znakomitej. » Pod koniec kampanji, główném tego wojska zadaniem było wytrzymywać głód i wszelkiego rodzaju niedostatek, z powodu braku należnego opatrzenia, na czém i karność cierpiała. Książe Witołd nie tylko był wzorem ścisłego pełnienia służby, ale umiał jeszcze i niedostatkom zapobiegać, nie tylko dla siebie jednego, ale dla ogółu. W świéżo zajętej Lombardji, najsurowsze rozkazy zalecały wojsku pjemonckiemu szanować własność mieszkańców, mimo więc głodu, zwykli byli wszyscy cierpliwie na biwaku szukać choć we śnie spokojnym odpocznienia; przeciwnie książe Witołd, każdego wieczora zwoływał z obozu ochotników na wyprawę ku nieprzyjacielowi, to jest do wsi, leżących między własnym a nieprzyjacielskim obozem. Każdy ochotnik prócz broni zabierał worek. Doszedłszy do wsi, oddział od strony nieprzyjaciela wystawiał wedety, a od wójta wymagał dostawy tego co na prędce znaleźć było można. Około północy, oddział wracał do obozu, witany radośnie przez wszystkich, którzy już kilka godzin przespawszy, brali się do gotowania przyniesionych zapasów. Gdy przyszło do bitwy pod Medjolanem, książe Witołd w zastępstwie swego kapitana dowodził kompanją i znowu złożył dowody męztwa. W 1849 roku kiedy Karol Albert do przewodniczenia armji wezwał jenerała Chrzanowskiego, książe Witołd przykomenderowanym został jako kapitan do sztabu głównego i miał czynny udział w bitwie pod Nowarą; tam ozdobiony medalem wojskowym, i zaliczony do legjonu polsko-włoskiego, wysłanym został po ochotników do Stambułu.

Opuściwszy wojsko pjemonckie, w 1851 roku ożenił się z panną Marją Grocholską i osiadł na lat kilka na wsi. W 1855, kiedy rząd turecki zapragnął uformowania pułku jazdy polskiej, książe Witołd, który pod kierunkiem ojca w Paryżu i Londynie dyplomatyczny brał udział w wojnie wschodniej, miał sobie ofiarowane dowództwo tego pułku i przyjął tę nominację. Ale tak już wtenczas na zdrowiu zapadać począł, że po dwóch miesiącach, nie chcąc podczas wojny grzeszyć przymuszoną nawet nieobecnością, posłał do Stambułu swoją dymissję. Po skończonej kampanji wschodniej szukał wytchnienia i rozerwania w życiu wiejskiém, nabywszy majętność ziemską w Burgundji; gdy zdrowie coraz większej potrzebowało czujności, a klimat południowy koniecznie mu był zalecany, zimę 1861 i 62 roku spędził na południowém wybrzeżu Francji, w Niccy i Hyéres; w 1863 udał się do Kairu. Tam doszła go wiadomość o ostatniém powstaniu. Pośpieszył natychmiast do Stambułu, pomagać stosunkami swojemi tamecznej polskiej agencji. Główna usilność jego zwróconą tam była na wywołanie ze strony Turcji dywersji na Kaukazie; gdy szersze zamiary przyjść do skutku nie mogły, wypłynęła w tym celu z Konstantynopola na statku parowym kupionym za własne księcia Witołda pieniądze, wyprawa z Polaków złożona, pod dowództwem puł-

kownika Przewłockiego. Rząd Narodowy następném pismem dziękował mu za oddane-tam sprawie narodowej usługi :

« Wiadoma jest Rządowi Narodowemu gorliwość Wasza Książe w służeniu krajowi i owa gotowość do wszelkich prac narodowych, jakiej daliście dowody, wyręczając agenta głównego w czynnościach jego na wschodzie. Obecnie, gdy zupełne oddzielenie Agencji wschodniej od głównej Agentury w Paryżu, uznaném zostało za pożyteczne i potrzebne, i gdy z tego powodu, po mianowaniu w Konstantynopolu oddzielnego Agenta, prace twe książe w tamtych stronach ustają, Rząd Narodowy, przy tej okoliczności świadczy Ci szczere i serdeczne podziękowanie, z zupełném uznaniem korzyści i ważności twych działań na wschodzie. » W Warszawie dnia 27 Listopada 1863 roku.

Nieszczęścia krajowe i rodzinne pogorszyły stan jego zdrowia i w 1864 roku na zimę znowu do Kairu się udał ; w 1865 coraz bardziej upadając na siłach, popłynął do Algieru, i tam dnia 14 Listopada, mimo najczulszych i najpilniejszych starań żony, brata i siostry hrabiny Izabelli Działyńskiej, zakończył życie, którego cechami głównemi były : polskość niczém nie zatarta, poczciwość, uczynność i ofiarność bez granic Zwłoki jego przeniesione zostały do grobów familijnych w Sieniawie.

DEMBIŃSKI Henryk, urodził się dnia 16 Stycznia 1791 roku w województwie sandomierskiem, we wsi Strzałkowie, z Ignacego i Marjanny Dembińskich. Ojciec, chorąży krakowski, był jednym z posłów czteroletniego sejmu, matka z domu hrabianka Moszyńska odznaczała się mocą charakteru i rozległym umysłem. Henryk z mlekiem już wyssał gorącą miłość ojczyzny, a piérwszém silném wrażeniem jakie z dziecięcych lat zapamiętał, była łuna pożaru chłonącego dom rodzicielski, zniszczony do szczętu przez kozaków, a z którego nagle w nocy uchodzić musiał ojciec jego, zagrożony Syberją za udział swój w Konstytucji 3° Maja. Wśród licznego rodzeństwa, bo liczył czterech braci i siostr tyleż, odznaczał się Dembiński bystrością umysłu, łatwością pojęcia, a obok tego głębokiém religijném uczuciem, twarde zaś wychowanie, rozwijając siły fizyczne hartowało charakter; w malém już chłopięciu budziła się ochota do wojskowego zawodu. Piérwsze zasady wychowania krajowego odebrał w domu, wśród rodziny, przy pomocy księdza Boucher, emigranta francuzkiego, który mu nawet do Krakowa towarzyszył, kiedy zdawszy egzamen *maturitatis* tam się z młodszymi braćmi dla słuchania kursów filozofji przeniósł. Wielkie walki europejskie zajmowały wtenczas umysły, a legjony podnoszące chorągiew rozebranej ojczyzny pociągały gorętsze dusze. Henryk w 1806 r. wybierał się do nich z bratem swoim, kiedy dowiedziawszy się o tém matka, bo ojciec już nie żył, powiedziała mu, iż w sercu swojém przeznaczając go zawsze na sługę ojczyzny, życzyła, aby przed wejściem do szeregów wyuczył się dobrze sztuki wojennej, dla stania się bardziej użytecznym. Cześć dla rodziców, zapewniająca według obietnicy Pańskiej błogosławieństwo Boże człowiekowi, była jedném z kardynalnych uczuć młodzieńca; zastosował się chętnie do żądania matki i zaraz z braćmi Wacławem i Janem udał się do Wiednia, gdzie wszyscy trzej do akademji inżynierów przyjęci zostali. Nauki wykładano w tej szkole doskonale, i młodzi Dembińscy wiele w niej skorzystali, głęboko zaś polskie wychowanie domowe, ustrzegło ich od wynarodowienia. Henryk, w 1809 roku awansowany na oficera, nie tylko sam stopnia tego nie przyjął, ale jeszcze innych w szkole rodaków za sobą pocią-

gnął, i wyruszył z Wiednia w myśli zaciągnięcia się do szeregów walczących już pod Raszynem. Śpieszącemu do Krakowa młodzieńcowi marzyło się już wtenczas, że coś wielkiego dla ojczyzny uczyni. Na ten raz nie ziściły się pragnienia. Spotkawszy w Górach piąty pułk strzelców konnych, zaciągnął się zaraz do niego na prostego żołnierza; ale już wojna zbliżała się do końca. Książe Józef Poniatowski poznawszy go w Krakowie, chciał w stopniu podporucznika przenieść do siódmego pułku ułanów, ale Dembiński prosił aby go zostawiono żołnierzem, aż póki się praktycznie ze służbą nie obezna; szeregowcem go więc znalazł zawarty wkrótce traktat. Pozostał na miejscu, a w 1810 roku mianowany adjutantem-podoficerem, cały rok jeszcze w tym stopniu przesłużył, używany za instruktora w pułku. W 1811 roku wyniesiony na podporucznika, zwracał na siebie uwagę starszyzny wojskowej, dokładną znajomością służby, ścisłością w jej wykonywaniu, przytomnością umysłu w czasie wielkich manewrów. Nadeszła pamiętna kampanja 1812 roku; Dembiński dzieląc wszystkie ówczesne nadzieje narodu, powitał ją z uniesieniem, a miał sam wszystkie jej przenieść koleje. Z pułkiem swoim przez Grodno wszedł na Litwę; pierwszy raz w ogniu był pod Romanowem, przy ściganiu Bagratjona przez korpus księcia Józefa Poniatowskiego, a poźniej w marszu ku Dnieprowi znajdował się ciągle w przedniej straży. Przy zdobywaniu Smoleńska, gdzie brat jego Jan zginął, za okazaną waleczność, przez samego Napoleona mianowany kapitanem, szedł dalej na przedzie armji, do Możajska, bił się pod Borodino, wszedł do Moskwy, po jej spaleniu wysłany dalej, miał udział w boju pod Woronowem i w daleko jeszcze zaciętszej walce pod Czerykowem, za którą wojsko nasze takie od Króla neapolitańskiego otrzymało pochwały; 18 Października, pod Tarutinem, gdzie Książe Józef korpus francuzki od wielkiej klęski wybawił, był jednym z siedmiu, którzy wyprzedziwszy pułk szarżujący kolumnę nieprzyjacielską, pierwsi do środka jej wpadli. Po tej bitwie, zaczął się dla naszego korpusu odwrót. Dembiński straciwszy pod Tarutinem ulubionego konia, drugiego musiał porzucić za Wereją, i dalej odbywać marsz piechotą, wśród zimna, ogromnych śniegów i głodu; kupiona za ostatnie pięć franków delja futrzana zachowała go od zmarznięcia, a siły młodzieńcze, przy niczém niezłomnej energji i wyraźna opieka Boża, pozwoliła mu tak dostać się aż do Berezyny, przeniósłszy zdaje się wszystko, co siły ludzkie wytrzymać były w stanie. Tam spotkał się z resztkami piątego pułku strzelców konnych, składającemi się z piętnastu tylko oficerów i tyluż żołnierzy, pod wodzą Kurnatowskiego, ale po przejściu rzeki znowu od nich odłączony, brnął dalej po śniegach piechotą. Około Molodeczna już sił mu całkiem zabrakło i myślił że umrzeć mu tam z głodu i wycieńczenia przychodzi, gdy z wiarą, jak sam opowiada, odmówiona modlitwa, której go ksiądz Boucher nauczył, wlała weń dość mocy aby się do miasteczka dociągnął; tam znalazł jenerała Zajączka, który chciał go wziąść z sobą. Szlachetny młodzieniec utrudniać podróży rannego Jenerała nie chciał, ale dostał u niego środki nabycia konia i sanek, i dzięki tej pomocy dojechał do Wilna, a potém, z odszukanym tam bratem i do Warszawy, skąd obaj pośpieszyli do matki w Krakowskie. Nie długi tam był pobyt naszego wojownika. Książe Józef Poniatowski zbierał znowu wojsko, pułki dawniejsze formowały się i Dembiński wstąpił napowrót do szeregów. Całą kampanję 1813 i 1814 roku odbył pod wodzą Michała Sokolnickiego, i miał udział we wszystkich bitwach i utarczkach tych lat pamiętnych. Poźniej już na wychodztwie, powtarzał często, że dzielniejszego żołnierza nad te resztki naszych zastępów w życiu nie widział, sam zaś pewno nikomu w tém prze-

ścignąć się nie dał. Wysokie o waleczności naszego żołnierza przekonanie podzielali i Francuzi. Dembiński ze swoim szwadronem posłany raz w Saksonji dla assekuracji baterji, przybywszy na miejsce, znalazł ją gotującą się do opuszczenia pozycji; poznawszy w nim Polaka, dowódzca baterji wstrzymał się, mówiąc : z wami zostanę, bo wiem że wy jedni dotrzymacie placu. Pod Lipskiem, za świetną szarżę wykonaną z jednym pułkiem na całą dywizję austryjackich kirysjerów, którzy się cofnąć musieli, a gdzie szwadron prowadził, ozdobiony został krzyżem legji honorowej. Przed bitwą pod Hanau był tym oficerem, któremu Napoleon zwołać do siebie wodzów polskich polecił, i sam słyszał tę pamiętną do nich przemowę Cesarza, w której przyznawał się, że błąd popełnił nie ogłosiwszy niepodległości całej Polski i używając półśrodków, które według słów jego zawsze są nie dobre, a z nami najgorsze. Dostał się do Paryża, jako adjutant jenerała Wielhorskiego. Po upadku Napoleona i utworzeniu Królestwa kongresowego nie chciał służyć w nowoformującém się wojsku polskiém i pomimo nalegań jenerała Zajączka, który mu świetny zawód obiecywał, podał się do dymisji.

Osiadłszy na wsi, zaraz po powrocie ożenił się z Heleną Turno i oddał się gospodarstwu i obywatelskim posługom. Był radcą wojewódzkim województwa krakowskiego, a zaufanie rodaków powołało go wkrótce na ławy Izby poselskiej; dwa razy w niej zasiadał, 1818 i 1825 roku, a roztrząsana na ostatnim z tych sejmów ustawa Towarzystwa kredytowego, jego poprawkom zawdzięczała wniesione do niej zastrzeżenie, iż procenta brzęczącą monetą wypłacane będą, co, do utrwalenia kredytu Towarzystwa przyczyniło się znacznie. Na tymże sejmie, przemawiał Dembiński za włościanami i złożył u laski marszałkowskiej projekt stopniowego okupu pańszczyzny i zaprowadzenia czynszów pieniężnych. Przy zamknięciu Izby poróżniony ze stronnictwem kaliskiém które go mylnie podejrzewało o udział w samowolnej zmianie uchwalonego adresu do Cesarza, usunął się od spraw publicznych i na następującym sejmie już nie był.

Powstanie 29 Listopada otworzyło przed nim właściwe pole działania. Uwiadomiony o wybuchu, na parę tygodni przed wyznaczonym terminem, zaklinał prowadzących do powstania, aby się z niém wstrzymali, bo widział niedostateczność przygotowań; gdy jednak uwag jego nie usłuchano, i wybuch nastąpił, zaraz stanął po stronie narodu. Spędziwszy lat kilkanaście na wsi, przy zatrudnieniach rolniczych, w ciągłych stosunkach z rozmaitemi narodu warstwami, których dzielił całe życie, od razu pojął rozpoczynającą się walkę tak, jak ją naród pojmował : uczucie jego obejmowało całą ojczyznę, a rozumiał, że wszelkie pakta z Mikołajem były niemożebne. Jako dowódzca obwodu miechowskiego, na odezwę Rządu tymczasowego z dnia 3 Grudnia, powołującą naród do poświęceń i walki, odpowiedział pełnym patriotyzmu adresem, który współziemianie tłumnie podpisywali; wyrażano w nim, że nie poprawy konstytucji ale niepodległości ojczyzny żądają, zaklinając, aby raz wydobywszy miecz z pochwy, odrzucić ją daleko, i okręta za sobą spalić. W przesłanym zaraz potém Dyktatorowi projekcie organizacji sił zbrojnych, dowiódł wyraźnie Dembiński, że lepiej od wielu ówczesnych wodzów naszych pojmował wojnę *narodową*. Zajął się też niezwłocznie formacją nowych pułków, a mianowany zrazu majorem w jednym z nich, po wezwaniu do sejmu Jana Ledóchowskiego organizatora sił zbrojnych w województwie krakowskiém, objął po nim te obowiązki, i piérwszy na linję bojową dwa nowe pułki przyprowadził, z których piérwszy Krakusów, z 1,200 koni złożony, we dwadzieścia dwa dni

po sformowaniu już był dostatecznie wyćwiczony i do końca walki nie przestał być wzorem męztwa i karności wojskowej. W dniu ogłoszenia detronizacji Mikołaja, podał Dembiński Izbom projekt do prawa w dwóch artykułach : 1°. Że Polacy nie złożą broni aż po odzyskaniu Litwy i Rusi całej; 2°. Że nie walczą z narodem, ale z rządem moskiewskim.

Przy rozpoczęciu wojny otrzymał dowództwo nad brygadą jazdy. Pod Dębem wielkim na jej czele wykonał sławną szarżę, która wywróciła korpus Rosena i ozdobiony został wojskowym krzyżem polskim. Posłany na lewy brzeg Liwca, z czterema szwadronami, śpiesznym marszem zajął most na rzece, odciął nieprzyjaciela, zmusił jenerała Pinabla do opuszczenia Węgrowa pomimo przemagających sił jego, wziął mu 500 niewolnika i wielu jeńców naszych uwolnił. Pod Kuflewem, z 3,800 ludźmi i 4 armatami, przez siedm godzin bił się z całą armją Dybicza idącą do Kałuszyna, i za tę bitwę wyniesiony został na stopień jenerała ; w czasie wyprawy Skrzyneckiego na gwardje, gdy cała armja przechodziła Bug, miał sobie zlecone zajęcie oszańcowanego mostu pod Ostrołęką, na Narwi. Bronił go Sacken z 6,000 ludzi przy 12 działach; Dembiński miał ich tylko 6 przy 3,000 żołnierza, którego większą połowę, składali kosynierzy; rozpoczął atak w nocy, a po czternastu godzinach boju opanował most i Ostrołękę. Nazajutrz posłany z Gielgudem dla zdobycia Łomży, gdy omyłki tego jenerała wypuściły Sackena, chciał go ścigać; wstrzymany jeszcze przez Giełguda, nie mogąc znieść jego miękkości i braku decyzji, a nie chcąc dawać przykładu nieposłuszeństwa, prosił naczelnego wodza, aby go użył gdzie indziej; Skrzynecki przyrzekł mu, że go na Litwę pośle. Tymczasem zaszła bitwa pod Ostrołęką; Dembiński miał w niej udział assekurując baterję Bema. Po bitwie tej, korpus Giełguda znalazł się odciętym od armji; miano go za stracony. Wśród ogólnego przerażenia, Dembiński na radzie wojennej podał projekt wysłania go na Litwę, i sam podjął się zanieść mu ten rozkaz. Dokonał tego, obszedłszy ze 135 ochotnikami całą armję moskiewską i zrobiwszy 15 mil jednego dnia na koniu. Połączywszy się z Giełgudem szedł już z nim dalej, a rozumiejąc doskonale rodzaj wojny jaki miał prowadzić i chcąc swój oddział uczynić jak najlżejszym i do wszelkich poruszeń zdolnym, znaczną część bagażów spalił, od własnych dla przykładu zaczynając. (26 Maja) pod Rajgrodem szarżą kawalerji przeważył na naszą stronę zwycięztwo, które pozwoliło, przez Suwałki, Kalwarję, Augustów, dostać się 5 Czerwca do Kowna. Odwołany stamtąd przez Gielguda, znalazł się z nim razem w Kiejdanach. Chciał zostać na Żmudzi, zająć Połągę, i organizować powstanie w żyżnej, bogatej i najlepiej usposobionej prowincji. Gielgud postanowił iść na Wilno i tam Dembińskiego wyprawił; piérwszy też Dembiński 15 Czerwca pod Wilnem stanął, i oczekując na Giełguda przez cały dzień ucierał się z przeważnemi moskiewskiemi siłami. Nadszedł nareszcie Gielgud, ale attak do Wilna naznaczywszy na 20 Czerwca kazał Dembińskiemu wykonać ruch na Niemenczyn; w nieobecności jego, 19 atakował miasto i odparty, wszystkim oddziałom naszym cofać się kazał. Dembiński przez Mejszagoły, 22 przybył do Wiłkomierza, i zajął się na nowo organizacją powstańczych oddziałów. Gdyby stał na czele korpusu Gielguda, los całej wyprawy bez zaprzeczenia byłby zupełnie inny, kto wié nawet, jakby się wtenczas skończyła cała nasza ówczesna z Moskwą walka? Gotowość w kraju do ofiar była wielka, przy dobrym kierunku, regularne pułki polskie mogły stać się zawiązkiem znacznej siły zbrojnej i kadrami nowej armji, a umiejętnie prowadzona wojna partyzancka, mnożyłaby straty i trudności nieprzyjaciela. Rozumiał to do-

skonale Dembiński, i on jeden między jenerałami naszymi, znajdującymi się na Litwie, posiadał wszystkie przymioty niezbędne dla rozpłomienienia tam wojny narodowej i zużytkowania sił i zasobów krajowych; ale był młodszym, a wszystkie jego projekta i pomysły rozbijały się o nieudolność głównego dowódzcy wyprawy. W Wilkomierzu Dembiński odparł atak Moskali. Dalsze manewra Giełguda zmusiły go opuścić to miasto i przyjść do Poniewieża, gdzie nową stoczył walkę; wezwany stamtąd pod Szawle, które wspólnie atakować mieli, co także z winy Giełguda nie powiodło się, przez cztéry dni ciągle się prawie z przemagającym nieprzyjacielem ucierał; nareszcie wezwany na radę wojenną do Kurszan, przybył tam 9 Lipca. Narada w Kurszanach była jedną z najszczytniejszych chwil w życiu Dembińskiego. Inni jenerałowie i dowódzcy pułków zwątpili zupełnie o sprawie, mieli siebie za straconych, i plan udania się do Prus był już ułożony. Dembiński jeden, wypowiedziawszy stanowczo, że obowiązek względem ojczyzny i sam nawet honor tego zabrania, powiedział, że z oddziałem swoim zostanie, do Prus nie pójdzie, a odprowadzi go do Królestwa, obszedłszy Wilno wokoło. Kiedy oficerowie własnego jego oddziału przysłali deputację, prosząc aby się zastanowił czy nie lepiej jest iść prosto z Kurszan do Królestwa, niż narażać się na nieźliczone i oczéwiste niebeśpieczeństwa, odpowiedział im : » Nikogo nie zmuszam ani też namawiam; droga po której pójdę jest pełna niebeśpieczeństw, dziś wiedzieć nie mogę czy na niej ocalenie znajdziemy; to wiem tylko, że jest jedyną drogą powinności i honoru. Możecie pozostać lub iść za większością oddziałów; znajdzie się choć dziesięciu ludzi serca, którzy pójdą za mną; z nimi walczyć będę, ale raz obranego kierunku nie zmienię. » Ofiara z życia już w duszy Jenerała była dokonaną; uniosła za sobą młodych oficerów. « Pójdziemy za tobą wszędzie, » zawołali, a wkrótce stanąwszy przed oddziałem swoim, w okrzykach żołnierzy poczuł, że i ich serca jednymże ogniem gorzały. Giełgud z dwóma oddziałami poszedł ku Prusom i we dni kilka broń tam złożono. Dembiński, któremu nie dano nawet pieniędzy i amunicji, bo za straconego był miany, zwrócił się w stronę wręcz przeciwną, w głąb' kraju. Liczył w szeregach swoich przy sześciu działach 3,800 ludzi, (znaczną ich część stanowiły oddziały powstańcze Wincentego Matuszewicza, Strawińskiego, Prozora), miał 450 ładunków, a 100 złotych w kassie. Ale miał ducha wielkiego, a błogosławieństwo Boże spływające zazwyczaj na wzniosłe i czyste poświęcenia, było nad nim. Zaraz pod Mieszkuciami zdobył 6,000 ładunków, 469 czerwonych złotych i nieco nawet niewolnika; pod Poniewieżem rozbroił pikiety, wziął bagaże moskiewskie, 80 koni i nowych jeszcze jeńców; część swojej piechoty na konie wsadził, dla ulżenia oddziału wszystko co nieodbicie potrzebném nie było spalił, a zapytującym go oficerom jakie ma plany,powiedziawszy, że gdyby o nich czapka jego wiedziała toby ją zrzucił i prowadził ich z gołą głową, puścił się dalej. Ścigały go ciągle kilkakroć przewyższające nieprzyjacielskie siły. Przeszedłszy Świętą rzekę pod Kowarskiem, pod Owantą wyśliznął się im zręcznie; pod Malatą uniknąwszy ostatecznej jak mu się zdawało zguby, dostał się w nocy do Inturki i most za sobą spalić potrafił; w Podbrodziu nad Wilją wpadło mu w ręce 30 ulanów, 150 ludzi piechoty moskiewskiej, 40,000 ładunków, 50,000 złotych i co najbardziej potrzebném było, zapasy saperskie do przepraw. Zmuszony zwrócić się ku Święcianom, prędko na dawną drogę powrócił; przeprawiwszy się szczęśliwie przez Wilję w Daniuszewie, przez Smorgonie i Olszany dostał się do brzegów Niemna. Z nadzwyczajną zręcznością wyprzedziwszy nieprzyjaciela, potrafił most na rzece

pod Zboiskami zbudować i cały swój oddział przeprawić, zanim Moskale doścignąć go zdołali. Zniszczenie przez niego wszelkich środków przeprawy, dało mu trochę wytchnienia. Za Niemnem połączyło się z nim powstanie nowogródzkie pod wodzą Józefa Kaszyca i Mikołaja Mierzejewskiego; szczęśliwe utarczki pod Zdzięciołem i Dereczynem, oddały mu w ręce nagromadzone tam znaczne zapasy amunicji. Za Szczarą spotkał i zabrał z sobą 250 strzelców Brońskiego i Szrettera; przez Zelwę, Izabelin, Porozow, szedł dalej ku rzece Narwi. Około Narewki, nie daleko puszczy białowiezkiej zszedł się z oddziałem Samuela Rożyckiego, który z sobą jenerała Paniutina jako jeńca prowadził, a przeszedłszy szczęśliwie Bug, przez Ciechanowiec i Nur przyprowadził bohatérskie swe szyki, (3 Sierpnia) do Warszawy. W ciągu całego tego pochodu ścigany był kolejno przez siedmiu moskiewskich jenerałów, z których każdy miał siły o wiele jego oddział przewyższające. Sam powiada, że omyłki nieprzyjaciela pomogły mu znacznie, ale bez jego osobistych zdolności, przytomności, energji i zupełnego poświęcenia, nicby te wszystkie omyłki nie zdziałały. Z siłami jakie miał, Dembiński nic więcej zrobić nie mógł; stoczywszy kilkanaście potyczek, przeszedłszy we dwadzieścia cztery dni taką przestrzeń kraju zalanego przez nieprzyjaciół, przyprowadził do stolicy 5,000 walecznych; wszędzie po drodze najskrupulatniej szanując własność prywatną, płacąc za wszystko i żadnego nie dopuściwszy się nadużycia, miał w kassie 12,000 złotych a wozy amunicji pełne. Powrót jego był uroczystością narodową. Prezes rządu, książę Adam Czartoryski z dowódzcą gwardji narodowej Antonim Ostrowskim i wielu posłami wyjechał na jego spotkanie do Marek za Pragę; wśród okrzyków ludności całej, wjeżdżającego do Warszawy wodza, Rząd narodowy przyjął u wschodów pałacu; niesiony był prawie na rękach przez ulice, stał się najpopularniejszym w tej chwili człowiekiem. Sam mawiał poźniej, że mało kto był tak szczodrze wynagrodzony. Mianowano go jenerałem dywizji, a dnia 5 Sierpnia połączone Izby uchwaliły, że jenerał Henryk Dembiński i cały jego oddział *dobrze zasłużył się ojczyznie*; listę imienną oficerów, podoficerów i żołnierzy, postanowiono złożyć w archiwach Senatu, a sekretarze Izb obu, uchwałę tę uroczyście jenerałowi wręczyli. Wyniesiony na gubernatora miasta Warszawy, zwracał na siebie uwagę mężów stojących u stéru sprawy narodowej.

Nieukontentowanie przeciw jenerałowi Skrzyneckiemu było wtenczas ogólne. Rząd widział się zmuszonym naczelne dowództwo komu innemu powierzyć. — Wysłana 11 Sierpnia do Bolimowa deputacja z szerokiém pełnomocnictwem, zastępcą naczelnego wodza naznaczyła Dembińskiego, dając mu na szefa sztabu Tomasza Łubieńskiego, a na kwatermistrza Jgnacego Prądzyńskiego. Nominacje te obruszyły Dembińskiego; zawsze żywy i nie hamujący się w słowach, głośno je przypisywał intrygom, nie chcąc zrozumieć położenia w jakiém się władze nasze znajdowały. Klub patriotyczny coraz więcej nabierający znaczenia, zaczął wołać, że Dembiński chce dalej prowadzić systemat okrzyczanego wtenczas Skrzyneckiego. Rząd narodowy wodzem naczelnym mianował jenerała Prądzyńskiego: wiadomość o tém doszła Dembińskiego w chwili walki pod Szymanowem. Gdy Prądzyński dowództwa nie przyjął, oddano je Kazimierzowi Małachowskiemu. Nastała noc 15 Sierpnia, Dembiński armję z Bolimowa ku Bzurze prowadził, gdy 16 Sierpnia w obozie na Czystém, znowu nominację na wodza naczelnego otrzymał. Był to prawie ostatni akt Rządu narodowego który nazajutrz władzę swą w ręce Sejmu miał złożyć. Dembiński oburzony wypadkami 15 Sierpnia, przypisując głównie stron-

nictwa które je wywołało, wszystkie nieszczęścia nasze, miał stanąć przed Sejmem żądając władzy dla ukarania sprawców rozruchu, a sam tymczasem wydał odezwę w której nieoględnie i niesłusznie wyraził się, że « *stronnictwo moskiewskie dopuściło się gwałtów i morderstw na słabych niewiastach i niewinnych dzieciach.* » To przeciw niemu oburzyło Warszawę; bo w istocie, nie było ani jednego dziecka zamordowanego, a między trzydziestu sześciu osobami które utraciły życie, liczono dwudziestu dwóch szpiegów, i jedną tylko kobiétę, Moskiewkę. Zaszła zmiana w Rządzie, niechętny mu jenerał Krukowiecki obrany jego prezesem, naczelne dowództwo znowu 19 Sierpnia Małachowskiemu oddał, Dembiński pozostał jenerałem dywizji. — Podał wtenczas na piśmie plan kampanji który w ciągu kilku dni naczelnego dowództwa obmyślił, i który, gdyby władzę przy nim zostawiono, byłby zapewne wykonał. Plan ten zawierał się w dobrowolnej ewakuacji Warszawy, przeniesieniu magazynów, zapasów i amunicji do Modlina, a stolicy ojczyzny jak wyrażał się Dembiński, do obozu; pozostawiony w Warszawie na czele części wojska Skrzynecki, nad którego nikt według zdania Dembińskiego dzielniejszym i wytrwalszym nie był w obronie, miał dopilnować ewakuacji. Naczelny wódz z głównym korpusem armji, przeniosłszy się na prawy brzeg Wisły, powinien był rozbić korpus Rozena stanowiący środek linji nieprzyjacielskiej, co według Dembińskiego było rzeczą niezawodną, a nawet łatwą, i potém oparłszy się o Brześć Litewski przenieść teatr wojny do Litwy i Rusi całej. Skarb nasz liczył jeszcze wtenczas dziewięć miljonów złotych; amunicji gotowej, według wyrachowania Dembińskiego mogło wystarczyć na dwie przeszło kampanje. Plan był na pozór zuchwały, tak go osądzili ci, którzy wkrótce potém dalszą walkę za niemożebną uznali; ale był to plan wielkiego obywatela żołnierza, powziąć go mogła tylko bardzo szeroka i podniosła natura, i gdyby znalazł w duszach tak wysoki nastrój jakiego dla wykonania go było potrzeba, kto wié jakiby obrót sprawa nasza wzięłaı Ale na radzie wojennej, jeden tylko jenerał Sierawski powiedział Dembińskiemu « gdziekolwiek pójdziesz, weź mnie z sobą, ufam ci jenerale; » inni oświadczyli się przeciw — plan odrzucono, i postanowiono czekać nieprzyjaciela za okopami Warszawy. Dembiński z trzynastu tysiącami ludzi przy dwunastu działach, bronił prawego skrzydła dnia 3 Września. Podczas szturmu 7 tegoż miesiąca wysłał od siebie bataljon piechoty na pomoc Wolskim rogatkom, i bił się sam jeszcze przez sześć godzin po ustaniu walki na innych punktach. Po podpisaniu kapitulacji z resztą wojska wyszedł do Modlina. W ostatnich chwilach walki miał jeszcze w Sejmie ludzi którzy upadającą sprawę powierzyć jemu chcieli, wierząc że on jeden jeszcze uratować ją może. W Płocku przy obiorze Umińskiego wodzem naczelnym, kilka głosów dano Dembińskiemu, ale już do szerszej władzy nie przyszedł. Dnia 25 Września kiedy rada wojenna obradując w Słupnie postanowiła odrzucić propozycje Paskiewicza i wojnę dalej prowadzić, Dembiński na czele przedniej straży przeszedł jeszcze Wisłę, ale już koniec wysileń się zbliżał. Rząd Narodowy z Sejmem przeszedł pruską granicę, za nimi i Dembiński z resztkami korpusu Rybińskiego, 4 Października 1831 roku do Prus się dostał. Zawsze bezinteresowny, skoro stanął na obcej ziemi, natychmiast summy publiczne znajdujące się w jego ręku bankowi polskiemu odesłał, dołączając do nich resztki tych nawet, które sam na Litwie na nieprzyjacielu był zdobył, a pożyczywszy jednocześnie kilkaset złotych na koszta własnej podróży, udał się do Krakowa, wolnego jeszcze wtenczas miasta, którego był obywatelem. Myślił, że te pieniądze będące

własnością kraju na jego pożytek obrócone będą; skorzystał z nich istotnie tylko nieprzyjaciel.

Paskiewicz nakazał senatowi krakowskiemu, wydalić go z rzeczypospolitej, musiał więc szukać schronienia w Dreznie; tam, w przeciągu dni ośmiu podyktował w języku niemieckim *Opis kampanji litewskiej i odwrót z Kurszan do Warszawy*, który przez Spaziera w Lipsku wydanym został p. t. *Mein Feldzug nach und in Lithauen, und mein Rückzug fon Kurszany nach Warschau, nach den mündlichen Dictaten des Generals Dembinski herausgegeben von Spazier.* 1832 (209 str.) Uważał to później za najlepsze swoje pismo, bo pod wrażeniem świeżych jeszcze wypadków wypłynęło z przepełnionej uczuciami duszy. Moskwa nie dała mu spokojnie mieszkać w Dreźnie; w skutek nalegań dworu petersburskiego zmuszony do opuszczenia Saksonji, udał się do Francji. Tu, w 1832 roku wydał w Strasburgu w języku francuzkim *Pamiętniki o kampanji litewskiej* (str. 336) i list do Spaziera w języku niemieckim, p. t. *Schreiben des polnischen General Dembinski an den herrn Herausgeber des Berichts über seinen lithauischen Feldzug.* 1832.

Toczyła się wtenczas walka między Turcją a Mehmedem-Ali vice-królem Egyptu; znajomy Dembińskiemu Jomard, orjentalista, i agent polityczny, a zarem dozorca młodych Egypcjan kształcących się w Paryżu, ubolewał przed nim, że Ibrahim Pasza nie ma zdolnych w wojsku swojém jenerałów. Zwyciężona Turcja prosiła o pomoc Moskwę, Francję i Angliję. Francja ofiarowała Mehmedowi Alemu pośrednictwo swoje; ten je odrzucił; Moskwa tymczasem wojsko swoje do Skutari wysłała. Wtenczas Dembiński, w nadziei walczenia z Moskwą, służby swe vice-królowi egypskiemu ofiarował, i w Maju 1833 r. z Franciszkiem Szemiothem i Dr. Hooge, także powstańcem z Litwy, do Egyptu się udał. Podróż statkiem żaglowym zajęła dużo czasu; Dembiński przybywszy do Aleksandryi znalazł już strony wojujące układające się o pokój; jednakże, przez Mehmeda-Ali najlepiej przyjęty, podał mu projekt reorganizacji armji egypskiej. Vice-król projekt pochwalał, i zgadzał się przyjąć do swego wojska 300 oficerów Polaków przyznając im prawa i żołd oficerów krajowych, a chciał aby Dembiński z projektem tym natychmiast do Ibrahima paszy się udał. Nim statek przygotowano, przyszła wiadomość o zawarciu traktatu. Mehmed-Ali projektu jednak nie zmienił i Dembiński z towarzyszami swoimi popłynął do Tarsus, skąd dostał się do miasteczka Adanu, gdzie się Ibrahim pasza znajdował. Przyjęty przez niego najlepiej, traktowany jak równy, przez cztéry miesiące towarzyszył mu w podróżach po nowo nabytych prowincjach, nawet w wyprawie w górach Taurus na niepodległych bejów, którzy się jednak poddali. Gdy pasza projekta reorganizacji armji na później odkładał, a o oficerach Polakach mówić nie chciał, sam zaś na zimę osiadłszy w Alepie administracją Syrji wyłącznie się zajął, a Dembińskiemu powtarzał, że decyzja wszelka od jego ojca zależy, ten do Kairu się udał, dla ostatecznego rozmówienia się z Mehmedem-Ali. Przybyłych tam naszych wojowników zatrzymała jeszcze przez dni kilka w kwarantannie panująca tam dżuma, a tymczasem nadeszła wiadomość, że konsul rossyjski Duhamel przeznaczony do Egyptu, czeka w Trieście i nie przyjedzie do Kairu, póki jenerał Dembiński wyprawionym stamtąd nie będzie. W udzielonej Dembińskiemu audjencji, Mehmed-Ali ubolewał, że podpisany traktat nie pozwala mu przyjąć Polaków do wojska, chyba kilku na instruktorów; namawiał jednak jenerała aby w Egypcie pozostał. Dembiński zaraz podał się do dymissji, należnego mu żołdu jenerała dywizji a nawet zwrotu kosztów podróży nie przyjął, a gdy przysłany przez vice-króla

minister Boghoz Bej, nalegał aby tej krzywdy jego panu nie robił, ugiąć się nie dał. Oświadczył że, nie przyjechał szukać karjery ani fortuny a tylko bić się z nieprzyjacielem vice-króla i Polski, gdy zaś ani jemu, ani krajowi, ani emigracji usługi oddać nie mógł, żadnego też wynagrodzenia nie przyjmie. Żądał aby rodakom którzy po nim do Egyptu w nadziei wejścia tam do wojska przybyli, koszta na podróż do Francji były udzielone, i tak się z Mehmedem-Ali rozstał i do Paryża powrócił.

Wierny zawsze idei narodowej i o ojczyznie myślący, nie należał do żadnych stronnictw politycznych na wychodztwie; oddał się pracy umysłowej, a przy wrodzonej do nauk ścisłych zdolności, zajęty był rozmaitemi wynalazkami w mechanice i przemyśle, marząc zawsze o tém, że zdobywszy tym sposobem znaczne środki, biédzie współtowarzyszy wygnania zaradzi. Po śmierci Maurycego Mochnackiego z okazji żałobnego za duszę jego obchodu, miał mowę drukowaną osobno w 1835 r. Pierwej jeszcze wydał był w języku francuzkim książeczkę o ostatnich wypadkach powstania 1831 roku p. t. *Quelques mots sur les derniers événements de Pologne, pour servir de reponse à l'article du journal la Tribune du* 3 *Décembre* 1833; w 1836 r. drukował swoje postrzeżenia nad wojną w ogólności i kampanją hiszpańską p. t. *Considérations sur la guerre en général, et sur la guerre d'Espagne en particulier*, a w 1837 r. ukazały się jego: *Rzut oka na ostatnie wypadki rewolucji w Polsce*, i kilka kartek *do Kapitana Bajerskiego jednego z podchorążych i towarzysza Wysockiego w nocy* 29 *Listopada*.

Po rewolucji 1848 roku miał udział w kongresach słowiańskich we Wrocławiu i Pradze. Wezwany przez Węgrów prowadzących wojnę z Austryją, i liczących już w swoich szeregach kilka oddziałów polskich i jenerała Bema, pośpieszył tam, zawarowawszy piérwej, iż prawa i narodowość Słowian szanowanemi będą przez Węgry, wydał przed wyjazdem odezwę do rodaków w języku polskim i francuzkim (str. 9.) i uniknąwszy wielkich niebespieczeństw, bo poszukiwany wszędzie, raz w tej drodze pod jednym dachem ze spieszącym także do Węgier jenerałem Schlickem nocował, stanął w Debreczynie dnia 20 Stycznia 1849 roku. We trzy dni później już dobył miasto Solnok, wypędziwszy z niego brygadę jazdy jenerała Ottinger, a dnia 1 Lutego otrzymał dowództwo dwóch korpusów, jenerała Percel i Klapki. Zaraz ułożył plan kampanji, ale od samego początku spotkał niedowierzanie i nieposłuszeństwo w dowódzcach węgierskich; po zwycięztwie pod Tornalją nad Schlickem, oddał rząd węgierski i korpus Goergeja pod jego rozkazy (14 Lutego). Ten od razu słuchać go nie chciał, i namawiał podwładnych swoich aby mu wypowiedzieli posłuszeństwo; powstrzymany przez nich, i szlachetném obejściem się Dembińskiego niby zniewolony, poddał się rozkazom, ale w rzeczy samej paraliżował je ciągle. Nasz jenerał zapowiedział Koszutowi, że piérwszą bitwę stoczy w okolicach Erlau, i stosownie do tego manewrował; nieposłuszeństwo Goergeja i niedokładne spełnianie rozkazów, zniweczyło wiele pomysłów, wszakże do bitwy istotnie we wskazanej przez Jenerała okolicy przyszło, pod Kopolna (28 Lutego). Rezultat jej nie odpowiedział zamiarom Dembińskiego, dla przytoczonych wyżej powodów, ale ta bitwa dowiodła jego zdolności, a u rządu węgierskiego i u żołnierza zjednała mu poszanowanie. Rozwinął też wtenczas nadzwyczajną czynność; nie mając naczelnika sztabu, bo nikomu planów swoich powierzyć nie chciał, sam wszystkie rozkazy pisał, sam wszystkiego dopatrzyć musiał, a wszystkiemu wystarczał. Goergej coraz większe nieposłuszeństwo i niechęć okazywał; 1 Maja przy napadzie oddziału austryjackiego na obóz węgierski, dzielnego Udwarnaki, przyjaciela Polaków za przekrocze-

nie subordynacji wojskowej, samowolnie rozsiekać kazał, a na każdym kroku czynności Dembińskiego krzyżował; dnia 2 Marca wbrew wyraźnemu rozkazowi stanowisko w Poroszlo opuścił. Dembiński i wtenczas jeszcze aresztować go i pod sąd oddać nie kazał, co poźniej gorzko sobie wyrzucał. Dojrzała między wojskowymi intryga; minister Semere zażądał w imieniu wyższych oficerów aby Dembiński ustanowił radę wojenną, którąby jego plany roztrząsała; na odmowną odpowiedź, Goergej w imieniu tychże oficerów domagał się tegoż samego, oświadczając, że inaczej Jenerał dowódzcą ich być nie może. Dembiński powtórzył im to samo co przed 18 latami powiedział był podwładnym na Litwie, że gdyby czapka o planach jego wiedziała, zrzuciłby ją i z gołą głową wojsko prowadził; był niewzruszony. W kilka godzin, odebrał rozkaz uwalniający go od dowództwa które tymczasowo poruczoném zostało Goergejowi. Żądano od niego aby oddał protokół rozkazów — odmówił, powiedziano mu że użyją siły; wziąwszy księgę w jedną, a szablę w drugą rękę zapowiedział stanowczo że, obie razem chyba z rąk mu wydrą — ustąpili. Na parę godzin przed domem postawiona przez Goergeja straż, usuniętą też była; protokół który dla zatarcia win własnych dostać dla zniszczenia chciano, pozostał w ręku jenerała. Przyjechał do obozu Koszut, chcąc niechęci załagodzić. Dembiński wypowiedziawszy całą prawdę, i nie mogąc dłużej z nieposłusznymi służyć, wolał usunąć się; dowództwo oddano Goergejowi, jego proszono aby do Debreczyna się udał. Udzielał rad stamtąd; wypadki dowiodły bystrości jego poglądu. Proszono aby przy głównodowodzącym Vetterze przyjął obowiązek naczelnika sztabu; odmówił. Koszutowi w uniesieniu powiedział że, od niego lekcji strategji brać nie potrzebuje, i usunąwszy się na bok, myślił o powrocie do Francji, kiedy deputowani z północnych Węgier w liczbie 60 przyszli do niego prosząc aby dowództwo nad korpusem w tej części kraju przyjął (d. 16 Kwietnia). Koszut nalegał także; przyszło znowu do dobrych między obu mężami stosunków. Dembiński, myśląc zawsze o Polsce, dowództwo to przyjął, pod warunkiem że, po rozbiciu wojsk austryjackich w tej części kraju, pójdzie do Galicji organizować tam wojsko polskie. Przyrzeczono mu 20,000 wojska i pożyczkę 50 miljonów złotych polskich w papierach węgierskich, na polskie formacje. Wysławszy tam naprzód Jerzego Bulharyna, Dembiński 30 Kwietnia stanął w obozie, ale bardzo prędko odebrał rozkaz niewkraczania do Galicji. Przysłano mu jenerała Wysockiego, mającego formować legjon polski, a wkrótce potém kazano iść ku fortecy Komorno. Dembiński wysłał adjutanta Zygmuta Jordana do Debreczyna żądając stanowczo pozwolenia na wkroczenie do Galicji, albo dymisji; Goergej wówczas minister wojny, przysłał mu dymisję; dnia 15 Czerwca Dembiński dowództwo korpusu w ręce jenerałów Józefa Wysockiego i Dezefi złożył, a sam udał się do Pestu.

Moskale tymczasem wkroczyli do Węgier; przestrach zaczął ogarniać naród, Koszut radę wojenną zwołał, i na nią znowu Dembińskiego zaprosił. Minister wojny Mesarosz prosił go o zdanie, zapowiadając, że wszyscy się do niego zastosują. Dembiński swój plan przełożył, a nastając na konieczność jedności w działaniu, zgodził się zostać naczelnikiem sztabu przy jenerale Mesarosz, gdyby ten głównodowodzącym był mianowany. Rozpoczęły się nowe wysilenia i prace; niezgody jenerałów węgierskich utrudniały jeszcze już i tak krytyczne położenie. Goergej, stojący na czele głównej armji, niczego słuchać nie chciał; w ostatnich dniach Lipca przysłał już propozycje układów z Moskalami. Na radzie wojennej i ministerjalnej 28 Lipca Dembiński oświadczył, że już dalej tylko jako wódz naczelny sprawie węgierskiej

służyć może; za takiego nad pozostałą w tamtej części kraju armją uznany, manewrował nad Cisą, w ciągłych z nieprzyjacielem utarczkach, pod Sœrek, Csatad, i. t. d. (w jednej z nich mocno był ranny). Szedł ku Temeswarowi, gdy przybył Bem dla objęcia naczelnego dowództwa. Nowo przybyły jenerał chciał koniecznie bitwy; rozpoczęta dosyć pomyślnie, dla braku amunicji skończyła się klęską. Bem złamawszy sobie obojczyk, osłabiony ranami, oddawał znowu dowództwo Dembińskiemu i Mesaroszowi, ale ci go nie przyjęli. Dembiński jeszcze z ran nie wygojony udał się przez Mechadję ku granicy tureckiej, polecając wszystkich Polaków opiece pułkownika Władysława Zamoyskiego. Przybywszy do Turcji, w skutek zabiegów rządu rossyjskiego domagającego się wydania mu Polaków, internowany razem z innymi wychodźcami polskimi i węgierskimi w Kutahji, w Azji mniejszej, w połowie Czerwca 1850 r. tam się udał, ale za wstawieniem się ambasadora francuzkiego jenerała Aupic otrzymawszy pozwolenie wyjazdu, w Marcu 1851 r. udał się do Paryża, gdzie już stale do końca życia zamieszkał.

Otoczony poważaniem ogólném, często przed rodakami opowiadając kampanję węgierską obwiniał siebie że, mając władzę w ręku, Goergeja pod sąd nie oddał i rozstrzelać nie kazał; myślił, że gdyby tego dokonał i plany swoje do skutku mógł przyprowadzić, Polska już byłaby niepodległą i postać nawet Europy zmienioną. W skromném mieszkaniu przy ulicy *de l'Oratoire du Roule*, w czarnych ramach, krepą pokryty a koło łoża jenerała zawieszony napis, przypominał codzień dostojnemu mężowi śmierć szlachetnego Urdwanoki którą niepomszczoną zostawił, jak gdyby to nawet nie pochodziło z dobroci i szlachetności jego. Zresztą, żył jak dawniej, zawsze innymi zajęty, rozdający potrzebującym wszystko co posiadał, nieraz więcej niż na to uszczuplone już środki pozwalały, w tej dobroci serca niczém powściągnąć się nie dawał; przyjaciołom robiącym mu w tym względzie uwagi, zwykł był odpowiadać: «jakoś to będzie.» W ostatnich jeszcze miesiącach życia pracował nad nową machiną, marząc ciągle że ten wynalazek dostarczy mu środków dla zaradzenia biédzie i potrzebom całego wychodźtwa. Bardzo żywą pamięć i zupełną umysłu przytomność do ostatniej chwili zachował; o wielkich wypadkach w których miał udział, chętnie rozmawiał; pamiętniki swoje dyktował. Cząstka ich tycząca się piérwszych lat życia i kampanji 1812 roku wydaną została w Poznaniu przez S. B. pod tytułem: *Niektóre wspomnienia jenerała Henryka Dembińskiego*; cały rękopism znajduje się w ręku krewnych którzy zapewne podzielą się nim kiedyś z rodakami. Umarł w Paryżu, dnia 13 Czerwca 1864 roku; zwłoki jego odprowadzono na cmentarz Montmorency, gdzie spoczywają obok tylu mężów wielkiej narodowej zasługi.

DROZD Paweł, rodem z Pawłowa pod Wilnem, w czasie powstania 1830 roku zaciągnął się do korpusu jenerała Dembińskiego i przyszedłszy z nim do Warszawy, walczył do końca w szeregach narodowych. Z jenerałem Rybińskim wszedł do Prus, a dostawszy się do Francji, osiadł w Beauvais (Depart. Oise), gdzie z piersiowej słabości dnia 1 Stycznia 1863 roku umarł, licząc 65 lat wieku. Ostatnią wolą, szczupłą swą pozostałość na potrzeby narodowe przeznaczył.

DZIENGIELOWSKI Ludwik Wiktor, uczeń szkół belgijskich, po wybuchu powstania 1863 roku udał się do kraju i tam za odznaczenie się na oficera awansowanym

został. Dostawszy się później do Londynu, z lekcji prywatnych się utrzymywał. Dnia 4 Października 1865 roku w przystępie pomięszania umysłu, strzałem z pistoletu życie sobie odebrał. Liczył zaledwo lat 23 wieku.

DZIERZBICKI Roman Napoleon, Podporucznik z 1830 roku, urodzony 9 Sierpnia 1806 roku,umarł wAuteville.(Dep. des basses Pyrénées)dnia 21 Listopada 1865 roku.

DZIERZBINSKI Jan, urodził się 1802 roku w Serbowie, w powiecie mohylowskim. W 1830 roku wszedł do powstania, a będąc płatnikiem jeneralnym w korpusie Kołyski, nie tylko przy rozbiciu tego korpusu i wkroczeniu go do Galicji kassę uratować potrafił, ale jeszcze pomimo licznych niebeśpieczeństw dowiózł ją do Warszawy i Rządowi narodowemu w całości oddał. Zaciągnąwszy się na nowo do narodowych szeregów, dosłużył się stopnia majora. W emigracji odznaczał się pracowitością, szlachetnością charakteru i religijnemi uczuciami. Umarł w Anglji, na wyspie Jersej, w miasteczku St. Clément, w ostatnich dniach Stycznia 1865 roku.

DZIEWICKI Seweryn, rodem z Płockiego. Kapitan 6 pułku piechoty liniowej w kampanji 1831 roku, i poźniej emigrant, zamieszkały w Hertford w Anglji, utonął w Tenby 15 Stycznia 1863 roku.

GASZYŃSKI Konstanty, urodził się 1809 roku we wsi Jeziorna, w powiecie Radomskim; nauki odbywał w lyceum i w uniwersytecie warszawskim, a lubo z usposobienia i natury umysłu w zajmującym wszystkich w te czasy sporze romantyków z klassykami bardziej ku ostatnim się skłaniał, sama młodość i blizki ze współkolegą wtenczas Zygmuntem Krasińskim stosunek, zwróciły go ku Brodzińskiemu i na drogi jakie on przed młodymi otwierał. Na ławkach uniwersyteckich zaczęły się rozwijać poetyczne i pisarskie zdolności Gaszyńskiego i już w 1827 roku piérwsze swe prace w ówczesnych pismach zbiorowych umieszczał; wydawał poźniej razem z Zienkowiczem *Pamiętnik dla płci pięknej*, napisał parę komedji grywanych na teatrach warszawskich,krotochwilę pod tytułem: *Warjat z potrzeby*, i naresztę humorystyczny w sześciu pieśniach poemat *Jaxiadę*, na wzór niby Jljady Homera, który chociaż nie drukowany, znanym był powszechnie w Warszawie, równie jak bohatér jego Jaxa Marcinkowski. Romanse Walter-Scotta wywierały wtenczas wpływ wielki; Zygmuut Krasiński z pomocą dwóch przyjaciół pisał *Władysława Hermana i dwór jego*, a Gaszyński wydał też swoich *Dwóch Śreniawitów*, powieść historyczną z czasów Władysława Łokietka, w trzech tomach. Prace te przerwał rok 1830; z wybuchem listopadowego powstania zaciągnął się do wojska, i odbył w niém całą kampanję, a po ostatecznym upadku sprawy, jako porucznik artylerji dostał się z innymi za granicę. Wśród życia obozowego nie jedna pieśń wypłynęła mu z serca, a jeżeli piérwsze jego utwory wdziękiem, słodyczą, przypominały Stefana Witwickiego, niektóre jak naprzykład *Trzy natchnienia*, odznaczały sie piękną, rytmiczną formą, to poźniejsze trochę, i w piérwszych latach pielgrzymstwa napisane, jak: *śmierć żołnierza, czarna sukienka, śmierć Sowińskiego, nuta narodowa*, będąc odbiciem ogólnych uczuć w tej chwili, powtarzane były przez wszystkich, stały się śpiewami

narodowemi; Wojciech Sowiński a nawet Chopin dorabiali do nich muzykę i tak kraj obiegały: znało je całe ówczesne pokolenie. Któż na Litwie nie pamiętał, ulubionej Szymonowi Konarskiemu i często przez niego w więzieniu śpiewanej pieśni: *Gdy na wybrzeżach twojej ojczyzny*? a wiersz *usque ad finem* powtarzała najlepsza młodzież. Gaszyński żadnego wielkiego nie zostawił po sobie utworu, ale we wszystkich jego pracach przebijała się zacna i czująca dusza, i tém serca niewolił; głównym przymiotem jego poezji jak mówił Zygmunt Krasiński, doskonały w tej rzeczy sędzia, było uczucie; te z nich, w których nie naśladując nikogo puścił wodze sercu i poszedł wrodzoną, właściwą sobie, drogą czucia, są piękne i wzruszać nie przestaną. Przekłady niektóre z Berangera a nawet Hejnego są prześliczne, a we wszystkich odznacza się pięknym i poprawnym językiem. Zygmunt Krasiński o rytmiczności jego ucha w wierszach, jak sam się wyrażał, tak wysokie miał wyobrażenie, że niczego nie ogłosił bez przeczytania mu piérwej. Związek obu przyjaciół stawał się coraz ściślejszym, a to samo już świadczy o wysokiém nastrojeniu moralném i religijném Gaszyńskiego.

Zdrowie potrzebujące południowego klimatu i pociąg jaki te strony miały zawsze dla jego natury kochającej przyrodzenie, sztukę i piękno, przyczyniły się do tego, że Prowancję na mieszkanie obrał i osiadł w Aix, gdzie długie lata spędził, opuszczając to miasto tylko na krótko, dla spotkania się z Krasińskim, albo zwiedzenia Włoch do których tęsknił od dawna. Pierwszy zbiór poezji swoich pod tytułem *Pieśni pielgrzyma polskiego* wydał w Paryżu 1833 roku. W pożyciu towarzyskiém oprócz słodyczy charakteru i wielkiej uprzejmości, odznaczał się jeszcze niezwykłym dowcipem i humorem. Wspomnienia z lat ubiegłych, tak z czasów szkolnych, jako też z życia obozowego lub emigracyjnego, umiał opowiadać nadzwyczaj obrazowo; głęboko też zaryły się w pamięci jego, dziwne historje o Sawie, Pułaskim, Łukaskim, słyszane jeszcze w rodzicielskim domu od ekonoma, dawnego konfederata barskiego, i z prawdziwém mistrzostwem wywoływał do życia te postacie, to też znajomi i przyjaciele zachęcali go do pisania pamiętników i podań historycznych. Ogłoszone świéżo pamiętniki Paska i Opowiadania starego szlachcica Henryka Rzewuskiego były dla niego nowym bodźcem do podobnej pracy. Piérwszą wyborną w tym rodzaju próbką był *Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy, obrazek z pierwszych lat emigracyjnego życia* wydany w Paryżu 1846 roku. Krasiński rad był z niej bardzo i mawiał mu: « Jest to dopiéro piérwszy zarys, rzucony węglem, nałóż go kolorami, wykończ, wycieniuj, a stworzysz Donkiszota polskiego. » Po panu Dezyderym ukazały się: *Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego rotmistrza konfederacji barskiej* (Paryż 1847) i *Kontuszowe pogadanki i obrazki szlacheckiego życia* (Paryż 1851) pełne charakteru i prawdy. Żałować przychodzi, że inne zajęcia czy może zbyt dojmujące boleści nie dozwoliły mu nic więcej na tej drodze dokonać, bo słusznie pisał do niego Krasiński, że do tego właśnie rodzaju miał arcy-talent.

Muzea i zbiory sztuki jakie posiadało wtenczas miasto Aix, zajmowały go bardzo; długie godziny w nich spędzał, czerpiąc tam te pociechy jakie sztuka miłośnikom swym daje, a r. 1852 przeszedł mu na podróży po Włoszech, skąd pisywane listy do jednego z przyjaciół w Krakowie utworzyły poźniej osobny tomik, wydany w Lipsku 1853 roku. Władając mową francuzką tak dobrze jak ojczystą, prędko po zamieszkaniu w Aix zaczął prace swe umieszczać w wychodzących tam dziennikach: *Gazette du Midi* i *le Mémorial d'Aix*. Po kilku latach, został nawet głównym ostatniego z nich redaktorem. Oprócz studjów historycznych nad przeszłością tego miasta, opisów

okolic Prowancji, ukazywały się tam i obrazki jego z obozowego życia, czasem nawet ulotne poezje, sonety, bo równie łatwo rymował po francuzku jak po polsku; wielkie zaś przymioty umysłu i serca, wdzięk w pożyciu, zjednały mu tam poważanie i miłość ogólną. Utwory jednak przyjaciela, Zygmunta Krasińskiego zajmowały go najbardziej, był dla nich jakby piastunem, wszystkie on wydał; niektóre, a między innemi *Przedświt* wyszły po raz piérwszy pod jego imieniem. W czasie wycieczek swoich do Niemiec i Paryża oddawał i nowe swe prace do druku tak w 1856 r. ukazał się pomnożony zbiór jego poezji, a w 1858 r. pod tytułem *Pro publico bono* satyra *Gra i karciarze* uwieńczona przez poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk, i *Wyścigi konne w Warszawie, obrazek dramatyczny w dwóch częściach,* z dołączoną do nich bajką, *Papuga i wróbel.*

Śmierć Zygmunta Krasińskiego (14 Lutego 1859 roku) była ciężkim dla niego ciosem; dla zbolałego serca szukał pociechy w zgromadzeniu pozostałych po nim pamiątek. Powziął myśl zebrania i ogłoszenia obszernej bardzo korespondencji zmarłego, a chociaż ten zamiar w części tylko do skutku doprowadzonym został, jemu winni jesteśmy ten tom listów, który już stał się narodową własnością. W 1862 roku wydał jeszcze francuzkie tłumaczenie *Przedświtu*, poematu *Ostatni* i wiersza *Resurrecturis*. Po wybuchu powstania 1863 roku słabą już ręką uchwycił jeszcze za pióro, i napisał ostatnich kilka pieśni. Złamanego chorobą i wielu boleściami miał jeszcze dotknąć cios okropny; ośmdziesięcioletnia matka jego, w czasie ostatnich krajowych wypadków okrutnie przez Moskali zamordowaną została. Pogrążony w boleści, odtąd już gasnął powoli, a życie jego było tylko ciągłém prawie konaniem. Otoczony szacunkiem znajdujących się w Aix ziomków, i mieszkańców tamecznych, wpośród których tyle lat spędził, pobożnie po chrześcijańsku żywota dokonał, dnia 8 Października 1866 roku.

W myśli oddania ostatniego hołdu pamięci przyjacielowi całego życia, zostawił w rękopiśmie obszerny pamiętnik pod tytułem *Zygmunt Krasiński i moje z nim stosunki*, ale ten, według ostatniej woli zmarłego zaledwo po upływie pewnego czasu drukowanym być może.

Z prac jego we francuzkim języku, oprócz przytoczonego wyżej przekładu poematów Krasińskiego, i tłumaczenia Pamiętników Rogowskiego, główniejsze są: *Nord et midi*, umieszczone w *Mémorial d'Aix* studja: *Quêntin Metsyis célèbre peintre flamand, Charles Quint à Aix, Christine de Suède à Aix, Marguerite de Voland*; opowiadania: *Les deux prisonniers d'état, Causerie de bivouac*; opisy miejsc w Prowancji: *Saint Antonin, l'Ermitage de Saint-Sers, les Figons*, i humorystyczne szkice: *Le passage des Anglais, Histoire d'un clou et d'un tableau, Recherches sur la pipe* i.t.d. Wydał oprócz tego obszerną monografię: *Les cabinets de tableaux et collections artistiques de la ville d'Aix.*

GAWROŃSKI Andrzej, urodził się około 1791 roku. W 1809 wstąpił do wojska polskiego; odbył kampanje napoleońskie i wyniósł z nich ran kilka, i krzyż żołnierski. Od 1815 do 1830 roku należał do ciągłych zmów patriotycznych w wojsku, które ostatecznie wybuch 29 Listopada sprowadziły. Do lat tych odnosi się następujący szczegół: Oficerowie związkowi mieli za prawidło żyć w najlepszych stosunkach z najporządniejszymi podoficerami; taki związek zachodził między Gawrońskim a podoficerem Felixem Nowakowskim, poźniej podpułkownikiem sa-

perów. Zdarzyło się, że ten oglądając w mieszkaniu Gawrońskiego pistolet, przypadkiem wystrzelił; kula przeszyła Gawrońskieg; upadł krwią zlany, ale gdy przyszedł doktór, nie myślił o sobie, ledwo słowo z osłabienia mogąc wymówić, powtarzał tylko : *nie chcący, nie chcący*, chodziło mu jedynie o ocalenie podoficera. Szczęściem wyleczył się, rzecz się skryła, obaj pozostali przyjaciołmi do śmierci. Dnia 29 Listopada jako w dzień swoich imienin, Gawroński wtenczas kapitan, zaprosił oficerów bataljonu saperów do siebie na herbatę, tam, tym co jeszcze wtajemniczeni nie byli, wyłożył cel związku, i oznajmiwszy że chwila działania nadeszła, kazał uderzyć w bęben, na zbór bataljonu. Dowódzca pułkownik Majkowski zrazu sprzeciwiał się, ale widząc czyn już spełniony, dobrowolnie ustąpił dowództwa Gawrońskiemu i przeszedł pod jego rozkazy. Walcząc mężnie w kampanji 1831 roku doszedł do stopnia pułkownika saperów, ofiarowanego mu krzyża złotego nie przyjął, żeby srebrnego żołnierskiego nie stracić. Przybywszy na wychodźtwo, żył z żołdu jaki Francja wojownikom naszym przeznaczyła; 120 franków wypłacanych mieşięcznie, wystarczało na proste potrzeby żołnierza; w miarę tego jak żołd zmniejszano, Gawroński przenosił się wyżej do tańszego mieszkania, ostatnie lata, pobierając już tylko 45 franków przeżył pod strychem, sam sobie będąc sługą, kucharzem i krawcem. Szlachetna duma nie opuściła go do końca, ręki nigdy nie wyciągnął, pogody ducha nie stracił, tak spokojnie stawił czoło biédzie jak niegdyś piers kartaczom. O ojczyznie do ostatniej chwili myślić nie przestał. Gdy powstało na wychodztwie stowarzyszenie podatkowe, piérwszym jego emerytem był pułkownik Gawroński. Umarł w Paryżu, dnia 17 Listopada 1864, pochowany na cmentarzu Montmartre w zbiorowych emigracyjnych grobach.

GODKOWSKI Jan, rodem z królestwa polskiego, służył ciągle wojskowo; w 1812 roku jako wachmistrz w korpusie księcia Józefa Poniatowskiego wszedł do Moskwy, gdzie miał dziwne zdarzenie które często opowiadał, i w liście nawet do przyjaciela przed śmiercią opisał. Wysłany z patrolem dla bronienia miasta od rabunku, trafił raz na gromadę maroderów, która uprawadzała młodą, wołającą ratunku ośmnastoletnią dziewczynę. Posłyszawszy mowę polską naszych żołnierzy, jeszcze bardziej prosić o pomoc zaczęła; oswobodzoną, Godkowski za pozwoleniem swego kapitana, razem z drugim kolegą, odprowadził do jej domu. Tam, przez uszczęśliwionego ojca który z radości do nóg im padał, najuprzejmiej przyjęci i częstowani, gdy rozgościwszy się, ze zwycięztwa nad Moskalami jako młodzi przechwalać się zaczęli, starzec im powiedział : « Nie bądźcie tak pyszni, bo nie wiecie co was czeka » a wyszedłszy do drugiej izby, przyniósł z niej grubą księgę, i przeczytał im proroctwo : że przyjdzie do Moskwy wielki rycerz, zowiący się Apolon; że miasto całe będzie zniszczone ogniem i mieczem, tak że kamień na kamieniu nie zostanie, ale że to nie długo potrwa, bo tenże rycerz Apolon prędko pobity na głowę, całe prawie swe wojsko straci, że jednak poźniej i wiele poźniej przyjdzie drugi Apolon, a wtenczas wszystko w Moskwie przemienioném będzie. » Młodzi żołnierze nasi śmieli się z przepowiedni starca, dowodząc mu, że Apolon nie może oznaczać Napoleona, i. t. p. Podczas odwrotu wielkiej armji, Godkowski przypominał sobie tę przepowiednię, a poźniej nieraz go już cieszyła wśród rozmaitych narodowych kolei, bo przypuszczał, że ujrzy jeszce spełnienie i drugiej jej połowy. W 1812 roku ocalony w odwrocie, miał udział w całej kampanji 1813

i 1814 roku i za odwagę krzyżem legji honorowej ozdobionym został. Podczas powstania 1830 roku walczył znowu za ojczyznę, i w stopniu majora wyszedł z całém wojskiem za granicę. Dostawszy się do Francji, cichy, i przykładny wiódł żywot, i jako jeden z pierwszych emerytów *Instytucji czci i chleba*, umarł w Vierzon, Departamencie Cher, dnia 2 Marca 1866 roku, licząc wieku lat 74.

GORECKI Antoni, urodził się w województwie wileńskiem 1787 roku; nauki początkowe pobierał w domu, poźniej w szkołach wileńskich, a nareszcie w tamecznym uniwersytecie: życie jednak więcej go kształciło niż książka; był to czas wielkich boleści narodowych i ogromnych w Europie wypadków; ojciec jego miał czynny udział w powstaniu 1794 roku pod wodzą Jasińskiego, a młody Antoni z mlekiem wyssawszy gorącą miłość ojczyzny, dzielił wszystkie uczucia patriotów. Pomimo zakazu rządu rossyjskiego przedarłszy się do świeżo utworzonego Księztwa warszawskiego, zaciągnął się do wojska, a wrodzony talent zrobił go jednym z tych poetów których Adam Mickiewicz poetami wojskowymi, poetami legjonów nazywa, którzy pomimo ułomnej nieraz formy zewnętrznej, nową rozpoczynali epokę. Wiersz jego: *o wzięciu wąwozu Samo-Sierra, Duma o Zakrzewskim* i wiele innych, były we wszystkich ustach. W kampanji 1812 roku jako oficer, odznaczył się pod Smoleńskiem, ozdobiony krzyżem legji honorowej miał udział we wszystkich bitwach, a po odwrocie Napoleona, kilka miesięcy w Krakowie dla wyleczenia ran pozostał. Osiadłszy na wsi w stopniu kapitana, oddał się rolnictwu, a w wolnych chwilach stosunkom towarzyskim i poezji, w której nie wiążąc się do żadnej szkoły, szedł zawsze za swoim własnym wewnętrznym instynktem. Po 1815 r. wyjechał za granicę, zwiedził Niemcy i Włochy, a powróciwszy osiadł znowu na Litwie; drobne utwory swoje, bajki pełne dowcipu i zawsze patriotyczną myślą ożywione, drukował w rozmaitych pismach, a wiele ich w odpisach obiegało po rękach, jak: *Śmierć zdrajcy ojczyzny, wiersze na śmierć Jasińskiego, i jenerała Fiszera*, sławne w swoim czasie bajki: *Furmany, Kura i jajko* i wiele innych. Był jednym z najczynniejszych członków tak zwanego Towarzystwa *Szubrawców*, które sławne w swoim czasie *Brukowe wiadomości* wydawało. Po 1820 roku ożenił się z Weroniką Ejdziatowiczówną, i prawdziwego w domu doznawał szczęścia, kiedy nadszedł rok 1830. Zaczęto na Litwie sposobić się do powstania, a Gorecki należący do komitetu który w Wilnie przygotowaniami kierował, wkrótce ukochaną żonę i kilkoro dzieci opuścić musiał, biorąc w niém udział. Jako agent litewski, był w Szwecji a poźniej w Londynie i Paryżu, gdzie po upadku powstania już do śmierci pozostał. W blizkich stosunkach z Mickiewiczem, Bohdanem Zaleskim, Stefanem Witwickim, Bohdanem Jańskim, dzielił z nimi koleje tułaczego życia. Pisał zawsze, i na wychodztwie zaczął zbiory swoich poezji drukować. W 1834 r. wyszły jego *Poezje Litwina*, w 1839, *Bajki i poezje nowe*; w 1843 *Kłosek polski*. Samorodny dowcip, bystrość, i szczere często uczucie nie opuściły go, ale ostatnie tomiki, których było nie mało: *Siewba* 1857, *Nowy zbiorek wierszy* 1858, *Jeszcze tomik* 1859, *Nowe pisemko*, i *Wolny głos czyli nowy tomik pism* 1860, *i Rozmaitości* 1861 r. zdradzały upadek talentu i pewien zamęt w pojęciach religijnych. Doczekał się pociechy, że syna Tadeusza miał przy sobie, ale zdrowie w ostatnich latach opuściło go zupełnie; umieściwszy się w domu zdrowia, po długiej, lat kilka trwającej chorobie, życie tam zakończył. Umarł dnia 18 Wrzesnia 1861 r. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu Montmorency.

GRABIŃSKI Napoleon, służył przed 1830 rokiem w drugim pułku piechoty wojska polskiego; odbył całą wojnę 1831 roku i w stopniu oficera dostał się za granicę. Umarł w Lyonie dnia 1 Sierpnia 1866 roku licząc wieku lat 56.

GROCHOWSKI Stanisław, urodził się w Krakowie 1758 roku i był jednym z wychowańców sławnego korpusu kadetów w Warszawie; walczył za ojczyznę pod Tadeuszem Kościuszką w stopniu kapitana, i po upadku kraju pierwszy raz wtenczas dostał się za granicę. Po utworzeniu Księztwa warszawskiego zaciągnął się znowu do wojska, odbywał kampanję 1812 roku, po której powtórnie na obcej znalazł się ziemi. Za Królestwa kongresowego był urzędnikiem cywilnym, a gdy wybuchło powstanie 1830 roku, nie mogąc dla podeszłego wieku służyć w szeregach narodowych, znajdował się przy kassie wojskowej, i razem z innymi już po raz ostatni emigrował. Mieszkał w Fontainebleau, sam sobie jeść gotując, kiedy założony dom ś. Kazimierza w Paryżu, otworzył się dla szanownego starca. Przeżył w nim jeszcze lat kilka, przytomny, pogodny, aż do ostatniej chwili. Usługującym mu siostrom miłosierdzia powtarzał nieraz, że da znać kiedy ostatnia chwila dla niego wybije, i w rzeczy samej, dnia 7 Sierpnia 1862 roku poprosił żeby przyszły; znalazły go spokojnego zupełnie i w zwyczajnym stanie. «Dotrzymałem słowa» powiedział dobitnie, « miałem uwiadomić kiedy umierać będę, oto już idę do Boga.» Po kilku chwilach najspokojniej skonał. Liczył lat sto cztéry.

GRUŻEWSKI Juljusz, syn Jakuba i Doroty z Sackenów Grużewskich, urodził się dnia 8 Lutego 1808 roku w Kielmach wsi dziedzicznej rodziców, położonej na Żmudzi, w powiecie rosieńskim. Ojciec Juljusza protestant, wychował go w zasadach wyznania swojego, a lękając się dla niego prześladowań domierzanych przez Nowosilcowa wtenczas nad młodzieżą, nie oddawał go do szkół, a trzymał w domu przy sobie, mając na wsi nauczycieli. Tam jednak rozwinął się młody umysł, a serce gorąco ukochało Ojczyznę. W 1829 roku odumarł Juljusza ojciec i na młodzieńca spadł zarząd rozległych majętności i wychowanie młodszego rodzeństwa; oddanego temu z całą gorliwością, zaskoczyła wieść o powstaniu w Warszawie 29 Listopada 1830 roku. Odtąd jedna już tylko myśl walki zajęła jego umysł; wyglądał co chwila wejścia wojsk naszych na Litwę, a gdy miesiące schodziły w daremném oczekiwaniu, radząc się tylko własnego serca, postanowił sam dać hasło do powstania na Żmudzi. W Lutym 1831 roku z przyjaciołmi Dobrosławem Kalinowskim Zenonem i Jgnacym Staniewiczem, robił przygotowania do wybuchu; sam z urodzenia trochę ułomny, jakby już przez naturę od podatku krwi uwolniony, nie tylko siebie od tego obowiązku uwolnić nie chciał, ale jeszcze w gorącém sercu, znalazł ten żar który innych do poświęcenia rozpalił; protestant, posiadał ufność najbardziej katolickiego ludu, i wpośród niego pierwszy na Litwie zastęp powstańczy zgromadził. Dzień 25 Marca, wyznaczyli nasi spiskowi na rozpoczęcie ruchu. O piątej po południu, Grużewski na czele 400 włościan uzbrojonych w kosy, 100 strzelców i 50 koni wyszedł z Kielm swoich o cztéry mile od Rosień odległych, i udał się ku miasteczku; spotkawszy na połowie drogi Staniewicza i Kalinowskiego, o północy wpadł z nimi do Rosień. Załoga złożyła broń, powstańcy zabrali kassę i wojskowe zapasy, ustanowiono natychmiast Rząd tymczasowy z trzech do-

wódzców złożony, a manifest przez nich wydany, powoływał całą Litwę do broni. Odezwa ta rozeszła się po całej Żmudzi; jednocześnie powstawało Szawelskie a kolejno i kraj cały. Po czterech dniach pobytu w Rosieniach, Grużewski w prawdzie przed przeważnemi siłami moskiewskiemi ustąpił, ale w tydzień poźniej, dobył miasta na nowo, i oddział nieprzyjacielski do przejścia pruskiej granicy zmusił. Stawszy się panem całego powiatu i uorganizowawszy w nim powstanie, Grużewski i jego dwaj koledzy złożyli władzę swoją w ręce Ezechjela Staniewicza; Juljan pozostał tylko prostym dowódzcą oddziału. Gdy pierwszy zastęp w ciągłych prawie utarczkach stopniał, Grużewski wyczerpawszy już ówczesne swoje pieniężne zapasy, sprzedał w Prusach znaczny, po przodkach odziedziczony zbiór medali i numizmatów, i nowy oddział ze stu jezdców własnym kosztem wystawił; na ich czele dokazywał cudów waleczności, a zawsze przytomny i czynny, dowiódł niezaprzeczonych zdolności partyzanckich. Po wejściu Gielguda na Litwę, pierwszy z nim się połączył; wysłany przez niego do Telsz, ciągle ucierając się z nieprzyjacielem, spotkał znowu w Mańkunach cofający się już z pod Wilna oddział Jenerała; wtenczas to zasłaniając ten odwrót wykonał świetną szarżę brzeciw pułkowi Czerkiesów, po czém udał się za Gielgudem do Prus i razem z jego oddziałem przeszedł granicę. Znalazłszy się na wychodztwie we Francji, odznaczał się niepodległością charakteru, zacnością i szlachetną dumą, która mu pozwoliła we wszystkich stosunkach utrzymać godność osobistą i w obec najwyżej nawet postawionych osób, pozostać niezależnym. Nie chcąc żyć jedynie z procentów od odziedziczonego po rodzicach mienia, postanowił jeszcze pracą na utrzymanie swoje zarabiać, i w tym celu zajął się handlem zegarków, a zawiązawszy spółkę z Czapkiem w Genewie, wiele dni życia tej gałęzi przemysłu poświęcił. W czasie ostatniego powstania mianowany agentem Rządu narodowego w Szwajcarji, oddawał tam możebne usługi, zrazu w zakupowaniu broni, poźniej w wyszukiwaniu pomocy dla wzrastającej ciągle liczby nowych wychodźców naszych. Nieszczęścia krajowe, silnie wstrzęsły zbolałą a zawsze po Ojczyznie tęskniącą jego duszę i zgon przyśpieszyły. Umarł nagle w skutek choroby serca, w Paryżu, dnia 3 Listopada 1865 roku. Pochowany na cmentarzu Montmatre w jednym z kilku rodakami grobie.

HŁUSZNIEWICZ Antoni, urodził się na Litwie 1793 roku; skończywszy gimnazjum w Mińsku, udał się do Wilna, i w 1810 r. rozpoczął nauki uniwersyteckie na wydziale matematycznym, stosując się w tém do woli rodziców; po odbyciu ich jednak, idąc za własnym już popędem oddał się naukom lekarskim, a otrzymawszy w 1822 r. stopień doktora medycyny, osiadł na Wołyniu, gdzie jego nauka, zacność, dobroć, poświęcenie i patriotyzm, prędko mu ogólne zjednały poważanie. W 1830 roku wyjechał za granicę, dla dalszego jeszcze kształcenia się w obranym zawodzie; w tej podróży doszła go wiadomość o listopadowém powstaniu. Nie tracąc chwili, pośpieszył do Warszawy, gdzie zająwszy miejsce między pierwszymi lekarzami, przez cały ciąg walki, dnie i noce o własnym koszcie spędzał w szpitalach wojskowych. Zjednawszy i tam dla siebie ogólny szacunek, obranym został na posła powiatu borysowskiego wtenczas, kiedy za potrzebne uznano, powiększyć sejm reprezentantami Litwy i Rusi, a dzieląc odtąd czas swój między posługi lekarskie i prace sejmowe, nowe przed Bogiem i ludźmi położył zasługi. Przybywszy na wychodztwo, przez całych lat trzydzieści dzielił jego koleje, zawsze oddany bra-

ciom, prawy, szlachetny, na usługi dla innych wylany. Po założeniu szkoły batignolskiej wyłączną pieczołowitością otaczał zebraną w niej dziatwę naszą, testamentem księgozbiór swój temu zakładowi zapisał, i szanowany powszechnie, dnia 5 Sierpnia 1861 roku żywot swój w Paryżu zakończył. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu Montmartre.

JANUSZKIEWICZ Romuald, syn Michała i Tekli z Sokołowskich, przyszedł na świat 1808 r. w dawném województwie nowogródzkiém; rodzina jego od dawna w domu ks. Radziwiłłów zasłużona, po kądzieli spowinowaconą była z rodziną Tadeusza Kościuszki; z mlekiem więc wyssał już Romuald miłość ojczyzny, której do grobu wiernym pozostał. Życie jego najzupełniej dałoby się skreślić w tym jednym wierszu Karola z Kalinówki: «Cichych ludzi cicha sława.» Zacny, serdeczny, skromny, a przedewszystkiém pełen miłości dla drugich, mało dbał o to, jakie miejsce w świecie zajmie, za główny cel życia swego założywszy: zaskarbić sobie jak największą miłość u ludzi. Piérwsze lata dzieciństwa przeszły mu w Usowie, majętności położonej pod Kopylem w powiecie słuckim, którą rodzice jego trzymali zastawem, nim się przenieśli do nabytego na własność Dziahylna, niedaleko Kojdanowa; uczęszczał do szkół dominikańskich w Nieświéżu, a potém do gymnazjum w Słucku, nareszcie słuchał kursu prawa w Uniwersytecie wileńskim i razem z młodzieżą akademicką w 1831 r. wyszedł z Wilna powiększyć szeregi powstańców. Był następnie przy pułkowniku Kossie i z korpusem jenerała Giełguda wszedł do Prus. Najstarszy z trzech braci Adolf, wzięty do niewoli, posłanym został na Sybir, gdzie długie lata spędził. Romuald z Eustachym dostał się do Francji, i tam dzielił z nim dobre i złe losy, wszystkie jego prace i zatrudnienia, wszystkie walki i niepokoje. Nauka Towiańskiego wywarła nań wpływ nadzwyczajny. Sercem szukający prawdy, pokochał naukę i Mistrza swego, a w exaltowaném uczuciu gotów do wszelkiego poświęcenia, z wiarą oczekiwał przyjścia królestwa Bożego na ziemię i zbliżenia się ludzi do Boga. Kiedy za rządów Cavagnaca Towiański miał być wysłanym do Cayenny, Romuald usilnie się starał, aby z nim razem mógł to odległe wygnanie podzielić. Tymczasem nadmiar nieszczęść spadłych na Polskę uderzał codziennie nowym ciosem w jego serce dla niej i dla braci tylko wylane: pękło ono nareszcie w samą 57 rocznicę jego urodzin, d. 31 Marca 1865 roku. Zwłoki jego złożono na cmentarzu Nanterre pod Paryżem, gdzie od czasu poślubienia Marji Letronne był zamieszkał. W jednym z nim grobie spoczywa i najpierwszy jego synek przed rokiem zmarły; zostawił jeszcze syna Tadeusza i dwie córki: Karolinę i Marję.

JASIEWICZ Justyn, rodem z Litwy, powstaniec z 1831 roku; po upadku sprawy razem z innymi wyszedł za granicę ze stopniem podporucznika 19 linjowego pułku; umarł we Francji w Port Sainte-Marie (w departamencie Lot et Garonne) dnia 14 Czerwca 1866 roku, licząc wieku lat 73.

JASIŃSKI Aleksander urodzony 1842 roku, walczył w ostatniém powstaniu i jako rotmistrz dostał się za granicę; umarł w Paryżu dnia 3 Grudnia 1866 r.

JERZMANOWSKI Jan Paweł, urodził się w województwie łęczyckiem 1779 roku; ojciec jego w izbach poselkich między 1764 i 1791 rokiem odznaczał się odwagą i patriotyzmem, był też otoczony ogólnym szacunkiem, a hart duszy i gorącą miłość ojczyzny, synowi przekazał. Młody Jerzmanowski liczył lat 19 kiedy go doszły wieści o formujących się za granicą legjonach, opuścił dom rodzicielski i tajnie pośród wielkich niebeśpieczeństw dostał się do Włoch; zaciągnąwszy się do legjonu Kniaziewicza, odtąd aż do 1815 roku broni nie porzucił, i miał udział w wojnach włoskich, a poźniej we wszystkich prawie kampanjach pierwszego cesarstwa. Pułkownik, komandor legji honorowej, kawaler krzyża polskiego zasługi wojskowej, nareszcę baron cesarstwa francuzkiego, wszystkie stopnie swoje i nagrody zdobywał na placu boju; służył w końcu, w pułku szwoleżerów stanowiącym przyboczną gwardję polską Napoleona. Podczas nieszczęsnego odwrotu 1812-13 roku, od Wisły aż do Wittemberga nad Élbą dowodził tylną strażą wielkiej armji; po abdykacji Napoleona, ze szwadronem polskich ułanów stanowiącym całą kawalerję Cesarza, udał się z nim na wyspę Elbę, tam, w końcu Lutego 1815 r. otrzymał od Napoleona rozkaz najęcia wszystkich statków, zaopatrzenia ich w żywność i dopilnowania aby żaden z portu nie odpłynął; 1 Marca wyruszył z Cesarzem, a gdy wysiedli na brzeg francuzki, poprzedzał go z oddziałem jazdy; ranny pod Waterloo, wybranym był przez Napoleona dla towarzyszenia mu po powtórnej abdykacji, ale dla przyczyn od niego niezależnych, nie mógł się udać na wyspę ś. Heleny. W końcu 1815 roku zjechał do Warszawy, lecz wkrótce powrócił do Francji i ożeniwszy się z hrabianką Marją Désormaux osiadł w okolicach Tours, w dobrach zwanych la Grande Rabière, gdzie oddał się życiu domowemu. Po dniach lipcowych przybył do Paryża, a kiedy wybuchło powstanie listopadowe, przez znajdujących się w Paryżu rodaków wybranym został z Leonardem Chodźką i Teodorem Morawskim na członka komitetu mającego się sprawą narodową zajmować, aż do przybycia wysłańca Rządu Narodowego. D. 1 Lutego razem z dwóma kolegami swoimi, odebrał patent na grenadjera gwardji narodowej polskiej, której piérwszym grenadjerem był jenerał Lafayette, a piérwszym kanonjerem senator Antoni Ostrowski. Kiedy z Anglji wysyłano broń i amunicję dla naszego powstania, Jerzmanowski przez pamięć dawnych zasług mianowany przez Rząd Narodowy jenerałem, objął dowództwo nad statkiem przeznaczonym na tę dostawę; 14 Lipca 1831 roku wypłynął z portu, ale przybywszy do żmudzkich wybrzeży we dwanaście dni po wejściu Giełguda i Chłapowskiego do Prus, wrócił napowrót do Londynu. Po ostatecznym upadku powstania powrócił znowu na wieś. Wstąpienie na tron Cesarza Napoleona III sprowadziło go do Paryża; zapomniany od dawna, dla bardzo podeszłego wieku nie mogąc być na nowo użyty, gdy oparte na kanałach francuzkich pensje jego do krzyżów i baronji przywiązane, z upadkiem ich umniejszać się zaczęły, uszczuplać sobie wygód na starość musiał. Umarł w Paryżu, dnia 15 Kwietnia 1862 roku licząc 83 lata wieku. Pochowany na cmentarzu Montmartre.

JESMAN Aleksander urodził się na Żmudzi 1785 roku; oddawszy się zawodowi prawnemu, zajmował się interesami możniejszych w kraju rodzin, między innemi Ogińskich, i na tém polu zjednał sobie opinję zdolnego i prawego człowieka; po 29 Listopada był w Wilnie członkiem komitetu zajmującego się przygotowaniami do powstania na Litwie; po wejściu na Żmudź regularnych wojsk polskich, mianowany

został naczelnikiem cywilnym wiłkomirskiego powiatu; dostawszy się poźniej z innymi do Francji, osiadł w Troyes, gdzie cichy prowadził żywot; po kilku latach przeniosłszy się do Paryża, tam resztę dni swoich spędził. Umarł dnia 28 Sierpnia 1863 roku; pochowany na cmentarzu Montmartre.

JORDAN na Zakliczynie Wiktoryn, wielce starożytnego rodu Jordanów potomek, biegły inżynier, w wojskowych umiejętnościach ćwiczony, na usługi ojczyste gotów, umarł w Konstantynopolu r. 1865. C. N.

JORDAN Zygmut, potomek starożytnej rodziny, osiadłej w Krakowskiem, urodził się w Warszawie w 1824 roku. Ojciec jego Ludwik, dawny wojskowy, dowódzca trzynastego pułku huzarów za Księztwa warszawskiego, wyszedłszy z wojska, obyczajem szlachty polskiej zajmował się rolą, a był wtenczas Radcą Towarzystwa kredytowego. Dawna dzielność przodków miała się odbić w Zygmuncie, w którego życiu, znający go bliżej świadkowie, upatrywali odbłyski dawnej rycerskości polskiej, połączonej z głębokiém religijném uczuciem i wiernością dla kościoła. W zabawach i upodobaniach dziecięcia przebijał się już przyszły duch żołnierski, ale obok niego i władze umysłowe wcześnie rozwijać się zaczęły. W 1831 roku już był w szkołach, a wzięcie Warszawy było piérwszém silném wrażeniem studenta początkującej klassy; w nim też był może zarodek przyszłego kierunku całego życia. Zresztą, to co go otaczało, przeszłość rodzinna, uczucia spotykane w domu, gdzie ojciec tak Moskali niecierpiał,że wstawał od obiadu gdy z nich którego za jednym z sobą stołem postrzegł, blizkość pełnego pamiątek Krakowa, wszystko to rozwijało patriotyzm; rozpaliły go na płomień który całe życie miał gorzeć, *Śpiewy historyczne* Niemcewicza, pożerane przez dorastającego młodzieńca. Skończywszy szkoły, Zygmunt Jordan w czternastym roku słuchał już kursów filozoficznego wydziału w uniwersytecie krakowskim, a w ośmnastym, otrzymawszy naukowy stopień, wyglądał tylko chwili służenia Ojczyznie.

Młodzież należąca wtenczas do szeroko po kraju rozgałęzionych spisków, myśliła że w tym celu powinna się kształcić wojskowo, i dla tego Zygmunt, jako obywatel wolnego miasta Krakowa, nie mając u siebie możności ćwiczenia się w tej sztuce, wziąwszy pasport, udał się do Rossji i tam do artylerji się zaciągnął, myśląc że, w tej broni łatwiej wyższego nabierze wykształcenia. Młody i zdolny, z łatwością ujął dla siebie dowódców, a ci nie tylko go polubili ale otaczali nawet prawdziwemi pieszczotami, które mniej wzniosłą naturę zepsućby łatwo mogły. Wszystko mu tam szło pomyślnie; w trzecim roku służby już był przedstawiony na oficera, co dałoby mu możność wejścia do akademji wojskowej, o czém ciągle marzył, gdy w 1846 roku brat starszy wezwał go, aby natychmiast do Krakowa przyjeżdżał.

Z dwóch związków tajemnych uorganizowanych w kraju, przemógł naturalnie gorętszy, i młodzież wybuch postanowiła. Zygmunt na wezwanie pośpieszył, a lubo sam, mimo lat młodych, za nadto już trzeźwo rzeczy widział, aby w skutek tego powstania mógł wierzyć, gdy jednak starszych współtowarzyszy przekonać nie zdołał, uważał za swój obowiązek poddać się zdaniu większości i losy jej dzielić; raz zaś to postanowienie powziąwszy, w wykonaniu okazał zdolność, a przedewszystkiém charakter. Starszy brat Zygmunta Władysław, zlecił mu wtenczas kierunek sprawy w okręgu krakowskim. Spiskowi mieli się zebrać pod Proszowicami, każdy ze swoimi

ludźmi, tak że na 2,000 rachowano. Zygmunt ze swoimi stanął na naznaczoném miejscu, ale zgromadzonych znalazł stu zaledwie, a i ci, postrzegłszy że są w tak małej liczbie chcieli rozjechać się. Jordan utrzymywał, że honor nie pozwala cofać się i kiedy nie można zwyciężyć, raz rozpocząwszy, trzeba głową nałożyć. Pozostali przy nim dwaj tylko z obywateli M. i W. Zwrócił się wtenczas do włościan, pytając czy chcą iść z nimi czy też do domów powrócić? żaden ich nie odstąpił. We czterdziestu poszli do Proszowic, gdzie stała sotnia kozaków; trzydziestu z nich na kwaterach powiązano, reszta uciekła; zabijać Jordan nie kazał. Stamtąd ruszył dalej zdejmować patrole rossyjskie, stojące nad granicą, a spotkawszy się z Prackim który mu oddziałek przyprowadził, rozbroił kordon w Michałowicach i poszedł ku Krakowowi, gdzie biło się dwustu do trzystu powstańców. W pobliżu miasta spotkał uciekających stamtąd najzagorzalszych powstania promotorów, mówiących, że wszystko stracone. Na tę wieść oddział rozszedł się prawie cały, pozostał Jordan i Mazaraki; ten ostatni chciał się zabić, ale dał się powstrzymać, i na wniosek Zygmunta postanowili obaj przedzierać się do Prus, gdzie także miało być powstanie. W okolicach Chrzanowa napotkali oddział 300 powstańców z rzemieślników tamecznych złożony, ale nie mający wodza, a przybyli z Krakowa Dominikanie donieśli, że brat Zygmunta Władysław w Krakowie raniony, powstańcy stamtąd wyparci, a Austryjacy w mieście rzną dzieci i kobiéty. Jordan objął dowództwo nad chrzanowskim oddziałem i ruszył na Kraków. Oddział wzrósł zaraz do 500 ludzi, a nie długo połączył się z nim brat drugi, i stary oficer grenadjerów Skarżyński który nad wszystkimi objął komendę, zostawiając Zygmunta przy sobie jako oficera sztabu. Austryjacy niepokojeni wiadomościami o szerzącém się w obwodzie powstaniu ujrzawszy zbliżający się oddział, wyszli na Podgórze, i most na Wiśle za sobą spalili; powstańcy Kraków bez wystrzału zajęli. Tam sformowano nowy oddział, pod wodzą Suchorzewskiego, z którym Jordan, zawsze jako oficer sztabu, pod Gdów wyruszył. W kwadrans po przybyciu na miejsce, Benedek z trzema bataljonami piechoty i kilku szwadronami jazdy atakował nasz oddział. Piechotę powstańczą w pień wycięto; jazda cofała się zwolna, a Jordan z sześciu ludźmi zasłaniał ten odwrót, stawiąc czoło szwoleżerom austryjackim i gromadom podburzonych przez rząd włościan. Z Krakowa nastąpiły wycieczki w celu wyparowania Austryjaków z Podgórza. Jordan z kosą w ręku, dwa razy je prowadził, ale daremnie. Starszyzna powstańcza licząc wtenczas 2,000 ludzi postanowiła miasto opuścić, przenieść się do Karpat i stamtąd wojnę partyzancką prowadzić. Jordan był za tém. Tymczasem, drugiego dnia za nimi ruszyli Moskale; rada wojenna w obozie powstańczym postanowiła udać się wtenczas do Prus. Oddział coraz bardziej topnieć zaczął. Zygmunt wraz z innymi uwięziony w Koźlu, uwolnienie swoje winien był jedynie poświęceniu się dwóch akademików wrocławskich. We Wrocławiu spotkał się znowu z bratem Władysławem i razem udali się do Paryża. Tém się skończył dla Zygmunta ten smutny wybuch, który księciu Metternichowi posłużył za pobudkę do rzezi galicyjskiej, a poprowadził za sobą wcielenie Krakowa do Austryi. Młody żołnierz złożył w nim jednak dowody męztwa, wytrwałości i sumiennego pełnienia raz przyjętych obowiązków. Przybyli do stolicy francuzkiej bracia, dowiedzieli się wkrótce o śmierci trzeciego brata w cytadeli warszawskiej i o zgonie rodziców, których boleść do grobu wpędziła.

Zygmunt, nowego tylko w przeciwnościach nabierając hartu, oddał się w Paryżu naukom wojskowym, i naprzód do szkoły jenerała Chrzanowskiego a poźniej do francuzkiej szkoły sztabu uczęszczał, pracując dzień i noc, aż póki go wypadki

1848 roku napowrót do Krakowa nie powołały. Dostawszy się stamtąd do Węgier, służył pod okiem Dembińskiego, który młodego oficera przy boku swoim zatrzymał, i prędko jak syna własnego pokochał. Jordan miał udział we wszystkich jego bitwach, a Jenerał który sam lubił iść w ogień i adjutantów swoich prowadzić, dziwił się jego zimnej krwi i piorunującej odwadze; na prośby całego korpusu oficerów, awansował go na kapitana, i krzyżem węgierskim 3° stopnia ozdobił. Pod Segedynem, kiedy armja węgierska po wkroczeniu Moskali cofała się, Zygmunt z dwóma baterjami artylerji i dwóma bataljonomi piechoty, przez 24 godzin bronił rzeki przeciw ośmiu baterjom i przemagającej austryjackiej sile. Tam lekko raniony, na stopień majora wyniesionym został. Kiedy Dembiński zdał dowództwo Bemowi i sam ze sztabem swoim do Turcji się udał, Jordan choć szczerze do jenerała przywiązany, pozostał w Siedmiogrodzie, bo postanowił bić się do ostatka. W bitwie pod Temeswarem, z całą prawie artylerją węgierską wykonał tę sławną szarżę która Austryjaków do odwrotu na całej linji zmusiła, i byłaby stanowcze zapewniła zwycięztwo, gdyby jej amunicji nie zabrakło. Bem ozdobił go krzyżem 2° stopnia udzielanym tylko jenerałom, a dobry zaiste w tych rzeczach znawca, odzywał się o Jordanie « że jest odważny jak bemowska szabla. » Z Bemem i Zygmunt nasz przeszedł do Turcji. Tam oddawał się wojskowym i literackim pracom, podróżował dużo, starając się oznajomić ze Wschodem, zwiedził Egypt i Palestynę, gdzie go głębokie zawsze religijne prowadziło uczucie, i stamtąd korespondencje do Gazety Codziennej, pod tytułem *Listów ze Wschodu* posyłał.

Wojna krymska powołała go znowu na plac boju. Znany w ministerjum tureckiém jako znakomity oficer, wezwanym został do służby przez Seraskiera, który go przydał do boku Selima Paszy, dowodzącego 15 do 18 tysięcznym korpusem w Batum. Był tam jedynym europejskim oficerem, i przy zwykłej nieudolności Paszy, wszystko leżało na nim. W bitwie pod Szekfetynem, Pasza dowodził na lądzie, Jordanowi obrona od strony morza powierzoną była; mając dwie baterje artylerji, bronił się niemi od floty rossyjskiej, zdemontował jej dwa okręta i zmusił do odwrotu, co widząc armja moskiewska już nie atakowała więcej. Znudzony niedołężnością Paszy, dostał urlop na dni kilka do Konstantynopola; w nieobecośnci jego korpus rozbitym został. Zreorganizowano go na nowo, a zastąpiwszy Selima Paszę drugim, podobnym mu niedołęgą, Mustafą, przydano mu znowu do boku Jordana; ten obronę Redut-Kale Zygmuntowi powierzył. Z jednym bataljonem piechoty trzymał się też tam Jordan prawie przez pięć miesięcy, poczém wskutek żądania komissarzy angielskich mających organizować Czerkiesów, udał się z konsulem angielskim Longwoard na Kaukaz. Tam projektów jego nie słuchano, a wkrótce nastało i zawieszenie broni. Po zawarciu paryzkiego traktatu, Zygmunt jeszcze przez parę lat w służbie tureckiej pozostał, po czém wezwany przez przyjaciół, przyjechał do Paryża, aby tam wspólnie około sprawy narodowej pracować.

Na początku 1861 r. posłany przez księcia Adama Czartoryskiego do Szwecji, jako agent dyplomatyczny, starał się odnowić zapomniane od wieków stosunki z tym narodem, z którym nas tyle wspomnień łączy, i w umysłach ludzi wyższych warstw tamecznych, rozbudzić interes dla polityki zagranicznej, a szczególniej dla tego co się Polski tyczyło. Jego charakter, nauka i towarzyskie ułożenie zapewniały mu jak najżyczliwsze przyjęcie we wszystkich kołach, do których się zbliżył. Dzięki jemu, w wyższych sferach zaczęto się interesować sprawą polską i odważniej stawić się Moskwie, a Jordan nie omieszkał skorzystać z nadarzającej się zręczności. Było

zwyczajem Moskwy, obchodzić uroczyście pamiątkę bitwy pod Połtawą, d. 8 Lipca. Wysłannik polski przedstawił swoim przyjaciołom, że obchód ten był urąganiem się nad narodem szwedzkim, że Szwecja nie ma się czego wstydzić bitwy połtawskiej i powinna ją obchodzić także, nie jako pamiątkę klęski, ale zapowiedź odwetu. Myśl podobała się, długo jednak trzeba było pracować, żeby do jej wykonania ośmielić; w końcu udało się. Powstał z poważnych ludzi złożony komitet, do urządzenie tego obchodu; z wielu miast, bataljony wolnych ochotników przysłały swoich deputawanych na dzień wyznaczony, kilka tysięcy ludzi zebrało się na polu pod samą stolicą, a mowy publiczne i wykonane śpiewy, odnowiły pomięć antagonizmu Szwecji i Moskwy. Piérwszy też raz może wtenczas odezwały się w Szwecji głosy : « Niech żyje Polska! » Jordan wkrótce Sztokholm opuścił, ale rzucone ziarno zostało, i rozbudzone uczucia nie zagasły; pomimo wyłącznie prawie przemysłowego kieruku jaki w Szwecji zapanował, pamięć Karola XII tąk się tam ożywiła, że w rok poźniej utworzył się komitet dla wzniesienia mu pomnika, a na czele składkujących zapisała się rodzina królewska.

Wróciwszy do Paryża, w końcu 1862 roku, Jordan objął przy księciu Władyławie Czartoryskim kierunek spraw politycznych. Kiedy powstanie 1863 roku, któremu był przeciwny, coraz bardziej szerzyć się zaczęło, a odezwy rządów zachodnich dawały wróżyć, że sprawa z takim hałasem przez rządy podniesiona, opuszczoną nie będzie, pojechał do Krakowa, aby usługi swoje raz jeszcze na polu walki narodowi poświęcić. Mianowany jenerałem przez Rząd Narodowy, objął komendę nad dwóma województwami i przygotowywał wyprawę. Pomimo wszelkich środków ostrożności, zaraz po wejściu do królestwa kongresowego, przeważnemi siłami nieprzyjacielskiemi otoczony, straciwszy pod Komorowem najszlachetniejszych towarzyszy, a dowiódłszy w boju raz jeszcze przytomności i osobistej odwagi, z resztkami oddziału wrócić musiał napowrót. Scigany wszędzie, przenosząc się z miejsca na miejsce starał się służyć dalej zakupywaniem broni, i gromadzeniem środków do nowej wyprawy, lecz gdy tych coraz mniej było, a zdrowie pogorszało się ciągle, zażądał urlopu i wrócił do Paryża.

Cios jakiego sprawa w ostatniém powstaniu doznała, zawód na polu bitwy, a nadewszystko, nieszczęścia jakie zwaliły się na naród, stargały do reszty jego siły; przychodzące z kraju wiadomości o okrucieństwach Moskwy codzień nową dodawały ranę i już dźwignąć się nie mógł. Zapytywani lekarze z jakiej słabości umiera, powiedzieli że « ze zgryzoty. » Zabiła go niedola ojczyzny. W wysokiém podniesieniu religijném umarł w Paryżu, dnia 15 Czerwca 1866 r.; spoczywa na cmentarzu Montmartre.

JUNDZIŁŁ Franciszek, pochodzący ze starożytnej i bardzo na Litwie szanowanej rodziny, urodził się w słonimskim powiecie, we wsi dziedzicznej Johalinie; młode lata poświęcił służbie wojskowej którą opuścił w 1858 roku w stopniu rotmistrza kawalerji, i osiadłszy na rodzinnym zagonie, oddał się gospodarstwu, będącemu zawsze ulubionèm zajęciem rycerskiego i rolniczego narodu. W 1863 r. na byłego oficera zwróciły się oczy tych, którzy w bezbronnym kraju organizowali powstanie. Chciano żeby objął dowództwo nad formującym się w słonimskim powiecie oddziałem; wzbraniał się, nie będąc pewien czy zadaniu podoła, przyjął tylko pod warunkiem, że je odda piérwszemu zdolniejszemu oficerowi jaki się znajdzie, a sam wten-

czas podrzędne w szeregach zajmie znowu miejsce. Dnia 12 Maja liczył w oddziale swoim około Mołowid 80 ludzi; wkrótce miał ich już 300. Piérwsze tygodnie zeszły na ćwiczeniu młodego żołnierza, przysposabianiu kos i ogłaszaniu manifestu Rządu Narodowego. Po zebraniu się znaczniejszych sił powstańczych, Jundziłł oddał się pod rozkazy Lenkiewicza i miał czynny udział w bitwie pod Mołowidami, (dnia 3 Czerwca) gdzie Moskale klęskę ponieśli. Gdy postanowiono rozejść się, żeby powstanie po całym roznieść kraju, koło Jundziłła skupili się oprócz słonimskich i nowogródzcy powstańcy; poszedł z nimi ku Myszance; dnia 7 Czerwca miał nową potyczkę pod Górą; oddawszy według rozkazu, powstańców nowogródzkich tamecznemu powiatowemu naczelnikowi, przez błota pińskie udał się napowrót w swoje słonimskie strony i kilka tygodni na ciągłych marszach po puszczach tamecznych wśród niebeśpieczeństw i największych trudów strawił. Po rozbiciu Łukaszewicza potrafił resztki jego oddziału ocalić i koło siebie zgromadzić. Dnia 14 Sierpnia zdał dowództwo oddziału Kołłupajle, ale d. 15 miał jeszcze udział w potyczce pod Głębokim kątem. Gdy powstanie na Litwie coraz bardziej upadać poczęło, podążył ku Królestwu. Dnia 8 Października przeprawił się przez Bug, 20 był w Borowej, na granicy Galicji, a 29 stanął w Krakowie. Dnia 9 Grudnia powołany do pełnienia obowiązków komendanta miasta, 20 Stycznia 1864 naznaczony był wojskowym organizatorem krakowskiego okręgu; dnia 12 Lutego przysłano mu z Warszawy nominację na podpułkownika wojsk powstańczych, ale już na początku Marca z powodu zupełnie zrujnowanego zdrowia musiał Kraków opuścić i przybył do Paryża. Złamany publicznemi i domowemi nieszczęściami, bo rodzina jego w ostatnich wypadkach dużo też ucierpiała, do sił już nie wrócił; suchoty których zarodek zapewne znojom życia partyzanckiego w lasach słonimskich był winien, rozwijały się szybko; przyjęty do szpitala paryzkiego *Hôtel Dieu*, tam, opatrzony wszystkiemi Sakramentami Bogu ducha oddał, d. 13 Lutego 1865, licząc wieku lat 40. U zmarłego za całą spuściznę znaleziono prócz kilku listów od rodziny którą czule kochał, na drobnym kalendarzu kieszonkowym starannie zapisane wszystkie daty jego wojskowego zawodu, rozkazy i nominacje, od chwili kiedy zbrojnie w imię niepodległości Ojczyzny wystąpił.

KAŁUSOWSKI Józef, urodził się w Litwie, w powiecie oszmiańskim, 1836 roku; uczeń akademji medycznej z razu w Petersburgu a potém w Warszawie, miał czynny udział w organizacji narodowej 1862 i 1863 roku, naprzód w Warszawie a poźniej w Wilnie; słabe zdrowie nie pozwoliło mu wystąpić zbrojno w powstaniu, w zbieraniu środków i materjałów dla niego był wielce gorliwy, a dla znanej poczciwości szanowany. Dostawszy się do Francji w 1864 roku, umarł w Montpellier z piersiowej słabości, dnia 20 Marca 1865 roku.

KAMIEŃSKI Korwin Henryk, syn Henryka Kamieńskiego, który jako jenerał walcząc pod Ostrołęką i straciwszy naprzód obie nogi, tam zginął. — Matka jego z domu Kochanowska, córka kasztelana i właściciela Czarnolasu, wywodzącego ród swój od sławnego Jana, dla wyższości umysłu zwaną była warszawską Korynną. Henryk przyszedł na świat w 1812 roku, wtenczas kiedy ojciec jego dowodzący wówczas jedénastym pułkiem piechoty wojsk polskich, znajdował się pod jene-

rałem Rappem w oblężonym Gdańsku. — Cesarz Aleksander bawiący natenczas w Warszawie, a starający się jednać nas dla siebie, posłał do twierdzy kurjera z listem pułkownikowej Kamieńskiej, donoszącym mężowi o szczęśliwém narodzeniu dziecka. Henryk szkoły odbył w Warszawie; w 1831 roku zaciągnął się do czwartego pułku ułanów, skąd przeniesiony do sztabu jenerała Skrzyneckiego, pełnił przy nim obowiązki adjutanta. Przy wzięciu Warszawy, ranny w nogę ułamkiem granatu, został w Modlinie w szpitalu, skąd po ostatecznym upadku powstania wrócił do domu, i osiadłszy w majętności swej Rudzie, położonej w Chełmskiém, nad Bugiem, oddał się życiu prywatnemu. Rozbudzony jednak umysł i gorąca miłość kraju nie pozwoliły mu ograniczyć się szczupłym zakresem spraw domowych; myśl ciągle pracowała nad wynalezieniem środków podźwignienia ojczyzny; nie były mu obce żadne podejmowane wówczas w kraju usiłowania, a znany patriotyzm, zwrócił na niego uwagę Rządu rossyjskiego. Wzięty w końcu 1845 roku do cytadelli warszawskiej, przesiedział tam rok cały, i za nieudowodnione mu autorstwo *Prawd żywotnych*, wysłany na mieszkanie do Permu, trzy dalsze lata na tém wygnaniu spędził. W samotności więziennej i potém na wygnaniu, dojrzewała myśl jego, i wtenczas to postanowił oddać się zawodowi pisarskiemu, myśląc, że to była droga dla niego najwłaściwsza służenia narodowi. Wrócony do kraju, w 1850 roku, myślił zaraz wyjechać za granicę, ale znalazł ogromną zmianę w wyobrażeniach tych warstw społecznych które znał najlepiej; było to skutkiem zaszłych podczas jego nieobecności wypadków. Mając odtąd myślą i piórem służyć krajowi, potrzebował z nowym stanem opinji ogólnej gruntownie się obeznać, i dla tego wyjazd swój odłożył. Zajął się tymczasem gorliwie uregulowaniem stosunków rolniczych u siebie, i wszystkich swych włościan oczynszował; reforma wszakże nie dawała się zaprowadzić łatwo, włościanie zrywali umowy, i dziedzic Rudy z bolem serca zmuszony był uciec się do siły wojskowej dla otrzymania tego, co dla ich dobra z uszczerbkiem własnym był obmyślił. Zapadłszy ciężko na zdrowiu w jesieni, 1851 roku prosił o pasport, a otrzymawszy go, na początku 1852 roku wyjechał za granicę, skąd już nie miał powrócić. Osiadł w Szwajcarji, gdzie się poźniej z zacną i do niego przywiązaną kobiétą miejscową ożenił, a w końcu tak życie urządził, że lato w Interlacken, a zimę w Algierze przepędzał, co podtrzymywało skołatane jego zdrowie. Pisał dużo i wierzył, że myśli jego, gdyby się w narodzie przyjęły, musiałyby zbawić Ojczyznę. Najobszerniejsza praca jego wyszła w 1857 roku pod tytułem : *Rossja i Europa, Polska przez X. Y. Z.* W Berlinie wydawał zeszytami pismo pod tytułem *Prawda* przez X. Y. Z. Skarżył się, że większa część *Prawd żywotnych* została zatraconą, że *Katechizm demokratyczny* w wydaniu był sfałszowany. Z przekonania oświadczał się przeciw spiskom i mieszaniu się do nich emigracji. W drugiej części *Prawd żywotnych* wykładał teorję władzy w powstaniu, i przygotowanie do wojny ludowej przez powołanie wszystkich do pracy. Wygotował do druku pismo pod tytułem *Klassa średnia i powstanie, przez brata Macieja,* które ogłoszoném nie zostało. W odcinku dziennika paryskiego *Temps,* drukował w 1865 roku pamiętnik swój, pod tytułem : *Mémoires d'un prisonnier d'état par Henri Korvin.* Zostawił rękopism francuzki : *La Pologne inconnue* i wiele pism innych, między niémi obszerne pamiętniki które jednak po dwudziestu zaledwo latach drukować pozwolił. Umarł w Algierze dnia 9 Stycznia 1865 roku. Już po jego śmierci, Agaton Giller wydał w Bendlikonie (1866 r.) z woli zmarłego powierzony mu rękopism pod tytułem :

Wojna ludowa. Był napisany w 1863 roku i autor odbiwszy dwa piérwsze arkusze posyłał je Rządowi narodowemu na próbę.

KISIELNICKI Jgnacy, były oficer wojsk polskich, w wojnie 1830-1831 roku ozdobiony krzyżem zasługi wojskowej, dostawszy się z innymi za granicę, umarł w Paryżu, dnia 23 Sierpnia 1861 roku, licząc wieku lat 51; spoczywa na cmentarzu Montmartre.

KITLIŃSKI Aleksander Felix, urodził się w Bożęcinie, w województwie mazowieckiem 1804 roku. Po ukończeniu nauk w lyceum warszawskiem, wszedł 1824 r. jako kadet do pułku grenadjerów gwardji wojska polskiego; w 1825 roku został podoficerem, a w 1827 odesłany do szkoły podchorążych, w której zostawał do 29 Listopada 1830 roku; kampanję 1830-31 roku odbył jako podporucznik a później porucznik, ranny w bitwie pod Białołęką ozdobiony został krzyżem złotym *virtuti militari.* Na pielgrzymstwie był konduktorem dróg i mostów, utrzymywał się z pracy własnej, szanowany powszechnie. Ojczyznę kochał i o niej myślił do końca — umarł w Fengarolles (departamencie de Lot et Garonne) dnia 30 Czerwca 1865 roku.

KLECZYŃSKI Saturnin pochodził ze starożytnej szlacheckiej rodziny osiadłej od dawna w Samborskiém, w Galicji — urodził się w 1806 roku; w 1827 wstąpił do wojska austryjackiego, ale po wybuchu powstania listopadowego wziął dymissję, aby przyłączyć się do walczących o niepodległość rodaków. Chociaż w wojsku austryjackiém był już oficerem, wstąpił jednak do szeregów narodowych jako prosty żołnierz, powtarzając, iż stopni prawdziwą zasługą dokupywać się trzeba; z upadkiem powstania dostał się na wychodztwo jako podporucznik, ozdobiony krzyżem zasługi wojskowej. W 1833 roku brał udział w wyprawie sabaudzkiej, a następnie w wojnie hiszpańskiej, gdzie mianowany porucznikiem, krzyżem Ferdynanda i Jzabelli ozdobionym został. W 1846 roku udał się do Włoch z oficerami którzy towarzyszyli jenerałowi Władysławowi Zamoyskiemu, odbył tam wszystkie przeciw Austryjakom kampanje i jako nagrodę waleczności wyniósł z nich medal i stopień kapitana. Z rozpoczęciem wojny wschodniej, przybył do Konstantynopola z Lordem Dudley Stuart, znanym przyjacielem sprawy polskiej, który go szczególnemi względami zaszczycał, i zaciągnął się do armji tureckiej. Odbył kampanję nad Dunajem, był w bitwach pod Kalafatem, Czitate i. t. d, a za odznaczenie się mianowany majorem, został zarazem komendantem twierdzy Ruszczuk; w bitwie pod Eupatorją dowodził szwadronem jazdy, a następnie przydzielonym został do boku Omera Paszy, naczelnego wodza wojsk tureckich, który mu za zasługi wyjednał u Sułtana oficerski stopień orderu Medżidie. W 1863 roku raz jeszcze chciał dobyć pałasza, i pośpieszał do Polski, ale stan zdrowia pomimo szczerych chęci nie pozwolił mu już wziąść czynnego w boju udziału; wrócił do Paryża, gdzie dnia 28 Czerwca 1864 roku życia dokonał. Pochowany na cmentarzu Montmartre. Poczciwość bez skazy, odwaga bez junakerji, miłość ojczyzny bez czczej deklamacji, cechowały przedewszystkiém jego charakter. Był jednym

z najpiękniejszych typów polskiego żołnierza, który większą część emigracyjnego nawet życia spędził w obozach, nie przestając myślić o ojczyznie. *Jld. K.*

KLUCZNIK Stefan, żołnierz z 1831, rodem z Królestwa kongresowego, umarł w Pau, dnia 15 Lutego 1866 roku, licząc wieku lat 65.

KLUKOWSKi Jgnacy, urodził się na Litwie w powiecie oszmiańskim, we wsi swego ojca Narbutowszczyznie, 1806 roku. Rodzice jego prawie ciągle mieszkali w Wilnie : tu odbył nauki szkolne i uniwersyteckie. Jdąc za skłonnością wrodzoną do sztuk pięknych, oddawał się nauce rysunku i był jednym z uczniów posiadających względy Rustema. Myśl jego zawczasu zwracała się ku stołecznej krainie sztuki, marzył o podróży do Włoch, uczył się języka włoskiego; ale po śmierci matki ulegając okolicznościom domowym i woli ojca, musiał szukać praktycznego sposobu życia na niewielu drogach pozostałych dla młodzieży litewskiej, i wszedł do kancelarji Komisji dóbr Radziwiłłowskich. Nie opuścił wszakże ulubionego przedmiotu: wolne godziny i nieraz całe noce przesiadywał nad Winkelmanem i Cicogniaro, pracowicie i systematycznie zbierał wiadomości do historji malarstwa, rzeźby i budownictwa.

Powstanie listopadowe 1830 r. przerwało to wszystko. Jako jeden z grona młodych ludzi otaczających tak zwany Komitet rewolucyjny wileński, zaraz po wszczęciu się ruchów na Żmudzi, otrzymał od tegoż Komitetu polecenie zanieść hasło powstania powiatowi oszmiańskiemu. Gdy naczelnik powiatu okazał się nieskorym, a było wielu gotowszych, skończyło się na tém, że sam delegat komitetowy, z trzema innymi musiał przywodzić w rozbrojeniu garnizonu Oszmiany, 4 Kwietnia 1831r. Następnie przykładał się czynnie do utworzenia siły zbrojnej powiatowej i z nią odbywał koleje wojny partyzanckiej, które opisał pokrótce na żądanie wydawcy *Zbioru pamiętników o powstaniu Litwy*, drukowanego w Paryżu 1835 r.

Po przybyciu wojsk regularnych na Litwę, wstąpił do szwadronu jazdy poznańskiej znajdującego się przy jenerale Dembińskim. Podczas pamiętnego odwrotu tego jenerała, w bitwie pod Malatami, dostał kontuzji od kuli działowej i stracił słuch w jedném uchu. Kiedy później, u przeprawy przez Wilję w Daniszewie, jenerał Dembiński żądał żeby kto zaniósł do Warszawy wiadomość o kierunku jego pochodu, Klukowski podjął się tej niebezpiecznej usługi i spełnił ją szczęśliwie. Ozdobiony krzyżem złotym, a jak wszyscy co towarzyszyli jenerałowi Dembińskiemu zaszczycony imienném świadectwem, że «dobrze się zasłużył Ojczyznie», zakończył swój zawód wojskowy w stopniu porucznika. Na emigracji uważając ten zawód jedynie tylko jako obowiązek spełniony, nie szukał z niego chluby lub jakichkolwiek przywilejów dla siebie, nie lubił mówić o swoich zasługach, nie wiadomo nawet gdzie podział ich pamiątki, bo świadectwo i nominacje nie znalazły się w resztce papierów które przed śmiercią spalił.

Skoro mu przyszło znowu zadać gwałt swoim wznioślejszym usposobieniom i popędom, dla nizkiego zarobku na chleb powszedni, odłożywszy miłość i znawstwo sztuki na stronę, wprawę do ołówka i pędzelka oddał na ofiarę wszechwładnemu przemysłowi. Kolorował ryciny, pracował w różnych artystyczno-rzemieślniczych zakładach, zajął się potém wyłącznie robotą wzorów na fulardy, robotą mordującą

wyobraźnię i rękę, wycieńczającą siły duszy i ciała. Skazany na tę profanację daru twórczości i smaku, siedział przy warsztatach czas niejaki w Bordeaux i Rouen, nareszcie ciągle w Paryżu.

Rok 1848, wyrwał go raz jeszcze z ciasnego zakresu przymuszonej czynności. Zabłysło zwodne światełko nadziei dla polskiej sprawy we Włoszech, silny głos powoływał rodaków pod sztandar spodziewanego legjonu: nawykły słuchać tego głosu, gotów zawsze do poświęcenia się na zawołanie w imie Ojczyzny, znękany artysta odżył pełnym zapału żołnierzem, rozwinął swoją energję powstańca, zbierał ochotników, wynajdywał dla nich środki podróży, i na czele jednej ich kolumny wyruszył do Medjolanu. Radość była krótka, nastąpił po niej cięższy jeszcze smutek. W ciągu obrotów we Włoszech, miał sposobność zwiedzić Rzym i Florencję, zobaczyć to, o czém od młodości marzył, do czego wzdychał; teraz trzeba było z sercem ścisnioném upadkiem wielkich nadziei, pożegnać skarby arcy-dzieł i piękne niebo włoskie a wracać do Paryża do warsztatu.

Od roku 1849 poczęła się dla niego kolej dziesiątka lat coraz dolęgliwszych. Tęsknota i zmartwienie przyśpieszyły schyłek ku przedwczesnej starości, przyłączyła się do nich choroba zwolna trawiąca piersi; opadał na siłach właśnie kiedy urywało się dawne zatrudnienie i należało myślić o jakim nowym rodzaju zarobku. Moda opuściła przedsiębierstwo fulardowe, dom w którym pracował zbliżał się do zamknięcia: niedostatek rosł stopniami, a za nim stała w blizkim widoku okropna nędza. Miłosierdzie Opatrzności, w którą mocna wiara była podstawą jego głębokich uczuć i przyjęciem wyższego światła rozjaśnionych wyobrażeń religijnych, zesłało mu ulgę na ostatnie chwile. W 1861 r. przybył z Litwy do Paryża jeden z najbliższych towarzyszy młodości i najściślejszych jego przyjaciół: ten go pocieszył, wspomógł i nadal obietnicą stałego zasiłku ubeśpieczył. Wtedy dopiéro, piérwszy raz w życiu, mógł swobodnie oddać się swemu upodobaniu, wydobyć owoc z wieloletnich studjów i rozmyślań. Przy wszelkich przeszkodach nigdy on nie rozstał się zupełnie ze swoim celem: ile czas i stan zdrowia dozwalał, chodził po galerjach i muzeach, zwiedzał wystawy, notował, czytał, wypisywał, zawsze z zamiarem złożenia tego kiedyś w porządną całość; zgromadził sobie nawet dość znaczny zbiorek rycin, ale zasiąść do roboty osnowanej na większą miarę, było już zapoźno; ledwo zdołał cząstkę swych wiadomości, postrzeżeń i uwag skreślić w trzech rękopisach, na których położył tytuły: 1° Myśli i notatki historyczne o sztuce, 2° Listy artystyczne do Ed. R. 3° Listy o historji sztuki do Br. Z. — wiosną 1862 r. choroba poczęła rozwijać się przemożnie, pod koniec Maja musiał wejść do domu zdrowia (*Maison municipale de santé, rue Faub. St. Denis*, 200) gdzie w kilka dni zakończył życie. Chociaż wyjeżdżając ze swego mieszkania, urządził się jak na podróż bez powrotu, śmierć wszakże przyszła prędzej niżeli się spodziewał; mimo to przyjął ją z poddaniem się spokojném i z przygotowaniem chrześcijańskiém. Wszedł do zakładu 25° umarł 30° Maja; pochowany na cmentarzu Montmartre, w grobowcu gdzie spoczywają zwłoki jenerała Jerzmanowskiego i sześciu innych rodaków. Ośmioboczna kolumna, na marmurowych tablicach przeznaczonych każdemu po jednej, wskazuje nazwiska wszystkich ośmiu tułaczy, co tu zakończyli swą ziemską pielgrzymkę. F. W.

KOROLEC ksiądz Leon, urodził się w Królestwie kongresowém 1831 roku, miał czynny udział w organizacji narodowej lat ostatnich i po upadku powstania 1863 r.

przybył z innymi do Francji; był sekretarzem stowarzyszenia kapłanów polskich zawiązanego w Paryżu i tutaj umarł dnia 26 Października 1866 roku. Spoczywa na cmentarzu Montmartre.

KUNATT Stanisław, urodził się w województwie augustowskiém, już po rozbiorze kraju, w ostatnich latach przeszłego wieku; przez matkę z domu Konarską spokrewniony był z rodziną Szymona Konarskiego rozstrzelanego w Wilnie w 1839 roku. Odbywszy początkowe nauki w Sejnach, pod przewodnictwem księdza Zawadzkiego, od pierwszej już młodości poświęcił się zawodowi naukowemu i udawszy się do Berlina, tam sławnego wówczas Saviniego słuchał; znajomy był także osobiście Humboldtowi, którego zdolny i pracowity młodzieniec zająć musiał, bo nie mało lat poźniej, gdy się niespodzianie w Paryżu spotkali, sławny niemiecki uczony pierwszy go poznał i najprzyjaźniej powitał. Po skończeniu nauk w niemieckich uniwersytetach, Kunatt kosztem kraju wysłany jeszcze za granicę, udał się do Paryża, i tam z pilnością wykładów J. B. Saya słuchał, wróciwszy zaś otrzymał katedrę ekonomji politycznej przy Uniwersytecie warszawskim, i zajmował ją aż do 29 Listopada 1830 roku, pełniąc zarazem obowiązki referenta banku. Po wybuchu powstania, gdy młodzież akademicka utworzyła przy osobie Dyktatora gwardję honorową, której Lach Szyrma był pułkownikiem, Kunatt w tym młodym hufcu zajął miejsce podpułkownika; po rozwiązaniu tej gwardji i wcieleniu młodzieży do rozmaitych pułków, został referendarzem Rady Stanu i obowiązki te spełniał do końca. Razem z członkami Rządu Narodowego dostał się za granicę i przybył do Paryża. Tu, jeden z pierwszych należący do Towarzystwa literackiego, w 1832 r. razem z Andrzejem Plichtą i Ksawerym Bronikowskim wydawał pismo, od wybijanej na niem winiety zwane *Feniksem*, z godłem : « Jeśli was już pochłonąć mają, sprawcie przynajmniej, żeby was strawić nie mogli. » Od 1834 do 1837 łącznie z Bronikowskim, a przez następne lata aż do 1840 roku sam jeden, był redaktorem *Kroniki Emigracyjnej polskiej*. Na tém polu, obok zwykłej mu w pełnieniu przyjętych obowiązków gorliwości, miał zręczność dowieść jak był wysoce szlachetnym i do poświęcenia się zdolnym; gdy bowiem jeden z umieszczonych w piśmie artykułów gwałtowne obudził niechęci, Kunatt wiedząc że autor jego miał rodzinę, sam jako nieżonaty przyjął całą odpowiedzialność na siebie, osobą swą chcąc zasłonić tamtego i choćby życiem własném okupić spokój innej rodziny. Przyjaciele zdołali załagodzić sprawę, ale w duszy Kunatta poświęcenie było dokonane i pewno mu policzoném zostało. Z prac w rozmaitych pismach emigracyjnych przez Kunatta ogłaszanych, znaczniejsze są : O absorbowaniu państw mniejszych przez państwa większe, Rzecz o bilansie handlowym, Rozbiór dzieła Sismondi : Etudes sur les Constitutions, Sprawozdanie o prawie wirtemberskiém oznaczającém sposób wynagrodzenia ze skarbu publicznego za straty wynikające ze zniesienia poddaństwa w 1818 roku, Rzecz o opiece rządu nad ubóstwem, jako materjał do nauki administracyjnej, O związku małżeńskim ze stanowiska prawodawczego, O prawie własności, O zasadach administracji publicznej we Francji, znajdujących się w jej kodeksach. O podatkach duchowieństwa angielskiego. O Chinach, pod względem rządu, religji, familji, nauk. O organizacji rzeczy menniczej we Francji. O szkołach politycznych we Francji : Bonald, de Maistre, Lamennais, Eckstein, Ballanche, Saint-Simon, Chateaubriand. O organizacji szkół wyższych we Francji. Obraz ogólny ekonomji po-

litycznej, właściwe pole jej badań i natura jej prawd, jej środki, pomoce i styczność z innemi gałęziami wiadomości ludzkich. O metodzie wykładania ekonomji politycznej. O skutkach angielskich praw zbożowych. Prócz tego tłumaczył Kunatt na język polski dzieło Mac-Cullocha : Zasady ekonomji politycznej.

Nauczycielstwo było jego ulubionym zawodem, przez lat parę trudnił się wychowaniem młodego Komara, a po założeniu przez księżnę Annę Czartoryską instytutu panien w hotelu Lambert, oddał się z największą gorliwością wykładaniu tam języka, historji i literatury polskiej. Rozmaity wiek uczennic i różne bardzo usposobienie jakie z domu przynosiły, wymagały wielkiej pracy, zabierały dużo godzin, ale zacny professor uważał to za służbę narodową, i zwykł był mawiać, że to były najlepsze i najmilsze jego godziny. Przez lat przeszło dwadzieścia słyszały go tam codzień córki wychodźców naszych, mówiącego im o ojczyżnie i jej losach. Siły niknąć zaczęły, a jeszcze z uczennicami do których się przywiązał i które mu także płaciły wzajemnością, rozstać się nie chciał, zaledwo na kilka miesięcy przed śmiercią lekcij tych dla zupełnej już niemożności zaprzestał. Umarł w Paryżu, w domu zdrowia, St. Dénis, w Maju 1866 roku.

KUNCEWICZ Mateusz. Urodził się 21 Września 1792 roku; od młodości służył wojskowo, w 1831 roku był majorem w pułku 2 jazdy augustowskiej. Umarł w Pau, d. 10 Października 1865 roku.

KURZYNA Jan, urodził się w Warszawie w parę lat po powstaniu 1831 r. z ubogich rodziców; ojciec jego był urzędnikiem w administracji, matka akuszerką; nie wiele po urodzeniu dziecięcia stracili wszystko, i rodzina żyła w nędzy, najmując liche mieszkanie na Krzywém kole. Chłopaka posyłano do małej szkółki na ulicy Freta; gdy podrósł trochę, matka która mu zawód duchowny w sercu przeznaczała, oddała go do Pijarów w Opolu; tam skończył seminarjum. Zdolności rozwinęły się w nim szybko, miał wielką pamięć, łatwość uczenia się języków, umysł przytém analityczny; w seminarjum wyuczył się dobrze łaciny a i w greczyznie znaczne zrobił postępy, Pijarzy wielkie na nim pokładali nadzieje, ale te ich zupełnie zawieść miały. Zbliżał się dla młodego alumna dzień przyjęcia święceń, kiedy sukienkę duchowną zrzucił i Opole opuścił, przenosząc się do Warszawy. Niedostatek cisnął go ciągle, mieszkał przy ulicy Niecałej, pod strychem, ale z natury bardzo ambitny, czuł w sobie siłę, i postanowił wybić się z tłumu. Pracował bardzo, za oszczędzone grosze skupował książki i niemi izdebkę swoją zapełniał, lekcjami prywatnemi zarabiając na życie. Zdarzyło się, iż naprzeciw niego mieszkał mułła pułku czerkiesów, chciwy nauki młodzieniec zapoznał się z nim, i wkrótce tureckiego wyuczył się języka. Powoli, zaczął zabierać stosunki z młodzieżą w biurach i rozmaitych zakładach naukowych, w 1855 i 56 roku należał do kilku kółek literackich i historycznych, a czas ten najprzeważniej na dalsze jego życie wpłynął; agitacja polityczna za pomocą konspiracji stała się odtąd jego zadaniem. Wszedłszy do szkoły medycznej, zaprzyjaźnił się z Jurgensem stojącym wówczas na czele jednego z tajnych sprzysiężeń młodzieży, który póżniej w cytadeli warszawskiej miał umrzeć, ale gdy ten rychłego powstania nie przypuszczał, i organicznego tylko rozwijania kraju pragnął, wkrótce z nim się rozstał, i z całą ruchliwością młodej, silnej i

ambitnej natury stanął w obozie pędzącej wszystko ku prędkiemu wybuchowi młodzieży. Wkrótce jednak, stosunki jego z mullą Czerkiesów, przy nieznaném nikomu pochodzeniu, tajemniczość okrywająca dla wielu pierwszą jego młodość, zwróciły nań podejrzenie współtowarzyszy; niechętni starali się je rozniecać i wydobyto z archiwów sądowych jakąś sprawę jego imiennika którego brano za ojca, koledzy zaczęli stronić, wielu mu ręki podać nie chciało. Dotknięty do żywego młodzieniec zażądał sądu samychże studentów : po rozpatrzeniu wszystkich okoliczności, uniewinniony zupełnie odzyskał napowrót wziętość między kolegami, ale rana w duszy została; wyrobiła się w niej ironja i uczucie pogardy dla ludzi, tém bardziej rażące, że było na tle nieźmiernie zimném, spokojném, przy systematycznym i doktrynerskim umyśle. Miały właśnie nadarzyć się okoliczności które zwracając na Kurzynę prześladowanie rządu, wziętość jego między młodzieżą utrwalić musiały. Prezydentem akademji medycznej był Dr. Cecuryn; na początku 1859 r. chciał on nowe w niej zaprowadzić urządzenia i jak się wyrażano wtenczas, *oczyścić* akademję; wydano nowe prawidła, mające obowiązywać odtąd studentów, a które zostawiając prezydentowi zupełne prawo wypędzenia każdego ucznia z zakładu, miały być przystosowane i do tych, którzy na innych warunkach do akademji byli weszli. Oburzona tém młodzież wysłała od siebie deputację, oświadczając, że jeżeli ma być wydalaną samowolnie to woli się sama z własnej woli usunąć, jak weszła. Deputację rozumié się odprawiono z niczém; nazajutrz przeszło dwieście prośb o wyjście ze szkoły podano władzy akademickiej. Poczytano to za bunt, dziesięciu stojących na czele aresztowano i osadzono na saskim placu; w tej liczbie i Kurzynę, który w całe tej sprawie był najczynniejszym. Więzienie to otoczyło go pewnym urokiem, jak zawsze. Po kilku tygodniach uwolniony z rozkazem opuszczenia Warszawy, wyjechał na wieś, ale rozpoczętych robót nie zaniechał; z wytrwałością sobie właściwą, codzień wieczorem, przebrany, w niebieskich okularach przyjeżdżał do Warszawy, noc spędzał na zwiedzaniu rozmaitych kółek i na naradach z młodzieżą, a przed świtem wracał do swojej kryjówki za miastem. W literackich i historycznych dotychczas kółkach dojrzewała myśl szerszej politycznej konspiracji, na umysły gorętszej młodzieży wielki wtenczas urok wywierał Jl. Mierosławski; postanowiła wysłać do niego człowieka, któryby go oświecał o stosunkach krajowych. Znająca w kraju tylko jedną swoją własną warstwę, sama na ogół biédna, w uczuciu które ją ożywiało znalazła środki do spełnienia zamiaru; składka ubogiej młodzieży złożyła fundusz na drogę, a wybór jej padł na Kurzynę, który pod pozorem dalszego kształcenia się, w Sierpniu 1859 r. wyjechał za granicę, i przybył do Paryża. Wszedłszy odtąd w najbliższe z Mierosławskim stosunki, był kasjerem zbieranych w imię jego po kraju składek i przez czas długi jego pomocnikiem a nieraz wyręczycielem. Kraj poszedł w innym kierunku, wypadki 1861 roku aż nadto tego dowiodły; uorganizowany nawet w Warszawie Komitet centralny w Lipcu 1862 roku odrzucił propozycje Mierosławskiego i Kurzyny. Osamotnieni, probowali na nowo rozpoczęte dawniej roboty prowadzić — wysyłany kilka razy do Warszawy i z niebeśpieczeństwem życia bawiący tam Kurzyna, tworzył rozmaite stowarzyszenia i Komiteta, które warunków życia nie miały, w końcu tak zwany Komitet rewolucyjny, mający działać wbrew Komitetowi centralnemu, a który także z własnej niemocy skonał. W wolnych chwilach, kiedy wracał do Paryża, ciekawy i zajęcia potrzebujący umysł, pchnął go do najrozmaitszych prac naukowych : w pozostałej po nim niewielkiej bibliotece znalazły się dzieła etnograficzne, badania nad hjero-

glifami, nad napisami runicznemi, i t. p.; w pojęciach politycznych kontrakt społeczny J. J. Rousseau był jego podstawą, działania Towarzystwa demokratycznego środkiem urzeczywistnienia tych teorji, ideałem zaś Robespierre a szczególniej St. Just, na wzór którego modelować się starał; pod względem wyobrażeń religijnych dzieło Patrice Larroque o chrystijanizmie było jego wyrocznią. Z natury chłodny i rozważny, w stosunkach z ludźmi miał za zasadę słowa Robespierra, że podejrzliwość jest rękojmią i podnietą prawdziwego patriotyzmu, a prawdę winniśmy tylko tym, których głęboko szacujemy. Takim sposobem wyrobił się w nim typ, pomimo zdolności, tak dla nas zupełnie obcy, nic wspólnego z duchem i tradycjami narodowemi nie mający, że przy każdém zetknięciu zamęt tylko sprowadzać i najszkodliwszym być musiał. Kiedy wybuchło ostatnie powstanie, przybył z Mierosławskim na Kujawy, bił się pod Krzywosączem, po potyczce pod Nową wsią wrócił z nim do Paryża, ale wkrótce znowu do Galicji pośpieszył, i tam we Lwowie do więzienia się dostał, i kilka miesięcy w niém spędził; o tém więzieniu odzywał się pożniej, że było mu przykre nie jako więzienie, ale głównie z tego powodu, że się w niém truł szlacheckiemi powieściami. Z pomocą przyjaciół wydobywszy się z więzienia, udał się raz jeszcze do Warszawy, w chwilach upadającego już ostatecznie powstania i pomimo wielkiego niebeśpieczeństwa spędziwszy tam czas jakiś, gdy do rządu powołanym nie został, przez Drezno wrócił do Paryża. Był już zupełnie rozstał się z Mierosławskim. Po śmierci członków Rządu Narodowego, stawszy się naprzód Komisarzem a potém Reprezentantem jego za granicą, umarł w Zürich, d. 2 Lipca 1865 roku, w skutek rany otrzymanej w pojedynku z Guttrym; pochowany na tamecznym katolickim cmentarzu. Przy zmarłym znaleziono grudkę ziemi ojczystej w woreczku na piersiach, zresztą nic, choć znaczne pieniądze w ostatnich latach przechodziły przez jego ręce. Zawsze był osobiście odważny, a w obec śmierci spokojny i przytomny.

KUSZNIRCZUK Michał, urodził się pod strzechą włościańską w dawném województwie wołyńskiém, w powiecie zwiahelskim, dziś przezwanym nowogród-wołyńskim, we wsi Gnieżowszczyznie, należącej do rodziny Konopackich. Na kilka lat przed powstaniem 1863 roku wzięty do służby dworskiej, gdy wybuch nastąpił, zaciągnął się do szeregów jazdy wołyńskiej, pod rozkazy jenerała Edmunda Rożyckiego. W potyczce pod Salichą miał udział w pomyślnej szarży na piechotę moskiewską; nazajutrz, gdy oddział cały zbliżył się ku granicy galicyjskiej i stanął we wsi Szczasnówce, (w powiecie krzemienieckim) dla połączenia się z mającymi wkroczyć na Wołyń oddziałami jenerała Wysockiego, wracając przez wioskę od czat za wsią rozstawionych, do obozu, napadniętym został przez ukrytą w niej straż graniczną moskiewską; mając znużonego konia a lancę za jedyny oręż, nierówną walkę długo wytrzymywał, ale gdy włościanie wioski, w bliskości strzechę pokrywający, przyszli w pomoc napastnikom, uległ przemagającej sile, i czternaście ran otrzymawszy, zaledwo przez nadbiegły z obozu patrol uratowanym został. Przewieziono go do Galicji, gdzie po kilku miesiącach, dzięki staraniom lekarzy i młodzieńczym siłom, przyszedł nieco do zdrowia i zaraz do nowej gotował się wyprawy. Ogłoszenie stanu oblężenia w Galicji zmusiło i to dziecię ludu podążyć za innymi do Paryża. Dla bujnej i tęsknej natury kozaczej, trudne było nad wyraz to życie na wychodztwie, w ogromnej stolicy, wśród obcych; to też, zestarzał prędko;

zaciągając się do szeregów, pełen czerstwości i zdrowia, wyglądał na lat piętnaście, na obcej ziemi, po roku, zdawał się ich mieć przeszło dwadzieścia pięć; tęsknota go dręczyła i wkrótce rozwinęły się suchoty, na które umarł w szpitalu *de la Charité* w Paryżu, dnia 19 Listopada 1865 roku, krwią na ziemi ojczystej i śmiercią na tułactwie składając świadectwo gorącej miłości Ojczyzny.

LANGE Władysław, rodem z Warszawy; podchorąży, przed 29 Listopada, w ciągu kampanji 1831 roku służył w sławnym czwartym pułku linjowym, i miał w nim stopień porucznika. W 1834 roku przez rząd austryjacki z Tryestu wysłany do Ameryki, osiadł w Nowym Yorku, gdzie ożeniwszy się, pracą własną utrzymywał liczną rodzinę, odznaczając się cnotami domowemi. Umarł w Nowym Yorku, w ostatnich dniach Listopada 1864 roku, licząc lat 58.

LASKOWSKI Szymon, rodem z Lubelskiego; w czasie powstania 1830 roku, podoficer piérwszego pułku Krakusów, umarł w szpitalu w Bristol, we Wrześniu 1862 roku.

LEDÓCHOWSKI Jan, urodził się w Warszawie dnia 23 Czerwca 1791 roku, z Marcina i Marji Anny z domu Łączyńskiej, Ledóchowskich; małém będąc dzieckiem w czasie rozbioru kraju, wychowanie odbył w szkole wojskowej wiedeńskiej, razem z Henrykiem Dembińskim, jego bratem i kilkunastu jeszcze rodakami. Wyszedłszy stamtąd ze stopniem oficera, zrzekł się go jako Polak i przeniósł się do świeżo utworzonego Księztwa warszawskiego, gdzie zostawszy adjutantem księcia Józefa Poniatowskiego miał zaraz udział w kampanji 1809 roku. Ranny w bitwie pod Raszynem, i za okazaną waleczność wyniesiony na stopień kapitana, pod Jedlińcem dostał się jako jeniec w ręce Austryjaków. Wydobywszy się stamtąd, zaciągnął się znowu do wojska i w kampanji 1812 roku, jako kapitan woltyżerów czternastego pułku piechoty, dowodził przednią strażą korpusu Henryka Dąbrowskiego blokującego Bobrujsk; odznaczył się tam znowu męztwem i przytomnością, bił się pod Borysowem, 22 Września ozdobiony krzyżem legji honorowej i wojennej zasługi, pod Oszmianą dostał się do niewoli moskiewskiej. Po utworzeniu Królestwa kongresowego nie chciał na nowo wstąpić do wojska, a pojąwszy w małżeństwo 1819 roku Joannę Wielowiejską, oddał się obyczajem szlachty polskiej rolnictwu i posługom obywatelskim, do których go zaufanie ziomków powoływało. Był marszałkiem szlachty i sędzią pokoju powiatu jędrzejowskiego, radcą wojewódzkim województwa krakowskiego, nareszcie posłem na sejmie. Spokrewniony z najpierwszemi rodzinami w kraju, sam okazałej postaci i wyrazistego oblicza, odważny, ale zarazem niezmiernie gwałtowny, hojny do rozrzutności, wymowny i towarzystwo lubiący, skupiał w sobie wiele przymiotów i wad szlachty naszej z najbutniejszych jej czasów, i żywot jego, gdyby szczegółowo mógł być spisany, dostarczyłby zapewne najbardziej barwnego obrazku do niepowrotnie minionej już epoki. W 1829 roku, podczas koronacji Mikołaja, znalazłszy się na zamku w sali audjencjonalnej, gdy mistrz ceremonji, hrabia Stanisław Potocki miejsce dla posłów wyznaczył po za Radą Stanu, Ledóchowski dbały o godność Izby poselskiej napadł na niego w tych

słowach: « Słuchaj panie Potocki! gdybyś był Polakiem jak ja, tobyś wiedział co Sejm a co Rada Stanu, i nas byś na piérwszém miejscu postawił, » to mówiąc zajął przodkujące miejsce i posłów za sobą pociągnął; przed energiczną interpelacją jego, ceremonjał domu cesarskiego zamilknąć musiał i Rada Stanu ustąpiła miejsca reprezentantom narodu. Powstanie 1830 roku znalazło go na wsi; mianowany 3 Grudnia regimentarzem i dowódzcą sił zbrojnych województwa krakowskiego, sformował tam piérwszy pułk Krakusów i dziewiąty piechoty; wezwany do Warszawy i wybrany na członka Rady przydanej Dyktatorowi, zdał to dowództwo Henrykowi Dembińskiemu. Dnia 15 Stycznia Rada zebrała się u Dyktatora, wymawiając mu bezczynność; rozgniewany Chłopicki odpowiedział na to pogróżką, złożenia dyktatury. « Jeżeli jako wódz prowadzić nas nie chcesz, zawołał wtenczas Ledóchowski, to będąc Polakiem musisz stanąć jako żołnierz w szeregach ».—« I ty także » krzyknął dyktator—« Bez zaprzeczenia, odparł Ledóchowski, nie mam zwyczaju cofać się przed spełnieniem obowiązku » i tegoż dnia zaciągnął się do ósmego pułku piechoty, w bataljonie pułkownika Karskiego, tegoż samego, który w 1812 roku był porucznikiem w jego kompanji woltyżerów. Zawsze energiczny, on to na posiedzeniu sejmu 25 Stycznia 1831 roku pociągnął Izbę za wnioskiem Sołtyka o detronizacji, zawoławszy: « Po co tyle rozpraw! kwestja wyczerpana, *Nie masz Mikołaja*! » Okrzyk ten znalazł echo w całej Izbie i potém w narodzie; detronizację uchwalono jednomyślnie, wszelkie pakta z Moskwą ostatecznie zostały zerwane. Gdy rozpoczęła się walka, Ledóchowski jako ochotnik bił się dzielnie 15, 20 i 25 Lutego pod Grochowem, gdzie konia pod nim zabito; poźniej pod Dębem wielkim. Po bitwie pod Ostrołęką, pragnąc bardziej energicznego rządu, i znajdując że sam skład z pięciu osób już jego działania utrudniał, podał sejmowi wniosek swój w tym względzie, który choć odrzucony wtenczas, wiele narobił hałasu. W początkach Lipca 1831 roku, mianowany dowódzcą pospolitego ruszenia w województwie krakowskiém, udał się tam natychmiast, i 8 pod Janowczą prowadził sam dwa bataljony strzelców na baterję nieprzyjacielską ustawioną przed mostem, a 9 Lipca pod Chodczą był na czele przedniej straży polskiej. Po wzięciu Warszawy, układał się z nim Rüdiger o zawieszenie broni; warunki były ułożone, kiedy Ledóchowski podpisu stanowczo odmówił, dla tego, że jenerał rossyjski w akcie tym nazywał cesarza Mikołaja królem polskim; opór jego nie dał się złamać, i Rüdiger ustąpił; jedyny to był wypadek, w którym władze moskiewskie same odmawiały Mikołajowi tytułu króla polskiego, o który mu tak chodziło. Po ostatecznym upadku powstania, przeniósł się Ledóchowski do Galicji a poźniej do Paryża. Już był stracił cały fundusz swój i żony, z którą się rozwiódł; spadające na niego po kilkakroć sukcessje dostarczały środków do życia, ale prowadząc je wystawnie, z hojnością dawnego pana polskiego ilekroć miał pieniądze, rozmaite na wychodztwie przechodził koleje i umarł biédny, pomimo tego, że ostatni spadek po pani Małachowskiej pięć miljonów wynosił. W piérwszych latach emigracyjnego życia, był duszą Zjednoczenia, zwanego Konfederacją. Zmuszony przez rząd francuzki do opuszczenia Francji, przeniósł się do Anglji, gdzie bawił lat kilka, doznając nieraz prawdziwego niedostatku, tak że z Trzcińskim, z którym żył razem, sami jeść sobie gotowali. Wróciwszy napowrot do Paryża, głośno i otwarcie wyznawał zasady Towarzystwa demokratycznego, i do wszystkich jego komitetów należał; był wkońcu ostatniego demokratycznego komitetu prezesem, i rozwiązał go w czasie powstania 1863 roku, gdy władza w kraju się utworzyła. Piérwszy na szkołę polską w Batignolles 30,000 fr.

ofiarował, i przez długi czas będąc członkiem Rady szkolnej, stosunkami swojemi pieniędzmi zakładowi temu pomagał. W ciągu życia nieprzyjaciel duchowieństwa i wielu dogmatów religijnych, przed śmiercią z Kościołem się pojednał; przed księdzem Kamockim spowiedź odbył i wszystkie sakramenta z rąk jego przyjął, a do odwiedzających go wtenczas rodaków, we właściwym sobie języku odzywał się: « Tak silnie wierzę dzisiaj, że gdyby kto przedemną chciał bóstwu Chrystusa Pana zaprzeczać, umierającą dziś ręką, tym oto krucyfiksem łebbym mu jeszcze roztrzaskał. » Umarł w Paryżu, dnia 10 Września 1864 roku; pochowany na cmentarzu Montmartre.

LELEWEL Joachim, syn Karola i Ewy z Szeluttów, urodził się w Warszawie dnia 22 Marca 1786 roku. Początkowe nauki odbył pod okiem ojca; roku 1801 wszedł do konwiktu Pijarów, od 1804-1809 uczęszczał na uniwersytet w Wilnie; w 1809 wezwany na profesora do Krzemieńca, rok 1810 spędził w Łucku, dojeżdżając do biblioteki poryckiej; w Czerwcu 1811 wrócił do Warszawy i pracował czas krótki w biurze Komisji spraw wewnętrznych; opuścił ten obowiązek, aby się oddać wyłącznie nauce. W 1813 obrany członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk; w 1814 wezwany do Wilna na zastępcę profesora historji, wyświeca dzieje, jedna serca uczącej się młodzieży; 1817 powołany do Warszawy na profesora bibliografji i bibliotekarza uniwersytetu, znalazłszy katedrę zajętą, dalej badania naukowe prowadzi; 1820 wykłada historję XVI i XVII wieku; 1821 w skutek konkursu otrzymuje katedrę profesora historji przy uniwersytecie wileńskim, staje się jedną z największych jego ozdób i ulubieńcem młodzieży; po śledztwach Nowosilcowa, ukazem 14 Sierpnia 1824 roku, razem z Józefem Gołuchowskim od katedry usunięty, 17 Października opuszcza Wilno; wróciwszy do Warszawy, nad dziejami ojczystemi pracuje niezmordowanie; po śmierci Staszica, wbrew woli wielkiego księcia Konstantego obstaje za obiorem na prezesa Towarzystwa przyjaciół nauk J. U. Niemcewicza; na własne żądanie wybrany posłem w powiecie żelechowskim, województwa podlaskiego, w 1828 zasiada ławy sejmowe; od 1829 roku stały członek komisij sejmowych, we wziętości u narodu rośnie; nie należąc sam do stowarzyszeń tajnych, jest ich duszą; 1830 r. dnia 21 Listopada sprzysiężeni przychodzą go uwiadomić o dniu przeznaczonym na wybuch; noc 29 Listopada znajduje go przy łożu konającego ojca; zaufaniem ogólném powołany do Rady administracyjnej, ma udział w deputacji do Wierzbna; członek Rządu tymczasowego, i prezes patriotycznego klubu, za dyktatury Chłopickiego, minister oświecenia, od dnia 28 Stycznia 1831 r. członek Rządu Narodowego, 17 Czerwca razem z innymi złożywszy władzę w ręce sejmu, do Izby poselskiej wraca; przeszedłszy w Brodnicy pruską granicę, dnia 29 Października 1831 roku do Paryża z innymi przybywa; zrazu członek tymczasowego, a poźniej prezes narodowego komitetu; policzony przez Mikołaja za największego przestępcę politycznego i na śmierć zaocznie skazany, po wydaniu odezwy do ludu rossyjskiego, zmuszony Paryż opuścić 1 Stycznia 1833 roku, udaje się do Lagrange-Lafayette, skąd po kilku tygodniach da Tours; spędziwszy tam pięć miesięcy, w skutek starań rządu rossyjskiego znaglony do wyjazdu z Francji, osiada w Bruxelli, tam, przez lat blisko trzydzieści z cichym a podziwienia godnym heroizmem, w ubóstwie, odrzucając wszelką rządową i prywatną pomoc, sam sobie starcząc we wszystkiém, niezmordowany w pracy, posuwa dalej poszuki-

wania dziejów ojczystych, i przeszłość narodową rozświeca, nie jedném pismem wiedzę zagraniczną wzbogaca, ogromem erudycji, stoickiem życiem, posuniętą do ostateczności bezinteresownością, zaparciem się i obywatelską cnotą, poszanowanie u obcych nawet zdobywa; w ostatniej chorobie, ustępując wielekroć ponawianym naleganiom rodaków, pozwala przewieźć siebie do Paryża 26 Maja 1861 roku, a 29 umiera w miejskim domu zdrowia, bibliotekę swą i zbiory zapisując szkole na Batignolles, pod warunkiem, iż w oswobodzonej ojczyznie uniwersytetowi wileńskiemu oddane będą. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu Montmartre.

Zbiór zupełny prac jego przez lat kilkadziesiąt wydawanych, rozpoczęty przez J. K. Żupańskiego w 1851 roku, obejmować będzie dwadzieścia sporych tomów.

Sam opisał przygody swoje w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich (1858 roku). Leonard Chodźko obszerną jego biografję już przygotował do druku.

LENCZEWSKI Józef, urodził się 1837 roku na Litwie, w dzisiejszej gubernji grodzieńskiej, we wsi Leńcach. Po ukończeniu gimnazjum w Białymstoku, wszedł do Akademji medycznej w Warszawie; tam w 1862 do cytadeli zamknięty, potém do Grodna odesłany, po dziewięciu miesiącach więzienia wypuszczonym został; w organizacji przedpowstańczej czynny miał udział, a gdy się ruch zbrojny w województwie grodzieńskiém rozpoczął, na czele kilkudziesięciu młodzieży stanął pod dowództwem pułkownika Duchyńskiego; przechodził potém do oddziałów majora Ejtminowicza i Walerego Wróblewskiego, i bez dnia odpoczynku do końca Lutego 1864 roku pod bronią pozostał; miał udział w dwunastu potyczkach i nie małej liczbie drobnych utarczek z Moskalami. Mianowany kapitanem wojsk powstańczych, schronił się na czas krótki do Galicji, w nadzjei wrócenia na nowo do boju, ale uwięziony i w Czechach internowany, gdy powstanie rychło zupełnie już upadło, w Październiku 1864 roku przybył do Paryża. Chcąc jak najprędzej zdobyć środki do życia, aby gościnnej Francji nie być ciężarem, zaczął się uczyć stolarstwa, po sześciu miesiącach musiał porzucić tę przechodzącą jego siły pracę, i pójść do szpitala; wzmocniwszy się nieco, szukał zarobku w drukarni, a gdy i tam sił mu już nie starczyło, ostatni przytułek znalazł u polskich Sióstr Miłosierdzia, w nowym ich domu w Juvisy, pod Paryżem, gdzie przebywszy dwa tygodnie, dnia 29 Października 1866 roku spokojnie i po chrześcijańsku Bogu ducha oddał, żałując że już na ziemi ojczyzny nie zobaczy i służyć jej nie będzie. Zwłoki jego spoczyczywają na parafjalnym cmentarzu w Juvisy.

LENARTOWICZ Kajetan, rodem z Litwy, w czasie powstania 1831 roku zaciągnął się do oddziału jenerała Dembińskiego, odbył z nim sławny odwrót, i w ciągu wojny dosłużył się stopnia porucznika. Dostawszy się z innymi do Francji, pracą zarabiał na życie i był w końcu szefem sekcji przy kanale marsylskim. Miał dużo talentu do muzyki. Umarł przejechany machiną parową, dnia 3 Września 1862 r.

LUBECKI Książe Aloizy Konstanty. Emigrant z 1831 roku; dostawszy się za granicę, przebywał z początku w Anglji gdzie się ożenił; przeniósł się potem do Ko-

lonji New-South-Wales w Australji, skąd w 1862 roku przejechał do kolonji Wiktorja, i osiadł w Dunedin. Umarł tam dnia 7 Października 1864 roku.

ŁADA Ksawery, rodem z Kujaw; miał udział w powstaniu poznańskiém 1848 roku, był w potyczkach pod Miłosławiem i Wrześnią ; dostawszy się poźniej za granicę, w Paryżu z pracy rąk się utrzymywał. Umarł w szpitalu Lariboisière dnia 14 Lipca 1866 roku, licząc wieku lat 40.

MAY Antoni, rodem z Krakowa, żołnierz 1831 roku, umarł w Pau, dnia 15 Maja 1865 roku, licząc lat 65.

MIASKOWSKI Tytus, walczył w powstaniu 1863 roku ; po jego upadku przybywszy do Francji jako podpułkownik wojsk powstańczych, umarł w Paryżu dnia 9 Lutego 1865 roku.

MICKIEWICZ Aleksander, drugi syn Adama, urodził się w Paryżu dnia 3 Maja 1842 roku. W trzynastym roku życia straciwszy rodziców, wychowywał się razem z rodzeństwem w Paryżu, a doszedłszy lat młodzieńczych, przeznaczał siebie, idąc w ślady ojca, do zawodu nauczycielskiego w którym, bystry z natury umysł i łatwość wymowy, zdawały się mu zapowiadać powodzenie. Języków z wielką uczył się łatwością i zamiłowaniem, a dla zalet serca i charakteru lubionym był powszechnie. Pisywał do dzienników *l'Esperance* w Genewie (1859-61) i *l'Opinion Nationale* (od 1862-63) w Paryżu, ogłosił także kilka prac o Polsce pod swem imieniem i anonime w *Alleanza* organie partji węgierskiej w Medjolanie i w dzienniku turyńskim *l'Italia.* W 1861 roku wydał francuzki przekład dzieła Minghettego o administracyjnej organizacji królestwa włoskiego, a w przedmowie porównywał instytucje dzisiejszych wolnych narodów z dawniejszemi polskiemi. Po wybuchu powstania 1863 roku myślący ciągle o udaniu się na Wołyń pod rozkazami przyjaciela ojca, Karola Różyckiego, kiedy z upadkiem sprawy młodzi rodacy zebrali się znowu do Paryża, pomagał im w nabyciu niezbędnej dla emigranta znajomości francuzkiego języka. Polskę zawsze kochał, i o niej myślił, choć z całej Ojczyzny znał tylko jedno Księztwo poznańskie. Umarł po bardzo krótkiej chorobie, w Berlinie, dnia 27 Listopada 1864 r. powtarzając, że tego tylko żałuje iż niczego dla Polski dokonać nie mógł. Zamknął mu oczy na wieść o chorobie nadbiegły z Paryża przyjaciel rodziny Armand Levy dawny świadek ostatnich chwil Adama. Zwłoki na żądanie zmarłego przywiezione do Francji, spoczywają obok zwłok rodziców, na cmentarzu Montmorency.

MORAWSKI Franciszek, urodzony w Warszawie, młodzieńcem będąc zaciągnął się do szeregów narodowych w 1806 roku ; z pułkami Księztwa warszawskiego odbywał poźniej kampanję hiszpańską, gdzie ranny, dostał się do niewoli angielskiej. Wróciwszy w 1815 roku do kraju, osiadł w Warszawie, gdzie oddawszy się krawieckiemu rzemiosłu na szacunek dla siebie zarobił. Po wybuchu powstania 1830 r.

jako dawny wojskowy i zaufanie obywateli posiadający, zajmował się czynnie organizacją gwardji narodowej; uformował i własnym kosztem ubrał kompanję artylerji tejże gwardji i na jej czele mężnie walczył podczas ostatniego szturmu Warszawy, za co ozdobiony został krzyżem wojskowym polskim. Dostawszy się w 1832 roku do Paryża, w nim aż do śmierci przemieszkał, a był jednym z piérwszych członków Towarzystwa demokratycznego, którego zasady do końca życia podzielał. Umarł dnia 24 Grudnia 1864 roku, licząc 76 lat wieku.

NORWID Ksawery Toporczyk, urodzony 1825 roku we wsi Laskowo Głuche pod Warszawą, w 1844 r. urzędnik Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w 1848 r. po dwakroć więziony w Prusach, w latach następnych rachmistrz przy kompanji francuzkiej kolei żelaznych w Marsylji i w Weronie, w 1861 r. jeden z dwunastu delegatów miasta Warszawy a następnie członek Rady miejskiej stołecznej, wzięty w kościele katedralnym świętego Jana, przed ołtarzem głównym, więziony w cytadeli warszawskiej, umarł we Wrocławiu Szląskim, we Wrześniu 1861. C. N.

NOWOSIELSKI Feliks, urodził się w Bruinowie w województwie mazowieckiem, z Pawła i Juljanny z domu Osieckiej, dnia 20 Listopada 1800 roku. Wyrosły w latach wielkich wojen, w których i los Ojczyzny ważyć się ciągle zdawał, w 1814 już roku oddanym został do szkoły wojskowej kadetów, skąd poźniej na oficera saperów wyszedł. Wcześnie wtajemniczony w zmowy młodzieży przygotowującej powstanie, podoficerem jeszcze będąc odwiedzał często Gawrońskiego, którego miał nieszczęście przypadkiem przestrzelić, a do którego odtąd tém silniej i już na całe życie przywiązał się. Razem brali udział w nocy 29 Listopada i należeli do najczynniejszych, razem przez cały czas kampanji walczyli. Nowosielski za zdatność posunięty został na podpułkownika, za waleczność ozdobiono go krzyżem złotym. Dostawszy się na emigrację, należał do wszystkich międzynarodowych spisków i wypraw przedsiębranych przez wychodźców naszych, a nieustraszone męztwo jakiego dowiódł odpierając z kolegą swoim Kowalskim atlak całej kompanji nieprzyjacielskiej we Frankfurcie, stało się legendą w Niemczech. Po cofnięciu się wyprawy sabaudzkiej do Szwajcarji, Nowosielski z innymi szukał schronienia w Anglji, i odtąd w życiu politycznem emigracji czynnego już udziału nie brał. Z przekonania należał do zastępu demokratycznego, ale za najpierwszy obowiązek uważał, życiem własnem dać przykład miłości, równości i braterstwa. Podniosły charakter, obok gotowości służenia każdemu rodakowi i bliźniemu, sprawiły, iż stał się ogniskiem bratniej pomocy dla nieszczęśliwych, szafarzem składek płynących do niego na zaspokojenie potrzeb emigracyjnych, podporą, powiernikiem, pocieszycielem w wielu boleściach i utrapieniach. Nieustraszony żołnierz, pisał wtenczas dziełko : *O kształceniu serca* a gdy w 1863 roku wybuchło powstanie, chociaż skołatany na zdrowiu i już kresu życia dobiegający, chciał jeszcze mieć udział w usiłowaniach ogólnych; wszedł do delegacji trudniącej się wysyłaniem z Anglji wychodźców na pole walki, był tam najczynniejszym do ostatniej prawie chwili. Umarł w Londynie dnia 22 Kwietnia 1864 r. Zwłoki szanowanego powszechnie męża, oprócz rodaków, wielu jeszcze angielskich przyjaciół odprowadziło na cmentarz Highgate, gdzie obok grobu Wojciecha Darasza i Stanisława Worcella złożone zostały.

OCICKI Kazimierz, rodem z województwa augustowskiego; od 1825 roku służył w gwardji rossyjskiej stojącej w Warszawie; po 29 Listopada poszedł do piątego pułku ułanów wojska narodowego; był we wszystkich znaczniejszych bitwach; za waleczność 1 Lipca 1831 roku z podoficera podniesiony na podporucznika, dostał się z innymi na wychodźtwo; w ostatnich latach był woźnym przy bibliotece polskiej w Paryżu. Umarł po chrześcijańsku d. 8 Września 1866 roku, zostawiając żonę i pięcioro drobnej dziatwy; pochowany na cmentarzu Montmartre.

OLAY Franciszek, z ojca Węgra a matki Polki, urodził się w Warszawie, wkrótce po utworzeniu królestwa kongresowego i skończywszy tam szkoły, był urzędnikiem w administracji; emigrował w 1846, a dostawszy się do Francji, zaciągnął się do legji polskiej która w 1848 r. wyruszyła z Paryża do Niemiec; po rozsypaniu się jej, dotarł do Krakowa i był przy jego bombardowaniu. Stamtąd, cofnął się do Wiednia, gdzie mu jenerał Bem polecił formację oddziału polskiego, na którego czele, pod rozkazami Bema, walczył podczas oblężenia Wiednia; schwytany i osądzony na śmierć, wymknął się szczęśliwie. W czasie wojny krymskiej był oficerem w dywizji jenerała Zamoyskiego. W życiu codziennem, prawy, do usług dla drugich chętny, o sobie zapominający, umarł w Paryżu d. 30 Maja 1866 r., licząc około 50 lat wieku. Pochowany na cmentarzu Montmartre, w emigracyjnych grobach polskich.

OLESZCZYŃSKI Władysław, urodził się w Końskiej-woli w województwie lubelskiém 1809 roku; straciwszy ojca w piérwszych latach życia, przeszedł pod opiekę starszego brata Antoniego który go do szkół pijarskich w Warszawie oddał, a potém na wydział sztuk pięknych w uniwersytecie zapisał. Piérwszym jego profesorem w sztuce rytownictwa był Kretlow, gdy ten jednak nie wiele mógł nauczyć, wybierający się za granicę brat Antoni chcąc go wziąść z sobą, wyrobił u ks. Lubeckiego dla Władysława pensję 2,500 złotych, z tém, żeby się sztuki medaljerskiej w obcych krajach uczył. Bracia zwiedzali razem Saksonję, Prusy, Holandję, i przybyli do Paryża. Artystyczne studja zaczął Władysław w pracowni malarza Heima a poduczywszy się rysunku poszedł do sławnego rzeźbiarza Dawida, jednocześnie zaś uczęszczał i do mennicy królewskiej, pracując tam pod kierunkiem P. Tyolier. Otrzymawszy medal srebrny w Akademji paryzkiej sztuk pięknych, zaczął już wykonywać płaskorzeżby własnego utworu; za jedną z nich, posłaną na wystawę do Warszawy, pensja jego do 3,000 złotych podwyższoną została. Prace te przerwała rewolucja lipcowa; młodego artystę odwołano do Warszawy, i umieszczono w mennicy tamecznej, gdzie był pierwszym Polakiem po Rogowskim, który tam za Stanisława Augusta talentem swoim celował. Prace Władysława w mennicy z wybuchem powstania podwoiły się; gdy jednak Moskale zbliżyli się do Warszawy, chwycił i on za karabin, a posłany do Płocka, razem z całém wojskiem wkrótce granicę przeszedł i znowu podążył do Paryża, gdzie połączywszy się z bratem, oddał się pracy z młodzieńczym zapałem. W Warszawie, z polecenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk już był wykonał medal na pamiątkę wzniesienia posągu Kopernika; w Paryżu, piérwszemi jego robotami były medale: dla Fergussona, Ludwika Filipa i P. Beaumont a z polecenia Towarzystwa literackiego którego był członkiem, dla jenerała Lafayette; wkrótce jednak całkiem oddał się rzeźbiarstwu. Wykonał posąg Trepki, co dało po-

wód panu Zanderowi do proszenia go o zrobienie posągu naturalnej wielkości cesarza Aleksandra I°; wykonał go w gipsie, i posąg ten zdobił ogród Zandera, ale w 1848 r. lud paryzki upatarując w nim Ludwika Filipa, potłukł go w kawałki. Marocetti wzywał poźniej Oleszczyńskiego do pomocy w wykonaniu grupy marmurowej zdobiącej ołtarz w kościele ś. Magdaleny; hr. Neuwekerke dyrektor muzeów cesarskich użył go do wykonania konnego posągu Wilhelma księcia Oranji, postawionego w Hadze w Holandji, poźniej do współpracownictwa nad posągiem Napolena 1° przeznaczonym dla Lyonu, i kolosalnej figury genjusza wiosny, postawionej na galerji nowego Luwru. Oryginalne prace naszego rzeźbiarza mnożyły się także; podczas pobytu swojego w Paryżu, wykonał mnóstwo medaljonów, z których znaczniejsze: Stanisława Barzykowskiego, Białopiotrowiczowej, Kazimierza Błociszewskiego, Edmunda Chojeckiego, Adolfa Cichowskiego, Augusta Cieszkowskiego, księżniczki Izabelli Czartoryskiej, jenerała Henryka Dembińskiego, Eisenbauma, Juljana Fontany, Seweryna Gałęzowskiego, Konstantego Gaszyńskiego, księżny Giedrojć, Karola Hoffmana, księdza Józefa Hube, Janickiego, Dr. Jaślikowskiego, architekta Idźkowskjego, Jedlińskiego, księdza Aleksandra Jełowickiego, Edwarda Jełowickiego, Józefa Kaszyca, księdza Hieronima Kajsiewicza, Kunatta, Apolinarego Kątskiego, Adama Mickiewicza, brata swego Antoniego Oleszczyńskiego, Andrzeja Plichty, Dr. Raciborskiego, Rottermunda, Alberta Sowińskiego, księdza Topolskiego, Zwierkowskiego, prócz tego statuetki: księcia Adama Czartoryskiego, księżny Czatoryskiej i pani Adryian z rodziną, a także popiersia: Dra. Seweryna Gałęzowskiego i księdza Aleksandra Jełowickiego, duży medaljon jenerała Paca zdobiący jego grobowiec w Smyrnie, pomnik dla Klementyny z Tańskich Hofmanowej na cmentarzu Père la Chaise w Paryżu i nagrobki: Jenerała Małachowstkiego w Chantilly i Juljusza Słowackiego w Paryżu, na cmentarzu Montmartre. Chcąc oddać hołd wielkim w narodzie mężom, Towarzystwo literackie poruczyło mu także wykonanie grobowego pomnika dla J. U. Niemcewicza i jenerała Kniaziewicza pochowanych w Montmorency. Rzeźbiarz, wyznaczonej na ten cel komisji przełożył trzy projekta: piérwszy wystawiał dwie figury stojące obok siebie, ze stosownemi emblematami, drugi, obu mężów zmarłych, leżących na podniesieniu pod całunami, u głów ich anioł, u którego stóp herby Korony i Litwy; trzeci, pod tymże aniołem i godłami, wyobrażał leżączych na łożu mężów, podających sobie przyjazne dłonie, co według myśli artysty oznaczać miało ich zasługi sięgające po za granice grobu i wierną przyjaźń aż do zgonu. Komisja wybrała drugi projekt, i ten po latach kilku wykonany w kościele parafjalnym w Montmorency, zgromadza co rok około siebie rodaków na żałobném po zmarłych nabożeństwie, dnia 21 Maja. Sława Oleszczyńskiego rosła w kraju i po śmierci Adama Mickiewicza wezwanym został do wykonania z kamienia jego posągu, stojącego dziś przy kościele w Poznaniu, a wkrótce zaproszono go do Warszawy, gdzie rozmaite czekały nań prace. Otrzymawszy pozwolenie powrotu do kraju, z radością w 1859 przeniósł się do miejsc rodzinnych; przyjęty serdecznie przez rodaków, otrzymał za staraniem szambelana Skibickiego obszerną pracownię w dawnym zamku królewskim, z pięknym widokiem na Pragę, tę samą którą za Stanisława Augusta zajmowali rzeźbiarze zdobiący jego ulubione Łazienki. Dusza artysty serdecznością rodaków rozgrzana, z podwojonym zapałem jęła się pracy. W krótkim przeciągu czasu wyszły z pod jego dłóta grobowce: Woronicza i Leona Łubieńskiego, ołtarz do kościoła O. O. Bernardynów w Lublinie, anioł pod krzyżem przeznaczony na grobowiec Antoniny z Sulistrowskich Sniadeckiej, i odwieziony do oBłtupia wsi jej dziedzicznej pod Oszmianą, na Litwie; nareszcie posągi: Matki Bo-

skiej, Stanisława Jachowicza, Niegolewskiego i Kazimierza Brodzińskiego, ten ostatni postawiony w kościele P. P. Wizytek w Warszawie. Niestrudzony artysta robił jeszcze medaljony tych wszystkich których tam ukochał, którzy mu pobyt w Warszawie uprzyjemniali, jako to : I. I. Kraszewskiego, Józefa Korzeniowskiego, Deotymy Łuszczewskiej, Wojcickiego, Karnickiego, prof. Bartoszewicza i Lipińskiego, szambelana Skibickiego, Dra. Leviteaux, panny Lebrun, nareszcie odwiedzającego Warszawę Wincentego Pola. Chciał koniecznie sprowadzić do akademji sztuk pięknych brata Antoniego którego szczerze kochał, i gorąco go do tego namawiał. Ale przyjazne dla sztuki chwile minęły prędko, rok 1861 zwrócił gdzie indziej uczucia i myśli narodowe. Po śmierci arcb. Fijałkowskiego wezwany do zdjęcia jego maski, popiersie jeszcze jego wykonał, lecz, gdy W. Ks. Konstanty do Warszawy przyjechał, kazano artystom opróżnić niezwłocznie zamek. Zaledwo dla Oleszczyńskiego wyrobiono pozwolenie pozostania tam jeszcze przez trzy miesięce, dla dokończenia rozpoczętych robot; po ich upływie musiał się wynieść, i wkrótce też Warszawę opuścił. Wzywał go do Krakowa książe Stanisław Jabłonowski chcąc mu poruczyć wykonanie pomnika dla jenerała Skrzyneckiego. Podjął się nasz artysta tej pracy, a gdy sprowadzenie wielkiej bryły marmurowej do Krakowa napotykało trudności, udał się do Florencji i tam tę największą z prac swoich wykonał. Poznawszy się tam z Teofilem Lenartowiczem zrobił jeszcze medaljon mazowieckiego śpiewaka, a dla ustawienia posągu Skrzyneckiego pojechał do Krakowa, skąd raz jeszcze zwiedzić mu przyszło Warszawę. Wzywano go teraz dla wykonania posągu Jana Kochanowskiego. Dusza artysty z radością chwyciła się tej myśli, ale na wykonanie jej sił już nie starczyło. Domowe zgryzoty i cierpienia wzmogły chorobę która szybko rozwijać się zaczęła. Opuścić musiał kraj, a trochę wzmocniwszy się w Paryżu, za radą lekarzy udał się do Rzymu, gdzie umarł dnia 11 Kwietnia 1866 r. Pochowany w katakumbie na cmentarzu ś. Wawrzyńca, obok Stefana Witwickiego. Medaljon jego na kamieniu grobowym wykonał rodak Prószyński.

OSTROWSKI Jan Nepomucen, rodem z Podola, 1818 r. wstąpił jako kadet do drugiego pułku ułanów i dosłużywszy się stopnia podchorążego ze srebrnym feldcechem, wziął dymissję w 1823 roku dla załatwienia domowych interesów. Po wybuchu listopadowego powstania zajął się przysposobieniem zbrojnego ruchu w powiecie kamienieckim który zamieszkiwał, a gdy jenerał Dwernicki przeznaczonym został na Ruś dla podania ręki gotującym się tam powstaniom, Ostrowski nie czekając przejścia jego przez Bug, na czele własnym kosztem uzbrojonego hufca przerznął się przez kordony nieprzyjacielskie i połączył się z jego korpusem pod Zamościem. Podczas wyprawy Dwernickiego odznaczał się znajomością służby i męztwem, pod Boremlem ozdobiony krzyżem złotym, mianowany porucznikiem a póżniej kapitanem, pełnił obowiązki adjutanta przy boku jenerała. Na emigracji był jednym z gorliwych członków Towarzystwa demokratycznego, odznaczał się prawością, zapomnieniem siebie i hartem charakteru. Umarł w Londynie, d. 19 Stycznia 1865 r. w sześćdziesiątym czwartym roku życia.

PIOTROWSKI Zygmunt, urodził się w królestwie kongresowem 1833 r. miał czynny udział w ostatniém powstaniu, i dostawszy się do Francji w 1864 roku, umarł w Paryżu dnia 18 Marca 1866 roku. Pochowany na cmentarzu Montmartre.

PLICHTA Andrzej, urodził się dnia 30 Listopada 1797 roku w Kurdybanowie, w województwie mazowieckiém. Odbywszy nauki w liceum i uniwesytecie warszawskim rozpoczął zawód publiczny w biurach Rady Stanu której sekretarzem i redaktorem protokółów wkrótce został. Wywiązywał się z tego obowiązku ze znakomitym talentem, tak iż jeden z Radców odczytując protokóły mimowolnie powiedział: « Dziwna rzecz! nigdy nie bywam tak wymowny jak na posiedzeniach Rady Stanu.» Młody urzędnik zwracał też na siebie uwagę rządu, i mógł świetnego spodziewać się zawodu, ale myśli jego były gdzie indziej. Ojczyzna wyłącznie je zajmowała. Około 1820 roku powstały i mnożyły się w kraju tajne stowarzyszenia i związki; dozwalane przez rząd loże massońskie ułatwiały ich krzewienie się; pod zasłoną tego imienia tworzyło się organizowane przez Łukasińskiego stowarzyszenie wolnych mularzy polskich, mające sprawę narodową wyłącznie na celu; Andrzej Plichta do wszystkich tych usiłowań należał. Gdy loże massońskie w 1821 r. zakazane zostały w Rossji i Królestwie kongresowém, stowarzyszenie to, musiało uledz znacznej zmianie; trwożliwi usunęli się zeń zupełnie, młode i gorętsze dusze utworzyły ściślejszy, już zupełnie tajny związek, pod nazwą *Kosynjerów*. Plichta stanął wkrótce na czele gminy warszawskiej i przyczynił się bardzo do jej rozkrzewienia. Nastały chwile próby, Łukasiński uwięziony 1822, po dwóch latach spędzonych za kratami, publicznie w obec wojska polskiego i rossyjskiego d. 1 Października 1824 roku zdegradowany i do taczek przykuty, odprowadzonym został do Zamościa, gdzie według wyroku miał przez lat siedm przy robotach fortecznych pracować. Rzuciło to postrach na stowarzyszonych, wielu usunęło się znowu, ale dla dusz bardziej hartownych stało się to tylko nowym jeszcze bodźcem. Plichta do nich należał. Powiernik ośmdziesięcioletniego Sołtyka, członek centralnego Komitetu Stowarzyszenia, prowadził dalej rozpoczęte prace, i w dniu kiedy Łukasińskiemu czytano wyrok, nowych jeszcze członków do związku wprowadzał. Odtąd szczególną na tém polu rozwinął czynność, i nie ustał w niej, aż do chwili kiedy sam do cierpienia powołanym został. Po śmierci Aleksandra I° wybuch grudniowy (1825 r.) w Petersburgu i wykryte w Rossji związki, poprowadziły do wyśledzenia stosunków ich z patriotami polskimi; uwięziono wiele osób. Plichta, któremu stanowisko w rządzie dawało możność dowiedzenia się zawczasu o zgotowanym mu losie, mógł ucieczką uniknąć więzienia, przyjaciele go namawiali; ale wiedząc że krok taki mógłby na złe dla innych być wytłumaczonym, postanowił pozostać na miejscu i los przyjaciół i rodaków podzielać. Uwięziony d. 21 Lutego 1826 r. odprowadzonym został do Karmelitów, sławnego wówczas więzienia stanu w Warszawie. Tam, ten pełen dobroci i słodyczy człowiek, złożył dowody najwyższej szlachetności, hartu i mocy ducha. Rok okrutnych katuszy nie zdołał złamać jego stałości; co ze śledztw petersburskich wiedziano, przyjął na siebie, ale żadne słowo potępiające innych z ust jego nie wypadło, żadnego imienia śledzący na nim wymęczyć nie zdołali. Stawiony razem z innymi przed sądem sejmowym, w ostatniej chwili sam przemówił do sędziów, a męzka, prostoty i uczucia pełna wymowa jego, kiedy nieszczęścia ojczyzny malował, do łez sędziów wzruszyła. Uznany za niewinnego, w skutek rozkazu Mikołaja razem z innymi do Petersburga odwiezionym został, gdzie kazamaty w Petropawłowsku otworzyły się dla niego. Spędził w tém nowém więzieniu jeszcze jedénaście miesięcy, i uwolnionym został zaledwo w 1829 roku, kiedy Mikołaj z powodu swej koronacji więźniów politycznych królestwu kongresowemu powracał. Wyszedłszy z więzienia nie znalazł już Plichta matki którą tkliwie kochał, a zdro-

wie jego było nadwerężone; oddany pod dozór policji, jakkolwiek powszechnym otoczony szacunkiem, usunął się od spraw publicznych. Noc 29 Listopada znowu przed nim szerokie otworzyła pole; wycierpiane katusze, zniesione z taką szlachetnością prześladowania, przy znanych dobrze zdolnościach, zwracały na niego oczy patriotów, a w duszy jego, uczucia dla ojczyzny były zawsze jednakie. Zaledwie we dwa dni po ślubie, z panną Emilją Pilichowską, opuścił młodą, ukochaną żonę, aby z ludem warszawskim walczyć na ulicach stolicy, a wezwany zaraz na sekretarza Rady ministrów, dodawał obradującym energji, i był jednym z tych, którzy się najbardziej przyczynili do tego iż rząd, działający zrazu w imieniu Mikołaja, ogłosił się Rządem Narodowym. Z sekretarza Rady ministrów przeszedł Plichta do Rady municypalnej miasta Warszawy, chcąc mieć wpływ przez to na kierunek umysłów w stolicy. W kilka dni potém Dyktator Chłopicki mianował go sekretarzem Rady Najwyższej, a nastały po Dyktatorze Rząd Narodowy, Radcą Stanu i głównym sekretarzem Rządu. Obowiązki te z niezmordowaną gorliwością pełnił do końca listopadowego powstania; mając sobie poleconą nieraz obronę przed Izbą poselską projektów rządowych, jak między innemi projektu wezwania do Izby posłów z ziem litewskich i ruskich, wywiązał się z tego ze znakomitym talentem wymowy. Dnia 25 Lutego 1831 roku jako ochotnik i żołnierz, bił się pod Grochowem, gdzie stracił pełnego nadziei brata Kazimierza. Z upadkiem powstania, dnia 26 Września razem z Rządem Narodowym przeszedł granicę, i udał się na pielgrzymstwo, w któróm przez lat trzydzieści sześć był wzorem cnót domowych, wierności narodowym tradycjom, zaparcia się siebie i cichej a wytrwałej pracy. Posiadając najzupełniejsze zaufanie księcia Adama Czartoryskiego był stałym jego pomocnikiem, we wszystkich pracach około sprawy narodowej podejmowanych. Sekretarz Rządu Narodowego, nie wahał się być sekretarzem rozmaitych na wychodztwie powstających towarzystw i zakładów; jeden z trzynastu założycieli Towarzystwa literackiego, aż do śmierci był jego sekretarzem, członkiem Rady i współpracownikiem; na zgromadzeniach emigracyjnych w rocznicę listopadowego powstania kilka razy publicznie przemawiał; w piérwszych latach wychodztwa drukował wiadomości o tajnych towarzystwach w Polsce, a na kilka miesięcy przed śmiercią, czytał na posiedzeniu Towarzystwa historyczno-literackiego obszerny życiorys przyjaciela swego od dzieciństwa i współwięźnia, Adolfa Cichowskiego. Na koniec zacnego żywota gotował mu Pan Bóg pociechę; wydawszy córkę za zacnego przyjaciela Polski, Horacego Delaroche, mógł być świadkiem jej szczęścia, i osiadłszy z żoną przy dzieciach w Wersalu cieszyć się nowonarodzonym wnuczkiem, ale nagła śmierć syna Ignacego, była zbyt silnym dla starca ciosem; przenieść jego nie mógł, i odtąd już do sił nie wrócił. Cichy, łagodny, spokojny jak zawsze, ale już coraz więcej myślą w wieczności przebywający, przeżył jeszcze kilka miesięcy, i opatrzony wszystkiemi sakramentami na ręku żony i córki zgasł d. 3 Czerwca 1866 r. w Wersalu. Pochowany obok syna w Paryżu, na cmentarzu Montmartre.

PLICHTA Ignacy, syn Andrzeja i Emilji z Pilichowskich, urodził się już na obcej ziemi, w Paryżu, dnia 12 Sierpnia 1837 roku; nauki pobierał w lyceum Bonaparte, poźniej w szkole prawa, gdzie stopień naukowy otrzymał. Od zacnych rodziców wyuczywszy się Polski, kochał całém sercem tę ojczyznę której nie oglądał nigdy; zbliżony do księcia Adama Czartoryskiego, pod jego okiem w biurze polskiém pracował,

a przez cały czas ostatniego powstania w agencji paryzkiej był czynnym. Słodycz charakteru, dobroć, nigdy nie zmienna w obejściu uprzejmość, drogim go czyniły wszystkim współpracownikom i znajomym; w rodzinie nigdy zmartwienia nie stał się powodem. Zaskoczony nagłą i gwałtowną chorobą, zabierał się do wieczności z pogodą dusz ubłogosławionych, pocieszając rodziców i siostrę, żegnając przyjaciół, pamiętając o wszystkich, i jakby z rozradowaniem idąc do Boga, po krótkiém, ale poczciwie i zacnie przepędzoném życiu, w którém wszystkich swych obowiązków dopełnił. Umarł w Wersalu, d. 13 Lutego 1866 r. licząc lat 28 i pół. Spoczywa w Paryżu, na cmentarzu Montmartre.

POPIEL Adolf, rodem z Poznańskiego; po utworzeniu księztwa warszawskiego od 1809 służył w wojsku polskiém, odbył kampanję 1812 roku w dywizji jenerała Dąbrowskiego oblegającej Bobrujsk, i za okazaną waleczność ozdobiony został krzyżem *virtuti militari*. Po 1815 roku oddał się rolnictwu i posługom obywatelskim, ale po wybuchu listopadowego powstania wszedł napowrót do wojska i w korpusie jenerała Dwernickiego dosłużył się stopnia majora; dostawszy się na wychodztwo, osiadł w Paryżu i nie opuścił go do końca życia. Sam opowiadał często, że w bitwie nad Berezyną przeciw Cziczagowowi, ujrzał przed sobą zmarłą od lat wielu matkę, która mu powiedziała aby usunął się na lewo; zaledwo jej głosu usłuchał i kilka kroków w tym kierunku zrobił, żołnierz który miejsce jego zajął, od kuli armatniej zabitym został; takim sposobem życie które jeszcze tak długiém być miało, po raz drugi zawdzięczał matce,z dozwolenia Bożego z za grobu jeszcze czuwającej nad nim. — Umarł 1866 roku, licząc przeszło 80 lat wieku.

POTOCKI hrabia Herman, syn Jana Potockiego, matka jego należała do linji Koreckiej książąt Czartoryskich. — Urodził się w Tykocinie 1801 roku, mieszkał z bratem Józefem w majętności swej Białołówce w dawném województwie kijowskiém, kiedy wybuchło listopadowe powstanie; w domu ich robiły się przygotowania do powstania na Rusi, układały się zmowy, odbywały narady. Gdy nie wszyscy w przedsięwzięciu wytrwali, bracia Potoccy na czele czterdziestu jeźdźców uzbrojonych swym kosztem wyruszyli z Białołówki, nadawszy przed wyjściem wolność osobistą i nawet własność gruntów włościanom swoim, połączyli się z Kołyską, stojącym na czele podolskiego i ukraińskiego powstania, pełnili zaś obowiązki żołnierskie, nie chcąc żadnych dla siebie stopni; po nieszczęśliwej bitwie pod Daszowem, byli w liczbie tych pięćdziesięciu którzy zasłaniali odwrót i wstrzymali nacisk nieprzyjaciela. Przybywszy do Warszawy, własnym kosztem wystawili szwadron jazdy, który oddali pod dowództwo jenerała Samuela Rożyckiego. Wezwani do sejmu na posłów ziem ruskich, obadwa zasiedli ławy poselskie. Herman był posłem powiatu machnowieckiego (województwa kijowskiego) a przytém jeszcze jednym z najczynniejszych członków komitetu ziem ruskich. Po ostatecznym upadku powstania dostawszy się za granicę, w Galicji należał znowu z bratem do komitetu wsparcia wychodźców i dostarczenia im środków dostania się do Francji; w skutek nalegań Rządu moskiewskiego aresztowani i osadzeni w twierdzy Brünn, zaledwo po sześciu miesiącach do granic austryjackich odprowadzeni byli i udali się do Francji. Przez cały czas pobytu w Paryżu dawał z

siebie przykład wierności tradycjom narodowym, miłości współbraci, nieograniczonej nieraz uczynności i cnót domowych. Umarł dnia 24 Marca 1866 roku, pochowany na cmentarzu Montmartre, obok brata Józefa.

POTOCKI hrabia Józef, brat rodzony Hermana, rokiem od niego starszy, dzielił z nim wszystkie losy tak podczas powstania jakoteż na wychodźtwie, z tą chyba różnicą, że w czasie powstania, .pod Obodném był w szarży która zdobyła moskiewskie armaty, a w której Herman udziału nie miał; dostawszy się do Warszawy był posłem powiatu bialskiego, zaciągnął się zaś do piątego pułku ułanów i służył w nim do końca kampanji. Zgonem uprzedził brata o lat trzy, przenosząc się do wieczności dnia 8 Września 1863 r. po ciężkiej, spokojnie wycierpianej chorobie. Spoczywa na cmentarzu Montmartre.

RAVENE Ferdynand, urodzony w Białymstoku 6 Kwietnia 1792 roku, zaciągnął się dobrowolnie do wojska dnia 24 Czerwca 1812 roku i jako ochotnik wcielonym został do pułku strzelców konnych gwardji francuzkiej; dnia 11 Sierpnia w tymże pułku awansował na podoficera, odbył kampanję 1812 roku przeciw Moskwie. W 1813 roku, był w bitwach pod Dreznem, Pirnau, Altenburgiem, Weissenfeldem, i Lipskiem, gdzie ranny w kark pałaszem, a kulą karabinową w szczękę; w następnych kampanjach miał udział w bitwach : pod Chateaubrienne, Chateau Thierry, Montmirail, Troyes i pod Paryżem, gdzie ranny lancą w piersi. Po kongresie wiedeńskim przeszedł do wojska polskiego i jako podoficer wstąpił do 2 pułku ułanów, tegoż roku awansowany na podchorążego, a 22 Kwietnia 1822 roku na podporucznika. Po wybuchu powstania 1830 roku, dnia 20 kwietnia 1831 roku został kapianem; walczył ciągle, był w bitwach : pod Siedlcami, Stanisławowem, Dębem Wielkim, Garwolinem, Żelechowem, Długiem Siołem, Złotoryją, Sochaczewem, Arkadją, Szymanowem, Kockiem, Rachowem, Borowem, Dobrem, Pragą, Grochowem, Domańcami, Jganiami, i Międzyrzecem. Dnia 9 Lipca 1831 roku ozdobiony złotym krzyżem *virtuti militari*. Z korpusem jenerała Romarino wszedł do Galicji, dnia 10 Września 1831 roku. W rok poźniej wrócił do kraju, ale w 1833 roku znowu na pielgrzymstwo się udał, i dostawszy się do Francji przykładne i szacunkiem otoczone wiódł życie. Jnstytucja czci i chleba zważywszy nieskazitelny jego a w walkach za Ojczyznę tyle zasłużony żywot, obok niedostatku jaki go w podeszłych latach przygniatał, na znak uznania jego narodowych zasług, wyznaczyła mu pensję emerytalną. — Umarł w Bourges (we Francji) dnia 15 Listopada 1865 roku, licząc wiekn lat 73.

RYCERSKI Aleksander, urodził się w Kielcach 1828 roku, uczeń warszawskiej akademji sztuk pięknych, dawał tam na wystawy obrazy swoje. W 1863 roku oddał usługi w powstaniu narodowém, a dostawszy się za granicę osiadł w Paryżu, i poświęcił się malarstwu. Główne jego prace są : *Matka Boska boleśna* ofiarowana przez artystę na rzecz dwojga biednych sierot, i *Rozpusta Rzymian*, obraz przyjęty na wystawę paryzką. Umarł wśród wytrwałej pracy w Paryżu, w ostatnich dniach Listopada 1866 roku, pochowany na cmentarzu Montmartre.

SADOWSKI Franciszek rodem z Białostockiego; w powstaniu 1863 roku służył w oddziale Walerego Wróblewskiego; dostawszy się na wychodztwo, umarł w Szwajcarji, w Zürich, w Październiku 1866 roku, licząc wieku lat 21.

SŁAWOSZEWSKI Władysław, rodem z Wołynia; w powstaniu 1863 roku bił się w oddziale Edmunda Rożyckiego, zostawił w kraju żonę i dzieci; dostawszy się za granicę żył z pracy rąk w Szwajcarji. Umarł w Bazylei dnia 12 Listopada 1866 roku.

SWIECHOWSKI Kajetan Jldefons, urodził się dnia 7 Marca 1811 roku we wsi Wielasze na Żmudzi. W 1831 r. poszedł do powstania, połączywszy się z oddziałem jenerała Dembińskiego odbył z nim sławny odwrót i przybył do Warszawy, gdzie razem z innymi otrzymał imienne świadectwo « iż dobrze się zasłużył Ojczyznie. » W stopniu podporucznika dostał się na wychodztwo, a dzieląc we Francji koleje i prace tułaczego życia, umarł w Laval, w departamencie Mayenne, dnia 13 Listopada 1866 roku.

SZUMLAŃSKI Stanisław, urodzony 1818 roku w okolicach Lwowa, pochodził ze starożytnej rodziny szlacheckiej, przed kilku wiekami na Rusi osiadłej, która wydała liczny szereg mężów w rozmaitych zawodach dobrze ojczyznie zasłużonych. Ojciec jego, znany w całej Galicji pułkownik z czasów Napoleona I, po upadku powstania Kościuszki wstąpiwszy do wojska francuzkiego, odbył w niém kampanje włoskie a poźniej egypską ; tam dostał się do niewoli, ale z galer tureckich na których był trzymany, za znaczną summę przez księcia Adama Czartoryskiego jenerała ziem podolskich wykupiony, znowu do dawnych szeregów powrócił i walczył we wszystkich prawie bitwach cesarstwa, aż do klęski pod Waterloo. Świetny stan jego służby wylicza przeszło 50 bitew i potyczek w których miał udział. Czasy i okoliczności w jakich żył Stanisław, chociaż urokiem napoleońskiej sławy nie opromienione, nie mniejszych jednak wymagały ofiar, poświęceń, przeplatanych cierpieniami tułaczego życia ; nie zachwiał się w nich jednak i wytrwał *usque ad finem*. Odebrawszy staranne wychowanie domowe, zakończył je zaszczytnie w akademji wojennej w Wiedniu i w 1845 roku wstąpił do wojska austryjackiego, w którém świetny się przed nim otwierał zawód. Dobrze widziany u dworu, szczególniej lubiony przez jednego z Arcyksiążąt, blizko spokrewniony z ówczesnym wielkim kanclerzem Węgier, mógł w krótkim czasie wysokich dostąpić zaszczytów, i może nie jeden na jego miejscu uległby takim pokusom, ale Szumlański nosił głęboko w sercu wyryte obowiązki względem ojczyzny, i o nich zapomnieć nie mógł. Zaledwo rozeszła się wieść o tworzących się na Węgrzech legjonach polskich, pod dowództwem starych naszych jenerałów, nie wahał się opuścić wojsko austryjackie, gdzie był już najstarszym porucznikiem w pułku dragonów, i pospieszyć do narodowych szeregów, pod dowództwo przyjaciela i dawnego towarzysza broni swego ojca, jenerała Dembińskiego. Odbywszy w stopniu kapitana jak najzaszczytniej całą kampanię węgierską, wszedł ze szczątkami legjonu polskiego do Turcji, a stamtąd w 1851 roku przybył do Paryża. Boleśnie uderzony widokiem mnóstwa braci świeżo wtenczas na

wygnanie przybyłych, skazanych na niedostatek a nieraz i prawdziwą nędzę, powziął myśl szukania pracy i zgromadzenia znaczniejszych zasobów w Australji, której kopalnie złota świeżo wtenczas odkryte, nęciły wielu. Pełen najszlachetniejszych marzeń i projektów, wziąwszy z sobą kilku rodaków, udał się do tej odległej części świata, gdzie gorzkie spotkać ich miało rozczarowanie. Bez doświadczenia, nie znający ludzi ani miejscowych stosunków, dobroduszni z natury i łatwo ludziom wierzący, nowi ci Argonauci zamiast zebrania skarbów, wkrótce do ostatniej przyszli nędzy, a nie mając o czém wrócić do Europy, najęli się za majtków na wracającym do Anglji okręcie, jedynie dla tego aby się tam dostać. W 1853 roku Szumlański przybył do Londynu. W rok poźniej, wybuchła wojna wschodnia; nadzieja na chwilę ożywiła serca polskie i nasz Stanisław jeden z pierwszych pospieszył do tworzącej się wówczas pod dowództwem jenerała Zamoyskiego dywizji polskiej, przydzielonej do armji angielskiej, i wkrótce podszefem sztabu tej dywizji mianowany został. Na tém trudnem stanowisku złożył dowody niepospolitych zdolności i znakomitego wojskowego ukształcenia. Po zawarciu traktatu paryzkiego, gdy legja polska rozwiązaną została, Szumlański nagrodzony stopniem majora i oficerskim orderem Medżidie wrócił do Anglji, i stamtąd zasilał dzienniki krajowe swemi korespondencjami, angielskie zaś wiadomościami o Polsce; pełniąc zarazem obowiązek sekretarza polskiego historycznego grona w Londynie. Przy tej pracy, dla wszystkich uprzejmy, i uczynny, do posług dla każdego skory, w przyjaźni wierny, w postępku każdym rycersko-szlachetny, godnie znosił trudy i boleści wygnania, wyglądając chwili, w którejby się mógł jeszcze za ojczyznę poświęcić. Kiedy ostatnie wybuchło powstanie, chociaż sam w powodzenie jego nie wierzył i klęski zeń tylko dla kraju przewidywał, myślił że się już wtenczas usuwać od niego nie godziło, i na plac walki pośpieszył, nie na zwycięztwo jak sam powiadał, ale na śmierć. Dostawszy się w strony Kaliskie, dowodził tam oddziałem powstańczym, w stopniu podpułkownika. Przewidywanej śmierci tam nie znalazł, i po upadku ostatecznym powstania, wrócił jeszcze do Anlji, gdzie żonę z dziećmi był zostawił; stamtąd, jadąc do Galicji dla ujrzenia raz jeszcze sędziwej matki, nagle w Paryżu umarł, dnia 28 Listopada 1866 roku. Pogrzebiony na cmentarzu Clichy. Jld. K.

SZYRMA-LACH Krystyn, urodził się dnia 17 Grudnia 1790 roku w Olesiu, nad granicą pruską, z rodziców wyznania protestanckiego i piérwsze nauki odbył w Królewcu, potém w Wilnie; dla dokończenia ich udał się do Edymburga, słynnej natenczas szkoły filozofji moralnej, gdzie znany osobiście przez Walter-Skotta i Wilsona, zaszczytnie wspominany przez Krzysztofa North w jego sławnych *Noctes Ambrosianæ*, otrzymał stopień doktora filozofji, który mu poźniej i Uniwersytet warszawski przyznał. Wróciwszy do Polski, wszystkie swe siły ku temu obrócił, aby z zebranych na obcej ziemi wiadomości kraj mógł skorzystać. Anglija była dla niego wzorem praktycznej czynności i umysłowego ruchu; zajął się tłumaczeniem najbardziej popularnych wówczas książek angielskich, między któremi i Robinsona Kruzoe, w pismach publicznych oznajamiał rodaków z instytucjami i cywilizacją angielską, a biorąc udział w niejedném także przedsiębierstwie przemysłowém, sam drukarnię założył i wiele pras do niej z za granicy sprowadził. Wydawał *Pamiętnik naukowy*, (w którym Lelewel w obronie pisowni swojej występował), a wkrótce też objął przy uniwersytecie warszawskim katedrę filozofji moralnej. W 1828 roku

wyszło obszerne jego w trzech tomach dzieło, pod tytułem *Anglija i Szkocja*, które zupełną dla kraju było nowością. Powstanie 1830 roku na inne go pole powołało. Kochany przez młodzież uniwersytecką, a sam ojczyznę miłujący gorąco, wezwanym został do objęcia dowództwa nad hufcem młodzieży, złożonym z 1,200 ludzi, a stanowiącym tak zwaną gwardję akademicką, która pełniła zrazu służbę gwardij narodowej w stolicy; przez trzy miesiące poźniej był z nią na linji bojowej i cztéry razy w ogniu; do końca też życia z chlubą nosił służący mu wtenczas tytuł pułkownika. Po upadku powstania, zmuszony emigrować, przeniósł się do znajomej i blizkiej mu Anglji, gdzie po kilkunastu latach pobytu, prawo obywatelstwa otrzymał. Nie mogąc dalej orężem służyć ojczyznie, jako człowiek myślący i pisarz, służyć jej nie przestał. Był jednym ze stałych współpracowników przeglądu angielskiego : « *British and Foreign Review* » i w artykułach swoich dotykał zazwyczaj kwestji naród nasz, jego historję i obecne położenie obchodzących, oznajmiając z niemi angielską publiczność. Wydał też dzieło w dwóch tomach, pod tytułem : *Revelations of Siberia*, które się doczekało trzech wydań; poźniej : *The Moslem and the Christian* w trzech tomach i nareszcie : *Home life in Russia*; przełożył także na język angielski *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego Adama Mickiewicza*. Członek literackiej assocjacji przyjaciół Polski w Londynie, gdy w Paryżu utworzył się wydział historyczny pod prezydencją J. U. Niemcewicza mający na celu zbieranie materjałów do historji polskiej w archiwach i bibliotekach zagranicznych, utworzył pomocnicze dla niego grono w Londynie i stał na jego czele, kierując i duchem swoim ożywiając jego prace. Pod jego przewodnictwem, grono londyńskie dostarczyło do archiwum dzisiejszej biblioteki polskiej w Paryżu kilka tysięcy arkuszy niezmiernie ważnych a dotąd zupełnie prawie nie znanych materjałów do historji naszej. Z rozpoczęciem kampanji krymskiej, czynność jego jako publicysty podwoiła się. Dziennik wychodzący w Plymuth, przepełniony był wtenczas jego artykułami o Rossji, o znaczeniu dla Europy prowadzonej wojny i o kierunku jaki przyjąć była powinna. W życiu prywatném i rodzinném najłagodniejszy człowiek, miły i słodki w stosunkach i obejściu, kiedy szło o interes ojczyzny, umiał znaleźć w duszy całą energję żołnierza z 1831 roku i tchnęły nią wszystkie jego pisma z tego czasu. Zajmowała go żywo myśl utworzenia legjonu polskiego na wzór formowanych z wychodźców naszych i jeńców wojennych w czasach wielkiej rewolucji francuzkiej. Krzątając się czynnie około tego, nieraz zwiedził wtenczas Londyn, był nawet w Paryżu, zawsze w celu urzeczywistnienia swej myśli. Gdy do Plymuth przywieziono znaczną liczbę jeńców rossyjskich, wziętych podczas wyprawy na Baltyk, i umieszczono ich w Millbay, udał się tam aby przekonać się, azali między nimi nie było rodaków; gdy do zgromadzonych ojczystym przemówił językiem, kilkudziesięciu rozrzewnionych otoczyło go, całując ręce szanownego męża, a wkrótce za jego pomocą podali rządowi angielskiemu adres, prosząc aby ich do legjonu polskiego w Krymie wcielono. Prośba została wysłuchaną. Żona pułkownika i damy angielskie w Plymuth wyszyły własnemi rękami piękną chorągiew polską, znalazł się kapłan z kraju, który ją poświęcił sam, chcąc podzielać trudy nowych legjonistów. Lach Szyrma oddając uformowanemu hufcowi chorągiew, przemówił do niego z całą gorącością patrioty i dawnego żołnierza, i siedli na okręt, który ich na plac boju miał odwieźć. Ale przygotowania i formalności zbyt wiele zabrały czasu, zanim do Krymu przybyli już było zawartém zawieszenie broni, po którém nastąpil pokój paryzki. Po ówczesném uciszeniu Europy, został Lach Szyrma stałym korespondentem *Czasu*

i *Gazety Warszawskiej* i starał się zapoznawać rodaków z instytucjami i cywilizacją angielską. Ostatnie powstanie narodowe położyło koniec tym pracom; wtenczas szanowny starzec zajął się spisaniem w ojczystym języku swoich pamiętników. Praca naukowa do ostatnich chwil życia nie przestala go zajmować, uczył się ciągle i pisał, śmierć nawet przez uderzenie krwi do głowy sprowadzona, znalazła go nad kartami rękopismu. Jako emigrant polski, popierał zawsze wszystkie prace i czynności księcia Adama Czartoryskiego, jako obywatel angielski, należał do stronnictwa liberalnego, umiarkowanego, i z niém zawsze wotował. Kochany i szanowany przez rodaków i Anglików, otoczony był poważaniem ogólném; dziwiono się w Anglji, że w piersi tak łagodnego i cichego na pozór człowieka, mógł przez lat tyle gorzeć prawdziwy wulkan miłości ojczyzny. Lach Szyrma żonaty był dwa razy: naprzód z Czesławą Terlecką, a po jej stracie, z Sarą Somerville w 1840 roku. Zostawił syna, który pamiętniki ojca pozostałe w rękopiśmie ma zamiar drukiem ogłosić. Umarł w Devonport, dnia 21 Kwietnia 1866 roku, licząc 75 lat życia. Na pogrzebie, załoga miejscowa wystąpiła i oddała mu raz jeszcze honory wojskowe.

TARONI Ludwik, urodził się w Wilnie 1840 roku; miał czynny udział w powstaniu na Litwie 1863 roku; dostawszy się za granicę, umarł w Paryżu dnia 17 Maja 1866. Spoczywa na cmentarzu Montmartre.

TOMASZEWICZ Walerjan, urodził się 1818 roku. Rodzinne jego gniazdo było w Trockiém, dziad był łowczym tego powiatu, ojciec, Kasper posiadał tam jeszcze dość znaczny majątek; świadek uroczystego ogłoszenia konstytucji 3 Maja, potém komisarz powiatowy za powstania Kościuszki, wśród nieszczęść ojczyzny tracąc swe mienie, oddany był w końcu zawodowi prawnemu; niepospolitego rozumu, dowcipny, przyjemny w towarzystwie, a szczególniej umiejący rozumieć się z młodzieżą, po 1812 roku mieszkał stale w Wilnie i należał do towarzystwa tak zwanego *Szubrawców*, wydającego sławne w swym czasie, *Wiadomości brukowe*. Z siedmiorga dzieci które miał, młodsze porodziły się w Wilnie; żona jego Ludwika, z domu Oranowiczówna, przy urodzeniu ostatniego Walerjana umarła. Słabowite dziecko znalazło w niewieściém sercu niemłodej panny Katarzyny Szychnówny przyjaciołki domu, skarby czułości i troskliwość, dzięki którym przebył niezliczone choroby i wyszedł naresztę z dzieciństwa. Powstanie 1831 roku było pierwszém silniejszém jego wrażeniem; dwaj starsi bracia wyszli z młodzieżą, i więcej nie wrócili, koło zwykłych znajomych przerzedziło się, wszystko posmutniało do koła, a i biéda rodzinę przyciskać zaczęła. Przy słabém ciele, zdolności umysłowe w dziecku rozwijały się bystro, nauczony przez starszego brata czytania, pisania i początków arytmetyki, sam reszty się douczył, i przed Bożém Narodzeniem 1831 roku, z tryumfem wszedł do drugiej klassy; prędko wzięty na domowego korepetytora przez nauczyciela matematyki [Staszyńskiego, własną już pracą utrzymywać siebie zaczął, a odbierając co roku nadgrodę w książkach a nawet i medale, doszedł tak do siódmej klassy. Zdawał tam właśnie w1837 roku ostatni egzamen, kiedy mu znać dano, że ojciec o mil cztéry od Wilna śmiertelnie zasłabł, prosił o uwolnienie na dni parę; dyrektor Moskal odmówił, bo według niego « nie

będąc doktorem nie miał tam co robić » pojechał bez pozwolenia, trafił już na pogrzeb ojca, a gdy powrócił, za nieposłuszeństwo posadzony do kozy, widział się pozbawionym medalu złotego i rangi na którą zasłużył. Była to piérwsza niesprawiedliwość jakiej od władz swych doznał. Zdolny a biédny młodzieniec łaknął nauki, Wilno posiadało wtenczas tylko jeden wydział medyczny dawnego uniwersytetu; prezesem tej akademji był nieprzyjazny młodzieży Kuczkowski. Tomaszewicz do medycyny najmniejszego pociągu nie miał, ale nie było nic innego do wyboru; w 1838 roku zapisał się na pierwszy kurs nauk przyrodzonych. Ale nie był to czas wcale dla cichej naukowej pracy, związki patriotyczne były w powietrzu, cała szlachetniejsza młodzież należała do nich, a rozpoczęte w tymże roku śledztwo nad Szymonem Konarskim, prowadzone przez głośnego z okrucieństwa księcia Trubeckiego, zapełnione przez więźniów klasztory, podnosiły tylko uczucia; pogodna i piękna śmierć Konarskiego rozstrzelanego na Pohulance (15 Lutego 1839 roku) nowego tylko dodała zarzewia; na grobie jego zaprzysięgano wierność ojczyznie a mnóstwo niedojrzałych, młodzieńczych zupełnie pomysłów roiło się w sercach i głowach. Policja pilnie śledziła, członkowie śledczej komissji zbyt wiele osobiście wygrywali na wynalezieniu nowych spisków, i po kilku miesiącach, więzienia przepełniły się na nowo; utworzono spraw kilka, płatny szpieg dowodził uwięzionym win których nie było, związków które mu sama komissja śledcza podyktowała. Między uwięzionymi znajdowało się też dwudziestu siedmiu akademików, a w ich liczbie i Tomaszewicz. Trubeckiego już w prawdzie nie było, obejście się z więźniami mniej okropne, bo władze same wiedziały że winy prawdziwej nie ma, ale śledztwo ciągnęło się nieskończenie. Walerjan przeprowadzany kolejno od jednego do drugiego klasztoru zamienianego na więzienie stanu, zamkniętym nareszte został z innymi w dawnych uniwersyteckich, tak zwanych świętojańskich murach, i przeszedłszy przez cztéry śledcze komissje, całych dwadzieścia pięć miesięcy za kratami spędził. Przysłany dla osądzenia więźniów jenerał Nazimów, odkrył fałsz, i miał szlachetność i odwagę powiedzieć Mikołajowi, że większa część obwinionych była zupełnie niewinną. Po sprawdzeniu raz jeszcze śledztwa, wielu z nich uwolniono (18 Grudnia 1841 roku), a między nimi i Tomaszewicza, dodawszy wszakże w wyroku, że mu żadnej winy nie dowiedziono, ale że rząd go pod dozór policycji oddaje, a więzienie liczy mu za odbytą karę. Złamany na zdrowiu, wyszedłszy z więzienia ujrzał wszystkie drogi przed sobą zaparte; po kilku jednak tygodniach, znalazła się zacna w trockim powiecie rodzina, która go na nauczyciela domowego powołała, pomimo tego, że jako zostającemu pod dozorem policji, uczyć mu nie było wolno. Przeszły mu tam spokojnie i dobrze dwa i pół lata; w samotności więziennej rozbudzona myśl, popychała go do naukowej pracy, tutaj też pisać zaczął. *Wspomnienia życia akademickiego* były pierwszą jego trochę obszerniejszą pracą, która się ukazała w piśmie zbiorowém *Lud i czas* wydawaném przez Filipowicza; zajął się potém przekładem Szyllera: *Rozbojników* jego i *Sprzysiężenie Fieski* przetłumaczył prozą, i rozpoczął przekład wierszem miarowym *Don Karlosa* i *Wilhelma Tella*, którego poźniej dokonał. Myślił jednak ciągle o dalszém kształceniu się; skrzętnie zbierany grosz na guwernerce miał dostarczyć środków na podróż do uniwersytetu. O mało wszystkie te projekta zniszczone nie zostały; rozgniewany za coś na niego assesor (urzędnik policyjny) pogroził odpowiedzialnością za uczenie dzieci bez rządowego pozwolenia, sztraf przechodzący szczupły zasób młodego człowieka, wygnanie może, zagrażało znowu·

Z pomocą dobrych ludzi uniknąwszy tego niebeśpieczeństwa, gdy bliżej żadnego nie było uniwersytetu, Tomaszewicz ruszył do Moskwy. Znalazł tam liczne koło rodaków; na tysiąc uczniów w uniwersytecie trzystu było Polaków, a były to lata dla tej młodzieży najszczęśliwsze. Granowski i kilku innych profesorów oświadczało się wtenczas z ideami liberalnemi, liczne kółka literackie istniały między młodzieżą moskiewską, nasi mniej niż zwykle śledzeni, większej też używali swobody Braterstwo było ogólne, pracowano, marząc po młodemu o wielkich zmianach w przyszłości. Tomaszewicz jako starszy i już więzieniem doświadczony, nabrał prędko wpływu między kolegami i nie jedno gorętsze a nierozważne przedsięwzięcie hamował, wezwany zaś do wykładania historji i literatury polskiej, jednemu z możnych a bardzo zacnych młodzieńców naszych, widział i byt swój choć na czas zapewniony. Uczył się dalej nauk przyrodzonych. Po dwóch latach w Moskwie spędzonych, przyjechał z jednym z kolegów na wakacje do Wilna, ale niespodzianie kolega ten do Permu wysłany został, jemu zaś z Wilna wydalać się nie pozwolono; był to skutek jakiegoś podejrzenia czy donosu. Zaledwo po cztérech miesiącach mógł znowu do Moskwy przyjechać ale jak gdyby przeznaczeniem jego było, że nigdy nauk skończyć nie miał, wkrótce z żandarmami do Wilna odwiezionym został. Dowiedział się w parę lat poźniej że powodem do tego była daleka znajomość z kilku moskiewskimi studentami których za literackie kółko rozesłano także. Znowu więc, ze złamaną przyszłością, z zamkniętą wszelką przed sobą drogą, znalazł się w Wilnie. Znany już z pierwszych prac literackich wziął się teraz za pióro, dla utrzymania życia; tłumaczył z Filipowiczem *Chemję popularną Steckhardta*, wydał osobną broszurę *O chemicznej terminologji polskiej*, pisał korespondencje do różnych polskich dzienników, naresztę wziął udział w przedsięwziętym przez księgarza Orgelbrandta *Słowniku języka polskiego*.

Złamanemu wielu przeciwnościamu i słabemu na zdrowiu, łaska Boża dała spotkać w tym czasie wyższe niewieście serce; poślubiwszy Matyldę Karpowiczównę rodem Nowogródziankę, znalazł w niej najwierniejszą przyjaciółkę i osłodę w wielkiém nieszczęściu które go jeszcze spotkać miało. Zaczął słabnąć na wzroku, a choroba ta postępując szybko, prędko mu zupełném zagroziła ociemnieniem. Troskliwość miejscowych lekarzy zaradzić temu nie mogła; pojechał do Warszawy, ale tam z powodu zaziębienia zupełnie już wzrok utracił; szukając ratunku za granicą, w rozmaitych klinikach oftalmicznych, przybył naresztę do Paryża 1859 r. i tu ostatnie lata życia spędził. Otoczyło go życzliwe grono rodaków, miał nawet pociechę usłyszeć głos pożegnanego przed tzydziestą latami brata, ale towarzysząca mu żona była prawdziwym jego aniołem stróżem i w kochającém sercu znalazła skarby czułości które mu często i światło dzienne zastąpić umiały. Zajęty zawsze wszystkiém co się w kraju działo, jej nie tylko listy ale czasem nawet artykuły do pism na wychodztwie wychodzących preznaczone, dyktował. Gdyby nie pod moskiewskim urodził się był rządem, zapewne wrodzone zdolności daleko świetniej i pożyteczniej rozwinąćby się mogły; takim jak był, żywot jego jest wiernym obrazem losów całych pokoleń na ziemi naszej. Umarł w Paryżu, d. 14 Maja 1861 roku, pogrzebiony na cmentarzu Montmartre. Nazajutz po jego zgonie, straciła przytomność nmysłu nie mogąca przenieść tej straty żona, a dnia 25 Maja i serce jej bić przestało. Spoczywa obok męża, w emigracyjnych grobach polskich.

Literaci wileńscy powzięli myśl wydania pisma zbiorowego na jego korzyść, pod tytułem: *Po ziarnie*, twórcą pomysłu był Ludwik Kondratowicz (Syrokomla), wyko-

naniem zajął się Maurycy Krupowicz; wielu pisarzy w kraju pośpieszyło wziąść w tém udział.

TRZCIŃSKI Fracinszek syn Seweryna rotmistrza konfederacji barskiej, w województwie mazowieckiém, urodził się 1786 r. ; nauki pobierał w konwikcie Pijarów w Warszawie. W 1806 r. wstąpił do wojska narodowego i odbył kampanję tego roku; po zawartym pokoju w Tylży opuścił szeregi, i osiadłszy na wsi oddał się usługom obywatelskim, i do licznych urzędów był wybierany. W 1811 r. kiedy się zanosiło na wojnę z Moskwą, wszedł znowu do wojska, i kampanję 1812 r. odbył w kompanji woltyżerów 14° pułku piechoty, dowodzonej prez Jana Ledóchowskiego, składając dowody męztwa i przytomności. Po upadku Napoleona wrócił znowu do swojej zagrody, a zaufaniem ziomków powołany na sędziego pokoju, radcę wojewódzkiego, a w końcu posła na sejm, w 1825 roku otrzymał od współobywateli bogaty pierścień jako oznakę ich powszechnego szacunku. Wtajemniczony w działanie twórców powstania 1830 roku, pomagał im szczérze, a po nocy 29 Listopada wstąpił raz jeszcze do wojska jako major pułku Mazurów. Bił się pod Grochowem; spadłszy z konia wśród szarży odbywanej po lodzie, ciężko chorował, i nie mogąc dalej orężem służyć Ojczyznie, starał się jej być użytecznym na ławach sejmowych do których był powołany. Dostawszy się z innymi do Francji, myślić o sprawie narodowej nie przestał; po założeniu szkoły batigniolskiej w Paryżu, był jednym z pierwszych członków jej Rady; w 1848 r. pośpieszył do Poznania, a poźniej do Krakowa, gdzie wezwany do Komitetu narodowego, podczas bombardowania miasta okazał odwagę i krew zimną. Jak ogólnie w kraju był szanowany, dowodzi najlepiej ten fakt, że nie wiele przed jego zgonem, dwóch obywateli z Królestwa, których ojcowie mając spór graniczny przed 1830 rokiem zdali się byli na jego sąd polubowny, gdy powstanie załatwić sprawy nie pozwoliło, przybyli do Paryża, prosząc go, aby ją po trzydziestu latach rozstrzygnął, i oświadczając, że na jego wyroku poprzestaną. Umarł przykładnie, jak Chrześcijanin, w Fontainebleau, dnia 17 Sierpnia 1861 r.

UBYSZ Wincenty urodził się w Sandomierskiém 1783 roku, z bogatej szlacheckiej rodziny; młodziutkim będąc chłopcem przedarł się przez pilnujące granic nieprzyjacielskie kordony i dostawszy się do Włoch, walczył pod Henrykiem Dąbrowskim, dzieląc niebeśpieczeństwa i koleje legjonów naszych; widziały go wszystkie prawie pobojowiska Europy, bo we wszystkich niemal kampanjach Napoleona brał udział. Po upadku Cesarza wrócił do kraju, i osiadł w kaliskiém, gdzie żonę i dwóch synów zostawił. Rok 1830 ujrzał go znowu pod sztandarami narodowemi; straciwszy rękę, ozdobiony krzyżem polskim, w stopniu majora dostał się na emigrację. Zacny i od wszystkich szanowany, z postacią kasztelana dawnych czasów łączył wielką dobroć, uprzejmość, pogodę umysłu. Ostatnie lata życia spędził w domu ś. Kazimierza w Paryżu, gdzie spokojny, chrześcijański zgon jego, był godném zakończeniem twardego a poświęconego ojczyznie żywota. Umarł dnia 20 Stycznia 1865 roku, licząc wieku lat 82.

WĄSOWICZ Hr. Dunin Stanisław jenerał wojsk polskich, urodził się na Wołyniu wchwili prawie piérwszego rożbioru kraju, bo w 1773 roku. Świadek późniejszych

jego nieszczęść, brał czynny udział w następnych przed ostatecznym rozbiorem usiłowaniach podźwignienia Ojczyzny. Zaraz po utworzeniu Księztwa warszawskiego wszedł do wojska polskiego i już w 1809 r. jako porucznik był adjutantem przy jenerale Krasińskim. Następnego roku, z pułku drugiego jazdy przeszedł do dziesiątego huzarów, skąd w 1811 r. przeniesionym został do pierwszego pułku strzelców gwardji cesarskiej i jako oficer przyboczny Cesarza Napoleona I w stopniu kapitana znajdował się we wszystkich prawie bitwach 1812 roku. Po klęsce nad Berezyną on to z księciem Wicencji towarzyszył Napoleonowi od Smorgoń do Paryża i ozdobionym został przez niego krzyżem legji honorowej; w 1813 będąc już dowódzcą szwadronu otrzymał wojenny krzyż polski, a od Króla neapolitańskiego, order Zjednoczenia (Réunion). W 1814 r. podniesiony na stopień pułkownika i oficera legji honorowej; w ostatnich kampanjach Napoleona walczył pod Lützen, Droznem, Bauzen, Hanau, Montmirail, Fère Champenoise i t.d. i opuścił służbę francuzką dopiéro po odjeździe Cesarza na wyspę Elbę. Przy pożegnaniu otrzymał od niego następujące pismo :

«Panie pułkowniku Wąsowiczu! Nie przestałeś mi dawać dowodów twojej gorliwości i czynności w służbie jaką spełniałeś przy mnie podczas ostatnich kampanji. Z przyjemnością przychodzi mi dzisiaj oświadczyć ci moje zadowolnienie. W liście tym, to jedynie mając na celu, proszę Boga aby cię zawsze zachował w swojej świętej pieczy. Fontainebleau. 4 Kwietnia 1814 r. NAPOLEON.»

Dnia 14 Września 1814 roku wstąpił do wojska polskiego, ale po trzech latach opuścił służbę nie mogąc znieść kapryśnej władzy W. K. Konstantego. W 1820 r. poślubił Annę Hr. Tyszkiewicz, rozwiedzioną Potocką i zamieszkał Willanów pod Warszawą, a gdy wybuchło powstanie narodowe 1830 r: mianowany jenerałem brygady walczył za ojczyznę. Po jego upadku przeniósł się do Galicji, w 1853 r. zamieszkał Paryż, i tu umarł, dnia 30 Czerwca 1864 roku.

WOŁODKOWICZ Aleksander, urodził się w roku 1803 w Dyksznianach niedaleko Radoszkowicz w gubernji mińskiej, z Józefa Wołodkowicza i Tyszkiewiczówny siostry Michała Tyszkiewicza. Za czasów Wielkiego Księcia Konstantego, służył w wojsku litewsko-rossyjskiém w kiryssjerach w Warszawie. Opuściwszy służbę przebywał w Litwie, gdy go zaskoczyły wypadki 1831. Stanisław Radziszewski z Lebiedziewa i Michał Chodźko z Krzywicz, rozpoczęli powstanie w Jlji, w Wilejce i w Mołodecznie. Dowiedziawszy się o tém Wołodkowicz, przybył do szwagra swego Hipolita Gieczewicza do Wiazynia, i złączywszy się z innymi powstańcami działał do chwili wejścia Giełguda do Prus, skąd przybył do Francji w roku 1832. Poźniej podróżował po Anglji, Szwecji, Włoszech i Niemczech, i umarł w Paryżu, 19 Marca 1862 roku. Pochowany na cmentarzu Montmartre.

ZAKRZEWSKI Leonard, podporucznik 2 pułku linjowego wojsk polskich, po upadku powstania 1831 roku dostał się do Francji; umarł w Pau, dnia 8 Stycznia 1861 roku, licząc wieku lat 53.

ZAKRZEWSKI Pomian Walenty, filolog, tłumacz, współpracownik pism publicznych, w roku 1836 więziony w cytadeli warszawskiej, dostawszy się za granicę

klęsk ojczyzny i społeczeństwa nie mógł bez rozpaczy przeżyć, i zakończył życie w Paryżu, w 1862 roku. C. N.

ZALESKI Jan, urodził się na Wołyniu w Zozulińcach wsi położonej w konstantynowskim powiecie, w parę lat po upadku listopadowego powstania. Sprawa Szymona Konarskiego napełniająca patriotami więzienia, szubienice stawiane w Kijowie, męki i wygnanie nie jednego z ludzi szanowanych w rodzicielskim domu, to były pierwsze wrażenia któremi karmiła się dusza dziecięcia; przez całe też życie gorąca miłość Polski była główną jego namiętnością. Wszedłszy do uniwersytetu w Kijowie, należał tam do nielicznego zrazu grona młodzieży, które cel narodowy za główną podstawę kształcenia się obrało, a które wzrastając ciągle, stanowczy wpływ w końcu na całą młodzież Rusi wywarło. Ukończywszy nauki medyczne w 1858 roku, osiadł jako lekarz na Wołyniu, i umiał w okolicy swojej zjednać miłość i szacunek. Wyjechawszy w rok poźniej za granicę dla dalszego kształcenia się w medycynie i zapobieżenia rozwijaniu się suchot, których zarody czuł w piersiach, wrócił stamtąd z sercem rozgrzaném nadziejami jakie budziła w imię narodowości prowadzona wojna włoska. Nastały wypadki 1861 roku, i szybko po nich rozwijająca się wewnętrzna narodowa organizacja; oddał się Jan tym pracom wyłącznie, myśląc i marząc już tylko o przyszłej walce. Rozważniejszym co go wstrzymywać chcieli, powtarzał: « Biada temu, kto daje Ojczyznie pół duszy. » Z jego też strony było to oddanie się zupełnie bezinteresowném; chory i stan swój znający doskonale, niczego dla siebie nie chciał, nie szukał — resztki życia i sił oddając tam skąd wierzył że wyjdzie zbawienie ojczyzny. Na pierwszy odgłos wybuchu 1863 roku, choć coraz mocniej chory, pośpieszył do Krakowa, aby się jako lekarz do oddziału powstańczego zaciągnąć — siły go zawiodły, musiał pozostać w Krakowie, gdzie się stał jednym z najczynniejszych członków Rady lekarskiej. Lato całe zeszło mu na opatrywaniu rannych przybywających z pola walki. Z nadejściem jesieni choroba wzmagać się zaczęła, wyjechał więc do Konstantynopola, z wysyłanym tam wtenczas ajentem Rządu narodowego, myśląc, że spędzona na południu zima pozwoli mu na wiosnę wejść do legjonu który w księstwach naddunajskich spodziewano się sformować, przeznaczając go na Ruś. Nadzieje wszystkie zawiodły — upadek sprawy, której był całą duszą oddany, strawił resztę sił. W Sierpniu 1864 roku już prawie umierający przybył do Florencji, ostatnie też tygodnie jakie tam spędził były tylko długiém boleśnem konaniem, ale duch jego prawdziwie wyaniełał. Widząc zgon bliski i ze ścisłością lekarza oceniając postępy choroby, spokojnie i z uśmiechem patrzał w wieczność, coraz goręcej garnąc się do Boga. Miał koło siebie kilku przyjaciół, a dał mu Pan Bóg, że i niewieście polskie serca znalazły się przy jego łożu. Ostatnie dni były budujące dla wszystkich, pogodą, jasnością, podniesieniem religijném. Parę dni przed skonaniem opatrzony wszystkiemi sakramentami, gdy czuł już ostatnią zbliżającą się chwilę, prosił przytomnych aby głośno modlitwę za konających odmówić chcieli, i powtarzając ją za niemi, z wyrazem modlitwy na ustach ducha Bogu oddał, dnia 17 Października 1864 roku w 31 roku życia. Należał do tych ludzi czynnych, a gotowość poświęcenia łączących z zupełném zaprzaniem się siebie, którzy czystością swego ducha opromienili ostatnie nieszczęśliwe usiłowania narodu.

ZALESKI Józef, syn Feliksa majora wojsk polskich i Heleny Katerlanki Zaleskich, urodził się w Warszawie 1789 roku. Niemowlęciem straciwszy matkę, wychowywał się przy mamce i piastunce swojej na Pradze, a rzeź jej przez Suworowa była pierszém na całe życie niezapomnianém wrażeniem dziecięcia. Przejechawszy z ojcem na Wołyń, szkoły odbywał u O. O. Bazyljanów w Lubarze, wakacje spędzał u ojca swego w Piatce, pod Żytomierzem. W 1809 r. przebrawszy się manowcami do Galicji powstającej za wejściem wojsk polskich pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego, wstąpił do pułku Strzyżewskiego i walczył z Austryjakami; kampanję 1812 roku odbył w 5 pułku ułanów, pod dowództwem Tarnowskiego; w 1813 i 1814 roku walczył pod Lipskiem i we wszystkich bitwach nad Renem, nareszcie na Montmartre pod Paryżem ranny w nogę i do szpitalu odwieziony, oparł się amputacji którą lekarze za konieczną uważali, a po kilku miesiącach szczęśliwie wyleczony, ozdobiony krzyżem legji honorowej, wrócił do Warszawy i w stopniu porucznika (1815 roku)do pułku gwardji konnej pod Kurnatowskim na nowo się zaciągnął. W 1817 roku opuścił służbę wojskową, a ożeniwszy się z Józefą Pilichowską, córką sędziego apelacyjnego w Warszawie, stale na Ukrainie osiadł.

Złożywszy oręż, obyczajem szlachty polskiej jął się pługa, a chodząc z razu po dzierżawach, zapomożony w końcu przez krewnych, nabył nareszcie na dziedzictwo wieś Pietruszki, pod Kijowem; tam kilkorga doczekał się dzieci. Nie zerwał jednak stosunków z Warszawą, odwiedzał ją czasem, i w jednej z tych podróży, latem 1830 roku od Maurycego Mochnackiego i Bohdana Zaleskiego którego w 1816 roku młodym chłopięciem był spotkał a wtenczas już jak brata kochał, dowiedział się o gotującém się powstaniu. Wróciwszy na Ukrainę, brał odtąd udział w naradach obywatelskich odbywających się u Wincentego Tyszkiewicza w Oczeretnie, w celu przygotowania się także; jako dawny wojskowy, miał oddział osobny zebrać i połączyć się z Karolem Rożyckim. Nie udało mu się jak innym, z powodu mylnych wskazówek i wiadomości emissarjuszów i musiał z Dwernickim do Galicji się schronić. Po ostatecznym upadku powstania, w końcu 1831 roku, już na tułactwie, spotkał się znowu we Lwowie z Bohdanem Zaleskim, i odtąd postanowili dzielić z sobą wspólne losy. Raz jednak jeszcze rozstać się im przyszło; dla urządzenia interesów domowych pozostał Józef na czas jakiś w Galicji, a Bohdan podążył do Paryża, gdzie oczekiwać miał brata. Nadeszła nieszczęśliwie pomyślana wyprawa partyzancka Zaliwskiego; przybyło do Galicji w tym celu wielu rodaków z Francji; Józef z innymi miał udział w tych usiłowaniach; po nieuniknionych zawodach, przy rozbudzonej czujności władz austryjackich, rewizjach i prześladowaniach, ukrywając się czas jakiś po domach obywatelskich a nawet w lasach, szczęśliwie uniknąwszy więzienia, opuścił w końcu Galicję i w 1833 roku przybył do Paryża, gdzie znalazłszy Bohdana, już się na ostatnich lat trzydzieści żywota nierozerwanie z nim połączył.

Do wszystkich obywatelskich i domowych uczuć zdobiących jego duszę, rzewną a bujną jak rodzinna mu Ukraina, przybyła w tej epoce życia gorąca jeszcze miłość Boża; do zasług przed ojczyzną, wszystkie z kolei chrześcijańskie cnoty: głęboka pokora, czynne miłosierdzie, stała i niezmordowana służba ludziom, a najżarliwsza pobożność. Znękany nieszczęściami ojczyzny, dotknięty stratą kilkorga dzieci, znalazł w Paryżu grono dusz wyższych, wśród wszystkich cierpień tułactwa garnących się żywo do Boga. Ukochany jego Bohdan był między niemi; Adam Mickiewicz, Stefan Witwicki, Bohdan Jański, Antoni Gorecki, Jgnacy Domejko, Cezary Plater,

składali wtenczas tak zwane towarzystwo bogomodlców; Józef prędko do tego dostroił się choru, a raz ubłogosławiona dusza już nigdy z tej drogi nie zeszła. W rozgrzaniu religijném, bracia Zalescy prędko opuścili szumny Paryż, i kilka lat przemieszkali jak rzeczywiści pustelnicy, w Robertsau, w Molscheim, w górach Vosges, a potém w Endoume w Prowancji, nareszcie w Fontainebleau; wybiegając tylko czasami dla widzenia krewnych z kraju, to nad Ren, to do Rzymu. Bohdan w tym czasie najwyższe swoje pieśni wyśpiewał; Józef zawiadujący wyłącznie małém gospodarstwem, był zarazem powiernikiem, słuchaczem, kopistą brata, i sam ze śpiewności jego rymów nie mało zachwycił. Spokój ich wtenczas pomięszał przyjazd do Paryża Andrzeja Towiańskiego; najbliższe im dusze dały się pociągnąć, oni jednak, choć sercem przecierpieli wiele, wytrwali, i na gruncie czysto kościelnym utrzymali się niezachwiani. Na ukojenie rozdartych serc, wybrali się nareszcie razem na upragnioną od dawna dla obu pielgrzymkę do Ziemi Świętej. (w 1842 roku). Gdy napowrót wrócili, znaleźli nową pociechę w przyjaźni ze świętobliwym o. Florjanem Topolskim zakonu kapucyńskiego,który po odbytej missji w Jndjach wrócił był umrzeć do Paryża; prócz tego, odprawiane często wspólnie rekolekcje w klasztorach Trapistów francuzkich, krzepiły jeszcze dusze w tęsknotach i boleściach wygnania.

Doprowadziwszy do skutku ze Stefanem Witwickim w 1846 roku małżeństwo Bohdana z panną Zofją Rozengart, Józef pozostał nieodstępnym członkiem tej powiększonej rodziny, będącej dla niego jakby własną jego rodziną; pomocnik w zachodach gospodarskich, piastun przybywających dzieci, przypominał zaiste świętego patryjarchę, patrona swojego.

Z 1848 rokiem rozbudzone nadzieje nasze, z cichego ustronia wywołały obu braci; Bohdan udał się z delegacją na seim pragski, a Józef ku Księztwu poznańskiemu pośpieszył, myśląc raz jeszcze z orężem w ręku służyć ojczyznie; po doznanym zawodzie, wrócili znowu do Fontainebleau, gdzie Józef dawniejsze ciche prowadził życie, służąc i pokój rozlewając w domu, a Francuzów budując czynném swém w towarzystwie ś. Wicentego a Paulo miłosierdziem, i pobożnością. Gdy dziatwa Bohdana podrastała, dla wychowania jej, przenieśli się wszyscy do Paryża, skąd Józef w czasie wielkiego postu co roku prawie pielgrzymki do Rzymu odbywał; gotów życie za sprawę kościoła poświęcić, a pragnąc tego dla siebie, chciał wejść do szczupłych papiezkich zastępów, i usługi swe w Rzymie ofiarował; ale Ojciec Święty, jakkolwiek wdzięcznie ofiarę starca przyjął, korzystać z niej nie chciał; powrócił więc Józef do swoich.

Rozradowany kierunkiem ducha narodowego w wypadkach krajowych 1861 roku, modlił się o łaskę poświęcenia się raz jeszcze za ojczyznę; po wybuchnięciu ostatniego powstania, pomimo wieku gotów był tam się udać; i gdyby wojna szersze przybrała rozmiary i miejsce w niej mogło się znaleźć dla starca, który partyzanckiej po lasach walki prowadzić nie był w stanie, byłby tam pewno pośpieszył, bo sam do wszelkiej ofiary w każdej chwili nie tylko był gotów, ale jej pragnął dla siebie, nosząc w duszy to przekonanie, że wiele ich jeszcze na okup sprawiedliwości Bożej złożyć powinniśmy. Razem z nieszczęściami krajowemi dotknęła go jeszcze boleść domowa. Syn którego w kraju zostawił, w kijowskiej cytadeli zamkniętym został, i nic o losie jego dowiedzieć się nie mógł; ale ubłogosławiona dusza z chrześciańskiém poddaniem się i tę boleść znosiła. Siły powoli opuszczać go jednak zaczęły; poczuł, że wieczność już się przed nim otwiera: z pobożnością świętego

Hjeronima przyjąwszy ostatnie Sakramenta, gdy nad spodziewanie swoje zdawał się jeszcze do sił powracać, z pewną trwogą powiedział: « Bylem nie stracił smaku rajskiego, któregom już zakosztował! » W pięć dni poźniej, widocznie błogosławioném widzeniem nawiedzony, rozpływając się w pokorze i szczęściu, wołał: « Panie! jam tego nie godzien! » i tak rozpromieniony, Bogu ducha oddał, dnia 8 Lutego 1864 roku. Zwłoki jego spoczywają na cmentarném wzgórzu Montmartre, które przed pół wiekiem krwią swoją był zbroczył. Po śmierci świętobliwego męża dowiedziano się zaledwo o wielu łzach przez niego otartych, o wielu uczynkach cichego a nie wyczerpanego miłosierdzia.

ŻEBROWSKI Stanisław, urodził się w województwie augustowskiém, 1836 roku, i służył w wojsku moskiewskiém; opuściwszy je w czasie ostatniego powstania odznaczył się w kilku potyczkach, i po skończonej walce razem z innymi dostał się za granicę. Osłabione zdrowie wymagało ratunku; niedobrze zasklepione rany, leczenia; udał się w tym celu do wód Baréges, w górach Pyrenejskich, ale już stamtąd nie wrócił. Umarł dnia 21 Października 1865 roku.

ŻELIGOWSKI Edward Witołd, urodził się na Litwie d. 20 Lipca 1816 r. w Marjampolu, wiosce dziedzicznej rodziców, położonej w powiecie wilejskim. Ojciec jego Juljan odznaczał się głębokim umysłem, matka Marjanna, z domu Lubańska, szczerą i rzewną pobożnością; oboje w skutku rozlicznych nieszczęść do szczupłego przywiedzeni funduszu, całą usilność zwrócili ku temu, aby dzieciom o ile można najstaranniejsze dać wychowanie. Po skasowaniu uniwersytetu wileńskiego, za najlepszy w kraju był miany, uniwersytet dorpacki; tam też po skończeniu nauk szkolnych wysłali Żeligowscy swych synów, z których najstarszym był Edward. Uniwersytet ten nie mógł zastąpić wyższej szkoły wileńskiej; założony dla nadbaltyckich prowincji, mający między professorami samych tylko Niemców, otaczał młodzież naszą zupełnie obcym elementem i uczył patrzyć na świat i rzeczy ze stanowiska często tradycjom i uczuciom narodowym sprzecznego; przekładano go jednak wtenczas nad szkoły czysto rossyjskie, a młodzież we własném uczuciu narodowém musiała szukać tarczy przeciw obcym wpływom. Przy zwiększonej trochę jej liczbie, zawiązała się we właściwą niemieckim uniwersytetom konfraternję, *landsmanschaftem* zwaną; poddała się wprawdzie ogólnym między młodzieżą niemiecką przepisom i prawom, ale przy wszystkich studenckich obchodach zaprowadziła pieśni polskie, i zwolna, odrębną zupełnie a spojną między sobą utworzyła całość. Tak było, kiedy Edward w 1835 roku tam przybył. Bogata natura, połączona z czułem sercem i bujną wyobraźnią, a wielką niezależnością charakteru, zjednała mu prędko szerszy wpływ między kolegami; stał się ogniskiem kółka, które przeciw niemieckim zwyczajom powstawać, a do głębszych i poważniejszych prac skłaniać młodzież zaczęło; gdy zaś między młodymi do gorętszych z tego powodu walk przyszło, odkrył się w nim talent satyryczny, który w dalszém życiu rozlicznemi jątrzony cierpieniami, narobił mu wielu nieprzyjaciół, aż póki sam w boleści żądła swego nie stracił. Młodzież polska na jednej tylko pracy umysłowej poprzestać wtenczas nie mogła; była to epoka zmów tajnych i patriotycznych stowarzyszeń. Nurtując kraj od dawna, w 1836 i 37 roku pokryły go one siecią swoją, obejmując nie tylko całą prawie

młodzież ale jeszcze wszystkie gorętsze serca starszego pokolenia; były, że tak powiedzieć można, w powietrzu. Doszło to i do Dorpatu. Kilka stowarzyszeń powstało w nielicznóm gronie młodzieży tam polskiej; miały one na celu: w szerszych kółkach, pomaganie biednym kolegom, moralność i naukę; w wyższém już gronie: pielęgnowanie narodowości i kształcenie się do przyszłych usług ojczyźnie, a między samymi założycielami, utrzymywanie stosunków ze związkiem młodzieży wileńskiej, sprowadzanie do kraju książek przez emigrację naszą wydawanych, i t. p. Oddano się temu z całym młodzieńczym zapałem, a miano przejść wszystkie koleje które dla tego pokolenia zgotowane były. Zaledwo lat parę ubiegło, kiedy rozpoczęte w Wilnie nad Szymonem Konarskim śledztwo w 1838 roku, poprowadziło do wykrycia i skromnych dorpackich związków. Kilkunastu przyjaciół Edwarda uwięziono i odesłano do Wilna; jego i kilku innych przetrzymawszy czas jakiś w uniwersyteckiém więzieniu, oddano pod dozór policji, zabroniwszy wyjeżdżać z Dorpatu. Śledztwo w Wilnie po rozstrzelaniu Konarskiego (15 Lutego 1839 roku) ciągnęło się jeszcze nad młodzieżą dorpacką przez trzy lata. Edward, cały ten czas, w niepokoju o los kolegów i swój własny, w uniwersyteckiej mieścinie przebył, i choć już dawno stopień naukowy otrzymał, zaledwo w 1842 roku po rozesłaniu wspólkolegów na Sybir i do wielkorossyjskich gubernji, mógł do domu powrócić.

Siedem lat spędzonych w Dorpacie wpłynęło stanowczo na kierunek jego umysłu; polubił pisarzy i filozofję niemiecką, której wiele czasu poświęcał, a poźniejsze prace jego zdradzały zamiłowanie Jean Paula Richtera i Hejnego, z którym miał nawet pewne powinowactwo. Tłumaczył niektóre jego pieśni i nieraz naśladował. Cała myśl jednak zwróconą była ku sprawie ojczystej i potrzebom społeczności naszej. Znalazłszy się na Litwie po boleśnej katastrofie 1838-1842 roku, która niezatarte w duszach zostawiła ślady, przypatrywał się pilnie stanowi społeczeństwa naszego i jeden z pierwszych przekonawszy się o złych następstwach tajnych stowarzyszeń do których często zupełnie nieprzygotowani wchodzili, starał się od nich odprowadzać młodzież, pożyteczniejsze wskazując jej drogi, i osiadłszy w Wilnie, nie jedną pod tym względem rzetelną oddał usługę. Należał do grona budzącego nowy ruch literacki; ulotne jego pisma i pieśni obiegały po rękach młodzieży, do niektórych Moniuszko muzykę dorabiał, a osobisty stosunek, żywe i gorące słowo z jakiém do młodych serc trafiać umiał, jednało mu wzrastające pokolenie, które od niego poważniejsze tylko zapatrywanie się na życie i jego cele wynosiło. W 1845 r. wyszedł pod imieniem Antoniego Sowy, obszerniejszy jego utwór: *Iordan, fantazja dramatyczna.* Pod względem sztuki bardzo wiele zostawiająca do życzenia, książeczka ta zawierała obok miejsc lirycznych i wielu szlachetnych myśli, nie jeden sarkazm przeciw społeczeństwu szlacheckiemu wymierzony, a przyjęta przez młodzież z zapałem, imię autora między nią zrobiła popularném. Bardzo prędko drugiego doczekała się wydania. Młody pisarz, wobec tego powodzenia z zapałem wziął się do pracy, wygotował kilka rękopismów, jako to prozą: *Wspomnienia z życia i grobu*, w dwóch, i *Szkielety* w jednym tomie, i obszerną rzecz wierszem p. t. *Zorski.* Była to druga część Jordana, tylko że fantazja rozrosła się już tutaj w całkowity dramat; młodzieniec stojący tam u wrót życia, tu już się przedstawiał czytelnikom w zapasach z niém, wśród jego zadań i obowiązków; tłem dramatu była zawsze społeczność nasza, a głównym jej węzłem kwestja włościańska. Cenzura drukować pozwoliła. Pierwsze arkusze już były pod prassą, kiedy jenerał-gubernator czcionki rozrzucić i rękopisma zabrać kazał; Żeligowskiego, za Jordana, drukowanego już

dwa razy, wysłano do Petrozawodska, leżącego nad Onegą. Było to w początkach 1851 roku. Rząd moskiewski rozsyłał wtenczas do rozmaitych gubernji w głębi Rossji położonych, całe kółko ludzi krzątających się około piśmiennictwa naszego.

Praca lat kilku, nadzieje na przyszłość, wszystko co z taką usilnością powoli budował, runęło razem dla biédnego wygnańca. Sam jeden, bez środków do życia, znalazł się pod mroźném niebem, nad brzegami północnego jeziora. Długie dwa lata spędzić mu tam przyszło, a zdrowie odebrało wtenczas jeden z tych ciosów które się już naprawić nie dają. Tymczasem, kilku dawnych przyjaciół Żeligowskiego, wysłanych znacznie pierwej do Orenburga, już zdobyło tam sobie pewne moralne stanowisko; dowiedziawszy się o jego chorobie, umyślili sprowadzić go nad Urał, gdzieby przynajmniej cieplejsze niebo i kilka serc blizkich znalazł. Zgodził się na to, a władze miejscowe dopomogły. Otrzymano zmianę miejsca dla niego i w 1853 roku przyjechał z Petrozawodska do Orenburga, razem z księciem Sergjuszem Trubeckim, także przez Mikołaja prześladowanym, którego wtenczas za wstawieniem się wielu osób, jako podoficera do orenburskich bataljonów przemieszczono. Myślił, że swobodniej odetchnie, ale doniesiono Carowi, że obaj *przestępcy* przyjechali razem, że ich dobrze przyjęto; kazał ich zaraz rozesłać : Trubeckiego do stepu, Żeligowskiego do Wiatki. Rozkaz znalazł go dotkniętego obłóżną chorobą; jenerał Perowski na własną odpowiedzialność pozwolił mu pozostać czas jakiś w Orenburgu, a w skutek jego starań, zmieniono Wiatkę na Ufę, dokąd w Styczniu 1854 r. wyjechać musiał. Dwa lata znowu przeszły mu tam na usiłowaniach w celu zdobycia jakiegokolwiek bądź stanowiska. Poprawiwszy nieco zdrowie, w 1856 r. przyjętym został do służby cywilnej. Podczas pobytu swojego w naduralskim kraju, prawdziwą był ozdobą wygnańczego grona, a nie jeden od niego siłę moralną i istotne wyniósł pokrzepienie. Między żołnierzami, znajdujący się wtenczas w orenburskim korpusie Taras Szewczenko, bardzo wysoko go cenił, niektóre jego pieśni tłumaczył i powziął ku niemu tę szczerą przyjaźń jaką do końca życia zachował. W towarzystwach rossyjskich umiał też zjednać dla siebie ogólne poszanowanie; uczono się u niego po polsku, a nieraz do jego nawet uciekano się rady. W początkach 1858 roku otrzymał pozwolenie powrotu do domu i udał się tam przez Petersburg, bo chciał skorzystać z pozabieranych w Rossji stosunków, żeby wyrobić sobie jakie stanowisko, któreby mu użyteczniejszym krajowi być pozwoliło. Nie mogąc wydostać zabranych dawniej rękopismów, a chcąc przypomnieć się rodakom, wydał wtenczas tomik poezji i powieść pod tytułem : *Dziś i wczoraj*, zawsze pod imieniem Antoniego Sowy. Powieści tej, mającej kilka pięknych i z talentem naszkicowanych postaci, szczególniej jedną niewieścią, brakowało zupełnie na całości, na wykończeniu, grzeszyła jeszcze w obec społeczności naszej zbyteczną czasem nagością opisów właściwą nieraz pisarzom niemieckim, a dziewiczości mowy naszej przeciwną; poezje, obok pięknych i szczytnych miejsc, zawierały utwory najrozmaitszych chwil udręczonego życia, nie raz i takie, które na widok publiczny wyjść nie były powinny. Gdyby się był wstrzymał z ich wydaniem, a piérwej rodzinném odetchnął powietrzem i rozpatrzył się w społeczności, zapewne część ich znaczna zostałaby w tece autora; są jednak we wszystkich tych książeczkach ślady i prawdziwego talentu i wyższej, bardzo szlachetnej a tkliwej i zbolałej nieźmiernie natury.

Początek panowania Aleksandra II° był epoką reform dla Rossji; usposobienie dla nas w stolicy zdawało się być lepsze, spodziewano się zmiany systematu. Żeligowski umyślił z tego skorzystać i utworzyć organ, któryby zwolna opinją krajową

mógł kierować. Petersburg w tym czasie zdawał się być najstosowniejszém dla tego miejscem. Cenzura mniej tam była podejrzliwą, blizkość najwyższej władzy zdawała się zapowiadać beśpieczeństwo od dotkliwego często prześladowania władz niższych, a łatwiejsze zapoznanie się z zapowiadanemi i już rozpoczynającemi się reformami. Kilku ludzi dobrej woli przyrzekło mu pomoc. Z wielką godnością napisany przez Żeligowskiego programat, podanym był Cesarzowi; przyjaciele Rossjanie poparli go; w końcu Maja 1858 r. rząd pozwolenia na wydawanie *Słowa* udzielił. Kilka miesięcy przeszło na zapewnieniu sobie współpracowników i korespondentów, na zebraniu funduszów, sprowadzeniu pras i czcionek. Wynaleziony przez Żeligowskiego Józefat Ohryzko wystąpił jako odpowiedzialny redaktor: ludzie dobrej woli skupili się około tego przedsięwzięcia. Pismo z początkiem 1859 r. zaczęło wychodzić i od razu najlepiej przez naszą publiczność przyjętém zostało. Jak twórcą, tak też i duszą jego był Żeligowski. Komitety włościańskie pracowały już wtenczas nad uregulowaniem stosunków rolniczych, miano nadzieję że *Słowo* przyczyni się do oświecenia w tej mierze opinji, a przez to choć pośrednio ułatwi rozstrzygnienie tej tak ważnej kwestji. Redaktorowie myślili o tém, do prac tego rodzaju wzywali, otwierając dla nich kolumny dziennika: ale zaledwo czternasty numer pisma wyszedł, kiedy Ohryzko uwięziony został, a « Slowo » zamknięto, w skutek jakoby wydrukowanej w niém czysto naukowej korespondencji Lelewela. Dowiedziono rządowi niesłuszności zarzutu; kazał Ohryzkę uwolnić, przyrzekł że za rok znowu na wydawanie pisma zezwoli, ale na dzisiaj zakazu nie cofnął; musiano zwinąć całe przedsięwzięcie, z takim zachodem i kosztem podjęte. Dla wynagrodzenienia prenumeratorów Słowa zrobiono nowe wydanie *Voluminów legum*. Znowu wymarzony i serdecznie ukochany zawód zamknął się przed Żeligowskim.

W 1860 roku wyjechał za granicę, spodziewając się że tam *Słowo* swoje będzie mógł wskrzesić. Zamiary te nie mogły przyjść do skutku. Na skołatanego tylu przeciwnościami spadły jeszcze dotkliwe osobiste cierpienia; a chociaż od Aleksandra Chodźki wyłącznej doznawał życzliwości i do Bohdana Zaleskiego i jego rodziny przywiązawszy się sercem, nie raz tam pociechę i ukojenie znajdował, zaczął coraz bardziej szukać samotności, przed dawnymi tylko przyjaciołmi rozkrywając swe poranione i zbolałe serce. Starał się zaprządz do pracy, do wykończenia porozpoczynanych robót, ale to mu już nie szło; dramat p. t. *Mikołaj*, do którego za granicą zbierał długo materjały, skończonym nie został, dawnych zaś zaginionych rękopismów swoich część ledwo odebrał, a między temi które się odszukać nie dały, najbardziej żałował całego tomu drobnych poezji w które najwięcej młodzieńczego serca i wyobraźni włożył. Mieszkał naprzemian, to w Paryżu, to w Montmorency, to naresztę w Swajcarji, coraz częściej zapadając na zdrowiu, ale dla kwestji narodowych zachowując zawsze dawniejsze zajęcie. Z wybuchem powstania 1863 roku ożywił się bardziej; dla skołatanego zdrowia nie mogąc sam na plac boju pośpieszyć, chiał myślą i piórem służyć sprawie; pisał do dzienników artykuły, przygotowywał broszury; był nawet przez ostatnie władze narodowe wzywany, aby do Krakowa dla objęcia tam kierunku prassy pośpieszył. Przyszło to jednak już za poźno, w chwilach zupełnego upadku orężnej walki; pozostał więc w Genewie. Wkrótce, liczba nowych wychodzców zaczęła się tam mnożyć ogromnie. Żeligowski powziął myśl przyjścia im w pomoc i założył tam *Towarzystwo*, które dzięki wyrobionym stosunkom wiele potrzeb zaspokoić i nędzy piérwszych dni wygnania zaradzić zdołało. Oddał się temu z całą gorliwością serca. Pisał wtenczas do przyjaciół, że jest

szczęśliwy, bo widzi owoc swoich usiłowań; pozyskał też ogólną zgromadzonej tam braci miłość. Kiedy zachorował już śmiertelnie, pilnowali go kolejno, troskliwością płacąc za okazane im serce, a skromny pogrzeb, wszystkich ze łzą w oku około jego trumny zgromadził. Umarł w Genewie, dnia 28 Grudnia 1864 roku, pochowany na tamecznym katolickim cmentarzu. Należał niezaprzeczenie do najszlachetniejszych natur swego pokolenia u nas; bogato od przyrodzenia uposażony, jeżeli nie ziścił nadziei jakie na nim budowali rowiennicy i przyjaciele, jeżeli nie oddał krajowi usług jakich po nim oczekiwano, to główna tego przyczyna leży w nieszczęściach czasu w którym żył i w prześladowaniach jakich ciągle był celem.

B. Z.

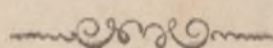
Redaktor: Bronisław Zaleski.



KONIEC.



SPIS RZECZY.



Omyłki druku do sprostowania.

Str.	6	*wiersz*	28	piżowy	*poprawić*	spiżowy.
—	25	—	28	na Polesie	—	na Pokucie.
—	39	—	13	zastawiwszy	—	zostawiwszy.
—	43	—	5	do Francji	—	do Florencji.
—	45	—	31	księżnej	—	księżny.
—	»	—	35	Sapieżynej	—	Sapieżyny.
—	»	—	40	którym nie skazał	—	który mnie skazał.
—	48	—	22	w Schoenbrun 1805 r.	—	w Wiedniu 1809 r.
—	59	—	23	Wieki	—	Wielki.
—	60	—	21	wielostycronnh	—	wielostronnych.
—	61	—	3	reprezentacje	—	reprezentację.
—	62	—	11	niego	—	niczego.
—	70	—	1	hr. Sebastjan	—	hr. Sebastiani.
—	77	—	8	będącym i	—	będącymi.
—	80	—	23	(kutanów)	—	(kułanów).
—	96	—	3	njabierniejsze	—	najbierniejsze.
—	144	—	38	Sankiewicz	—	Stankiewicz.
—	153	—	1-2	do Dzieszkowiec Skąd	—	do Dzieskowiec skąd.
—	159	—	5	zauważyć	—	zauważać.
—	162	—	28	stojąca pa drugiej stronie	—	stojąca po drugiej stronie.
—	208	—	10	Ledwie Mam czas	—	Ledwie mam czas.
—	212	—	36	pogotowane	—	przygotowane.
—	271	—	34	pociesznėm się je	—	pociesznėm się jej.
	275	—	13	jazdy uzbrojone	—	jazdy uzbrojonej.
—	279	—	6	Syna Księcia Adama	—	do Syna, Księcia Adama.
—	294	—	13	wigilję	—	w wigilję.

